



# Rzeźnik

John Lutz

Pod krzyżem wiernie stała  
Matka w żałobie i szlochała,  
Gdzie wisiał on, umierający Pan.

– Anonim

Matka to zawsze matka.  
Nie ma w życiu nic świętszego.

– Coleridge, *The Tree Graves*

Gdybym nawet na wzgórzu zawisł na wysokości,  
Matko, o matko moja!  
Wiem, kto by mi nigdy nie odmówił miłości,  
Matko, o matko moja!

– Kipling, *Mother O'Mine*

## Rozdział 1

*Czy cokolwiek podejrzewa?*

*Czy choćby coś przeczuwa?*

*Zastanawiał się nad tym, obserwując, jak kobieta przemierza chodnik, skręca, przesuwając przy tym torebkę odrobinę w kierunku biodra, a następnie odwraca się i pokonuje trzy betonowe stopnie prowadzące do przedsionka budynku, w którym mieszkała. Tamtego wieczoru sprawiała wrażenie zmęczonej, jak gdyby coś jej ciążyło. Jej krok stracił trochę swojej naturalnej sprężystości. To akurat nic dziwnego, pomyślał. W każdym z nas jest przecież coś takiego, co z kilkuminutowym wyprzedzeniem, a przynajmniej na kilka sekund przed faktem pozwala nam się nagle zorientować, że nasz świat się zaraz skończy.*

W górę? W dół? Zatrzymać się? Jechać? Winda sprawiała wrażenie zupełnie niezdecydowanej.

Janice Queen stała samotnie w niewielkiej klatce i czuła, że serce wali jej jak młotem. Te podróże w górę i w dół już jej nie zaskakiwały. W budynku zainstalowana była tylko jedna winda, z której musiała korzystać, żeby dostać się do mieszkania bez wspinania się po schodach na szóste piętro. Nie miała więc specjalnie wyboru, chociaż małe zamknięte przestrzenie, w szczególności zaś windy, zawsze budziły w niej niepokój. Jakoś nigdy nie mogła się do końca wyzbyć ponurej myśli, że gdyby doszło do jakiejś poważnej awarii – gdyby stało się coś, co nigdy wcześniej nie przytrafiło się nikomu innemu – to od ciemnego szybu, w którym czyhała na nią niechybna i nagła śmierć, dzieliła ją tylko cienka podłoga. Co najmniej dwa razy dziennie co najmniej pięć razy w tygodniu jeździła tą windą w górę i w dół, pokonując w ten sposób kolejne kondygnacje starego, choć niedawno wyremontowanego budynku.

Nareszcie! Winda się zatrzymała, stając mniej więcej na poziomie szóstego piętra. Drzwi się rozsunęły, a za nimi pojawił się dziesięciocentymetrowy stopień, na tyle wysoki, że chwila nieuwagi groziła potknięciem. Spostrzegawczy użytkownik windy mógłby dojrzeć za jego sprawą czarną otchłań szybu i potraktować ten widok jako przestrożę.

Janice prowadziła spokojne życie. Pracowała w księgarni, od czasu do czasu umawiała się z kimś na randkę, wychodziła z przyjaciółkami do pobliskiego Bocco's albo po coś do jedzenia do delikatesów na rogu. Jej życie niczym się nie różniło od tego, jakie prowadziły miliony innych mieszkańców wielkiego miasta.

Winda mogła w jednej chwili położyć kres jej istnieniu.

Absurd! – pomyślała, pokonując stopień dzielący ją od miękkiego dywanu wyściełającego korytarz na szóstym piętrze. Ale konieczność przejścia nad otchłanią mimo wszystko budziła w niej pewien niepokój.

Drzwi do jej mieszkania znajdowały się mniej więcej metr od windy, w związku z czym nawet późno w nocy dobiegał ją posępny szum lin sunących tuż za ścianą. Słyszała też przytłumione grzmoty i wstrząsy kabiny zatrzymującej się na kolejnych piętrach. W rezultacie Janice stanowczo za dużo myślała o tej cholernej windzie, a czasem nawet o niej śniła. W końcu nabrała przeświadczenia, że to zwykły dźwięk stanie się przyczyną jej śmierci.

Otworzyła drzwi do mieszkania i weszła do środka. Mrok. Włączyła światło i jej wzrok padł na duże lustro, przed którym zatrzymywała się przy każdej okazji, żeby skontrolować swój

wygląd.

Ze zwierciadła patrzyła na nią bardziej rozczochna i zmęczona wersja tej Janice, z którą żegnała się rano przed wyjściem do pracy. Była to kobieta niespełna czterdziestoletnia, ale ciągle jeszcze szczupła, obdarzona obfitym biustem i zupełnie przyzwoitymi nogami, z brązowymi włosami do ramion i twarzą raczej słodką niż klasycznie piękną. Szczęka trochę za mocno zarysowana, myślała sama o sobie. No i te cholerne zmarszczki. Pokazywały się co prawda tylko w szczególnie niesprzyjającym świetle i trzeba się było dobrze przypatrzeć, żeby je dostrzec, ale rzeczywiście cienkie linie spływały z kącików ust niczym kropelki śliny. W kącicach jej ciemnych oczu czaiły się już kurze łapki – zwiastun samotnej przyszłości. Janice ciągle jeszcze budziła zainteresowanie wśród mężczyzn, ale tych oczywiście zawsze łatwiej było pozyskać, niż utrzymać. Chociaż niekiedy równie trudno było się ich pozbyć.

Lustro znajdowało się na drzwiach od niewielkiej szafy. Janice zahaczyła skórzany pasek torebki o klamkę, po czym zdjęła lekki szary sweter, który włożyła do pracy jako dodatek do ciemnych spodni i białej bluzki. Powiesiła go w szafie między cięższym płaszczem i niebieską wiatrówką. Pomyślała, że jeśli jutro będzie chłodno i będzie się zapowiadało na deszcz, to sweter odda do pralni. Właścicielka księgarni, Dee, przebywała akurat poza miastem. Oficjalnie wyjazd miał charakter służbowy, w rzeczywistości jednak spędzała czas z żonatym mężczyzną, z którym łączył ją obecnie burzliwy romans. Janice miała o niczym nie wiedzieć, więc nie zdradzała się przed Dee i podczas gdy szefowa oddawała się cielesnym rozkoszom, ona – której od czasu do czasu zdarzyło się poczuć z tego powodu ukłucie zazdrości – sumiennie przez cały tydzień otwierała sklep z samego rana.

Nie wysypiała się, bo pasjami oglądała w telewizji filmy emitowane w późnych godzinach wieczornych. Jej aktualna, choć słabnąca już miłość też akurat była w rozjazdach – co zresztą dość często się zdarzało, ponieważ Graham był sprzedawcą – i miała wrócić dopiero jutro. Mało brakowało, a pokłóciliby się podczas pożegnania w Bocco's. Janice wiedziała, że formuła ich związku powoli się wyczerpuje, i postanowiła sama go zakończyć, zamiast czekać na ruch Grahama. Im była starsza, tym silniejszą czuła potrzebę panowania nad swoim życiem. Wcześniej zawsze czekała, teraz jednak miało być inaczej. Może ból będzie dzięki temu mniej dolegliwy. Wiedziała z doświadczenia, że prędzej czy później nowy Graham przekroczy próg księgarni albo zagadnie ją w Bocco's, serwując jakąś gadkę starą jak świat.

Zdążyła zamknąć drzwi od szafy, gdy odezwał się domofon. Zdziwiła się. Podeszła i nacisnęła guzik:

– Tak, słucham?

– Mam przesyłkę – odezwał się męski głos, który w domofonie brzmiał głucho i metalicznie.

– Dla Janice... Queeler?

– Queen? – dopytała.

– Queen, przepraszam.

Janice nacisnęła guzik, żeby wpuścić kuriera. Kilka sekund później zza ściany dobiegł ją szum lin dźwigu. Kurier jechał do niej na górę windą.

Janice otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Kabina mozolnie się pięła. Gdy rozległ się świst otwieranych drzwi, ze środka wyłonił się ciemnowłosy mężczyzna średniego wzrostu, raczej przystojny. Miał na sobie pomięte spodnie khaki, przepocony niebieski T-shirt i białe sportowe buty. W rękach trzymał podłużne białe pudło przypominające te, w jakich zwykle dostarcza się kwiaty o długich lodygach, tyle że wykonane z mocniejszego kartonu. Uśmiechnął się i spojrzał na przesyłkę, by raz jeszcze sprawdzić treść nalepki.

– Janice Queen?

– Tak.

Zauważyła, że kurier nie ma kieszeni w koszulce. Nigdzie na wierzchu nie dostrzegła też długopisu ani ołówka. *Może powinnam zabrać długopis z biurka? Mam coś do pisania w torebce zaraz za drzwiami. Ale gdzie on ma jakiś dokument do potwierdzenia?*

To wszystko wydało się jej dziwne o sekundę za późno. Gdy wyciągnęła rękę po paczkę, mężczyzna wepchnął ją gwałtownym ruchem do mieszkania. Uderzyła mocno o lustro. Miała nadzieję, że nie pękło.

Napastnik w jednej chwili znalazł się w środku i zamknął za sobą drzwi. Teraz wolną prawą ręką sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, co wyglądało trochę jak napchana skarpetka. Pałka.

*Co się dzieje? Czy to się dzieje naprawdę?* W jej zaskoczonym i spanikowanym umyśle pojawiła się świadomość, że należałoby zacząć krzyczeć. Ledwo jednak zdążyła nabrać powietrza w płuca, aby wydać z siebie głos, gdy ten przedmiot z kieszeni mężczyzny uderzył ją w bok głowy.

Padła na kolana, zrobiło jej się niedobrze z bólu.

*Musi chodzić o kogoś innego. Takie rzeczy przytrafiają się innym. Proszę!*

Znowu poczuła ból, tym razem z tyłu głowy.

Na chwilę zobaczyła przed sobą podłogę, a potem zatoneła w ciemnym szybie głębokiego mroku.

Pearl Kasner wspięła się po betonowych schodach z metra na chodnik i ruszyła przed siebie. Od mieszkania dzieliły ją trzy przecznice. Był niska i okrągła do tego stopnia, że niedoskonałości sylwetki uwidaczniały się mimo szarego munduru. Kilku mężczyzn, których mijała po drodze, na chwilę zatrzymało wzrok na jej biuście, ale potem szybko odwrócili głowy, jak to zwykle czynią mężczyźni. Zupełnie jakby obawiali się, że żona może ich obserwować.

Była zmęczona, bolały ją nogi. Z Fifth National odbierano gotówkę, więc musiała zostać w pracy po godzinach. Pomagała kolegom z Brinksa zadbać o bezpieczeństwo depozytów należących do klientów, chociaż w tej placówce raczej nie należało się spodziewać napadu. Jakieś ryzyko jednak się z tym wiązało. Dostatecznie duże. I dostatecznie dobrze za to płacili. Tylko nogi się męczyły. Pearl spędziła sporo czasu na stojąco. I na wymianie uprzejmości. To bywało uciążliwe.

Praca może nie zasługiwała na miano idealnej, ale ogólnie dobrze się tam czuła. Godziny były lepsze, komplikacji mniej. Cieszyła się też, że nosi szary mundur, a nie granatowy. W średnim wieku i tak, i tak będzie mieć płaskostopie.

Kilku mężczyzn w garniturach utkwili oczy w jej biuście, potem jeden z nich podniósł wzrok i spojrzał jej w twarz. Uśmiechnął się. Żaden jednak nie odezwał się ani słowem. Z powodu tego munduru.

A może dlatego że nosiła broń.

*Zimno.*

*Boli.*

Janice Queen nie mogła się ruszać. Jej ciało nie mogło nawet drgnąć.

*Gdzie?*

Otworzyła oczy. Zobaczyła jasne światło i dobrze sobie znane szare kafelki na ścianie. Stwierdziła, że znajduje się w swojej łazience. Było jej niewygodnie. Ciasno. Próbowała unieść głowę, ale bez powodzenia. Udało jej się skierować ku górze tylko wzrok. Zobaczyła chromowaną wylewkę od prysznicza.

Wiedziała już, że siedzi we własnej wannie. Wodziła oczami dookoła. Była naga, a skórę znajdującą się ponad wodą pokrywała gęsia skórka.

*Woda?*

Dlatego było jej tak zimno. Z kranu leciała woda. Zimna. Sięgała jej już dobrze powyżej pasa.

Ręce miała skrzyżowane tuż nad piersiami i tak mocno związane, że nie tylko nie mogła nimi poruszyć, ale też w ogóle ich nie czuła. Z wielkim wysiłkiem spojrzała w kierunku stóp. Łydki i kostki, a także uda zostały ściśle związane szarą taśmą klejącą. Janice mogła jedynie pokiwać palcami u stóp – pod wodą – ale poza tym nie mogła się ruszyć.

Tętniący ból w głowie był niemal nie do wytrzymania.

Próbowała krzyczeć, ale stwierdziła, że nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie mogła ruszyć wargami. Gdy próbowała rozsunąć je językiem, poczuła coś szorstkiego. Szorstkość i lepkość taśmy klejącej. Najwyraźniej usta też miała zaklejone.

W łazience pojawił się kurier. Był nagi tak samo jak ona. Ledwo na nią spojrzął, co tylko dodatkowo wzmogło w niej przerażenie. Najwyraźniej nie miała już dla niego znaczenia. Przynajmniej nie jako żywa istota.

Odwrócił się do niej plecami, nachylił się i zaczął czegoś szukać w szafce pod umywalką. Wydobył stamtąd mydło w płynie i dużą butelkę szamponu. Postawił oba pojemniki na skraju wanny i wyszedł z łazienki. Janice usłyszała, jak szwenda się po kuchni, trzaska szafkami, otwiera i zamyka szuflady.

Woda sięgała jej już prawie pod pachy. Na chwilę spanikowała, ale potem zmusiła się do spokoju. *Co on zamierza zrobić z tym mydłem i szamponem? Czy zamierza mnie umyć? Czy to ma jakiś szalony podtekst seksualny? Zrobi coś ze mną, a potem mnie puści?*

*To możliwe. Może tak być. Musi tak być!*

Jako singielka niezłe się orientowała, jakie rzeczy wyczynia się na Manhattanie. Właśnie dzięki tej z trudem zdobytej wiedzy wciąż jeszcze miała nadzieję. Może facet zaspokoi jakieś swoje dziwaczne fantazje seksualne, a potem po prostu sobie pójdzie...

Wrócił z kuchni z proszkiem do zmywarki i do prania. Pudełka znalazł w szafce pod zlewem. Przyniósł też długie białe pudło, które umieścił na sedesie. Detergenty postawił obok kosmetyków.

Woda sięgała jej już do szyi. Kątem oka widziała długie pasma brązowych włosów unoszące się po powierzchni. Przypominały trochę morską trawę, którą podziwiała wiele lat temu podczas wakacji na Karaibach.

Gdyby tylko mogła krzyczeć!

Mężczyzna spojrzął na nią, nachylił się i zakręcił wodę. Nagła cisza, która zapadła po krótkim kwiku rączki od armatury, zdawała się zwiastować jej ocalenie. Nie utonie! *Dzięki Bogu!*

Powoli się wyprostował, a potem nagłym ruchem zerwał przezroczystą zasłonkę prysznicową. Przykucnął i starannie rozłożył ją na podłodze przy wannie. Później, nie wstając z kolan, uniósł wieczko białego pudła.

Janice tylko kątem oka dostrzegła jego zawartość: noże, tasak i coś masywnego w jaskrawopomarańczowym kolorze, tępo zakończonego ząbkowanym łukiem. W jej głowie pojawił się obraz warsztatu zorganizowanego przez ojca w garażu. Usłyszała przenikliwy dźwięk stali rozdzierającej drewno. *Bezprzewodowa piła elektryczna!* Choć była bardzo ściśle skrepowana, drżenie jej ciała wywoływało lekką falę na powierzchni wody. Mężczyzna, który cały czas klęczał na zasłonce od prysznica, wyciągnął ręce w kierunku jej stóp – nie, w kierunku chromowanych kurków i baterii. Usłyszała, jak opuszcza dźwignię i otwiera odpływ. Woda zaczęła cicho bulgotać i wirującym ruchem uciekać z wanny.

Cały czas drżąc z zimna i ze strachu, Janice obserwowała, jak mężczyzna wstaje. Z przerażeniem spostrzegła wtedy po raz pierwszy, że ma wzwód.

Nachylił się nad nią i spojrzał jej w oczy w zupełnie zaskakujący sposób. Zdumiało ją to.

*Co?...* – bezgłośnie wykrzyczała proste pytanie w precyzyjnie zamocowany prostokątny kawałek taśmy. *Co zamierzasz ze mną zrobić?*

A on nachylił się jeszcze bardziej i wsunął ramię pod jej ugięte nogi, chwytając ją pod kolanami. W jej głowie zaświtała nadzieja. Zaraz wsunie jej drugie ramię pod plecy, żeby ją wyjąć z wanny. Tylko co potem? Zanieś ją do sypialni? Zgwałci ją i będzie torturować?

Jeszcze raz spojrzała w stronę białego pudła i przeszedł ją dreszcz przerażenia.

Zamiast włożyć jej drugą rękę pod plecy, mężczyzna chwycił jej głowę i pchnął ją w kierunku kolan, zmuszając do wykonania głośnego wydechu przez nos, a zaraz potem uniósł jej nogi, w wyniku czego jej tułów się osunął i głowa znalazła się pod wodą.

Spętane łydki zaczęły intensywnie kopać, ale trzymał je na tyle mocno, że tylko wierzgały w powietrzu. Wymachiwała nimi z całych sił, niczym innym nie mogła ani trochę ruszyć. Znalazła się w takiej pozycji, że mogła wziąć tylko wdech.

*Tylko wdech!*

Jej płuca zalała zimna woda. Janice nie miała innego wyjścia, jak się z tym pogodzić.

Tonąc, patrzyła, jak mężczyzna przygląda jej się z nad powierzchnią wody.

## Rozdział 2

Dzień, który miał w zupełnie zaskakujący sposób odmienić bieg jego życia, Frank Quinn rozpoczął od śniadania w Lotus Diner. Zamówił jajka, chrupiący bekon i tost z masłem. Po zaspokojeniu głodu wypił jeszcze drugi kubek kawy, czytając przy tym „Timesa” dla rozrywki. Dopiero potem ruszył spacerem w kierunku swojego mieszkania na Zachodniej Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, rozkoszując się słońcem nowojorskiego poranka. Swoim zwyczajem pomyślał przy okazji, że nie ma drugiego takiego miasta ani drugiego takiego miejsca jak Manhattan. Nie ma takich widoków, takich dźwięków, takich zapachów. Nowy Jork wraz ze wszystkimi swoimi wadami stał się integralną częścią jego osobowości. A on nie miał nic przeciwko temu.

Po powrocie do domu usiadł w brązowym skórzanym fotelu, żeby zapalić. Ulubione kubańskie cygara dostarczał mu facet, który przedstawiał się jako Iggy. Quinn nie dociekał, skąd je brał. Wystarczyła mu informacja, że pochodzą z Kuby. Drobne wykroczenie nie stanowiło wielkiej skazy na honorze przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Quinn wyznawał takie przekonanie jeszcze jako detektyw wydziału zabójstw, a odkąd przeszedł na emeryturę po tym, jak podczas napadu na sklep monopolowy odniósł ranę postrzałową w nogę, miał do tych spraw jeszcze swobodniejszy stosunek. Palił więc swoje kubańskie robusto, a od czasu do czasu, gdy tak mu było wygodnie, parkował leciwego ogromnego lincolna na zakazie i wkładał za szybę starą odznakę NYPD. Żadnych więcej wykroczeń po zakończeniu kariery zawodowej już nie popełniał, ale też po prawdzie nie bardzo miał ku temu sposobność.

Siedział więc sobie w swoim starym, ale wygodnym fotelu, który dopasował się już kształtem do jego ciała, i z poczuciem błęgiego lenistwa przyglądał się przechodniom maszerującym pod jego oknem. Okno wyposażone było na zewnątrz w kraty, które miały powstrzymać ewentualnych nieproszonych gości, bo mieszkanie znajdowało się na parterze. Czasami jednak Quinn miał wrażenie, że tak naprawdę to więzienne kraty, które mają jemu uniemożliwić wydostanie się na zewnątrz. Uśmiechał się wówczas ironicznie sam do siebie. Złapał w życiu tylu ludzi, tylu morderców – w tym kilku seryjnych – a teraz siedział sobie wygodnie za kratami i palił kubańskie cygara.

Quinn mógłby sobie pozwolić na lepsze mieszkanie, ponieważ w ramach ugody zawartej w związku z niesłusznymi oskarżeniami o molestowanie dzieci i gwałt uzyskał od NYPD sześciocyfrowe odszkodowanie, ale przywykł do życia z policyjnej pensji i przyzwyczał się też do tego lokum. Nie widział również powodu, by pozbywać się starego i mało interesującego dla złodziei lincolna, którego swego czasu kupił za tanie pieniądze od przyjaciela, również byłego gliniarza. Wrócił nawet na chwilę do pracy w wydziale zabójstw, ale potem doszło do tej strzelaniny w monopolowym. Wtedy stwierdził, że pora żegnać się z robotą.

Rozparł się teraz w przydużym fotelu i przyglądał się parze, która w pośpiechu przechodziła pod jego oknem. Przytulali się do siebie i wymieniali spojrzenia. Quinn pozwolił sobie na wniosek, że darzą się miłością.

Rozkoszował się smakiem cygara bez zaciągania się dymem. Nie chciał się nabawić raka płuc. Nie było przy nim nikogo, kto by go przed tym przestrzegł. Kto by go zwymyślał. Kto by mu groził. Nie było kobiety, która wściekłaby się tak bardzo, że kopnęłaby go w nogę. W tę nogę, w którą został postrzelony. Odkąd Pearl się wyprowadziła, mógł już palić cygara w mieszkaniu. Poza tym nie dostrzegał żadnych innych atutów jej nieobecności. Tęsknił za tą małą, ale żywiołową osobką.



Pearl oczywiście bywała zgryźliwa i nadpobudliwa, a niekiedy wręcz agresywna. Potrafiła dopieć do żywego, zdarzało jej się przesadzić. Ale cóż, on też nie był ideałem. Zdaniem niektórych dobrze do siebie pasowali. Quinn był wysoki i jakby lekko kościsty. Jego nos wyglądał, jak gdyby sporo przeszedł, a zielonym oczom brakowało wyrazu. Proste, choć niesforne brązowe włosy, gdzieniegdzie mieniające się srebrem, wyglądały na źle obcięte nawet wtedy, gdy fryzjer dobrze wywiązał się ze swojego zadania. Kobietom się jednak podobał. Taka grubo ciosana forma wyrafinowania. Ludzie mieli go za człowieka związłego, chyba że Quinn akurat odwoływał się do swojego udawanego irlandzkiego uroku.

Pearl na ogół miała coś do powiedzenia. Mierzyła metr pięćdziesiąt pięć, a przy tym mogła się poszczycić krępa, choć seksowną sylwetką. Tryskała energią do tego stopnia, że gdy się stało tuż przy niej, zdawała się szumieć jak transformator. Miała bardzo ciemne włosy, bardzo ciemne oczy, a gdy się uśmiechała, za bardzo czerwonymi ustami pojawiał się rząd bardzo białych zębów. Było to tak niesamowite, że niemal nierzeczywiste. Pearl jednak była jak najbardziej rzeczywista. Zbyt rzeczywista, by dać się nabrać na jakikolwiek udawany urok.

Być może to właśnie tym zdobyła względy Quinna. Nie było w niej żadnej tajemnicy. Pearl była oczywista aż do bólu, a jeśli kogoś naprawdę nie lubiła, jawnie dawała mu to do zrozumienia. Dlatego Quinn nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że Pearl nadal darzy go sympatią. Problem jednak polegał na tym, że chyba przestała go kochać.

To ona podjęła decyzję o wyprowadzce. Odeszła z policji krótko po tym, jak Quinn zakończył karierę – zanim ktoś zdążył ją zwolnić za niesubordynację, na co zasłużyła sobie nie raz. Wprowadziła się do Quinna, który dysponował więcej niż zadowolającym dochodem – oprócz wynagrodzenia odbierał odsetki i dywidendy od zainwestowanego odszkodowania – i przez jakiś czas wiedli razem szczęśliwe życie. Ale potem Pearl zaczęła się nudzić. Brakowało jej akcji. Teraz mieszkała po drugiej stronie miasta i pracowała jako strażnik bankowy. Tam to się akurat coś dzieje! Człowiek stoi i wpatruje się w klientów. Ona jednak wyglądała na zadowoloną, może za sprawą broni, którą nosiła u boku. Quinn nie do końca potrafił to rozgryźć. Generalnie świetnie się znał na ludziach, ale Pearl pozostawała dla niego zagadką. To również miało dla niego niewątpliwy urok.

Nagle ciszę jego mieszkania przeszył dzwonek domofonu przypominający bzyczenie złowrogiej osy. Przerwa, a potem znowu. Bez przerwy. Ktoś położył palec na guziku i nie zamierzał go zdejmować.

Niech go szlag! Zmęczy się, to sobie pójdzie. Quinn wciągnął do ust dym z cygara, wypuścił go i zaczął mu się bacznie przyglądać.

Bzyczenie trwało w najlepsze. *Widać ktoś tu ma ciężki kciuk. Kto się tak zachowuje? Tak to można co najwyżej wkurzyć właściciela siedzącego sobie w domu i niemającego ochoty na przyjmowanie gości.*

Spojrzał na cygaro, a potem odłożył je do popielniczki, która stała przy stoliku obok fotela. Wstał. Miał na sobie wyblakłe dzinsy, pomietaną koszulkę i znoszone mokasy. Dawno się nie golił i wyglądał raczej jak członek gangu motocyklowego niż jak były policjant: wąski w talii, szeroki w ramionach, w każdej chwili gotowy do bójki.

Człowiek stojący za drzwiami najwyraźniej nic sobie nie robił z potencjalnego gniewu gospodarza. Jego błąd! Quinn bynajmniej nie poszedł do domofonu. Otworzył drzwi na korytarz i zrobił kilka kroków w stronę wewnętrznych szklanych drzwi. Chciał zobaczyć, kto tak do niego wydzwaniania.

Po drugiej stronie z palcem na guziku stał człowiek ogólnie rostry, ale w środkowej części nieco obwisły, w granatowym, trochę za ciasnym mundurze. Z podwójnym podbródkiem, łysiną i podkrążonymi na fioletowo oczami wyglądał w jednej trzeciej na nieszczęśnika, w dwóch

trzech zaś na basseta. Zastępca komendanta Harley Renz.

Quinn doszedł do szklanych drzwi i je otworzył. Renz uśmiechnął się do niego i zdjął palec z dzwonka. Na chwilę zapanowała cisza, po czym Quinn powiedział:

– Wchodź.

Renz podążył za nim do jego mieszkania ciągle z tym samym uśmiechem na twarzy.

Gdy weszli, rozejrzał się i wciągnął powietrze.

– Ciągłe palisz te nielegalne kubańskie cygara.

– Wenezuelskie.

Quinn wskazał Renzowi mały ozdobny fotel, na którym nikomu nie siedziało się wygodnie.

– Gdybym dostał piwo – zastrzegł Renz – tobym ci opowiedział pewną historię.

– Nie dało się jej opowiedzieć przez telefon?

– Wtedy nie mógłbyś wsłuchiwać się w ton mojego głosu i obserwować mojej mimiki. Poza tym czasami dodaję gestykulację godną marionetek.

Quinn poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Na jednej z niższych półek znalazł bardzo starą puszkę piwa. Otworzył ją dla Renza. Nie zadał sobie trudu, żeby zaproponować mu szkło. Wrócił do salonu i rozsiadł się ponownie w fotelu. Ujął cygaro w dłoń, ale go nie palił. Przyglądał się, jak Renz bierze łyk napoju i się krzywi.

– To twoje śniadanie? – zapytał Quinn.

– Brunch. To piwo ma pewnie z pięć lat.

– Tak mniej więcej.

– Nadal nie pijesz? – chciał wiedzieć Renz.

– Tylko okazjonalnie. Nigdy nie byłem alkoholikiem.

– Jasne. Ten browar najlepiej świadczy o tym, że nie masz w zwyczaju kupować alkoholu po to, żeby go od razu wypić. Zresztą wiem, że właściwie nie pijesz. Sprawdziłem to.

– Musiałeś być rozczarowany.

– Jasne. Myślałem, że może zdołam cię namówić. – Renz swobodnie rozejrzał się wokół. – Pearl jest w domu?

*Kolejne pytanie, na które zna już odpowiedź.*

– Pearl już tu nie mieszka.

– A tak, zapomniałem. Masz może jeszcze jedno takie cygaro?

– Tylko jedno. Zostawię je sobie na później.

Renz wzruszył ramionami.

– Nie dziwię ci się. Przyjechały w końcu aż z Wenezueli.

Wypił kolejny łyk piwa. Tym razem się nie skrzywił. Najwyraźniej przyzwyczyił się do jego smaku.

– Pytam o Pearl dlatego, że ona też może być zainteresowana tą historią.

– To jej przekażę, choć już bez marionetkowej gestykulacji.

Renz się rozejrzał.

– Zupełnie ładne mieszkanie, chociaż sądząc po zapachu, przydałoby się tu gruntownie posprzątać. No i wygląda trochę tak, jakby je urządził Rudyard Kipling. Brakuje tu kobiecej ręki.

– Wskazał dłonią oprawiony w ramkę obrazek wiszący nad niezdatnym do użytku kominkiem. – Klucz kaczek na tle zachodu słońca. Ten motyw się nigdy nie starzeje.

– Mam nadzieję, że da się tę historię przedstawić przy jednym piwie – powiedział Quinn.

– Jakże taktownie skłaniasz mnie, żebym przeszedł wreszcie do sedna sprawy!

– Może byś przeszedł do sedna sprawy!

Renz nachylił się nieco w malutkim foteliku, który wyglądał, jakby mógł nie wytrzymać jego ciężaru.

– Sedno sprawy stanowią martwe kobiety. Dwie. – Ściszył nieco głos, jak gdyby obawiał się, że ktoś go może podsłuchać. – Wiemy o tym tylko ja i teraz ty, no i jeszcze kilku zaufanych ludzi z NYPD.

– No i zabójca.

– A czy ja powiedziałem, że one zostały zamordowane? – Renz wzruszył ramionami. – Cóż, powinieneś wyrobić sobie własną opinię na ten temat. Pierwsza nazywała się Janice Queen, mieszkała tu, na West Side. Druga to Lois Ullman. Obie singielki, atrakcyjne, po trzydziestce, brunetki. Można by powiedzieć, że ten sam typ.

– Czyli myślisz, że to ten sam zabójca?

– Zdecydowanie. Obie zostały utopione we własnej wannie, w obu przypadkach znaleziono ślady taśmy, za pomocą której zostały skrupowane i zakneblowane. Po wszystkim ich ciała zostały rozczłonkowane z chirurgiczną precyzją, a poszczególne fragmenty znaleziono w wannie ułożone jedne na drugich w tej samej kolejności: tułów, uda, łydki, ręce, głowa. Zabójca włączył prysznic i wykorzystując cały dostępny w mieszkaniu szampon i inne środki czyszczące, splukiwał części ciała, aż udało mu się usunąć ostatnie widoczne ślady krwi. Pozostawił po sobie tylko blade szczątki swoich ofiar. – Renz przeniósł ciężar ciała na oparcie. – Widzę, że zdołałem przykuć twoją uwagę.

– Istotnie – przyznał Quinn. Pykając w zamyśleniu cygaro, poczuł się trochę jak jedna z postaci Kiplinga.

– Zabójca wysłał do mnie krótki list, w którym obraźliwie wyraża się o kilku detektywach z naszego wydziału zabójstw, w tym również o tobie. Pewnie nie wiedział, że odszedłeś. Zapewnia mnie, że takich ofiar będzie więcej.

– Jeśli w NYPD ktokolwiek o tym wie – stwierdził Quinn – to wiadomość wkrótce wybuchnie w mediach z siłą granatu ręcznego.

– Musimy być na to gotowi.

– My?

– Doszedłem do wniosku, że to ty powinieneś się zająć tą sprawą – powiedział Renz. – Seryjni mordercy to twoja specjalność. To ty złapałeś Nocnego Łowcę, złapiesz też tego chorego świra, jakkolwiek go nazwą media.

– Chyba zapomniałeś, że ja już zakończyłem pracę w policji.

– Mogę to załatwić jakoś tak, żebyś mógł razem ze swoim zespołem pracować... na zlecenie. Wszystko będzie tak, jak sobie zażyczysz. Za moim pośrednictwem będziesz mieć do dyspozycji wszystkie zasoby NYPD, a przy tym będziesz korzystać ze swobody związanej z funkcjonowaniem poza strukturami posterunku.

Quinn rozumiał, co Renz chce przez to powiedzieć. Chodziło mu o to, że w razie konieczności będzie mógł podejmować działania wykraczające poza granice prawa.

– Kto miałby się znaleźć w moim zespole? – zapytał.

– Ci sami ludzie, z którymi przygwoździłeś Nocnego Łowcę. Pearl i Fedderman.

– Pearl pracuje jako strażniczka w banku, a Fedderman mieszka na Florydzie i uczy się grać w golfa.

– Tobie nie odmówię, Quinn. Tak samo jak ty nie odmówisz mnie. – Renz wysunął ramię w stronę okna wychodzącego na ulicę. – Nie przyszło ci nigdy do głowy, że te kraty do złudzenia przypominają więzienne?

– Nie, nigdy. – Quinn spojrzał na Renza przez kłęb cygarowego dymu. – Pewnie myślałeś, że na tym etapie będziesz już komendantem.

– Fakt, spadłem w hierarchii, ale teraz jestem już zastępcą.

– Słyszałem. Słyszałem też, że wyżej nie podskoczysz.

– Jestem jak ty, Quinn. Nie rezygnuję. Nie przestaję piąć się w górę. Cóż innego miałbym, do licha, w życiu robić? Na pewno wiesz, co mam na myśli.

– Jasne. Jak przygwoździmy tego świra, to ty zbierzesz za to laury i ty dostaniesz awans. Twoja kariera znowu nabierze rozpędu.

– A ty ocalisz życie jego niedoszłym ofiarom.

– Nie funduj mi tu tej altruistycznej gadki, Harley.

– Dobra, w porządku. Czyli się zgadzasz?

– A jak brzmi pytanie? Żadne nie padło.

– Obaj doskonale znamy odpowiedź, więc pytania chyba nie trzeba zadawać.

– Rozmawiałeś już z Pearl albo Feddermanem?

Renz się uśmiechnął.

– Pomyślałem, że zdam się w tej kwestii na ciebie. Ty już masz swoje sposoby, żeby dosłownie każdego namówić dosłownie do wszystkiego.

– Z wyjątkiem Pearl – stwierdził Quinn.

Renz chwilę się nad tym zastanowił, po czym przytaknął.

– Porozmawiam z nimi – powiedział Quinn – ale niczego nie obiecuję.

– Świetnie!

Renz celowo odstawił puszkę na stolik w takim miejscu, żeby został po niej ślad, po czym wstał.

– Dostarczę ci dokumentację, a potem spróbuję zorganizować jakieś biuro w okolicy najbliższego posterunku: coś bez kurzu i pleśni, żebyś nie czuł się za bardzo jak w domu.

Quinn nie wstał, cygaro stanowczo za bardzo go zajmowało. Renz zatrzymał się jeszcze na chwilę przy drzwiach.

– Naprawdę zależy mi na tym, żeby przygwoździć tego dupka, Quinn. W przeciwnym razie nie zatrudniałbym do tego takiego piekielnie gończego psa. Obaj sporo w życiu widzieliśmy, ale na litość boską, gdybyś zobaczył te dwie kobiety...

– Miałeś ochotę się przeżegnać? – zapytał Quinn.

– Znam tę twoją przewrotną naturę i upodobanie do cynizmu, więc nie będę mieć ci za złe tej sceptycznej postawy. – Renz pochylił głowę i zamknął oczy.

Quinn przez chwilę nawet pomyślał, że jego rozmówca faktycznie się zaraz przeżegna.

– Świetnie ci idzie udawanie współczucia.

Renz uśmiechnął się do niego smutno i jakby z niechęcią.

– Już niedługo się przekonamy, jak ty sobie z tym radzisz.

Gdy Renz wyszedł, Quinn zamierzał dopalić cygaro, zanim zadzwoni do Pearl i Feddermana. Spojrzał na kaczki lecące w ścisłym kluczu na tle jaskrawego zachodu słońca i stwierdził, że reprodukcja nadal mu się podoba. Kiedy sięgnął po słuchawkę, miał jeszcze połowę cygara.

### Rozdział 3

– Coś jest inaczej – stwierdziła Pearl.

– Zabrałaś z sobą sporo mebli – odparł Quinn. – Musiałem kilka rzeczy poprzestawiać.

Siedział w swoim skórzanym fotelu tym razem bez cygara. Pearl zajęła miejsce na krześle, na którym kiedyś nagminnie przesiadywała, a które teraz znajdowało się po drugiej stronie pokoju. Był sobotni poranek, banki nie pracowały, miała więc na sobie dzinsy i marynarkę. Włosy sprawiały wrażenie czarniejszych niż kiedykolwiek wcześniej. Właśnie o takich mówi się „kruczoczarne”, domniemywał Quinn. Jeśli w ogóle miała makijaż, to bardzo subtelny, mimo to ciemne oczy i intensywnie czerwone usta wyraźnie kontrastowały z bledością cery.

– Zrobiłeś remont – powiedziała.

– Bardziej przystosowałem do życia.

– Czuję dym z cygara, Quinn.

– Od czasu do czasu zdarza mi się zapalić.

– To ci nie służy.

*Twoja nieobecność mi nie służy.*

– Pilnuję się.

– To do ciebie niepodobne. – Oparła się i uśmiechnęła, ukazując rząd równiutkich i bardzo białych zębów. – Cóż to za sprawę masz do mnie?

– Odwiedził mnie wczoraj Harley Renz.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

– Nadal jest takim dupkiem jak kiedyś?

– Nawet większym. Tak sobie pomyślałem, że znowu powinniśmy dla niego pracować.

Pearl rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, zupełnie jak gdyby przemówił do niej w jakimś obcym języku.

– Nic z tego – powiedziała. – Ale proszę bardzo, możesz próbować mnie namawiać.

Quinn powtórzył jej to, co usłyszał od Renza, a gdy opisywał sposób potraktowania ofiar przez mordercę, uważnie obserwował jej twarz. Zdumiona mina nigdy do końca z niej nie zniknęła.

– A co zrobisz, jeśli ci powiem, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego? – zapytała, gdy skończył.

– Będę próbować szczęścia z Feddermanem. Nie został stworzony po to, żeby grać w golfa na Florydzie. Jak z nim ostatnio rozmawiałem przez telefon, powiedział, że dostaje od tego bzika.

– I ty myślisz, że porzuci te swoje wszystkie kije i przyleci tu, żeby wspólnie z tobą i Renzem uganiać się za seryjnym mordercą?

– To jest prawdziwa rozgrywka! – powiedział Quinn. – Tamte dołki nijak się do tego nie mają. Ciebie to również dotyczy. Ciebie też nie bawi wystawanie w tym Fourth National...

– Fifth.

– ...z bronią, której nigdy nie będzie ci dane użyć.

– I której wcale nie mam ochoty używać. Fedderman powie ci dokładnie to samo.

– Żona od niego odeszła, słyszałaś.

– Słyszałam. W zeszłym roku.

– Jest samotny.

– Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.
- Pearl odwróciła wzrok.
- Nie próbuj ze mną tych numerów, Quinn.
- No dobrze, ale zastanów się jeszcze, zanim udzielisz mi ostatecznej odpowiedzi.
- W porządku. Zastanowiłam się. Odpowiedź brzmi: nie! Na wszystko jest w życiu odpowiedni czas, Quinn. Ten czas, kiedy mieliśmy wspólnie tropić mordercę tnącego swoje ofiary w kostkę i na plasterki, już dawno minął.
- Powinnaś pomyśleć o tych kobietach.
- Powoli wypuściła powietrze z płuc, zdaniem Quinna nieco przesadnie dramatycznie.
- Empatia. To kolejna rzecz, która dla mnie należy do przeszłości.
- Pearl...
- Jest mi dobrze, Quinn. Pal diabli szczęście. Wystarczy mi zadowolenie. Wstaję rano i dni upływają mi w miarę przyjemnie. Załatwiam sprawunki, żyję po swojemu, nic mną nie targa w tę i we w tę jak jakaś... Właściwie sama nie wiem, jak co.
- Jak wtedy, kiedy byłaś ze mną?
- Tak, dokładnie. Muszę być niezależna, Quinn. Ty zresztą też. Właśnie dlatego nam się nie udało. Właśnie dlatego nie powinniśmy razem pracować. Nie chcę uczestniczyć w tej operacji Renza.
- To brzmi niemal ostatecznie.
- Uśmiechnęła się i wstała z krzesła, a potem podeszła do niego i nachyliła się, żeby pocałować go w czoło.
- Trudny z ciebie człowiek, Quinn.
- O tobie można powiedzieć to samo.
- Nie zaprzeczyła. Quinn odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

Przed zatelefonowaniem na Florydę Quinn zapalił cygaro i usiadł przy biurku w wolnym pokoju, który służył mu jako gabinet. Odchylił się w fotelu i wsłuchiwał w sygnał dzwonka, który po drugiej stronie rozbrzmiewał w zapewne pustym mieszkaniu w Boca czy gdzieś indziej – ponieważ Fedderman grał właśnie w golfa i nieprzytomnie uganiał się w upale za białą piłeczką. Już miał się rozłączyć, gdy Fedderman odebrał połączenie.

- Quinn?
- Skąd wiedziałeś, Feds?
- Identyfikacja numeru, staram się unikać pewnej wdowy.
- Gdy żona od niego odeszła, Fedderman został sam. Dorosłe dzieci wyprowadziły się kilka lat wcześniej. Jeśli Quinn dobrze pamiętał, córka pracowała w Filadelfii, a jej brat zaliczał się do grona wiecznych studentów i aktualnie dzięki jakiemuś stypendium kończył właśnie kolejny kierunek. Quinn odłożył cygaro do kwadratowej szklanej popielniczki, która stała w rogu biurka. Pochodziła z hotelu Biltmore i mogła mieć wartość kolekcjonerską.
- Sądziłem, że będziesz na polu golfowym.
- Skończyłem z tym. Golf doprowadzał mnie do szału. Teraz zajmuję się połowami ryb głębinowych, ale przez to też odchodzę od zmysłów. Widziałeś kiedyś, jakie gównno się wyciąga z oceanu? Większość tego w ogóle nie przypomina ryb.
- Odwiedził mnie wczoraj Harley Renz.
- Nadal jest takim dupkiem jak kiedyś?
- Pearl zapytała o to samo. Odpowiedź brzmi: tak.
- Co u Pearl? Wy dwoje nadal jesteście...

– Nie jesteśmy razem. A ona jest ciągle sobą.

– Hm, a kto zerwał?

– Pearl.

– Hm, a czego chciał Renz?

Quinn przedstawił sprawę.

– Możesz na mnie liczyć – powiedział Fedderman.

Quinn był zaskoczony, że tak szybko uzyskał odpowiedź. Wydawało mu się, że Fedderman choć trochę lubi swoją emeryturę i że okaże się dla niego ciekawsza niż wgapienie się w martwe ciała, a być może także narażanie się na rany postrzałowe.

– To kiedy mogę się ciebie spodziewać? – zapytał Quinn.

– Jak tylko uda mi się załapać na jakiś lot do Nowego Jorku. To wielki atut mieszkania.

Można po prostu przekręcić klucz w zamku i nie trzeba się martwić, że trawnik zarośnie chwastami. Już nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę ciebie i Pearl.

– Pearl nie będzie z nami pracować.

– Żartujesz? – W jego głosie pobrzmiwało zdumienie.

– Twierdzi, że dobrze się czuje w roli strażniczki w banku.

– Banki nie potrzebują strażników i ona to wie. Najwyraźniej muszę przyjechać do Nowego Jorku i przekonać ją do zmiany zdania.

– Pearl nie zmienia zdania.

– W twojej sprawie zmieniła.

Quinn trochę się zirytował, ale to właśnie cenił u Feddermana. Sporo razem pracowali i rozmawiali zupełnie szczerze. Fedderman miał specyficzną umiejętność docierania do prawdy bez względu na konsekwencje.

– Zadzwoń do ciebie, jak dotrę na miejsce – powiedział. – A ty tymczasem urabiaj Pearl.

Rozłączył się, zanim Quinn zdążył odpowiedzieć.

Odłożył słuchawkę na widełki i uniósł cygare z popielniczki stojącej na biurku. Ogień zdążył przygasnąć. Rozpalił je więc na nowo i rozsiadł się wygodnie w fotelu, zastanawiając się nad słowami Feddermana. Myślał o Pearl. Pracował z nią, sypiał z nią, mieszkał z nią. Znał ją.

*Pearl nie zmienia zdania.*

Wpatrywał się w dym, który unosił się jak duch i gdzieś pod sufitem umykał wraz z prądem powietrza.

*Pearl nie zmienia zdania.*

## Rozdział 4

Ida Ingraham miała randkę. Normalnie nie umówiłaby się z kimś, kogo poznała przypadkowo w barze, ale Jeff był inny. Naprawdę był inny.

Usiadła przed lustrem w swoim mieszkaniu na West Side i uśmiechnęła się do własnego odbicia. *Nie jestem nieatrakcyjna*, pomyślała. Pełna twarz i brązowa grzywka, która tylko dodatkowo to podkreślała. Bynajmniej nie jestem gruba. Ogólnie szczupła, tyle że nie mam za bardzo wcięcia w talii. Niewielkie piersi. Nogi w porządku, szczególnie w odpowiednich butach. *Dlaczego czuję potrzebę wygłaszania pochwał pod własnym adresem?*

Ida знаła odpowiedź na to pytanie. Mężczyźni zwykle szybko się ulatniali, gdy tylko poszła z nimi do łóżka, a przecież miała już dobrze ponad trzydzieści lat. Teraz to już z góry.

*Czy powinnam zacząć panikować?*

Spojrzała w lustro z jasnym uśmiechem i stwierdziła, że jeszcze nie. Ciągle miała nadzieję. Wcale nie musiała wychodzić za męża, zależało jej raczej na trwałym związku. Bez fajerwerków, myślała. Znała ludzi, którym udało się osiągnąć ten cel. Życie wcale nie było tak straszne.

Pracowała jako grafik w firmie Higher Corporate Image, która opracowywała materiały promocyjne i motywacyjne dla sieci handlowych. Lubiła swoje zajęcie. Zarabiała raczej niedużo, jeśli nie liczyć premii (na te jednak nie zawsze można było liczyć), ale miała perspektywy. W HCI nie było czegoś takiego jak szklany sufit. Potrafiła sobie wyobrazić, czym będzie się zajmować za dziesięć lat, i ta wizja całkiem jej odpowiadała. Jeszcze lepiej by to wszystko wyglądało, gdyby miała kogoś na stałe. Kogoś, komu by na niej zależało. Ona też mogłaby się nauczyć darzyć kogoś taką troską. *Mogłabym się nauczyć... Głupie podejście.*

Uśmiech zniknął z jej twarzy, a w niebieskich oczach na chwilę rozblęsnęła panika. Być może na tym właśnie polegał jej problem, być może dlatego mężczyźni od niej odchodzili. Być może sprawiała wrażenie zdesperowanej. Samotna trzydziestoosmioletka w Nowym Jorku. Dość to przerażające. Doskonale jednak wiedziała, że miliony nieszczęśliwych gospodyń domowych ze Środkowego Zachodu bez zastanowienia zrezygnowałyby ze swojego smętnego życia, żeby się z nią zamienić.

– Niezależność! Hurra! – powiedziała sama do siebie. – Przestań się tak nad sobą użalać.

Włożyła szafirowy wisiołek na długim srebrnym łańcuszku. Ozdoba utworzyła literę V, przez co optycznie wydłużyła jej szyję i wyszczupliła twarz. Rozpięła górny guzik bluzki, aby zasugerować, że ma do pokazania coś, czym w istocie pochwalić się nie mogła.

Nie miała powodów, by się nad sobą użalać. Radziła sobie świetnie. Mieszkała w dużym mieście, umawiała się z facetami pokroju Jeffa i prowadziła życie, o którym w Fort Taynor w stanie Arkansas nie mogłaby nawet marzyć.

Wydawało jej się, że całkowicie pozbyła się już południowego akcentu, ale Jeff od razu go wychwycił i uznał za czarujący. W Loiter, lokalu odwiedzanym również przez kobiety młodsze od Idy, kilka potencjalnych konkurentek rzuciło jej zazdrosne spojrzenie, gdy pojawiła się z Jeffem. Ten bowiem mógł się z powodzeniem ubiegać o tytuł najprzystojniejszego gościa, tym bardziej że nie przyszedł w towarzystwie grupy poządlawie rozglądających się kumpli. Elegancko się prezentował w na pierwszy rzut oka nie najtańszym granatowym garniturze. Najwyraźniej był z tych, którzy noszą spinki przy mankietach. W Fort Taynor nikt ich nie nosił.

Właśnie mocowała się z zapięciem zegarka w stylu retro, który o mało co nie spadł jej przy tym na ziemię, gdy odezwał się domofon. Ida spojrzała na cyferblat z krzywą miną. Bez



okularów nie bardzo potrafiła odczytać godzinę.

Dochodziła siódma. Jeff przyszedł trochę przed czasem. Jeśli to on.

Podjęła ostatnią próbę dopięcia miniaturowego zamknięcia, a gdy jej się udało, uśmiechnęła się z zaskoczeniem. Może to dobry znak? Przez chwilę zastanawiała się nad włożeniem wysokich szpilek, po czym ostatecznie pomaszerowała w kierunku domofonu w samych tylko rajstopach. Jeśli to Jeff, zdąży włożyć buty, zanim on stanie przed jej drzwiami.

Jeszcze raz rzuciła okiem w stronę lustra stojącego za kanapą. Mrugnęła sama do siebie i wyszeptwała:

– Seksownie!

Zalotnie wysunęła język.

Idąc w stronę domofonu, rozglądała się po swoim malutkim mieszkaniu. Miała nadzieję, że jest dostatecznie uprzątnięte, dostatecznie czyste. *Oceny. Ciagle tylko oceny.* Nacisnąwszy guzik, przybrała swobodny, a przy tym seksowny ton:

– Kto tam?

– Jeff Davis.

Postanowiła się nie odzywać i po prostu go wpuścić. Nie chciała sprawiać wrażenia za bardzo zainteresowanej, za bardzo przystępnej. Zbyt chętniej. *Zachowaj spokój. Tak samo jak on.*

Usiłowała włożyć szpilki, te jednak z jakiegoś powodu wydawały jej się za małe. Oczywiście wyobraźnie widziała, jak Jeff stoi w windzie i zbliża się do jej piętra.

Za długi paznokieć u nogi boleśnie wbijał się w sąsiedni palec. *Cholera jasna! Znowu spuchły mi nogi. Powinnam była zażyć tę tabletkę na nadmiar wody.*

Rozległo się pukanie, więc Ida popędziła do drzwi. Mało brakowało, a skrzyłaby sobie kostkę, ponieważ lewego buta nie udało jej się do końca włożyć.

## Rozdział 5

Renz dotrzymał słowa. To zawsze był zły znak.

Znalazł dla nich biuro na Zachodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Wcześniej działał tu dziecięcy ośrodek interwencyjny, został jednak zamknięty z powodu cięć w miejskim budżecie. Część ceglanego budynku zajmował gabinet dentystyczny Tylko Plomba. Renz śmiał się z tej nazwy, gdy zadzwonił do Quinna, żeby podać mu adres. Quinn uznał, że to skandal, że policjanci mają pracować w jednym budynku ze stomatologami dowcipnisiemi. Uważał, że dentysta nie powinien żartować ze swojej pracy.

Wejścia do obu lokali znajdowały się naprzeciwko siebie, po dwóch stronach spękanego betonowego podestu, trzy stopnie powyżej poziomu chodnika. Quinn i Fedderman nie wiedzieli, jak wygląda gabinet dentystyczny, ale ich nowa „siedziba” składała się z dwóch połączonych pokoi i toalety. Z drewnianej podłogi wystawały końcówki obciętych kabli i różnych innych przewodów, które wyglądały jak jakieś dziwne technologiczne warzywa. Quinn domniemywał, że służą do podłączenia telefonów i komputerów. Fluorescencyjne lampy tworzyły w pomieszczeniach dość upiorną atmosferę.

– Biurka i resztę sprzętu dostaniecie jutro – powiedział Renz do Quinna.

Deklarację złożył już dwa dni temu. Tymczasem Quinn i Fedderman pracowali w mieszkaniu tego pierwszego, a czasami także w malutkim pokoju, który Fedderman wynajął sobie w pensjonacie przy jednej z ulic o numerze powyżej dziewięćdziesiąt.

Tego dnia siedzieli akurat w gabinecie Quinna, przeglądając akta morderstw rozłożone na podłodze w kolejności mniej więcej chronologicznej. Quinn spoczął na obrotowym krześle, które wyciągnął z biurka, i nachylał się nad całym tym bałaganem, opierając łokcie na kolanach. Spoglądał na to wszystko z góry niczym Bóg na swoje grzeszne stworzenia. Fedderman siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę. Na czubku głowy niemal całkowicie wyłysiał, po bokach zaś siwiejące włosy zawijały mu się w loczki za uszami. Spodnie miał pomięte, marynarkę rzucił niedbale na krzesło. Fedderman nie miał zwyczaju dbać o ubrania. Nie lubił ich. Był wysoki i wąski w ramionach. Nic jakoś za bardzo nie chciało dobrze leżeć na tej jego dziwnej szczupłej sylwetce z brzuszkiem i przydługimi rękami.

– Wiemy tyle – stwierdził Quinn – że obie ofiary to brunetki po trzydziestce, atrakcyjne, ale nie jakoś oszałamiająco piękne. Obie zostały utopione, zanim ich ciała rozczłonkowano. Nie ma żadnych śladów aktywności seksualnej. Ani w ciałach, ani nigdzie na miejscu zbrodni nie znaleziono nasienia.

– Taśma została zapewne zdjęta po śmierci – powiedział Fedderman. – Raczej nie ryzykowałby, że będą rozchlapywać wodę podczas topienia.

– Zużyta taśmę zabrał.

– Czyścioch – podsumował Fedderman.

– Obie ofiary doznały urazu głowy jeszcze przed śmiercią.

Fedderman skinął głową i trącił jedno ze zdjęć z kostnicy niewypastowanym czubkiem brązowego buta.

– Kolejność była zapewne taka sama. Nie ma żadnych śladów włamania do mieszkań, więc sprawca zostaje wpuszczony, wali je w głowę, a potem rozbiera i krępuje, zanim odzyskają przytomność. Później zanoszą do łazienki i wkładają do wanny. Sprawdza, czy korek jest dobrze zamocowany, i włącza wodę.

– Pewnie w tym momencie odzyskują przytomność – powiedział Quinn.

Fedderman się nad tym zastanowił.

– Tak, zimna woda. W tym momencie pewnie zdają sobie sprawę z własnej sytuacji, z tego całego dramatu. Chryste!

– Gdy woda osiąga odpowiedni poziom, zakręca ją i je topi – ciągnął Quinn.

– I całe szczęście, zważywszy na to, co się dzieje potem.

– Nie pozwala na to, żeby po prostu utopiły się na siedząco. Głowy mają za wysoko, a poza tym za bardzo by się rzucały, nawet pomimo całej tej taśmy. Tak czy owak, trochę wody by się rozchlapało, knebel mógłby się poluzować i narobiłyby hałasu.

– Czyli trzyma je pod wodą – oznajmił Fedderman.

– Potem, gdy już nie żyją, zdejmuje taśmę i zaczyna je ciąć za pomocą narzędzi, które ze sobą przyniósł.

– Nie używa noży z kuchni?

– Dotychczas nie.

– Czyli przynosi ze sobą narzędzia w jakimś pudle albo torbie.

– Tak. Może ktoś coś zauważył. To warto sprawdzić.

– Najpierw znosi sobie różne środki czystości – powiedział Fedderman. – Zanim zaczniesz ciąć. W kuchni nie ma krwi. Nie ma krwi w szafkach, w których to wszystko stało.

– Tak, chyba racja. Podłogę przykrywa zasłoną prysznicową, żeby nie chodzić po krwi i nie klęczeć w niej podczas... – Quinn przerwał wywód i spojrzał na cygaro wzrokiem godnym George'a Burnsa, nawet jakby z lekkim uśmiechem. Nagle sobie uświadomił, jak dużą przyjemność czerpie z tej wymiany przemyśleń z Feddermanem, z porządkowania faktów lub też hipotez, z przekładania pomysłów na rzeczywistość. – Nie, Feds, on się musi rozebrać. Musi pracować nago, nawet gdy już je utopi. Przecież nie może dopuścić do tego, żeby mu się ubranie zmoczyło. Ktoś mógłby wtedy zwrócić na niego uwagę, gdy będzie wychodzić.

Fedderman skinął głową.

– Zasłonka prysznicowa pozwala zapanować nad bałaganem, który robi się poza wanną. Powiedziałbym, że nacina swoje ofiary, a potem siedzi i czeka, aż się wykrwawiają do wanny na tyle, na ile to możliwe bez tętna. Później zmywa krew i zaczyna je rozczłonkować. Na rękach, ramionach, być może na tułowiu zostają mu co najwyżej ślady krwi, które zmywa bez trudu podczas oczyszczania części ciała swoich ofiar.

– Potem myje narzędzia.

– Ale najpierw układa pocięte fragmenty ciała w wannie. – Na twarzy Feddermana pojawił się wyraz zdegustowania, a może nawet lekki przestach. Ta jego mina prezentowała się równie nieciekawie, jak ubranie. – W co myśmymy się wpakowali, Quinn?

– W nic, czego byśmy wcześniej nie widzieli. – Ale czy na pewno? – Części ciała ułożone dokładnie w taki sam sposób – stwierdził Quinn, po czym dodał w celu podkreślenia: – W tej samej kolejności.

– Wszystko doprowadzone do stanu idealnej czystości – zauważył Fedderman. – Może on próbuje zmyć swoje grzechy?

Quinn rozsiadł się w fotelu.

– Na razie jeszcze za wcześnie na teorie o jego motywach. Nie powinniśmy niczego zakładać, może poza tym, że mamy do czynienia z chorym świrem, który lubi brunetki.

– Wielu mężczyzn lubi brunetki.

– Rozmawiałem z patologiem – powiedział Quinn. – Twierdzi, że do rozczłonkowania ciała użyto prawdopodobnie ostrych noży i być może jakiegoś tasaka lub topora. Tylko że niektóre części ciężko by było odłączyć samym tylko nożem czy tasakiem. Cięcia widoczne na dużych

kościach sugerują użycie piły. Drobne ząbki świadczą o tym, że najpewniej była to piła mechaniczna.

– Korzystanie z piły w wilgotnym środowisku wiąże się z pewnym ryzykiem, nawet jeśli używa się sprzętu z akumulatorem. Można sobie w ten sposób zafundować porażenie prądem.

– Tak czy owak, stawiałbym na piłę ręczną. One są cichsze. Teraz można kupić urządzenia na tyle mocne, że dadzą radę. Pewnie używa piły, gdy już spuści wodę z wanny, a także większość krwi i innych płynów z ciała.

– Jak w rzeźni. – Na twarzy Feddermana znowu pojawił się wyraz zdegustowania.

– Właśnie tak, Feds. On je zarzyna. – Quinn westchnął i przez chwilę wodził wzrokiem po zdjęciach, zeznaniach i notatkach rozłożonych na dywanie. – Nic nie wskazuje na to, aby ofiary się znały lub miały jakichkolwiek wspólnych znajomych czy przyjaciół.

– Tej kwestii można by się jeszcze raz przyjrzeć – stwierdził Fedderman. – Może chodziły do tego samego baru albo restauracji, może robiły zakupy w tym samym sklepie.

– Jedna mieszkała na East Side – zwrócił uwagę Quinn – a druga na West Side.

– Ostatecznie coś je jednak połączyło. Zabójca.

– Tak, obie...

Quinn nie dokończył, bo zadzwonił telefon. Odepchnął się stopami od podłogi, aby przesunąć krzesło bliżej biurka, po czym wyciągnął rękę i podniósł czarną słuchawkę.

– Tu Quinn – powiedział. Po chwili odezwał się znowu: – Aha. – Podjechał na krzesło jeszcze bliżej, żeby sięgnąć po długopis. Zapisał coś w notatniku, który leżał w rogu biurka. – To na pewno dobry adres?

Rozmówca najwyraźniej potwierdził informację.

– Zaraz wychodzimy – powiedział Quinn i odłożył słuchawkę.

Quinn zawsze rozmawiał przez telefon w ten sam sposób, spokojnie, niemal mechanicznie. Fedderman zbyt dobrze go znał, żeby próbować się domyślać, kto dzwonił i po co. Jak partner będzie gotowy, to mu powie.

– Popraw krawat, Feds – oznajmił Quinn, wstając z krzesła. – Dzwonił Renz. Mamy trzecią ofiarę. Kobieta nazywa się Ida Ingrahm, Zachodnia Osiemdziesiąta Druga sto dziewięćdziesiąt siedem, mieszkanie sześć B.

Fedderman zapisał nazwisko i adres w swoim notatniku.

– To niedaleko.

Wstał powoli, wygładził wymięte ubranie, obciągnął krawat i wbił się w pogniecioną marynarkę. Z jakiegoś powodu – czy z to z racji określonego sposobu pisania, czy niskiej ceny koszul – guzik przy prawym mankiecie zawsze mu się odpinał. Poprawiał właśnie workowatą marynarkę, żeby nie było widać kabury, gdy nagle coś go olśniło. Spojrzał na Quinna.

– Na pewno masz dobry adres?

– Kazałem Renzowi powtórzyć – powiedział. – To stary adres Pearl.

## Rozdział 6

Mieszkanie ofiary było małe i mieściło się w rogu budynku. Wyglądało znacznie lepiej niż wtedy, gdy zajmowała je Pearl. Przede wszystkim zostało całkowicie odmalowane. Pearl niby ciągle coś malowała, ale jakoś nigdy nie mogła skończyć. Po podłodze nie walały się gazety i czasopisma, a meble sprawiały wrażenie... co tu dużo mówić, ustawionych. Lecz w powietrzu unosiła się przykra woń. Quinn ją znał, ale nigdy nie czuł jej z taką intensywnością. Fedderman miał podobne doświadczenia.

– Śmierdzi jak u rzeźnika – powiedział. – Dużo świeżej krwi, świeże mięso.

– To jest rzeźnik – stwierdził Quinn.

– Może nawet prawdziwy, kto wie.

Quinn też już o tym pomyślał.

– Miałby wtedy odpowiednie umiejętności i dysponowałby fachowym sprzętem.

W mieszkaniu zastali policjanta w mundurze. Wyglądał przez okno. Nie odwrócił się, gdy weszli. Dopiero teraz spojrzał w ich stronę. Był to facet w średnim wieku z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami. Czapkę trzymał w dłoni na wysokości kroku. Quinn spojrzał na jego bladą twarz i stwierdził, że lada moment może zemdleć. Pokazali funkcjonariuszowi odznaki, które dostali od Renza, a wówczas ten wskazał im krótki korytarz. Quinn wiedział, że szło się tamtędy do łazienki i jedynej w mieszkaniu sypialni.

– Może sobie usiądziesz – zaproponował.

– Dziękuję, postoję – odparł policjant honornie.

Quinn skinął głową i ruszył w stronę korytarza. Po drodze włożyli z Feddermanem lateksowe rękawiczki. Quinn trochę się zdziwił, że zrobił to tak automatycznie i z taką łatwością, że ciągle jeszcze nie wyszedł z wprawy.

Na to, co zastali w łazience, nikt się nie mógł w żaden sposób przygotować. W środkowej części wanny znaleźli głowę Idy Ingraham ułożoną bokiem na tułowiu i kończynach. Wilgotne brązowe włosy zostały zaczesane do tyłu, aby było widać twarz. Oczy miała otwarte i choć były ciemne od krwi, która zakrzepła w naczynekach popękanych podczas topienia, nie wyglądały na tak martwe, jak można by się spodziewać. Dziewczyna sprawiała wrażenie, jak gdyby czekała, aż ktoś się pojawi w łazience. Może czekała na Quinna i Feddermana.

– Niezwykły widok, co? – usłyszeli za plecami.

Quinn się odwrócił i zobaczył Nifta z zakładu medycyny sądowej. Nie przepadał za nim. Nift był cherlawym facetem o grubych i ciemnych włosach, które zwisały kępkami na mocno wypukłym czole. Zachowywał się jak pan świata, bywał bezczelny i nie potrafił ustać w miejscu. Ubierał się bardzo starannie, przy czym do pracy stroił się chyba wyjątkowo. Dzisiaj miał na sobie czarny garnitur z trzema guzikami, białą koszulę i czarny jedwabny krawat. Quinn uznał, że wygląda jak Napoleon przebrany za przedsiębiorcę pogrzebowego.

– Ale smród! – stwierdził Fedderman.

– Tak pachnie w kostnicy, jak mamy dużo roboty – skomentował Nift. – Wiedziałem, że macie się wkrótce pojawić, więc niczego nie ruszałem. Tylko na paluszkach wszedłem do środka rzucić okiem na tę nieszczęśnicę. Uznałem, że nie żyje.

– Tak samo rozkawałkowana jak te poprzednie? – zapytał Fedderman.

– Trudno powiedzieć, czy gustowała w kawałach – stwierdził Nift.

– Uważaj, bo zaraz cię tam do niej wrzucę – ostrzegł go Quinn.

Nift popatrzył na niego krytycznie.

– Wierzę, że byłby pan do tego zdolny, panie kapitanie.

– Może powinieneś udzielić po prostu rzeczowej odpowiedzi? – odezwał się Fedderman.

– Na ile mogę stwierdzić bez przemieszczania poszczególnych fragmentów, wydaje się rozczłonkowana w ten sam sposób co dwie poprzednie ofiary. Pasuje też do typologii zabójcy.

– Widzę, że bawisz się w detektywa – zauważył Quinn.

Nift się uśmiechnął.

– To taka moja słabostka. Pewnie się naoglądałem za dużo kryminałów w telewizji. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć, dopóki nie zrobimy sekcji. – Wzruszył ramionami. – Pocięta nożem, posiekana, rozpiłowana.

– Najpierw utopiona – dodał Fedderman.

– Tak, to mogę stwierdzić z niemal stuprocentową pewnością. Tak samo jak dwie poprzednie. I tak samo jak w tamtych przypadkach nie spodziewam się znaleźć śladów aktywności seksualnej. – Uśmiechnął się. – Chcecie spojrzeć?

– Uwierzmy na słowo – odparł Quinn. – Czy włosy miała tak zaczesane, gdy przyszedłeś?

– Oczywiście. Tak zabójca chciał ją wam pokazać. A może po prostu zdobył się na gest życzliwości, gdy już odciął jej głowę.

Za ich plecami rozbłysło światło. Na miejsce przybył policyjny fotograf z cyfrowym aparatem wielkości zapalniczki. Poza nim w mieszkaniu pracowało jeszcze trzech techników, którzy przeszukiwali salon pod kątem odcisków palców, włosów, wiadomości pozostawionych przez ofiarę lub czegokolwiek innego, co mogłoby mieć znaczenie. Quinn przypuszczał, że nie specjalnie istotnego nie znajdą. Tropili bardzo starannego i czystego zabójcę. Porządek i skupienie stanowiły charakterystyczny element jego metody, prawdopodobnie też i profilu psychologicznego. Policyjny psycholog z pewnością będzie miał na ten temat coś do powiedzenia.

– Skończę wstępne oględziny – powiedział Nift – i zmykam.

Quinn i Fedderman odsunęli się na bok, żeby Nift mógł się wcisnąć z powrotem do niemal sterylnej czystej łazienki. Błyszczące chromowane kurki przy baterii, lśniące płytki... *Wszystko pięknie! Gdyby nie ta zawartość wanny...*

– Chodźmy do sypialni – zaproponował Quinn.

Fedderman podążył za nim, mówiąc:

– Poszukamy wskazówek tam, gdzie panuje akurat mniejszy tłok i gdzie światło jest lepsze.

Quinn cieszył się, że Fedderman odzyskuje swoje policyjne poczucie humoru, gdyż stanowiło ono jego mechanizm obronny przez szaleństwem. Pewnie tak samo było w przypadku Nifta, tyle że Fedderman unikał złości.

Fedderman doskonale wiedział, dlaczego Quinn chce oglądać sypialnię: zależało mu na tym, żeby lepiej zrozumieć Idę Ingrahm. Chciał się dowiedzieć, kim była, zanim została ofiarą numer trzy.

W sypialni panowały ład i porządek, łóżko było posłane. Jakby zbrodnia w ogóle nie miała wpływu na to pomieszczenie, z wyjątkiem może unoszącego się w powietrzu smrodu. Gdy Quinn i Pearl tu sypiali, łóżko stało pod drugą ścianą, ale Quinn starał się o tym nie myśleć.

Ida Ingrahm sprawiała wrażenie zupełnie typowej singielki, jakich w Nowym Jorku mieszkają tysiące, jeśli nie miliony. Na komodzie stało oprawione w ramkę zdjęcie rodziny: mężczyzna, kobieta i dwie nastolatki z uśmiechami na twarzach na tle jeziora i rosnących wokół drzew we wczesnojesiennej szacie. Kobiety uwiecznione na fotografii miały pewne cechy wspólne, Quinn doszedł więc do wniosku, że patrzy na mamę, tatę i siostrę oraz przyszłą ofiarę mordercy. W uśmiechniętych twarzach córek na próżno by szukać czegokolwiek, co

zwiastowałyby przedwczesną i gwałtowną śmierć jednej z nich.

W szafie Idy znalazł całe mnóstwo potencjalnie pasujących do siebie czarnych ubrań oraz półkę z butami. W nogach łóżka na wiklinowym stoliku stał mały telewizor. Półkę wypełniały głównie poradniki i książki o dietach, Quinn znalazł też kilka kryminałów. Na stoliku nocnym leżała powieść Stuarta Kaminsky'ego, a na niej złożone okulary. Pearl też czytała swego czasu kryminały Kaminsky'ego – serię o gliniarzu nazwiskiem Lieberman. Quinn zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zostawiła tu tej książki podczas przeprowadzki. Zdenerwował się nawet trochę na myśl, że to ten sam egzemplarz i że być może ofiara nawet tak samo jak Pearl zaginała rogi stron, by oznaczyć miejsce lektury. Podszedł do okularów i ostrożnie – aby przypadkiem niczego nie dotknąć i nie zatrzeć odcisków palców – przyjrzał się szkłom. Tylko do czytania, słabe. Trochę wyglądały mu na gotowe oprawki, jakie można kupić w aptece.

– Dużo butów. – Quinn usłyszał zza pleców głos Feddermana, który ciągle wpatrywał się w zawartość szafy.

– Kobiety często mają dużo butów – odparł, spoglądając na kolegę.

Gdy się odwrócił z powrotem, dojrzał coś, czego wcześniej nie zauważył, ponieważ ukrywało się za lampą: telefon komórkowy.

Może ma funkcję szybkiego wybierania? Może zawiera jakieś informacje i da się prześledzić rejestr połączeń wychodzących i przychodzących? A może ma nawet dyktafon, kalkulator albo aparat i galerię zdjęć, wśród których znajduje się fotografia mordercy? W dzisiejszych czasach wszystko było możliwe. Z pozoru wyglądał na zupełnie zwykły aparat, ale kto tam wie... Quinn nie nadążał za nowinkami technologicznymi.

Wyszedł z sypialni i przemierzył połowę długości korytarza, po czym wezwał jednego z techników. Na jego zawołanie odpowiedział błyskotliwy na oko młody chłopak w okularach w ciemnych oprawkach z muszką pod szyją. Quinn zawsze uważał, że mężczyźni noszący muszki to jakiś osobny gatunek, który potrafią zrozumieć tylko inni jego przedstawiciele. Zapewne mają jakiś tajny sposób wymiany uścisku dłoni. Podobnie jak Quinn i Fedderman technik też nosił białe rękawiczki. W przeciwieństwie jednak do nich był przed trzydziestką i prawdopodobnie znał się na technologii komórkowej.

– Proszę z tym trochę poczarować i zobaczyć, jakie informacje da się z tego uzyskać – powiedział Quinn, wskazując na telefon.

Technik delikatnie przesunął aparat palcem w rękawicze, po czym sprawdził go pod kątem odcisków palców. Kilka sekund później spojrział na Quinna z uśmiechem.

– Coś powinien pan wiedzieć o tym telefonie, detektywie.

Quinn lubił, gdy technicy zwracali się do niego „detektywie”. Rzadko się to zdarzało. Najwyraźniej ten był jeszcze faktycznie młody.

– Coś w nim jest nietypowego?

– No.

*Cóż się stało z tym „detektywie”?*

Technik ostrożnie ujął telefon między kciuk a środkowy palec, po czym lekko go ścisnął. Aparat zaczął drżeć. Quinn już miał polecić technikowi, by ten odebrał rozmowę, ale drżenie ustało.

– To nie jest telefon, detektywie. To tylko go przypomina. To wibrator.

– Czyli taka funkcja, która informuje, że ktoś dzwoni, kiedy się ściszyło telefon – powiedział Fedderman.

– Nie, to nie jest telefon. To naprawdę jest wibrator.

– No proszę! – powiedział Fedderman, do którego treść informacji w końcu dotarła.

Wyraźnie go to zainteresowało.

Chłopak wcisnął inny guzik i drzenie stało się głośniejsze. Zarys małego telefonu komórkowego nagle się rozmazał.

– Wow! – skomentował to Fedderman.

Quinn nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Takiego wibratora raczej się nie używa do masowania obolałych pleców – stwierdził technik. Ciągłe się uśmiechał, ale teraz w jego oczach pojawiła się zaduma. – Pewnie chodzi o to, żeby kobieta mogła go z sobą zabrać i na przykład używać podczas podróży. Żeby nie zwracał uwagi i żeby się nie krępować, gdy ochrona lotniska albo celnicy zaczną przetrząsać bagaż.

– Niesamowity pomysł – stwierdził Fedderman.

Technik wyłączył ten niby-telefon i odłożył go dokładnie tam, skąd go wziął.

– Przypuszczam, że wiem, czyje odciski palców na tym znajdziemy.

– Ona już nie będzie się wstydić – powiedział Quinn.

– Co wy robicie w mojej sypialni? – zapytał wyczekująco kobiecy głos.

Trzej mężczyźni odwrócili się zdumieni.

Pearl.

– A kto pilnuje banku? – zapytał Fedderman, gdy już przedstawili jej sprawę i rozejrzała się po mieszkaniu.

Stali w cieniu przed budynkiem na Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej, w pobliżu frontowych drzwi.

– Ktoś inny – powiedziała Pearl. – Wzięłam urlop.

Quinn spojrział na nią badawczo. Pearl jak to ona: krzepka, dorodna, piękna. Wydatne usta pomalowała tą samą ciemnoczerwoną szminką co zawsze, więc wyraźnie odcinały się od bladej cery. Zasadniczo wyglądały tak, jakby namalował je jakiś maniak artysta w przyływie inspiracji. Duże ciemne oczy, idealnie białe zęby i czarne włosy tworzyły tak niesamowitą całość, że Quinn często widział w niej podobieństwo do postaci z kreskówek. Pearl jednak była zupełnie prawdziwa i Quinn doskonale to wiedział.

– Renz do ciebie zadzwonił? – zapytał.

– Jeszcze zanim zadzwonił do ciebie.

– Wydawało mi się, że ta sprawa cię nie interesuje.

– Ten chory dupek zabił kogoś w moim starym mieszkaniu. Przecież to ja mogłam być na miejscu tej kobiety. Sprawa robi się dla mnie osobista.

– To tylko zbieg okoliczności – stwierdził Fedderman.

– Czy aby na pewno? – powątpiewała Pearl.

Powiew rzeńskiego letniego wiatru niósł chodnikiem wymiętą białą torebkę po jedzeniu na wynos. Quinn nie zamierzał schodzić mu z drogi i tylko uniósł nogę, żeby przepuścić śmieć.

– Potrzebujemy cię, Pearl – powiedział Fedderman.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki, Feds.

– Czyli jednak zdecydowałaś się nas wesprzeć? – zapytał Quinn.

– Tak, inteligencją.

Kilka kolejnych godzin spędzili na rozmowach z sąsiadami Idy. Niektórzy pamiętali Pearl, nikt jednak nie widział ani nie słyszał niczego nadzwyczajnego. Od tych, którzy twierdzili, że znali Idę Ingrahm, zespół dowiedział się, że była raczej spokojna i pracowała jako artystka czy



graficzka gdzieś w śródmieściu. Jeździła do pracy metrem.

Wszystkie te wysiłki doprowadziły ich dokładnie w to samo miejsce, w którym zaczęli kilka godzin wcześniej – czyli na chodnik tuż przed budynkiem. Szczątki Idy Ingraham zostały już dawno usunięte, policyjni technicy też już skończyli pracę. Drzwi zostały zaklejone żółtą taśmą, a w holu pozostał umundurowany funkcjonariusz. Za kilka godzin miał się pojawić jego zmiennik, któremu przypadnie nocna warta. Naprawdę zdarza się, że przestępcy wracają na miejsce zbrodni. Zwłaszcza jeśli zapomnieli usunąć coś, co mogłoby ich obciążać.

Quinn odpakował kubańskie cygaro i je zapalił. Zapach rzeźni jakoś ciągle mu towarzyszył, tyle że przeistoczył się w smak. Gryząca woń palonego tytoniu trochę pomagała. Kilku przechodniów rzuciło mu gniewne spojrzenie na widok tych kłębow dymu, które wypuszczał z ust. *Aresztujcie mnie!* Ale ani Pearl, ani Fedderman nie narzekali. Też byli w mieszkaniu ofiary i też mieli wrażenie, że cały budynek śmierdział jak rzeźnia, chociaż sąsiedzi Idy jakoś nie poczynili podobnej obserwacji. Może zapach śmierci nasilał się stopniowo i zdążyli się do niego przyzwyczaić? A może była to kwestia nastawienia psychicznego. Nie byli w mieszkaniu Idy, żeby się z nią ostatecznie pożegnać.

Naga Ida – trójwymiarowy obraz Picassa. Leżąca w suchej wannie w kawałkach jak rozłożona na części lalka układanka. Biała jak kreda i upiornie czysta. Czysta Ida.

*Czy chodziło o to, żeby zmyć z niej grzechy?*

Quinn wiedział, że to nie ma większego sensu, mimo wszystko po cichu żywił nadzieję, że o to właśnie chodziło. Gdy myślał o tym – o niej, ale również o sobie i całej ludzkiej rasie – ogarniał go smutek nie do zniesienia. *Co my sobie nawzajem potrafimy zrobić...*

– Przyjechałaś taksówką? – zapytał Pearl.

Przytaknęła skinieniem głowy. Rozchyliła też usta, żeby wciągnąć odrobinę dymu wydychanego przez Quinna.

– Nasz nieoznakowany radiowóz stoi po drugiej stronie ulicy – powiedział.

– Wiem – odparła Pearl. – To jedyny samochód, do którego pasowałaby fedora.

– Skoro teraz z nami pracujesz, to może pojedziemy razem do biura, żebyśmy mogli streścić ci całą sprawę?

– Mamy jakieś biuro?

– Powiedzmy – rzucił Fedderman. – Mieści się niedaleko stąd.

– A jest tam ekspres do kawy?

– Nie.

– No to co to za biuro?

– Jedźmy już – powiedział Quinn, przechodząc przez ulicę.

– Brum, brum! – zakrzyknęła za nim Pearl.

Już sobie ze mnie pokpiwa, pomyślał Quinn. Chowa się za przemądrzałymi uwagami, żeby nikt nie zdołał dostrzec jej słabych punktów. *Ale kto tak nie robi? Przynajmniej od czasu do czasu.* Quinn stwierdził, że nie będzie łatwo. Dlaczego w takim razie uśmiechał się za każdym razem, kiedy spoglądał na Pearl?

## Rozdział 7

Na biuro składały się: trzy szare metalowe biurka (zupełnie jak gdyby Renz przewidywał, że Pearl jednak do nich dołączy), cztery krzesła, szafka na dokumenty oraz drewniany stół, który zajmowały lampa, komputer i drukarka. Drukarka była też jednocześnie kserokopiarką, faksem, skanerem i nie wiadomo czym jeszcze. Quinn przypuszczał, że nigdy jej do końca nie rozgryzie. Stół znajdował się bezpośrednio nad jedną z fontann-przewodów tryskających z podłogi. Wszystkie sprzęty podłączono do niej w tajemniczy sposób za pomocą kolejnego zwoju kabli wystających z komputera i drukarki.

– To działa? – zapytała Pearl, podchodząc do komputera, starej, gigantycznej maszyny Hewlett-Packard.

Quinn pociągnął za sznur, który służył do rozsuwania żaluzji, i wpuścił do środka naturalne światło, aby trochę przełamać barwę fluorescencyjnych żarówek.

– Tak, a jakiś spec od komputerów z NYPD ma nam zainstalować takich więcej. Zaktualizuje też system. Mamy dostęp do materiałów NYPD i różnych baz danych. Kody i hasła znajdują się na kartce, która leży pod lampą.

Szeroki uśmiech Pearl był absolutnie najbardziej atrakcyjnym elementem wystroju tego ponurego wnętrza.

– Wszyscy zawsze trzymają hasła pod lampą. To pierwsze miejsce, w którym szukają ich włamywacze i złodzieje tożsamości.

– Nikt się tu nie włamie – stwierdził Fedderman. – Jeśli zaś chodzi o złodziei tożsamości, to swoją chętnie oddam.

Quinn usiadł na krześle za biurkiem i zakołysał się lekko w przód i w tył. Zaskrzybiało. Za dwoma pozostałymi biurkami stały identyczne meble: tanie, czarne, winylowe, obracane fotele na kółkach. Czwarte krzesło było z drewna i nie miało odchylanego oparcia. Mieli na nim zasiadać potencjalni podejrzani.

Pearl i Fedderman przysunęli sobie swoje krzesła i też usiedli. Biurko Quinna zostało strategicznie ustawione bezpośrednio pod dwiema fluorescencyjnymi lampami, dzięki czemu było dobrze oświetlone, choć w upiornej barwie. Quinn otworzył jedną ze zwichrowanych stalowych szuflad i podał Pearl akta morderstwa Janice Queen i Lois Ullman.

– Możesz je przejrzeć teraz, jeśli chcesz – powiedział. – A potem zabierz je do domu, żeby je dokładnie przeanalizować.

Pearl położyła sobie teczki na kolanach i otworzyła tę z wierzchu. Quinn bacznie obserwował, jak przeglądała wszystkie zawarte w niej dokumenty i zdjęcia. Od strony gabinetu dentystrycznego dobiegały dźwięki *Upiora w operze. Ktoś wypełnia ubytki przy takiej muzyce?* Przez długi czas przestrzeń wypełniały tylko te dźwięki, uzupełniane dodatkowo przez szum i świst ruchu ulicznego oraz szelest kartek przekładanych przez Pearl. Potem Fedderman powiedział:

– *Noc muzykę grał.*

– Ehe – potwierdziła Pearl, nie podnosząc głowy.

Oprócz kulkowego długopisu i szklanej popielniczki z napisem „Biltmore Hotel” na biurku Quinna znajdował się jeszcze telefon. Czarny aparat złożony z bazy i słuchawki nie miał co prawda tarczy, ale do najnowszych też nie należał. Teraz dzwonił. Quinn podniósł słuchawkę i przycisnął do ucha. Dzwonił Nift – żeby przedstawić bardziej szczegółowe ustalenia z sekcji

zwłok.

– Śmierć w wyniku utonięcia – powiedział. – Rozczłonkowana prawdopodobnie za pomocą tych samych narzędzi co poprzednie ofiary. Wygląda na to, że do cięcia większych kości i mocniejszych więzadeł użyta została piła elektryczna. Ostrze gęsto ząbkowane, być może była to wyrzynarka, a być może piła tarczowa. Rodzina pewnie się ucieszy na wieść, że dokonano się to po śmierci.

– Ręczna piła?

– Mogła być ręczna. Właściwie to pewnie musiała być ręczna, żeby nie narobić tyle hałasu. Teraz te urządzenia są naprawdę mocne.

– Też tak właśnie przypuszczamy – powiedział Quinn.

– Żadnych śladów jakiegokolwiek aktywności seksualnej zarówno w okolicy narządów płciowych, jak i gdziekolwiek indziej. Resztki kleju na kostkach i ramionach, wokół ust. Ofiara była zapewne tak skrupowana, że mogła poruszać tylko palcami u rąk i nóg. Podsumowując, Ida Ingrahm zginęła tak samo jak dwie poprzednie ofiary. Też była brunetką, jak i one. Jeśli dotychczas mieliście jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy macie do czynienia z seryjnym mordercą, to właśnie się rozwiały. Piękna, choć rozczłonkowana Ida to ofiara numer trzy.

– Twoim zdaniem mógł to zrobić lekarz albo rzeźnik? Sądząc po tym, jak pracował i jak po sobie posprzątał?

– To mógł być ktokolwiek – ocenił Nift. – Wystarczy do tego zupełnie podstawowa wiedza zdobyta choćby na zwierzętach. Równie dobrze może to być drobiazgowy dozorca.

Quinn milczał przez kilka sekund.

– A skoro już rozmawiamy, to mogę wam się jeszcze jakoś przydać? – zapytał Nift.

– Przecież to ty do nas zadzwoniłeś – stwierdził Quinn. – Większość patologów czeka, aż to detektywi się z nimi skontaktują.

– Ten zabójca mnie zainteresował – odparł Nift. – Znasz mnie, lubię się bawić w policjanta. Poza tym uznałem, że zadzwonię i dam ci znać, że węszy przy tej historii dziennikarka z „City Beat”. Nazywa się Cindy Sellers. Determinacji jej nie brakuje, a seryjny morderca to chwytliwy temat. Nie ma co, rozlew krwi napędza rynek.

– Nigdy nie słyszałem o „City Beat”.

– To stosunkowo nowy tytuł, jeszcze nie ma dużego nakładu. Ale wiesz, jak to jest: jeden wilk zwietrzy łup i cała sfora rusza na polowanie.

Quinn doskonale to rozumiał. Podziękował Niftowi i odłożył słuchawkę, po czym przekazał uzyskane informacje Feddermanowi i Pearl.

– Wszystko było do przewidzenia – powiedziała Pearl. Nachyliła się i odłożyła akta na biurko, a następnie odsunęła się trochę na krzesło, żeby dobrze widzieć zarówno Quinna, jak i Feddermana. – Mimo wszystko czegoś się dowiedzieliśmy.

Quinn wyczekiwał.

– Błagam cię, Pearl, tylko bez tych teatralnych pauz.

– To nie jest żadne teatralne zagranie – wyjaśniła. – Po prostu muszę chwilę pomyśleć, żeby stwierdzić, czy to ma sens.

– Pozwól, że pomożemy ci to rozstrzygnąć – powiedział Fedderman.

Pearl spojrzała na Quinna.

– Wydaje mi się, że zabójca wybrał sobie ciebie na przeciwnika.

– To mogłoby mieć sens – ocenił Quinn – gdyby nie to, że to Renz dokonał wyboru.

Pearl utkwiała w nim ciemne oczy i nie zamierzała spuszczać wzroku.

– Ostatnia z ofiar, Ida, została zabita w moim mieszkaniu. Czy ty naprawdę uważasz, że to po prostu szalony zbieg okoliczności?

Quinn musiał udzielić jej na to pytanie szczerzej odpowiedzi.

– Nie, ale to niekoniecznie musi mieć związek ze mną.

– Ze mną też – powiedziała Pearl. – Ale zwróć uwagę na pierwsze litery nazwisk kolejnych ofiar: Janice Queen, Lois Ullman, Ida Ingrahm.

– Q, U, I – wyrecytował Fedderman, spoglądając na Quinna. – Prawie daje...

– Zgadza się – powiedział Quinn, wstając zza biurka.

Ruszył przed siebie, ale potknął się o jeden z kablowych grzybów wyrastających z podłogi. Mało brakowało, a by się przewrócił.

– Nazwisko kolejnej ofiary będzie się zaczynać na N – oznajmiła Pearl.

– Ona ma rację – stwierdził Fedderman.

Quinn nie potrzebował tej informacji. Pearl co prawda czasem się myliła, ale rzadko. Tym razem miała prawie na pewno rację. Zabójca wybierał ofiary w taki sposób, aby pierwsze litery ich nazwisk układały się w nazwisko Quinna.

– Może powinniśmy poinformować media? – zastanawiał się Fedderman. – Rezygnując z tego, bierzemy na siebie wielką odpowiedzialność.

– Coś w tym jest – stwierdziła Pearl. – Kobiety z nazwiskiem na N mają prawo o tym wiedzieć.

Quinn ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Do kogo dzwonisz? – zapytał Fedderman.

– Do Renza, a potem do Nifta. On zna dziennikarkę, która już się tym zajmuje. Kobieta nazywa się Cindy Sellers. Pracuje dla „City Beat”.

– Nigdy nie słyszałem ani o niej, ani o tej gazecie – powiedział Fedderman.

– Usłyszysz, jak opublikują ten materiał – stwierdził Quinn.

Gdy wybierał palcem wskazującym numer Renza, Pearl wstała z krzesła, położyła ręce na biodrach i zaczęła się rozglądać wokół siebie.

– Musimy sobie sprawić ekspres do kawy.

Następnego ranka Pearl zjawiała się w biurze nieco przed czasem. Przyniosła torbę, w której znajdowały się ekskluzywna mielona kolumbijska kawa, paczka filtrów i nowiutki ekspres Mr. Coffee, ciągle jeszcze w oryginalnym kartonie. W drugiej ręce trzymała akta morderstwa, które poprzedniego wieczora zabrała do domu, żeby się bliżej zapoznać z ich treścią. Ekspres postawiła na stole komputerowym, kawę i filtry położyła obok, a akta – na biurku Quinna. Na wierzchu znajdowała się teczka Idy Ingrahm.

– Szkoda, że mi wczoraj nie powiedzieliście o tym wibratorze w kształcie telefonu – stwierdziła.

Quinn i Fedderman spojrzeli po sobie, po czym ten drugi gwałtownie osunął się na krzesło przed jej biurkiem:

– Och, Pearl, Pearl.

– Ja takiego nie mam – powiedziała, nawet się nie rumieniąc – ale tak się składa, że wiem, gdzie można coś takiego kupić. W takim małym sklepie w Village. Nazywa się Intimate Items.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy, Pearl? – zapytał Fedderman.

– Czasem się tam zaopatruję, ty dupku. To wcale nie jest takie nieprzyzwoite miejsce, jak wam się wydaje. Oferuje artykuły erotyczne, głównie dla kobiet.

– Aha! – skomentował to Fedderman. – Czyli żadnych pejców i łańcuchów?

– Jakież by się znalazły, ale głównie mają tam takie rzeczy jak telefony Dial In.

– Dial In? – dociekał Quinn.

– Tak się nazywa marka, chociaż to nie są prawdziwe telefony, a klawiatura to atrapa. Poza tym sklepem nigdzie indziej ich nie widziałam. Możemy sprawdzić, może mają jakiś ślad po zakupie dokonanym przez Idę. Może rozpozna ją na zdjęciu.

– W czym miałyby to nam pomóc? – zapytał Fedderman.

– Może nie była sama, kiedy kupowała ten telefon.

Quinn próbował powstrzymać uśmiech. Fedderman pozostawał zawsze o krok z tyłu za Pearl. Ot, stare zwyczaje. Znowu stawali się zespołem.

– To podrzuć Feds i mnie do mieszkania Idy Ingrahm – powiedział Quinn. – Porozmawiamy z kilkoma sąsiadami, może komuś coś się przypomni. A ty możesz jechać do... Jak to się nazywa?

– Intimate Items – przypomniał mu Fedderman.

– Właśnie! Porozmawiaj ze sprzedawcą czy kto to tam pracuje. – Podał jej zdjęcie Idy Ingrahm wykonane w kostnicy. – Dostałem to rano faksem od Nifta.

– Niezły portrecik – stwierdził Fedderman.

Pearl spojrzała na niego zniesmaczona.

– Chryste, Feds.

Rzuciła okiem na zdjęcie, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę. Sięgnęła po akta, które wcześniej położyła na biurku.

– Wezmę też zdjęcia innych ofiar, tak na wszelki wypadek.

– Dziś rano nie będzie kawy? – zapytał Fedderman, spoglądając na pakunki rozstawione przez Pearl na stole komputerowym.

– Nie ma czasu – odparła Pearl. – Jutro będziecie się mogli wykazać.

Quinn wstał zza biurka.

– Ja poprowadzę – powiedziała Pearl – skoro potem mam jechać dalej do Village.

– Siedzenie jest odsunięte na maksa – stwierdził Quinn – więc może ja pojedę do mieszkania.

– *Żebyśmy tam dotarli w jednym kawalku.* Dobrze wiedzieli, jak jeździ Pearl – zupełnie jakby uczyła się prowadzić z filmu *Francuski łącznik*.

Fedderman rzucił Quinnowi porozumiewawcze spojrzenie i lekko się uśmiechnął. Żaden z nich jednak nic nie powiedział. Stare zwyczaje.

1 Utwór z przedstawienia *Upiór w operze*. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

## Rozdział 8

Po drodze do mieszkania Idy Ingrahm Fedderman próbował przekonać Quinna, by ten pozwolił mu razem z Pearl zbadać sprawę telefonu komórkowego. Ale Quinn wiedział, że Fedderman chciał to zrobić przede wszystkim dla własnej rozrywki, więc się nie zgodził. Pearl pojechała więc do Intimate Items sama. Mogła się skupić na wibratorach i nie przejmować Feddermanem, co poczytywała za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Sklep znajdował się przecnicę od Broadwayu. Wbrew nazwie nie był to typowy sex shop. Oferował zróżnicowany asortyment, ale jego sprzedaż koncentrowała się przede wszystkim na erotycznej bieliźnie, olejkach do masażu, kadzidełkach o zapachu rozbudzającym zmysły, płytach z romantyczną muzyką i innych artykułach przyczyniających się do budowania sprzyjającej atmosfery. Pearl pomyślała, że manekin stojący w witrynie został ubrany bardziej na romantyczny wieczór w Hiltonie niż na wyjście do klubu sado-maso. Strój był z satyny, nie ze skóry, a zapięcia z koronek, a nie z rzepów. Gdyby koszula nocna była nieco mniej przezroczysta, a pod spodem znajdowały się raczej majtki w stylu bikini niż stringi, manekin mógłby spokojnie stanąć na wystawie jednego z domów towarowych w centrum.

Drzwi otwierał i zamykał cichy dzwoneczek gdzieś w głębi sklepu, a za sprawą zapachowej saszetki we wnętrzu unosiła się woń cynamonu. Wystrój przywodził na myśl ekskluzywny butik. Z jednej strony umieszczono wieszaki z ubraniami, z drugiej wystawiano bardziej kontrowersyjne artykuły. Tam też znajdowała się lada. Na samym końcu Pearl dojrzała przebieralnię i niskie podium wyłożone dywanem z wysokim potrójnym lustrem wokół. Wibratory leżały pod ladą, poza zasięgiem wzroku. Klientelę sklepu stanowiły niemal wyłącznie kobiety.

W tym momencie poza Pearl żadnej klientki w środku nie było. Zza lady uśmiechnęła się do niej młoda, urocza, starannie ubrana kobieta w białej bluzce z wysokim kołnierzykiem i z nieco zapuchniętą twarzą jakby od nadmiaru snu.

– W czym mogę pomóc?

– Interesują mnie wibratory w kształcie telefonów komórkowych – powiedziała Pearl.

Kobieta, zapewne dwudziestolatka, sprawiała wrażenie lekko zaskoczonej. Po chwili jednak podpuchniętą twarz rozjaśnił szerszy uśmiech. Jej oczy nabrały zupełnie nowego, jakby azjatyckiego wyglądu.

– Marki Dial In?

– Właśnie.

– Bardzo mi przykro, ale się pani spóźniła.

– Nie mam jeszcze nawet czterdziestu lat – powiedziała Pearl.

Ekspedientka opuściła głowę. Sprawiała wrażenie speszzonej.

– Nie o to mi chodziło, proszę pani.

– Wiem – odparła Pearl, po czym sięgnęła do torebki i pokazała dziewczynie odznakę. –

W tej pracy człowiek wyrabia sobie dziwne poczucie humoru.

– W mojej w sumie też – odparła ekspedientka, spoglądając przez chwilę na odznakę, zanim Pearl ponownie ją schowała.

– Wszystko jasne. To jak to jest z tymi wibratorami?

– Nie mamy ich w sprzedaży już od kilku miesięcy. Schodziły zupełnie nieźle, ale mieliśmy kilka skarg od klientek. Niektórym się wydawało, że kupują przy okazji działający telefon.

– Ohyda! – stwierdziła Pearl.

– Sądziłam, że taki wibrator w kształcie telefonu to świetny pomysł. Można zabrać go w podróż bez obaw, że jakiś celnik albo pracownik ochrony znajdzie w bagażu przedmiot, który ewidentnie nie służy do masowania szyjnego karku.

– Faktycznie wydawałoby się, że coś takiego dobrze tu pasuje – zgodziła się Pearl.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– W końcu to dyskretny intymny przedmiot – wyjaśniła Pearl.

Sprzedawczyni chyba się ucieszyła, że Pearl nie funduje jej po raz kolejny jakiegoś policyjnego żartu.

– Zwróciła je pani producentowi? – zapytała Pearl.

– Nie do końca. Sprzedaliśmy je po cenie hurtowej do Nuts and Bolts. To taki lokal na Wschodniej Pięćdziesiątej Drugiej. Porządny, choć większość klientów przychodzi tam na podryw. Bywa tam dużo samotnych kobiet, które robią karierę i dużo w związku z tym podróżują. Szef zna właściciela i dlatego wibratory trafiły akurat tam.

– Ile ich było?

– Dwie skrzynki i trochę, pewnie z pięćdziesiąt sztuk. Sama jeden kupiłam, zanim poszły. Moim zdaniem to świetny pomysł. One naprawdę wyglądają całkiem jak telefon komórkowy.

Tak na wszelki wypadek Pearl pokazała ekspedientce zdjęcia dwóch pierwszych ofiar, a potem okropne zdjęcie Idy Ingrahm wykonane w kostnicy. Zapytała, czy rozpoznaje którąś z nich.

– Chyba nie – powiedziała dziewczyna, głośno przetykając ślinę. – Choć te dwie pierwsze wyglądają jakoś tak znajomo. A ta ostatnia, czy ona...

– Nie żyje – potwierdziła Pearl. – Wszystkie nie żyją.

Na nalanej twarzy sprzedawczyni pojawił się wyraz niepokoju. Czyżby miała się za chwilę rozplakać?

– Boże! Jakże to okropne!

– Wszystkie zginęły z rąk tego samego zbrojcy.

– To pewnie dlatego te dwie pierwsze wydają mi się znajome. Pewnie widziałam je w gazecie albo w wiadomościach telewizyjnych.

– Jest pani pewna, że nigdy ich tu nie było? Może kupiły te atrapy telefonów?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości. Jestem tu zawsze w godzinach otwarcia sklepu i to ja sprzedałam wszystkie telefony.

Pearl schowała zdjęcia z powrotem do kieszeni w zakiecie. Podziękowała dziewczynie za poświęcony czas.

– Ale może coś z naszego asortymentu panią zainteresuje? – zapytała ekspedientka w nagłym przypływie profesjonalizmu, jakby chciała odpędzić od siebie obraz Idy Ingrahm i wrócić do swojego normalnego świata. – Mamy przeróżne sprzęty, które pomagają ułożyć sobie relacje z mężczyznami.

– Nie, dziękuję – odparła Pearl. – Ja już noszę broń.

Wychodząc ze sklepu, raz jeszcze rzuciła okiem na manekina w prześwitującej koszuli nocnej i skąpych majteczkach. Pomyślała, że mogłaby w tym dobrze wyglądać. Chyba.

Lokal Nuts and Bolts mieścił się na parterze szarego kamiennego biurowca. Obok znajdował się sklep z artykułami biurowymi oraz agencja ubezpieczeń morskich. Teraz był zamknięty, ale serwowano tam jedzenie i alkohol. Przez przyciemnione szyby Pearl dostrzegła kilka osób krzątających się w półmroku i przygotowujących lokal do podawania lunchu. Zastukała w szybę

kwadratową cyrkonią osadzoną w pierścionku, który nosiła na prawej dłoni. Narobiła w ten sposób dużo hałasu. Dostała ten pierścionek od faceta, z którym się ostatnio spotykała. Twierdził, że to diament. Facet jednak okazał się tyle wart, ile ten kamień.

Przez szybę spojrzął na nią z zaciekawieniem pyzaty, łysy chłopak. Intensywnie wzruszał ramionami i mocno kręcił głową, chcąc dać jej w ten sposób znać, że restauracja jeszcze nie przyjmuje klientów. Uniósł najpierw wszystkie swoje serdelkowate palce, a potem jeszcze dwa, informując w ten sposób, że powinna zjawić się w południe. Gdy się odwrócił, Pearl ponownie zastukała w szybę, po czym przyłożyła do niej odznakę. Spojrzął na emblemat NYPD i zniknął gdzieś w mroku. Kilka sekund później drzwi otworzył facet z brzuszkiem ubrany w białą koszulę i dżinsy, które z wierzchu przysłaniał poplamiony biały fartuch. Miał około czterdziestki. Zdażył już trochę wyłysieć i dorobić się drugiego podbródka. Trochę przypominał chłopaka, którego Pearl widziała wcześniej, przyszło jej więc do głowy, że może tamten to był syn, a teraz spotyka ojca. Zmęczonymi niebieskimi oczami wodził z góry na dół, taksując całe metr pięćdziesiąt pięć jej sylwetki – zupełnie bez reakcji. *Wielkie dzięki!*

– Coś się stało? – zapytał.

– Liczę, że może pan mi to powie – powiedziała z uśmiechem, starając się pozyskać sympatię tego faceta. Po co miała sobie utrudniać pracę?

Odpowiedział jej uśmiechem, za którego sprawą od razu ubyło mu lat i tuszy. Już nie trzeba było patrzeć na tamtego chłopaka, żeby przekonać się, jak wyglądał w młodości.

– Nie wydaje mi się, żebym złamał prawo – oznajmił, wycierając ręce w fartuch i odsuwając się nieco, żeby wpuścić ją do środka.

– Może chodzi o tę wczorajszą zupę... – odezwał się chłopak.

Stał, opierając się o miotłę, ze trzy metry dalej z szerokim uśmiechem na twarzy. Miał na sobie czarną bluzę Metsów z przyciętymi rękawami i workowate, poplamione dresowe spodnie. Wyglądał, jakby mu właśnie stanął. Pearl stwierdziła, że jednocześnie schlebia jej to i ją bawi.

– Wracaj do pracy, Ernie – powiedział znudzonym głosem facet z brzuszkiem.

Ernie wpatrywał się w Pearl z rozmarzonym uśmiechem jeszcze przez całe pięć sekund, po czym odwrócił się i zajął się ponownie zamiataniem. Doszła do wniosku, że chyba darzy go sympatią.

– Zastałam właściciela? – zapytała.

– To ja – powiedział facet z brzuszkiem. – Nazywam się Lou Sinclair.

– Świetnie. Chciałabym z panem porozmawiać o wibratorach, które wyglądają jak telefony komórkowe.

Ernie dalej zamiatął, ale zbliżył się do nich, żeby posłuchać rozmowy.

– Kupiłem je od znajomego – powiedział Sinclair. – To uczciwy facet. Jeśli są kradzione, żaden z nas nic o tym nie wiedział.

– Ja też nic o tym nie wiem – odparła Pearl.

– Często przychodzą tu kobiety, które dużo podróżują w interesach. Poleciałem Victorii, to barmanka, która pracuje wieczorami, żeby wspominała im o tych telefonach. Jeśli wykazują zainteresowanie, prezentuje im towar i czasami coś sprzedaje.

– Dużo ich poszło?

– Sporo. Spróbuję je jeszcze dostać. To coś faktycznie wygląda jak telefon. Nie uwierzy pani, ale jednej kobiecie się wydawało, że da się z tego zadzwonić, i...

– Właśnie, że uwierzę – odparła Pearl.

– Ernie, zajmij się swoimi sprawami – nakazał Sinclair.

Chłopak zaczął intensywniej zamiatać i trochę się od nich odsunął.

– Tylko Victoria pracuje wieczorami za barem?



- Ona i ja – odparł Sinclair. – Zaczyna o ósmej, a ja jestem tu od dziewiętej do zamknięcia.
- Jak się mogę z nią skontaktować?
- Bardzo prosto, jest w kuchni.
- W dzień też pracuje?
- W dzień i w nocy? Skądże! Tylko właściciel pracuje w takich godzinach. Przyszła po

wypłatę.

- Czyli mam dziś szczęście.

– A ona?

– Dlaczego by nie. Nie przyszłam robić jej kłopotów. Chciałabym wam tylko pokazać kilka zdjęć i zapytać, czy rozpoznajecie te kobiety. No i chciałabym z nią porozmawiać o tych telefonach. Z Erniem być może też.

– Jak tylko lunch się kończy i posprzątam stoliki, Ernie idzie do domu. To syn mojego brata. Nastoletni szczył. Zupełnie niezorientowany w świecie.

- Kiedyś będzie musiał dorosnąć – powiedziała Pearl.

Sinclair spojrzał na nią z zaciekawieniem, a potem stwierdził:

- Proszę tu poczekać, pójdę po Victorię.

Pearl usiadła na skraju jednego z boksów i zaczęła się rozglądać wokół siebie. Pomijając ten fragment, który Ernie tak skrętnie zamiatał, całą podłogę pokrywał dywan. Na okrągłych stołach leżały białe obrusy i stały kryształowe świeczniki, a przy długim barze ze wstawkami z polerowanego mosiądzu na klientów czekały eleganckie krzesła z wysokimi, wygiętymi w łuk oparciami. Gdyby tylko zapalić światło, lokal prezentowałby się zupełnie dobrze. Pewnie nie chcieli, żeby przechodnie widzieli z zewnątrz, jak sprzątaję. Z daleka Pearl nie widziała, co konkretnie znajduje się w menu wiszącym za barem, ale nie wyglądało ono jakoś spektakularnie.

Sinclair wrócił po kilku minutach z wysoką, ciemnowłosą kobietą ubraną w obcisłe beżowe spodnie. Może zresztą wcale nie była taka wysoka. Wyglądała tak, jak gdyby właśnie skończyła układać włosy – i nieco przy tym przesadziła. Upięła je trochę za wysoko, przez co wyglądała, jak gdyby miała występować w jakimś kiepskim filmie w roli wokalistki country western. Podeszła bliżej i wówczas spod gęstej grzywki spojrzały na Pearl czarne jak węgiel oczy. Pearl się przedstawiła, po czym wyciągnęła z kieszeni zdjęcia.

- Ernie – powiedziała – odłóż na chwilę tę miotłę i chodź tutaj.

– Tak jest.

Ciągle szeroko się uśmiechał. Może ten uśmiech po prostu nigdy nie schodził mu z twarzy?

Pearl wybrała najlepiej oświetlony fragment stołu i rozłożyła na nim zdjęcia.

- Czy rozpoznajesz którąś z tych kobiet?

Ernie przestał się uśmiechać i wskazał jedną z nich.

- Ta nie żyje, prawda?

– Nie żyje, Ernie.

– Bajer!

– Te dwie – stwierdziła od razu Victoria, wskazując je długim czerwonym paznokciem. – To Janice i Lois. Nie znam ich nazwisk, ale często tu przychodzą.

- Czy słusznie się domyślam, o co chodzi? – zapytał Sinclair.

– To zależy – odparła Pearl.

– To ofiary Rzeźnika?

– Co? – zdziwiła się Victoria.

– Tak go ludzie nazywają – powiedział Sinclair. – Bo rozcina swoje ofiary i układa fragmenty ciała jak na wystawie. Jak mięso. Nie czytasz gazet? Nie oglądasz telewizji?

- Nie, większość czasu poświęcam na podawanie drinków. Właśnie tak poznałam Janice

i Lois. Pracowały w okolicy i czasami zaglądały tu wieczorami.

– Razem?

Victoria zmarszczyła nos. Zastanawiała się chwilę.

– Nie. Nie przypominam sobie, żebym je razem widziała. Albo choćby w tym samym czasie.

Ale oczywiście mogę się mylić.

– Ja ich chyba nigdy nie widziałem – stwierdził Sinclair.

– Ernie? – dopytywała Pearl.

– Ja nie znam żadnej z nich – odparł chłopak. – A ta nieżywa jest ohydna.

– Taa, powinno się tego zabronić. – Pearl przeniosła wzrok na Victorię. – Czy sprzedałaś któregoś z nich taki telefon?

Victoria zdawała się chować za swoją grzywką. Spojrzała z niepokojem na Sinclaira.

– Wszystko w porządku – powiedział.

– Obie kupiły telefony – wyznała Victoria. – Janice jakieś dwa miesiące temu. A potem Lois, może z sześć tygodni temu.

– Czy którakolwiek z nich była tu z mężczyzną?

– Niczego takiego sobie nie przypominam. Nie żeby nikt z nimi nie flirtował. Obie są, to znaczy były naprawdę bardzo atrakcyjne. Z tego co widziałam, od czasu do czasu zdarzało się, że wychodziły stąd w towarzystwie. Wieczorem tak tu bywa. To taki punkt spotkań, w którym ludzie nawiązują znajomości.

– A czy pamiętasz, żeby któraś z nich powiedziała kiedyś coś niezwykłego?

– Zwykle nie odbywałyśmy takich rozmów. Znam je o tyle, że zamawiały drinki i przy tej okazji wymieniałyśmy kilka zdań. Jak zaczęliśmy sprzedawać telefony, to miałam okazję porozmawiać z nimi chwilę dłużej, ale tylko o... aparatach. – Victoria sprawiała wrażenie zmartwionej. – Nie będę musiała iść na posterunek i składać zeznań, prawda?

– Nie, przysłemy kogoś tutaj. Nie będzie problemu.

– Wszystko będzie w porządku, Vicky – powiedział Sinclair, delikatnie kładąc jej rękę na ramieniu.

Ten gest wydał się Pearl dość interesujący. Niewykluczone, że coś ich łączyło. Zebrała zdjęcia i wsunęła je z powrotem do kieszeni.

– Dziękuję wam obojgu, bardzo mi pomogliście.

Ona wyszła, a oni zostali – jak to często ludzie po takim przesłuchaniu – nieco zaskoczeni i zaniepokojeni. Pearl domniemywała, że po prostu każdy ma coś do ukrycia. Wychodząc, usłyszała jeszcze, jak Ernie pyta:

– Telefony? Nie wiedziałem, że sprzedajemy telefony.

## Rozdział 9

Zanim gazety, choćby nawet „City Beat”, miały okazję napisać o Idzie Ingraham, wiadomość o jej śmierci podała lokalna telewizja. Dostała cynk od jednego ze swoich licznych źródeł w nowojorskiej policji. Tylko się cieszyć, że NYPD nie była statkiem i nie musiała przechodzić sprawdzianu szczelności na morzu.

Florence Norton dowiedziała się o całej historii zaraz po powrocie z pracy, gdy tylko zdjęła buty i bez większego zainteresowania wcisnęła guzik na pilocie. Włączył się kanał NY1, na którym rano przed wyjściem z domu sprawdzała pogodę. Pracowała jako przedstawiciel handlowy marki i sprzedawała sosy sałatkowe Best of Seasons. Świetnie sobie radziła. Właśnie namawiała jedną z najpopularniejszych restauracji z West Side do zwiększenia tygodniowego zamówienia na specjalną wersję sosu z kawałkami bekonu i wołowiny. Miała już czterdziestkę na karku i często dokuczały jej stopy, tym bardziej że sporo się przemieszczała, a w metrze rzadko udawało jej się zająć miejsce siedzące. Powtarzała sobie, że powinna trochę schudnąć, chociaż w głębi duszy doskonale wiedziała, że uda jej się co najwyżej nie przytyć.

W jej starym telewizorze głos pojawiał się na chwilę przed obrazem: „...Rzeźnik znów zaatakował...”. Po chwili zobaczyła śliczną blond presenterkę, Mary jakąś tam. Nawet z zatroskaną miną wyglądała bardzo seksownie, jak gdyby ktoś trochę za mocno ją uszczypnął.

Florence patrzyła w telewizor i słuchała, jak kobieta wyjaśnia, że zdaniem policji Rzeźnik morduje kobiety, których nazwiska rozpoczynają się na kolejne litery nazwiska głównego detektywa z wydziału zabójstw przypisanego do sprawy, faceta nazwiskiem Quinn. Policja oczywiście zastrzega, że to może być tylko zbieg okoliczności i że nie ma powodu wszczynać powszechnej paniki, ale oczywiście warto podjąć środki ostrożności.

– Ofiary Q, U oraz I zostały już znalezione – powiedziała Mary z bolesną troską w głosie – co oznacza...

*Jezus Maria!* Florence nagle olśniło, że teraz kolej na N, a na tę literę zaczyna się jej nazwisko. Była potencjalną ofiarą! Rzeźnik w tym momencie przestał być dla niej tylko banalnym pseudonimem zabójcy znanego z telewizyjnych wiadomości.

Nogi na chwilę przestały ją boleć, ogarnęła ją taka nerwowość, że o mało co nie wstała z sofy.

Uspokój się! Uspokój się! Nie jesteś przecież kapryśnym lekkoduchem. Jesteś dorosłą niezależną kobietą. Może nawet odrobinę zbyt niezależną. Tak zawsze powtarzał tata.

Policja miała rację, powodów do powszechnej paniki faktycznie nie było. No chyba że się było kobietą, której nazwisko zaczynało się na literę N. No chyba że się było Florence Norton.

Florence zgłosiła telewizor i siedziała na sofie lekko wychylona do przodu. Kobieta na ekranie przypominała widzom, że Rzeźnik morduje szczupłe i atrakcyjne brunetki. To pocieszające, pomyślała Florence nie bez cienia rozgoryczenia. Trochę jej ulżyło. Chociaż włosy miała w mysim odcieniu brązu, to mogła sobie powiedzieć, że z racji średniego wieku i tuszy nikt jej raczej nie uzna za atrakcyjną. Za młodu, zanim się roztyła, może ktoś by na nią spojrział, ale te czasy już dawno minęły. Żaden reżyser nie obsadziłby jej w roli łakomego kaska dla psychotycznego seryjnego zabójcy, kierującego się popędem seksualnym.

Florence już dawno przestała się przejmować brakiem urody. Trochę za dużo pracowała, ale ogólnie była zadowolona ze swojego zajęcia. Chodziła na wystawy i umawiała się na spotkania z przyjaciółmi obojga płci. Wiodła może mało ekscytujące, ale dla niej zupełnie zadowolające

życie.

Chwyła pilota i zaczęła skakać po kanałach. Wiadomości ogólnokrajowe. Tam pokazują ludzi, którzy mają prawdziwe problemy. W jakimś mieście z palmami płomienie i dym wzbijają się w niebo ponad dachami trawionych przez ogień budynków. Pali się też kilka zaparkowanych w pobliżu samochodów. Po chwili na ekranie pojawia się ujęcie z helikoptera, na którym biały van pędzi pod prąd autostradą. Z treści materiału wynika, że ucieka nim podpalacz odpowiedzialny za ten pożar. To dopiero coś, pomyślała Florence. Intensywnie wpatrywała się w ekran, usiłując odczytać małe literki bez okularów. Domyśliła się, że cała akcja musi się rozgrywać w Los Angeles.

Zadzwoił domofon, więc przyciszyła telewizor i wstała z kanapy. Potrzebowała kilku sekund, żeby przemierzyć pokój na obolałych stopach, nacisnąć zamalowany farbą guzik i zapytać, kto stoi przed drzwiami. Nie zaniepokoiła się ani odrobinę, kiedy głos dobiegający z holu znajdującego się piętnaście pięter niżej poinformował, że ma do doręczenia paczkę na ten adres.

Prezent? A może zamówiła coś w telezakupach i zapomniała?

Stwierdziła, że cokolwiek to jest, na pewno poprawi jej nastrój.

Pearl zdjęła swoje praktyczne policyjne buty i położyła stopy na stoliku do kawy. Oglądała wiadomości w telewizji. Znowu jakiś pościg w Kalifornii. Czy oni w ogóle cokolwiek innego robią, czy tylko organizują pościgi i wsadzają do aresztu naćpane gwiazdy? Może i ona powinna się tym zajmować?

Zastanawiała się nad tym, obserwując, jak biały van ucieka przed całą kawalkadą migoczących na kolorowo samochodów LAPD. Może powinna wyjechać z Nowego Jorku i wstąpić do policji w Los Angeles, by dołączyć do tej samochodowej parady... Zapomnieć o Quinnie, NYPD i tym brudnym mieście, w którym życie toczy się w szaleńczym tempie. Zapomnieć o tych wszystkich frustracjach. Los Angeles sprawiało wrażenie czystego, słonecznego i niezbyt gęsto zaludnionego – przynajmniej w porównaniu z Nowym Jorkiem. Tam chyba można spokojnie żyć. Niewykluczone, że tam to nawet fajnie jest być policjantem.

Przechyliła puszkę pepsa light i patrzyła, jak biały van zwalnia, przecina trawiasty pas między jezdniami i zawraca cały pościg w przeciwnym kierunku, machając przy tym do policjantów. Radiowozy po drugiej stronie ulicy grzecznie zjeżdżają mu z drogi.

Szlag by to, pomyślała Pearl. Zastanawiała się, jak daleko taki dupek w vanie zdołałby uciec, gdyby przyszło mu uciekać przez stary i dobry, ale zatłoczony Nowy Jork przed policjantami w samochodach z radiem. Pearl wpatrywała się w dwóch funkcjonariuszy, którzy stali bezradnie na poboczu z rękami na biodrach, podczas gdy biały van pędził im tuż przed nosem.

Pokiwała głową. *Szlag by to!*

Gdyby telewizor należał do kogoś innego, kto wie, czy nie rzuciłaby w niego puszką.

## Rozdział 10

*Bocanne, Floryda, 1979*

Mrok już zapadł. Dziewięcioletni Sherman Kraft leżał na workowatym materacu w sypialni swojego walącego się domu na skraju głębokiego bagna. Leżał nieco wychylony, żeby przez trzydziestocentymetrową szparę w drzwiach obserwować korytarz. Matka pojawiała się tam od czasu do czasu, by rzucić okiem do pokoju zajmowanego przez ich lokatora, człowieka nazywającego się Ernest Marks. Jej rozczochrane włosy, czarniejsze od mroku, opadały bezładnie na ramiona, dodatkowo podkreślając łuk pojawiający się na karku, gdy otwierała lekko drzwi Marksa, by zajrzeć do środka. Sherman wiedział, po co to robiła i na co czekała.

Sherman był raczej szczupłym chłopcem, ale dość dobrze się prezentował. Urodę odziedziczył po matce. Oczy co prawda miał takie same jak ojciec, lecz mocno zarysowaną szczękę i wysokie czoło ewidentnie przejął po niej. Wąskie usta przypominały ślad po cięciu i w jednym rogu, zupełnie jak u matki, delikatnie skręcały ku dołowi. Niewykluczone jednak, że ojciec też tak miał. Sherman bowiem nigdy go nie widział. Wiedział tylko, że miał na imię George, a matka nazywała go oszustem. Odszedł od nich pięć lat temu i został zastrzelony przez rozwścieczonego męża jakiejś kobiety z Karoliny Południowej. „Przyszła kryska na Matyska”, powtarzała matka kilkakrotnie i na tym zawsze kończyła się rozmowa o jej zmarłym mężu i ojcu Shermana. George, człowiek zapomniany.

Zasuwa na drzwiach pana Marksa ponownie zaskrzypiała, cichutko, trochę jak nieszczęsna mysz niespodziewanie złapana w pułapkę. Marks był roslym facetem, który co prawda dobiegał siedemdziesiątki, ale ciągle sprawiał wrażenie silnego. Mama Shermana chciała zachować ostrożność.

Wzrok Shermana powędrował w róg pogrążonego w mroku pokoju. Padł na wiklinowe biurko, przy którym odbywał lekcje w ramach nauczania w domu. Bambusowa wędka stała grzecznie w kącie. Spojrzał na wysłużony fotel, w którym uwielbiał przesiadywać z książką, kupioną lub gdzieś podwędzoną. Czasami, gdy nie miał akurat nic do czytania, po prostu siedział i rozwiązywał w głowie zadania matematyczne. Bawiło go to, że świat daje się rozpisnąć do postaci liczb i równań. Wszystko stawało się wówczas proste i uporządkowane. Wystarczyło się tylko dostatecznie mocno skoncentrować i dopasować do siebie poszczególne elementy. Wystarczyło zadać dostatecznie dużo pytań. Sherman ciągle zadawał pytania, choć oczywiście nie na głos.

Ile razy na minutę uderza serce? Pomyślał, że zmierzy sobie puls. Jego serce biło bardzo szybko. Przeczytał gdzieś, że norma wynosi siedemdziesiąt sześć uderzeń. Przyłożył czubki palców do skóry i zliczał uderzenia przez dziesięć sekund, po czym wykonał stosowne obliczenia. *Znacznie więcej niż siedemdziesiąt sześć.*

Znał przyczynę takiego stanu rzeczy.

Na korytarzu znowu rozległo się skrzypienie zasuw, tym razem znacznie głośniejsze. Matka już tak nie uważała. Drzwi do pokoju pana Marksa otworzyły się na oścież.

*Zdecydowanie więcej niż siedemdziesiąt sześć. Jak gdyby w mojej piersi siedział ptak i lopotał skrzydłami.*

Kroki na korytarzu, plaskanie bosych stóp na deskach. Matka idzie w stronę jego pokoju.

Otworzyła szeroko drzwi i spojrzała na niego. Widział tylko zarys jej postaci, mroczny, niemal pusty w środku, trochę jak cień. Odwrócił się na bok, uciekając przed nią wzrokiem. Nie chciał tego robić. Nie chciał.

Nigdy.

– Sherman, wiem, że nie śpisz. Potrzebuję twojej pomocy.

Wiedział, że nie ma sensu się kłócić. Nie sprzeciwiał się matce. Lepiej było po prostu zrobić to, czego od niego oczekiwała. Zawsze.

Przewrócił się na drugi bok i usiadł na łóżku.

– Idź do pokoju pana Marksa i poczekaj na mnie – powiedziała matka. Nie szeptała.

– Mamo...

– Mnie to też nie bawi, Sherman.

Skinął głową w kierunku cienia stojącego w drzwiach do jego pokoju, po czym obserwował, jak ten rozplywa się w jeszcze większym mroku. Poniósł się z łóżka i naciągnął dzinsy, które pomimo ciepłego wieczoru wydawały mu się sztywne i chłodne. Niechętnie poczłapał przez korytarz do pokoju po drugiej stronie.

Stojąca przy łóżku lampa z kloszem z dużej muszli co prawda się świeciła, ale czytać by się przy niej nie dało. Obok leżał pęknięty spodek, a na nim zduszony papieros z filtrem. Pan Marks leżał w łóżku na plecach. Prawa ręka zwisała z materaca, jak gdyby próbował po coś sięgnąć. Nie patrzył jednak za tą ręką. Wzrok miał utkwiony w suficie. Nie oddychał. Nie ruszał się. Nie żył.

Na korytarzu zapaliło się światło i do sypialni weszła matka Shermana. W dłoni trzymała parę nożyczek o długich ostrzach.

– Rozbierzemy go tutaj – powiedziała rzeczowym tonem. – Co dalej, to już wiesz.

Sherman wiedział.

Pan Marks wyzionął ducha na tyle niedawno, że jego ciało jeszcze nie zaczęło sztywnieć. Sherman zapamiętał, że właśnie dlatego za każdym razem muszą się spieszyć – żeby zdążyć, zanim wystąpi stężenie pośmiertne. Sprawdził w starym słowniku z powyginanymi rogami, co to konkretnie znaczy. Znał pojęcie, chociaż zjawisko nie do końca rozumiał.

*To jak z tym martwym kotem, którego wtedy znalazłem na bagnie... Nie wygiął się, gdy go złapałem za nogę. Pazury miał za to wyciągnięte, ostre były, skaleczyłem się...* – Sherman starał się myśleć o czymś innym, o czymkolwiek innym. Pragnął znaleźć się w innym miejscu, w dowolnym innym miejscu. Udawał, że to wszystko przeżywa ktoś inny, jakiś zupełnie inny Sherman.

Matka pracowała nożyczkami, a Sherman darł i rozciągał materiał. Udało im się uwolnić potężne cielsko od poszarpanej szarej koszulki i spodenek, w których pan Marks położył się do snu. Sherman rzucił ubrania na stosik przy łóżku. Wiedział, że matka później je spali. Sturlał pana Marksa z łóżka na pleciony dywanik. Otulone mięśniami kości uderzyły mocno o podłogę, wydając stłumiony odgłos. Sherman wspólnie z matką chwycili dywanik za róg w pobliżu głowy pana Marksa, po czym pociągnęli z całą mocą. Dzięki dywanikowi przeciągnięcie ciała do łazienki nie nastęczało większych trudności.

Znacznie więcej kłopotów mieli z przełożeniem wielkiego cielska do wanny – zupełnie jak gdyby nieboszczyk czuł potrzebę stawiania oporu nawet poniewczasie.

Łokieć stuknął mocno o wannę.

– Niech cię szlag! – powiedziała matka.

Sherman wiedział, że mówi do pana Marksa. Musiał się sporo namęczyć, żeby zapakować długie i niechętne do współpracy nogi do wanny. Bose stopy ślizgały mu się po plastiku, którym matka nakryła kafelkową podłogę. O mało co się nie wywrócił.

Po chwili wielkie i miękkie ciało pana Marksa, całe pokryte siwymi włosami, leżało już

w wannie: stopy przy kranie, głowa zaś na wyprofilowanym porcelanowym brzegu. Na jego twarzy malował się spokój. Mężczyzna wyglądał zupełnie tak, jak gdyby brał właśnie odprężającą kąpiel.

Sherman i matka rozumieli się bez słów. Matka rozłożyła plastikową zasłonkę prysznicową wokół wolno stojącej wanny, żeby osłonić ścianę z tyłu, a potem poszła do kuchni. On tymczasem udał się do garażu, skąd przyniósł stare narzędzia George'a: ręczną piłę, wyrzynarkę, tasak i piłę elektryczną z długim sprężynowym przewodem. Wszystko to wniósł do domu w jutowym worku, po czym rozpakował i starannie rozłożył na podłodze obok kuchennych noży matki.

Matka zaczęła się rozbierać, co stanowiło dla niego jasny sygnał, że pora wyjść. Udał się na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Potem się jednak zatrzymał, żeby obserwować całą scenę przez dziurkę od klucza. Jak zawsze.

Widział matkę – nogi i całą resztę – znacznie bledszą, gładszą i większą niż w ubraniu. Z prysznicza leciała woda, a ona nachylała się nad wanną, sięgając po kolei po nóż i cięższy sprzęt. Sherman wiedział, że najpierw odłoży noże, tasak i ręczną piłę, wyłączy prysznic i dopiero wtedy sięgnie po piłę elektryczną. Przestrzegła go przecież, że woda i prąd to niebezpieczne połączenie. Dawała więc synowi dobry przykład.

Ani razu nie spojrzała w stronę dziurki od klucza, Sherman jednak nie miał wątpliwości, że doskonale zdaje sobie sprawę z jego obecności. Z tego wszystkiego najmocniej zapisał mu się w pamięci właśnie śpiewny skowyt piły elektrycznej.

Matka wzywała go z powrotem dopiero po zakończeniu pracy. Zawsze czekał kilka sekund, żeby oboje mogli udawać, że przez ten cały czas był u siebie w pokoju. Później otwierał drzwi i znajdował za nimi dobrze znany sobie widok.

W łazience stała matka, już w pełni ubrana. Wszystko było wypucowane na błysk. Wszystko, co wyciekło z pana Marksa, spłynęło wraz z wodą do szamba. W wannie zaś leżały jedna na drugiej blade i czyste części jego ciała: tułów, uda, łydki, ramiona i na wierzchu głowa. Rzadkie siwe włosy były mokre i splątane, ale na twarzy malował się wyraz spokoju, zupełnie jak gdyby marzył właśnie o czasach dzieciennych.

Czarne plastikowe worki na śmieci leżały złożone w malutkiej szafce obok ręczników. Matka Shermana je wyjęła, chwyciła w palce dwie warstwy folii, a następnie wyrzucała każdy z worków w powietrze, żeby go otworzyć. Sherman pomógł jej zapakować fragmenty ciała pana Marksa: głowa i ramiona mieściły się do jednego worka, na uda i łydki schodziły dwa, tułów trafiał do kolejnego. Worek z głową był zawsze nadspodziewanie ciężki, więc to Sherman go wynosił. Musiał się zachowywać jak dżentelmen, w przeciwnym razie narażał się na reprymendę.

Wspólnie z matką wynieśli worki na cedrowy ganek na tyłach domu, wychodzący prosto na głębokie bagno. Aligatory już się przyzwyczyły, że spada im stąd jedzenie – wszystko, od rybich głów po... Ogólnie wszystko. Czekwały już w mroku całą gromadą, wygłodniałe i zniecierpliwione, zupełnie jakby rozpoznawały te odgłosy i znały dalszy bieg zdarzeń. Może przyzywał je skowyt piły elektrycznej.

Sherman wraz z matką wyjmowali po jednym kolejne fragmenty ciała pana Marksa i rzucali je aligatorom przez barierkę ganku. Gady wciągały niektóre kawały daleko w bagno, inne zaś pożerały na miejscu. Jeden z nich zawsze wydawał takie strasznie prymitywne, gardłowe odgłosy podczas miażdżenia kości. Również i ten dźwięk na zawsze zapisał się Shermanowi w pamięci. Ten dźwięk rozbrzmiewał, jeszcze zanim na świecie pojawił się człowiek. Być może więc został utrwalony w pamięci kolektywnej i trzeba było tylko czegoś, co go stamtąd przywoła.

Dopiero wiele lat później Sherman zrozumiał, o co w tym wszystkim chodziło. Starsi lokatorzy znikali w oddalonej od świata chatce, gdzieś na obrzeżach bagna, ale nikt za nimi nie tęsknił. Przed wynajęciem pokoju matka zawsze się upewniała, że potencjalny lokator nie ma rodziny. Potem odbierała ich emerytury, korzystając z jednej z nielicznych przydatnych umiejętności, które przekazał jej mąż oszust, zanim ją porzucił. Falszując podpisy, jakoś dawała radę utrzymać siebie i dziecko.

Skrzętnie korzystała z tych czeków, ale nie marnowała czasu. Zaraz następnego dnia zamieszczała w gazecie kolejne ogłoszenie dotyczące wynajmu pokoju. Wiedziała, że chętni zawsze się znajdują. Na Florydzie nie brakowało emerytów w samotności i biedzie zmierzających do kresu swoich dni – ludzi bez rodziny, którzy za nic w świecie nie chcieli mieszkać w domach starców, a potrzebowali jakiegoś lokum na ostatniej prostej swojego żywota.

*Proszę! Deser.*

Jeszcze raz pomruki, jeszcze raz wrzawa. Ostatnie pluski wody w świetle księżyca, ostatnia fala rozchodząca się w ciemności pośród porośniętych mchem drzew.

Matka Shermana nachyliła się i zaczęła składać puste worki. Były grube, można je było umyć i wykorzystać ponownie. I jeszcze raz, i jeszcze raz.

Kwadrans później Sherman znów leżał w swoim łóżku, wsłuchując się w dobiegające zza okna odgłosy nocy. Gdzieś w oddali pokrzykiwał nur, bliżej zaś coś szeleściło w zaroślach. Owady buczały i brzęczały z taką intensywnością, że człowiek się do nich przyzwyczajał i tylko od czasu do czasu uświadamiał sobie obecność tego dźwięku. Bagno z pozoru wydawało się spokojne, ale tylko z pozoru.

Bagno to ponure miejsce, które niechętnie zdradza swoje tajemnice.



## Rozdział 11

*Nowy Jork, czasy obecne*

Florence ledwo zdążyła pójść do kuchni wziąć łyk wody, a kurier już pukał do drzwi. Widocznie winda mu podpasowała. Odstawiła butelkę z wodą do lodówki. Orzeźwiająco chłodne powietrze ze środka owionęło jej bosc stopy. Gdy z kuchennych płytek przeszła na dywan wyściełający korytarz, poczuła przyjemną miękkość. Otworzyła drzwi i zobaczyła uśmiechniętego kuriera. Miły facet z miłym uśmiechem. Właśnie to określenie przyszło jej w tym momencie do głowy: miły. Zwyczajny. Trzymał w rękach długie białe pudło, w jakim zwykle dostarcza się kwiaty.

– Florence Norton? – zapytał, spoglądając na coś, co znajdowało się na boku pudła, zapewne na nalepkę adresową.

– Zgadza się – odparła Florence, odwzajemniając uśmiech i zastanawiając się, czy w tym pudle znajdują się kwiaty. Zastanawiała się także, czy ten facet ma już żonę albo kogoś innego na stałe.

Uderzenie pięścią w klatkę piersiową wepchnęło ją do środka. Mężczyzna wszedł za nią, zamknął drzwi, uniósł nieco pokrywą pudła i wyciągnął ze środka broń.

Pokój kręcił się wokół Florence, a klatka piersiowa bolała w miejscu uderzenia.

– Nie wariuj – powiedział mężczyzna – to może ujdiesz z tego z życiem.

Florence poczuła, że kiwa głową. W lufie małego pistoletu z szarej stali zobaczyła tunel prowadzący do śmierci. Nic innego jej nie czeka, jeśli nie będzie słuchać poleceń tego miłego pana.

– Idź na środek salonu – nakazał.

Opuścił na chwilę broń i podszedł do okna, żeby zaciągnąć zasłony.

– Jeśli to kradzież... – zaczęła Florence.

– Zamknij się albo cię zastrzelę.

Dotarło.

– Teraz możesz się rozebrać.

Czyli nie kradzież. Coś więcej. Coś gorszego.

Strach działał na nią jak narkotyk – spowalniał ją. Florence rozbierała się powoli i z rozmysłem, trzymając łokcie blisko przy ciele. Wykonywała bardzo ograniczone ruchy, za wszelką cenę starając się, by całe to rozbieranie nie przypominało striptizu.

– Do końca – powiedział, gdy stała już tylko w majtkach i staniku. – Połóż ubranie na podłodze. Później je pozbięram i poskładam.

Nigdy w życiu nie czuła się taka naga, mimo to z jakiegoś powodu się nie wstydziła. Może dlatego że gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę. A może dlatego że tak bardzo się bała. Zamierzała trzymać się kurczowo choćby ostatniego promyka nadziei. Powtarzała sobie, że ten miły pan ma rację. *Jeśli tylko nie zrobię nic głupiego i będę wypełniać polecenia, może wyjdę z tego cało.*

*Może.*

Nic więcej jej nie pozostało. W nic więcej nie mogła wierzyć.

– Siadaj na sofie.

Wypełniła polecenie. Mocno ścisnęła kolana i skrzyżowała ręce na piersiach.

On położył białe pudło wzdłuż sofy tak, żeby nie mogła dostrzec jego zawartości.

Wyprostował się. Trzymał w ręku grubą rolkę szerokiej srebrnoszarej taśmy.

*Ma wiele zastosowań...*

Szybko i umiejętnie – z niewątpliwą wprawą, której można nabrać tylko dzięki wielokrotnym ćwiczeniom lub częstemu powtarzaniu danej czynności – związał jej nadgarstki, potem kostki, a następnie kolana. Zdołał to wszystko zrobić, zanim spanikowała, zaskoczona nagłym ograniczeniem ruchów. Mocowała się z taśmą. On się tego najwyraźniej spodziewał, bo czym prędzej owinał jej taśmę wokół pleców, związując nadgarstki w taki sposób, że nie była się w stanie podnieść z kolan. Już miała krzyknąć, gdy poczuła ból na twarzy: prostokątny kawałek taśmy szybko zasłonił jej usta. Wargi miała rozsunięte mniej więcej na centymetr i tak już zostały. Zaczęła głośno oddychać przez nos i nagle sobie uświadomiła, że płacze.

Spanikowała i zaczęła się rozpaczliwie szamotać. On się uśmiechnął. Pogłaskał ją lekko po głowie, aż trochę się uspokoiła.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Obiecuję.

Skinęła głową.

– Nie ma się co za bardzo denerwować – zapewnił.

Jednocześnie jednak wyciągnął białe pudło na tyle, że zdołała zobaczyć jego zawartość: lśniący stalowy element czegoś, co wyglądało jak ręczna wiertarka albo piła elektryczna.

*Tak, piła!*

Skrupulatnie, niemal z leniwą precyzją rozebrał się przed nią. Stał na wprost przed sofą, żeby dobrze go widziała.

Miał wzwód, ale nogi tak mocno ściągnął jej taśmą, że przecież nie mógł jej zgwałcić. Ten brak dostępności odrobinę ją pocieszał. Gdyby tylko mogła poruszyć czymś jeszcze, a nie tylko palcami od nóg i rąk czy głową. Gdyby tylko mogła wydać z siebie jakiś dźwięk, zwrócić czyjąś uwagę. Obojętnie czyją. Potrzebowała pomocy. *Jakiejkolwiek pomocy!*

Nawet na nią nie spoglądając, napastnik odwrócił się plecami i ruszył w stronę korytarza, w kierunku jej sypialni i łazienki. Potem rozległ się znajomy odgłos szczękających rur. *Woda! Przygotowania!*

Florence zdawała sobie sprawę, że ten mężczyzna u niej w łazience to musi być Rzeźnik. Ponownie spanikowała i zaczęła drzeć jakby z zimna. Obraz pokoju, w którym się znajdowała, rozmył się we łzach. Szybki oddech przez nos brzmiał jak dyszenie malutkiego zwierzątka.

Poczuła jakieś ciepło pod sobą. Wiedziała, że to mocz spływający na poduszki sofy. Nagły przypływ upokorzenia przyćmił na chwilę panikę, tylko dodatkowo pogarszając sytuację.

Już nie ma nadziei. Żadnej nadziei.

Z całych sił próbowała krzyczeć, ale poza odgłosem płynącej wody w mieszkaniu panowała zupełna cisza.

## Rozdział 12

Pearl o mało co nie zemdląca, gdy u progu mieszkania ofiary, do którego wchodziła razem z Quinnem i Feddermanem, uderzył ją znajomy odór śmierci. W jej głowie natychmiast pojawiły się przyprawiające o mdłości obrazy poprzednich ofiar Rzeźnika. Poczowała ucisk w żołądku.

Kolejne morderstwo w białych rękawiczkach. Technicy ciągle jeszcze pracowali: zbierali odciski palców, robili zdjęcia, gromadzili dowody i próbki, pakowali różne rzeczy do woreczków i wspinali się na wyżyny umiejętności choreograficznych, żeby tylko w całym tym tłoku nie wchodzić sobie nawzajem w drogę.

Fedderman poszedł porozmawiać z mundurowym, który stał przy drzwiach. Może go znał, a może to on pierwszy przybył na miejsce zbrodni. Pearl poszła za Quinnem w kierunku korytarza, a tym samym zapewne również łazienki. Zapach targu mięsnego coraz bardziej się nasilał, towarzyszyła mu też coraz wyraźniejsza woń środków czystości.

Ofierze znajdującej się w łazience towarzyszył tylko Nift z zakładu medycyny sądowej. Chociaż jakoś ciężko było przypisać Florence Norton to miano, gdyż ofiara kojarzy się z osobą. Tymczasem Florence została przeistoczona w zbiór wyblakłych części ciała ułożonych jedna na drugiej w wannie. Pearl przypomniała sobie, co powiedział Sinclair, gdy rozmawiali w Nuts and Bolts: „Rozcina swoje ofiary i układa fragmenty ciał jak na wystawie. Jak mięso”.

Irytujący swoim napoleońskim wizerunkiem Nift ubrał się dzisiaj tak, jak gdyby szedł na rozmowę w sprawie pracy do banku. Golił się tak starannie, że aż się zaciął, a lśniąca czarna włosy gładko zaczesał do tyłu. Zanim nachylił się nad wanną, rozpiął guziki granatowej marynarki w delikatne paski. Zadbął też o to, by czerwony jedwabny krawat nie zwisał i przypadkiem nie pobrudził się krwią ani niczym innym. Nift podniósł wzrok, rzucając Quinnowi i Pearl jeden ze swoich paskudnych uśmiechów.

Na podłodze leżał cały zbiór różnych butelek i pudełek – pustych opakowań po środkach czystości. Szampon był marki Swan. Pearl używała takiego samego, przynajmniej do tej pory.

Części ciała zostały ułożone jedna na drugiej w rytualnej kolejności. Na samym szczycie znajdowała się ucięta głowa, na której malował się wyraz bólu. Ofiara miała zamknięte oczy, zmarszczone brwi, a policzki i usta mocno ściągnięte, jak gdyby przygotowywała się na nadchodzącą śmierć. Ta na szczęście nastąpiła szybko.

Pearl stwierdziła, że Florence była starsza od pozostałych ofiar i – chociaż może nie godzi się tak mówić po czyjejś śmierci – raczej nie zaliczała się do kobiet szczególnie atrakcyjnych. Trochę odbiegała od pozostałych ofiar Rzeźnika. Czyżby morderca nagle zmienił typ?

– Łatwiej by było, gdyby pakował mięso w folię termokurczliwą – stwierdził Nift.

Pearl miała ochotę go kopnąć.

– Zastanawiam się – powiedział Quinn – czy znajdziesz u niej wodę w płucach.

– Jeszcze do tego nie dotarłem. – Nift przystąpił do rozdzielania palcami splecionych włosów w celu dokonania oceny obrażeń głowy. – Jeszcze nawet nie zdążyłem sprawdzić, czy miała fajne cycki. Wyobraź sobie, że trzeba się na tym znać. Gdy krew przestaje krążyć, już się tak dobrze nie prezentują, ale ja tak czy siak potrafię to ocenić.

Pearl poczuła, że się rumieni. Ten paskudny mały gnojek miał niezwykle talent do pogarszania sprawy.

– Jesteś chory! – Nic więcej nie powiedziała, wykazując się godną podziwu powściągliwością.

– Ma rację – stwierdził Quinn.

Nie chciał, żeby Pearl straciła panowanie nad sobą. Przez niewyparzony język jej kariera stanęła w miejscu, jeszcze zanim doszło do niesławnego incydentu z nożem, z którego powodu ostatecznie odeszła z policji.

Nift, dziwacznie nachylony nad wanną, zdołał mimo wszystko wzruszyć ramionami i zbyć całą sytuację nonszalanckim:

– Jakakolwiek jest to choroba, raczej się na nią nie umiera.

Wyprostował się i rozciągnął plecy, wzdychając przy tym i wypychając brzuch do przodu. Jak wielu niskich mężczyzn cały czas pamiętał o tym, by w pełni wykorzystać każdy centymetr swojego wzrostu. Pearl zauważyła, że trochę się zaokrąglił w pasie. Nosił szelki, żeby spodnie dobrze leżały.

– Odpowiadając na twoje pytanie, powiem – odezwał się – że prawdopodobnie znajdziemy wodę w płucach, tak samo jak u innych ofiar. – Wskazał na fragment cętkowanej bladej skóry, spod której wystawały kości. – Widać tu ślady kleju, który pozostał z taśmy. – Przesunął palcem wskazującym nad skórą. – Tutaj i tu.

Quinn skinął głową, Pearl zaś tylko spojrzała bez słowa.

– Szerokość odpowiednia dla taśmy mocującej – stwierdził Nift. Wzrok miał lepszy niż Pearl, a poza tym wiedział dokładnie, czego szukać.

– Wygląda na starszą niż tamte trzy – zauważył Quinn. Podobnie jak Pearl zastanawiał się, co skłoniło mordercę do zmiany typu.

Nift przytaknął.

– Była dobrze po czterdziestce. I niezależnie od cyków raczej do urodziwych nie należała. Myślę, że zginęła tak naprawdę z powodu pierwszej litery swojego nazwiska: N. Że też ci seryjni mordercy tak lubią sobie z nami pogrywać. Ten to nawet zdecydował się zamordować kobietę nie w swoim typie, żeby tylko poprawnie zapisać twoje nazwisko, Quinn.

– Może i tak, ale przecież nie brakuje młodych i atrakcyjnych brunetek, których nazwisko zaczyna się na N.

– Coś innego musiało go zatem skłonić do zainteresowania się tą ofiarą. Może to ten typ faceta, który ma słabość do fajnych biustów. Może gdy już dotrę do tych cyków, dowiemy się czegoś więcej.

Z sekundy na sekundę Pearl coraz bardziej wycofywała się z łazienki. Doszła do wniosku, że Quinn sam sobie poradzi z tym wstrętnym patologiemi. Gdy była już w progu, jej uwagę zwróciły jeszcze lśniące czarne buty Nifta, wyczyszczone równie skrupulatnie, jak szczątki Florence Norton. Umysł zapamiętuje różne dziwne obrazy. Pearl była przekonana, że jeszcze jako starszka będzie wspominać te wypolerowane czarne czubki na tle czystych kafelków i kredowobiałego ciała ułożonego w stosik w wannie.

– Zamknąłeś jej oczy? – zapytał Quinn, gdy Pearl była już na zewnątrz.

– Oczywiście, że tak – usłyszała jeszcze odpowiedź Nifta. – Nie podobało mi się, jak na mnie patrzyła.

Jaki wrażliwy!

Pearl podeszła do małego biurka, które stało przy oknie, żeby Florence mogła w ciągu dnia pracować przy naturalnym świetle.

– Skończyliście tutaj? – zapytała jednego z techników.

Skinął głową.

– Zebraliśmy, co się dało. Teraz wasza kolej.

Mimo to Pearl włożyła rękawiczki, zanim otworzyła górną szufladę. Może Florence знаła swojego mordercę i zanotowała jego nazwisko w książce adresowej? Takie rzeczy się zdarzały. Ale nie tym razem. W biurku znajdowała się co prawda wysłużona książka adresowa, ale zawierała niemal wyłącznie numery telefonów różnych fachowców i dostawców oraz kolegów i koleżanek z pracy. No i kobiet. Można było odnieść wrażenie, że Florence nie prowadziła intensywnego życia romantycznego. Choć oczywiście te numery i tak mogły się przydać.

Poza książeczką adresową Pearl znalazła w biurku całą masę banalnych rzeczy, takich jak długopisy, ołówki, znaczki, papeteria, zapłacone rachunki, anulowane czeki czy karty kredytowe. Leżały tam też automatyczna pieczętka z imieniem i nazwiskiem ofiary oraz stosik starych bloczków po czekach. Pearl odkładała je na bok w to samo miejsce co notatnik z adresami i książeczkę czekową. W plastikowych przegródkach Florence trzymała płataninę gumek recepturek oraz spinacze do papieru. Z nieopłaconych rachunków wynikało, że obciążenie na jej MasterCard wynosi obecnie ponad pięć tysięcy dolarów. Też sposób na długi, pomyślała Pearl, przypominając sobie, że sama musi uregulować rachunki.

Starając się nie wchodzić w drogę technikom, przeszła do pokoju obok. Na stoliku przy drzwiach leżała torebka Florence, oczywista podróbka Prady. Fedderman i mundurowy rzucili jej porozumiewawcze spojrzenie, po czym odsunęli się trochę, by zrobić jej miejsce. Ciągłe jeszcze dyskutowali o czymś przyciszonym głosem. Pearl usłyszała, jak Fedderman wspomina o włoskiej restauracji, w której obaj zwykli kiedyś jadać. Zastanawiał się, czy lokal nadal istnieje. *Świetna detektywistyczna robota, Feds. Na pewno dzięki temu czegoś się dowiesz.*

Zaczepiła wzrokiem tego samego technika co wcześniej i wskazała na torebkę. Skinął głową, po czym zignorował ją dokładnie tak samo jak Fedderman i funkcjonariusz w mundurze. Pearl ostrożnie rozpięła torebkę i zaczęła przeglądać jej zawartość: wymięta chusteczka, mały składany parasol, który po otwarciu mógł mieć najwyżej trzydzieści centymetrów średnicy, trochę drobnych, malutkie okrągłe lusterko, grzebień, szminka, kondom w opakowaniu (czyżby Florence ciągle jeszcze miała nadzieję?), pół paczki cytrynowych cukierków na kaszel, wreszcie opasły czerwony portfel.

Pearl nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego morderca wybrał tym razem zdecydowanie mało urodziwą ofiarę po czterdziestce, nie zaś przed – jak w poprzednich przypadkach. Czyżby umarła tylko z powodu swojego inicjału? Quinn przecież miał rację, gdy stwierdził, że wiele młodszych i bardziej atrakcyjnych brunetek nosi nazwisko rozpoczynające się na literę N. Dlaczego zatem Florence?

Pearl postanowiła przejrzeć jej portfel. Delikatnie wydobyla go z torebki, po czym go otworzyła. Dużo kart kredytowych, zdecydowanie za dużo. Zastanawiała się, jak bardzo ich ofiara była w sumie zadłużona. A może, jak wiele innych kobiet, traktowała te karty tylko jako zabezpieczenie? Jak plastikową zbroję. Może czuła się bogatsza wyłącznie z racji ich posiadania?

Rachunki wsunięte do portfela sumowały się do kwoty dwudziestu siedmiu dolarów. Wśród nich znajdował się stary bilet z teatru na sztukę *I Love You, You're Perfect, Now Change*. Nie było żadnych zdjęć. Pearl znalazła natomiast kartę do nowojorskiej biblioteki publicznej, mały plastikowy kalendarzyk od firmy ubezpieczeniowej, Metrocard i zalaminowaną kartę ubezpieczenia zdrowotnego. Przyjrzała się uważnie tej ostatniej. Florence korzystała z usług firmy, o której Pearl nigdy wcześniej nie słyszała. Ale co właściwie Pearl wiedziała o ubezpieczeniach. Na karcie widniał numer konta oraz data ważności, upływająca za sześć miesięcy. Na odwrocie umieszczone zostały podstawowe informacje o ubezpieczonym. Wynikało z nich, że Florence mierzyła metr pięćdziesiąt siedem i że w grudniu skończyłaby czterdzieści cztery lata...

Pearl poczuła na plecach zimny dreszcz. Stała w bezruchu, wpatrując się w tę kartę. Gdyby

kiedyś nie kochała Quinna i z nim nie mieszkała, mogłaby nie zwrócić na to uwagi.

Wróciła do łazienki z kartą ubezpieczeniową w dłoni. Quinn ciągle jeszcze przyglądał się, co robi Nift. Niektóre części ciała ofiary zmieniły położenie, na przykład głowa spoczywała w pobliżu odpływu. Quinn spojrzął na Pearl z miną zupełnie pozbawioną emocji. Jako prawdziwy profesjonalista potrafił trzymać emocje na wodzy. Mary i zupełnie niepożądane obrazy miały się pojawić w jego głowie dopiero później.

Fedderman zakończył rozmowę z mundurowym i również stanął w drzwiach do łazienki.

– Jezu Chryste! – jęknął miękko, zaglądając do środka przez ramię Pearl.

– On pewnie gdzieś tu jest – zripostował Nift, ciągle jeszcze nachylony nad wanną. Jego głos odbił się głuchym echem od jej porcelanowej powierzchni. – Jeśli sobie życzyacie, to Go zawołam.

– Życzylibyśmy sobie, żebyś się poszedł spotkać z Nim osobiście – powiedziała Pearl.

Podawała Quinnowi kartę ubezpieczenia medycznego Florence. Rzucił na nią okiem, po czym spojrzął pytająco na Pearl.

– Data urodzenia ofiary – stwierdziła. – Czwarty grudnia. Taka sama jak twoja.

Usłyszawszy to, Nift na chwilę przerwał pracę i popatrzył na nich. Pearl natychmiast pożałowała, że przekazała Quinnowi tę informację w jego obecności.

– Ty i ofiara obchodziliście urodziny tego samego dnia?

– Na to wygląda – odparł Quinn.

– To pewnie dlatego zabójca nie mógł aż tak wybrzydzać w kwestii wyglądu – stwierdził Nift. – Zależało mu na takiej, która obchodziłaby urodziny w konkretnym dniu, a do tego miała nazwisko na N. Dlatego zabił taki pasztet.

Pearl nie wytrzymała:

– Dupek!

Quinn chwycił ją mocno za ramię i odciągnął od Nifta. Gdy wyprowadzał ją z łazienki, słyszała, jak Nift rechocze.

– To jest taki... taki... – cedziła Pearl przez zęby.

– Ale ma rację – stwierdził Fedderman ponuro. – Najpierw był liścik do Renza, w którym była mowa o Quinnie. Potem ofiary, których nazwiska zaczynały się na kolejne litery nazwiska „Quinn”, a teraz mamy kobietę, która obchodziła urodziny w tym samym dniu co Quinn. Spełniła aż dwa kryteria. Dlatego zabójca zadowolili się Florence, choć nie spełniała wszystkich jego oczekiwań...

– Feds, może byś tak...

– Wyluzuj, Pearl. – Quinn oddał jej kartę ubezpieczeniową Florence Norton. – Ostatecznie tak się „przypadkiem” złożyło, że jedna z ofiar zajmowała twoje byłe mieszkanie.

– To co to wszystko znaczy? – dociekała Pearl, ciągle jeszcze zbyt wściekła, przede wszystkim na Nifta, żeby trzeźwo myśleć.

– Sugerowałoby to, że zabójca tak zmanipulował policję, żebyśmy razem z Quinnem zostali przydzieleni do tej sprawy – powiedział Fedderman. – Zapisując nazwisko Quinna, kończy swoje dzieło. Wybrał ofiarę, która obchodziła urodziny w tym samym dniu co on, żeby rozwiązać ostatnie wątpliwości.

– I żeby nam powiedzieć, że to on tu rządzi – dodał Quinn. – Żeby nas przedstawiać jak pionki.

Pearl kilka razy głęboko odetchnęła i przestała się tak denerwować na Nifta. Teraz jej umysł zaprzątnęło coś innego, a wściekać powinna się na zabójcę.

– Naprawdę sądzisz, że o to w tym wszystkim chodzi?

– Taką możliwość na pewno trzeba wziąć pod uwagę – podsumował Fedderman.

- Wszyscy doskonale wiemy, kiedy będzie można powiedzieć coś na pewno.
- Miała naprawdę niezłe cycki! – zakrzyknął Nift z łazienki.
- Pearl ruszyła w jego kierunku, ale tym razem powstrzymał ją Fedderman.
- Nie zwracaj uwagi na tego małego gnojka, Pearl. On ci celowo próbuje zaleźć za skórę.

Masz teraz inne rzeczy na głowie.

Oboje doskonale wiedzieli, co Quinn ma na myśli. Nie ulegało wątpliwości, że zabójca potrafi poprawnie przeliterować nazwisko Quinna. A ono pisało się przez dwa N.

## Rozdział 13

Manhattan przypominał trochę wielki piec, który co prawda został zamknięty, ale nie na długo. Już kolejny poranek z rzędu witał wszystkich temperaturą tak wysoką, że aż nieprzyjemną. Kilometry betonu ciągle jeszcze oddawały wczorajszy skwar, a pod wpływem upałów napięcie z dnia na dzień narastało. Gdzieś w oddali wyły syreny, jak gdyby uskarżając się na meteorologiczną niesprawiedliwość świata.

– Od początku było wiadomo, że sobie z nami pogrywa – powiedział Harley Renz. – Nie wiedzieliśmy tylko, jak poważnie do tego podchodzi.

Siedzieli w gabinecie Renza w siedzibie głównej nowojorskiej policji. Przynajmniej było tu chłodniej niż na zewnątrz. Pokój był mały i wyglądał trochę tak, jak gdyby urządził go Eliot Ness. W szklanej gablocie za biurkiem Renza wisiał pistolet maszynowy Thomson, a ścianę zdobiły oprawione w ramki certyfikaty i nagrody, które Renz zgromadził, walcząc lub podstępem. Znalazło się tam również miejsce dla zdjęcia, na którym ściskają sobie dłonie z burmistrzem, a także dla starszej fotografii, na której wykonuje podobny gest na jakimś podium. Na tym drugim zdjęciu młodsza wersja Renza, o mniej obwisłych policzkach, unosiła prawą dłoń, jak gdyby sam zainteresowany miał się zaraz zaciągnąć trzymanym w dłoni papierosem – tyle że tego papierosa ktoś ze zdjęcia usunął i w rezultacie Renz wyglądał trochę tak, jak gdyby chciał dać komuś znać, że interesuje go liczba dwa.

Quinn siedział między Pearl a Feddermanem po drugiej stronie szerokiego biurka. Rozglądał się wokół. Zwrócił uwagę, że absolutnie wszystkie elementy wyposażenia tego gabinetu albo spełniają konkretną funkcję praktyczną, albo mają za zadanie głosić chwałę jego właściciela. Przypuszczał, że Renzowi dokładnie o to chodziło. Quinn uświadomił sobie, że podczas każdej jego wizyty w tym pomieszczeniu na biurku leżały teczki i rozłożone papiery, jak gdyby Renz zajmował się właśnie jakąś sprawą. I tym razem faktycznie mogło tak być, ponieważ Quinn dostrzegł raport z sekcji zwłok Florence Norton.

– Zabójca musiał się bardzo postarać, żeby znaleźć ofiarę urodzoną w tym samym dniu co Quinn – zauważyła Pearl.

Renz miał na tyle mocną pozycję, że przypadł mu w udziale gabinet z oknem. Światło wpadające do środka przez zasłony rozjaśniało czarne włosy Pearl, przywodzące na myśl krucze skrzydła.

– Nasz koleś jest niewątpliwie zaradny – stwierdził Renz. – Wy też będziecie się musieli wykazać zaradnością, żeby go złapać.

Pearl uznała, że na taką uwagę nie trzeba odpowiadać.

– Laboratorium znalazło jakieś ślady? – zapytał Quinn.

Jego uwagę zwrócił nowy element na biurku Renza, a mianowicie mała srebrna ramka. Quinn wiedział, że Renz nie ma żony ani dzieci. Zastanawiał się więc, kto lub co widnieje na zdjęciu umieszczonym w tej ramce. Może jakaś nowa miłość?

Renz obrócił się w tę i z powrotem w swoim brązowym skórzanym fotelu, kręcąc przy tym głową.

– Technicy nic nie znaleźli. Morderca zostawił po sobie tylko śmierć. Ten nasz świr jest patologicznie porządny. – Pochylił się nieco do przodu, założył na nos małe okulary bez oprawek, które służyły mu do czytania, i zajrzał do akt Florence Norton. – Z sekcji zwłok wynika, że zgon nastąpił w wyniku utonięcia, tak samo jak w poprzednich przypadkach.



Wchłonęła prawie połowę zawartości wanny. Do rozczłonkowania ciała użyte zostały nóż lub noże, tasak lub topór oraz taka sama lub podobna piła – do rozcinania stawów, z którymi słabsze narzędzia nie dały sobie rady.

– Piła elektryczna? – zapytał Fedderman.

Renz skinął głową, nie zaglądając do dokumentów. Światło wpadające przez okno odbiło się w okularach, nadając mu dostojny i intelektualny wygląd.

– Tak samo jak w przypadku innych ofiar. Taką piłę może kupić w Home Depot każdy, kto zapragnie sobie zbudować taras.

– Aha – padło z ust Feddermana.

Pearl jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że Fedderman miałby budować jakikolwiek taras i nie uciąć sobie przy tym przynajmniej jednego palca.

– Do oczyszczenia części ciała Florence – ciągnął Renz – wykorzystany został whoosh, popularny środek do zmywarki. Puste plastikowe opakowanie zostało znalezione na podłodze za komodą. Pusta butelka po środku do czyszczenia dywanów, podobnie jak wyciśnięte opakowanie po whooshu wytarta ze wszelkich odcisków palców, leżała przewrócona na korytarzu w pobliżu łazienki. W łazience znajdował się pusty pojemnik po wybielaczu, zamknięcie leżało w zlewie. Najwyraźniej użyte zostały wszystkie trzy detergenty, przy czym środek do zmywarki na końcu. Nasz czyścioch wykorzystuje wszystko, co ma pod ręką.

– Wszystkie pojemniki wytarte? – zapytał Quinn.

– Widać ślady wycierania. Widać też ślady po gumowych lub lateksowych rękawiczkach, które sprawca zapewne nosił.

– Tak samo jak przy pozostałych zbrodniach – powiedziała Pearl.

– Tak samo jak przy pozostałych zbrodniach – powtórzył Renz i zaraz dodał: – Tu też nie mamy na czym pracować.

– Możemy być za to pewni, że morderca szuka kolejnej ofiary na N – stwierdził Fedderman.

Jeden z mankietów jego białej koszuli jak zwykle zwisał niezapięty, a mocno za długi rękaw wystawał z marynarki. Fedderman zupełnie odruchowo zapiął go w trakcie tej wypowiedzi. Niesforny guzik jednak od razu wyskoczył z dziurki.

– Pozostaje zatem pytanie – zaczął Renz – ile powinniśmy powiedzieć mediom.

– Tyle, ile się w końcu sami dowiedzą – odparł Quinn – czyli wszystko. Im więcej informacji zostanie podane do wiadomości publicznej, tym bardziej rosną szanse, że coś się z tego urodzi.

– Poza tym musimy się zachowywać odpowiedzialnie – dodała Pearl.

– Odpowiedzialnie? – Renz wydawał się zaskoczony, jakby zetknął się z jakimś obcym słowem.

– Powinniśmy przestrzec ciemnowłose kobiety, których nazwisko zaczyna się na literę N, że czyha na nie szczególne niebezpieczeństwo.

– To one jeszcze tego nie wiedzą? – zdziwił się Renz.

– Nie wszystkie. I nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji.

Renz spojrzał pytająco na Quinna. Słońce ponownie odbiło mu się w okularach, tym razem także przydając mu powagi.

– Pearl ma rację – stwierdził Quinn. – Mamy obowiązek je ostrzec. Ten świr doprowadza sprawy do końca, więc na pewno zamierza przeliterować moje nazwisko w całości.

– Musimy koniecznie zadbać o to, żeby ostrzeżenie do nich dotarło – naciskała Pearl.

Niewykluczone, że nawet trochę przesadzała, tak w każdym razie można by sądzić po minie Renza. Sama Pearl doskonale wiedziała, co się o niej mówi: że za bardzo się angażuje i że czasem traci przez to panowanie nad sobą. Spojrzała na Feddermana, szukając u niego wsparcia.

– Zdecydowanie – poparł ją.

– To nie tylko moralnie słusznie, ale rozsądne także z politycznego punktu widzenia – postanowił się włączyć Quinn. – Zbieg tych dwóch czynników to rzadkość, koniecznie powinieneś to wykorzystać, Harley.

– To brzmi rozsądnie – stwierdził Renz. – Wystosuję oświadczenie dla prasy. Zostanie w nim jasno powiedziane, że następną ofiarą Rzeźnika będzie najprawdopodobniej brunetka w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat, której nazwisko zaczyna się na literę N.

Pearl uśmiechnęła się z zadowoleniem. Jeśli któraś z mieszkanek Nowego Jorku jeszcze o tym nie słyszała, to do jutra z pewnością dowie się o całej sprawie. Brunetki będą się masowo farbować na blond.

– A co z datą urodzenia? – zapytał Fedderman.

– Nie wspominajmy o tym – powiedział Renz. – Nie ma żadnej pewności, że zabójca ponownie się nią posłuży, a podanie tej informacji mogłoby uspokoić kobiety, które obchodzą urodziny w inny dzień niż Quinn.

Pozostali przyznali mu rację. Zanim wyszli z gabinetu Renza, Quinn podjął jeszcze wysiłek ustawienia swojego krzesła w jednym rzędzie z innymi. Dzięki temu zyskał szansę, żeby rzucić okiem na zawartość srebrnej ramki stojącej na biurku Renza.

Znajdował się w niej... Renz.

Wśród rzeczy Florence Norton nie znaleziono wibratora w kształcie telefonu komórkowego, ale Pearl się nudziła, więc stwierdziła: czemu nie? Nie zaszkodzi przecież, gdy pójdzie wieczorem do Nuts and Bolts. W końcu wydawało się, że tylko ten lokal w jakikolwiek sposób łączy ich ofiary, a w każdym razie dwie spośród nich.

Zgodnie z przypuszczeniem Pearl w godzinach otwarcia lokal prezentował się lepiej za sprawą oświetlenia i rzeszy klientów. Miękkie światło, tłumione przez rzędy kryształowych żyrandoli, pomagało tuszować niedoskonałości wystroju i bywalców. Wnętrze wypełniała też muzyka, ale stanowiła tylko tło. Przy fortepianie, którego Pearl nie zauważyła podczas swojej poprzedniej wizyty, siedziała kobieta i pozornie bez żadnego planu i zamysłu, w pełni zdając się na swoją wyobraźnię, wygrywała spokojne i melodyjne dźwięki. Jakimś cudem udawało jej się stworzyć w ten sposób zupełnie przyjemną, odprężającą atmosferę.

Stoliki były w większości zajęte, podobnie jak stołki przy barze. Za ladą stała Victoria, która w tym sprzyjającym świetle prezentowała się znacznie urodziwiej. Miała na sobie kolorową bluzkę z lekkim dekoltem, włosy upięła, ale nie tak wysoko jak wcześniej, a ciemna grzywka rozdzielała się pośrodku, dzięki czemu jej oczy sprawiały wrażenie większych.

Pearl podeszła do baru i stanęła przy jednym z wolnych stołków, w pobliżu białego ręcznika rozłożonego na ladzie. To stąd kelnerzy zabierali drinki, które przyrządziła Victoria.

– Duży ruch – powiedziała Pearl, gdy Victoria ją zauważyła i stanęła obok.

Barmanka się uśmiechnęła.

– Wbrew narzekaniom Sinclaira nie narzekamy na brak klientów.

– Szefowie już tak mają, że narzekają – podsumowała Pearl jak jedna kobieta pracująca do drugiej.

– W większości tak. Coś pani podać czy jest pani na służbie?

– Nie jestem, może być bud light.

– Piwoszka, co?

– Wiadomo – powiedziała Pearl. – Piwo i pączki. Taki już los policjanta.

Victoria nalała piwo z kija i postawiła przed Pearl najpierw podstawkę, a potem szklanę.

– Nie wierzę w stereotypy.

– Ja też nie – odrzekła Pearl. Rozejrzała się wokół. – Większość waszych klientów stanowią kobiety, takie porządnie ubrane, przyzwoite. To samo można powiedzieć o mężczyznach. W większości po trzydziestce albo czterdziestce. Na tyle dojrzały, żeby bawić się rozsądnie. Tak przynajmniej wyglądają na pierwszy rzut oka. A tymczasem w rzeczywistości potrafią zaskoczyć.

– Jako policjantka na pewno pani coś o tym wie. – Victoria najwyraźniej zapomniała, co sądzi o stereotypach.

Przeprosiła Pearl i przeszła na drugą stronę baru, żeby obsłużyć parę, która właśnie weszła. Zarówno kobieta, jak i mężczyzna zamówili coś, co wyglądało na martini. Kobieta zanurzyła usta w swoim drinku, po czym się uśmiechnęła. Pearl przez chwilę słuchała muzyki. Nie rozpoznawała żadnych melodii, co utwierdziło ją w przekonaniu, że pianistka improwizuje. Tak czy owak, muzyka była urzekająca. Zawsze ją to dziwiło, że w Nowym Jorku niesamowite talenty spotyka się niemal na każdym kroku, w zupełnie nieoczekiwanych miejscach.

Victoria wróciła i powiedziała:

– Większość naszych klientów to single, a przynajmniej za takowych się podają. Jeśli przychodzą sami, czasami udaje im się nawiązać jakieś znajomości. Między innymi na tym polega urok tej knajpy.

– Niech Bóg błogosławi znajomości – odrzekła Pearl, unosząc swoją zroszoną szklankę w formie toastu, po czym wzięła łyk cudownie zimnego piwa, które bardzo dobrze wchodziło.

– Amen! – stwierdziła Victoria. – Problemy najczęściej sprawiają ci, którzy zostają do późna.

– Zostają samotnie do późna?

Victoria chwilę się nad tym zastanowiła.

– Tak. Może się wtedy wkurzają, że już się tego wieczora nie załapią na szybki numer.

Pearl ponownie uniosła szklankę.

– Niech Bóg błogosławi szybkie numerki.

– Lubię myśleć, że błogosławi – stwierdziła Victoria.

Przy barze pojawił się mężczyzna, dobrze wyglądający jak na czterdziestkę. Niemal otarł się o Pearl, która wyraźnie poczuła od niego wibracje i zapach wody kolońskiej albo wody po goleniu. Postanowiła obejrzeć go sobie w lustrze wiszącym za barem. Twarz miał zupełnie zwyczajną, był średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała. Sprawiał jednak wrażenie zadbanego. Miał na sobie elegancki garnitur, białą koszulę i bliżej nieokreślony krawat. Kobieta właściwie nie miałaby na co narzekać, przynajmniej jeśli chodzi o fizjonomię. Gdy ich wzrok spotkał się w lustrze, uśmiechnął się do niej życzliwie, po czym zwrócił do Victorii i wyciągnął w jej kierunku coś złotego. Pearl spojrzała na przedmiot. Była to zapalniczka, cienka jak nóż i na pierwszy rzut oka dość kosztowna.

– Znalazłem to wciśnięte między poduszki – powiedział mężczyzna. – Pewnie komus wypadło.

– Tu nie wolno palić – stwierdziła Victoria.

– Wiem o tym, ale uznałem, że tak czy owak ktoś może zechcieć to odzyskać.

Victoria przyjęła zapalniczkę.

– Położę ją na półce na widoku. Może ktoś się po nią zgłosi. Jeśli nie, będzie mógł pan ją sobie zabrać.

– Ja nie palę – odrzekł mężczyzna. Odepchnął się od baru, a po chwili zastanowienia dodał jeszcze: – Dziękuję.

– Z pana to dobry samarytanin – powiedziała Victoria. Kiedy odszedł, uśmiechnęła się do Pearl. – Powinna się pani była odezwać. Zyskałaby pani ładną zapalniczkę.

– Co najmniej – stwierdziła Pearl.

Victoria się roześmiała: głośno i bez skrępowania.

– Tylko że ja też nie palę – dodała Pearl. – A pani?  
– Gdy nikt nie widzi, jak wiele innych osób. – Mrugnęła porozumiewawczo do Pearl. – Gliniarze też na pewno mają swoje tajemnice, prawda?  
– Ma pani na myśli powody, dla których tu dzisiaj przyszłam?  
– Właśnie.  
– Chciałam zobaczyć lokal, w którym dwie z ofiar spędzały czas – wyjaśniła Pearl – żeby lepiej zrozumieć, co to były za kobiety.  
– Mogę zapytać, czy jest pani zamężna albo z kimś związana? – dociekała Victoria.  
– Jasne. Nie będę z tego robić tajemnicy. Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie.  
– W takim razie powinna to pani rozumieć. Przychodzą tu zupełnie przeciętne, aktywne zawodowo kobiety. Pracują w biurkach w okolicy. Przychodzą też przeciętni pracujący faceci. Typowe białe kołnierzyki. Zmęczeni po całym dniu przesiadywania za biurkiem chcą się czegoś napić. Czasem liczą na zrozumienie, którego żona im nie okazuje. Chyba próbuję pani przez to powiedzieć, że za wiele się pani tu o swoich ofiarach nie dowie poza tym może, że prowadziły mniej więcej przeciętne życie.

Pearl doskonale знаła to przeciętne życie.

– Jasne, tyle że tak się składa, że przychodziły do Nuts and Bolts.  
– Chodziły też pewnie do innych lokali w okolicy.  
– No i kupiły od pani telefony Dial In.  
– Owszem, kupiły. A ile zna pani dorosłych kobiet, które nie mają wibratora?  
– Znowu wracamy do tych tajemnic – powiedziała Pearl.

Victoria raz jeszcze głośno się roześmiała.

Tłum w lokalu zdawał się zagęszczać, a szmer rozmów jakby się ożywił. Z fortepianu dobiegały też głośniejsze, rozpoznawalne brzmienia: *Night and Day* – jedna z ulubionych piosenek Pearl. Chętnie by została jeszcze trochę i posłuchała, ale pewnie nie powinna. Zresztą Victoria miała rację. Tutaj za wiele się już nie dowie. To jeden z nocnych lokali, jakich na Manhattanie nie brakuje. Zupełnie spokojnie mogłaby tu przychodzić z Quinnem, gdy jeszcze byli parą.

Quinn. Dlaczego myślę o Quinnie? Dalej jest zainteresowany, chociaż wie, że mnie już przeszło. Koniec. To już koniec.

Hipnotyzujące dźwięki rozbrzmiewały z dużą siłą.

– Jeszcze jedno? – zapytała Victoria.

Pearl opuściła wzrok i z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że ma przed sobą pustą szklankę.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Jutro wcześniej zaczynam.

Położyła kilka banknotów na barze i ruszyła w stronę wyjścia.

– Myślałam, że może coś pani odkryła – zagadnęła jeszcze Victoria. – Sprawiała pani wrażenie zamyślanej, jak gdyby do czegoś pani doszła.

– Szkoda, że to tak nie działa: wypić piwo, a potem do czegoś dojść. To były tylko przypadkowe rozmyślenia, żadne wielkie dochodzenie. – *Gliniarze też przecież mają swoje sekrety, nie?*

– Do zobaczenia.

– Być może – odrzekła Pearl.

Victoria odprowadziła ją wzrokiem. Polubiła tę policjantkę. Jakoś tak jej współczuła, bo dostrzegła w niej jakiś smutek. Może to dlatego, że z racji swojego zawodu dostrzegła na ogół w ludziach to, co najgorsze.

Mężczyzna siedzący trzy stołki dalej zamówił whisky z lodem, więc Victoria poszła nalać mu

drinka. Po drodze przyglądała się złotej zapalniczce, którą ktoś zgubił. Sprawiała wrażenie naprawdę kosztownej, może była nawet z prawdziwego złota. Coś też na niej wygrawerowano: fantazyjną literę N.

## Rozdział 14

Podziemne tunele metra tworzyły układ krążenia tętniący tuż pod powierzchnią miejskich tkanek.

Dość wyszukane to skojarzenie. Marilyn raczej się na takowe nie zdobywała.

Marilyn Nelson uwielbiała podróżować metrem. Chłoneła chłodną bryzę wiejącą od nadciągającego składu, wypatrywała reflektorów świdrujących głębie mrocznego tunelu, fascynowała się pędem powietrza i metalicznym zgrzytem oraz całym tym napięciem towarzyszącym pomrukowi pociągu. Obserwowała przejeżdżające jeden za drugim wagony i rozświetlone okna jak zdjęcia różnych ludzi, które pojawiały się na sekundę i zaraz znikwały. Nic nie wskazywało na to, aby pociąg miał zwolnić. Należało się spodziewać, że po prostu przemknie przez stację. On tymczasem hamował niby łagodnie, ale też zaskakująco gwałtownie, zupełnie jak żywe stworzenie nagle pozbawione energii. A potem niemal w jednej chwili się zatrzymywał. Moment przerwy, po czym drzwi otwierają się ze świstem i ludzie zaczynają wylewać się na peron oraz wciskać do środka.

Marilyn mieszkała w Nowym Jorku od jakichś czterech miesięcy. Większą część swego dorosłego życia spędziła w Omaha w stanie Nebraska. Omaha to zupełnie przyzwoite miasto, myślała, ale gdzież mu do Times Square, Village czy Central Parku. Nie ma też metra, które dla Marilyn stanowiło kwintesencję jej nowego miejsca zamieszkania.

Wyszła spod ziemi na wysokości Zachodniej Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, w pobliżu parku. Jak zwykle z fascynacją rozmyślała o tym, jak szybko może tu dotrzeć metrem ze swojego mieszkania w pobliżu Washington Square. Było późne niedzielne popołudnie. Promienie zachodzącego słońca wpadały do parku między budynkami i rozświetlały jej ciemne włosy. Szczupła i atrakcyjna kobieta w białej bluzce z dużymi naszywanymi kieszeniami i w obcisłych dżinsach, gładko przylegających do ciała na całej długości, z wyjątkiem dużych kieszeni na obu udach, przyciągała wzrok absolutnie wszystkich mijanych mężczyzn. Gruby skórzany pas i buty z frędzelkami tylko dodawały jej uroku. Oba dodatki były czarne, a pasek miał jeszcze dużą srebrną klamrę, która dobrze się komponowała z połyskliwymi ćwiekami na botkach.

Im głębiej Marilyn wchodziła do parku, tym większa cisza ją otaczała. Po chwili zeszała z asfaltowej ścieżki na miękką ziemię, po której przyjemniej się szło. Ruszyła przez trawnik w kierunku miejsca, w którym miał się odbyć koncert Rossa Bossoma i jego zespołu.

Marilyn dorastała przy dźwiękach jego nagrań, a potem uważnie śledziła jego karierę, gdy już wypadł z głównego nurtu i zaczął eksperymentować. Darmowy koncert. Przeczytała o nim w „Village Voice”. W Omaha takie rzeczy raczej się nie zdarzały, a w każdym razie niezbyt często. Tutaj, w Nowym Jorku, niemal każdy dzień przynosił jakieś niespodzianki. „Szczęśliwe zbiegi okoliczności”, mówiła, uśmiechając się do siebie. „Miasto szczęśliwych zbiegów okoliczności”.

Zobaczyła scenę, na której miał występować Bossomo. Nagłośnienie zostało już rozstawione, głośniki zamontowano nawet na pniach okolicznych drzew – pasami i linami, żeby nie niszczyć przyrody. Gdy tylko słońce zajdzie, wydarzy się tu coś niezwykłego. Kto wie, może ludzie będą podnosić świeczki i zapalniczki, jak to kiedyś zawsze bywało podczas koncertów. Chociaż Nowy Jork to miasto, w którym obowiązuje prawie całkowity zakaz palenia.

Przyspieszyła kroku. Włosy kołysały się synchronicznie z biodrami. Frędzle przy butach unosiły się wraz z każdym krokiem, a duże zewnętrzne kieszenie tylko dodatkowo podkreślały

kształt pośladków schowanych pod obcisłym dżinsem. Na razie w okolicy nie było nikogo innego w takich spodniach czy choćby w podobnej bluzce bez rękawów, z wielkimi kieszeniami i dużymi mosiężnymi guzikami – to się jednak miało wkrótce zmienić. Jej praca polegała między innymi na tym, żeby to zmienić. Jej praca polegała między innymi na tym, by występować w strojach z linii Rough Country.

Głośniki zaczęły szumieć, a Marilyn wraz z nimi. Rozległy się dźwięki starego hitu Rossa Bossoma *Love Goin' to Pieces*.

Rzeźnik odwrócił się, żeby zobaczyć, co tak fascynuje tych wszystkich mężczyzn. Widok zaparł mu dech w piersiach. Nigdy wcześniej nie widział, by kobieta tak się poruszała. Straszna szkoda, że ostatnio stał się taki wybredny. Inaczej z pewnością znalazłaby się wśród jego trofeów.

Musiał ją mieć. Tyle że jako człowiek skrajnie zdyscyplinowany nie zawsze pozwalał sobie posiąść to, co mieć musiał. Było to dla niego zresztą źródłem wielkiej dumy.

Kobieta skręciła i wspinała się teraz pod niewielką górką. Jej ciało nachylało się ku przodowi, aby zneutralizować skutki pochyłości. Zmierzała w kierunku miejsca, w którym stał wraz kilkunastoma innymi osobami przybyłymi na koncert z pewnym wyprzedzeniem. Na jej twarzy dostrzegł lekki uśmiech. Usta miała ściągnięte, jak gdyby coś nucila. Wszyscy inni prawdopodobnie zdecydowanie bardziej interesowali się słuchaniem muzyki niż przyglądaniem się pozostałym uczestnikom koncertu. On o Rossie Bossomie właściwie nie słyszał.

– Joe?

Odwrócił się w kierunku drobnej brunetki, z którą rozmawiał, żeby poznać jej nazwisko. Uśmiechnął się do niej.

– Przepraszam, rozmarzyłem się.

Rzuciła okiem w kierunku kobiety w butach z frędzelkami i pokręciła głową.

– Już ja wiem, co to były za marzenia. – Sprawiała wrażenie poirytowanej.

Uśmiechnął się do niej czarująco.

– Nie miałem jeszcze okazji poznać twojego nazwiska.

Kobieta prychnęła i odsunęła się od niego.

– Imienia też nie. I chyba nie poznasz.

*Wal się*, pomyślał sobie. Ponownie skupił się na kobiecie w butach z frędzelkami. Skoro już został za to skarcony, to chyba mógł sobie spokojnie jeszcze trochę popatrzeć.

Podobnie jak wiele pięknych kobiet, szczególnie zaś tych, które ubierają się raczej odważnie i czerpią radość z okazywanego im zainteresowania, sprawiała wrażenie przyzwyczajonej do obcych spojrzeń. Nie obrażała się, że ludzie na nią patrzą. Właściwie to odbierała to jako rodzaj hołdu.

*Ale się ubrała!* Lecz ten dość specyficzny strój, wyraźnie przystosowany do aktywności na świeżym powietrzu, na niej prezentował się zupełnie dobrze. Na takim ciele jednak nawet szmaty świetnie by wyglądały. Ćwieki na botkach odbijały słońce, ale jego uwagę przykuła przede wszystkim duża klamra od paska. Wpatrywał się w nią uparcie. Czuł się trochę tak jak kiedyś, gdy podczas gry o wysoką stawkę dostał do ręki pokera. Wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście!

Duża klamra miała kształt fantazyjnej litery N.

*Monogram. Inicjał!*

Uspokoił się. Najpierw poker, teraz to? Nikt nie może mieć w życiu aż tyle szczęścia. Może to N to pierwsza litera jej imienia... Może ma na imię Nancy albo Norma, a może to po prostu logo producenta paska.

Szybko nad sobą zapanował. Uśmiechnął się, zebrał się w sobie i podszedł do kobiety. W pobliżu stało czterech mocno wytatuowanych kolesi wyglądających na motocyklistów. Rozmawiali. Jeden z nich – bez wątpienia potrafił sporo wycisnąć – zdjął koszulę i obwiązał sobie jej rękawy wokół pasa. Wyrzeźbione mięśnie tułowia zdobiły blade niebieskie tatuaże, świadczące o pobycie w więzieniu. Na chwilę przerwali i spojrzeli na Rzeźnika. Uśmiechnęli się lekko, jak gdyby chcieli dać mu w ten sposób do zrozumienia, że z taką kobietą po prostu nie ma szans. *Nie znacie mnie, dupki.*

– Nadine, to ty?

Jej brązowe oczy rzuciły mu badawcze spojrzenie. Dostrzegł w nich błysk inteligencji, który kazał mu zachować czujność. Wiedział dokładnie, kogo ona widzi: przystojnego faceta po trzydziestce, przeciętnego wzrostu, o dość typowych rysach twarzy, porządnie uczesanych ciemnych włosach i niebieskich oczach. W przeciwieństwie do tych wytatuowanych dziwaków był przyzwoicie ubrany i uśmiechał się z przekonaniem. Zawsze miał w głowie konkretną wizję samego siebie, jak gdyby sam również na siebie patrzył.

– Przykro mi – powiedziała. – Nie jestem Nadine.

Zrobił strapioną minę. Po chwili jednak ponownie przywołał uśmiech na twarz.

– Mnie również jest przykro. Nie widziałem Nadine już od dawna, a ty jesteś do niej bardzo podobna. Zwróciłem uwagę na twój pasek, na tę dużą literę N, i pomyślałem sobie...

– N jak Nelson – wyjaśniła.

Roześmiał się.

– Nie wyglądasz na Nelsona.

Ona również się roześmiała – lekko i naturalnie. Sprawiała wrażenie absolutnie sympatycznej dziewczyny. Takiej, która lubi ludzi. Z takimi zawsze szło łatwo.

– To tylko moje nazwisko.

– Aha! A jak masz na imię?

– Marilyn.

– Ładnie. – Przez chwilę, ale bardzo krótką, udawał, że rozmowa nagle utknęła w martwym punkcie. Chciał, żeby zwróciła na to uwagę.

– A kto to jest Nadine? – zapytała.

– Ktoś, kto był mi bardzo bliski. Ale to było dawno temu i zupełnie gdzie indziej.

– Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

Cofnął się o krok, ale potem zawrócił.

– Może to zrządzenie losu, że pomyliłem cię z Nadine.

– Losu?

– No wiesz, przeznaczenia.

– Nie wiem, czy wierzę w przeznaczenie.

– A w co wierzysz?

– Cóż, na razie to mi się wydaje, że próbujesz mnie poderwać.

Znowu udawał skonfundowanego. Stał na wprost niej z rękami mocno wciśniętymi w kieszenie spodni.

– Chyba za bardzo się staram. Przepraszam.

– Niech będzie.

– Z podrywem czy z przeprosinami?

Znów roześmiała się swobodnie.

– Może i z jednym, i z drugim.

Z głośników dobiegł pisk, najwyraźniej technik dopiero je ustawiał. Ludzie zaczęli się śmiać, narzekać albo zasłaniać uszy rękami.



Przystojny mężczyzna uśmiechnął się do Marilyn.

– Ten dźwięk to wyraz mojego zadowolenia z twojej odpowiedzi – stwierdził. Nie przeginaj na razie. Z tą musisz uważać.

Marilyn uznała, że nigdy nie słyszała czegoś równie sympatycznego. Poza tym mieli przecież ze sobą coś wspólnego, oboje lubili Rossa Bossoma.

– Ty mi się jeszcze nie przedstawiłeś – powiedziała.

Głośniki znów zaskrzypiały, więc się skrzywiła.

– Joe. Joe Grant.

– Grand?

Znowu odezwały się głośniki.

– Grant – powiedział. – Jak generał z okresu wojny secesyjnej. Ulysses.

– Wiem – odparła. – Ten po zwycięskiej stronie.

Opuścił wzrok.

– Tak w ogóle to podobają mi się twoje buty.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Świetnie. Mam na sobie ubrania Rough Country. To taka sieć ze Środkowego Zachodu. Na razie mają mały butik na próbę w Queens. Wkrótce zamierzają pojawić się w mieście na dobre. Właśnie dlatego tu jestem. Zajmuję się wystrojem wnętrz i specjalizuję się w przestrzeniach handlowych. Będę im urządzić sklepy.

– Utalentowana kobieta.

Zrobiła krótką pauzę, jak gdyby czekała, aż sam jej powie, czym się zajmuje. On jednak milczał. Uniósł głowę i wpatrywał się w drzewa. Słońce powoli zniknęło za horyzontem. Na koncert przyszło tyle osób, że można było mówić o tłumie. Szum rozmów i śmiechów stał się głośniejszy. Na scenie pojawiło się kilku niechlujnych facetów z instrumentami w dłoniach. Support. Kilka sekund później Marilyn powiedziała:

– Za chwilę zrobi się tu naprawdę tłoczno. Może spróbujemy przebić się trochę do przodu?

– Dobry pomysł – powiedział. – Chodźmy bliżej.

## Rozdział 15

W trakcie misji musiał koniecznie panować nad rozwojem sytuacji, musiał kurczowo trzymać rękę na pulsie. Sprawy toczyły się tak gładko, że coraz bardziej kusilo go, by sobie trochę odpuścić – zrelaksować się i cieszyć chwilą.

Rzeźnik usiadł w skórzanym rozkładanym fotelu, uniósł podnózek i trzymając w dłoni szklanke, w której kostki lodu pływały w jacku danielu, wpatrywał się w światła rozbłyskujące za szybą wysokiego okna. Miał poczucie, że to miasto należy do niego, a jeśli nawet jeszcze nie, to wkrótce tak się stanie. To miasto dopiero zaczynało się go bać. A on dopiero powoli zaczął zaciskać na nim swoją pięść. Gdy skończy, Nowy Jork będzie leżał u jego stóp. Ci wszyscy ludzie, którzy go teraz szukają, nawet nie potrafią sobie tego wyobrazić. Stanie się największym koszmarem najwspanialszej metropolii świata.

Z jaką łatwością zdołał nakłonić policję do ściągnięcia Quinna z emerytury! Z jaką łatwością doprowadził do tego, że Pearl Kasner, jego była partnerka – z pracy i z łóżka – zgodziła się znowu z nim współpracować. Wystarczyło trochę poszperać, troszeczkę się zaangażować... Tacy ludzie jak Pearl i Quinn brali do siebie to, że w ich mieście grasuje seryjny morderca. Tak już po prostu mieli. I w takiej sytuacji musieli działać.

Zabójca rozumiał ich pobudki, ponieważ sam żył podobną obsesją, sam się z tą obsesją zmagał. Jedyna różnica dotyczyła definicji słuszności, ta jednak była wynikiem subiektywnej oceny. W tej kwestii on i zespół Quinna mieli zupełnie rozbieżne zapatrywania – i to ich właśnie czyniło przeciwnikami idealnymi.

Rzeźnik z początku nie zamierzał angażować w sprawę Pearl, gdy jednak zaczął gromadzić informacje na temat detektyw Kasner (wówczas zatrudnionej w banku), trafił na adres, pod którym mieszkała, gdy pracowała nad ostatnią sprawą z Quinnem. Był mile zaskoczony, gdy stwierdził, że obecnie to mieszkanie zajmuje zupełnie ładna młoda brunetka – na tyle ładna, że z przyjemnością wykorzysta ją w roli wiadomości zaadresowanej do Quinna i Kasner. Stanie się dla nich jasne, że lokatorka tego mieszkania nie zginęła przypadkiem. Gliniarze zazwyczaj nie lubią przypadków. Podobnie jak zabójcy, którym udaje się uniknąć wymiaru sprawiedliwości.

Rzeźnik wypił łyk jacka daniela i uśmiechnął się do własnego oblicza w ciemnym oknie. Oto on, obserwujący samego siebie spoza siebie. Przezroczyste odbicie na powierzchni, która dzieli jego fizyczną postać od światła i łuny nocnego miasta. Świat tak właśnie wygląda. Składa się z kolejnych warstw farby nałożonej na rzeczywistość. Trzeba tylko umieć się między tymi warstwami poruszać. Trzeba wiedzieć, co zrobić, żeby żyć w kilku. On musiał się tego nauczyć za młodu, żeby przetrwać. A niektórych lekcji nigdy się nie zapomina. Można je potem z powodzeniem wykorzystywać. I dzięki temu zdobyć kontrolę nad sytuacją.

Ostatnią literę N wybierał niejako z konieczności. Tym razem jednak spodziewał się dużej przyjemności z pracy.

Po nudnym koncercie Rossa Bossoma odprowadził Marilyn Nelson do domu, ale do środka nie wszedł. Nie był jeszcze gotowy. Marilyn mu powiedziała, że nie wierzy w przeznaczenie. Uznał, że to głupie z jej strony. Ona może nie wiedziała, co ją w życiu czeka, ale on już tak.

Jedno nie ulegało dla niego wątpliwości: spotkanie i kontakt z Marilyn okazały się pouczające, ale jednocześnie zupełnie przyjemne. Jakoś wcześniej nie wpadł na to, żeby wykorzystywać monogramy czy inicjały z ubrań i dodatków, jak choćby duża klamra Marilyn, na etapie poszukiwania ofiar. A przecież kobiety często łechtały w ten sposób własne ego. Może mu

się to przyda w przyszłości. Może okaże się skuteczniejsze niż śledzenie obcych kobiet i przeszukiwanie skrzynek pocztowych. Taką właśnie metodą znalazł Florence Norton, a o ileż atrakcyjniejsza była Marilyn Nelson!

Wszystko układało się na tyle dobrze, że postanowił trochę się nią nacieszyć, zanim postanowi ostatecznie zakończyć ich romans.

Zanim skończy z Marilyn.

Quinn i jego ludzie siedzieli w swoim biurze położonym o kilka przecznic od posterunku. Choć zamontowany w oknie klimatyzator szumiał i grzechotał, z chłodzeniem pomieszczenia radził sobie zupełnie nieźle. Ale też słońce dopiero wstawało. Powietrze przepełniała woń prażonej kawy, dobywająca się z ekspresu Mr. Coffee, który przyniosła Pearl. Od czasu do czasu zza drzwi dobiegał odgłos otwierania innych drzwi i szuranie nogami po betonowej posadzce. To kolejni pacjenci gabinetu dentystycznego Tylko Plomba, który zajmował drugą połowę budynku.

– Czyli ani właściciel, ani żaden z dwóch pracowników Nuts and Bolts nie rozpoznał pozostałych ofiar – stwierdził Quinn. – Wiemy zatem, że tylko dwie spośród naszych ofiar tam chodziły i kupiły te zboczony telefony.

Pearl usłyszała w jego głosie wyraźnie oskarżycielską nutę. Siedział za biurkiem i niebezpiecznie mocno odchyłał się do tyłu. Pearl i Fedderman chodzili po pokoju, każdy ze swoim kubkiem z kawą. Kubki zostały kupione w sklepie z wyposażeniem domu na Drugiej Alei, a potem oznaczone inicjałami, żeby nikt ich nie pomylił.

– Nigdy nie twierdziłam, że zabójca tylko i wyłącznie tam szuka swoich ofiar – powiedziała Pearl do Quinna. Dlaczego on taki był? Dlaczego zawsze krytykował solidną, fundamentalną pracę detektywistyczną, mimo że dobrze znał jej wartość? Może żałował, że sam nie wpadł na pomysł, by jeszcze raz sprawdzić ten lokal.

– Ale zabójca mógł poderwać w Nuts and Bolts wszystkie swoje ofiary, a właściciel i jego pracownicy po prostu ich nie zapamiętali – zauważył Fedderman.

– Ktoś by sobie je przypomniał – utrzymywał Quinn – albo potrafiłby stwierdzić, że widział tego samego mężczyznę przynajmniej z kilkoma z nich. Te dwie kobiety najprawdopodobniej po prostu pracowały w tej samej okolicy i czasami po pracy albo wieczorami chodziły w to samo miejsce.

– Ale równie dobrze – znów odezwał się Fedderman – zabójcy mogło tam w ogóle nigdy nie być.

– Tak czy owak, to jest jakiś wspólny punkt – uznał w końcu Quinn, dając sobie spokój i dopuszczając taką możliwość.

– Pamiętaj też, że obie ofiary kupiły wibrator w kształcie telefonu – dodała Pearl.

– Kupiła je też cała masa kobiet, które nie zostały zamordowane – przypomniał jej Fedderman.

– Coś mi mówi, że to nie jest bez znaczenia – stwierdziła Pearl. Sączyła kawę, zadowolona z owoców pracy ekspresu. – Możliwe, że zabójca mieszka gdzieś w okolicy i często bywa w tym lokalu.

– To dość śmiały wniosek – ocenił Quinn. – Gdybyś jednak miała ochotę od czasu do czasu zajrzeć do Nuts and Bolts, żeby to sprawdzić, to też by pewnie nie zaszkodziło.

– Tam się chodzi na podryw – dodał Fedderman. – Może ci się poszczęści.

– Uważaj, żeby cię jakieś szczęście nie spotkało.

Fedderman bardzo się starał, żeby się nie uśmiechnąć, a Quinn doceniał jego powściągliwość. Dwoje detektywów docinało sobie jak za dawnych lat. Quinnowi to w ogóle nie

przeszkadzało. Wiedział, że odrobina fermentu nikomu nie zaszkodzi, wręcz pomaga utrzymać aktywność umysłu, która bardzo się przydaje w trakcie poszukiwania mordercy. Czasami nawet taka sprzeczka staje się ziarenkiem, wokół którego jak w ostrydże powstaje potem perełka, a niekiedy cały sznur pięknych pereł.

– Jak silne jest to twoje przeczucie w sprawie wibratorów? – zapytał Pearl, umiejętnie uciekając od tematu podrywu w lokalach dla singli.

– Muszę przyznać, że raczej umiarkowanie. To chyba bardziej kwestia nadziei niż faktów.

Quinn spojrzał na Feddermana.

– A tobie co podpowiada instynkt, Feds?

– Że coś by trzeba zjeść. – Fedderman odstawił kubek na blat sąsiadujący z biurkiem Quinna, po czym utkwiał wzrok w Pearl. – Podpowiada mi też, że nie powinienem już więcej pić tej kawy.

Rzeźnik nie spieszył się ze wstawaniem, ponieważ do późnej nocy siedział przy komputerze. Potem większość poranka spędził w sklepie Rough Country w Queens. Tak bardzo go to pochłonęło, że nie miał czasu przeczytać wiadomości w internecie ani zajrzeć do którejkolwiek z porannych gazet. Teraz zaległ w skórzanym fotelu i po raz kolejny czytał artykuł z „Timesa”. Temat morderstwa Florence Norton zniknął już z pierwszych stron gazet, ale nadal zajmował media.

Rzeźnik z dużą przyjemnością przeczytał znaleziony gdzieś wewnątrz gazety reportaż dotyczący swoich zabójstw. Znajdowały się w nim krótkie informacje biograficzne o ofiarach, a daty ich śmierci zostały naniesione na oś czasu. Najwięcej jednak uwagi autor poświęcił Florence Norton, jakby chwila śmierci dawała szansę na ostatnie pięć minut sławy, ostatnie wyjście przed kurtynę po ostatnie oklaski.

Jak łatwo mógł się zorientować każdy, kto potrafił czytać między wierszami, policja jak zwykle w takich przypadkach nie miała za dużo do powiedzenia. Brakowało jej punktu wyjścia, czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na trop mordercy.

*Rzeźnik.*

Bardzo stosownie. Uśmiechał się za każdym razem, gdy stykał się z przydomkiem, który wymyśliły dla niego media. Wszystko się układało. Ze szczególną satysfakcją myślał o odtworzeniu zespołu Quinna. Bez Quinna i jego ludzi NYPD stanowiłaby dla niego bardzo słabego przeciwnika, teraz zaś do jego sprawy przypisano troje świetnych detektywów z dużym doświadczeniem. Przynajmniej dzięki nim rozgrywka zapowiada się interesująco.

Opuścił prawe ramię i odłożył gazetę na podłogę, po czym odchylił fotel i oparł głowę o zagłówek z miękkiej skóry. Nie potrzebował specjalnie dużo snu, ale zdarzało mu się zdrzemnąć w ciągu dnia w tym fotelu – bo często pracował po nocach.

Spojrzał na zegarek. Powoli dochodziła trzecia. Jeszcze trochę, zanim będzie musiał wziąć prysznic i ubrać się na wieczór. Ułożył się wygodnie w fotelu, zamknął oczy i pogrążył się w myślach o Marilyn Nelson. Prawa ręka, w której wcześniej trzymał złożoną gazetę, teraz przesunęła się w kierunku krocza.

Telefon u Pearl już dzwonił, gdy tamtego wieczoru weszła do mieszkania. Nieopatrznie odebrała, nie spoglądając na wyświetlacz aparatu.

– Pearl, mówi twoja matka. W końcu cię zastałam. Dzwonię do ciebie i dzwonię.

Pearl spochmurniała jak zwykle, gdy odbierała telefon od matki. Ta mieszkała w Teaneck, w ośrodku dla seniorów o nazwie Golden Sunset.

– Przepraszam mamó, mam dużo pracy.

Wyciągnęła sznur od aparatu, żeby móc się przenieść na środek pokoju i stamtąd włączyć zamontowany w oknie klimatyzator, który miał wkrótce schłodzić mieszkanie i uwolnić je od unoszącej się w powietrzu woni stęchlizny. Matka coś powiedziała, ale Pearl nie zrozumiała co. Odsunęła się nieco od szumiącego urządzenia.

– Możesz powtórzyć, mamó?

– Rzeźnik morduje. Czemu jeszcze nie złapaliście tej bestii?

– Jak słusznie piszą w gazetach, mamó, jest sprytny.

– Ale wy macie przecież kapitana Quinna.

– Tak naprawdę to on już nie jest kapitanem.

Pearl nieco przeszkadzało, że matka tak łatwo ulega pseudoirlandzkiemu urokowi Quinna i nadal darzy go taką sympatią. Ciągłe jeszcze rozbrzmiewał jej w głowie ten szept, którym matka wypowiadała się o Quinnie, gdy spotkała go po raz pierwszy: „To ten. Dbaj o niego. Prawdziwy z niego mężczyzna”.

– Przecież w telewizji mówią...

– W każdym razie nie jest już kapitanem na stałe – przerwała jej Pearl. – Jest raczej cywilem tymczasowo odwołanym z emerytury.

– Tak jak ty, kochanie?

– Nie do końca.

– Nigdy mi się to nie podobało, że wybrałaś taki niebezpieczny zawód.

*Żaden by ci się nie podobał.*

– Wiem, mamó.

– Tylko dlaczego od czasu do czasu nie sprawdzisz na sekretarce, czy ktoś ci się nie nagrał? Wiedziałaśbyś wówczas, że matka wydzwania do ciebie z tego piekielnego domu opieki.

– To nie jest dom opieki, mamó. To jest ośrodek dla seniorów.

– Wydaje ci się, że ja potrzebuję, żeby mnie ktoś pilnował przy każdym oddechu?

– Na szczęście nie, dzięki Bogu. – *Jeszcze nie.* Pearl leżała czasem w łóżku i pocila się na myśl, że nadejdą kiedyś jeszcze trudniejsze dni. – Ale potrzebujesz pomocy w innych sprawach.

– Tak? A niby w jakich?

Pearl przypomniała matce, jak ta swego czasu postawiła garnek z wodą na kuchence, żeby podgrzać puszkę z chilli – tylko że zapomniała tę puszkę otworzyć, w wyniku czego jej zawartość wybuchła i wraz z wrzącą wodą rozbryznięła się po całej kuchni. Pearl dobrze to pamiętała, ponieważ to jej przyszło ten cały bałagan sprzątać.

– Tak mi przychodzi do głowy to chilli na suficie, mamó.

– Chodzi ci o te puszki, co to już nie są takie jak kiedyś?

– Skoro tak twierdzisz. – Pearl przesunęła się kilkadziesiąt centymetrów, żeby znaleźć się w podmuchu chłodnego powietrza z klimatyzatora. – Może i masz rację, mamó. – *Weź się tylko wreszcie rozłącz!*

– Twoja matka ma zawsze rację, kochanie.

Dostała nagłego ataku kaszlu, po którym nastąpiła dramatyczna pauza. Pearl weszła w rolę:

– Mamó? – Z zaskoczeniem stwierdziła, że w jej głosie pobrzmiwa autentyczna troska.

– W tej sprawie też mam rację, kochanie. Matki mają w takich sprawach dobre przeczucia.

Miejmy nadzieję, że kiedyś sama się o tym przekonasz.

Pearl zsunęła buty z nóg i zaczęła poruszać palcami u stóp.

– Czy my nadal rozmawiamy o tym chilli?

– Chodziło mi o bratanka pani Kahn, Milona.

*Co takiego?* Pearl знаła panią Kahn, siedemdziesięciosześcioletnią staruszkę. Kobieta

poruszała się z chodzikiem, którego końcówki zostały zabezpieczone piłkami tenisowymi. Była sąsiadką matki z ośrodka dla seniorów.

- Chyba nie miałam okazji go poznać, mamó.
- Powinnaś to koniecznie zrobić, Pearl. Właśnie dlatego do ciebie dzwonię.
- Dzwoniłaś już dziewięć razy – powiedziała Pearl. – Tak przynajmniej twierdzi moja automatyczna sekretarka.
- No właśnie, powinnaś się z nią zdalnie łączyć i sprawdzać wiadomości.
- Dlaczego miałabym chcieć poznać tego bratanka, Miliona? – Pearl doskonale знаła odpowiedź na to pytanie.

- Ponieważ ma absolutnie wszystkie możliwe atuty i od niedawna jest z powrotem na rynku.
- Teraz nie mam czasu szukać męża, mamó. Jestem za bardzo zajęta szukaniem mordercy.
- Ależ nie musisz szukać, podaję ci go na talerzu.
- Na razie nie potrzebuję takich rozrywek.

Po drugiej stronie linii na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Potem padło:

- A skoro już o tym mowa, to jak się miewa ten miły kapitan, a nie, przepraszam, pan

Quinn?

- Jezu! Mamó!
- Pearl!
- Przepraszam. Quinn ma się dobrze.
- Nie poprzedziłaś jego nazwiska przymiotnikiem „miły”.
- Nie, nie poprzedziłam. Nie zawsze jest miły.
- A któż jest, moja droga? Bił cię kiedyś?
- Nie.

– No to w takim razie jest dostatecznie miły, żebyście mogli znowu być razem. Jest zupełnie przystojny, taki męski, a przy tym na brak pieniędzy chyba nie narzeka. Przyjdzie taki czas, kiedy ci się odechce ścigać przestępców albo stać w jednym miejscu w banku i hodować żyłaki tylko po to, żeby na koniec miesiąca odebrać jakąś nędzną wypłatę. Przyjdzie taki czas, kiedy być może będziesz musiała zamieszkać w ośrodku dla seniorów...

Pearl nie cierpiała tych rozmów z matką. Niemal każdy telefon kończył się kłótnią, a tamtego wieczora Pearl była zmęczona i nie miała ochoty z nikim się użerać, w szczególności zaś z matką. A już na pewno nie miała ochoty roztrząsać kwestii swojego statusu jako rozwódki bez partnera. W tamtym konkretnym momencie po prostu brakowało jej siły, żeby podsycać w matce złudzenia.

- Czy się ze mną zgodzisz, czy nie, Pearl, Quinn to zupełnie przyzwoity facet.
- To obsesyjny psychopata.
- Tacy też potrafią zadbać o rodzinę, kochanie.

Pearl się rozłączyła. Raczej nie przypuszczała, żeby matka miała do niej zadzwonić ponownie jeszcze tego samego wieczoru. Kto wie, może jutro.

Rzeźnik przygotowywał się do wyjścia. Wziął prysznic zamiast kąpieli, po czym wybrał niebieskie bokserki z jedwabiu, umył zęby pastą Crest, przecesał włosy grzebieniem i ze spokojem włożył świeże ubranie. Przez cały ten czas gdzieś w głębinach jego warstwowego i segmentowego umysłu tłukły się myśli o Marilyn Nelson: wspomnienia jej rytmicznego kołysania biodrami, psotnego błysku w oku, który dostrzegł, gdy się odwróciła i pochyliła głowę, żeby na niego spojrzeć. Zupełnie jak gdyby podświadomie wiedziała... Może faktycznie już wiedziała. Może podobnie jak wiele innych osób od czasu do czasu kątem oka potrafiła

przeniknąć granice widzialnego i dostrzec to, co gotuje dla niej los.

Jego druga kobieta na N.

Florence Norton zabił z konieczności. Z tą nie będzie się spieszyć. Tą będzie się rozkoszować. Należało jej się to, jemu zresztą też. Nawet jeśli nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy, ich losy zostały splecione. Zostali partnerami w zbrodni. Brali udział w tej samej grze, która dla Marilyn Nelson mogła mieć tylko jedno zakończenie.

Rzeźnik skończył się ubierać i stanął przed dużym lustrem zamocowanym na drzwiach szafy. Taksował się wzrokiem. Czuł od siebie zapach kosztownej wody po goleniu. Na razie był jeszcze zbyt mocny, ale za kilka chwil miał stracić na intensywności. Odwracał się w prawo i w lewo, przyjmując różne pozy, raz stylizując się na tajniaka, a raz na modela.

Przyglądał się sobie w nowym stroju, który kupił tamtego ranka w Rough Country w Queens.

Marilyn powinna być zadowolona, choć on sam nie czuł się w tych ubraniach swobodnie. Nie przepadał za kwadratowymi kieszeniami dżinsów ani bawełnianymi koszulami z lamówką (zwłaszcza że zwykle miały kieszonki z klapką i matowe mosiężne napy zamiast guzików). Istota stylu Rough Country sprowadzała się najwyraźniej do swobody wykorzystania z różnego rodzaju metali i niezbyt wyszukanych tkanin. On tymczasem wołał klasyczne eleganckie garnitury, szyte na miarę koszule z egipskiej bawełny oraz jedwabne krawaty. Ale o ile bawełniana koszula i dżinsy mu nie odpowiadały, o tyle w wysokich butach czuł się już zupełnie dobrze. Okazały się zaskakująco wygodne. Kapeluszem za to autentycznie się zachwycił: niby kowbojski, ale z węższym i nachylonym rondem. Glenn Ford mógłby coś takiego włożyć. Rzeźnik lubił filmy z Glennem Fordem, z zadowoleniem więc dostrzegał u siebie podobieństwo do gwiazdy starego kina, które kapelusz tylko dodatkowo podkreślał.

Odłożył nakrycie głowy na łóżko, choć wiedział, że niektórzy uznają to za zły omen – do diabła z przesadami, mądry człowiek się nimi nie przejmuje – po czym wprawnie spryskał sobie ciemne włosy lakierem w aerozolu. Ponownie stanął przed lustrem i ostrożnie włożył kapelusz na głowę, starając się nie popsuć przy tym fryzury. Poprawił go jeszcze, po czym dotknął palcem zagiętego runda i uśmiechnął się do siebie.

Na koniec zgasił światło i wyszedł już w lekkim pośpiechu. Miał przecież randkę.

## Rozdział 16

Quinn zjadł improwizowaną późną kolację w postaci hashu i jajek, po czym usiadł z cygarem przy biurku w swoim gabinecie. Chwilę relaksu przerwało mu pukanie do drzwi. Specjalnie go to nie zaskoczyło, bo chociaż budynek miał domofon, każda istota odrobinę inteligentniejsza od królika mogła się dostać do środka bez interwencji żadnego z lokatorów.

Odłożył cygaro do popielniczki tak, żeby nie zgasło, po czym udał się do salonu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że minęła już dziewiąta. Większość wieczoru poświęcił na przeglądanie akt ofiar Rzeźnika. Liczył na to, że coś zwróci jego uwagę i pomoże mu odkryć nowy wątek śledztwa. Takie rzeczy zdarzały się wprawdzie rzadko, ale dostatecznie często, żeby uzasadniały drobiazgową analizę dokumentów. Tego wieczoru jednak nic takiego nie nastąpiło.

Quinn spojrział przez okrągły wizjer i zobaczył tylko ramię niezbyt rosłej istoty. Otworzył drzwi na korytarz. Przed nim stała na oko osiemnastolatka i intensywnie się w niego wpatrywała. Jego uwagę przykuł w pierwszej chwili błysk malutkiego szklanego czy diamentowego kolczyka w jej lewym płątku nosa. Stwierdził, że oto ma przed sobą kobietę mierzącą nieco ponad metr sześćdziesiąt, odrobinę przy kości, która wcisnęła się w wąski top w kolorze morskim, wykonany z jakiegoś rozciągliwego materiału. Wbiła się również w brudne i wyblakłe dzinsy z niskim stanem. Między spodniami a bluzką widać było w związku z tym spory kawałek brzucha, włącznie z pępkiem przebitym małym srebrnym kółkiem. Dziewczyna miała oprócz tego krótkie ciemne włosy, lekko zadarty nosek i szerokie jędrne usta, a także wyrazisty podbródek i zielone oczy – takie same jak Quinn. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Cześć, tato.

Zdumiony Quinn faktycznie cofnął się o krok czy dwa. Oto bowiem w jego drzwiach stała właściwie obca mu córka Lauri, która na co dzień mieszkała w Kalifornii z matką May i jej obecnym mężem Elliottem Franzine'em. Przynajmniej teoretycznie z nimi mieszkała. Najwyraźniej bowiem nie było jej teraz w Kalifornii. Była tutaj. Quinn widział się z nią ostatnio trochę ponad rok temu. Zmieniła się w tym czasie nie do poznania.

– Lauri? – zdziwił się.

Cały czas się uśmiechając, Lauri weszła do środka i postawiła na podłodze zapakowany po brzegi plecak, na który Quinn wcześniej nie zwrócił uwagi. Rozejrzała się wokół.

– Ładnie tu masz.

– Jesteś... Przyjechałaś – powiedział, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Wydawała mu się jakby starsza, taka dorosła. Była już zupełnie dojrzałą... osobą.

– Dokładnie tak.

Podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek. Odsunęła się jednak tak szybko, że nawet nie zdążył jej uścisnąć.

– May... Twoja matka...

– Postanowiłam wyprowadzić się z Kalifornii. Odłożyłam trochę pieniędzy. Całą drogę pokonałam autobusem. Port Authority to szalone miejsce. Masz coś do jedzenia?

– Pewnie.

Zaprowadził ją do kuchni, jeszcze nie do końca świadomy, co się właściwie stało.

– Przecież miałaś się uczyć.



- Jest lato, tato. Zresztą skończyłam szkołę. Na mocnych czwórkach. Choć mogło być lepiej.
- Otworzyła lodówkę. – No proszę, nowojorskie jedzenie. Tłuste czerwone mięso.
  - Pastrami – powiedział Quinn. – W Kalifornii też je mają.
  - U mnie nie. Smakuje ci to?
  - Owszem. Skończyłaś liceum? – Quinnowi dotychczas się wydawało, że ma jeszcze rok albo nawet dwa do zakończenia nauki. Najwyraźniej jednak stracił poczucie czasu.
  - Tak.

Szuflady zostały wysunięte, zakrętki odkręcone, słoiki otwarte. Drzwi od lodówki otwierały się i zamykały, a wyciskana butelka z musztardą co chwila świszczała. Już po chwili Quinn miał przed nosem kanapkę z ciemnego chleba z pastrami i kiszonym ogórkiem. Drzwi od lodówki ponownie się otwarły i zamknęły. *Ssss!* Lauri usiadła przy stole i postawiła przed sobą puszkę z gazowaną zimną pepsi, po czym rzuciła się na kanapkę.

- Twoja matka wie, że tu jesteś? – zapytał Quinn, stwierdzając z zażenowaniem, że oto właśnie zachowuje się jak jedna z postaci ze starego rodzinnego serialu telewizyjnego.
  - Pewnie nie. – Odgryzła spory kęs kanapki.
  - A co z Elliottem?
  - To palant.

Quinn przypomniał sobie, jak nie tak dawno temu Lauri to jego nazywała palantem. Bolało go to.

- Elliott nie jest taki zły.

To akurat była prawda. Quinn z początku też uważał, że Elliott to palant, ale ostatecznie – gdy w końcu pogodził się z myślą, że May już do niego nie wróci – docenił to, że prawnik specjalizujący się w obsłudze nieruchomości stworzy jego byłej rodzinie stabilny dom. Quinn, który mógł przecież zginąć na służbie o każdej porze dnia i nocy, nie byłby w stanie dać bliskim takiego poczucia bezpieczeństwa. Któż nie rozumiałby żony policjanta, która decyduje się odejść od męża? Któż by jej nie współczuł?

– A czy Elliott wie, że wybrałaś się do Nowego Jorku? – zapytał, ze zdumieniem obserwując, jak szybko ta kanapka znika.

– Nikt nie wie, że tu jestem, tato. To jest naprawdę pyszne. Strasznie się cieszę na myśl o Nowym Jorku. Nie martw się, znajdę sobie własne mieszkanie, jak tylko dostanę jakąś pracę.

- Co takiego? Mieszkanie? Pracę?

– Masz chyba jakiś wolny pokój, co? Jakiś kątek, który mógłbyś mi odstąpić na jakiś czas? Jakies dodatkowe łóżko? Nie chrapię, przynajmniej na ogół.

- Posłuchaj, Lauri...

Przestała przeżuwać pastrami i spojrzała na niego tymi zielonymi oczami. Uśmiechnęła się szeroko. *O, Boże... May!* To wspomnienie sprawiało mu niemal fizyczny ból.

– Mam wolny pokój – powiedział. – Będę musiał tylko wynieść stamtąd kilka rzeczy, które tam przechowuję.

Wzięła kolejny duży kęs kanapki i wstała.

- To chodźmy, pomogę ci.

– Nie musimy tego robić teraz. Zjedz kanapkę do końca. Jeśli jesteś głodna, zrobię ci drugą. Usiadła z powrotem i ponownie rzuciła się na jedzenie.

- Nie mam żadnych tatuaży – powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Super.

– Przeszkadzałyby ci, gdybym sobie zrobiła?

- A interesuje cię, co ja na ten temat myślę?

– Pewnie. Przecież po to pytam...

– No tak. A zrobisz sobie tatuaż, jeśli ci powiem, że mnie by się to nie podobało?

– Nie wiem.

– Muszę powiedzieć, że nie mam zdania w tej kwestii – wyznał zupełnie szczerze. – Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. Nigdy jakoś nie przyszło mi do głowy, że warto by się nad tą kwestią pochylić.

– To w takim razie się wstrzymam... aż wyrobisz sobie jakieś zdanie.

– Dzięki.

– Zresztą i tak bym sobie nie zrobiła tak od razu. W końcu to twoje mieszkanie. Tu obowiązują twoje zasady.

– Serio?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tylko bez przesady.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Zrób sobie jeszcze jedną kanapkę, jeśli chcesz – powiedział. – A tam jest jeszcze picie.

Zaraz wracam.

Zostawił ją w kuchni i poszedł do swojego gabinetu. Cygaro zdążyło już zgasnąć, więc zapalił je na nowo, a potem zamknął drzwi i wybrał kalifornijski numer May i Elliotta. Elliott odebrał niemal od razu.

– Mówi Quinn – powiedział. – Jest tu u mnie Lauri.

– Dzięki Bogu! – krzyknął Elliott. – Nie ma jej od czterech dni. Do wczoraj sądziliśmy, że jest u koleżanki. Dzwoniliśmy już na policję, lada moment mieli rozpocząć poszukiwania.

– No to już nie muszą. Jest tutaj. Twierdzi, że przyjechała z Kalifornii autobusami.

– May nie ma, Quinn. Pojechała porozmawiać z rodzicami tej koleżanki. Odchodziliśmy od zmysłów.

– Wcale się nie dziwię. Lauri się z jakiegoś powodu zdenerwowała?

– Chyba nie. Co prawda posprzecaliśmy się trochę o to, kiedy i na jakie studia się wybiera, i padło kilka ostrych słów, ale to nie była pierwsza taka rozmowa, a poza tym wszyscy się uspokoili. Nie przyszło nam do głowy, że mogła się aż tak zdenerwować, żeby się wyprowadzić. Niby mówiła, że jej się w Kalifornii nie podoba i że chce zobaczyć trochę świata, ale jakoś nie traktowaliśmy tego poważnie. Uznaliśmy, że po prostu odreaguje, ale najwyraźniej źle nam się wydawało.

– Ona ma zamiar studiować?

– Twierdzi, że w końcu tak. Najpierw jednak chce zdobyć, jak to ona mówi, prawdziwe życiowe doświadczenie. Cokolwiek to jest...

Quinn wiedział, co to takiego. Wiedział też, że bywa bardzo bolesne, a niekiedy nawet śmiertelne.

– Chce zostać na trochę u mnie i znaleźć pracę w Nowym Jorku – oświadczył.

– A jak ty się na to zapatrujesz?

– Chyba nie bardzo mam wybór.

– Cóż, skończyła już osiemnaście lat.

– To taki wiek, w którym można sobie narobić kłopotów – powiedział Quinn. *I to nie byle jakich.*

– Jesteśmy z May przekonani, że przy tobie będzie bezpieczna.

– Mogę ją wsadzić w nocny samolot do Kalifornii, ale nikt nie zagwarantuje, że za chwilę tu nie wróci – stwierdził Quinn, głośno myśląc.

– Pewnie by wróciła albo by pojechała zupełnie gdzie indziej. Na przykład do Minnesoty.

– Dlaczego do Minnesoty?

– Nie wiem, Minnesota zawsze mi się jakoś źle kojarzyła. To takie miejsce, gdzie osiemnastolatek może sobie napytać biedy.

– Podobnie jak w wielu innych miejscach – stwierdził Quinn.

– Lauri jest strasznie uparta – powiedział Elliott. – Jak już coś sobie postanowi, to zwykle nie zmienia zdania.

– Uparta, mówisz...

– Strasznie.

Quinn ujął w rękę cygaro i zaczął się nim bawić. Przyglądał mu się bacznie. Ani śladu żaru. Doszedł do wniosku, że już po nim. Co za pokręcony świat!

– Możemy dać sobie chwilę i zobaczyć, co z tego wyjdzie – powiedział. – Tak na próbę.

Może się przekona, że tu jest ciężko, i wybije sobie z głowy Nowy Jork.

– To bardzo miło z twojej strony, Quinn.

– To nie do końca tak. To przecież moja córka.

– Oczywiście.

– Niech May do mnie zadzwoni, jak wróci.

– Dobrze. Powiedz Lauri, że my ją tu w Kalifornii kochamy.

– Chcesz z nią porozmawiać?

– Pewnie.

Quinn poszedł do kuchni, ale po chwili wrócił i ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Mówi, że nie ma ochoty z tobą rozmawiać – powiedział Elliottowi. – Powiedziała, że jesteś palantem.

– Mało to przyjemne.

– Nic mi nie mów.

Quinn odłożył słuchawkę, po czym usta owinięte wokół cygara rozszerzyły się w uśmiechu.

## Rozdział 17

– Wypiłaś do kolacji idealną ilość wina – powiedział Marilyn, gdy szli w kierunku jej mieszkania.

Marilyn miała na nogach wysokie obcasy, mimo to on w swoich butach Rough Country z cholewami nadal nieco ją przewyższał. Poza tym kapelusz dodawał mu jeszcze z dziesięć centymetrów. Szli bardzo blisko siebie, tworząc swego rodzaju nieprzebytą zaporę – ludzie z naprzeciwka skrętnie ich omijali. *Siła zawsze zwycięża*, uznał Rzeźnik.

Marilyn się roześmiała.

– Aż się boję pomyśleć, co ty chcesz przez to powiedzieć.

– Chodzi mi o to, że wykazałaś się powściągliwością.

– A ty podziwiasz powściągliwość?

Teraz to on się roześmiał.

– Do pewnego stopnia.

Ostrożnie oparł jej prawą rękę o ramię i szli tak razem przed siebie – on z lekko podniesioną głową i uśmiechem na twarzy. Chłonał wszystkie doświadczenia zmysłowe: mieszanie zapachów miasta nakładającą się na skwar letniego wieczoru. Światła nadjeżdżających samochodów rozpraszały się w wilgotnym powietrzu. Lekko słodki odór ze śmietników czekających na poranną śmieciarkę był dla niego jak woń perfum. Chętnie wciągał do płuc wszechobecne spaliny, fascynował się hukiem autobusów i ciężarówek, wsłuchiwał w kakofonię klaksonów pobrzmiwających gdzieś w oddali. Czuł jeszcze coś... Jakiś delikatny zapach w pobliżu... *Jej szampon*.

– Umyłaś włosy specjalnie dla mnie.

Wydawała się jednocześnie zaskoczona i zadowolona.

– Oczywiście, że tak. Jesteś bardzo spostrzegawczy.

– Mało co mi umyka. – Natychmiast przyszło mu do głowy, że zabrzmiało to odrobinę arogancko, więc podjął natychmiastową próbę złagodzenia tego wrażenia: – To przez moją pracę.

– Właściwie to mi nie powiedziałaś, czym się zajmujesz – stwierdziła.

*To jej ostatni wieczór. Teraz mogę jej powiedzieć wszystko.*

– Jestem historykiem.

– Uczysz?

– Teraz nie. Piszę książkę o wojnie secesyjnej.

– O swoim przodku.

– Generał Grant nie był właściwie moim przodkiem.

– Wiesz to na pewno?

– Na pewno to nie.

– No to może jesteście spokrewnieni. Ty też wypiłaś do kolacji idealną ilość wina. Też wykazałaś się powściągliwością. Generałowi Grantowi to się chyba rzadko zdarzało.

Doszli do budynku, w którym mieszkała Marilyn. Zatrzymali się przy schodach prowadzących do drzwi frontowych.

– Widzę, że znasz historię – powiedział. – Generał faktycznie lubił sobie wypić. Lincoln powiedział kiedyś... – Zamilkł na chwilę, gdyż zauważył zmierzającą w ich stronę kobietę.

Gdy wyłoniła się z cienia, szybko otaksował ją wzrokiem: średniego wzrostu, z lekką nadwagą, krótkie jasne włosy, białe buty do biegania, ciemne spodnie, luźna bluzka bez rękawów

i torebka z zielonymi cekinami przewieszona przez prawe ramię. Kiedy podeszła bliżej, stwierdził, że jest po trzydziestce i pomimo lekko wystających zębów prezentuje się zupełnie przyzwoicie. Na lewym ręku miała kilka dzwoniących srebrnych bransoletek. Poza tym naszyjnik i pierścionki. *Najwyraźniej kocha biżuterię. Robi sobie prezenty.* Kobieta się uśmiechnęła.

– Marilyn?

Marilyn zrobiła krok do przodu.

– Ella? To naprawdę ty?

– Pewnie, że to ja. – Uśmiechnęła się szeroko i wykonała kilka karkołomnych kroków na obcasach, wyciągając ramiona w stronę Marilyn.

Jej ręce były nieproporcjonalne. Jak skrzydła u jednego z tych ptaków, które co prawda nie potrafią latać, ale pod wpływem darwinowskich wspomnień biegają i wymachują górnymi kończynami, jak gdyby miały się zaraz wzbić w powietrze.

Kobiety ścisnęły się, on tymczasem stał trochę zbity z tropu. Uśmiechał się, przyjmując uprzejmy wyraz twarzy, który wydawał mu się stosowny w tej sytuacji. *Mogę pograć w tę ich grę.*

– Co zrobiłaś z włosami? – dociekała Marilyn. Wyprostowała się, oparła ramiona na biodrach i wpatrywała się zdumiona w koleżankę.

– Przebarbowałam na blond – stwierdziła kobieta. – Zawsze chciałam to zrobić, a teraz pomyślałam, że skoro mieszkam w Nowym Jorku, to może warto się wreszcie zdecydować.

– Ach, przez tego świra Rzeźnika?

Uśmiechał się niewzruszenie. *To tylko kwestia czasu. Pociąg twojego przeznaczenia już ruszył i nabiera prędkości. Pędzi już sto kilometrów na godzinę. Żadnych ostrzegawczych gwizdków, już się go nie da zatrzymać. Tego się nie da uniknąć.* Jako inżynier doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Tak mi się wydawało, że widziałam cię na ulicy kilka dni temu – powiedziała Ella – ale nie byłam pewna. Pomyślałam sobie, że spróbuję cię znaleźć.

– I jak ci się to udało?

– Zadzwoniłam do Rough Country. Jakiś czas temu się dowiedziałam, że tam pracujesz. Dostałam od nich twój adres.

– Gdybym wiedziała, że tu jesteś... – Marilyn nagle przejęła inicjatywę. – Wybacz mi moje maniery, ale bardzo się ucieszyłam na twój widok. To jest mój przyjaciel Joe Grant. – Wskazała go ręką. – A to jest Ella Oaklie, Joe. Studiowałyśmy razem na Ohio State.

Uścisnął wilgotną dłoń kobiety, dotkliwie odczuwając ścisnięcie ostrym pierścionkiem.

– Coś cię łączy z Annie Oakley?

– Zupełnie nic – powiedziała Ella z szerokim uśmiechem. – Nawet się inaczej piszemy, a strzelać to potrafię najwyżej z grubej rury. – Przechyliła głowę i zaczęła mu się uważnie przyglądać. – Podoba mi się twój kapelusz, o butach nie wspominając. Masz w sobie coś z kowboja i jednocześnie coś typowego dla mieszkańca dużego miasta. Seksowne połączenie. To pewnie za sprawą Marilyn.

Nagle poczuł się śmiesznie w tym swoim nowym stroju.

– To nie ulega wątpliwości. Ma świetny wpływ na mnie, a o mojej garderobie to nawet nie wspomnę.

– W Nowym Jorku chyba czujesz się jak w domu, co, kowbojko?

– Właśnie idziemy na drinka – skłamała Marilyn. W ten sposób dała Elli do zrozumienia, że Joe go rezerwuje dla siebie. Spodobało mu się to. – Ale może chcesz pójść z nami? Joe chyba nie będzie miał nic przeciwko temu?

– Pewnie, że nie – powiedział, udając adekwatnie entuzjastyczną reakcję.

Ella wzruszyła ramionami.

– Naprawdę nie mogę...

*Świetnie. To może już spadaj.*

– No to chodź na górę. Na pewno chcesz zobaczyć, jak mieszkam – nalegała Marilyn. – A ja ci się chętnie pochwalę. Serio!

*Cholera jasna! Tego się nie da uniknąć. Trudno, graj dalej. To takie społeczne dżiu-dżitsu.*

– Słuchaj – powiedział. – To może ja już sobie pójdę...

– Joe...

– Naprawdę nie ma sprawy, Marilyn. Widzę, że dobrze się znacie i dawno się nie widziałyście. Na pewno macie sobie sporo do powiedzenia. Nie ma przecież potrzeby, żebym wam zawadzał, kiedy będziecie wspominać stare czasy.

– Ależ naprawdę... – zaczęła Ella, wymachując energicznie ramionami. Rzeczywiście przypominała trochę jakiegoś dziwnego, odrobinę podtuczonego ptaka.

– Idźcie! Plotkujcie sobie do woli, byle nie o mnie.

– Tobą to mogłybyśmy się tylko zachwycać, Joe – zapewniła Marilyn.

– Powiedzmy, że w to wierzę.

– Zadzwonisz?

– Na pewno.

– Widzę, że zrobiłeś dobre wrażenie – stwierdziła Ella, szczerząc do niego wydatne zęby. –

I nawet się nie dziwię.

*Zainteresowana?* Lekko się do niej uśmiechnął.

– Staram się.

– Mężczyźni częściej powinni się tak starać.

– Amen – powiedziała Marilyn.

Pocałował ją lekko w policzek.

– Dobranoc. – Uśmiechnął się i wycofał.

– Dobranoc, Joe.

Zapewnił Ellę, że miło ją było poznać, po czym zręcznie ujął rant kapelusza *à la* Glenn Ford, odwrócił się i ruszył chodnikiem przed siebie. Gdy doszedł do rogu ulic, odwrócił się jeszcze i zobaczył, jak obie kobiety wchodzi do budynku. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie iść za nimi, potem jednak uznał, że to nie byłby dobry ruch. Plan gry tego nie przewidywał. Chociaż może kiedyś to się zmieni. Dwie ofiary w jednej wannie... Można by sobie dowolnie dopasować elementy. Quinn by się dziwił.

Roześmiał się na głos, ale stwierdził, że ludzie się na niego dziwnie patrzą. Szybko więc nad sobą zapanował i ponownie przybrał poważną minę. W duchu jednak śmiał się dalej.

– Twoja córka z tobą mieszka? – Feddermanowi wydawało się to nie do pojęcia.

– Tymczasowo – odparł Quinn.

Siedzieli w biurze i pili poranną kawę z kubków z inicjałami. Quinn zajmował miejsce za swoim biurkiem. Pearl i Fedderman wyglądali zza swoich. Tego ranka kawa ładnie pachniała, była mocna i odrobinę gorzka. Z gabinetu dentystycznego za ścianą dobiegał ich odgłos borowania, co prawda cichy, ale absolutnie nie do pomylenia.

– Lauri – powiedziała Pearl w zamyśleniu. Nigdy nie miały okazji się poznać, ale Quinn opowiadał jej o córce. Nie tylko dobre rzeczy. – Pewnie ma teraz osiemnaście lat. Dobrze kojarzę?

Quinn wypił łyk kawy i stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Czyżby to za sprawą Lauri?

– Osiemnaście – potwierdził. – Skończyła liceum. Przyjechała do Nowego Jorku szukać pracy.

– Jakiej pracy? – zapytał Fedderman.

– Tego do końca nie wie.

Borowanie na chwilę ustało, ale potem rozległo się znowu, tym razem wyraźniejsze i bardziej przenikliwe.

– Pokłóciła się z matką i ojczymem?

– Tylko trochę. Przede wszystkim to chyba chce szukać własnego sposobu na życie. Wiecie, jakie są dzieciaki.

Fedderman akurat wiedział. Miał dwoje – dorosły i zaczęły własne życie. Pearl natomiast nie miała w tej kwestii rozeznania.

– Lauri to już pewnie młoda kobieta – powiedziała, a potem spojrzała na Quinna. – Mogła sobie szukać tego sposobu na życie w różnych miejscach...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Pearl się uśmiechnęła.

– Że chce być przy tobie. Że za tobą tęskni.

– Powiedziałyby coś.

– Oczywiście, że nie. Ale właśnie dlatego przyjechała.

– Może po części – stwierdził Quinn.

Fedderman patrzył na niego w zamyśleniu, Pearl szeroko się uśmiechała.

– Skupmy się może na mordercy – uznał.

Jeszcze tego samego wieczoru, gdy po powrocie do domu krótko po godzinie szóstej zobaczył w mieszkaniu uradowaną Lauri, natychmiast zapomniał o wszystkich morderstwach Rzeźnika, choć jeszcze kilka dni temu wydawało mu się to absolutnie niemożliwe.

– Dostałam pracę! – niemal krzyczała, skacząc po pokoju z radości. – Dużo nie płacą, ale płacą. Zaczynam jutro.

Usiadła na sofie, lecz po chwili z niej zeskoczyła i podeszła do okna, po drodze podciągając niskie dzinsy. Jej uśmiech po prostu go rozbijał.

– Jaką pracę? – zapytał.

– Jako kelnerka, przede wszystkim. Czasem też będę sprzątała stoliki. I pomagać w kuchni. I sprzątać po zamknięciu. Takie tam.

– W jakiejś restauracji?

– Dokładnie. W Village, na Czternastej Ulicy. Nazywa się Hungry U.

Quinn nigdy o tym lokalu nie słyszał, ale uznał, że lepiej jej o tym nie mówić.

– Serwują dania kuchni pakistańskiej. I czasami wieczorem jest muzyka na żywo. Śniadań nie podają, więc będę się mogła wyspać.

– To bardzo ważne.

*Czternasta Ulica w Village.* Postanowił, że jutro tam zajrzy, żeby sobie obejrzeć to Hungry U.

– Zaczynam o jedenastej – poinformowała Lauri. – Mam pomóc w przygotowaniach do lunchu.

– To co z kolacją?

– Przecież ci mówiłam, tato. Mam...

Uśmiechnął się szeroko.

– Mam na myśli nas, dzisiaj. Powinniśmy to uczcić.

Znowu uśmiechnęła się do niego tak, że serce mu zmiękło.

– Masz rację, powinniśmy.

– To na co masz ochotę? Może na kuchnię pakistańską?

Zastanowiła się przez chwilę.

– W sumie to jej nie znam.

– Lada moment poznasz – stwierdził Quinn. – Szybko się wszystkiego dowiesz.

– Pizza! Widziałam pizzerię tu niedaleko, gdzieś na rogu. Wyglądała porządnie.

Quinn znał ten lokal. Mniej więcej rok temu byli tam z Pearl. Podejrzewali, że to właśnie tam nabawili się zatrucia pokarmowego.

– Brzmi dobrze! – powiedział ktoś inny.

Nie, jednak nie ktoś inny. To on powiedział. Zaraz potem dziewczyna, a właściwie kobieta, ujęła go pod ramię. Razem ruszyli w kierunku drzwi.

Zachowywał ostrożność. Odczekał prawie tydzień, zanim zadzwonił do Marilyn, a potem pojawił się u niej w domu. Miał na sobie odprasowane czarne spodnie z kantem i szary sweter z golfem. Ze strojem w stylu Rough Country niewiele to miało wspólnego, może poza pozornie wyświechtanym, na wpół kowbojskim kapeluszem z artystycznie zagiętym rondem.

Otworzyła mu drzwi z uśmiechem na twarzy. On jednak przeżył zaskoczenie.

– Nowe włosy – stwierdził.

– Czyli zauważyłaś.

– Ciężko by było nie zauważyć. Przefarbowałaś je na blond.

Poza tym powitała go boso i w różowym jedwabnym szlafroku, chociaż zadzwonił kwadrans wcześniej, żeby poinformować, że jest w pobliżu i wkrótce się u niej pojawi.

– Nie podoba ci się? – Uśmiech jakby zaczął znikać z jej twarzy, gdy unosiła prawą rękę w kierunku włosów.

Natychmiast wszedł w tryb pochwał. Bo czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

– Ależ bardzo mi się podobają. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Wykonała zgrabny piruet, podczas którego spod szlafroka wyłoniły się naga kostka i łydka, a nagły ruch sprawił w drzenie powietrze, przepelniając je zapachem róż. Uśmiech wrócił na jej twarz z pełną mocą.

– Nowa i lepsza Marilyn Nelson.

– Podobasz mi się w wersji blond, Marilyn, ale będę się musiał trochę przyzwyczaić. Poza tym twojej podstawowej wersji nie da się już usprawnić. – *I tak masz ciemne odrosty.*

– Wejdz do środka, Joe. Przepraszam, że cię tak trzymam na korytarzu.

Dopiero gdy wchodził, Marilyn zwróciła uwagę na pudło, które trzymał pod pachą.

– Coś przyniosłeś, widzę – powiedziała śpiewnie, starając się wyrazić w ten sposób zadowolenie.

– To jest w sumie na później.

– Za duże pudełko jak na wino. Czyżby kwiaty?

– To będzie niespodzianka.

Wolną ręką dotknął jej szlafroka. Materiał był miękki i gładki, prawie nie różnił się w dotyku od skóry. Musiała go kupić raczej w sklepie Frederick's of Hollywood niż w Rough Country.

– Przerwałem ci ubieranie się?

– Nie, raczej rozbieranie. – Spojrzała na niego jednoznacznie.

Marilyn wychodziła z inicjatywą. Mógł zgadnąć, czego pod tym jej szlafrokiem nie ma.

– Właśnie miałam wziąć prysznic – powiedziała. Uśmiech z nieśmiałego przeistoczył się



w konspiracyjny. – Może chciałbyś do mnie dołączyć?

– Nie, dziękuję.

Na jej twarzy pierwszy raz pojawił się wyraz zaskoczenia i zażenowania. Dokładnie w tym momencie pocałował ją w czoło, po czym przyciągnął do siebie i złożył pocałunek na ustach. Ona natychmiast powitała go językiem. Oddech miała słodki i ciepły. Ciepło biło również spod jej szlafroka. Była gotowa.

Gdy się rozdzielili, zauważył, że pod napiętą tkaniną szlafroka jej piersi unoszą się i opadają. Przygryzła usta, żeby nie oddychać tak głośno.

– Chciałem zaproponować kąpiel – wyjaśnił, znowu się do niej zbliżając i spoglądając na nią z góry.

Zastanowiła się przez chwilę.

– Brzmi świetnie, ale może być trochę ciasno.

– Coś wymyślimy.

Ponownie ją pocałował.

– Tylko mi obiecaj, że nie porobisz mi siniaków – poprosiła, wpatrując się w niego wzrokiem, który mówił, że całkowicie mu się oddaje.

*Wszystko im można obiecać...*

– Możesz mi zaufać.

Cały czas się w niego wpatrując, rozwiązała sznurek od szlafroka. Delikatny jedwabny strój niemal bezgłośnie opadł na ziemię, tworząc u jej stóp kałużę materiału. Nadepnął na nią po drodze do łazienki.

## Rozdział 18

Quinn nie chciał wprawiać Lauri w zakłopotanie, więc wstrzymał się z wizytą w Hungry U do dnia, kiedy miała wolne. Restauracja należała do tych lokali w Village, które trochę za bardzo starają się nawiązywać wystrojem do czasów cyganerii. Odnosiło się wrażenie, że właściciele ciągle jeszcze fascynują się Kerouakiem i Ginsbergiem. W pobliżu wejścia znajdował się niewielki bar, a dalej okrągłe stoliki, przy których stały krzesła nie od kompletu. Ściany pomalowano na różne kolory. Na tej niebieskiej znajdowała się framuga nie z drzwiami, lecz sznurami koralików. W ścianie wrzosowej znajdowało się łukowate przejście – również przesłonięte koralikami – prowadzące najpewniej do kolejnej sali i do kolejnych stolików. Na wszystkich ścianach wisiały plakaty z filmów, których akcja rozgrywa się w miejscach uznawanych powszechnie przez Hollywood za egzotyczne. Sidney Greenstreet w tureckim fezie na głowie uśmiechał się jowialnie zza lufy pistoletu. Peter Lorre spływał potem gdzieś na pustyni. Na ścianie znalazło się też miejsce dla Bogiego. Ten jednak dla odmiany występował w białej wieczorowej marynarce. Lauren Bacall zaś zaprezentowała się w jedwabnej wieczorowej sukni. Queen doskonale wiedział, że większość tych filmów kręcono w samym Los Angeles lub okolicach.

Kobieta będąca wschodnią wersją Madonny z uśmiechem zaprowadziła Quinna do stolika po drugiej stronie łuku. Wystrój tej sali pochłonął zapewne większą kwotę, ale też robiła ona lepsze wrażenie. Przy stolikach stały takie same krzesła, a na ścianach wisiały oprawione w ramy pejzaże. Po drugiej stronie sali znajdowała się lekko podniesiona scena, a przed nią niewielki parkiet. Na scenie stał mikrofon i jakiś sprzęt nagłaśniający, a konkretnie dwa wielkie głośniki. Na ścianie przyklejony został biały banner z napisem „THE DEFENDANTS”. Czerwone drukowane litery naniesione sprayem przywodziły na myśl gangsterskie graffiti.

Większość stolików była zajęta. Wschodnia Madonna wskazała Quinnowi miejsce w rogu najbardziej oddalonym od sceny, po czym podała mu długą i wąską kartę. Zamówienie przyjął od niego niski człowiek nieokreślonego pochodzenia, za to z ciemną spiczastą bródką. Po chwili Quinn popijał pakistańskie piwo i jadł coś, co się nazywało *roghni naan* i zgodnie z menu pełniło funkcję przystawki. W rzeczywistości był to chleb posypany nasionami sezamu. Zupełnie smaczny. Piwo mogłoby być zimniejsze, ale też mu smakowało. Goście wydawali się zupełnie przyzwoici, dość typowi dla Village. Tworzyli demokratyczną mieszkankę pokoleń, ras i płci. Oprócz miejscowych w lokalu jadło też kilku turystów.

Gdy kelner ze spiczastą bródką wrócił i zapytał, czy Quinn życzy sobie zamówić kolację, ten odpowiedział, że *roghni naan* bardzo mu smakowało i w zupełności mu wystarczy. Zamówił natomiast kolejne piwo. Mężczyzna uśmiechnął się, jak gdyby w duchu rozbawiło go przeinaczenie jakiejś obcej nazwy. Bynajmniej nie chodziło o piwo.

– Przyszedł pan na występ? – zagadnął.

Quinn spojrzał na scenę, na której raczej niechlujny młody czarny człowiek w koszulce bez rękawów (i z wytatuowanymi ramionami) kombinował coś przy głośnikach.

– The Defendants – powiedział kelner.

– Ach, tak – odparł Quinn. – O której zaczynają?

– Za jakieś dziesięć minut.

Quinn jeszcze nie skończył swojego... chleba, a poza tym właśnie zamówił następne piwo. Utknął tu na dobre.

W połowie piwa numer dwa rozległy się raczej mało entuzjastyczne brawa, a starszy, siwiejący mężczyzna – być może jeden z właścicieli – wszedł na scenę, żeby zapowiedzieć zespół. Przedstawiał The Defendants z takim entuzjazmem, jak gdyby mieli występować w Las Vegas przed Wayne’em Newtonem. Zespół składał się z czterech członków: perkusisty, dwóch gitarzystów i kolesia z jakimś instrumentem klawiszowym zawieszonym na pasku owiniętym wokół szyi. Od klawiszy do głośników biegły przewody. Przewody biegły tam zresztą wszędzie. Potem na scenie pojawił się piąty muzyk, którego powitała bardziej entuzjastyczna owacja. Najwyraźniej zespół miał powodzenie w Hungry U.

Quinn wywnioskował, że ten ostatni to zapewne frontman i wokalista. Z początku wydawał się niemal nieśmiały, ale potem najwyraźniej uwolnił się od wszelkich zahamowań i stanął za mikrofonem. Uśmiechnął się szeroko i kościstym ramieniem dał znak stojącemu za nim zespołowi. Quinn nigdy nie widział nikogo tak chudego. Dzieciak pewnie nie miał jeszcze dwudziestu lat, mierzył trochę ponad metr osiemdziesiąt, ale ramiona i talię miał mniej więcej tej samej nieznacznej szerokości. W miejscu, gdzie teoretycznie powinna się znajdować klatka piersiowa, wyblakła czerwona koszulka dziwnie się zapadała. Podarte dzinsy wisiały na szczudłowatych nogach. Młody człowiek o szeroko otwartych niebieskich oczach i z burzą rudych sprząynek na głowie sprawiał wrażenie jednocześnie sympatycznego i zagubionego. Quinn stwierdził, że mógłby robić za anorektyczną wersję Harpo Marxa. W przeciwieństwie jednak do Harpo potrafił mówić. Pewnym głosem zapowiedział pierwszy utwór zespołu, piosenkę zatytułowaną *Lost in Bonkers*.

Zespół rzucił się w wir muzykowania z zapalem właściwym dla wygłodniałego rozbitka z tratwy ratunkowej. Kościsty chłopak zaczął śpiewać, a Quinn pożałował, że nie może go aresztować za zbrodnię na słuchu. Dzieciak wykrzykiwał jakieś zupełnie niezrozumiałe słowa, jednocześnie rzucając się po scenie, jak gdyby miał sprężyny w nogach, jak gdyby cały był sprężyną. Jego długie i kościste ciało rytmicznie wyginało się w falującą literę S. Potem wyciągnął harmonijkę i zaczął grać, jakimś cudem wydobywając z instrumentu charkot przywodzący na myśl uszkodzone dudy.

Piosenka jednak najwyraźniej przypadła do gustu gościom lokalu. Klaskali do rytmu, postukiwali nogami. Quinn zdołał uchwycić fragment słów:

*Zatracony w szaleństwie, dobrze się tu czuję.*

*Zatracony w szaleństwie, niech mnie nikt nie ratuje.*

*Postradałem zmysły, żeby dotrzeć do ciebie.*

*Bo ty przecież w szaleństwie zatraciłaś siebie.*

Cóż to właściwie miało znaczyć? Quinn zastanawiał się nad tym, popijając pakistańskie piwo. Coś się nagle poruszyło w kieszeni jego koszuli. Trzymał tam telefon, który ustawił na wibrację, żeby nie zadzwonił w restauracji i nikomu nie przeszkadzał. Ha! Wyciągnął aparat i odebrał połączenie. Przywitał się. Samego siebie nie słyszał.

– Quinn, to ty? – Głos należał do Renza.

– Ja.

– Gdzie ty, u licha, jesteś? Co tam się dzieje?

– Zatrącenie w szaleństwie, *Lost in Bonkers*.

– Jesteś w Yonkers?

Quinn odwrócił twarz w kierunku ściany i zaczął mówić głośniej, na niewiele się to jednak zdało.

– Później ci to wyjaśnię, Harley.

- To zabieraj się z tego Yonkers i przyjeżdżaj na Upper West Side. Dostałem telefon...
- Nie rozłączaj się – powiedział Quinn.

Położył na stoliku kwotę wystarczającą na pokrycie rachunku i napiwku, po czym wstał i przecisnął się między stolikami oraz fałszywymi dźwiękami w kierunku obwieszonych koralikami łuku. Trochę się zaplątał w te kolorowe sznury, ale w końcu się uwolnił i unikając tłumu przy barze, na skrótę udał się do wyjścia. Uśmiechnął się do kobiety o egzotycznej urodzie, która wcześniej wskazała mu stolik, a teraz skinęła mu głową na do widzenia. Odpowiedział jej podobnym gestem i zaraz potem, z telefonem niezmiennie przyciśniętym do ucha, wydostał się w ciche objęcia wieczoru.

- Harley, jesteś tam?

– Tak. Gdziekolwiek jesteś, masz się ze swoim zespołem znaleźć tutaj. – Podał mu adres na West Side. – Mundurowi są już na miejscu.

- Rzeźnik?

– Niestety tak. Kolejna ofiara. Dwadzieścia minut temu odebraliśmy anonimowy telefon.

- To na pewno nasz koleś?

– Zabierzcie z sobą papierowe torebki.

– Już nie potrzebuję, Harley. Zaraz tam będę.

– A gdzie właściwie jesteś? Co to były za cholerne hałasy?

– Sam do końca nie wiem – powiedział Quinn i się rozłączył.

W nowym świecie Lauri czuł się zupełnie zagubiony.

## Rozdział 19

*Bocanne, Floryda 1980*

– Sherman, tak? Wielkie imię. Masz przed sobą ambitne wyzwanie, żeby do niego dorosnąć. Wiesz o tym, chłopcze?

– Tak, chyba tak – powiedział Sherman.

Uczył się historii, więc coś kojarzył, ale nie potrafił sobie przypomnieć, o kim dokładnie mówi ich nowy lokator Sam Pickett.

Żeby położyć nogi na balustradzie drewnianego ganku, musieli się aż zanadto odchylić na plecionych krzesłach. Sherman skrzyżował nogi w kostkach i popijał ciepły napój gazowany. Pickett bawił się dużą brudną fajką z wrzośca, którą lubił pykać. Przed nimi niczym puszysty zielony dywan rozpościerało się bagno tętniące życiem i śmierdzące stęchlizną. Coś się w nim poruszyło i kilkadziesiąt kosów z przeraźliwym krzykiem zerwało się do lotu, by po chwili osiąść znowu w tym samym miejscu.

– Moim zdaniem to był najwybitniejszy generał wojny secesyjnej – stwierdził Pickett, poźółkłym palcem ugniatając wilgotny tytoń w czaszy śmierdzącej fajki. – Stary dobry William Tecumseh Sherman.

Stało się jasne, dlaczego Sherman nie zapamiętał tej postaci – bo Sherman to było jego nazwisko. Ciekawe, czy Pickett znał wszystkich sławnych ludzi nazwiskiem Sam. Sherman jednak potrafił docenić to, że chociaż Pickett prawidłowo odczytał jego skonfundowanie, nie wytykał mu niewiedzy ani się z niego nie nabijał, tylko zachowywał się tak, jak gdyby obaj byli dobrze zorientowani w temacie.

– Maszerował przez południowe tereny, niszcząc wszystko, co napotkał na swojej drodze. Palił i wybijał wszystko w pień. Zostawiał za sobą kilometry spalonej ziemi. – Spojrzał na Shermana i posłał mu uśmiech, który mógł wyrażać właściwie wszystko. – Nie wydaje ci się, że to wybitne osiągnięcie?

– Bo ja wiem – odparł Sherman. – Może. Skoro był generałem, to na tym polegała jego praca.

Starannie dobierał słowa, żeby nie narazić się Pickettowi. Ten wydawał się mądrzejszy i jakby bardziej nim zainteresowany niż którykolwiek z wcześniejszych lokatorów. Taki miał już zwyczaj, że podczas rozmowy nagle zadawał zupełnie zaskakujące pytania, jak gdyby chciał się przekonać, czy Sherman uważnie go słucha. Shermanowi to nie przeszkadzało. Nawet mu się to podobało.

– Słusznie prawisz – powiedział Pickett, uśmiechając się szeroko do Shermana, jakby jego odpowiedź napawała go dumą. – Stary Sherman, czyli generał, a nie ty, wcale się nie cieszył z powodu całej tej śmierci i zniszczenia, które siał wokół siebie. Gdy się jednak zgłębi trochę historię, to jasno z niej wynika, że ten jego marsz ku morzu skrócił wojnę secesyjną o wiele miesięcy, a może nawet lat, i w rezultacie więcej ludzkich istnień ocalił, niż zniszczył.

– Zabijał też kobiety i dzieci?

Pickett zamarł na chwilę z fajką w drodze do ust. Spojrzał na Shermana, a jego krzaczaste szare brwi uniosły się w wyrazie zaciekawienia i zdumienia.

– To dobre, cholernie dobre pytanie, Sherman. Powiedzmy sobie może, że robił to, co trzeba

było zrobić. Można by uznać, że Południowcy rozpętali tę wojnę, bo ludzie tego chcieli, więc to ludzie, a nie żołnierze, ponoszą za to wszystko winę, czyli to w sumie sprawiedliwe, że musieli zapłacić za to najwyższą cenę.

Sherman spojrział w kierunku bagna, myśląc o tych wszystkich ludziach, którzy w nim zginęli.

– Mówi pan, jakby się pan na tym znał.

– Zajmuję się badaniami nad wojną secesyjną. Jestem co prawda samoukiem, ale posiadam szeroką wiedzę. Zdaję sobie sprawę, co Sherman musiał zrobić. Wydaje mi się, że był dobrym człowiekiem. Ale czasami człowiek musi robić rzeczy, które normalnie budzą w nim obrzydzenie. Tak to już w życiu bywa, Sherman.

– Tak, bywa.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Przez chwilę słuchali świerszczy cykających gdzieś w oddali. Pickett potarł zaparką o podeszwę buta i rozżarzył fajkę. Sherman lubił zapach palącego się tytoniu. Wolał go od zapachu bagna. Lubił też Sama Picketta. Na pierwszy rzut oka nie był wiele młodszy od wcześniejszych lokatorów, bo pewnie miał już pięćdziesiątkę na karku, ale z pewnością nie brakowało mu energii. Miał co prawda zmarszczki, a włosy i broda mu siwiały, mimo to robił wrażenie młodszego. Chociaż nosił długie włosy, które spinał w kucyk, Sherman widział w nim prawdziwego mężczyznę. Gdyby nie duży brzuch, łatwo byłoby go sobie wyobrazić w błękitnym mundurze Unii, może nawet w randze oficera.

W przeciwieństwie do dotychczasowych lokatorów Pickett nie miał swojego pokoju. Być może stało się tak dlatego, że wynajmowany pokój wypełniły książki, które przywiózł z sobą w wielkim kufrze i kilku kartonach, a być może z tego powodu, że inaczej niż wszyscy pozostali nie płacił za mieszkanie. Sherman wiedział o tym, ponieważ podsłuchiwał rozmowę Picketta z matką. Dyskutowali o tym pewnego wieczoru w kuchni, gdy myśleli, że ich nie słyszy. Sherman był bardzo zaskoczony, gdy matka otwarcie powiedziała Pickettowi, że nie będzie musiał regulować czynszu. Pickett stwierdził, że coś im się na pewno uda uzgodnić, że będzie płacić za zakupy i pokryje wydatki na chłopca. Sherman doszedł do wniosku, że to musi chodzić o niego. Tak więc łóżko dla najemców zajęły książki, Pickett zaś sypiał z matką Shermana. On i Myrna czasami się spierali. Czasami w nocy z ich sypialni dobiegały odgłosy przypominające klótnię. Niekiedy zdarzało mu się też zauważyć kilka siniaków na ciele matki, ale Myrna nigdy się nie skarżyła.

Chociaż nigdy nie śmiałyby powiedzieć do niej inaczej niż „mamo”, z czasem dotarło do niego, że ona i Sam stali się parą, i wtedy zaczął się zastanawiać, jak się do siebie zwracają. Myrna i Sam.

Sherman domyślał się, że Pickett faktycznie płacił za różne rzeczy, ale na ogół to Myrna jeździła furgonetką do miasta po zakupy. Twierdziła, że tylko ona potrafi prowadzić tego opornego starego pikapa. Pickett chyba się cieszył, że może zostać w domu i czytać. Gdy wracała, pomagał jej wypakowywać zakupy spożywcze, piwo czy drewno, nosił cięższe rzeczy. Sherman nigdy nie znał nikogo, kto czytałby tyle co Pickett. Poświęcał na to długie godziny. Siedział wtedy skupiony, zupełnie jak gdyby chłonał informacje. W pamięci Shermana Sam zapisał się z książką w dłoni i fajką między zębami. Na ogół bowiem tak właśnie się go zastawało. W rzędzie przebarwionych zębów zrobiło się zagłębienie w tym miejscu, w którym Sam przez wiele lat trzymał fajkę. Sherman domyślał się, że gdyby przyjrzeć się jego palcom, znalazłoby się na nich zgrubienia od jej obracania.

– Łowiłeś kiedyś ryby? – zapytał Sam, intensywnie pykając, żeby tytoń w czaszy zapłonął czerwonością.

– Pewnie, czasem łowię. Mam niezły bambus.

– A umiesz używać wędki z kołowrotkiem?  
– Nigdy nie miałem okazji.  
– No to teraz będziesz miał. Leży w jednym z pudeł.  
– To pójdziemy kiedyś na ryby? – zapytał Sherman.  
– Pal diabli kiedyś. Wybacz mi ten język. Nie czekaj na żadne kiedyś, Sherman. Wstajemy i idziemy na ryby, co? Chyba że masz coś lepszego do roboty.  
Sherman uśmiechnął się szeroko.  
– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.  
Zdjęli stopy z balustrady, a wtedy przednie nogi krzeseł jednocześnie uderzyły w drewnianą podłogę.

Przez kilka kolejnych tygodni Pickett uczył Shermana, jak rozpoznać miejsce, gdzie ryby biorą. Sherman dowiedział się od niego, że bassy można znaleźć na porośniętych trzciną przybrzeżnych wodach, na których intensywnie żerują insekty, oraz że duże sumy żywią się przy dnie, z dala od brzegów i korzeni figowców czy cyprysów. Nauczył go zarzucać wędkę bokiem, co pozwalało uniknąć zahaczenia żyłką o niskie gałęzie czy nawisy oplątwy. Pokazał mu, jak zanęcać mniej więcej w wybranym punkcie. Po kilku wspólnych wyprawach zamienili się sprzętem i od tej pory Sam zawsze łowił bambusem, a Sherman korzystał z wędki z kołowrotkiem.

Dla Shermana to było bardzo udane lato. Chodził na ryby i dużo rozmawiał z Samem Pickettem, a oprócz tego przeczytał kilka jego książek. Sam pozwolił mu brać sobie wszystkie bez pytania, pod warunkiem że po zakończeniu lektury odłoży je na miejsce. Sherman szybko zrozumiał, skąd Sam tyle wie o wojnie secesyjnej. Większość jego książek dotyczyła właśnie jej. Niektóre wyglądały na tak stare, że mogły powstać jeszcze w trakcie trwania działań wojennych. Sherman dowiedział się naprawdę dużo o Williamie Tecumsehu Shermanie oraz kilku innych słynnych generałach i postaciach reprezentujących obie zwaśnione strony. Czytał o bitwach i pozornie banalnych wydarzeniach, które miały wpływ na ich rozstrzygnięcie – na przykład o tym, które oddziały narzekały na brak obuwia, albo o tym, jak pogoda przeobrażała rozległe pola w głębokie bagna (żołnierze grzęzli w nich, wystawiając się na atak wrogiej artylerii). Sherman doszedł do wniosku, że w okresie wojny secesyjnej śmierć miała bardzo donośny sens. Każda śmierć.

Sam Pickett był dla Shermana trochę jak ojciec. Zresztą lepszego ojca Sherman nigdy nie miał. Pewnego razu, leżąc sobie po cichu w ciepłym mroku nocy, Sherman przysłuchiwał się rozmowie, jaką Sam i Myrna toczyli w kuchni przy piwie. Sam powiedział, że Sherman jest niesamowicie mądry jak na dziesięciolatka i bardzo szybko się uczy. Sherman był tym zaskoczony. Jego matka też, przynajmniej tak powiedziała. Jeszcze wiele lat później, gdy leżał w łóżku w ciemności, zdarzało mu się wracać do tamtej rozmowy i zawsze się wtedy uśmiechał. Zasypiał, odtwarzając w głowie tamte dawne czasy i przywołując postać Sama Picketta.

To było naprawdę świetne lato.

Przynajmniej do czasu.

## Rozdział 20

*Nowy Jork, czasy obecne*

Quinn zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest po prostu powracający zły sen. Znowu znalazł się w towarzystwie Pearl i Feddermana w mieszkaniu, w którym roilo się od policjantów i techników kryminalistycznych. Znowu otoczył ich zapach śmierci i wybielacza. Znowu czekało na nich rozczłonkowane, a przy tym niemal nieprzyzwoicie czyste ciało. Coraz częściej zadawał sobie pytanie, które często pojawia się w głowach policjantów po obejrzeniu zbyt dużej liczby martwych ciał: ile jest warte życie, skoro może się tak skończyć?

– Cieszyłabym się, gdybyśmy już nie musieli tego oglądać – stwierdziła Pearl, która prawdopodobnie myślała to samo.

– Mam jak zwykle iść porozmawiać z mundurowymi, a potem z sąsiadami? – Fedderman zwrócił się do Quinna.

– Tak, zajmij się tym, Feds.

Fedderman chętnie ulotnił się z mieszkania.

Quinn minął dwóch techników, którzy skrupulatnie pracowali pędzelkami i pincetami. Przeszedł krótki korytarzyk prowadzący do łazienki. Pearl podążała tuż za nim. W łazience nie było dla nich obojga miejsca, stali więc w drzwiach i zaglądali do środka. Patolog Nift nachylał się nad wanną. Obok plastikowej butelki po wybielaczu na podłodze leżało puste pudełko po środku czyszczącym. Wielkie litery na opakowaniu informowały, że to mydło z substancją wybielającą. *Sporo tu wybielacza*, pomyślał Quinn. Mimo wszystko odór rozkładu przedostał się do jego nozdrzy i przykleił niczym absmak gdzieś do języka. Przełknął ślinę, ale to tylko pogorszyło sprawę.

– Chryste! – usłyszał za sobą ściszony głos Pearl.

– Nie, to tylko ja – odezwał się bezczelny mały patolog, który jeszcze się do nich nie odwrócił.

Wiedział, że przyszli. Zmienił tylko trochę pozycję, żeby mogli zobaczyć obciętą głowę Marilyn Nelson leżącą na jej białych jak kreda ramionach. Marilyn spoglądała na nich jakby z zaniepokojeniem, zupełnie jakby zastali ją w bardzo prywatnej sytuacji. Gdyby się nad tym zastanowić, właściwie nie mijają się to z prawdą. Quinn żałował, że Nift nie zamknął jej oczu.

– Tej to naprawdę szkoda – powiedział patolog, dotykając bladego martwego ciała lśniącem stalowym narzędziem.

Gdy chodziło o pracę, Nift miał zwykle bardzo grubą skórę i zdobywał się co najwyżej na głupie dowcipy. Czyżby teraz zdradził jakiś ludzki odruch? Czyżby to był przejaw wrażliwości?

– Wszystkich ich szkoda – powiedziała Pearl.

– Tak, ale tej szczególnie. Gdyby złożyć te części w całość, choćby tylko w myślach, to wychodzi prawdziwa seksbomba.

– Doktor Frankenstein Nift – powiedziała Pearl z obrzydzeniem.

Patolog odwrócił się i uniósł na nią wzrok.

– *Frankenstein*.

– Wygląda to tak samo jak w innych przypadkach? – zapytał Quinn, usiłując zapobiec słownej batalii i zakończyć bzdurną wymianę zdań.



– Jeśli chodzi o ważne rzeczy, to prawie pod każdym względem tak – powiedział Nift. – Wygląda, że zastosowano te same narzędzia do cięcia, a części ciała zostały w taki sam sposób odsączone i starannie wyczyszczone. Taka sama rytualna pozycja i wcale nie mam nic zdrożnego na myśli. Ślady po kleju, które wskazują, że taśma została dopiero co usunięta z jej nadgarstków i kostek, a także z okolic ust. Dopóki nie przeprowadzę sekcji, nie mogę nic powiedzieć na pewno, ale przypuszczam, że śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia. Potem ciach, ciach. A potem, tak samo jak w poprzednich przypadkach, morderca wysprzątał łazienkę tak, że moja żona mogłaby się od niego uczyć.

Pearl spojrzała na niego znacząco.

– To ty masz żonę?

– To tylko taka przenośnia.

Quinn rzucił Pearl ostrzegawcze spojrzenie. Znał jej opinię na temat Nifta i nie chciał, żeby straciła panowanie nad sobą na miejscu zbrodni.

– Powiedziałaś, że prawie pod każdym istotnym względem wygląda to tak samo – zauważył. Doskonale wiedział, że Nift lubi celebrować przekazywanie istotnych informacji, że rozkoszuje się napięciem oczekiwania i potem samym punktem kulminacyjnym.

– Miałem na myśli wszystko to, co istotne z punktu widzenia ofiary – powiedział Nift.

– A co z informacjami przydatnymi dla detektywa?

Nift jakby się chwilę nad tym zastanowił.

– Podejź tu, żebyś mógł się temu lepiej przyjrzeć – poprosił. – Tylko podejź sam, pani policjantka ze swoimi krągłościami może niech zostanie tam, gdzie jest.

Pearl wykazała się godną podziwu powściągliwością, zacisnęła tylko mocniej usta.

Quinn wszedł do łazienki, podświadomie wstrzymując oddech na myśl o tym koszmarnym smrodzie. Dopiero teraz zauważył, że mokre i zaczesane do tyłu włosy ofiary miały jasny kolor. To pewnie na to chciał im zwrócić uwagę Nift, to była ta istotna różnica. Wcześniej morderca zabijał brunetki. Poza tym coś zostało przyklejone do lewego policzka Marilyn Nelson. W pierwszej chwili Quinn uznał, że to martwy owad. Nachylił się jednak bliżej i stwierdził, że tak naprawdę patrzy na pukiel ciemnych kręconych włosów.

– Czy to jest to, co myślę?

Nift się uśmiechnął.

– Dokładnie tak, ciemne włosy łonowe. Tyle że nie obcięte, bo mają cebulki. Zostały wyrwane i przyczepione w widocznym miejscu na policzku. Ofiara była farbowaną blondynką.

Quinn nachylił się, żeby uważniej obejrzeć blond włosy.

– Tak by można przypuszczać, tylko że nie widać żadnych odrostów.

– To dlatego, że zostały pofarbowane zupełnie niedawno. Ona jest brunetką. – Nift zachichotał. – Wierz mi, sprawdziłem. – Rzucił Pearl wyzywające spojrzenie. – Szkoda, że nie miałem okazji tego stwierdzić, póki jeszcze żyła.

Pearl tak mocno zaciskała szczęki, żeby nic nie powiedzieć, że Quinn zaczął się obawiać, czy przypadkiem nie połamie sobie zębów.

Wyprostował się. Nift ciągle jeszcze kuczał, żeby dokończyć wstępne oględziny ciała. Po chwili jednak on również wstał. Na jego twarzy malował się ohydny uśmiezek.

– Wiesz, co oznaczają te włosy łonowe na policzku?

– Mogą oznaczać – powiedział Quinn – że nasz morderca, który ogólnie preferuje brunetki, znał tę ofiarę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jaki ma naprawdę kolor włosów.

– Co do tego nie ma wątpliwości – stwierdził Nift. – Nie zabiłby jej, gdyby nie wiedział, że jest tak naprawdę brunetką, że jest w jego typie. Myślę, że tę dziewczynę znał osobiście.

Pearl musiała przyznać w duchu, że Nift ma rację. Nie odezwała się jednak, bo ciągle tłumiała

w sobie gniew i szczerą niechęć do obrzydliwego patologa. Gdyby z nim zaczęła... Ale nie było sensu w ogóle się nad tym zastanawiać.

– Świeżo farbowana – powiedział Quinn. – To jednak wcale nie oznacza, że zabójca znał ją osobiście. Mógł ją po prostu obserwować przez wiele tygodni czy nawet miesięcy, gdy jeszcze była brunetką.

*Choćby dlatego, że jej nazwisko zaczyna się na N*, pomyślała Pearl.

Nift przygryzł policzek od środka, po czym skinął głową.

– To możliwe – przyznał.

*Świetnie*, uznała Pearl. *Udało się poskromić gada. Nauczy się, że z Quinnem nie ma sensu się mierzyć.*

– Jeszcze coś – zatrzymał ich Nift. – Powiedziałbym, że panna Nelson umarła najwyżej trzy godziny temu.

Quinn wyraźnie się tym zainteresował. Oznaczało to, że to morderca musiał anonimowo zatelefonować na policję. Drań pewnie tak to sobie właśnie zamyślił. Nie chciał czekać, aż ktoś inny znajdzie ciało. Chciał, żeby Quinn i jego ludzie mogli zobaczyć ją dokładnie tak, jak ją zostawił, żeby pukiel ciemnych włosów na pewno został odnaleziony. Prowadził przecież swoją makabryczną grę.

Quinn rozejrzał się uważnie wokół, a potem zaczął wycofywać się z łazienki, żeby wspólnie z Pearl porozmawiać z policjantami, którzy pierwsi przybyli na miejsce zbrodni. Potem chciał zamienić kilka słów z technikami i dowiedzieć się, czy już skończyli. Powinni jeszcze pomóc Feddermanowi w przesłuchiowaniu sąsiadów Marilyn Nelson. Nie żyła zaledwie od kilku godzin. Może ktoś widział mordercę, jak wchodził albo wychodził.

Gdy uwolnili się wreszcie od bezpośredniej obecności okrutnej śmierci, Pearl postanowiła spokojnie napomnieć Nifta, że powinien się raczej skupić na swojej pracy, a zadania śledcze pozostawić detektywom. Naprawdę chciała zachować umiar, chciała rozstać się z Niftem we względnie uprzejmej atmosferze. W rzeczywistości jednak wyszło jej nieco inaczej:

– Frankenstein! Naprawdę jesteś dupkiem nie do zniesienia.

Ale Nift w ogóle się nie obraził. Uśmiechnął się szeroko i spojrzał znacząco na Quinna.

– Proszę, ona jednak żyje!

Quinn objął Pearl w pasie, chwycił mocno za łokieć i wyprowadził z łazienki.

– Przepraszam – powiedziała, gdy znaleźli się w salonie. – Nie mogłam się powstrzymać.

Quinn się do niej uśmiechnął.

– Zważywszy na to, jak bardzo cię prowokowałam, poradziłaś sobie zupełnie dobrze.

Nadal schodząc z drogi technikom, którzy co chwila zapewniali, że już kończą, przeszli przez pokój i stanęli przy małym biurku z telefonem. Quinn upewnił się, że aparat został już zbadany na okoliczność odcisków palców, więc można go dotykać. Skorzystał z tej możliwości. Wcisnął guzik ponownego wybierania i wysłuchał informacji o godzinie i pogodzie oraz reklamy bezpłatnego rachunku bankowego. Czyli zabójca nie dzwonił z mieszkania, a w każdym razie nie z tego aparatu.

Pobieżne przeszukanie mieszkania Marilyn Nelson nie przyniosło żadnych istotnych wniosków. Nie znaleziono żadnego telefonu komórkowego, ani wibrującego, ani zwykłego. Może miała komórkę, ale zabójca zabrał ją z sobą i to z niej zadzwonił na policję.

Quinn nie zdołał powstrzymać uśmiechu, wyobraził sobie bowiem, jak zabójca próbuje zadzwonić z telefonu, który nie ma żadnych innych funkcji poza wibracją.

Wyszli z mieszkania i stanęli na korytarzu, aby uwolnić się od zapachu śmierci

potraktowanej wybielaczem.

– Nift pewnie ma rację – stwierdził Quinn. – Dziewczyna mogła zostać wybrana z uwagi na to, że jej nazwisko zaczyna się na N, ale zabójca zapewne poznał ją najpierw jako brunetkę albo w ogóle znał ją od dłuższego czasu.

– Może to jej brat – powiedziała Pearl, spoglądając z powrotem do mieszkania mniej więcej w kierunku Nifta.

Jak ktoś jej raz zalał za skórę, nigdy do końca nie potrafiła odpuścić. Irytowała się jeszcze długo, czasami w nieskończoność. Quinn uznał, że to po części może dlatego była takim świetnym detektywem i jednocześnie takim kiepskim policjantem. Dobrze wiedział, jak należy interpretować pojawienie się białych plamek w kącikach jej ust i co oznacza buńczuczne zadarcie brody. Szczerze powiedziawszy, te jej przejawy autentycznego oburzenia zawsze go trochę pociągały, chociaż nigdy się z tym nie zdradził. Teraz pokręcił głową powoli, jakby z mądrością i smutkiem jednocześnie.

– Oj, Pearl, Pearl...

Spojrzała na niego wzrokiem bazyliuszka. Quinn był tak samo wściekły jak ona, ale potrafił zapanować nad swoim gniewem, wykorzystując go jako promień laserowy, który przeszywa mrok w poszukiwaniu celu.

Biada temu, na kogo padnie.

## Rozdział 21

Quinn nie miał pojęcia, kto tak pukał do jego drzwi. Gdy otworzył, ujrzał wyrośniętego dzieciaka, który miał najwyżej ze dwadzieścia lat, mierzył nieco ponad metr osiemdziesiąt, ale ważył pewnie niewiele ponad sześćdziesiąt kilogramów. Miał na sobie niewiarygodnie wręcz wąskie lewisy, poplamioną szarą koszulkę z napisem „IMAGINE REALITY”<sup>2</sup> i schodzone buty do biegania zamocowane na nogach nie sznurowadłami, lecz taśmą klejącą. Rude włosy tworzyły płataninę niesfornych sprężynek. To właśnie te włosy i to ciągłe wrażenie podskakiwania przy najmniejszym ruchu, a także wtedy gdy stał – we własnym przekonaniu nieruchomo – pomogły Quinnowi skojarzyć, z kim ma do czynienia. Stał przed nim lider zespołu The Defendants, którego widział w Hungry U.

– Jestem Robaczek – powiedziała ludzka sprężynka.

– Robaczki się leczy – odparł Quinn.

Dzieciak uśmiechnął się szeroko. Tak szeroko, że policzki niemal wyskoczyły z jego wąskiej twarzy.

– Tak, ten dowcip już słyszałem. To właściwie moja ksywa. Jestem muzykiem, wokalistą.

– Widziałem cię i słyszałem – powiedział Quinn, zwracając uwagę na dziwne tatuaże na ramieniu Robaczka. Linie wiły się i płątały, nic właściwie nie przedstawiając, jedynie wzmagając to niesamowite wrażenie ciągłego ruchu. Jakby Robaczek po prostu nie wiedział, co to takiego stan spoczynku.

– Wiem – stwierdził. – Zapamiętałem pana, ponieważ wyszedł pan w środku mojego głównego numeru.

– Zupełnie bez związku z muzyką – wyjaśnił Quinn. – Musiałem odebrać telefon.

Szeroki uśmiech, kilka sprężystych ruchów.

– Dobrze wiedzieć.

Robaczek rzucił okiem na korytarz, po czym ponownie spojrzał na Quinna, jak gdyby czekał na zaproszenie.

– Przyszedłem do Lauri – powiedział w końcu.

– Tego się obawiałem.

Quinn się odsunął i Robaczek wpełzł do środka. Oczywiście nie wpełzł dosłownie, ale przemieszczał się do przodu, wykonując ciałem dziwne esowate ruchy.

– Hej, Robaczek! – Lauri, która jeszcze przed chwilą przebierała się u siebie w pokoju, stała teraz w salonie. Spoglądała pytająco to na Robaczka, to na ojca. – Widzę, że już mieliście okazję się poznać.

– Oficjalnie po raz pierwszy – powiedział Robaczek – ale twój staruszek, to znaczy twój tata, jadł ostatnio kolację w Hungry U. Pewnie przyszedł posłuchać naszej muzyki.

– Świetnie! – odparła Lauri zadowolona, choć jednocześnie trochę zaskoczona.

– Chciałem zobaczyć, gdzie pracujesz – wyznał Quinn.

Jej twarz spochmurniała i przez krótką chwilę wyglądała zupełnie jak matka. Robaczek dotknął jej ramienia.

– Nie miej mu tego za złe, Lauri. Ojcowie tak mają. Twój się martwi o swoją córkę.

Lauri zaczerpnęła głęboko powietrza i jakby się uspokoiła.

– I co myślisz o Hungry U? – zapytała Quinna.

– Jedzenie było dobre.

Na dłuższą chwilę zapadła kłopotliwa cisza.

– Idziecie gdzieś razem? – zapytał w końcu Quinn, jak gdyby dopiero teraz przyszło mu to do głowy.

– Na randkę – odparła Lauri, mocno podkreślając ostatnie słowo.

Quinn uznał, że powinien to potraktować jak sprawdzian. Miał bardzo niewielki wpływ na to, z kim się umawia Lauri. Tylko czy naprawdę musiała sobie wybrać to jedнокomórkowe stworzenie...?

– Przyprawdę ją z powrotem, zanim zamieni się w dynię – oznajmił Robaczek z niezmiennie szerokim uśmiechem.

Quinn miał ochotę wystraszyć go tak, żeby zdrętwiał i dał się cisnąć w dal jak oszczep, ale się powstrzymał.

– Ja rozumiem, że twój tata się martwi – powiedział Robaczek. – Jesteś jego kochaną córeczką, a mnie przecież właściwie nie zna. Wie tylko, że mam talent muzyczny.

*Już ja cię znam. Takich jak ty to ja już widziałem tysiące.*

Lauri podeszła do drzwi. Robaczek stał tam niby w miejscu, choć już nie w bezruchu, cały czas szczerząc zęby do Quinna.

– A dokąd idziecie? – Quinn wsłuchiwał się w dźwięk własnego pytania. Wydawało mu się, że brzmiało dość swobodnie, zupełnie niezobowiązująco. Taki w każdym razie miał zamysł.

Najwyraźniej jednak coś mu nie wyszło, bo Lauri znów się zachmurzyła.

– Posłuchaj...

– Spokojnie – zwrócił się do niej Robaczek pojednawczym tonem. – Tato Lauri, idziemy do Village posłuchać jednego zespołu. Proszę sobie wyobrazić, temu zespołowi się wydaje, że jest lepszy od mojego. Będzie bez narkotyków i bez... narkotyków.

– Zapomniałeś powiedzieć, że bez...

– Tato!

Quinn zdawał sobie sprawę, że na nic się to nie zda. Zmusił więc swoje zeszywniałe mięśnie twarzy do ułożenia się w uśmiech, choć jego wysiłki na niewiele się zdały.

– Bawcie się dobrze. Masz klucz?

– Mam klucz – powiedziała Lauri. Zupełnie niespodziewanie podeszła do niego i pocałowała go w policzek, uśmiechając się przy tym szeroko. – Nie martw się o mnie tak bardzo, tato. Naprawdę.

– Postaram się.

– Jest ze mną – przypomniał mu Robaczek, chcąc go podnieść na duchu.

– Postaram się nie martwić – powtórzył Quinn.

Potem zniknęli gdzieś w wielkim świecie – jego mała dziewczynka i ta ludzka glizda. Drzwi się za nimi zamknęły.

– Fajny ten twój tata – usłyszał jeszcze Quinn, zanim szcęknął zamek.

To jakaś telepatia, pomyślał Quinn. May i Elliott mieszkali po drugiej stronie kontynentu, mimo to jego była żona postanowiła zadzwonić akurat tego wieczoru.

– Co słyhać u Lauri? – zapytała, gdy wymienili słowa powitania.

– Nieźle – odparł Quinn. *Przynajmniej taką mam nadzieję.*

Zamiast położyć się spać, zaległ na sofie i się zamartwiał, kątem oka oglądając czterech prawników w czterech okienkach na ekranie. Klócili się o jakieś morderstwo, które popełniono w jakimś innym stanie, może w Minnesocie. Ofiarą zabójcy padła atrakcyjna młoda kobieta. Wyciszył głos, ale nie potrafił oderwać od nich wzroku.

- Nowy Jork jej nie zepsuł?
- Nie pozwolę na to – zapewnił Quinn. – Poza tym jest doroślejsza, niż mi się wydawało.

I bystra.

– Tylko brakuje jej życiowej mądrości. Na przedmieściach Los Angeles za bardzo nie da się jej zdobyć.

Quinn się zastanawiał, czy May czytuje gazety. Chyba nie ma takiego miejsca, w którym nastolatek nie mógłby odebrać takiej lekcji. Lekcji z gatunku tych, dzięki którym człowiek staje się co prawda mądrzejszy, ale traci radość życia, a kto wie co jeszcze przy okazji. Ponownie utkwił wzrok w twarzach prawników dyskutujących bezgłośnie na ekranie telewizora.

- Chyba radzi sobie całkiem nieźle. Ma pracę.
- Żartujesz. Ta Lauri, którą ja znam, żadnej pracy nie była w stanie utrzymać.
- Na razie pracuje. Jest kelnerką w restauracji w Village.
- Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, że znalazła pracę akurat tam.

Na ekranie pojawił się wytworny siwy mężczyzna, który kiedyś szefował nowojorskim patologom. Trzymał w dłoni rysunek przedstawiający szkielet. Demonstrował coś na nim zadbanym paznokciem wskazującego palca.

– To pakistańska restauracja – wyjaśnił Quinn, przyglądając się, jak patolog lokalizuje miednicę na rysunku. – Przynajmniej w teorii. Mnie się wydawało, że kuchnia jest tam raczej eklektyczna. Dużo grilla.

- Byłeś tam?
- No pewnie!

Mary się roześmiała.

– Dobrze, to pocieszające. A skoro tam pracuje, to lokal musiał przejść pozytywnie twoją inspekcję.

- Praca jak praca – powiedział Quinn. – Coś na początek.
- Mogę z nią porozmawiać?
- Nie ma jej teraz w domu.
- Jest wpół do dwunastej, Quinn.

*Cholerny Robaczek!*

- Poszła na randkę.

May milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

- Aha! Szybko jej poszło.
- To piękna dziewczyna, May. Tak samo jak ty jesteś piękną kobietą.
- Oszczędź mi tej swojej irlandzkiej ściemy. Z kim się umawia? Z jakimś innym kelnerem?
- Z muzykiem z zespołu, który grywa w restauracji. Jest tam też bar, grają muzykę na żywo.
- Pakistańską?
- Jeśli się nie mylę... – powiedział Quinn, wspominając *Lost in Bonkers*. – Poznałem gościa.

Wydaje się... nieszkodliwy.

- Tak ci podpowiada twój policyjny instynkt?

*Mój policyjny instynkt podpowiada mi, że to ci właśnie powinienem powiedzieć.*

– Taki chudzielec, co to wygląda, jak gdyby nigdy prawdziwego seksu nie uprawiał. Gdybyś miała okazję go zobaczyć, May, tobyś się tak nie martwiła.

- Jak się nazywa?
- Robaczek.
- Boże! To pseudonim?
- Nie wiem.

Quinn usłyszał hałas na korytarzu, a potem szcęk klucza w zamku. Drzwi się otworzyły i do

mieszkania weszła Lauri, sama. Ledwo widoczny cień w kształcie litery S zakreślił się gdzieś za nią na korytarzu i zniknął mu z oczu.

– Właśnie wróciła – powiedział, chcąc ją pocieszyć. Lauri natomiast posłał bezgłośnie: „Spóźniłaś się”.

– Tylko trochę – odrzekła mu szeptem.

Quinn uważnie się jej przyjrzał. Ubranie miała niepogniecione, szminka jej się nie rozmazała. Wyglądała mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy wychodziła z domu w towarzystwie ludzkiej glizdy.

– Wszystko z nią w porządku? – zapytał głos z Kalifornii.

– W porządku, w porządku... – Quinn wyciągnął słuchawkę do Lauri. – Dzwoni twoja matka. Chce z tobą porozmawiać.

Lauri jakby chwilę się nad tym zastanowiła, po czym wzduszyła ramionami i podeszła do kanapy. Quinn przekazał jej słuchawkę, wstał i dyplomatycznie wyszedł z pokoju.

W kuchni otworzył sobie zimnego budweisera i przez chwilę podsłuchiwał ich rozmowę przez drugi aparat. Potem z tego zrezygnował, żeby przypadkiem się nie zorientowały.

Siedział przy stole i popijał piwo, starając się posłyszeć coś z rozmowy toczącej się w pokoju obok. Ton Lauri szybko stał się szorstki. Po kilku minutach ciszy pojawiła się w drzwiach do kuchni.

– Twoja matka jest ciągle na linii? – zapytał Quinn.

– Nie, widocznie nie miała ci już nic więcej do powiedzenia. – Uśmiechnęła się do niego. – Idę spać. No chyba że chcesz mi jeszcze najpierw posuszyć głowę o trzy kwadranse spóźnienia.

– Nie spóźniłaś się aż tak bardzo – oświadczył Quinn. – Poza tym nikt nie obiecywał w pół do dwunastej. Robaczek tylko o tym wspomniał. – Wypił łyk piwa. – Lubisz go?

– Zdecydowanie bardziej on lubi mnie.

Quinn przechylił butelkę, żeby ponownie wlać sobie piwo do ust.

– Do takich rzeczy to się powinnaś przyzwyczaić.

Lauri na niego spojrzała.

– Ojcowska mądrość i komplement w jednym. Podoba mi się. Dziękuję. – Powoli mu pomachała. – Dobranoc.

– Dobranoc – powiedział nie do końca pewny, czy mówi poważnie, czy żartuje.

Siedział jeszcze przez chwilę, bezmyślnie oddzierając etykietę z butelki. Zastanawiał się, co tak naprawdę teraz czuje, ale nic mu się nie udało ustalić. Ojcowie nastolatek pewnie często tak mają. Nie wiedzą. Niepokoją się. Postanowił, że poprosi Pearl, żeby porozmawiała z Lauri – żeby się mogły lepiej poznać. Może Pearl coś więcej z tego zrozumie i będzie go mogła oświecić.

A może Lauri pomoże mu zrozumieć Pearl.

2 „Wyobraź sobie rzeczywistość”.

## Rozdział 22

– Morderstwo nabiera przez to jakby bardziej intymnego charakteru – zauważył Renz.

Pearl nie miała najmniejszych wątpliwości, że zanim odwrócił wzrok, mrugnął do niej porozumiewawczo. Po raz pierwszy odwiedził biuro, które miasto wynajęło dla Quinna i jego zespołu. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że zespół dochodzeniowy może pracować w takim miejscu. Wyglądało tu trochę tak, jak gdyby ktoś prowadził nie do końca legalną działalność i zwinął manatki na krótko przed wkroczeniem policji. *Zzzzziiiiiiii*, zabrzmiało wiertło z Tylko Plomby. Renz się skrzywił.

– Morderstwo to w ogóle jest skrajnie intymna sprawa – stwierdził Quinn. – Fakt, że morderca umieścił na widoku publicznym włosy łonowe ofiary, którą wcześniej rozczłonkował, nic w tej kwestii nie zmienia.

– Nie, nie – powiedziała Pearl. – Renz ma rację. Jest w tym coś wyjątkowo intymnego. To zupełnie czytelny przekaz, zwłaszcza dla kobiety. Dla mężczyzny też, jeśli ma w sobie choćby odrobinę wrażliwości.

Jak zwykle, zamiast siedzieć za biurkiem, wybrała miejsce na blacie. Quinn rzucił jej gniewne spojrzenie zza swojego miejsca pracy. Czyżby chciała mu w ten sposób dać coś do zrozumienia?

Renz zorientował się, że bierze udział w jakiejś rozgrywce, mimo to się uśmiechał. Pearl najwyraźniej grała w jego drużynie.

– Kasner łapie, o co w tym chodzi, Quinn. Właśnie dlatego komendant, ale też ratusz i każdy, kto kiedykolwiek ubiegał się w tym mieście o jakikolwiek urząd, trują mi teraz tyłek.

– I dlatego tu jesteś – powiedział Quinn.

– Właśnie. Przyszedłem to zwalić na ciebie. Musicie w końcu zacząć wykazywać wyniki, bo inaczej cała nowojorska policja tak mocno straci w sondażach, że nas wymienią na bostońską.

– Albo na tę z Mayberry – rzucił Fedderman.

Pearl doszła do wniosku, że najwyraźniej dostrzegł wcześniejsze porozumiewawcze mrugnięcie Renza.

Renz szeroko się uśmiechnął.

– To mi się podoba. Twój zespół ma przynajmniej poczucie humoru, Quinn. Jak wielu innych nieudaczników potrafią śmiać się z samych siebie.

– Właśnie to samo sobie pomyślałem – rzucił Quinn.

Teraz Renz się śmiał. Wszyscy się śmiali. Tworzyli razem całkiem wesołą gromadkę!

Renz przetarł oczy.

– Komendant kazał mi tu przyjść i trochę wami potrząsnąć. Nie mam do was pretensji, bo wiem, jak jest. Drań nie zostawia śladów, więc właściwie nie ma się czego chwycić. Tylko że musicie pamiętać, kto was zatrudnił. Dopóki pracujecie dla mnie, dopóty musicie ze mną faktycznie pracować.

– Ależ my pracujemy – powiedziała Pearl, jakoś nie do końca nadążając za tym, kto tu żartuje.

– I to naprawdę ciężko – dodał Fedderman.

– Przecież wiem – uciął Renz. – Przyszedłem tu tylko z konieczności politycznej. – Uważnie przyjrzał się Quinnowi. – A tobie co? Miałaś kiepską noc?

– Nawet bardzo – odparł Quinn. Zastanawiał się, czy Renz dalej by tak żartował, gdyby miał



taką córkę jak Lauri.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał Renz zupełnie szczerze, choć zapewne tylko po to, żeby podroczyć się z Quinnem.

– Nie, sprawy rodzinne. Takie rzeczy powinno się zostawić w domu, a nie przychodzić z tym do pracy.

– Właśnie miałem ci to samo powiedzieć – usłyszał Quinn od Renza.

Dobiegł ich nagły, stłumiony skowyt. Renz sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Co to, u licha, było?

– Może leczenie kanałowe? – odparł Quinn. – W drugiej części budynku mieści się gabinet dentystyczny. To wcześniej to było borowanie.

– Ach, tak. A już myślałem, że Rzeźnik morduje wam kogoś za drzwiami. Coś takiego to by dopiero źle wyglądało.

– Tam pracuje innego rodzaju sadysta – powiedział Fedderman, prezentując uzębienie w nie najlepszym stanie.

Renz rozejrzał się wokół. Popatrzył na stojące jedno przy drugim biurka i komputery. Omiótł wzrokiem zupełnie puste ściany, na których tylko gdzieniegdzie zostały gwóźdź, śrubka lub jasny ślad po ramce. Potem spojrzął na drewnianą podłogę, z której tuż przed nim wystawała płatanina kabli.

– Niezłe pole minowe tu macie. A co się stanie, jak się nadejście na takie kable? Szlag człowieka trafia?

– Niewykluczone – odparła Pearl.

Renz podciągnął pasek i spojrzął w dół, żeby skontrolować wygląd spodni. Quinn potrafił odczytać sens tego ruchu: Renz miał ich lada moment opuścić.

Na odchodnym powiedział:

– Dobrze, to załóżmy, że was przywołałem do porządku. Komendant będzie myślał, że dostaliście ostrą reprimendę.

– Dzięki – powiedziała Pearl. Uznała, że ktoś powinien mu podziękować, bo inaczej nie uwierzy, że zrozumieli to jego pieprzenie.

Renz skinął głową, rzucił okiem na Quinna i Feddermana, po czym skierował się do wyjścia.

– Ten to jest aparat – skomentowała Pearl.

– Można to i tak ująć – odparł Fedderman.

Wstał zza biurka i ruszył przez pole minowe w kierunku ekspresu do kawy. Pearl zaczęła, aż trochę się oddali, po czym zapytała Quinna:

– Co masz za kłopoty rodzinne?

– Z Lauri.

Sprawiła wrażenie jednocześnie zatroskanej i rozbawionej.

– Właściwie jej nie znam, ale to chyba fajny dzieciak.

– Fajny, ale też naiwny. Ubzdurzyła sobie coś tam w tej swojej głowie i chyba jej się to nie przysłuży.

– Czyżby chodziło o jakiegoś chłopaka?

– Jeśli tak można go nazwać...

– Chyba już rozumiem, o co ci chodzi. Przypuszczam, że wcale nie jest aż taka naiwna i biedna, jak ci się wydaje, Quinn.

– Właśnie tego mogłabyś się dla mnie dowiedzieć.

Pearl ze zdumieniem uniosła wyraziste brwi. Nie bardzo wiedziała, co ma o tym myśleć. Z rodziną sprawa zawsze jest śliska. *Boże! Powinnam zadzwonić do matki... Po tym, jak się z nią ostatnio rozłączyłam...*

- Po prostu się z nią spotkaj i porozmawiaj – przekonywał ją Quinn. – Poznasz ją trochę. Może ci opowie coś, czego dziewczęta raczej nie mówią ojcom.
- Zupełnie niewykluczone – stwierdziła Pearl. Zastanawiała się, jak to jest mieć takiego ojca jak Quinn.
- Zrobisz to dla mnie, Pearl?
- Pewnie. – Patrząc na minę Quinna, stwierdziła, że w jej głosie chyba zabrakło entuzjazmu. Oboje zamilkli, bo Fedderman wrócił z kawą.
- Mayberry – powiedział w zamyśleniu. – Tam to na pewno jest spokojniej. Pamiętasz fryzjera Floydą?
- Oboje powinniście pamiętać – odezwał się Quinn – że Renza nie należy lekceważyć tylko dlatego, że kreuje się na jednego z nas. Będzie się z nami spoufalać, ale tylko do czasu. Gdyby miało mu to pomóc w awansie, bez wahania rzuciłby się nam do gardeł.
- Zdajemy sobie z tego sprawę – zapewniła Pearl. – Tylko się z tobą droczymy, Quinn.
- Tak czy owak – powiedział Fedderman – Mayberry...
- Wróćmy do Nowego Jorku – stwierdził Quinn. – Marilyn Nelson była drugą ofiarą na N, co wcale nie znaczy, że morderca zamierza na niej skończyć.

Znowu przeczesywali zarośla – tak mówił o tym Quinn. Tym właśnie zajmowała się Pearl w skromnym mieszkaniu Marilyn Nelson na West Side, w którym ciągle jeszcze unosił się zapach zdezynfekowanej śmierci. Przeczesywała zarośla po raz kolejny, licząc na to, że tym razem uda jej się coś znaleźć – cokolwiek, co mogłoby im się przydać.

Podczas drugich, bardziej starannych oględzin Pearl pracowała wolniej, z większą uwagą. Pomieszczenia zostały urządzone tanim kosztem, ale gustownie. Marilyn Nelson zapewne się wydawało, że zupełnie przyzwoicie zarabia, na Manhattanie jednak na niewiele jej te pieniądze wystarczały. W jej szafie wisiało kilka czarnych ubrań, z których dało się tworzyć różne zestawy (Marilyn najwyraźniej nadrabiała zaległości), oraz parę fajnych outdoorowych ciuchów. Gdyby nie wiedzieli, że dziewczyna pracowała dla sieci odzieżowej, mogliby stwierdzić, że lubi piesze wędrówki albo wspina się po górach. Pearl jednak zdawała sobie sprawę, że wybór szorstkich, nabijanych ćwiekami ubrań i ciężkich butów był w jej przypadku raczej kwestią stylu niż pragmatyzmu.

W lodówce nie znalazła nic godnego uwagi: nieotwarta butelka soku pomarańczowego, resztki pizzy kupionej na wynos, dawno przeterminowany półgalonowy, prawie pusty kartonik mleka i worek sałaty gotowej do przyrządzenia sałatki, oprócz tego kilka typowych przypraw. Pearl nachyliła się i zaczerpnęła łyk chłodnego powietrza, po czym zamknęła drzwi lodówki.

Również w sypialni nic nowego nie znalazła, mimo że przejrzała wszystkie szuflady i szafę. Zajrzała nawet pod materac i do stelaża, żeby przypadkiem nie przegapić wibratora w kształcie telefonu. Fajnie by było, gdyby udało się powiązać Marilyn Nelson z pozostałymi dwiema ofiarami. Wszędzie porządek. Wszędzie czysto. Pearl przełknęła głośno ślinę. Czystość zaczynała jej się źle kojarzyć.

Przemogła się i spędziła w łazience więcej czasu, niż musiała. Chyba chciała się sprawdzić. Porcelanowa wanna lśniąca czystością przedstawiała widok bardziej obleśny, niż gdyby pozostały na niej ślady krwi ofiary. Opuściła łazienkę z poczuciem obrzydzenia, przeszła przez korytarz i salon, aż doszła do drzwi. Za chwilę miała zamiar zamocować z powrotem na klamce żółtą taśmę zabezpieczającą miejsce zbrodni i wyjść na świeże powietrze, żeby znowu znaleźć się w wielkim świecie, w którym śmierć wydaje się nieco bardziej odległym conceptem. Jeszcze tylko raz omiotła smutnym wzrokiem salon, po czym otworzyła drzwi na korytarz.

Oddech uwiązł jej w gardle.

## Rozdział 23

*Bocanne, Floryda, 1980*

Shermanowi coś się śniło, ale obudził się nagle i nie potrafił sobie przypomnieć co. Wiedział tylko, że to musiało być coś przerażającego. Był cały spocony, a serce waliło mu jak młotem, zagłuszając wszystkie odgłosy nocy poza bzyczeniem owadów nad pobliskim bagnem.

Potem usłyszał głosy. *Zupełnie jak we śnie*. Niski głos Sama i głos matki. On mówił spokojnie, ona zaś szybko, jakby piskliwie. Brzmiało to trochę tak, jak gdyby Sam i Myrna klócili się w sypialni po drugiej stronie korytarza, gdzie spali na wymęczonym dwuosobowym łóżku. Sherman zeszywniał, gdy sobie uświadomił, że zgniata sobie kciuki w zaciśniętej pięści. Odkąd pojawił się Sam, jakoś wyzbył się tego nawyku.

Rozległ się odgłos, który mógł towarzyszyć uderzeniu – jakby gdyby ciało uderzyło o ciało, i to mocno.

Sherman tak silnie zagniół kciuki, że aż poczuł ból.

Dobiegł go głos matki, znacznie donioślejszy niż wcześniej. Nie zrozumiał ani słowa, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że się wściekła. Przeklinała Sama.

Sam przemawiał do niej ciszej, jak gdyby nie chciał obudzić Shermana, ale też był podenerwowany. Próbował nakłonić Myrnę, żeby się uspokoiła. Kolejne uderzenie. Potem jeszcze jedno, a potem kolejne i straszny odgłos, jakiego Sherman jeszcze nigdy nie słyszał. Był przekonany, że jego matka płacze.

Znowu usłyszał głos Sama, rozgniewany, ale cichy. Przemawiał powoli, z rozważą, tak samo jak wtedy, gdy cierpliwie przekazywał Shermanowi wskazówki dotyczące wędkowania lub opowiadał jakąś ciekawą historię o wojnie secesyjnej. Sherman pomyślał sobie, że w sypialni matki toczy się wojna. Ale on nie chciał w tej wojnie uczestniczyć.

Długo leżał w bezruchu, nasłuchując kolejnych odgłosów. Tamtego wieczora jednak ciszę przerywało już tylko bzyczenie owadów. Przez otwarte, choć zasłonięte moskitierą okno wpadał do pokoju charakterystyczny zapach bagna: gnijącej śmierci, strachu i walki nieodłącznie towarzyszącej tej bujnej zieleni. Sherman słyszał tysiące cykad. Od Sama dowiedział się, że wabią w ten sposób partnerów. To ich wołanie jednak miało w sobie coś rozpaczliwego. Pośród przenikliwych dźwięków rozległ się głęboki charkot. Coś się poruszało w mroku nocy w niedużej odległości od domu. W bardzo niedużej odległości...

W sypialni po drugiej stronie korytarza panowała głucha cisza.

Następnego ranka Sherman wstał z przekonaniem, że obudził się pierwszy. Gdy ruszył bez butów korytarzem, w kuchni zobaczył matkę. Rozpalała ogień pod palnikiem gazowym, żeby usmażyć kilka jajek czekających na blasce przy zlewie. Włosy miała zmierzwione, a w jej oczach dostrzegł jakąś zadumę. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej. Miała na sobie stary różowy szlafrok, którego pasek zaciągnęła mocno wokół wąskiej talii. Podobnie jak syn, nie miała na nogach butów. Lubiła chodzić boso. Paznokcie u stóp miała pomalowane na czerwono. Jeden sprawiał wrażenie złamanego, wyglądał, jakby krwawił.

Sherman odniósł wrażenie, że matka go nie zauważyła. Zmienił więc kierunek i podreptał

w stronę łazienki, dostrzegł bowiem, że drzwi do sypialni matki są lekko uchylone. Przez szparę zobaczył nagie łydki Sama leżące na łóżku. Najwyraźniej jeszcze spał.

Sherman uznał, że być może te wszystkie wydarzenia ubiegłej nocy – to wszystko, co słyszał – to był tylko zły sen. Nie mógł tego do końca wykluczyć. Sny i rzeczywistość czasami splatały się w jego umyśle w jedną całość.

Wysikał się, a potem spuścił wodę, żeby posłać mocz do szamba zakopanego przy domu. Stare kurki przy umywalce zaskrzypiały, kiedy je obracał. Zanim wyszedł z łazienki, umył ręce i starannie je wytarł.

Wracając do kuchni, czuł pod bosymi stopami chłód drewnianej podłogi. Zauważył, że drzwi do sypialni matki zdażyły się już zamknąć. Zwolnił, żeby może po drodze chwycić za klamkę i sprawdzić, czy się otworzą.

– Masz ochotę na jajka? – zapytała matka.

– Tost mi wystarczy – powiedział, przyspieszając nieco kroku.

– To najpierw włóż spodnie.

Sherman miał na sobie tylko bokserki. Skinął głową i poszedł do swojego pokoju włożyć dzinsy. Pomimo wczesnej pory było już gorąco i wilgotno. Usiłował wcisnąć się w koszulkę z wczoraj, ale przykleiła się do wilgotnej skóry na plecach i nie chciała dać się obciągnąć. Odkleił ją, rzucił na podłogę i z nagim tarsem pomaszerował do kuchni. Tym razem nie zatrzymał się przy sypialni matki.

Na jego zwyczajowym miejscu przy stole czekały już tost posmarowany masłem i szklanka mleka. Matka była dla niego wyjątkowo miła tego ranka. Zwykle sam musiał sobie robić śniadanie.

Usmażyła też jajka dla siebie i właśnie ściągała je na talerz gumową szpatułką. Obok nich położyła drugą kromkę podgrzaną w starym tosterze. Nie odzywając się do Shermana ani nawet na niego nie spoglądając, usiadła naprzeciwko i zaczęła jeść.

– Dobrze spałeś? – zapytała, połykając jajko, które właśnie włożyła sobie widelcem do ust.

– Zawsze dobrze śpię. – Sherman wziął duży gryz tostu.

– Jesteś młody i nie masz żadnych zmartwień – powiedziała z uśmiechem.

– Jakież tam mam.

– No tak, każdy się czymś martwi.

Jedli dalej, nie patrząc na siebie. Potem Sherman uświadomił sobie, że tak naprawdę to tylko on je.

Matka powoli unosiła porcję jajek do ust, ale zatrzymywała się zawsze w połowie drogi, po czym odkładała widelec na talerz. Wyraz jej twarzy się zmieniał, zupełnie jakby starzała się na oczach syna. Odsunęła krzesło z głośnym szurnięciem, wstała od stołu i popędziła do łazienki. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi – Sherman słyszał więc, jak wymiotuje.

Bez zastanowienia, zabrawszy z sobą resztkę tostu, wstał i poszedł w stronę łazienki, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Matka klęczała na kafelkowej podłodze z głową zwieszoną nad poślizgniętą porcelanową muszlą. Kilka pasemek jej brązowych włosów zanurzyło się w wodzie. Sherman nigdy nie widział jej takiej bladej.

Wydała z siebie okrutny charkot, trochę podobny do tego, który Sherman słyszał ubiegłej nocy na bagnach, po czym jej ciałem wstrząsnęły torsje i zawartość żołądka wylądowała w muszli. Sherman zobaczył, że sporą część tej treści stanowi krew. Zobaczył też strużkę krwi na podłodze w pobliżu jej złamanego paznokcia u stopy.

Czyli ubiegła noc wydarzyła się naprawdę. To nie był tylko zły sen. Nie ulegało wątpliwości, że się klócili. W każdym razie tak to brzmiało.

Sherman podszedł bliżej do drzwi, cały czas obserwując, co się dzieje w łazience.

- Mamo?
- Idź sobie!
- Mam obudzić Sama?
- Niech śpi! – krzyknęła matka Shermana prosto w poźólką muszlę.

Kłęcząca niezmiennie w tej samej pozycji przez bardzo długi czas. Sherman też się nie ruszał. W końcu matka uniosła rękę i uruchomiła spłuczkę. Wyprostowała się, opuściła drewnianą kłapę i wytarła usta rękawem szlafroka.

- Wszystko w porządku, mamo?
- Będzie w porządku. Musi być w porządku.

Wygięła się, po czym sięgnęła ku górze i oparła się na umywalce, żeby łatwiej jej się było podnieść do pozycji pionowej. Oddychała głośno i głęboko. Spojrzała na chwilę w lustro wiszące na szafce z lekami, ale szybko odwróciła wzrok. Kurki od kranu zaskrzypiały.

Myrna nachylała się nad umywalką przez dłuższy czas, polewając sobie nadgarstki zimną wodą. Zwykle nie robiła takich rzeczy i często napominała Shermana, że wodę należy oszczędzać. Korzystali głównie ze zbiornika na deszczówkę, ponieważ woda z pompy śmierdziała i nie nadawała się ani do picia, ani do celów higienicznych. W końcu wyłączyła wodę i spojrzała na Shermana tak, że aż przeszedł go dreszcz. W jej oczach dostrzegł smutek i... coś jeszcze. Coś, co go przeraziło.

- Mielicie iść z Samem na ryby, jeśli się nie mylę.
- Tak jest. – Nie potrafił odwrócić od niej wzroku.
- No to idź. On do ciebie dołączy, jak się obudzi i zje śniadanie.

*Tejej oczy.* Sherman ani drgnął.

- Sam będzie wiedział, gdzie cię szukać?
- Tak jest. Zawsze chodzimy w to samo miejsce.
- No to idź już, Sherman. Sam do ciebie dojdzie. Weź z sobą swój tost.

Sherman nie bez wahania zrobił pierwszy krok. Potem dwa. Czuł na gołych plecach jej wzrok, który palił go jak płomień.

- Sam do ciebie dojdzie.

Sherman czuł, że matka odprowadza go wzrokiem aż na ganek. Po drodze dojadł tost, otrzepał dłonie, żeby pozbyć się okruszków, po czym wytarł o dżinsy palce brudne od masła.

Najpierw chwycił wędkę użyczaną mu przez Sama. Po chwili zastanowienia jednak wybrał stary bambus, który stał oparty o ścianę. Może niech tego ranka to Sam łowi ryby za pomocą wędki z kołowrotkiem i kolorową muchą jako przynętą. Linka, spławik i haczyk już na niego czekały, robaki pewnie znajdzie na miejscu.

Sherman poszedł tam, gdzie im ostatnio dobrze brały – w okolice figowca o podwójnych, krzaczastych korzeniach. Rzeczywiście, w wilgotnej glebie bez trudu znalazł robaki na przynętę. Tym razem jednak szczęście mu nie dopisywało. Tego ranka ryby nie brały.

Sherman nasłuchiwał stłumionych odgłosów bagna. Przyszło mu do głowy, że niemal słyszy, jak to i owo rośnie. Gdzieś nieopodal bzycały komary. Setki owadów połyskiwały w słońcu, załamując promienie światła podczas powolnego ruchu. Liście szeleściły pomimo braku wiatru. Sherman obserwował wodne pająki, które sprawnie przemierzały ciemną powierzchnię w pobliżu brzegów. Dostrzegł też brązowo-szarą ćmę wielkości własnej dłoni, która trzepotała skrzydłami w cętkowanym cieniu drzew.

Spędził tam mnóstwo czasu. Stał w cieniu i wpatrywał się w korek, który nieruchomo spoczywał na powierzchni. Obserwował ciemne kręgi rozchodzące się po wodzie i myślał o tym,

co zobaczył w oczach matki. Z nadzieją czekał na to, aby Sam pojawił się z uśmiechem na twarzy i wędką swobodnie balansującą w ręku. Wiedział, że prawdopodobnie tak nie będzie.  
Zobaczył to w oczach matki.

## Rozdział 24

*Nowy Jork, czasy obecne*

Mężczyzna po drugiej stronie drzwi mieszkania Marilyn Nelson znajdował się tak blisko niej, że Pearl aż się odruchowo cofnęła. Szybko jednak odzyskała panowanie nad sytuacją i oceniła nieznanego policyjnym wzrokiem.

Prawą rękę miał uniesioną na wysokość ramienia. Właśnie zamierzał zapukać. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, regularne rysy twarzy, sympatyczne brązowe oczy i miły uśmiech. Ogólnie prezentował się dobrze. Na podstawie ubrania też dużo więcej nie wydedukowała: spodnie khaki, niebieska koszula z krótkim rękawem i rozpiętym guzikiem u góry, brązowe mokasy. Żadnej obrączki ani sygnetu. Zegarek sprawiał wrażenie nieco bardziej kosztownego od reszty stroju. W dzisiejszych czasach jednak często się to zdarza. Ludzie lubią drogie zegarki.

– Spodziewałem się zobaczyć Marilyn – oznajmił niewątpliwie skonsternowany.

Pearl w pierwszej chwili nic nie powiedziała. Niech trochę poczeka. To jej da przewagę.

– Pani jest jej znajomą? – dociekał przyjaznym tonem, jak gdyby lubił poznawać nowych ludzi. Człowiek o gołębi sercu.

Pearl pokazała mu odznakę. Powiedziała, że pracuje w wydziale zabójstw NYPD.

– A czy pan jest jej znajomym? – zapytała.

Teraz to on sprawiał wrażenie lekko zbitego z tropu.

– No tak, tak. Jestem. Nazywam się Jeb Jones.

Pearl nie przypominała sobie takiego nazwiska z książeczki adresowej Marilyn.

Jego brązowe oczy spojrzały w bok, po czym znowu zatrzymały się na Pearl.

– Powiedziała pani „wydział zabójstw”. Czy ta żółta taśma oznacza to, co myślę?

– Niestety tak.

– Czyli to nie jest żaden dowcip?

Teraz sprawiał już wrażenie mocno zdenerwowanego, a przy tym autentycznie zaskoczonego. Chyba nie bardzo potrafił w to wszystko uwierzyć.

– Żaden dowcip. Czytuje pan gazety albo ogląda wiadomości telewizyjne, panie Jones?

– W ciągu ostatnich kilku dni nie miałem okazji. Prawdę powiedziawszy, unikam tego. To mnie przygnębia.

– Marilyn Nelson padła ofiarą Rzeźnika – oświadczyła Pearl.

Z jego miny można było wnioskować, że akurat o tym zabójcy słyszał.

– Jezu Chryste! – Uniósł dłoń i położył sobie palce u nasady nosa. Zamknął na chwilę oczy, jak gdyby potrzebował chwili, żeby przyswoić sobie złe wieści – jeszcze gorsze, niż się spodziewał usłyszeć.

– Proszę wejść do środka – powiedziała Pearl, cofając się do mieszkania. – Marilyn... już nie ma.

Powoli przekroczył próg, rozglądając się na prawo i lewo, jak gdyby spodziewał się zobaczyć plamy krwi lub inne oznaki przemocy. Nawet jeśli poczuł zapach śmierci, nie dał tego po sobie poznać. Niepewnie podszedł do sofy i usiadł. Pearl uznała, że najwyraźniej czuł się tu swobodnie. Ustawiła sobie fotel z uszami naprzeciwko kanapy, po czym wyjęła notes i króciutki ołówek.



– Jak dobrze znaliście się z Marilyn?

Znowu przycisnął sobie nasadę nosa, jak to czasem czynią ludzie cierpiący z powodu silnego bólu głowy. Zamknął oczy, ale tym razem na chwilę.

– Byliśmy na dwóch randkach. Chyba dobrze się dogadywaliśmy. Gdy rozstawaliśmy się po ostatnim spotkaniu, pewnie z tydzień temu, powiedziałem jej, że jakoś do niej wpadnę. – Opuścił rękę, utkwił smutne spojrzenie w Pearl i wzruszył ramionami. – No i jestem!

– Naprawdę nazywa się pan Jones?

– Oczywiście, że tak.

Sprawił wrażenie autentycznie oburzonego.

– Musiałam zapytać – powiedziała.

– Pewnie tak.

– Gdzie pan poznał Marilyn?

– W lokalu, kilka tygodni temu.

– W Nuts and Bolts?

– Słucham?

– To taki lokal na East Side.

– Nie. Klub nazywa się Richard's. Znajduje się w pobliżu Lincoln Center.

Pearl знаła to miejsce. To porządny lokal, często odwiedzany przez widzów różnych przedstawień i koncertów. Nie chodzi się tam raczej na podryw jak do Nuts and Bolts.

– A gdzie był pan z Marilyn na tych dwóch randkach?

– Raz poszliśmy na obiad, za drugim razem oglądaliśmy stary film Woody'ego Allena w Renaissance Theater, dosłownie ulicę dalej.

– *Bananowy czubek* – powiedziała Pearl. Uwielbiała Woody'ego Allena i wiedziała, co akurat grają w tym kinie.

– Słucham? A, tak. Południowoamerykańscy dyktatorzy i te sprawy. Tytuł zdążyłem zapamiętać.

– A na tej drugiej randce gdzie byliście na kolacji?

– W Pepper Tree, niedaleko stąd. – Rozejrzał się wokół siebie. – Umówiliśmy się przez telefon i spotkaliśmy się na miejscu. Nigdy wcześniej nie byłem w jej mieszkaniu. A teraz ona... Chryste!

Pearl ostentacyjnie złożyła notes i schowała go razem z ołówkiem. Rozsiadła się wygodnie w fotelu, pozornie się odprężając. Nadszedł czas na przyjacielską „nieoficjalną” rozmowę. Pearl wielokrotnie obserwowała, jak Quinn stosuje tę technikę, żeby uspić czujność świadka. Udawał w tym celu, że właściwe przesłuchanie dobiegło już końca.

– To może teraz skupmy się nie tyle na faktach, ile na pana wrażeniach. Proszę mi powiedzieć, jaką kobietą była Marilyn.

Jones musiał się nad tym chwilę zastanowić.

– Była zawsze pogodna, optymistyczna. W każdym razie ja ją zawsze taką widziałem. Poza tym była mądra i ambitna. Wydawało jej się, że coś w życiu osiągnie. I pewnie by osiągnęła. Mieszkała tu od niedawna, pracowała jako konsultant dla jakiejś sieci sklepów odzieżowych.

– Rough Country?

– Nie wiem, może.

Pearl uśmiechnęła się, jak gdyby z pewnym zażenowaniem.

– Przykro mi, ale muszę panu zadać intymne pytanie, panie Jones.

Nie musiała mu nic tłumaczyć.

– Nie było nam dane znaleźć się w sytuacji intymnej. – W jego spojrzeniu Pearl dostrzegła bezpośredniość i uczciwość. – Jak już wspomniałem, nigdy wcześniej tu nie byłem. Ona też

nigdy nie była u mnie. – Opuścił wzrok na buty, ale po chwili go podniósł. – Chociaż miałem pewne nadzieje.

– Jasne – powiedziała Pearl. – A co jeszcze może mi pan o niej powiedzieć? Próbuję się zorientować, jakim człowiekiem tak naprawdę była. – *I jakim człowiekiem jesteś ty.*

– Często się śmiała – dodał Jones. – To mi się chyba w niej najbardziej podobało. Miała takie szczególne poczucie humoru. Co prawda sama rzadko mówiła coś zabawnego, ale bawiły ją wypowiedzi innych ludzi. – Sprawiał wrażenie, jak gdyby miał się zaraz rozpląkać. – Prawda jest taka, że nie znaleźliśmy się w sumie aż tak dobrze, ale i tak mi jej będzie brakować. Lepiej chyba nie potrafię jej scharakteryzować. – Rozejrzał się wokół siebie. – Taka strata. Taka cholerna szkoda.

– Szkoda – zgodziła się Pearl.

Dwie randki, z których żadna nie skończyła się w łóżku, a ten facet zaraz jej się rozklei. Takie rzeczy się zdarzają. Pearl się zastanawiała, czy ktoś by po niej płakał, gdyby została zamordowana. To jedno z tych pytań, które mogłaby jej zadać matka. Naprawdę powinna do niej zadzwonić.

– Chodzi mi o to, że była taka piękna i ciągle jeszcze młoda. – Jones pociągnął nosem. – Ale pani pewnie często się z tym spotyka w swojej pracy.

– Aż za często. – Pearl odczekała chwilę, po czym dodała: – A czym pan się zajmuje zawodowo, panie Jones?

Nagła zmiana tematu. Może nawet podniosłoby go to trochę na duchu, gdyby go aż tak nie zaskoczyło. Wydawał się autentycznie zasmucony.

– Jestem dziennikarzem freelancerem.

*No świetnie!*

Najwyraźniej musiał dostrzec zaniepokojenie na jej twarzy.

– Nie zajmuję się tropieniem newsów – zapewnił. – Jestem w Nowym Jorku, bo pracuję nad książką o tym, co się dzieje na zbiegu polityki i gospodarki, o wzajemnych zależnościach między tymi dziedzinami.

– To musi być fascynujące.

Uśmiechnął się lekko.

– Staram się o tym pisać w miarę przystępnie. Ciągle szukam wydawcy.

Ponownie wyjęła notes i ołówek. Czas wrócić do części oficjalnej.

– Mogę prosić pański adres?

Skrętnie wszystko zapisała: Waverton, pensjonat na West Side. Jeden z tych hoteli, które mają już swoje lata, ale ciągle jeszcze oferują przyzwoite zakwaterowanie w przystępnej cenie. Dobrze jej to pasowało do dziennikarza freelancera o niestabilnych dochodach.

Ponownie schowała notatnik i ołówek. Podziękowała Jebowi Jonesowi za rozmowę, po czym wstała. Była ciekawa, na ile będzie mu się spieszyć do wyjścia. Nie spieszyło mu się.

– To wszystko? – zapytał.

Pearl odniosła wrażenie, że chętnie by tu został i jeszcze trochę pogawędził, jak gdyby dokuczała mu samotność.

– Całkiem możliwe – powiedziała. – Niewykluczone jednak, że jeszcze się z panem skontaktuję. – Uśmiechnęła się. – Pana informacje będą pomocne.

– Cieszę się.

Wstał powoli i jeszcze raz rozejrzał się wokół siebie, zupełnie jak gdyby spodziewał się za chwilę zobaczyć tu Marilyn Nelson. Nawet nie spojrzął w kierunku łazienki.

– Co wiecie o tym draniu, który to zrobił? – zapytał. – Znajdziecie go?

– Na razie niewiele, ale ciągle gromadzimy informacje. Na pewno go znajdziemy.

Jones skinął głową, ale nie wydawał się usatysfakcjonowany. Gdy wyszedł, Pearl wyjęła telefon komórkowy i zadzwoniła do Wavertonu. Poprosiła o połączenie z Jebem Jonesem. Dłuższą chwilę słuchała sygnału wywoływania, aż w końcu ustał, a w słuchawce odezwał się głos należący zapewne do recepcjonisty. Stwierdził, że Jones nie odbiera, i zaproponował pozostawienie wiadomości. Pearl nie skorzystała z tej możliwości. Podziękowała i się rozłączyła.

Jones przeszedł weryfikację pozytywnie. Mówił prawdę, przynajmniej częściowo – i na pewno nie znajdował się w dwóch miejscach jednocześnie. Czy można to uznać za postęp? Któż to może, u licha, wiedzieć?

Spojrzała na zegarek. Od Village dzielił ją spory kawałek, ale miała jeszcze sporo czasu do lunchu, na który umówiła się z Lauri Quinn. Trochę jej przeszkadzało, że Quinn poprosił ją o rozmowę ze swoją córką, ale w sumie go rozumiała. *Rodzina! – pomyślała. Rzeka krwi. Lepka sprawa. Zadzwon do mamy. Do diaska z mamą! Ona próbuje sterować moim życiem. Próbuje mnie, na litość boską, wyswatać, jak gdybym była jakąś dziewczicą ze Skrzypka na dachu!*

*Nie dzwoń do mamy!*

Lokal Hungry U może do najbardziej wykwintnych nie należał, ale Pearl widywała gorsze. Znajdował się zresztą w okolicy, w której taki brak wykwintności był akurat w cenie.

Jeśli chodzi o wystrój, restauracja zaliczała się do tych, w których ktoś się aż za bardzo postarał. Pearl pomyślała, że wygląda to trochę tak, jak gdyby jakiś reżyser filmowy próbował tanim kosztem wcielić w życie swoją wizję pakistańskiej jadłodajni. W przepelnionym zapachami powietrzu unosiły się ciągle te same dźwięki. Nie rozpoznawała instrumentu, może to była cytra, ale muzyka miała pewnie jakieś pakistańskie korzenie. Zapachy dochodzące z kuchni co prawda rozbudzały apetyt, ale też drażniły oczy. Kobieta o egzotycznym wyglądzie zaprowadziła ją do stolika przy ścianie.

Lauri najwyraźniej widziała ją, jak wchodziła, i czekała, aż zajmie miejsce przy stoliku, bo pojawiła się od razu, uściśniła jej dłoń na powitanie i odsunęła sobie krzesło naprzeciwko. Po chwili pojawił się również kelner, przystojny dwudziestolatek z ciemną kozią bródką. Miał na sobie przycięte spodnie i białą koszulę z szerokimi rękawami. Może tak się właśnie noszą kelnerzy w Pakistanie.

Uśmiechnął się do Lauri.

– Nawet jak masz wolne, to i tak cię tu ciągnie?

– To przez szafran – powiedziała Lauri, po czym spojrzała na Pearl. – To taka pomarańczowa przyprawa, którą pozyskuje się z kwiatów.

– Aha!

Kelner przyjął zamówienie na napoje: niskokaloryczna pepsi dla Lauri i mrożona herbata dla Pearl – po czym sobie poszedł.

Pearl uważnie przyglądała się Lauri. Ze zdumieniem stwierdziła, że te same cechy, które z Quinna czyniły bandziora, jego córce przydawały uroku. Bo oczy i podbródek niewątpliwie odziedziczyła po ojcu. Włosy miała jasne i krótkie, byle jak przystrzyżone. W płatku nosa tkwił kolczyk połyskujący niewątpliwie sztucznym diamentem. Na razie była po prostu atrakcyjna, jeśli jednak jakimś cudem uda jej się na tym paskudnym świecie rozkwitnąć, mogła się w przyszłości prezentować po prostu oszałamiająco.

– Wiesz, kim jestem – stwierdziła Pearl.

– Pewnie. To ty sypiałaś swego czasu z moim ojcem.

Pearl westchnęła. Czyżby to miała być trudna rozmowa?

– Tak, to ja. Twój ojciec uznał, że powinniśmy porozmawiać.

- Pewnie chce mnie lepiej zrozumieć, co?
- Też tak przypuszczam – powiedziała Pearl.
- Myślisz, że to się sprawdzi?
- Tak, mam zdolności intuicyjne.

Spojrzenie Lauri, zupełnie jak Quinna, było szczere.

- Właśnie taką cię sobie wyobrażałam.
- To dobrze?
- Nieźle. Jakoś nie założyłam sobie, żeby cię nie lubić.

*Nie założyła sobie. Słownik to ma akurat bogaty.*

– Cieszę się – powiedziała Pearl. – Nie bardzo bym wiedziała, co robić, gdybyś mnie nie lubiła.

- Żartujesz sobie?
- Nie do końca.
- Mama twierdzi, że bycie żoną gliniarza było jednocześnie fantastyczne i okropne.

Powiedziała, że jesteście po jednych pieniądzach i na siebie nawzajem zasługujecie.

- Twoja mama ma rację.
- No to co w takim razie zaszło między wami?
- Chyba nie tak sobie twój ojciec wyobrażał tę rozmowę – stwierdziła Pearl – ale muszę ci

przyznać, że to pytanie było bardzo w jego stylu.

Lauri się roześmiała. Tak samo śmiał się Quinn w tych rzadkich momentach, kiedy się śmiał, tylko z głuchym pogłosem. Pearl uśmiechnęła się i otworzyła menu. Chciała sobie dać chwilę do namysłu, ogólnie jednak rozmowa zdawała się zmierzać w pozytywnym kierunku.

- Co tu warto zjeść? – zapytała.

Lauri uśmiechnęła się jasno i wzruszyła ramionami, jednocześnie rozglądając się wokół po tej jednej z wielu wymęczonych restauracji w wymęczonej okolicy Village.

- Wszystko jest pyszne.

Pearl zaczynała powoli rozumieć, na czym polega problem Quinna.

## Rozdział 25

Pearl często rozmyślała o tym, co tak ciągnie ómy do płomienia. Problem bynajmniej nie polegał na tym, że nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia tego zjawiska. Doskonale je znała. Zastanawiała się raczej, czy ómy również je znają, czy po prostu mają to gdzieś.

Tamtego wieczora ponownie zadzwoniła do pensjonatu Waverton i poprosiła o połączenie z Jebem Jonesem. Tym razem go zastała. Odebrał po drugim dzwonku.

– Z tej strony detektyw z wydziału zabójstw, z którą rozmawiał pan wcześniej w mieszkaniu Marilyn Nelson – powiedziała. – Mam do pana jeszcze kilka pytań. Ma pan chwilę?

– Dla pani zawsze znajdę. – Przez telefon jego głos wydawał się jakby bardziej śpiwny, a on jakby lepiej panował nad sytuacją.

Pearl siedziała u siebie w mieszkaniu rozłożona na sofie, z bosymi nogami na pufie. W lewej dłoni trzymała whisky z wodą, już drugą w ciągu godziny. Na ekranie wyciszzonego telewizora zupełnie realistycznie wyglądające animowane dinozaury goniły ludzi po na pierwszy rzut oka sztucznym lesie. Szklanka z whisky w niczym jej nie przeszkadzała, i tak nie zamierzała robić notatek.

– Czy miał pan kiedyś okazję poznać jakichś znajomych Marilyn Nelson?

– Nie, chyba zresztą wielu znajomych nie miała. Mieszkała tu od niedawna.

– A może o kimś wspominała? Może kojarzy pan jakieś nazwisko?

– Nic takiego nie pamiętam.

– Czy podczas waszego ostatniego spotkania zachowywała się jakoś inaczej? Może robiła wrażenie przestraszonej albo wspominała, że ktoś jej w jakiś sposób zagraża?

– Nie, zachowywała się pogodnie jak zwykle. W ogóle nie sprawiała wrażenia, jakby cokolwiek jej zagrażało. To był taki typ dziewczyny, to znaczy kobiety, która każdemu ufa. To, co się z nią stało... To musiało być dla niej totalnym zaskoczeniem.

Pearl stwierdziła nagle, że już nie ma o co zapytać. Doskonale wiedziała, co ją skłoniło do zatelefonowania do niego. Jeb Jones miał w sobie coś takiego, co nie dawało jej spokoju. Może po prostu było jej go żal? Pearl zdawała sobie sprawę, że ma słabość do chorych ptaszków – do wszystkich tych istot, które mogą jej potem wykluć oko, gdy już wrócą z jej pomocą do zdrowia.

Ten facet jednak nie nadawał się na listę podejrzanych. Rzeźnik nie pukałby do mieszkania kobiety, którą zupełnie niedawno zabił. No chyba żeby musiał odzyskać coś, co zapomniał zabrać... Albo czuł potrzebę ponownego odwiedzenia miejsca swojej zbrodni.

Pearl odepchnęła od siebie te myśli i wzięła łyk rozcieńczonej whisky. Już wcześniej zdarzało jej się nawiązywać osobiste relacje z ludźmi, którzy pojawili się gdzieś na obrzeżach jej śledztwa. Flirtowała jednocześnie z mężczyzną i z potencjalną katastrofą. Ómy się nigdy nie uczą, że ogień potrafi poparzyć.

Przez chwilę milczała, skłaniając Jonesa do zabrania głosu:

– Pani... Kasner, dobrze pamiętam?

– Pearl Kasner.

– Pearl, proszę posłuchać. Wiem, że zareagowałem wczoraj trochę emocjonalnie. Zwykle się tak nie zachowuję. Jak jakiś mięczak.

– Mięczaka to chyba pan nigdy nie spotkał – chciała mu jakoś pomóc, pocieszyć go i podbudować jego ego. – Przecież nie wybuchnął pan płaczem ani nic w tym stylu. Nie ma nic złego w tym, że mężczyzna okazuje emocje w obecności kobiety. Niektóre kobiety poczytują to

nawet mężczyznom za plus.

– Niektóre faktycznie tak twierdzą.

Zapadła cisza, która dla obojga musiała być dość krepująca. Po raz kolejny przerwał ją Jeb.

– Jestem gotowy na następne pytanie.

– Chwilowo więcej pytań nie mam, ale niewykluczone, że jeszcze będę musiała z panem porozmawiać.

– Cieszyłbym się.

– Proszę się przespać, to się pan lepiej poczuje. – *Głupia odzywka. W ogóle nie powinnam do niego dzwonić.*

– Pani też, Pearl. Pewnie ma pani ostatnio bardzo dużo pracy.

– Więcej, niżbym chciała mieć – przyznała. – Dobranoc, Jeb.

– Dobranoc, Pearl.

Odłożyła słuchawkę, ale cały czas trzymała na niej dłoń. Nie drżała, tak bynajmniej nie należałoby tego określić. Raczej była na siebie trochę zła. Więcej niż trochę.

*Ale z ciebie idiotka! Pijana idiotka!*

Telefon nagle ożył. Trochę ją to zaskoczyło. Nie odebrała, bo nie miała ochoty już z nikim rozmawiać. Już się dzisiaj raz wygłupiła. Niech się ten ktoś nagra na sekretarkę.

– Pearl? – Po sygnale usłyszała głos matki.

Boże! Z nią to już na pewno nie miała ochoty teraz rozmawiać.

– Pearl, jesteś tam? Oczywiście, że cię nie ma. Pewnie latasz gdzieś, usiłując chronić świat przed złem. Przecież rzuciłaś tę spokojną pracę i znowu się narażasz. Wydawało mi się, że dałaś sobie już spokój z policją i zamierzasz teraz prowadzić normalne życie. Skoro już o tym mowa, rozmawiałam z panią Kahn i potwierdziło się, że jej bratanek Milton w tej chwili nikogo akurat nie ma, bo niestety musiał się rozwieść z kobietą, którą na niego nie zasługiwała. Nie uwierzysz, ile przez nią przeszedł. Pani Kahn twierdzi, że na ten rozwód to się już zapowiadało od dawna i że to był finansowy gwałt, wybac mi taki język. Oczywiście na Miltonie, nie na tej jego żonie awanturnicy. Pani Kahn powiedziała, że Milton wyraził zainteresowanie nawiązaniem z tobą znajomości. Mogę cię zapewnić, że jest bardzo przystojny, życzliwy i dobrze ustawiony w życiu. Widziałam go, gdy przyjechał odwiedzić ciotkę. Mogę potwierdzić, że to naprawdę łakomy kasek. Nic by się nie stało, gdybyście się spotkali i pogadali. Tak żeby przełamać lody i kto wie co jeszcze. Powinnaś się nad tym zastanowić, kochanie. Twój zegar przecież tyka, i to szybciej, niż ci się wydaje. Twoja matka coś o tym wie, Pearl. Nie zapomnij do niej zadzwonić.

Sekretarka się rozłączyła.

*Może aż taką znowu idiotką nie jestem.*

Następnego ranka po przyjeździe do biura Quinn zastał już Pearl na miejscu. Siedziała na biurku z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Feddermana jeszcze nie było. Kawa już się robiła, w powietrzu unosił się silny, gryzący zapach. Zza ściany oddzielającej ich biuro od gabinetu dentystrycznego dobiegły trzy głuche uderzenia. Może jakiś pacjent próbował uciec.

Quinn dotknął policzka w miejscu, gdzie się zaciął. Ta cała sprawa z Lauri i Robaczkiem...

– Jadłam wczoraj lunch z Lauri – oświadczyła Pearl.

Quinn usiadł za biurkiem. Poduszka krzesła głośno syknęła, dając mu znać, że mógłby trochę schudnąć.

– I co?

– Długo rozmawialiśmy. To naprawdę wyjątkowa dziewczyna.

Quinn się uśmiechnął, a potem spoważniał i zaczął delikatnie stukać ołówkiem w biurko.

- Cieszyłbym się, gdyby dała sobie szansę.
- Ona to właśnie próbuje zrobić – powiedziała Pearl. – Ta restauracja, w której pracuje, robi zupełnie przyzwoite wrażenie, tylko jedzenie budzi wątpliwości.
- I muzyka.
- Ja słuchałam odtwarzacza – oświadczyła Pearl.
- To miałaś szczęście.
- Nie wiem, Quinn. Sama nie mam dzieci, ale chyba bym się o Lauri nie martwiła. Nauka życia to stopniowy proces. Chociaż rozumiem, dlaczego ojciec może się niecierpliwić... szczególnie jeśli z natury jest niecierpliwy. Jeśli mogę ci coś poradzić, to przestań się aż tak niepokoić.
- A co z tym pseudomuzykiem, z którym się umawia?
- Chodzi ci o Robaczka? Jego nie miałam okazji poznać. A on ma jakieś prawdziwe nazwisko?
- Jeśli nawet, to nikt go nie używa. Robaczek za dobrze do niego pasuje. Niewykluczone, że to pseudonim.
- Ma jakąś kartotekę?
- Dopiero zamierzam to sprawdzić – odparł Quinn. – Może mogłabyś się dowiedzieć, jak brzmi to jego nazwisko, którego nikt nie używa?
- Ja?
- Jeśli zapytam Lauri, to będzie zbyt oczywiste. Jeśli natomiast zapytam w restauracji, to jakiś robak może mnie tam rozpoznać i jej o tym powiedzieć. Mogłabyś iść do Hungry U, kiedy jej tam akurat nie będzie, i trochę tak nieoficjalnie o niego rozpytać.
- Pearl zeskoczyła z biurka.
- Opanuj się trochę, Quinn. Jeszcze chłopaka przez ciebie zwolnią.
- A co, jeśli ma kartotekę? Handluje narkotykami, kradnie samochody albo napada na kobiety?
- Podejrzewasz go o którąkolwiek z tego rodzaju działalności?
- O wszystkie.
- Pearl spojrzała na niego znacząco i pokiwała głową.
- Trochę chyba przesadzasz z tym swoim ojcowaniem, Quinn. Dobrze mi się rozmawiało z Lauri, ale absolutnie nie zgadzam się na żadne przeszpiegi. Nie będę się wtrącać w jej życie osobiste.
- Życie osobiste?
- Seksualne.
- Cholera jasna, Pearl!
- O co chodzi? – zapytał Fedderman, który właśnie wszedł.
- Ranek był gorący, więc marynarkę miał już przewieszoną przez ramię. Trzymał ją *à la* Frank Sinatra na jednym palcu. Krawat miał przekrzywiony, a nie do końca wciągnięta w spodnie koszula zdążyła zwilgotnieć już pod pachami.
- O nic – powiedział Quinn. – Zadzwoń do restauracji Hungry U, która się mieści w Village, przedstaw się jako dziennikarz z magazynu „Spin” i zapytaj o prawdziwe nazwisko gościa, który występuje tam razem z zespołem i wołają na niego Robaczek.
- Fedderman podawał się już wcześniej za dziennikarza, więc specjalnie go ta prośba nie zdziwiła.
- Jak się nazywa zespół?
- The Defendants, jak ci na ławie oskarżonych.
- Uroczo – skomentował Fedderman. – A co zrobimy, jak już się dowiemy, kim jest ten

Robaczek?

– Wtedy się dowiemy, kim jest naprawdę – odparł Quinn.



## Rozdział 26

*Bocanne, Floryda 1980*

Był środek nocy, ale Sherman nie mógł spać. Leżał w łóżku przy włączonym świetle i czytał o bitwie pod Lookout Mountain. Starał się nie myśleć o Samie. Nagle matka otworzyła drzwi do jego sypialni. Miała na sobie starą sukienkę i fartuch, w rękach trzymała torby na śmieci.

Opuścił książkę na piersi.

– Przyjdź, jak cię zawołam – powiedziała do Shermana.

Z ciężkim sercem obserwował, jak kładzie złożone worki na brzegu jego komody. Wiedział dobrze, do czego służą.

– Mamo...

– To nie jest czas na zadawanie pytań, Sherman. To czas na działanie. A ty zrobisz to, co ci każe.

– Wiem, mamo.

Ponownie uniósł książkę i wpatrywał się w druk, który pływał mu przed oczami. Nie słyszał, jak wychodziła, ale wiedział, że już jej nie ma. Dziesięć minut później usłyszał swoje imię. W samych tylko bokserkach zawlókł się do jej sypialni.

Na łóżku leżał nagi, całkowicie nieruchomy Sam. Miał na twarzy błogi wyraz, tylko usta jakby lekko wykrzywione.

– W ogóle nie cierpiał – powiedziała matka, widząc, że Sherman wpatruje się w Sama zupełnie inaczej niż we wszystkie inne martwe ciała, które widywał do tej pory. – Zbierz jego rzeczy.

Wskazała na stertę różnych przedmiotów, które należały do Sama, a które zgromadziła na środku podłogi. Zaraz obok stały jego skrzynie z książkami.

– Możemy zostawić sobie książki? – zapytał Sherman.

– Przecież je wszystkie przeczytałeś.

– Mógłbym je przeczytać jeszcze raz.

– Trafiają do bagna razem z resztą rzeczy, Sherman. Wszelki ślad po Samie musi zniknąć.

Nie kłócił się z nią. Nachylił się nad stertą starych ubrań. Obok leżały pusty skórzany portfel i saszetka na tytoń, a także stara fajka ze śladami po zębach. Pakując to wszystko do jednego z czarnych plastikowych worków na śmieci, zaczął płakać. Gdy skończył, matka powiedziała:

– Idź, wystaw ten worek na ganek, a potem wróć tu, żeby mi z nim pomóc.

Sherman wykonał polecenie. Gdy wrócił, Myrna chwyciła Sama za ramiona, a on ujął go pod kolanami. Robili to już tyle razy, że podświadomie wypracowali już konkretną metodę postępowania.

– Przestań ryczeć – powiedziała Myrna do syna, gdy ciało Sama opadło głucho z łóżka na podłogę. – Teraz chodź tu, chwytaj za ramię.

Sherman już zmierzał w jej kierunku. Pociągając nosem i powstrzymując łkanie, chwycił Sama za prawy nadgarstek. Matka złapała za lewy, po czym zaczęli ciągnąć ciało po drewnianej podłodze w kierunku łazienki.

Stężenie pośmiertne zdążyło się już pojawić i minąć, więc dało się go w miarę sprawnie wrzucić do wanny.

– Idź i przynieś narzędzia ojca – powiedziała Myrna.

Sam bez słowa wypełnił jej polecenie. Gdy wrócił do łazienki, woda już płynęła. Matka zdążyła się też już rozebrać, żeby nie poplamić ubrań krwią i zacząć kroić ciało nożem.

– To nie był zły człowiek – wyszeptał Sherman, przyglądając się jej poczynaniom.

– Zły czy dobry to nie ma znaczenia, Sherman. Tu chodzi o przetrwanie. – Zaczęła przeciągać nożem w tę i z powrotem, usiłując pociąć drobne ścięgna. – Pewnego dnia to zrozumiesz.

Sherman zastanawiał się, czy faktycznie tak się stanie.

– Przykręć trochę kurek – powiedziała Myrna – a potem idź po resztę worków.

Sam skręcił wodę, a potem patrzył, jak zmieszana z krwią wiruje przy odpływie. *Krew Sama*. Znowu zaczął płakać.

– Worki, Sherman!

Wyszedł z łazienki, oglądając się jeszcze za siebie. Matka właśnie przemieszczała się sprawnie po płytkach w kierunku suchego brzegu wanny położonego naprzeciwko kranów. W trakcie tego pospiesznego, ale niezwykle wprawnego ruchu jej nagie piersi kołysały się na boki niczym wahadło. Wiedział, jak pracuje – że stara się jak najmniej wszystko zmoczyć i osuszyć, żeby w pewnym momencie móc użyć piły elektrycznej do rozdzielenia tego, czego nie dało się przeciąć nożem. Zapach i dźwięk bulgoczącej krwistej wody towarzyszyły mu przez całą drogę do pokoju matki, dokąd udał się po pozostałe plastikowe worki.

Gdy wrócił, matka wykonywała kolejne zadania szybko i bez zbędnego wysiłku. Po chwili poszczególne części ciała Sama leżały już równo jedna na drugiej w dobrze mu znanym porządku. W pobliżu stały różne środki czystości i butelki po wybielaczu, w większości puste.

Myrna odkręciła do końca kurek z zimną wodą, a potem przestawiła jej bieg na prysznic. Słuchawka zasyczała i wypluła parę kropel, po czym trysnęła równym strumieniem.

Sherman wraz z matką przyglądali się przez chwilę, jak woda zmywa całą zawartość wanny, po czym Myrna zakręciła skrzypiący kran i powiedziała po prostu:

– Sherman.

Dokładnie wiedział, co ma robić. Razem zapakowali wilgotne i blade części ciała do worków i wynieśli je na ganek za domem. Sam był roslym mężczyzną, musieli więc obracać kilka razy. Oboje zdążyli się zziąść, zanim skończyli. Myrna przez chwilę stała z rękami na biodrach, spoglądając w czerń nocy. Potem westchnęła, chwyciła krótki bambusowy kijek oparty o ścianę domu, po czym zaczęła uderzać nim o szczebelki balustrady, trochę jak dziecko przeciągające patykami po płotku.

Nie minęło kilka minut, jak Sherman i jego matka usłyszeli i dostrzegli poruszenie w ciemnym bagnie. Aligatory już się uzależniły od tego grzechoczącego dźwięku, który niósł się po bagnie w mroku nocy – tak samo jak Sherman uzależnił się od wypełniania poleceń matki.

Sherman pomagał matce wyciągać kolejne części ciała z worków i wyrzucać je w ciemność za balustradą ganku. Próbował nie płakać, próbował nie słyszeć tego plusku i charkotu, próbował nie zwracać uwagi na odgłosy miażdżenia kości. Wiedział, że aligatory zwykle zabierają pożywienie z powrotem do swoich legowisk przy brzegach i pozostawiają je tam jeszcze przez jakiś czas, zanim je pożrą. Liczył na to, że tak się stanie i tym razem. Niestety niektóre z bestii były zbyt wygłodniałe, by czekać, a nocą to one rządziły na bagnach.

Gdy wszystkie worki zostały już opróżnione, Myrna spojrzała na syna w bladym świetle księżyca. Skinęła głową i zaczęła składać plastikowe torby, żeby je potem umyć i wykorzystać ponownie. Skrzynie z książkami Sama oraz torba z jego ubraniami miały zostać na ganku. Matka utopi je później, za dnia. Wtedy po Samie nie pozostanie już nawet ślad. Tak samo jak nie został po wcześniejszych lokatorach. Po starszych mężczyznach, którzy i tak już mieli niewiele życia

przed sobą.

Sam jednak był inny.

– Wróć do łóżka – powiedziała Myrna. – Ja posprzątam.

Odwrócił się bez słowa i wszedł z powrotem do domu, czując na plecach wzrok matki.

Pogrążone w mroku bagno, które za sobą zostawił, nadal się ruszało. Gdzieś z oddali dobiegł go głos jednego z ptaków nocy.

Sherman położył się do łóżka, licząc na to, że połka sobie trochę, a potem zaśnie, tylko że jakoś nie potrafił płakać. Nie mógł też spać. Jego oczy pozostały otwarte i suche. Leżał cicho, wsłuchując się w odgłosy szorowania łazienki. Gdy matka skończyła, wróciła – już sama – do łóżka. Sherman wiedział, że gdyby udało mu się rozpłakać, uwolniłby się od części tego napięcia, które się w nim nagromadziło i od którego nie mógł oddychać. Może też serce przestałoby mu walić w piersi tak, jak gdyby chciało się wyrwać na zewnątrz. Gdyby tylko mógł porozmawiać z Samem...

*Sama już nie ma.*

Cóż jednak Sam mógłby mu poradzić?

Sherman wstał i wsunął się w sztywne przycięte lewisy, a potem narzucił na siebie koszulkę, którą nosił w ciągu dnia. Po cichu przeglądał szuflady komody, wyciągając potrzebne ubrania, w tym skarpetki i stare sportowe buty. Na razie miał zamiar iść boso, żeby nie robić hałasu. Zwinięte skarpetki wepchnął do butów, a potem wokół nich owinał ubrania i całość ścisnął starym skórzanym pasem. Teraz wystarczyło tylko zdjąć moskitierę z okna i wymknąć się na dwór. Rano byłby już wiele kilometrów stąd. *Wiele kilometrów stąd! Wolny!*

– Sherman.

Głos matki brzmiał łagodnie i neutralnie, niemal leniwie. Za bardzo się bał, żeby choćby ruszyć się z miejsca, w którym przykucnął – ze wzrokiem utkwionym w przeciwnym kierunku.

– Zamierzasz mnie porzucić, synu?

Odwrócił tylko głowę, wyginając kark w taki sposób, aby dostrzec przestrzeń za plecami.

Matka stała w drzwiach. Nie marszczyła się, ale też nie uśmiechała. Jej wzrok tkwił w tym punkcie, w którym on kucał na podłodze. W prawej ręce kurczowo ścisnęła ten sam bambusowy kijek, którym przyzywała aligatory. Powolnym ruchem uniosła go wysoko nad głowę.

Przemierzyła pokój jak tygrys, dopadając Shermana w mgnieniu oka.

## Rozdział 27

*Nowy Jork, czasy obecne*

Za pośrednictwem NYPD Quinn dostał karteczkę z wiadomością następującej treści:

*Czerwona krew na niebieskich kaflach. Głupcy zaiwanają.  
I policja.  
Rzeźnik*

– To przyszło wczoraj pocztą – powiedział Renz zza swojego biurka.

Miał na nosie okulary do czytania. W ich szklach odbijały się promienie słońca, którym udało się przedrzeć przez rolety. W gabinecie panowała nieco zbyt wysoka temperatura, a w powietrzu i tym razem unosił się lekko wyczuwalny zapach dymu. Nałogowiec Renz nie potrafił sobie odmówić cygar jednej z tanich marek, które darzył upodobaniem. Jaką więc musiał mieć ochotę na jedno z tych nielegalnych kubańskich robusto, które palił Quinn. Doskonale wiedział, że nie pochodzą z Wenezueli.

Renz uniósł liścik i kopertę.

– Laboratorium już to zbadało. Tani papier, który można kupić dosłownie wszędzie. Koperta tak samo. Z tych, co to się je kupuje po tysiąc sztuk z myślą o rachunkach i listach. Żadnych śladów DNA na skrzydełku. Nic, co choćby kształtem przypominało odcisk palca. Dwóch ekspertów od pisma zgodziło się, że to niemal rysunek, ale że za mało tego jest, żeby powiedzieć coś konkretnego albo żeby dało się to wykorzystać jako materiał do porównań. Zabójca użył ołówka HB, najzwyczajszego na świecie.

Quinn na to:

– Czyli wszystko już wiesz.

Renz zdjął okulary, żeby przenieść spojrzenie w dal, na Quinna.

– Robię, co do mnie należy.

Quinn siedział na jednym z krzeseł ustawionych skosem do biurka Renza. Pearl i Fedderman stali po jego dwóch stronach jakby lekko z tyłu.

– Mogłeś nam o tym powiedzieć wczoraj – stwierdził.

Renz wzruszył ramionami.

– Chciałem mieć coś konkretnego do przekazania, więc wstrzymywałem się do czasu uzyskania wyników badań laboratoryjnych i analizy pisma. – Ścisnął mocno dłonie, jak gdyby ktoś mu przed chwilą zbyt intensywnie przybił piątkę. – Jak myślisz, co to znaczy?

– Możemy sprawdzić w komputerze, czy kolor płytek w łazience Marilyn Nelson został podany prasie i przytoczony opinii publicznej?

– Sprawdziłem – powiedział Renz. – Nic nie znalazłem. Żadnej wzmianki. List jest autentyczny.

– Ten drań sobie z nami pogrywa – wyrwało się Pearl.

– Tak twierdzi profiler – odparł Renz.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – podsumował Quinn. Podobnie jak wielu gliniarzy z wieloletnim doświadczeniem nie bardzo ufał profilerom. Uważał, że za ich sprawą śledztwo może się łatwo potoczyć w zupełnie niewłaściwym kierunku. – To zachowanie typowe dla psycholi takich jak Rzeźnik. On chce nas wciągnąć w swoją grę i udowodnić, że jest od nas mądrzejszy. Cieszyłby się, gdyby ten list został opublikowany w mediach.

– Ty o tym zadecydujesz – powiedział Renz. – Po to cię zatrudniłem. No i oczywiście to ty będziesz ponosić konsekwencje, jeśli ta decyzja okaże się wielkim błędem.

Quinn przesunął się odrobinę na krześle, żeby słońce go nie raziło.

– Pytałeś, co ten list ma znaczyć. Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Wszystko jednak wskazuje na to, że został napisany po śmierci Marilyn Nelson i że coś znaczy. Musimy ustalić, co konkretnie. Moim zdaniem powinniśmy go przedstawić mediom. Zadzwoń do Cindy Sellers z „City Beat” i rzuć jej ten łakomy kęs.

– Co nam to niby da? – zapytał Renz.

– Niewykluczone, że kiedyś to my będziemy potrzebować przysługi.

– Bardziej pytam o to, co nam to da, że list zostanie przekazany mediom.

– Może komuś uda się odgadnąć, co zabójca usiłuje nam powiedzieć, nawet jeśli my nie zdołamy tego wymyślić.

– A uważasz, że on chce, żebyśmy do tego doszli?

– Tak, ale dopiero po czasie. Jestem przekonany, że jeśli sami do tego nie dojdziemy, to on nam to powie. Tylko że wtedy będzie już za późno, żeby go powstrzymać przed zabiciem kolejnej ofiary.

– Może klucz do całej sprawy stanowią kolory – odezwał się Fedderman. – Czerwony i niebieski.

– I złoty – dodała Pearl.

Ściągnęła na siebie wzrok wszystkich trzech mężczyzn.

– „Głupcy zaiwanają”. Złoto głupców. Gorączka złota.

– Może chodzi o nazwisko, które brzmi Złoto lub zaczyna się od tego słowa – spekulował Fedderman.

– To przy założeniu, że zabójca nadal przywiązuje wagę do inicjałów swoich ofiar – stwierdził Quinn.

– Tak, nad tym też się trzeba zastanowić – powiedziała Pearl. – Może on nam próbuje powiedzieć coś innego. Może wcale nie próbuje zakodować nazwiska osoby.

– Najbardziej bym się cieszył, gdyby próbował zakodować słowo „pojmany” – wtrącił Renz, spoglądając po kolei na całą trójkę. – I to wkrótce.

Quinn zastanawiał się, czyby mu nie powiedzieć, żeby przestał się zgrywać na marudnego dupka, ale ostatecznie sobie darował. Renz taki już był. Musiał od czasu do czasu poprężyć te swoje biurokratyczne muskuły, żeby przypadkiem nie zapomnieć o ich istnieniu. Nie liczyło się jednak to, że Quinn wiedział, jak przycisnąć Renza, ale to, że Renz wiedział, że on wie.

Pearl sprawiała wrażenie, jak gdyby miała zamiar coś powiedzieć. Quinn widział to w jej oczach, poznawał po zaciśniętych ustach.

– Pracujemy nad tym, Harley – zapewnił Renza, wychodząc z założenia, że Pearl nie będzie tak skora pyskować przełożonemu, z którym są na ty i który wydaje się w związku z tym raczej jednym z nich niż jakimś tam przedstawicielem władzy. Zanim w ogóle Pearl zdążyła wtrącić się do rozmowy, dodał jeszcze: – Jedziemy do biura i zaczniemy komputerowe poszukiwania pod kątem kolorów wspomnianych w liście. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę i list, i kopertę. Włożymy je sobie do dokumentacji.

– Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca dla oryginału – powiedział Renz, przekazując

materiały Quinnowi. – Mamy kopie.

Trzech detektywów wychodziło jeden za drugim z gabinetu Renza, który wezwał jeszcze skinieniem ręki Quinna, by ten został i zamknął za sobą drzwi.

– Pilnujesz tych dwojga? – zapytał.

– Nie trzeba ich pilnować, Harley. To porządni gliniarze. Musisz pamiętać, że wybrałeś ich tak samo, jak wybrałeś mnie.

– Miałem pewne wątpliwości.

– Kogo dotyczyły?

– Ciebie i Pearl, was. Wiesz przecież, o co mi chodzi.

Quinn wiedział.

– To nie twoja sprawa, ale rozstaliśmy się już dawno temu.

– No to dlaczego patrzysz na nią tak, jak na nią patrzysz?

– Harley, będziesz mógł się zacząć martwić, kiedy ona zacznie patrzeć na mnie tak samo.

Renz się uśmiechnął.

– Tego to nie zauważyłem. Świetnie wygląda w tym stroju. Gdyby w cyckach znajdował się mózg, to ona by była geniuszem.

– Jak to jest, że ty musisz ciągle wkurzać ludzi? – zapytał Quinn, nie dopuszczając gniewu do głosu.

– No nie wiem. A jak to jest, że Rzeźnik ciągle zabija te kobiety i tnie je na kawałki?

– Może wystarczy jedna odpowiedź na oba te pytania – odparł Quinn.

– Wal się! – rzucił mu Renz na odchodnym.

Uśmiech nie schodził Quinnowi z ust. Triumf nad Renzem to spory sukces. Będzie musiał opowiedzieć o tym Pearl.

Decyzja o przekazaniu treści listu prasie okazała się bezprzedmiotowa, bo ten pojawił się na pierwszej stronie „New York Post”. Zabójca rozesłał kopie do wszystkich nowojorskich gazet i redakcji wiadomości telewizyjnych. Gdy Renz poinformował publicznie, że płytki w mieszkaniu Marilyn Nelson faktycznie miały kolor niebieski, media zainteresowały się sprawą jeszcze bardziej. Czerwona krew na niebieskich kafelkach. Cindy Sellers podała po prostu fakty, ale felietonista „City Beat” spekulował, że jeśli wanna i sedes były białe, to zabójstwa mogą mieć jakiś patriotyczny wydźwięk.

Po powrocie do biura Pearl pracowała przy komputerze, sprawdzając, czy Renz na pewno miał rację, gdy twierdził, że przed pojawieniem się listu nikt nie podawał informacji o kolorze płytek w łazience Marilyn Nelson. Nie natrafiła na żadną wzmiankę. Autor listu mógł mieć tę wiedzę tylko, jeśli w niej był... No chyba że informacja na ten temat wyciekła od kogoś z policji. O tym jednak Pearl wołała w ogóle nie myśleć.

Quinn siedział przy biurku i po raz kolejny studiował akta zbrodni. Fedderman natomiast sprawdzał w internecie wszystkie potencjalne związki między kolorami czerwonym, niebieskim i złotym. Szum klimatyzatorów przerywały więc jedynie odgłosy przewracania kartek i stukania w klawiaturę. Pearl uniosła na chwilę głowę i rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie mogła uwolnić się od przekonania, że oto robią teraz dokładnie to, co zamyślił sobie zabójca.

Zastanawiała się, czy nie należałoby się raz jeszcze udać do mieszkania ofiary. Może nie zwróciła uwagi na coś, co się zupełnie nie rzucało w oczy, co było aż nazbyt oczywiste. Może ponownie pojawi się tam Jeb Jones. Ale szybko uznała, że przecież on nie ma po temu powodów. Zarumieniła się jednak na samą myśl.

I właśnie w tej chwili dotarło do niej, że nie myśli trzeźwo i nie zachowuje się

profesjonalnie. Właśnie przez takie rzeczy ściągała na siebie kłopoty podczas pracy w policji. Powrót do mieszkania Marilyn Nelson z myślą o tym, że jakimś cudem pojawi się tam Jeb, należało uznać za zły pomysł. *Ja nie tylko flirtuję z katastrofą, ale też nadmiernie komplikuję sobie życie.*

Przestała zastanawiać się nad powrotem do mieszkania Marilyn. Uznała, że prościej będzie zadzwonić do Wavertonu.

## Rozdział 28

Anna Bragg wyłoniła się z mroku wąskiej betonowej klatki schodowej prowadzącej do metra na pochyłą powierzchnię skąpaną w świetle wczesnego wieczora. Ubrana w obcisłą spódniczkę i sweter maszerowała na dziesięciocentymetrowych obcasach chodnikiem w stronę swojego mieszkania, ściągając na siebie pełne podziwu męskie spojrzenia. Wolałaby chodzić do pracy w sportowych butach, tak samo jak robiła to większa część kobiecej kadry Courtney Publishing, ale miała kompleksy na punkcie niskiego wzrostu i obawiała się, że może on rzutować na jej perspektywę zawodowe. Bo czy to za sprawą przypadku, czy świadomego zamysłu większość pań pracujących w Courtney przypominała wysokich dwunastoletnich chłopców. Anna jednak doszła do wniosku, że ciągle stosowanie diet nie ma sensu, podobnie jak wykonywanie ćwiczeń, które miałyby na celu pozbycie się obfitych bioder i biustu i dostosowanie do obowiązującego wizerunku. I wystarczyło na nią spojrzeć, żeby stwierdzić, że podjęła słuszną decyzję.

Tłum pieszych zgęstniał w okolicach skrzyżowania. Anna czekała wraz z innymi na zmianę świateł. Miała jasną cerę i duże brązowe oczy. Głowę zwykle trzymała lekko przekrzywioną na bok, jak gdyby starała się usłyszeć jakiś cichy, dobiegający z oddali dźwięk.

Przez większość czasu o czymś myślała. W tym konkretnym momencie zastanawiała się nad określeniem „skrzydlaty posiłek Grenlandczyka”. Zastanawiała się, czy nadaje się na objaśnienie do krzyżówki i czy naprowadzi ludzi na hasło „maskonur”. Bo w Courtney Publishing Anna zajmowała się redakcją miesięcznika z krzyżówkami. Twórcy łamigłówek przedkładali redakcji zarówno objaśnienia, jak i hasła, przy czym to przede wszystkim te pierwsze zwykle wymagały interwencji redaktora. Niektóre okazywały się zbyt wieloznaczne, inne – nazbyt sugestywne. Zdarzały się też objaśnienia pozbawione sensu albo po prostu głupie. Podpowiedź hasła „maskonur” z pewnością zaliczała się do tych bardziej problematycznych. Niektórzy czytelnicy magazynu krzyżówkowego mogą w ogóle nie wiedzieć, co to takiego maskonur, a tu przecież jeszcze trzeba by się orientować, że Grenlandczycy się nimi żywią.

Światło się zmieniło i Anna zeszła z chodnika. Wraz z masą pozostałych pieszych ruszyła na drugą stronę ulicy. Kierowca skręcającej w prawo furgonetki zatrąbił na nią, pomimo że dzieliła go od pieszych jeszcze stosunkowo duża odległość. Anna wołała przyjąć, że nacisnął klakson w ramach komplementu, i nie zastanawiać się, cóż jeszcze mogło mu chodzić po głowie.

Coś, być może mały kamyczek, powoli przesunęło się jej w prawym bucie pod stopą. Anna zeszła na bok i zatrzymała się, po czym uniosła zgiętą w kolanie nogę, żeby móc włożyć palec pod stopę i usunąć irytującą drobinę. Przy okazji przyjęła taką pozycję, że pokazała światu całkiem sporo uda i ściągnęła na siebie wiele męskich spojrzeń. Szczególnie długo wpatrywał się w nią pewien przystojny ciemnowłosy mężczyzna w niebieskiej sportowej marynarce i szarych spodniach z kantem. Był przeciętnego wzrostu, więc nie byłby dla niej za wysoki. Gdy spojrział na nią, przechodząc obok, regularne rysy jego twarzy niemal, choć nie do końca, ułożyły się w uśmiech.

Anna stwierdziła, że miał w sobie coś znajomego, choć pewnie z racji zupełnie typowej i mało wyrazistej twarzy ludzie często go z kimś mylili. Nadawałby się na modela ubrań z katalogu – był przystojny, ale w końcu i tak zapamiętałoby się wyłącznie ubranie.

Skręcając za róg i pokonując dwie przecznicę dzielące ją od mieszkania, Anna zdążyła o nim zapomnieć.

Podobnie jak inne budynki po obu stronach ulicy ten, w którym mieszkała, również został



wzniesiony z czerwonej cegły. Miał trzy piętra i brakowało w nim windy. Stał pośrodku przecznicy. Anna pokonała cztery wysłużone marmurowe stopnie, które dzieliły ją od frontowych drzwi, i weszła do przedsionka. Znajomy zapach moczu, środka dezynfekującego i przypraw kuchennych jednoznacznie świadczył o tym, że to jej dom. Przez wycięcia w kształcie lilijki dostrzegła coś białego w mosiężnej skrzynce na listy. Sięgnęła do torebki po klucz, otworzyła klapkę i wyciągnęła dwie przesyłki.

Tylko rzuciła okiem i od razu wiedziała, że wylądują w śmieciach, gdy wejdzie na górę. Nie wygrała na loterii, nie dostała propozycji pracy ani małżeństwa, nikt jej nie proponował darmowych wakacji. Zamykając skrzynkę, powiedziała sobie, że przynajmniej nie dostała też nakazu eksmisji ani wezwania do zasiadania w ławie przysięgłych. *Głowa do góry, Anno.*

Drugim kluczem otworzyła drzwi oddzielające przedsionek od wnętrza budynku. Jej nogi liczyły dwadzieścia trzy lata, więc nawet na wysokich obcasach bez trudu pokonały trzy piętra po trzeszczących drewnianych schodach.

Dwadzieścia trzy lata. Anna dałaby spokojnie radę pokonać dziesięć pięter.

Rzeźnik wszedł do przedsionka budynku, w którym mieszkała brunetka. Podobało mu się tu, tym bardziej że bez trudu zidentyfikował skrzynkę, którą otwierała pod jego czujnym okiem – przyglądał się jej bowiem przez długie okno we frontowych drzwiach. Wzrok co prawda mógł mu spleść figła, ale leciwa mosiężna skrzynka na listy została opróżniona, nie miał więc wątpliwości, że chodzi o końcówkę drugiego rzędu: mieszkanie 3B.

Na liście z wsuwanymi karteczkami wiszącej nad skrzynką przeczytał: „A. Bragg”. Kobieta była ostrożna, podobnie jak większość samotnych mieszkanek Nowego Jorku, dlatego zamiast imienia podała tylko inicjał. Uśmiechnął się. Widział, z którego biura wyszła, pojechał razem z nią windą, a potem śledził ją w metrze i po drodze do mieszkania. Znał co prawda tylko inicjał jej imienia i nazwisko, ale wiedział już, gdzie pracuje i gdzie mieszka.

Ucieszył się też, gdy stwierdził, że chociaż przedsionek oddzielają od parteru i klatki schodowej potężne drzwi, to domofon sprawia wrażenie nowszego niż skrzynki na listy, powinien więc dać się pokonać.

Wychodząc z sieni i zbiegając po marmurowych stopniach na chodnik, pogwizdywał radośnie. Był przekonany, że podobnie jak większość firm Courtney Publishing posiada stronę internetową.

Zaledwie kwadrans po włączeniu komputera wyszukiwarka podała mu namiary na stronę Courtneypub.biz. Kliknął w „Działy” na stronie domowej i dowiedział się, że Courtney wydaje kilka czasopism, a oprócz tego serię romansów w miękkiej oprawie. Po powrocie na stronę główną wybrał zakładkę „Personel”. Lista pracowników wydawnictwa została ułożona w porządku alfabetycznym. *Bragg, Anna.* Trzecia od góry.

Świetnie. Okazało się to znacznie prostsze niż sformułowanie zagadkowego liściku i dopasowanie do niego odpowiedniej ofiary. Zdecydowanie lepiej najpierw wybrać ofiarę, a potem wymyślić łamigłówkę.

Kliknął w jej nazwisko i w ten sposób dowiedział się, że pracuje jako redaktor przy miesięczniku z krzyżówkami zatytułowanym „CrossWinds”. *Słówka, zagadki. Los. Przeznaczenie. Jego i jej.*

Anna Bragg. Cóż on mógłby zrobić z jej nazwiskiem? Może należało szukać jakiejś aluzji literackiej? Albo sportowej? Nawiązań do polityki czy do show-biznesu? Doskonale wiedział, że

choć Quinn wygląda na przystojnego oprycha, to w rzeczywistości jest obyty z kulturą, chętnie chodzi do teatru, dużo czyta i jada kolacje na mieście. Rzeźnik nieraz chodził za nim do Barnes & Noble. Kiedyś też usiadł bezpośrednio za nim w teatrze i podziwiał jedno z najbardziej enigmatycznych dzieł dramaturga Edwarda Albee. Po zakończeniu przedstawienia przez chwilę wpatrywał się w surowe oblicze Quinna w lustrze w lobby. Policjant sprawiał wrażenie, jak gdyby rozumiał treść sztuki.

Rzeźnik znów wrócił do strony Courtneypub.biz, która wyświetlała mu się na ekranie laptopa. Do krótkiej informacji na temat Anny dołączono zdjęcie, na którym pięknie się prezentowała z lekko odchyloną głową. Firmowy profil nie zawierał informacji na temat jej wieku, ale w opinii Rzeźnika mogłaby być trochę starsza. Skończyła dziennikarstwo na Sweetbriar i pracowała w Courtney Publishing od dwóch lat. Bardzo lubi swoją pracę, ponieważ uwielbia wszelkiego rodzaju zagadki. Ma nadzieję rozpalić cały świat, ale tak, żeby pożar dało się opanować. Lubi czerwone kabriolety oraz martini z ginem i oliwkami. Nie lubi psów, które gryzą, i ludzi, którzy celowo obrażają innych.

Rzeźnik zwrócił uwagę, że w profilu nie ma żadnych informacji na temat jej lęków.

## Rozdział 29

*Bocanne, Floryda 1980*

Osamotniony i zagubiony. Tak czuł się Sherman.

Sam zniknął z jego życia trzy dni temu i wszystko się zmieniło. Sherman nie chodził już sam na ryby, no i nie miał co czytać, ponieważ wszystkie książki Sama o wojnie secesyjnej zostały pochłonięte przez bagno. Próbował oglądać telewizję, ale z racji dużej odległości od miasta mieli słaby odbiór. Zresztą teleturnieje i opery mydlane nie bardzo go interesowały. Cierpiał z powodu nudy i upału, a przy tym dziwnie się czuł, zupełnie jakby coś się miało wydarzyć, jak gdyby znajdował się w pociągu, który pędzi wprost na sunący z naprzeciwka drugi skład.

Czasami spotykali się nocą, w jego snach. Wtedy Sherman natychmiast się budził, nie bardzo wiedząc, czy przypadkiem nie krzyknął i nie obudzi matki. Najgorsze było to, że się bał, ale nie za bardzo wiedział dlaczego.

Wieczorem sygnał telewizyjny był silniejszy, a matka pozwalała mu oglądać seriale *The Rockford Files* oraz *Magnum*. Bitwa pod Gettysburgiem jednak wydawała się Shermanowi znacznie bardziej prawdziwa. Doskonale zresztą wiedział, że była bardziej prawdziwa. Telewizja PBS wyemitowała specjalny program poświęcony wojnie secesyjnej. Matka się jednak zorientowała, co Sherman ogląda, i natychmiast kazała mu zmienić kanał na jakiś teleturniej. Sherman znał odpowiedzi na wszystkie pytania, które zaskoczyły uczestników, ale nie odzywał się, żeby nie irytować matki.

Zastanawiał się nad tym, co powiedziała wtedy w nocy, gdy ciałem Sama karmili bagno: „Zły czy dobry to nie ma znaczenia, Sherman. Tu chodzi o przetrwanie”. Doszedł do wniosku, że matka pewnie ma rację. Człowiek musi przede wszystkim zadbać o siebie. Ale jemu się wydawało, że zupełnie dobrze sobie radzili, kiedy Sam jeszcze żył.

Żałował, że nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać o swoich uczuciach – kogoś takiego jak Sam. Wtedy byłoby mu znacznie łatwiej. Wiedział, że z matką nie da rady. Kilka razy nawet się nad tym zastanawiał, ale potem zobaczył, jak stoi z pięściami na biodrach i dziwnie, tak przerażająco na niego patrzy. Ale może gdyby rozmawiali o różnych sprawach, to wtedy to coś, co dostrzega w jej oczach i co go tak przeraża, po prostu by zniknęło. Chociaż może stałoby się jeszcze bardziej przerażające.

Już wcześniej widział to spojrzenie. Wiedział, co może oznaczać, chociaż nie chciał się do tego przyznać.

Wieczorem piątego dnia po tym, jak rozstali się z Samem, Sherman rozbierał się do snu i zauważył, że pobrudził bieliznę. Tylko to mogło go skłonić do dobrowolnej zmiany bokserek. Zdjął majtki i rzucił je do kąta, gdzie już leżały brudne skarpetki. Potem wyjął z komody czystą bieliznę, w której miał zamiar spać i którą będzie nosić następnego dnia. Okazało się jednak, że majtki mu się skończyły. W szufladzie znalazł tylko czyste skarpetki i koszulki. Przypomniał sobie, że jakiś czas temu razem z brudnymi ubraniami schował do szafy nie tak znowu brudną bieliznę. Postanowił ją odzyskać.

Matka zaniedbała pranie. Pogniecione i brudne ubrania piętrzyły się na pół metra na dnie szafy. Gdzieś w tej stercie znajdowały się bokserki. Sherman klęknął i podparł się rękami, żeby wygrzebać bieliznę. Końcówkami palców wymacał coś nieoczekiwanie gładkiego. Sięgnął

głębiej do szafy, a gdy odsunął na bok trochę pogniecionych ubrań, dostrzegł coś czarnego i lśniącego. Musiał się jeszcze trochę przekopać, ale wreszcie natrafił na czarny plastikowy worek kryjący piłę elektryczną ojca.

Dziwne to dosyć było. Sherman znał tylko jeszcze jedno zastosowanie dla tych worków poza gromadzeniem śmieci. Poza tym to zawsze on chodził do szopy po narzędzia.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a gdy po chwili uświadomił sobie znaczenie swojego znaleziska, serce pękło mu niczym kulka z delikatnego szkła.

Sam... To spojrzenie w oczach matki... Wiedziała, że Sherman rozumie sens jej poczynań – przynajmniej w ogólnym zarysie. Poza tym po śmierci Sama zadawał pytania, które mu wcześniej nie przychodziły do głowy. Wiedziała, że Sam był inni niż pozostali, że wszystko się zmieniło i że Sherman nie przestanie pytać. Bo Sherman dorastał i zaczynał mieć własne pomysły. Niebezpieczne pomysły.

Gdy matka złapała go podczas pierwszej próby ucieczki na bagno, wysmagała go bambusowym kijkiem z taką siłą, że ciągle jeszcze to czuł. I kazała przysiąc, że będzie zawsze wypełniać jej polecenia bez pytania.

Sherman złożył przysięgę w chwili, gdy ból straszliwie mu dokuczał. Wtedy szczerze wierzył, że jej dochwowa. Teraz zaś wiedział, że będzie musiał złamać słowo.

Chodziło o przetrwanie.

Nie przejmując się bielizną, wsunął szybko džinsy i włożył mokasyny, a na górę zarzucił brudną koszulkę, którą znalazł na dnie szafy.

Słońce zaszło już dawno temu, na dworze panował zupełny mrok. Tym razem nie będzie czekać na środek nocy z nadzieją, że matka pójdzie spać. Siedziała w salonie i oglądała teleturniej. Uwielbiała teleturnieje, ponieważ podobnie jak Sherman zwykle potrafiła podać odpowiedź przed czasem. Liczył na to, że nie będzie jej się chciało wstawać nawet po to, żeby zobaczyć, co on knuje – że będzie tak pochłonięta programem, że nie usłyszy, jak zdejmuje moskitierę i wychodzi przez okno.

Ciszej niż poprzednim razem zdemontował zabezpieczenie przed owadami i wychylił się, żeby oprzeć je o ścianę domu na tyle daleko, by się o nie nie potknąć, gdy będzie wychodzić. Po chwili zastanowienia ułożył na łóżku trochę ubrań i poduszkę, żeby na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby w nim spał. Wielokrotnie widział, jak ktoś tak robi w telewizji. Uznał, że to się może sprawdzić.

Tylko podeszwa prawego buta zgrzytnęła cicho na parapecie, poza tym jednak Sherman bezgłośnie wyslizgnął się przez okno na zewnątrz i opadł na ziemię. Miał przed sobą głęboką czerń bagna. Serce podchodziło mu do gardła, ale się nie wahał. Ruszył w kierunku polnej drogi, która wiła się pod baldachimem winorośli i porośniętych mchem gałęzi. Nocne niebo pokrywały chmury, pomiędzy których wyzierał tylko skrawek księżyca. Bagno spowijał więc mrok najciemniejszy z ciemnych. I Sherman wkroczył w niego, ciesząc się, że chociaż pod tym względem szczęście mu sprzyja.

Usłyszał za sobą wybuch, a potem trzepot ptasich piór tuż obok w gęstwinie liści. Wiedział, że to nie ptaki, tylko gruby śrut.

– Sherman, wracaj tu!

*Matka! Ze strzelbą!*

Ruszył przed siebie i biegł wąską drogą, od czasu do czasu chlupocząc w kałużach, które utworzyło na niej bagno. Mięśnie pleców miał tak spięte, że ledwo mógł ruszać ramionami. W każdej chwili dwulufowa strzelba kalibru dwanaście mogła posłać w jego stronę kolejną porcję ołowiu.

Ale drugiego strzału nie było. Usłyszał natomiast zgrzyt i dźwięk silnika odpalanego

w starym pikapie. Tuż przy szybie od strony kierowcy w samochodzie zamontowany został szperacz, z jakiego korzystali kłusownicy. Sherman wiedział, że matka go użyje, żeby go odnaleźć.

Usłyszał głośny ryk, a potem metaliczny chrobot jak odchrząkiwanie mechanicznego potwora. Sherman doskonale rozpoznawał ten odgłos: to pierwszy bieg. Furgonetka ruszyła w jego stronę.

Ryk silnika tłumił wszystkie inne odgłosy bagna. Reflektory tańczyły pośród drzew i zarośli. Shermanowi serce waliło jak młotem. Światła nie wytropiły go jeszcze tylko dlatego, że droga meandrowała. Chłopak wiedział, że ma najwyżej kilka sekund.

Bez wahania skręcił w bok. Woda sięgnęła mu kostek, więc musiał zwolnić. Ryk i chrobot samochodu zagłuszą wszystkie dźwięki, ale matka mogła dostrzec kręgi na wzburzonej powierzchni.

Poruszał się bardzo sprawnie, ale pilnował się, żeby wysoko podnosić nogi i stawiać je niemal pionowo, by jak najmniej mącić taflę. Szybko znalazł się głębiej. Liście chwytaly go za nogi i drapały po twarzy, on jednak poruszał się coraz szybciej i brnął konsekwentnie do przodu.

Samochód z głośnym zgrzytem przeszedł na jałowy bieg, a szperacz wędrował pośród liści, mchów i powyginanych korzeni jak duch. Od czasu do czasu jakiś ciemny bezkształt przemieszczał się pośród mroku. Sherman musiałby zrobić to samo, gdyby promień go odnalazł.

– Sherman! Wracaj tu do mnie!

Tańczący duch deptał mu po piętach. Sherman wiedział, że matka jeździ polną drogą w tę i z powrotem i przeczesuje bagno po obu stronach za pomocą szperacza.

– Sherman!

Woda sięgała mu już do pasa, ale dalej poruszał się bardzo ostrożnie pośród powyginanych korzeni fikusów. Uniósł wzrok, lecz zobaczył tylko ciemność – baldachim z roślin przesłaniał mu księżyc i gwiazdy, jeśli jakieś w ogóle świeciły. Opierając się mocno plecami o chłodny, porośnięty mchem pień drzewa, Sherman wsłuchiwał się w niemal jednostajny dźwięk silnika i stukanie luźnego lewego zderzaka, który drżał i grzechotał, gdy samochód potykał się o wystające korzenie i wpadał w dziury na drodze.

Po lewej stronie Sherman dostrzegł jakiś ruch. Zobaczył nierówny czarny grzbiet aligatora znikającego gdzieś w mroku. Do tych zwierząt zdążył się już przyzwyczaić. Wiedział, że aligator raczej go nie zaatakuje, jeśli tylko zachowa odpowiedni dystans. Raczej.

Po gołym ramieniu przesunęło mu się szybko coś chłodnego. Ledwo zdołał powstrzymać krzyk zaskoczenia. *Waż?*

Cokolwiek to było, już sobie poszło, Sherman jednak ugryzł się przez to w wargę i teraz krwawił.

Luźny zderzak przestał dzwonić, co mogło świadczyć o tym, że furgonetka się zatrzymała. Nadal jednak dobiegały go szum z rury wydechowej oraz stukot i pobrząkiwanie silnika na jałowym biegu. Snop światła się do niego zbliżał, by po chwili się odsunąć. Przemieszczał się w tę i z powrotem zupełnie jak żywi mieszkańcy bagna.

Mrok spowijający mokradła, który często prześladował Shermana w koszmarach, nagle stał się jego przyjacielem. Grube warstwy liści zapewniały mu schronienie. Węże i aligatory, które towarzyszyły mu tej nocy, stały się jakby mniej niebezpieczne. Znajdowały się w swoim żywiole tak samo jak on. Tu, w mroku i w głębokiej wodzie, która stanowiła dla samochodu barierę nie do przejścia, Sherman mógł się z powodzeniem ukryć przed matką. Dopóki szperacz go nie znajdzie.

Silnik furgonetki przez chwilę ryczał, jak gdyby w wyrazie gniewu.  
– Sherman! Wracaj tu do mnie! Wracaj do matki!

## Rozdział 30

*Nowy Jork, czasy obecne*

Anna zdjęła spódniczkę i sweter, w których była w pracy. Przebrała się w stare dzinsy i zwykłą koszulkę z napisem „DOPUSZCZAJ SIĘ PRZYPADKOWYCH AKTÓW ŻYCZLIWOŚCI”. Stwierdziła, że spódniczkę czas oddać do pralni, ale blezer może jeszcze włożyć. Zdażyła odwieść go do szafy, gdy nagle rozległ się dźwięk domofonu.

Bez butów pobiegła przez korytarz i wcisnęła guzik, żeby zapytać o tożsamość przybysza.

Szorstki głos, informujący o dostawie paczki, trochę ją zaskoczył. Niczego się nie spodziewała. Chociaż często zamawiała coś za pośrednictwem strony zakupowej, która czasami wysyłała swoim klientom darmowe prezenty. Na tyle często, że bardzo jej to nie dziwiło. Istniała też inna możliwość – do tego jednak nie bardzo chciała się przyznać – a mianowicie że mogła coś zamówić i po prostu o tym zapomnieć. Zdarzało bowiem jej się trochę za bardzo zaszaleć z kartą kredytową.

Wpuściła kuriera, poszła do sypialni po papcie, po czym wróciła do drzwi, żeby odebrać paczkę. W przeciwieństwie do większości kurierów ten nie dostał zadyszki po wejściu schodami. Widocznie miał kondycję. Nie miał też firmowego uniformu i wydał się Annie jakiś taki znajomy... Chyba go gdzieś ostatnio widziała. W biurze? W metrze? Całkiem przystojny facet. Można by go rozważyć. Jej uwagę jednak przykuła przede wszystkim duża biała paczka, którą trzymał pod pachą.

Uśmiechnął się.

– Anna Bragg?

– Ehe. – Odwzajemniła uśmiech, przenosząc wzrok na jego miłe brązowe oczy.

Wyciągnął wolną rękę w jej kierunku. Zamiast jednak podać jej ołówek czy dokumenty do podpisania, zwinął ją w pięść.

Anna ledwo zdążyła to zauważyć, a już dostała mocno w brzuch, tuż pod żebrami.

Oddech uciekł jej z płuc z szybkim *fru!*

Najbardziej na świecie chciała się zwinąć w kulkę i zapewne upadłaby na ziemię, gdyby mężczyzna nie przytrzymał jej wprawnym ruchem w pozycji pionowej. Zgięła się wpół, ale dalej stała na nogach. Napastnik bez wysiłku wniósł ją do mieszkania.

Ból i panika owładnęły nią jednocześnie. Anna usiłowała złapać oddech, ale nic jej z tego nie wychodziło, bo ciało nie chciało jej słuchać. Nie była też w stanie zrobić wydechu, bo w płucach nie pozostała już nawet odrobina powietrza. Brak tlenu i straszliwy ból odebrały jej głos.

Próbowała zapanować nad przerażeniem i zebrać myśli. Próbowała zrozumieć, co się właściwie dzieje. Kto to jest? Dlaczego to zrobił? *Co się teraz stanie?*

Mężczyzna był od niej trochę starszy, klasycznie przystojny. Przyglądała mu się przez zapłakane oczy, ale była pewna, że nigdy wcześniej się nie spotkali. W każdym razie nie zostali sobie przedstawieni. Mimo to ciągle towarzyszyło jej wrażenie, że już gdzieś go widziała.

Ostrożnie położył ją na kanapie. Przyciągnęła nogi jeszcze mocniej do klatki piersiowej i jęknęła, ponownie usiłując nabrać powietrza. Zaraz się udusi, to wiedziała na pewno.

Z policzkiem mocno przyciśniętym do sofy obserwowała, jak napastnik podchodzi do drzwi i sprawdza, czy na pewno są zamknięte, a potem dodatkowo zakłada jeszcze łańcuch. Zatrzymał

się i podniósł przyniesione białe pudło. Położył je na ostatniej poduszce kanapy, gdzie nie sięgała podkurczonymi nogami.

Stopy miała ściśnięte. Uświadomiła sobie, że nie może rozsunąć kostek. Wtedy usłyszała dźwięk charakterystyczny dla rozdzierania.

Czyżby darł jej ubranie?

Nie, teraz już go rozpoznawała. Wydawała go oddzierana taśma. Napastnik związał nią jej nogi. Teraz czuła wyraźnie, jak ciasno otacza jej łydki.

Ułożył ją na sofie w taki sposób, żeby znalazła się na kolanach. Bolał ją kark, bo musiała obracać głowę na bok, żeby twarz nie tonęła w miękkiej poduszce. *Nie chcę się udusić! Proszę!* Cały czas walczyła o każdy oddech, wydając z siebie charkot. Walczyła o odzyskanie niesamowitego daru, jakim jest możliwość nabierania powietrza w płuca.

Zdawała sobie sprawę, że pośladki ma wypięte ku górze. Czyżby zamierzał ją zgwałcić? Czyżby miał ją wziąć od tyłu?

Wątpiła w to z racji tego, jak mocno związał jej nogi. To przerażało ją nawet bardziej. *Stanie się coś gorszego?*

Nagłym ruchem odciągnął jej ramiona do tyłu i związał taśmą nadgarstki. Podołał temu zadaniu z niesamowitą szybkością i wprawą. *On już to robił. I to więcej niż raz.*

Odwrocił ją tak, że teraz pochylona siedziała na sofie. Ciągle nie mogła się ruszać, ale łapała już powietrze dużymi haustami, od czasu do czasu spoglądając na profil mężczyzny. Teraz już rozumiała, dlaczego nie wydawał jej się zupełnie obcy. *Wygląda znajomo, bo mnie śledził!*

Z tej nowej pozycji mogła zająrzeć do białego pudła, które leżało po drugiej stronie sofy.

Nagle stało się dla niej jasne, z kim ma do czynienia... I dlaczego ten ktoś za nią chodził.

Zaczerpnęła głęboko powietrza w płuca i zdołała wydobyć z siebie pierwsze dźwięki krzyku, ale zaraz potem ponownie usłyszała głośne darcie taśmy i prostokątny jej odcinek został mocno dociśnięty do jej na wpół otwartych ust.

Wtedy podszedł do niej z czymś metalowym. Gdy ułożył kciuk na przedmiocie, dostrzegła ostrze. Zaczęła drżeć. On tymczasem bez pośpiechu, za to z precyzją świadcząca o wprawie zaczął rozcinać i zdejmować z niej ubranie.

Przez ścianę dzielącą biuro od kliniki Tylko Plomba przedostał się najpierw stłumiony odgłos wiertła dentystycznego, a potem trzy głucho uderzenia.

– Mógłbym tu prowadzić przesłuchanie z torturami i nikt by się nawet nie zorientował – rzucił zza biurka Fedderman.

– Kusząca wizja – stwierdziła Pearl i spojrzała w kierunku biurka Quinna, który właśnie analizował skrawek papieru. Domyślała się, że to niedający im spokoju liścik od mordercy.

Fedderman zajmował się tym samym.

– Złoto, o którym mowa w liście, może oznaczać blondynki – powiedział, wykrzywiając twarz w reakcji na łyk porannej kawy. – Nasz zboczenie zabijał do tej pory brunetki. Może sugeruje nam, że teraz zamierza mordować blondynki.

– To by nie pasowało do profilu – stwierdziła Pearl. – Blondynki nie kręcą go tak samo jak brunetki.

– Hm – dodał Quinn od siebie.

Pearl zastanawiała się, czy się tym samym z nią zgodził, czy nie.

– Zakładasz, że to kolor włosów stanowi czynnik decydujący przy wyborze ofiary – ciągnął Fedderman. – A może dla niego liczy się jakaś inna cecha tych kobiet?

– Na przykład? – dociekał Quinn.



Fedderman wzruszył ramionami.

– Co jeszcze łączyło te ofiary? Oczy, nogi, sposób ubierania się, nosy, wzrost, rozmiar biustu... Możliwości jest dużo.

Pearl poczuła się lekko urażona, ale nie do końca wiedziała dlaczego. Ograniczyła się do komentarza:

– Dość to śmiała hipoteza.

– Owszem – zgodził się Quinn – ale nie można wykluczyć, że następna ofiara nie będzie do końca pasować do profilu.

Pearl wiedziała, że Quinn nie bardzo wierzy w profilerów, ale uznała, że to nie pora na spory.

– Może przeczytał te wszystkie książki i obejrzał te wszystkie seriale o seryjnych mordercach, a następnie postanowił zaprzeczyć typologii – rzucił Quinn. Wolną ręką bezwiednie bawił się cygarem, które miał w kieszeni koszuli. Pearl wiedziała, że się nie odważy.

– To się już zdarzyło – powiedział Fedderman. – Mam na myśli blondynkę – wyjaśnił swoją myśl. – Złoto, blondynki... Wtedy gdy zostawił włosy łonowe na widoku, żeby dać nam do zrozumienia, że tak naprawdę zabił brunetkę. Może wtedy zaczął świadomie zmieniać własny profil. Najpierw farbowana blondynka, a potem prawdziwa. Nie on pierwszy by zmienił typ.

– A co to niby ma znaczyć? – zapytała Pearl.

Fedderman wypił łyk kawy i wzruszył ramionami.

– Te twoje rozważania na temat innych cech wspólnych, na które wcześniej nie zwróciliśmy uwagi – powiedział Quinn – wydają się na tyle sensowne, że zacznę przeglądać zdjęcia z kostnicy i zdjęcia ofiar za życia, żeby zobaczyć, czy nie łączyło ich coś jeszcze oprócz tylko ogólnego typu i koloru włosów. – Położył list od mordercy na biurku. – Ty i Pearl jedźcie jeszcze raz obejrzyć te miejsca, w których one zginęły.

– Ich mieszkania?

– Zobaczcie, może tam znajdziecie jakiś wspólny mianownik. Może miały podobny gust, jeśli chodzi o sztukę, dobór mebli... Jeżeli się da, zajrzyjcie też do ich szaf. Może stały się ofiarami mordercy z powodu jakiegoś ubrania.

– Myślałam, żeby może jeszcze raz porozmawiać z przyjaciółmi i sąsiadami ofiar – zaproponowała Pearl. – Jak już będą nas mieli szczerze dość, to może coś sobie przypomną, żebyśmy się wreszcie od nich odczepili.

Quinn chwilę się nad tym zastanowił.

– Dobra. Potem dołącz do Fedsa. Ja się jeszcze pozastanawiam trochę nad tym listem, a potem pojedę się dowiedzieć, czy Renz nie ma dla nas czegoś nowego. Dzisiaj rano spotkał się z profilerami, więc to będzie pewnie głównie głównie zwykłe pieprzenie.

Pearl poszła do łazienki i tam odczekała do momentu, gdy Fedderman wyszedł. Potem wróciła do Quinna, który ciągle jeszcze siedział za swoim biurkiem.

– Sprawdziłaś tego Robaczka? – zapytał, porządkując dokumenty w teczce Marilyn Nelson przed jej zamknięciem.

– Nie ma kartoteki. Dzwoniłam do Buffalo, gdzie się wychował. Tam też ma czyste konto. Może to prawdziwy harcerz?

– Wygląda raczej jak cholerny ćpun. Jeśli nic nam nie wiadomo, żeby coś brał, to może się odurza czymś legalnym, klejem albo benzyną. – Nachylił się i z uwagą wpatrywał się w list od mordercy, który leżał na środku jego biurka. – Niektórzy skutecznie się wymykają policji.

Pearl nie wiedziała, czy ma na myśli ćpunów, czy seryjnych morderców.

– Rozmawiałam jeszcze raz z Lauri – powiedziała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Obowiązkowa do bólu, ale dziękuję.

– To ona chciała.

Quinn wyprostował się, żeby móc na nią spojrzeć bez konieczności wyciągania szyi. Zaczął się bujać na boki, co musiało świadczyć o dyskomforcie.

– Ona chciała?

– Tak. Spotkałyśmy się w restauracji w pobliżu Hungry U. Wypiłyśmy po szklance czegoś niewysokowego, a potem przez chwilę spacerowałyśmy po Village. To świetna dziewczyna, o wiele rozsądniejsza niż większość dzieciaków w jej wieku.

– Nadal za mało rozsądna.

– W tym wieku trudno się dziwić. Ale przyganiał kocioł garnkowi. Wystarczy pomyśleć o nas.

– Stwierdziła, że cię lubi – powiedział Quinn. – Że cię naprawdę podziwia.

– Tego słowa użyła?

– Dokładnie tego.

– Dobrze wiedzieć. – Pearl była zaskoczona, że sprawiło jej to aż taką przyjemność. – To po części wyjaśnia, dlaczego chce towarzyszyć mi w pracy.

Quinn na chwilę przestał się kręcić na krześle. Na jego twarzy pojawił się znak zapytania.

– Towarzyszyć ci?

– Tak powiedziała. Po to do mnie zadzwoniła i po to chciała się ze mną spotkać.

– Chcesz powiedzieć, że chce cię obserwować przy pracy?

– Chce obserwować i się uczyć, Quinn. Powiedziała, że chce zostać gliną.

Quinn nie posiadał się ze zdumienia. Lauri? Gliną? Jego córeczka? Przecież ona nie ma pojęcia, na czym ta praca polega. Na co się w niej człowiek napatrzy i czym się zajmuje. W końcu jak bardzo ją to zmieni.

– Prędzej mnie diabli wezmą, niż się zgodzę, żeby cię obserwowała – oznajmił.

Pearl się uśmiechnęła.

– Dokładnie to jej powiedziałam, tatuśku. Prawie dokładnie tymi słowami. – Podeszła do drzwi i rzuciła mu jeszcze jedno spojrzenie. – Tak czy owak, schlebia mi, że ma o mnie takie dobre zdanie.

– Nie chcę, żeby coś jej się stało – powiedział bezradnie.

– Nikt nie chce, Quinn.

– Chryste! Co by na to powiedziała May?

– Pewnie niedługo się dowiesz.

Quinn patrzył, jak Pearl wychodzi na ulicę już skąpaną w skwarze.

Przez dłuższy czas siedział wpatrzony w zamknięte drzwi. Bycie ojcem – nie na odległość, tylko naprawdę – okazywało się skomplikowane. Nic się nie układało tak, jak on to sobie zamyślił. Lauri nie zachowywała się i nie reagowała zgodnie z jego przewidywaniami. Prawie nigdy. Pojawiła się nieoczekiwanie, dostała pracę w restauracji, umawiała się z tym łamagą Robaczkiem. Co będzie dalej? Tatuż?

Próbował o nią zadbać, przekonał Pearl, żeby z nią porozmawiała, chciał ją lepiej zrozumieć. Ale ten plan też przyniósł efekt odwrotny do zamierzonego. Teraz jego córka chce być jak Pearl. Chce być gliną. *Chce być jak ja.* Chwilowy przyptyw dumy szybko przeszedł w ukłucie bólu. *Chce życia takiego jak moje.*

Quinn spostrzegł, że obiema rękami trzyma się krawędzi biurka, aż mu zbieleły od tego palce.

*Córki!*

Ledwo potrafił zapanować nad frustracją.

## Rozdział 31

Pearl siedziała w nieoznakowanym samochodzie zaparkowanym naprzeciwko pensjonatu Waverton. Obserwowała, jak na przedniej szybie rozpryskują się krople deszczu. Prognoza nie przewidywała opadów, Pearl wiedziała więc, że deszcz szybko się skończył. To tylko krótki letni prysznic, który dodatkowo wypełni powietrze wilgocią, nasilając dolegliwość upałów.

Pogoda jednak specjalnie jej nie zajmowała. Wbrew poleceniom Quinna jeszcze nie zajrzała do mieszkania żadnej z ofiar. W prawej dłoni trzymała swobodnie telefon. Podniosła go trochę tak, jak gdyby zamierzała nim rzucić, ale zamiast tego postanowiła go użyć.

Zastała Jeba Jonesa w jego pokoju. Podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku, a wtedy ona się przywitała i powiedziała:

– Panie Jones, mówi detektyw Kasner.

– A, Pearl.

– Detektyw Kasner – powtórzyła.

– Przepraszam. Nie powinienem zakładać, że możemy sobie mówić po imieniu.

Pearl się sfrustrowała. Już posiała sprawę.

– Nie chciałam, żeby to zabrzmiało niezyczliwie. Po prostu dzwonię w oficjalnej sprawie. – *I chciałam zachować dystans.*

– To porozmawiajmy oficjalnie. Jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie pani pytania. – Sprawiał wrażenie raczej rozbawionego niż dotkniętego.

– Kiedy się możemy spotkać?

– Nie chce pani tego załatwić przez telefon?

– Nie. Lubię patrzeć na ludzi, gdy rozmawiam z nimi w ramach śledztwa. – We własnym odbiorze zabrzmiała jak zarozumiała biurwa.

– Gdy chodzi o podejrzanych?

– Na litość boską, nie! – *Za szybko. Nie powinnam mu tego mówić.*

Roześmiał się, jak gdyby nabierając pewności siebie.

– Spodziewałem się usłyszeć, że na tym etapie śledztwa jeszcze każdy jest podejrzany.

– Nie, to nie jest tak jak w telewizji.

– W każdym razie możemy się spotkać właściwie w dowolnym terminie.

– A teraz?

– Pewnie. Gdzie?

– Może w lobby?

Roześmiał się.

– Pani to lubi ludzi zaskakiwać!

– Chyba tak. To element mojej pracy.

– Spotkajmy się zatem w kawiarni za dziesięć minut.

Pearl powiedziała, że będzie na niego czekać, po czym się rozłączyła.

Zachowała się nie do końca profesjonalnie i oboje zdawali sobie z tego sprawę. To dziwne, że napięcie seksualne daje o sobie znać nawet podczas połączenia telefonicznego. W końcu jednak o to właśnie w życiu chodziło – o różne połączenia.

Wyłączyła silnik i wygramoliła się z chłodnego wnętrza klimatyzowanego auta na zalaną upałem ulicę. Mżawką nie należało się przejmować. Tylko wilgotność powietrza się od niej podniesie. Jej ubranie niemal od razu złapało wilgoć i zaczęło się niemal kleić do skóry.

Musiała przepuścić autobus, ale potem przeszła na drugą stronę ulicy i przez obrotowe drzwi wkroczyła do pensjonatu Waverton. Znowu znalazła się w chłodzie. Jakie to orzeźwiającej!

Przeszła przez wyściełany dywanem hol, udając się w kierunku szerokiego łuku. Pokonała dwa stopnie w dół i znalazła się w kawiarni. Pomieszczenie zaskoczyło ją rozmiarami, liczbą stolików ustawionych w rzędach i długim barem. Na podłodze leżały duże czarne i białe kafle ułożone w szachownicę. Miejsce sprawiało wrażenie niemal wyludnionego, chociaż przy stolikach siedziało co najmniej kilkanaście osób, a do tego jeszcze trzy przy barze. Pearl dostrzegła drzwi na ulicę przy drugim końcu baru. Doszła do wniosku, że znaczna część gości zapewne nie ma pokoju w hotelu.

Znalazła stolik, przy którym na pewno zostanie zauważona. Z informacji ustawionej obok przybornika z przyprawami wyczytała, że kawiarnia oferuje ciasto w specjalnej cenie. Zamówiła colę light. I czekała.

Jeb Jones zszedł po schodach ze sportową lekkością graniczącą wręcz z arogancją. Miał na sobie designerskie dżinsy i szarą koszulkę, a na niej czarny sweter. Ona była ubrana tak samo.

– Chryste! – powiedziała, stwierdziwszy, że ubrali się dzisiaj praktycznie identycznie.

On na chwilę przystanął, nie bardzo rozumiejąc jej reakcję, a potem się uśmiechnął.

– Przeznaczenie.

– Jeśli coś takiego w ogóle istnieje – powiedziała Pearl.

Spostrzegła, że mężczyzna ma na nogach brązowe mokasyny, podczas gdy ona toporne czarne policyjne buciory.

– Ma pani na myśli przeznaczenie czy Jezusa?

– Jedno i drugie – odparła Pearl.

Usiadł naprzeciwko niej. Twarz miał oskrobaną i jakoś tak nienaturalnie zaróżowioną, co mogłoby sugerować, że właśnie się ogolił. Ciągłe jeszcze wilgotne ciemne faliste włosy zostały niedbale odrzucone do tyłu, jak gdyby zrobił to palcami, a nie grzebieniem czy szczotką.

– Może się okazać, że za sprawą losu będziemy się świetnie dogadywać. Oczywiście na płaszczyźnie zawodowej.

Ta sama kobieta, która wcześniej przyjęła zamówienie od Pearl, teraz podeszła do Jeba. On zamówił colę light z automatu. Pearl nie powiedziała mu, co pije. Siedzieli więc każde ze swoim napojem i słomką z dala od postronnych uszu.

– Proszę pytać, pani detektyw Pearl – powiedział w końcu.

Rzuciła mu żartobliwie gniewne spojrzenie.

– A czemu nie „detektyw Kasner”?

– Pomyślałem, że to może będzie dobry kompromis – odrzekł z szerokim uśmiechem.

– No to może niech będzie po prostu Pearl, skoro już musimy iść na kompromisy.

– Dobrze. Jestem akurat w kompromisowym nastroju, Pearl.

*Ten to ma gadane!* Coś ją jakby zaniepokoiło. Chociaż może chodziło o coś innego? Sączyła colę przez słomkę, przyglądając mu się, jak na nią patrzy.

– Masz jeszcze jakieś przemyślenia na temat Marilyn Nelson?

Oparł się i przez chwilę jakby rozważał pytanie.

– Dużo się zastanawiałem nad tym, co się stało Marilyn, zwłaszcza jak przeczytałem o tym trochę w gazecie. Zdążyłem ją poznać na tyle, że ją polubiłem, ale szczerze powiedziawszy, nie pogąrzyłem się po niej w żalobie jak po starej dobrej przyjaciółce. W końcu byliśmy tylko na dwóch randkach.

Pearl uznała, że to szczerza odpowiedź.

– A nie przypominasz sobie, żebyście spotkali jakichś jej innych znajomych?  
– Na pierwszej randce witaliśmy się z jakimiś ludźmi, których знаła, w restauracji. W Pepper Tree. To niedaleko jej mieszkania.

– Ile to było osób?

– Cztery. Dwaj mężczyźni i dwie kobiety.

– Zostaliście sobie przedstawieni?

– Tak, ale muszę przyznać, że nie pamiętam, jak się nazywali. Siedzieli przy pobliskim stoliku. Wychodząc, zatrzymaliśmy się przy nich na chwilę, żeby się przywitać. Na okazaniu miałbym kłopot, żeby kogokolwiek z nich rozpoznać.

Pearl się uśmiechnęła.

– Przypuszczam, że do niczego takiego nie dojdzie. Czy ona wspominała, skąd ich zna?

– Nie, powiedziała tylko, że się znają. Może mieszkają w okolicy, w końcu przyszli do Pepper Tree. – Nagle jego twarz pojaśniała. – Gdybyśmy poszli tam razem na kolację, mógłbym spróbować ich wypatrzeć, a ty byś była w pracy. To byłoby typowo zawodowe spotkanie.

– Hm. A jedzenie jest tam dobre?

– Moje było. Jestem przekonany, że tym razem też by mi smakowało, gdybyś to ty siedziała po drugiej stronie stolika.

Wciągnęła jeszcze trochę coli przez słomkę.

– Widzę, że nie owijasz w bawełnę.

– Przyznam, że nie lubię marnować czasu. W takich sprawach nie ma sensu bawić się w wieczne podchody, no chyba że ktoś akurat z tego czerpie największą przyjemność.

– W jakich sprawach?

– Na wizytówce, którą mi dałaś, znalazłem odręcznie napisany numer telefonu.

– To moja komórka – powiedziała. – Dałam ci go na wypadek, gdybyś sobie coś przypomniał i chciał ze mną porozmawiać, a ja akurat byłabym w terenie.

Nie uwierzył jej. Uśmiechnął się do niej znacząco. Akurat coś takiego lubiła u mężczyzn.

– Nie wydaje mi się, żebyś przyszła tu rozmawiać o Marilyn Nelson.

*Dobra, faktycznie przechodzisz od razu do rzeczy. Zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem gwałtownie je wypuściła. Pearl, ty idiotko.*

– Nie – powiedziała. – Przyszłam się spotkać z tobą.

– To dobrze, cieszę się. Nawet więcej, niż się cieszę.

*No to z głowy. Nieźle poszło. Świat się nie zawalił.* Oddychała z trudem.

– Zaproszenie na kolację jest nadal aktualne?

– Oczywiście.

Bezwiednie bawiąc się papierkiem od słomki, Jeb spojrzął przez luk oddzielający kawiarnię w stronę wind. *Oho!* Pearl wiedziała, dokąd to wszystko zmierza. Wiedziała, dokąd ona zmierza, jeśli to się rozwinie zgodnie z zamysłem Jeba Jonesa. *Nie tylko tak samo się ubraliśmy.*

*Najwyraźniej też oboje lubimy korzystać z okazji. Ale akurat z tej nie możesz skorzystać. Jesteś na służbie.*

– Chyba nie masz zamiaru zaproponować policjantce wycieczki do twojego pokoju, co? – zapytała z miną pokerzysty.

Uśmiechnął się szeroko.

– Przyznaję się do winy.

Już miała coś powiedzieć, gdy zaćwierkał jej telefon. Stale wpatrując się w brązowe oczy Jeba, wyjęła komórkę z kieszeni, otworzyła ją i zobaczyła, że dzwoni Quinn.

– Co tam? – powiedziała.

Słyszała w tle odgłosy ulicy. Quinn dzwonił z samochodu.

– Mamy następną robotę Rzeźnika. W Village. – Podał jej adres.

– Taką samą jak poprzednie?

– Tak wynika z tego, co mi powiedział Feds, kiedy dzwonił. On tam był pierwszy. Ja właśnie jadę na miejsce. I ty też!

– Ja też – potwierdziła Pearl, po czym się rozłączyła i zamknęła klapkę telefonu. Spojrzała na Jeba siedzącego po drugiej stronie stolika. – Praca – powiedziała. – Muszę już iść.

Sięgnął do jej ręki i końcówkami palców pogłaskał ją po wierzchu dłoni, czym mocno ją zelektryzował.

– Jestem rozczarowany, ale rozumiem. Obowiązek to obowiązek.

Gdy cofnął rękę, ona wstała i sięgnęła po portfel.

– Ja zapłacę – zapewnił, również wstając. – Dzisiejsze spotkanie przy kolacji nadal aktualne?

– Nie mogę obiecać – powiedziała.

– Tak, rozumiem.

Uśmiechnęła się nerwowo, zupełnie jak gdyby ktoś właśnie do niej strzelał i spudłował.

– Mam twój numer – przypomniał jej, gdy w pośpiechu wychodziła z kawiarni.

*Tak, masz* – pomyślała.

## Rozdział 32

Pearl szybko pokazała odznakę mundurowemu, który stał w otwartych drzwiach. W mieszkaniu ofiary tłoczyli się technicy kryminalistyczni.

Gdy tylko przekroczyła próg, żołądek jej się zbuntował, poczuła bowiem zapach charakterystyczny dla sklepu mięsnego. Przełknęła mocno ślinę i dalej przeciskała się między technikami, którzy z zaangażowaniem zbierali dowody w skromnie umeblowanym salonie. Przedostała się do kuchni i przeszła wąskim korytarzem do łazienki.

Zajrzała do środka i stwierdziła, że Quinn i Fedderman blokują cały widok. Kształt bioder i wielkość butów sugerowały, że zakład medycyny sądowej tym razem skierował na miejsce zdarzenia kobietę. Nachylała się właśnie nad wanną i przyglądała się temu, co zostało z ofiary.

Quinn i Feds spojrzeli na Pearl i skinęli głowami. Nie było dla niej miejsca w małej łazience, więc Fedderman odsunął się, żeby sobie zajrzeć.

Kolejny ścisk w żołądku. Wiedziała, czego się ma spodziewać, ale i tak ją to szokowało. Jak jeden człowiek może zrobić coś takiego drugiemu... Odcięta głowa o ciemnych i wilgotnych włosach leżała na oddzielonych od reszty ciała bladych ramionach.

– Czyli nie blondynka – stwierdziła Pearl.

Pani doktor spojrzała na nią przez ramię. Miała mniej więcej pięćdziesiątkę na karku, pucułowate policzki i marchewkowe włosy tak krótkie, że jej fryzurę można by nazwać jeżem. Pearl nie miała wątpliwości co do tego, że nigdy wcześniej się nie spotkały. Patolog jednak potrafiła najwyraźniej na pierwszy rzut oka stwierdzić, że Pearl nie jest tu nie na miejscu, bo od razu wróciła do swojej pracy.

Quinn opuścił zatłoczoną łazienkę i poprowadził Pearl do kuchni. Tam akurat techników nie było.

– Ten sam syf, co zawsze? – zapytała Pearl.

– Na razie wszystko na to wskazuje – odpowiedział. – Jeśli chodzi o metodologię, to nasz morderca jest prawdziwym wzorem konsekwencji.

Pani patolog przysłała do nich do kuchni. Miała na sobie męski szary garnitur w prążki oraz krawat, a w ręce trzymała wysłużoną skórzaną torbę lekarską. Na pucułowatej twarzy wyraźnie zarysowały się kropelki potu. Kobieta sprawiała wrażenie zmęczonej i znudzonej. Pearl stwierdziła, że pewnie wygląda na znudzoną bez względu na to, jak się akurat czuje.

– Julius opowiedział mi o innych ofiarach – powiedziała żywym, merytorycznym tonem, w którym nie dało się dostrzec żadnych oznak znudzenia.

Quinn uniósł brwi.

– Julius?

– Doktor Nift – powiedziała. – To wszystko idealnie wpisuje się w schemat. W zasadzie wszystkie płyny ustrojowe zostały odsączone, zanim rozpoczęło się rozczłonkowywanie ciała. Większość nacięć została wykonana ostrym ostrzem i tasakiem. Większe, bardziej kłopotliwe nacięcia noszą ślady wskazujące na użycie piły elektrycznej. – Mówiła z takim spokojem, jakby chodziło o oprawienie indyka. Ale to odzwierciedlało postępowanie Rzeźnika, który odbierał swoim ofiarom człowieczeństwo i traktował je jak mięso.

Pearl najwyraźniej musiała zblednąć, bo patolog spojrzała na nią z politowaniem.

– Przepraszam, że się nie przedstawiłam. Jestem doktor Jane Tumulty.

Pearl skinęła głową.

- Pearl Kasner. Cóż dzisiaj porabia Nift?
- Doktor Nift musiał się zająć sprawami rodzinnymi.

Pearl nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, że Nift – Julius Nift – ma rodzinę złożoną z ludzi, ale pewnie nie dało się tego wykluczyć.

Tumulty zwróciła się do Quinna:

– Po zakończeniu cięcia części ciała zostały ułożone na stosik i umyte. Nie były jednak ani szorowane, ani przecierane gąbką. Przypuszczam, że zastosowano do tego właśnie te wszystkie środki czystości z tych pustych pojemników. Zostały spłukane prysznicem, a potem przyszła pora na wybielacz. Wszelkie płyny zniknęły w odpływie. – Spojrzała na Quinna i na Pearl. – Nigdy nie miałam jeszcze do czynienia z tak czystymi zwłokami, czy to w całości, czy w częściach.

– Rzeźnik, który nie brudzi przy robocie... – stwierdził Quinn.

Tumulty wypchnęła usta do przodu w uśmiechu.

– Nie powiedziałabym, że to zrobił rzeźnik. Z pewnością nie był to też lekarz. Ale ktokolwiek to był, ma doświadczenie w rozczłonkowywaniu ciała. Może jakiś niedoszły adept medycyny, który spędził trochę czasu ze zwłokami?

– A może uczył się w praktyce – powiedział Quinn.

– Może. Przyczyną śmierci było prawdopodobnie utonięcie. Więcej będę mogła powiedzieć po sekcji. Doktor Nift i ja będziemy w kontakcie. – Chwytiła czarną torbę obiema rękami. Najwyraźniej trochę ważyła. – Zostawiam ją wam i sanitariuszom. Ja na razie skończyłam.

Quinn jej podziękował. Wychodząc, Tumulty pokręciła jeszcze głową.

– Chory drań ten zabójca. Cieszyłabym się, gdybym już nie musiała więcej oglądać takich ofiar.

– Postaramy się – stwierdził Quinn.

Gdy patolog wyszła, Pearl powiedziała:

– Co wiemy o ofierze poza tym, że została znaleziona w kawałkach?

– Że się nie pojawiła w pracy – odrzekł Quinn. – Z pracy zadzwonili tu. Nikt nie odebrał, więc poprosili dozorcę, żeby do niej zajrzał. Pukał bez skutku, ale przy okazji zwrócił też uwagę na zapach. Wszedł do środka i ją znalazł. Wezwanie przyjęli tamten mundurowy i jego partner. Dozorca siedzi na dole, w swoim mieszkaniu. Próbuje się oswoić z tym, co zobaczył.

– Nic dziwnego – stwierdziła Pearl.

– Ofiara pracowała w Courtney Publishing. Ani dozorca, ani sąsiedzi nie potrafią dokładnie powiedzieć, czym się zajmowała. Będziemy musieli porozmawiać z ludźmi z wydawnictwa.

– Jak się nazywała? – zapytała Pearl, której w wyobraźni na nowo pojawił się widok odciętej głowy z ciemnymi mokrymi włosami i zamkniętymi oczami. Zastanawiała się, czy to Jane Tumulty je zamknęła już po śmierci. Nift nie zadałby sobie tego trudu.

– Anna Bragg – odparł Quinn.

Pearl skupiła się na nazwisku. Quinn na nią patrzył z lekkim i smutnym uśmiechem na twarzy. Pearl próbowała jakoś powiązać nazwisko ofiary z listem zabójcy.

– Bragg... Braggadocio... Ofiara pracowała w wydawnictwie. To w ogóle nie pasuje.

– Jemu musi chodzić o coś bardziej subtelnego – powiedział Quinn. – Ale może słusznie kombinujesz z tymi książkami.

Dopiero po kilku minutach w jej głowie zaświtła pewna myśl.

– „Głupcy zaiwaniają” – powiedziała. – List nie miał nic wspólnego ze złotymi włosami ani z gorączką złota.

– Zaiwaniają... Brzmi jakoś tak rosyjsko – podchwycił Quinn.

– *Anna Karenina* – oznajmiła Pearl. – Rosyjska powieść. To dość daleko idące skojarzenie, ale musi o to chodzić.



– Wcale nie tak daleko idące – odparł Quinn. – Oboje na to wpadliśmy. To chyba najsłynniejsza postać kobieca rosyjskiej literatury. I w ogóle najsłynniejsza Anna w całej literaturze.

Pearl utwierdziła się w przekonaniu, że udało im się odczytać tożsamość ofiary ukrytą w liście zabójcy. Co do tożsamości głupców nie miała wątpliwości.

– Czyli się zgadzamy – powiedział Quinn, nieco ściszej głoś. – Najwyraźniej czasem nam się to zdarza.

Pearl z niezadowoleniem skostatowała, że Quinn patrzy na nią rozmarzonym wzrokiem.

– A co z Fedsem?

– Jeśli się nie mylę, on w żadnej powieści nie występuje.

– Przestań, Quinn.

– Przepraszam. Może się z nami nie zgodzić, ale nie sędzę, żeby czytywał rosyjskie powieści, nawet te najbardziej znane.

– Pewnie lepiej dla niego – powiedziała Pearl.

*Annę Kareninę* czytała w liceum. Może powinna do niej teraz wrócić? Zabójca pewnie to zrobił.

– Myślisz, że należy się spodziewać kolejnych ofiar nawiązujących do bohaterki literackich?

– W przypadku tego zabójcy naprawdę trudno powiedzieć...

Quinn miał ochotę napić się wody, ale wiedział, że dopóki technicy nie skończą pracy, nie może dotknąć kranu ani w ogóle niczego w kuchni.

– Powiem sanitariuszom, że mogą już zabrać ciało – stwierdził. – Ty i Feds możecie jeszcze raz porozmawiać z dozorcą i sąsiadami. Ja pojedę do pracodawcy Anny i dowiem się, co tam nam mogą o niej powiedzieć.

Pearl patrzyła, jak wychodzi z kuchni. Została sama. Czekala na Feddermana. Miała przed sobą przygnębiającą i żmudną pracę polegającą na odtworzeniu kilku ostatnich dni życia, które zakończyło się ubiegłego wieczoru.

Noc. Pearl już to wiedziała. Śmierć rozbudzała w niej pragnienie miłości. Bliskość tego pierwszego i pożądanie drugiego zupełnie jej nie dziwiły. Dobrze to rozumiała. Miłość i seks to życie, czyli przeciwieństwo śmierci. Chociaż o miłości na pewno można było tak powiedzieć. Ale czy o seksie i orgazmie również? Tego już Pearl nie wiedziała.

Krew ciągle jeszcze żywo tętniła jej w żyłach. Jeb Jones leżał obok niej w absurdalnie skopanym łóżku w pensjonacie Waverton, nadal z trudem łapiąc oddech. Nie słyszeli niczego poza odgłosami zatłoczonej ulicy pod oknami.

– Niezła jesteś – westchnął.

– Potrzebowałam czegoś.

– A udało ci się to zdobyć?

Wyciągnęła rękę i poklepała go po spoconym biodrze.

– Na początek wystarczy.

Roześmiał się w sposób, który jej się spodobał.

W małym pomieszczeniu panowała trochę za wysoka temperatura, a w powietrzu unosił się jeszcze zapach seksu. Na suficie wisiał wiatrak, ale nie działał. Okna też się nie otwierały. Ale Pearl to wszystko nie przeszkadzało. Tak to już jest, że człowiek poci się z pożądania.

Leżała nago na plecach, wyraźnie wyczuwając wilgoć poduszki pod karkiem. Po brzuchu poślaskotał ją delikatny chłodny wietrzyk z klimatyzatora, który zupełnie sobie nie radził z chłodzeniem pokoju. Oddech Jeba się wyrównywał, zupełnie jakby mężczyzna zasypiał.

Pearl pozostała w bezruchu, ale pozwoliła myślom na swobodne wędrówki. Zdawała sobie sprawę, że cała ta sytuacja może się okazać błędem. Tylko czy ktokolwiek coś osiągnął, nie narażając się na błąd? Po tym, co zobaczyła w mieszkaniu Anny Bragg, wydarzenia, które rozegrały się w tym pokoju, należało uznać za formę afirmacji życia. Tego właśnie potrzebowała Pearl – potrzebowała afirmacji swojego życia.

Cóż by pomyślał Quinn o tej jej schadzce z Jonesem? Nie mogła się nie uśmiechnąć, bo Quinn zapewne najchętniej by Jeba zabił. To wszystko by mu się nie spodobało z racji uczuć, które żywił do Pearl, ale z zawodowego punktu widzenia nie miałby chyba nic przeciwko. Jeb był po prostu facetem, który umówił się kilka razy z nieszczęsną Marilyn Nelson, ale nie podejrzanym. Nie zaliczał się nawet do kluczowych postaci śledztwa. Pytanie, czy te dwie kategorie w ogóle należy rozróżniać. Podobno pierwszy raz odwiedził mieszkanie Marilyn dopiero po jej morderstwie. Ale Pearl nie była pewna, czy ma solidne alibi na tamtą noc, kiedy zginęła Marilyn. Albo na noc morderstwa Anny Bragg. Uznała, że nie zaszkodzi zapytać.

Swobodnie przekreśliła głowę i spojrzała na pobliski biały skraj swojej poduszki. W tym momencie do głosu doszła jej policyjna natura.

Na krześle przy biurku leżały jej ubrania, równo złożone. Ubrania Jeba zalegały w nieładzie na podłodze. Na biurku stał notebook marki Toshiba, a obok znajdowały się przenośna drukarka i mały notes na spirali w niebieskiej oprawie. Przy kaloryferze dostrzegła otwartą paczkę papieru do drukarki. Na małym stoliku przy biurku leżała sterta książek, nie były to jednak powieści, tylko opracowania poświęcone gospodarce bądź polityce. Największe z nich, znajdujące się na spodzie, nosiło tytuł *America and Canada – Friends and Traders*. Coś takiego raczej nie ma szans w konkurencji ze Stephenem Kingiem, pomyślała Pearl. Na szczycie nierównego stosiku leżały żółte samoprzylepne karteczki, a obok tani długopis kulkowy i kilka krótkich żółtych ołówków. Ołówki swoje już przeszły, za to gumki miały zupełnie nienaruszone. Typowy pokój freelancera. Tak przynajmniej wyobrażałaby go sobie Pearl.

Przeniosła wzrok na sufit i zaczęła rozmyślać o Jecie. Okazał się łagodnym, ale zdecydowanym kochankiem. Czasami pozwalał jej przejąć inicjatywę, lecz potem znowu stawiał na swoim. Z całą pewnością miał doświadczenie. Wiedział, jak pomóc jej skupić się na sobie, przeciągnąć akt... Odrobinę nawet sobie z nią pogrywał, kazał jej czekać, a potem ją zaskakiwał. *Dlaczego te gumki sprawiają wrażenie nieużywanych? Czyżby on się nigdy nie mylił?*

– Jadłaś kolację? – zapytał, wyrywając ją z zamyślenia.

– Nie, jakoś zupełnie zapomniałam – odparła Pearl, która nagle poczuła się głodna. – Zarobiona byłam.

– Chcesz gdzieś iść czy zamawiamy jedzenie do pokoju?

Wizja boja hotelowego, który obsługuje ich w pokoju, nie bardzo jej się spodobała.

– A w kawiarni na dole można dostać coś sensownego?

– Na tyle, że stołuję się tam właściwie codziennie – powiedział Jeb. – No i ceny mają przystępne.

Obrócił się i usiadł po swojej stronie łóżka, kładąc nagie stopy na podłodze. Pearl wpatrywała się w jego szczupłe, ale umięśnione plecy. Najwyraźniej to ten typ dziennikarza, który regularnie ćwiczy.

– Chodźmy pod prysznic – zaproponował.

– Razem?

– Innego wyjścia nie ma. Mam tylko jedno mydło.

– No to mnie przekonałeś – powiedziała Pearl, rozciągając ręce i nogi. Zaraz potem podniosła się z ciepłej i wilgotnej od potu pościeli. Na nagich pośladkach i nogach poczuła chłód powietrza.

Jeb wyprzedził ją w drodze do łazienki, żeby włączyć prysznic. Pearl wcale nie była zaskoczona, gdy stwierdziła, że ustawił idealną temperaturę wody.

Pół godziny później siedzieli w boksie w kawiarni. Wykapani i ubrani we względnie niepomięte ubrania już nie wyglądali aż tak bardzo na kochanków. Pearl poszła za radą Jeba i zamówiła kurczaka zapiekanego w cieście. Oboje sączyli budweisera z kija, który został im podany w zmrożonych szklankach. Pearl popijała chłodne piwo, spoglądając na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stolika. Z niecierpliwością czekała na jedzenie i miała chwilowo dość pozytywny stosunek do życia, co w jej przypadku często się nie zdarzało.

Kelnerka o szerokich biodrach, wedle plakietki mająca na imię Maize, postawiła przed nimi dużą okrągłą tacę, z której zdjęła talerze.

– Pan to musi lubić tego kurczaka w cieście – powiedziała do Jeba.

– Skąd pani wie, że to nie chodzi o panią? – odparł z szerokim uśmiechem.

Maize pokręciła głową i spojrzała na Pearl.

– To samo zamówił wczoraj na kolację.

– Czyli wczoraj pani też pracowała – stwierdził Jeb nadal flirciarskim tonem, choć absolutnie niezobowiązująco.

Maize uśmiechnęła się, prezentując wyszczerbione zęby.

– Chyba nic nas nie łączy. Może poza relacją między dającym a biorącym napiwki.

Jeb uśmiechnął się teraz do Pearl.

– Maize serwuje nie tylko jedzenie, ale także dobry dowcip.

Twarz Maize się nie zmieniła.

– Tylko kiedy podaję wczorajsze danie dnia. W celu odwrócenia uwagi. – Postawiła wszystkie talerze na stole. – Coś jeszcze państwu podać?

– To już będzie wszystko – powiedział Jeb, uśmiechając się do Pearl.

Maize wiedziała, kiedy należy zniknąć. Wróciła za ladę.

– Wczoraj jadłeś to samo? – zapytała Pearl.

Jeb potaknął głową i zanurzył widelec w przyrumienionym cieście, z którego wzbil się w powietrze kłęb pary.

– Mówiłem ci przecież, że zwykle się tu stołuję. Zaraz się przekonasz dlaczego. To jest pyszne.

Uważając, żeby się nie oparzyć w język, Pearl przystąpiła do jedzenia kolacji. Stwierdziła, że musi się zgodzić z oceną Jeba. Chociaż może po prostu zgłodniała podczas pobytu w jego pokoju. A może cieszyła się, że Maize zapewniła jej nowemu kochankowi alibi na poprzedni wieczór, kiedy to została zamordowana Anna Bragg. Oczywiście nie można było wykluczyć, że Jeb ją przekonał, żeby skłamała w jego interesie. W końcu łączyła ich relacja dającego i biorącego napiwki. Ale Pearl stwierdziła, że chyba przesadza z cynizmem. Wzięła łyk piwa.

## Rozdział 33

Celendra wyszła z przesłuchania z przekonaniem, że nie ma żadnych szans, ale jednocześnie powtarzała sobie, że niekiedy właśnie w takich okolicznościach dostaje się role. To w końcu branża pełna niespodzianek. Jeśli się wszakże czegoś trochę oczekuje, to trudno mówić o niespodziance. A skoro tak do tego podchodziła, to najwyraźniej miała jeszcze nadzieję.

Szlag by to, pomyślała. To wszystko jest za bardzo skomplikowane. Wiedziała tylko, że doczekała się na swoją kolejkę na scenie, po czym przeczytała rolę szalonej gospodyni domowej. Szalonej w sensie „niezrównoważonej psychicznie”. Od sześciu lat próbowała zrobić karierę aktorską w Nowym Jorku. Dostała wprawdzie kilka ról w podrzędnych teatrach i zdarzyło jej się nawet zdobyć atrakcyjny angaż w przedstawieniu drugiej klasy. Trudno jednak w takiej sytuacji mówić o sukcesie.

Dobiegała trzydziestki. Była kobietą raczej przystojną niż ładną, wysoką i raczej o sportowej budowie ciała. Miała bladą i ponurą twarz. Na przesłuchania intensywnie się malowała, żeby podkreślić kolor i głębię dużych brązowych oczu. Brązowe włosy do ramion pozostawiała w artystycznym nieładzie.

Opuściła teatr bocznym wyjściem przy scenie. Stwierdziła, że na zewnątrz zrobiło się nieprzyjemnie gorąco. Na gołych ramionach poczuła wilgoć powietrza. Zamiast wracać dusznym metrem do mieszkania, które znajdowało się gdzieś w zachodniej części Manhattanu w górę od Dziewięćdziesiątej Ulicy, pomachała na taksówkę. Gdy ostatnio jechała metrem w drodze powrotnej z Canal Street, gdzie kupiła podróbkę torebki Prady, jakiś baran zaczął się o nią ocierać. W pewnym momencie uszczypnął ją nawet w pośladek tak mocno, że został jej po tym siniak. Gdy się odwróciła, żeby mu coś powiedzieć, zobaczyła przed sobą tylko tłum ludzi usiłujących wydostać się na zewnątrz, zanim pociąg ruszy. Celendra nie miała czasu, żeby go szukać. Ludzie patrzyli na nią – albo też po prostu w jej kierunku – wylewając się wartkim strumieniem z wagonu i porywając ją ze sobą. Wsiadając na peron, kilkakrotnie zderzyła się z pasażerami, którzy usiłowali zająć miejsce w środku. W Nowym Jorku ktoś bez przerwy gdzieś wchodził i skądś wychodził.

Gdy w końcu dotarła do domu i w lustrze spojrzała na siniak, który właśnie się jej robił na pośladku, poprzysięgła sobie, że już nigdy więcej nie pojedzie metrem. Miała wprawdzie świadomość, że kiedyś to dane sobie słowo złamie, więc w sumie trudno tu było w ogóle mówić o przysiędze, ale niezależnie od tego, jak to przyrzeczenie należało zakwalifikować, tego dnia nie zamierzała się mu sprzeniewierzać.

Ciągle się jeszcze zastanawiała, jak ocenić przesłuchanie, gdy dostrzegła taksówkę stojącą przed wejściem do teatru. Potraktowała ją jako przyznaną przez miasto nagrodę pocieszenia, lecz zaraz skarciła się za to. Miasto to przecież nie jest Bóg, który wyrównuje rachunki w niebie, odpowiada na modlitwy czy skazuje ludzi na potępienie. Chociaż czasami odnosiła takie wrażenie.

Rozsiadła się na miękkiej tapicerce. Auto kołysało nią i szarpało, bo kierowca usiłował dostać się na zatłoczoną Zachodnią Czterdziestą Czwartą. Wszędzie trąbiły klaksony. Skądś dobiegł ją nawet gniewny krzyk. W końcu udało im się włączyć do ruchu, ale mężczyzna przeklinał pod nosem i potrząsał głową.

– Cholerne miasto... – usłyszała jego narzekanie. – Twarde jak skała...

*Wiem coś o tym.*

Postanowiła, że pojedzie taksówką aż do domu, chyba że wcześniej utknie w jakimś strasznym korku. W takim przypadku zamierzała wysiąść w odległości ośmiu czy dziesięciu przecznic od celu i resztę dystansu pokonać pieszo. Celandra lubiła chodzić. Uważała, że to dobra forma aktywności fizycznej, a poza tym przyzwyczała się do chodzenia w dzieciństwie spędzonym na farmie pszenicy i soi w Kansas.

Mało brakowało, a odeszłaby tam od zmysłów. Dlatego właśnie, kiedy instruktor prowadzący teatr na Uniwersytecie Stanu Missouri zapewnił ją, że ma talent, postanowiła przyjechać właśnie do Nowego Jorku. Oczywiście wiedziała, że zaskarbiła sobie jego względy również z innych powodów. Co prawda nigdy go jakoś świadomie nie zachęcała, a on też nie pchał jej się w oczywisty sposób pod spódnicę, ale dał jej jednoznacznie do zrozumienia, że bardzo go interesuje. Skoro więc nawet nie spróbował...

Przechyliła głowę i zamknęła oczy. Najwyraźniej w jej życiu nic nie jest pewne. Czy wszyscy tak mają? Czy nie ma ludzi, którzy dobrze rozumieją, przez co przeszli, gdzie się znajdują w chwili obecnej i dokąd zmierzają, bo wszystko sobie zaplanowali? Celandra próbowała organizować swoje życie, ale to ciągle ją zaskakiwało. Zanim się obejrzy, będzie już starszą panią. Zmarszczki też ją zaskoczą. Ale może wszyscy tak mają?

Taksówka wjechała w dziurę, w wyniku czego Celandra wyskoczyła na kilka centymetrów nad siedzenie. Po pokonaniu kolejnych kilku przecznic samochód zwolnił i najpierw poruszał się skokami do przodu, a potem zupełnie się zatrzymał. Z tego co Celandra zdołała dostrzec przez przednią szybę, korek ciągnął się na dużej odległości i w ogóle się nie ruszał. Temperatura w aucie nieprzyjemnie rosła. Może kierowca wyłączył silnik, żeby ten się nie przegrzał w korku albo żeby zaoszczędzić trochę cennego paliwa... Za pomocą elektrycznego przycisku opuściła szybę, ale wpuściła do środka tylko jeszcze cieplejsze powietrze. Skończyła jej się cierpliwość, więc wydobyla z torebki portfel i oznajmiła, że wysiada.

– Wysadzę panią przy chodniku – powiedział mężczyzna na widok banknotów powiewających w jej spoczonej dłoni. Mówił z akcentem, na który wcześniej nie zwróciła uwagi i którego nie rozpoznawała.

– Mogę wysiąść tutaj – zapewniła go, wpychając pieniądze na małą obrotową tackę zamontowaną w szybie z pleksi. Zostawiła kierowcy hojny napiwek.

– Ktoś może panią zabić – powiedział z tym swoim dziwnym akcentem, nie chcąc tracić klientki. – Rozjechać na płasko. Wtedy to będzie moja wina.

– Nic mi się nie stanie – upierała się w przekonaniu, że na ulicy nic się nie rusza, więc nie ma jej co przejechać.

– Nie chcę, żeby...

Więcej już nie usłyszała, bo zdążyła otworzyć drzwi. Wykonała trzy kroki, wspięła się na krawężnik i znalazła się na chodniku. Idąc piechotą, oddalała się od nieruchomej taksówki. Za jej plecami trąbiły klaksony, ale ona nie zwracała już uwagi na tę kakofonię dźwięków i po prostu szła przed siebie.

Dobrze ubrany mężczyzna średniego wzrostu, który szedł akurat przed nią, odwrócił się, żeby spojrzeć, o co chodzi tym wszystkim kierowcom. Ich oczy na chwilę się spotkały. Celandra szybko odwróciła wzrok, nie chciała bowiem, żeby facet cokolwiek sobie pomyślał. Zdążyła jednak stwierdzić, że jest przystojny i zadbany. Oprócz tego zwróciła też uwagę na to tajemnicze coś, co się czasem pojawia między ludźmi i czego wszyscy teoretycznie szukają. Doszło do spotkania dwóch sił, coś się teraz mogło wydarzyć. Na początku jednak zawsze mamy wybór.

Celandra ciągle jeszcze nie otrząsnęła się po przesłuchaniu, powiedziała więc sobie, że jej to nie interesuje. On najwyraźniej też się nią nie zainteresował. Nie spojrzał na nią ponownie, gdy zatrzymał się na skrzyżowaniu i czekał na zmianę światła, żeby przejść na drugą stronę. Nie

zadał sobie też trudu, żeby na nią popatrzeć, gdy go mijala i gdy zszedł z krawężnika, żeby wraz z kilkunastoma innymi osobami pokonać ulicę.

Może on tej magii nie poczuł. Przecież to nie zawsze działało w dwie strony. Może tylko sobie schlebia...

Po przemierzeniu kolejnej przecznicy Celandra już o nim zapomniała. Nie przyszło jej do głowy, żeby szukać go po drugiej stronie. On tymczasem szedł równoległe z nią, balansując ramionami, żeby łatwiej przeciskać się zatłoczonym chodnikiem. Od czasu do czasu w kogoś uderzał, ale wymamrotawszy pobieżne „przepraszam”, szedł dalej swoim tempem.

Jej tempem.

Nie odrywając od niej wzroku.

Namysłając się.

Gdy później wyszła z domu, poszedł za nią do Starbucksa, gdzie spotkała się z dwiema innymi kobietami. Usiadł z tyłu, zamówił cappuccino i przyglądał się, jak jedzą ciastko i popijają kawę w boksie pod oknem. Trudno to, co prawda, uznać za niskokaloryczny lunch, ale objętością posiłek też nie grzeszył. Wszystkie trzy kobiety były szczupłe, lecz w tym wieku właściwie było to normalne.

Gdy wcześniej poszedł za nią do domu, odczytał jej nazwisko na skrzynce na listy, do której pobieżnie zajrzała, zanim ruszyła po schodach do swojego mieszkania. Nie widziała go, zresztą i tak mogłaby go nie rozpoznać. Teraz, w Starbucksie, gdzie siedział dwa boksy dalej, żeby móc słyszeć treść rozmów prowadzonych przez kobiety, też go nie zauważyła.

Do tej pory żadna z kobiet nie zwróciła się do drugiej po imieniu. To niesamowite, jak rzadko ludzie posługują się imionami, gdy już raz zostaną sobie przedstawieni. Z rozmowy wynioskował, że ma do czynienia z trzema aktorkami. To go nie zdziwiło, zważywszy na urodę i zachowanie tej, za którą tu przyszedł. Tej, którą sobie wybrał.

Jako że była aktorką, ustalenie jej imienia nie powinno być trudne. Uśmiechnął się. Może znajdzie je nawet na jakimś neonie. Teraz właściwie już tylko imienia mu brakowało.

## Rozdział 34

Wczesnym rankiem cztery dni później Pearl siedziała na ławce na Washington Square, przyglądając się bezdomnemu, który właśnie budził się ze snu na ławce naprzeciwko. Miał na sobie poszarpane ubranie o dwa rozmiary za duże i poruszał się tak, jak gdyby dokuczał mu artretyzm, mimo że na pierwszy rzut oka nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat. Pod ławką leżała pusta butelka po wysokoalkoholowym piwie Colt 45, które zapewne zastąpiło mu tabletki na sen.

Pearl obserwowała, jak mężczyzna siada, rzuca jej gniewne spojrzenie – zupełnie jak gdyby miała mu przynieść pecha – a następnie wstaje i rusza powoli w kierunku Macdougall Street. Lauri, zmierzająca akurat z tego kierunku w stronę Pearl, ominęła go szerokim łukiem. On chyba w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

W przeciwieństwie do bezdomnego mężczyzny Lauri kroczyła pewnie przed siebie. Z młodzieńczą lekkością przeszła pośród kilkunastu gołębi, które obojętnie wydziobywały coś z chodnika, zmuszając je do wzbicia się w powietrze, co jednak uczyniły z wyraźną niechęcią. Uśmiechała się. Spotykały się z Pearl na lunchu albo po prostu po to, żeby porozmawiać. Widziały się już kilkakrotnie i zaczęły się darzyć nawzajem sympatią. Pearl zdawała sobie sprawę, że nastolatka ją podziwia i jej ufa, może nawet za bardzo.

Lauri opadła na ławkę obok niej. Miała na sobie dżinsy i żółtą bluzkę bez rękawów, a do tego sportowe buty założone na gołe stopy. Poranne słońce połyskiwało w cyrkonii, którą miała wbity w płatek nosa.

– Rozmawiałas z moim tatą? – zapytała.

– Piękny poranek – powiedziała Pearl.

– Co? Tak... przepraszam. Chyba za bardzo skupiam się na sobie.

Pearl doszła do wniosku, że dziewczyna musiała oglądać programy Doktora Phila.

– Owszem, piękny – powiedziała Lauri, chcąc zyskać przychylność Pearl.

Tak naprawdę Pearl wcale nie dostrzegała w tym poranku niczego wybitnego. Wszędzie wokół leżały śmieci, w tym rozbite fiolki po narkotykach, a w okolicy ciągle czaiło się jeszcze z czterech czy pięciu bezdomnych, którzy dobitnie przypominali, jak trudne potrafi być życie. Gołębie przegonione przez Lauri wróciły już do swoich zajęć. Brudne stworzenia. Pearl nie lubiła tych ptaków.

– Pearl...

– Pytałam twojego ojca, co by powiedział, gdybym ci udzieliła paru informacji dotyczących pracy policjanta. Z tym nie ma problemu. Właściwie to chyba się cieszy, że ty i ja z sobą rozmawiamy. Nie chce jednak, żebyś została gliną.

– Dlaczego nie? Przecież sam nim jest...

– Jego zdaniem możesz w życiu osiągnąć coś więcej.

– Mogę czy powinnam?

– Pewnie jedno i drugie.

– Mama i ten cały Elliott zawsze mnie przekonywali, że stać mnie na więcej. Zupełnie jak gdybym miała dostać stypendium Rhodesa. – Jej mina wyrażała rozczarowanie. – Wydawało mi się, że tata jest inny.

– Bo chce dla swojego dziecka jak najlepiej? Dlaczego miałby nie chcieć?

– Bo nie każdy może zdobyć stypendium Rhodesa. Niektórzy chcą zostać policjantami. Ty na

przykład.

– To chyba nie o to chodzi, Lauri. Twój tata po prostu nie chce, żebyś musiała pewne rzeczy oglądać.

– Dlaczego nie miałabym czegoś oglądać? On przecież to wszystko widział...

– No właśnie. Widział i już wie. Poza tym nie chce, żebyś się narażała.

– Na przykład na co?

To akurat łatwe pytanie.

– Na to, że cię ktoś postrzeli albo zadźga na śmierć.

– Aha.

Pearl wstała z ławki.

– Muszę już iść, Lauri. Za dwadzieścia minut powinnam się spotkać z twoim tatą i Fedsem.

– Myślałam, że zjemy razem śniadanie.

– Nie mam już czasu. Spóźniłaś się prawie godzinę.

Lauri pochyliła głowę i spojrzała na szaro-białego gołębia, który właśnie się do niej zbliżał.

– No tak, nad punktualnością muszę jeszcze popracować.

Pearl się uśmiechnęła.

– Wszystkiego się nauczysz.

– A co z tą drugą sprawą? – zapytała Lauri. – Miałaś okazję porozmawiać o niej z tatą?

– Nie bardzo mu się spodobał pomysł, że będziesz mnie obserwować podczas pracy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Stwierdził, że by mnie zastrzelił, gdybym się zgodziła. – Pearl czekała, aż Lauri oderwie wzrok od gołębia i na nią spojrzy. – Ja zresztą też uważam, że to zły pomysł, Lauri. Nie zajmuję się maszynopisanem ani sprzedażą ubezpieczeń. Obserwując mnie, mogłabyś się dużo nauczyć, ale mogłoby ci się też coś stać.

– Jestem skłonna zaryzykować.

– Ale on nie.

– A to on jest tu ojcem, tak?

– Właśnie, a do tego jest moim szefem.

– To pewnie na tym się ta sprawa będzie musiała skończyć.

– Widzisz, jak szybko chwytasz.

Pearl wiedziała, że to za łatwo poszło. W końcu Lauri to córka Quinna, a jego to akurat Pearl trochę знаła.

– Nadal możemy się spotykać od czasu do czasu na przyjacielskim gruncie – upewniała się Lauri. – Nadal możemy rozmawiać.

– Oczywiście, że tak – odparła Pearl.

Lauri wstała, wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

– Niech zatem tak będzie. Przecież o to właśnie w życiu chodzi: żeby się zadowalać tym, co się ma.

– Po części tak – stwierdziła Pearl. – Mój samochód stoi tam, niedaleko. Podwieźć cię?

– Nie, zaraz muszę iść do pracy. – Szeroki uśmiech. Wyglądała z nim zupełnie jak Quinn. – Nie mogę się spóźnić.

– Tak trzymać! – rzuciła Pearl. *Ale wciskasz kit, zupełnie jak twój ojciec.*

Pearl ruszyła w stronę samochodu, a gdy już do niego doszła, odwróciła się i zobaczyła Lauri idącą w przeciwnym kierunku. Opierając się dłonią o nagrany przez słońce dach, nagle poczuła zupełnie zaskakującą i nieoczekiwaną sympatię dla tej dziewczyny. Stwierdziła, że czuje potrzebę, by ją chronić. Może obudziły się w niej jakieś matczyne instynkty?

Dość to przerażająca myśl.



Gdy Pearl dotarła do biura, Quinn siedział za biurkiem z okularami do czytania z apteki na nosie. To był ten rodzaj okularów, które zakłada się nisko na nos i które wyglądają, jak gdyby stanowiły dolną połowę jakiejś większej pary. Quinn używał ich, gdy musiał odcyfrować coś, co zostało zapisane drobnym druczkiem. Studiował wyniki sekcji zwłok Anny Bragg. Fedderman stał po drugiej stronie pomieszczenia i właśnie nalewał sobie kawy.

- Chcesz też? – zapytał, zerkając na Pearl.
- Dzisiaj nie.

Pearl ciągle zmagала się z dziwnym uczuciem w żołądku, prawdopodobnie spowodowanym bezowocną rozmową z Lauri i tym zupełnie dziwnym macierzyńskim instynktem, który się w niej po tym spotkaniu pojawił.

- A sok pomarańczowy? Kupiłem kartonik po drodze.
- Nie, nic nie chcę, dziękuję. – *Zostaw mnie, do cholery, w spokoju.*
- Znowu dokładnie to samo, włącznie z liczbą nacięć, które wykonał morderca – stwierdził Quinn z przygnębieniem, stukając palcem wskazującym w raport.

Pearl wołałaby, żeby nie robił tego aż tak mocno.

- Przyczyna śmierci? – zapytała.
- Utonięcie. Tak jak w przypadku pozostałych. Wkłada je do wanny, odkręca wodę, topi, a potem rozcina.

- Resztki taśmy? – zapytała. – Ten sam rodzaj?
- Tak. Taka sama taśma. Można ją kupić wszędzie. Ogólnie ten sam *modus operandi*. Wiąże dziewczyny mocno jak indyki na Święto Dziękczynienia, a usta zakleja takim samym prostokątnym kawałkiem taśmy. Już po śmierci, gdy zamilkną na wieki, zdejmuje taśmę z kneblem włącznie, a potem przystępuje do pracy nożami i piłą.

- Godzina śmierci?

Quinn poprawił wąskie okulary na nosie, po czym spojrział w raport dla pewności.

- Tu jest napisane, że między szóstą a dziewiątą wieczorem.

Pearl uznała, że to się naprawdę świetnie składa. Jeśli tylko kelnerka imieniem Maize nie kłamie, Jeb Jones ma solidne alibi. *Jeb...*

- Cieszyła się chyba dość powszechną sympatią wśród współpracowników w Courtney Publishing.

- Jak każdy, gdy już umrze – stwierdziła Pearl.

– No tak. Pracowała jako zastępca redaktora. Pięła się w górę. Jej szef twierdził, że miała potencjał. Nikt nie zauważył, żeby sprawiała ostatnio wrażenie przestraszonej albo żeby zachowywała się jakkolwiek inaczej niż zwykle. Kilka razy spotkała się z jednym gościem ze sprzedaży, ale nic z tego nie wyszło i przestali się widywać. On jest teraz na jakichś targach książki we Frankfurcie.

- Frankfurckie alibi, nie ma co.

– Rozmawiałem przez telefon z ludźmi, którzy tam z nim byli w czasie, gdy Anna Bragg została zamordowana – stwierdził Quinn. – Nie ma szans, żeby tu przyleciał, zabił ją i wrócił do Niemiec.

Fedderman usiadł za swoim biurkiem. W jednej ręce trzymał kawę, a w drugiej – plastikowy kubek z sokiem.

- Coś od niego wyciągnęłaś? – zwrócił się do Pearl.
- Co takiego?
- Od tego kolesia, który się kilka razy umówił z Marilyn Nelson.

– Ach, nie, nie wyciągnęłam. Ma alibi na czas zabójstwa Anny Bragg.

– No to skreślamy go z listy podejrzanych – stwierdził Quinn. – Podobnie jak innych facetów, którzy utrzymywali kontakty z tymi ofiarami. Umawiali się z nimi, chodzili nawet z nimi do łóżka, ale każdy z nich ma alibi na czas jednego lub kilku morderstw.

– Seks w wielkim mieście – rzucił Fedderman.

Pearl dziwnie na niego spojrzała.

– Wypożyczyłem sobie i oglądam – wyjaśnił. – Dzięki temu wiem, co mnie omija.

– Co nas wszystkich omija – oznajmiła Pearl.

Quinn zdjął swoje dziwaczne półokulary i spojrzał na nią tym swoim wzrokiem, który tak dobrze znała. Czyżby usłyszał coś w jej głosie? Czyżby jakimś cudem wiedział, że tylko dla pozorów narzeka na niedostatek potajemnego seksu? *Nie świruj. Przecież on nie czyta w myślach!* Ale znała Quinna. Wiedziała, że potrafi przejrzeć człowieka na wylot. Czasami, choć zwykle tylko przez krótką chwilę, odczuwała współczucie dla tych, których Quinn tropił.

Odwróciła się i podeszła do ekspresu, żeby nie mógł badać jej tym swoim spojrzeniem. *Szlag by to trafił!*

– Chyba jednak napiję się kawy. – Chciała na chwilę przestać myśleć o wszystkim oprócz Jeba.

– Może lepiej napij się soku pomarańczowego – powiedział Quinn. – To cię powinno uspokoić.

*Szlag by go trafił!*

Faks zaczął szumieć i bulgotać. Fedderman co prawda siedział, ale miał do niego najbliżej. Wstał więc i podszedł do urządzenia, a następnie utkwiał wzrok w kartce papieru, zupełnie jakby zawierała jakąś zagadkę. Urządzenie piknęło, po czym zamilkło. Fedderman podniósł dwie kartki, które do nich przyszły, i zaniósł je Quinnowi.

– Kopie wyciągów Marilyn Nelson – oznajmił.

Quinn przejrzał je pobieżnie, po czym znowu włożył okulary i zaczął je dogłębniej studiować. Większość obciążeń dotyczyła zakupów posiłków oraz ubrań. Tylko jedna pozycja wskazywała na opłatę dwóch posiłków. Rachunek został wystawiony w Pepper Tree. Quinn przypomniał sobie, że taka restauracja znajdowała się zaledwie kilka przecznic od mieszkania Marilyn. Płatność została dokonana niespełna dwa tygodnie przed morderstwem. Czyżby jadła kolację ze swoim zabójcą? To raczej mało prawdopodobne. Ale może towarzyszył jej ktoś, kto będzie w stanie powiedzieć im więcej o ostatnich dniach Marilyn Nelson.

Swoim ogromnym palcem wskazał tę pozycję Pearl.

– Idź do tej restauracji. Dowiedz się, czy ktoś sobie przypomina, z kim nasza ofiara jadła kolację tamtego dnia. To Marilyn pokryła należność, a poza tym jadła tam w pojedynkę dość często. Może ktoś ją zapamiętał.

Pearl uznała, że to dość śmiała teza, ale zawsze warto sprawdzić. Jeśli dopisze im szczęście, dowiedzą się, że tamtego wieczoru Marilyn Nelson była w restauracji na randce – mimo że to ona zapłaciła za kolację. Być może była z kimś, kogo bardzo blisko znała. Pearl wydało się to nawet prawdopodobne. Śmierć w wielkim mieście.

Potem spojrzała i dostrzegła nazwę restauracji: Pepper Tree. Wiedziała od Jeba, że był tam raz z Marilyn na kolacji. Pearl i Jeb też się tam umówili na randkę. Pearl doszła do wniosku, że w jej życiu nic nie może być proste.

## Rozdział 35

*Harrison County, Floryda 1980*

Noc był ciemna, bezksiężycowa, pewnie dlatego Sherman nie zauważył czyhającego zagrożenia. Spędził na bagnach już tyle czasu, że nauczył się wystrzegać podobnych sytuacji. Sporo się na własnej skórze nauczył. Potrafił się skutecznie chronić przed burzami, które smagały drzewa i podnosiły poziom czarnej wody, wynajdywać martwe i żywe źródła pożywienia, od których się nie rozchoruje. Nauczył się też skutecznie wysypiać, nie tracąc czujności wobec wszystkiego, co stało się jego naturalnym i bardzo realnym wrogiem. Wiedział, co zrobić, żeby przetrwać.

Każdy dźwięk na bagnach miał teraz dla niego konkretne znaczenie, podobnie zresztą jak nawet najbardziej subtelna woń niesiona przez wiatr czy nieregularność kręgów na spokojnej dotychczas wodzie. Sherman bacznie to wszystko obserwował i nauczył się interpretować różne sygnały, jak wtedy, gdy pochłaniał wiedzę zawartą w książkach Sama oraz gdy prowadził z nim długie i leniwe rozmowy. Ta wiedza stanowiła dziedzictwo Sama. Bagno stało się domem Shermana. Było to miejsce niebezpieczne, choć nie aż tak jak dom, który opuścił.

Rozstanie miało charakter zupełny. On sam już nawet nie myślał o sobie jako o Shermanie, bo nikt się do niego tym imieniem nie zwracał. Nie miał specjalnie czasu na rozważania o przeszłości. Nie pozostawało mu nic innego, jak żyć w terażniejszości i z myślą o terażniejszości. Wiedział, że jeśli zagubi się gdzieś w przeszłości, to zaprzepaści swoją przyszłość. Teraz przebywał na bagnach i był człowiekiem bagna. Liczyły się dla niego i obowiązywały go tylko prawa przyrody, a właściwie tylko jedno jej prawo – prawo przetrwania.

Pogwałcił to prawo w momencie, kiedy nadepnął na twardą i nierówną powierzchnię, która poruszyła się pod jego bosą stopą w ciemnej jak atrament woda. Od razu wiedział, że to aligator. Wiedział, że może umrzeć. Zamierzał jednak zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

Długi gruby ogon wyłonił się z mroku i klapnął z powrotem w płytką wodę, wywołując przy tym dźwięk przypominający wystrzał z broni palnej. Chłodna woda plusnęła Shermanowi na twarz. Chłopiec odruchowo próbował odskoczyć od gada, ale poślizgnął się i o mały włos by się przewrócił. Rozpaczliwie walcząc o odzyskanie równowagi, uchylił się przed kolejnym uderzeniem potężnego ogona.

Po chwili aligator stał już na nogach, unosząc blade brzuszysko nad powierzchnią wody. Był ogromny, mierzył co najmniej trzy metry. Sherman doskonale zdawał sobie sprawę, że w wyścigu z gadem nie ma szans, zwłaszcza na tej płyciźnie.

Widok bestii napawał go przerażeniem. Aligator dobrze znał tę reakcję swoich ofiar, przyzwyczał się do ich chwilowego bezruchu. Nadszedł czas ataku.

Czarna woda wzburzyła się i spieniła, ponieważ potężny gad rzucił się do przodu. Sherman poczuł coś, jak gdyby mocne muśnięcie na nagiej pięcie. Usłyszał też upiorny szcęk zębów. Krzyknął i wykonał szaleńczy odskok, w wyniku czego wylądował na dłoniach i kolanach. Napędzany strachem wstał niemal natychmiast i rzucił się do ucieczki przez głęboką do kolan wodę. Starał się jak najwyżej unosić nogi i wydłużać krok, żeby ograniczyć rozchlapywanie wody i zwiększyć swoją prędkość. Żeby przetrwać.

Wiedział, że aligator za nim pędzi. Pośród szaleńczych plusków jego ucieczki słyszał

odgłosy pościgu. Wyczuwał gada i widział go oczyma duszy, jak biegnie koślawo na tych swoich wygiętych nogach, momentami ślizgając się po wodzie, a potem znowu znajdując podparcie i ponownie skracając dystans.

Aligator go doganiał!

Sherman uderzył ramieniem w gruby pień drzewa. Za plecami dostrzegł oko bestii.

Aligator go doganiał! *Na górę!*

Aligatory to szybkie, wielkie i silne zwierzęta uzbrojone w potężne zęby i ogon, ale wspinać to się akurat nie potrafią. Sherman podbiegł do drzewa, objął pień ramionami i nogami, po czym podjął próbę wgramolenia się na górę. Wśród konarów czekał na niego azyl. Na górze te gardłowe odgłosy i plusk ogona mu nie zagrażały, podobnie jak potężne zęby. Na górze czekało życie!

Porośnięty mchem pień drzewa okazał się jednak bardzo śliski. Zamiast się wspinać, Sherman zsunął się jeszcze niżej i ponownie znalazł się w błotnistej wodzie. Miał szansę sięgnąć do najniższej gałęzi. Ugiął kolana i wykonał skok, sięgając przez nocne powietrze w kierunku konaru.

Musnął go końcówkami palców. Wylądował w wodzie z dziwnym pluskiem, po czym skoczył znowu.

Tym razem jednak nie udało mu się nawet dotknąć gałęzi.

Aligator się zatrzymał i przycaił w wodzie, znowu zanurzając się głęboko. Obserwował swoją ofiarę tysiącletnim wzrokiem, obojętnym, czujnym i bezlitosnym.

Sherman rozumiał aligatory. Wiedział, dlaczego ten konkretny osobnik się zatrzymał.

Wyczuwał, że jego ofiara zdaje sobie sprawę z beznadziejności dalszej ucieczki. On już wygrał.

Ruszył w kierunku Shermana powoli i bez wysiłku, pozostawiając za sobą lekkie V w płytkiej wodzie. Chłopiec wpatrywał się w niego sparaliżowany strachem. Wiedział, co się za chwilę wydarzy. Obejmą go szczęki, a potem gad zabierze go na głęboką wodę, a tam będzie nim kręcić, aż się całkowicie wykrwawi lub utopi. Potem pociągnie go w kierunku legowiska gdzieś w głębokim błocie przy brzegu, tam zostawi, żeby trochę zgnił i skruszał. Sherman przypomniał sobie te wszystkie noce, kiedy wychodzili z matką na skraj bagna. Przypomniał sobie tych wszystkich nieszczęsnych lokatorów – i Sama – którzy w kawałkach ginęli w mroku nocy. Pamiętał zgrzyt, szczęk i chrobot absolutnego obżarstwa, a potem moment zaspokojenia.

On się nie podda, jeszcze nie teraz. Nigdy! Musi uciekać! Musi jakoś tego uniknąć!

*Uciekaj ile sił w nogach!*

Zmusił się do porzucenia bezowocnych prób wspięcia się na drzewo. Ruszył z pluskiem przez bagno, z każdym krokiem mącąc ciemną wodę. Modlił się, żeby aligator jednak odpuścił.

Poślizgnął się i przewrócił. Bezradnie rozchlaprywał wodę, usiłując wstać. Wreszcie stanął na nogi. Biegnij! Biegnij! To element życia na bagnie. To element walki. Typowy dla ofiary.

Przetrwać! Przetrwać! – ten instynkt zawładnął w pełni całym jego umysłem. Biec trzeba dostatecznie szybko, żeby uciec dostatecznie daleko. *Żeby przetrwać!*

Na twarzy poczuł drażnienie. Gałąź wytrąciła go z rytmu, spowalniając tylko na chwilę. Po trzech chwiejnych krokach odzyskał równowagę i znów biegł z nieco większym spokojem. Ile sił w nogach!

Coś go nagle chwyciło za lewą łydkę i zacisnęło się na niej boleśnie jak imadło. Upadł ciężko na brzuch i wciągnął do płuc wodę z bagna. Wierzgając rozpaczliwie rękami i wolną nogą, próbował utrzymać głowę nad powierzchnią.

Imadło się zaciskało, a on poczuł w nodze przeraźliwie klujący ból.

Coś ciągnęło go przez bagno. Krztusił się i pluł, więc nie był w stanie nawet krzyczeć.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na bestię, która go dopadła. O mało co nie zamarł z przerażenia.

Aligator trzymał go mocno w paszczy. Zerknął prosto w prehistoryczne obojętne oczy gada. Znajdowały się bardzo blisko siebie – ciemniejsze niż noc, śmiercionośne.

Nagle coś w nich rozbłysło i rozległ się ryk.

Sherman poczuł, że tonie.

## Rozdział 36

*Nowy Jork, czasy obecne*

We wnętrzu lokalu Pepper Tree dominowały szarości i odcienie niebieskiego. Jedną ścianę zdobił mural przedstawiający błękitne niebo nad zielonym polem. Pole porastały drzewa, Pearl założyła, że drzewa pieprzowe, choć naprawdę nie wiedziała, czy jakkolwiek gatunek pieprzu rośnie na drzewach. Uznała jednak, że to taka „licencja kulinarna”.

Z uśmiechem na twarzy podszedł do niej Afroamerykanin, który pomimo lekkiego brzuszka kwalifikował się jako przystojny mężczyzna. Miał granatową marynarkę z mosiężnymi guzikami, białą koszulę rozpiętą pod szyją i czerwoną apaszkę. Tylko jacht chyba gdzieś zostawił.

– Śniadań nie podajemy – powiedział.

Pearl spojrzała na rzędy nakrytych na biało stolików, które dopiero czekały na sztuce, zastawę i serwetki.

– Widzę właśnie. Powinniście zamykać drzwi.

Sprawił wrażenie rozbawionego.

– Mamy zaufanie do ludzi.

– Szkoda, że ja nie mam – rzuciła Pearl, pokazując odznakę.

Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny. Niestety, bo świetnie się prezentował, bez uśmiechu zaś stał się zdecydowanie bardziej zwyczajny.

– Chodzi o Marilyn Nelson? – zapytał, zaskakując Pearl. Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiał jakby jamajski akcent.

– Jest pan jasnowidzem – stwierdziła.

– Bynajmniej. Marilyn często tu jadała. To była ładna dziewczyna. Takie piękne kobiety się zapamiętuje, zwłaszcza jeśli są do tego tak miłe jak Marilyn.

Pearl zaczęła się rozglądać. Oprócz niej i mężczyzny chyba nikogo w lokalu nie było.

– Mój pracownik Harmon sprząta w kuchni – powiedział jej rozmówca, jakby czytając jej w myślach. – Nazywam się Virgil Mantrell.

– Jest pan kierownikiem?

– I właścicielem. W związku z powyższym jestem tu właściwie cały czas.

*Przyda się*, pomyślała Pearl. Wizyta w Pepper Tree nagle stała się jakby bardziej obiecująca. Najwyraźniej nie tylko Jeb bywał tu z Marilyn.

– Jak rozumiem, Marilyn zwykle jadała sama.

– Zwykle tak. Przyjechała do Nowego Jorku niedawno. Nie zdążyła jeszcze dobrze poznać miasta. Chociaż nie zawsze przychodziła sama. Kilka razy pojawiła się w towarzystwie mężczyzn, wyglądało to na randki. Potem jeszcze raz przyszła na lunch z kobietą.

– Co pan na ich temat zapamiętał?

– Że to byli różni mężczyźni. Tylko z jednym była co najmniej dwa razy.

– A ten jak wyglądał?

– Niewiele sobie przypominam. Chyba miał trzydzieści kilka lat, ciemne włosy... Pewnie można by powiedzieć, że był przystojny, ale miał w sobie coś zwyczajnego. Mam pamięć do twarzy, mimo to chyba bym go nie rozpoznał, gdyby tu znowu przyszedł.

– A ta kobieta, z którą Marilyn spotkała się na lunchu?

– Ją bym rozpoznał.  
– Pewnie była ładna.  
– Nie tak ładna jak Marilyn. – Odwzajemnił jej uśmiech. – Ale staramy się nie klasyfikować klientów pod kątem urody.  
– Mądra polityka – stwierdziła Pearl.  
Potaknął głową.  
– To nie byłoby grzeczne, a grzeczność się w tej branży liczy. Gdy dotarłem do stolika Marilyn, żeby zapytać, czy wszystko w porządku, przedstawiła mnie tej kobiecie. Powiedziała, że to jej stara przyjaciółka z college’u.  
– Przedstawiła ją z imienia i nazwiska?  
– Tak, przedstawiła. – Uniósł ciemne brwi, robiąc przy tym taką minę, jakby go coś bolało. – Przykro mi. Do twarzy mam dobrą pamięć, ale nazwiska mi umykają.  
Pearl pokazała mu kopię faksu z obciążeniami konta Marilyn. Wskazała na płatność w Pepper Tree.  
– Ma pan kopię tego rachunku?  
– Na pewno. Prowadzimy staranną księgowość. To będzie za ten posiłek, który Marilyn jadła z przyjaciółką.  
– Skąd pan to wie?  
– Po cenie. Poza tym pamiętam. Jadły tu lunch. Czas został oznaczony na naszym paragonie.  
– Nie mam na liście żadnej pozycji, która by wskazywała na posiłek w towarzystwie mężczyzny.  
– To pewnie dlatego, że płacili gotówką – stwierdził Virgil. Na jego twarzy ponownie pojawił się uśmiech. – To ciągle się zdarza. – Zamyślił się. – Możliwe też, że przez przeoczenie jeszcze nie złożyliśmy wszystkich rachunków do banku. W takim przypadku ciągle jeszcze u nas leżą i dlatego nie ma ich na pani liście.  
– Możemy to sprawdzić? – zapytała Pearl.  
– Nakazu pani nie musi przynosić – powiedział, uśmiechając się przy tym na znak, że żartuje.  
Przeprowadził ją przez kuchnię, w której zapryszczony nastolatek – zapewne Harmon – mył, a może woskował podłogę czymś na kształt gąbczastego mopa, do zaskakująco dużego biura z lśniącą drewnianą podłogą i dywanem tkanym z płataniny różnokolorowych nici w stonowanych barwach. Stało tu też duże biurko z drewna o niejednolitym wybarwieniu, zapewne teaku. Na ścianie wisiały olejne obrazy przedstawiające statki. Pearl się co prawda na tym nie znała, ale wydały jej się zupełnie niezłe. Może instynkt dobrze jej podpowiedział na początku, że ma do czynienia z właścicielem jachtu.  
– Żeglujecie pan? — zapytała, gdy Virgil przeszukiwał czarną metalową szafkę na dokumenty stojącą za biurkiem.  
– Nie – odrzekł, nawet na nią nie spoglądając. – Ale maluję.  
– I to całkiem niezłe.  
Tym razem przeniósł na nią wzrok, by podziękować uśmiechem za komplement. Zaraz potem nachylił się i wrócił do swojego zajęcia. Znalazł pliczek rachunków, którego szukał. Obrócił się na krześle, żeby spojrzeć zza biurka na Pearl. Z widoczną wprawą przystąpił do przeglądania paragonów. Pearl wiedziała, kiedy lepiej się nie odzywać. Stała cierpliwie i czekała. Przeniosła wzrok na wdzięczne żaglowce. Zastanawiała się, czy ten nad biurkiem to slup. Zastanawiała się, co to w ogóle jest slup. Palce Virgila przerwały nagle swój taniec.  
– No! – powiedział z wyraźnym zadowoleniem.  
– Znalazł pan?

- Nie. Mężczyźni odwiedzający nas w towarzystwie Marilyn musieli płacić gotówką.
- To czemu się pan tak podnieca?

Virgil rzucił jej znaczące spojrzenie. Pearl uznała, że pewnie warto by go przeprosić.

- Odniosłam po prostu wrażenie – powiedziała – że znalazł pan to, czego szukał.

– Znalazłem coś innego – stwierdził Virgil. – Za lunch z przyjaciółką zapłaciła Marilyn, ale mam inny rachunek z tego samego dnia i z tej samej godziny dotyczący tego samego stolika. Jej przyjaciółka zapłaciła kartą za to, co kupiła przy barze.

Przesunął po szerokim biurku wąski świstek, żeby Pearl mogła go sobie obejrzyć. Na karteczce widniało imię i nazwisko Ella Oaklie. Pearl przeczytała je na głos.

- Coś to panu mówi?

- Chyba nie – odparł Virgil. – Ale to musi być ta kobieta, którą widziałem z Marilyn.

Potwierdza to ten rachunek.

- Mógłby mi pan zrobić kopię?

- Zrobię pani kopię – powiedział Virgil – a nawet dam pani oryginał.

- Bo jestem grzeczna... – stwierdziła Pearl.

– A także dlatego, że ma pani oko do sztuki – uśmiechnął się Virgil. – No i dlatego, że jest pani zupełnie ładna.

A poza tym mogłabym przedłożyć panu stosowny nakaz w tej sprawie, pomyślała Pearl, z grzeczności jednak zachowała tę uwagę dla siebie.

Pearl bez większych trudności ustaliła adres Elli Oaklie. Kobieta figurowała w książce telefonicznej. Czasami coś w pracy policyjnej idzie jak po maśle.

Pearl zajrzała do małej kwiaciarni na Pierwszej Alei, a kobieta stojąca za ladą użyczyła jej firmowej książki telefonicznej. Pearl zanotowała sobie adres i telefon. Nie chciała, by ktoś podsłuchiwał jej rozmowę, więc podziękowała ekspedientce i wyszła na upał, żeby zadzwonić do Oaklie z komórki. Połączenie zostało przejęte przez automatyczną sekretarkę, która w patetycznym stylu poinformowała, że nikt w tej chwili nie może odebrać telefonu, ale że zachęca się dzwoniącego do pozostawienia wiadomości. Pearl wysłuchała tych bzdur, nagrała swoje nazwisko i numer telefonu, po czym się rozłączyła.

Zbliżała się pora lunchu, więc pojechała na róg Trzeciej Alei i Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Znała tam jednego ulicznego sprzedawcę, który oferował smaczne i sprawdzone jedzenie. W porze lunchu Pearl zwykle poprawiał się humor. Kupiła sobie knysz, a do tego wodę w butelce. Rozsiadła się z tym na ciepłym kamiennym murku, z którego mogła obserwować ludzi.

Po drugim kęsie poczuła, że w kieszeni wibruje jej telefon. Odłożyła jedzenie i picie na bok, żeby odebrać połączenie. Ella Oaklie zadzwoniła do domu i sprawdziła wiadomości na sekretarce. Chciała się skontaktować z Pearl jak najszybciej, bo przecież Marilyn Nelson spotkał taki straszny los. Pearl zapewniła, że może podejść do niej do pracy, ale Ella nie bardzo chciała się na to zgodzić. Zaproponowała lunch. Pearl zasugerowała Pepper Tree. Z jej doświadczenia wynikało, że sprowadzenie świadka w pobliże miejsca zbrodni pozwala czasem uruchomić zupełnie niesamowite pokłady pamięci. Ella od razu na to przystała. Bardzo się niecierpliwiła, więc Pearl zaproponowała spotkanie za pół godziny. Kobieta uznała, że w trzy kwadransy powinna się uwinąć. Umówiły się w restauracji, na ławce w małej poczekalni tuż przy drzwiach. Ella zapytała, czy powinna się spodziewać policjantki w mundurze, na co poirytowana nieco Pearl oznajmiła, że ma na sobie szare spodnie, niebieski sweter, a na dokładkę czarne siermiężne buty. To w sumie rodzaj mundurku, pomyślała, rozłączając się i chowając telefon z powrotem do



kieszeni.

Aparat niemal od razu odezwał się ponownie.

Tym razem dzwonił Jeb. Chciał się spotkać na lunch.

– Jeśli masz czas – powiedział, wyczuwając jej wahanie.

– Umówiłam się w restauracji ze świadkiem na krótką rozmowę, ale potem możemy coś zjeść, jeśli chcesz. Może gdzieś razem pójdziemy?

– Na pewno nie ma problemu? Nie chciałbym ci przeszkadzać w pracy.

– Nie ma żadnego problemu – zapewniła go Pearl. – Umówiłam się w Pepper Tree.

– Świetnie. I tak mieliśmy tam iść.

Powiedziała mu, o której mniej więcej spodziewa się zakończyć rozmowę.

– Spokojnie sobie coś tam zjedz – zasugerował. – Ja też zjem lunch, zanim się spotkamy.

A potem może wypijemy po drinku albo dwóch i gdzieś pójdziemy.

*Na przykład do twojego pokoju w Wavertonie?*

Pearl nie musiała o to pytać. Wiedziała, że oboje tego chcą.

Pożegnała się z Jebem, po czym ponownie schowała telefon do kieszeni. Miała nadzieję, że cholerstwo chwilę tam poleży w spokoju. W tym momencie spojrzała na drugą stronę ulicy i zobaczyła Lauri Quinn. Miała na sobie wyblakłe džinsy z łatami i workowaty czerwony pulower. Stała przy wejściu do sklepu z materiałami biurowymi i udawała, że ogląda coś na wystawie. Pearl doszła do wniosku, że pewnie obserwuje ją w odbiciu szyby. Odwróciła wzrok.

Widok Lauri nie tyle ją zaskoczył, ile raczej poirytował. Nie pierwszy raz się to zdarzyło. Wcześniej już dwa razy zwróciła uwagę na kobiety podobne do Lauri, ponieważ jednak widziała je tylko przelotnie, nie mogła być pewna, czy to ona. Najwyraźniej dziewczyna nie potraktowała poważnie stanowczego nie w sprawie towarzyszenia jej w pracy. Najwyraźniej postanowiła obserwować ją bez jej wiedzy. Lauri nie rezygnowała z tego, czego chciała. Zupełnie jak jej ojciec.

Pearl nie bardzo wiedziała, co ma z tym zrobić. Postanowiła na razie się tym nie zajmować. Pora spotkania z Ellą Oaklie zbliżała się wielkimi krokami, nie miała więc ochoty akurat teraz rozmawiać z Lauri o tym jej mało wprawnym i irytującym śledzeniu jej poczyną. Chodząc krok w krok za detektywem z wydziału zabójstw, który właśnie pracował nad sprawą seryjnego mordercy, amator, a już w szczególności dzieciak, sprowadzał na siebie niebezpieczeństwo. Pewnie należałoby powiedzieć o tym Quinnowi i zapytać, co on zamierza w tej sprawie zrobić. W końcu Lauri to jego córka. Ale Pearl czuła się trochę odpowiedzialna za dziewczynę, a Quinn zdawał się nie mieć bladego pojęcia o tym, jak postępować z nastolatką niepodejrzaną o morderstwo.

Spojrzała na zegarek. Do spotkania z Ellą Oaklie zostało jeszcze czterdzieści minut. Wiedziała, że nieoznakowanym radiowozem na pewno szybko dotrze na miejsce, więc czasem nie musi się przejmować. Jadła swój knysz, powstrzymując się przed ponownym spojrzeniem w stronę Lauri.

## Rozdział 37

Następny. Quinn się tego spodziewał. Przypuszczał, że Rzeźnik będzie zasypywać policję zagadkowymi liścikami.

Renz właśnie przefaksował mu ostatni wraz z bezwartościowymi wynikami badań laboratoryjnych samej kartki oraz koperty, w której został przysłany. Na kopercie ani na znaczku nie znaleziono odcisków palców, na skrzydełku nie stwierdzono śladów DNA. List został nadany w Midtown, zapisany na zwyczajnym papierze, którego źródła raczej nie dałoby się ustalić, niemal mechanicznym, nieskazitelnym pismem i ołówkiem HB. Podobnie jak pierwszy został zaadresowany do Quinna.

Pearl i Fedderman pracowali w terenie, Quinn został więc w biurze sam. Zaniósł sobie faks na biurko i zaczął się nad nim zastanawiać. W pomieszczeniu panowały przyjemny chłód i cisza, którą zakłócały tylko okazjonalne uderzenia bądź stłumione głosy z kliniki dentystycznej. Quinn usiadł na swoim obrotowym krześle, położył sobie liścik na kolanie i zmrużył oczy, usiłując zrozumieć sens zwięzłej zaszyfrowanej wiadomości:

*Róża jest różą, jest różą bez względu na nazwę.*

*Trzymajcie się.*

*Rzeźnik*

Fedderman wrócił z rozmów z mieszkańcami budynków znajdujących się w sąsiedztwie mieszkania Anny Bragg. Upał chyba mocno dawał mu się we znaki. Jak to miał w zwyczaju, marynarkę przewiesił sobie przez ramię i trzymał ją na jednym palcu. Koszula była przepocona i wymięta. Prawy mankiet tradycyjnie swobodnie powiewał. Krawat w czerwone pasy wisiał luźno i wyglądał trochę tak, jakby go ktoś używał jako liny do przeciągania. Fedderman westchnął. Westchnęło również jego krzesło, gdy na nie opadł.

– Jakież postępy? – zapytał Quinn.

Fedderman wywrócił zmęczonymi oczami.

– W ogóle nie pytaj.

– Pomyślałem, że wyciągnę z ciebie wszystkie informacje, zanim padniesz.

– Żaden z sąsiadów Anny nie przypomina sobie nic ponadto, co już sobie przypomnieli albo zmyślili, gdy rozmawiali z nami poprzednio. Pojawiło się kilka nieścisłości, ale to pewnie przez ten upał. Ludziom się mózgi lasują. W każdym razie mój się zlasował.

– Może powinieneś napić się kawy – zasugerował Quinn. – Jest taka teoria, że w ciepły dzień należy wypić coś, co ma temperaturę wyższą od temperatury ciała. Że niby od tego robi się chłodniej. Warto spróbować.

– Sadysta – stwierdził Fedderman. – Laboratorium coś ustaliło na podstawie koperty?

– Nie, nie mamy absolutnie nic. Może poza nowym listem, który nam przysłał.

Fedderman przestał się nad sobą użalać i nachylił się z zainteresowaniem.

– Renz właśnie go przefaksował.

Fedderman ciągle jeszcze zdawał się nie mieć siły, żeby wstać, więc Quinn podniósł się z za biurka i podszedł do niego. Podał mu faks. Fedderman prawie przez minutę wpatrywał się

w zdawkowy wydruk, jak gdyby czekając na inspirację. Ta jednak nie nadeszła.

– Kobieta imieniem Róża? – stwierdził w końcu.

– Dość by to było oczywiste.

– Może odmiana róży... – powiedział Fedderman. – Może powinniśmy przyjrzeć się różom, które zostały nazwane na cześć kobiet. Może w ten sposób trafimy na trop następnej ofiary.

– Wydawało mi się, że wspominałeś coś o zlasowanym mózgu.

– Może mówiłem, już nie pamiętam – stwierdził Fedderman. – Ten kompozytor... jak on się nazywał... Cole Porter. On chyba nazwał różę na cześć swojej żony.

– Chyba tak – przyznał Quinn – ale nic więcej nie wiem.

– Internet! – rzucił Fedderman.

Zanim Quinn zdążył wrócić do swojego biurka, Fedderman już włączał komputer.

Po trzydziestu minutach dysponowali już listą ponad dwudziestu gatunków róż, które zostały nazwane na cześć kobiet. Znajdowała się wśród nich *Linda Porter*, która zawdzięczała nazwę żonie Cole'a Portera, a także *Betty Boop*, *Helen Traubel* oraz *Charlotte Armstrong*. W trakcie internetowych poszukiwań Quinn wpadł też na inny pomysł. Trafił na fragment z *Romea i Julii* Szekspira: „To, co zwiemy różą, słodko pachniałoby pod każdym innym imieniem”<sup>3</sup>. Czyżby kolejna ofiara Rzeźnika miała mieć na imię Julia? Zapytał Feddermana o zdanie i ten się z nim zgodził, że Julie mogą znajdować się w niebezpieczeństwie.

– Czy zatem powinniśmy je wszystkie przestrzec? – zastanawiał się Fedderman. – Wszystkie Julie i wszystkie inne kobiety noszące te same imiona co róże?

Quinn wpatrywał się w długą listę gatunków. Zastanawiał się nad tymi wszystkimi Lindami, Betty, Charlottami, Annabellami, Soniami i Michelle... W pewnym momencie stwierdził nawet, że ma na liście różę noszącą imię Juliet. Mało tego, *Sweet Juliet*. Powiedział o tym Feddermanowi.

– No nie wiem – stwierdził ten, przeglądając tę samą listę. – Wygląda na to, że nie ma takiej kobiety, której imieniem nie nazwano by róży. Mnie do gustu przypadła Starina. Brzmi trochę jak imię dla striptizerki.

– Powinniśmy opublikować ten list, żeby jak najwięcej ludzi się o nim dowiedziało. Pewnie nie byłoby źle, gdyby media podały te wszystkie nazwy do wiadomości.

– Sądzę, że tego właśnie spodziewa się po nas Rzeźnik – stwierdził Fedderman. – Chodzi mu o to, żeby wystraszyć jak najwięcej kobiet.

Quinn uznał, że partner ma prawdopodobnie rację. Tak czy owak, powinni to zrobić.

– Zadzwoń do Renza – stwierdził. – On lubi organizować konferencje prasowe, szczególnie jeśli można odmówić zadawania kolejnych pytań i ostentacyjnie wyjść.

– Ona może już nie żyć – stwierdził Fedderman ze smutkiem w głosie, spoglądając znowu na listę. – Starina, Elle, Carla, Dainty Bess.

– Chryste! – stwierdził Quinn. – Dainty Bess.

Wybierając numer do Renza, usłyszał jeszcze słowa Feddermana:

– Ciekawe, czy w ogóle jakaś kobieta ma na imię Starina.

3 Fragment w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

## Rozdział 38

– Gertrude Stein – powiedziała Pearl, gdy odebrała komórkę i Queen powiedział jej o ostatnim liście Rzeźnika. Pędziła samochodem, usiłując nadrobić czas stracony w korku, który utworzył się z powodu budowy przy Lexington Avenue.

Quinn wreszcie skojarzył.

– Chryste, Pearl! Od razu mogliśmy na to wpaść.

– To ona napisała, że róża jest różą, jest różą.

– Wiem. Ten psychol zabije Gertrude. – Zastanawiał się, czy istnieje róża imieniem Gertrude.

Warto by to sprawdzić.

Trzymając kierownicę jedną ręką, Pearl ominęła furgonetkę z meblami.

– Nie byłabym taka pewna. Jest cała masa innych możliwości, na wiele pewnie nawet nie wpadliśmy.

– Ta mi się podoba, Pearl. To jest takie nie do końca jasne, a on chyba chce, żeby tak właśnie wyglądały te jego wiadomości. Cieszę się, że na to wpadłaś.

Choć tego nie chciała, poczuła dumę. I coś jeszcze. Wprawdzie teraz w jej życiu prywatnym główną rolę odgrywał Jeb, ale Quinn nadal potrafił ją poruszyć. Jak się z kimś mieszkało i sypiało, to ten ktoś na zawsze pozostawia w nas cząstkę siebie. Może zresztą nie chodziło tylko o Quinna. Pearl zastanawiała się, czy to przypadkiem nie ma jakiegoś związku z Lauri.

Pomyślała nawet, że powinna powiedzieć mu o tym, że jego córka chodzi za nią pomimo jednoznacznego zakazu, ale zaraz doszła do wniosku, że to nie czas ani miejsce na to. Taka rozmowa powinna się odbyć w innych okolicznościach.

– Podjeżdżam pod Pepper Tree, spotykam się tam z Ellą Oaklie – powiedziała. – Muszę kończyć.

Schowała komórkę do kieszeni swetra i zastawiła źle zaparkowany samochód, po czym wysiadła i za pomocą odznaki przegoniła palanta, który czekał na kogoś w strefie wyładunku. Gdy odjechał, zajęła jego miejsce. Położyła na desce rozdzielczej tabliczkę z literami NYPD na wypadek, gdyby jakiś cywil nie potrafił odczytać tych niewidocznych liter, którymi wypisano na nieoznakowanym radiowozie słowo „Policja”.

Weszła do względnie chłodnej i ciemnej restauracji. Na kolorowej ławeczce tuż za drzwiami zobaczyła zupełnie zwyczajną kobietę około trzydziestki, z włosami w kolorze brudnego blondu. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej i spojrzała na nią z wyrzutem, zupełnie jakby siedziała już całe wieki w poczekalni u lekarza, a Pearl miała ją w końcu zabrać do jakiegoś małego pokoju i wsadzić jej termometr do ust. Pearl się uśmiechnęła, więc Ella Oaklie z wyraźną ulgą na twarzy wstała z ławki, żeby się przedstawić. *No to mam przed sobą kogoś*, pomyślała Pearl, *kto nieraz się nie doczekał na umówione spotkanie*.

Zaprowadzono je do stolika na tyłach restauracji, prawie w rogu. Pearl się cieszyła. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchiwać ich rozmowę, więc nic nie powinno im przeszkadzać. Ella zamówiła wódkę z martini jako aperitif, Pearl zaś postawiła na wodę Pellegrino. Dobrze się zapowiadało. Może alkohol rozwiąże trochę Elli język.

– Czyli byliście z Marilyn przyjaciółkami ze studiów? – zapytała Pearl.

– Mieszkałyśmy razem na pierwszym roku, więc pewnie można tak powiedzieć. Nie

widziałyśmy się od lat. Nie wiem, na ile będę pani w stanie pomóc, ale chciałabym zrobić wszystko, żeby pomóc złapać tego drania, który ją zabił. – To, co mówiła, brzmiało szczerze, mimo że w jej głosie nie było gniewu.

– Takie rozmowy dają nam możliwie pełne rozeznanie na temat życia ofiary – wyjaśniła Pearl. – Czasami naprowadzają na towarzystwo, w jakim się obracała, a nawet udaje się trafić na konkretną, poszukiwaną przez nas osobę.

Ella pokazała proste, ale bardzo wydatne uzębienie. Jej dentysta pewnie robił, co mógł, ale na niewiele się to zdało.

– Tu się może pojawić pewien problem. Ta Marilyn Nelson, którą znałam, lubiła bardzo różnych ludzi. Była otwarta i życzliwa, żeby nie powiedzieć egalitarna w swoim stosunku do innych. Właściwie chyba nie znam nikogo, kto by nie czuł do niej sympatii. Zawsze sądziłam, że będzie się zajmować sprzedażą albo PR, ale ona się trzymała tego swojego projektowania.

– Dobrze się uczyła?

– Zaliczała się do najlepszych studentów. Była piękna i mądra. Gdybyśmy razem nie mieszkały i się nie przyjaźniły, to pewnie bym jej zazdrościła.

Ha! – pomyślała Pearl. Zazdrość potrafiła rozpoznać na kilometr.

– A przypomina sobie pani, żeby brała narkotyki?

Pearl nagle dostrzegła w oczach Elli dobrze znany niepokój, który często pojawiał się na dźwięk tego słowa. Jej rozmówczyni uzmysłowiła sobie, że ma przecież do czynienia z policjantką.

– Nie na poważnie – powiedziała, bez wątpienia ważąc słowa.

– To się już dawno przedawniło – zapewniła ją Pearl z uśmiechem, po czym jeszcze mrugnęła. – A poza tym każdy z nas był kiedyś młody. – Dołączyć do spisku to technika, której nauczył ją kiedyś Quinn.

Zadziałało. Ella najwyraźniej się rozluźniła.

– No dobrze. Paliłyśmy czasem trawę, czasem brałyśmy jakieś dopalacze podczas nauki do egzaminów, ale na pewno nie można by nazwać Marilyn narkomanką.

– Czy wspominała cokolwiek o narkotykach, kiedy spotkałyście się tutaj na krótko przed jej śmiercią?

– Nie, w ogóle. Nawet nie piła. Zamówiła pellegrino, tak jak pani.

– To o czym rozmawiałyście?

– O takich tam zwykłych sprawach. O tym, że czas płynie, o starych znajomych, potem o ciuchach, o jej pracy. W tym przypadku to akurat jeden i ten sam temat. Z dużym entuzjazmem opowiadała o tym, że zajmuje się projektowaniem nowego sklepu, który ma tu powstać, no i o ubraniach Rough Country. Miała nawet na sobie dzinsy, koszulę i kurtkę w stylu western, chyba żeby mi zaimponować.

– Udało jej się?

– Pewnie.

– Chciała pokazać, że się jej powiodło?

– Pewnie tak. Ja na jej miejscu też bym próbowała.

Podano im drinki. Przy okazji obie zamówiły sałatki – Ella dlatego, że wiecznie pozostawała na diecie, a Pearl z powodu tego knysza, który zdążyła już zjeść.

– Trochę defensywnie pani o niej opowiada – stwierdziła Pearl, gdy kelner odszedł.

Ella wzięła łyk martini i wzruszyła ramionami.

– Lubiałam ją. Poza tym, Boże świąty, została zamordowana. Chodzi mi o to, że nie bezceściłabym jej pamięci, nawet gdybym jej nie lubiła.

– Ale pani ją lubiła.

– Oczywiście. Trzeba by się naprawdę dobrze postarać, żeby znaleźć kogoś, kto jej nie lubił.  
– Dużo opowiadała o pracy i ludziach, których tam spotykała?  
– O pracy mówiła sporo, ale o ludziach nie. Chyba była tu w Nowym Jorku raczej sama, jeśli nie liczyć tego drugiego sklepu w Queens czy gdzieś. Mieszkała tu zresztą na tyle krótko, że raczej nie zdążyłaby sobie narobić wrogów.

– W tym mieście można zginąć za to, że się dziwnie na kogoś spojrzy – stwierdziła Pearl.

– No tak, ale nie w taki sposób jak Marilyn... – Ella wzięła kolejny łyk martini. – Chryste! To okropne! – Spojrzała na Pearl. – Pani to widziała na własne oczy, co ten potwór jej zrobił! Pani to nie prześladowuje?

– Prześladowuje i zawsze będzie prześladować – wyznała Pearl bez oporów, aby skłonić kobietę do szczerości. To kolejna technika, której nauczyła się od Quinna.

– No i to się stało tylko kilka przecnic stąd – powiedziała Ella. – W normalnym świecie.

– Dlatego to takie straszne – dodała Pearl. – To zawsze dzieje się w normalnym świecie.

– Pani jako policjantka powinna być do tego przyzwyczajona.

– No cóż, widuję takie rzeczy częściej niż większość ludzi. Ale choćby się widziało tego nie wiadomo ile, to się nadal będzie przeżywało. Za tymi wszystkimi ścianami i oknami dzieją się czasami rzeczy zupełnie niewyobrażalne. W dodatku dzieją się każdego dnia.

Większość czasu, jaki upłynął im na jedzeniu sałatki, Ella poświęciła najwyraźniej na refleksję nad tym stwierdzeniem. Obie cnotliwie zrezygnowały z deseru i wtedy Pearl zauważyła, że coś się zmieniło w oczach Elli. Dostrzegła za plecami Pearl coś, co ją mocno zdziwiło.

Pearl się odwróciła i stwierdziła, że do stolika zbliża się Jeb. Uśmiechnął się i przywitał z Pearl, a następnie skinął głową Elli.

– Wszedłem i cię wypatrzyłem – powiedział do Pearl, kładąc jej lekko dłoń na ramieniu. – Chciałem ci tylko dać znać, że już jestem. – Odwrócił się. – Widzę, że jesteś w pracy. Siadę sobie przy stoliku z przodu i porozmawiamy, jak skończycie.

– Czy my się już nie poznaliśmy? – zapytała Ella.

On przyjrzał jej się uważnie.

– Chyba nie. Jestem Jeb Jones.

– Ella Oaklie.

– Przykro mi, ale nie kojarzę. – Uśmiechnął się do niej promiennie. – Teraz się znamy. Nie spiesz się – rzucił jeszcze do Pearl.

Pearl stwierdziła, że nie zamierza. Odprowadziła go wzrokiem przez restaurację. Przyglądała się też Elli, która uważnie się w niego wpatrywała.

– Wydawało mi się, że to ten sam facet, którego widziałam z Marilyn na dwa tygodnie przed tym, jak zginęła. – Zmarszczyła się. – Chociaż teraz, jak mu się przyglądam, to dochodzę do wniosku, że to pewnie tylko ten sam typ.

– Widziała go tam pani?

– Pod jej mieszkaniem.

Jeb zabrał Marilyn Nelson kilka razy na randkę, ale twierdził, że aż do czasu pierwszej rozmowy z Pearl nie miał okazji być w jej mieszkaniu.

– Właśnie razem wychodzili, kiedy ich spotkałam – powiedziała Ella. – Rozmawialiśmy przez chwilę, a potem chciałam się pożegnać, ale Marilyn nalegała, żebym poszła z nimi na drinka. Uznałam, że to by było dziwne, więc odmówiłam. Wtedy ten facet zaczął nalegać. Powiedział, że przecież jesteśmy starymi przyjaciółkami i na pewno mamy wiele tematów do omówienia, a ona nam tylko będzie przeszkadzać. Potem się pożegnał i sobie poszedł. To było bardzo miłe z jego strony.

Pearl odłożyła widelec, którym się bawiła.

– Tak. – Ella przygryzła dolną wargę. – Staram się przypomnieć sobie jego nazwisko, ale na pewno nie nazywał się Jeb Jones. – Nagle rozpromieniała. – Joe! Właśnie tak. Joe jakiś tam. Joe Grant! Więc to nie mógł być on. – Spojrzała w kierunku przedniej części restauracji. – To znaczy to nie mógł być ten pani przyjaciel.

Pearl ostentacyjnie zanotowała sobie nazwisko.

– Bardzo dobrze – powiedziała.

– A czy on jest podejrzany?

– Niekoniecznie. Marilyn Nelson była atrakcyjną kobietą. Na pewno miała licznych wielbicieli. Większość ofiar Rzeźnika to były atrakcyjne kobiety. Mężczyzn, którzy się z nimi spotykali, jednego za drugim usuwamy z listy podejrzanych. Czy Marilyn i ten Joe Grant sprawiali wrażenie dobrych znajomych?

– Nieszczególnie, w każdym razie nie w tym sensie, o jaki pani chodzi.

– Ale sądzi pani, że byli więcej niż tylko znajomymi?

– Niewykluczone, chociaż tego nie mogę być pewna. Ten pani przyjaciel, Jeb... Ma w sobie coś takiego, co mi przypomniało o tamtym Joem, inaczej w ogóle bym o nim nie pomyślała. – Spojrzała na Pearl znad menu deserowego, którym obie wcześniej postanowiły wzgardzić. – Pani i ten Jeb jesteście dobrymi znajomymi, zgadza się?

Pearl się uśmiechnęła.

– Ma pani szósty zmysł.

A to z kolei oznaczało, że Ella trafnie odczytała rodzaj relacji łączącej Marilyn Nelson i Joego Granta, kwalifikując ją do kategorii „nic poważnego”. Pearl postanowiła nie mówić Elli, że Jeb też się umawiał z Marilyn. Właściwie nie było to takie dziwne, że trochę są do siebie podobni. Marilyn, jak wiele innych kobiet, lubiła widocznie określony typ mężczyzn.

Nagle Pearl uświadomiła sobie, że może podchodzi do sprawy od niewłaściwej strony. Rzeźnik wybierał na swoje ofiary określony typ kobiet, ale przecież mogło się też okazać, że udaje mu się do nich zbliżyć, ponieważ sam jest w ich typie.

Ella spojrzała raz jeszcze w stronę stolika, przy którym Jeb siedział sam ze swoim piwem.

– Jak się tak nad tym zastanowić, to nie są znowu aż tak podobni. Tylko jak Jeb wszedł, to pomyślałam, że to Joe, i jakoś mnie to poruszyło.

– Mnie też – powiedziała Pearl. *Mnie też.*

## Rozdział 39

*Harrison County, Floryda 1980*

- Co tam z nim? – zapytał Cree przez ramię, zręcznie operując podskakującą kierownicą.
- Nic nie mówi! – krzyknął z tyłu furgonetki Boomer przez dziurę po szybie.

Stary pikap marki Dodge grzechotał na bagiennym szlaku, który w końcu się rozszerzał i łączył z Palmetto Road. Cree siedział w kabinie sam, zmagając się ze śliską od potu kierownicą. Boomer pilnował na zardzewiałej pace chłopaka i martwego aligatora. Komarom chyba nie przeszkadzało, że samochód się porusza. Niczym wprawni piloci myśliwców potrafiły uwzględnić siłę i kierunek wiatru, żeby konsekwentnie nękać ich obu. Boomer zabił natrętnego owada na swoim zroszonym potem przedramieniu, drugiego zaś zdjął chłopakowi z policzka.

Bagno przed ciężarówką tonęło w silnym świetle, które padało nie tylko z przednich reflektorów, ale również z rzędu lamp zainstalowanych na dachu i ruchomych szperaczy znajdujących się na błotnikach. Cree i Boomer, kłusownicy, najpierw paraliżowali swoją zdobycz jasnym światłem, a potem w jednej chwili zadawali jej śmierć. Aligatory wykazywały się pewną przemyślnością w całej swej głupocie i nie zawsze zamierały w bezruchu w zetknięciu z nagłym blaskiem, w przeciwieństwie do innych stworzeń zamieszkujących bagna. Bo Cree i Boomer czasami spotykali tu jelenie, oposy albo rysie, raz też zdarzyło im się trafić na panterę. Cree wystrzelił co prawda do kota ze swojej strzelby kalibru dwanaście, ale pantera czmychnęła w gęste listowie porastające brzeg i zniknęła w mroku. Jeśli to faktycznie była pantera, jak się zarzekał Cree. Boomer twierdził, że mu wierzy, ale tak naprawdę to nie był do końca pewny, co widzieli. Na bagnie różnie to bywało. Ono potrafi człowieka oszukać, dając mu fałszywe poczucie pewności siebie, a potem biorąc zupełnie z zaskoczenia.

Na przykład tak jak tego wieczoru.

Mniej więcej po godzinie spędzonej na bagnie wycelowali w aligatora i oddali strzał. Cielsko zapadło się pod wodę, zupełnie jak gdyby nie oberwało. Mogło się oczywiście zdarzyć, że obaj chybili, ale było to raczej mało prawdopodobne. Poza tym strzelali ze strzelb kalibru dwanaście, a zamiast śrutu zastosowali normalne ołowiane kule, które zwykle zatrzymywały każde zwierzę bez względu na to, gdzie zostało trafione. Gdy wytropili drugiego aligatora, wielkiego stwora, który leżał teraz na tyle furgonetki, żaden z nich w pierwszej chwili nie zauważył chłopaka. Nagle Cree poczuł, że Boomer kładzie mu rękę na ramieniu, żeby powstrzymać go przed strzałem.

- Ma coś w paszczy!
- I co z tego?

Boomer mrużył oczy w ciemności, w której korzenie drzew przyćmiewały światło padające z samochodu.

- Cokolwiek to jest, jeszcze żyje. Jeszcze się rusza.
- Woda się poruszyła. Cree skupił wzrok i też coś dostrzegł.
- Myślisz, że to jeleni?
- A tam, jeleni – rzucił Boomer. – Wygląda jak dzieciak.

– Matko święta, masz rację – powiedział Cree, nieco zaskakując Boomera, gdyż ten nigdy nie miał swojego kompana za osobę szczególnie religijną.



Obaj ruszyli przez ciemną wodę w stronę aligatora, trzymając broń wysoko w górze. Boomerowi zaparło dech w piersiach.

– Jeszcze nie strzelaj – powiedział Cree. – Musimy podejść bliżej, żeby na pewno nie trafić tego dzieciaka.

Rzeczony dzieciak, kościsty dziesięciolatek – Cree miał siostrzeńca w tym wieku – najwyraźniej ich nie widział. Dostrzegli jego bladą twarz i wybałuszone oczy, w których tliło się jeszcze życie. Poza nogą, za którą trzymał go aligator, ciągle ruszał pozostałymi kończynami, chociaż jakby tylko delikatnie nimi falując. Boomer pomyślał, że wygląda to tak, jakby chłopakowi nie przeszkadzało, że znalazł się w szczękach stwora. Walczył ze swoim ślepy m losem jakby automatycznie, jakby poddał się już biegowi wydarzeń i przestał się bać.

Cree i Boomer podeszli na tyle blisko, że mogli się dobrze przyjrzeć wielkiemu aligatorowi. Poruszali się powoli i po cichu, idąc z boku, żeby ułatwić sobie oddanie strzału. Obaj spojrzeli na lufy swoich strzelb.

Bagno rozbrzmiało łoskotem wystrzałów. Cree miał broń dwulufową, więc oddał dwa strzały jeden za drugim. Boomer miał tak zwaną pompkę i wystrzelił tylko raz, ale za to skutecznie. Był przekonany, że to właśnie jego pocisk trafił aligatora w głowę. Potem oddał jeszcze jeden strzał, który okazał się niecelny i wzbudził jedynie fontannę wody.

Chłopak znieruchomiał, a Cree modlił się do Jezusa, żeby się tylko nie okazało, że dostał. W przeciwieństwie do większości gadów po zarobieniu kulki kalibru dwanaście wielki aligator się nie szamotał, za to puścił chłopaka. W sumie dobrze się złożyło. Mógł bowiem w śmiertelnym spazmie mocniej zacisnąć szczęki.

Gad nagle trzepnął ogonem, spieniając czarną wodę, i zaraz potem odwrócił się na plecy. W ciemnościach zajaśniał jego biały brzuch.

Obaj mężczyźni ruszyli przez wodę po chłopaka. Wpatrywał się przed siebie nieobecny wzrokiem, najwyraźniej zagubiony gdzieś w odmętach własnego umysłu. Podciągnęli dziecko w kierunku suchego lądu. Boomer spojrzął za siebie i stwierdził, że aligator znowu dryfuje brzuchem do dołu. Przeszył go dreszcz niepokoju na myśl o tym, że zwierzę może żyć. Po dziesięciu sekundach wpatrywania się w gada uznał jednak swe obawy za bezpodstawne. Wszedł ponownie do wody i wpakował mu z bliska w łeb jeszcze jedną kulkę, ale wtedy zobaczył, że zwierzę już dawno zdechło. Ciężki pocisk trafił je prosto w oko, pozostawiając po sobie czarną, ziejącą dziurę, w której Boomer dostrzegł tyle samo wyrazu, ile w oczach chłopaka.

– Noga wygląda fatalnie – stwierdził Cree, gdy położyli chłopaka na ziemi obok furgonetki.

Boomer zdjął koszulę i porwał ją na strzępy. Opatrzył ostrożnie dzieciaka, a z kawałka grubej liny, którą znalazł na pace, zrobił opaskę uciskową. Wiedział, że będzie ją musiał od czasu do czasu luzować, żeby dopuścić do kończyny trochę krwi, bo inaczej chłopak mógłby ją stracić.

Postanowili zabrać aligatora na mięso i skórę. Najpierw wtaszczyli na furgonetkę jego zwaliste cielsko, a potem ostrożnie położyli obok dzieciaka. Boomer wspiął się po tylnym zderzaku i zajął miejsce na pace tuż za kabiną. Miał zamiar doglądać chłopaka i pilnować, żeby nie uderzał głową w twarde stalowe elementy. Nie mieli nic miękkiego, na czym mogliby go położyć.

Aligator był tak wielki, że zardzewiałą klapę z tyłu musieli pozostawić otwartą, a podczas jazdy po nierównej drodze Cree cały czas miał wrażenie, że przód samochodu samoczynnie unosi mu się nad ziemię. Po jakichś dwudziestu minutach zatrzymali się przy ledwie widocznym wąskim i piaszczystym podejździe, który prowadził do chaty Boomera, gdzie zwykle patroszyli i skórowali łupy. Sprawnie ściągnęli aligatora z furgonetki i zostawili dokładnie tam, gdzie spadł,

w pobliżu topornego drewnianego dźwigu, którego potem użyją, żeby go podnieść. Boomer wgramolił się z powrotem na pakę i usiadł obok chłopaka, Cree tymczasem zawrócił auto i ruszył z powrotem szlakiem prowadzącym do bagna. Po drodze Boomer wypytywał dzieciaka o nazwisko albo próbował dowiedzieć się, skąd się wziął, ale mały się nie odzywał. Najwidoczniej był w szoku. I kto by mu się dziwił – uznał mężczyzna...

Nie mieli pojęcia, dokąd mogliby zabrać tego chłopaka, żeby nie wzbudzić podejrzeń i uniknąć tłumaczeń, co robili w nocy na bagnach i cóż, u licha, chwyciło go za nogę. Zresztą tego ostatniego nietrudno się było domyślić. W końcu musieliby się tłumaczyć przed przedstawicielami prawa. A ani Cree, ani Boomer nie mieli na to ochoty. Nie rozmawiali o tym, ale każdy z nich intensywnie szukał rozwiązania.

– Doktor Macklin! – krzyknął Cree z kabiny.

Na co Boomer odparł:

– Jedź!

Doktor Macklin nazywała się tak naprawdę Jerry Macklin – zupełnie jak facet, tylko że była kobietą, a do tego czarnoskórą. Podobno kiedyś prowadziła zupełnie normalną praktykę gdzieś na cyplu, ale musiała z niej zrezygnować z powodu śmierci jakiegoś obcego faceta. Teraz leczyła ludzi, wykorzystując zioła, mazidla i inne medykamenty dostępne na bagnach. Może nie było to zgodne z nauką, ale doktor Macklin zyskała prawdziwą sławę dzięki swym licznym sukcesom.

Gdy dojechali do jej domku na obrzeżach miasteczka, ostrożnie zdjęli chłopaka z furgonetki i ułożyli przy drzwiach na drewnianym ganku. Boomer pogłaskał go po chłodnym czole. Cree spojrzął i się przeżegnał. Wtedy Boomer uderzył w drzwi wielką pięścią i obaj pospiesznie wskoczyli do furgonetki i zawrócili, po czym zostawili za sobą tylko tumany kurzu i żwiru. Pędzili w kierunku chatki Boomera, gdzie czekał już na nich martwy aligator.

W walącej się zaś chatce doktor Macklin leżała odurzona swoimi potężnymi specyfikami, leczącymi głęboki smutek, i niczego nie słyszała.

Sherman obudził się tuż przed świtem. Nie wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje. Powoli wstał, ale zaraz potem znowu się przewrócił. Stwierdził, że coś jest chyba poważnie nie tak z jego prawą nogą. Chwyciwszy się na barierki ganku, ponownie podciągnął się do pionu. Czuł pulsowanie w nodze, ale ponieważ nauczył się już, czym jest ból, potrafił go od siebie odsunąć. Spojrzął w dół i zobaczył zakrwawione, prowizoryczne bandaże, a także kawałek liny owiniętej wokół uda. Skąd to się wzięło? Kto go tu przywiózł? Rozluźnił węzeł i odrzucił sznur na bok. Noga przestała tak bardzo boleć, ale za to z dziur zaczęła się sączyć krew. Brakowało fragmentów mięśni. Co się stało z jego nogą?

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Zeskoczył z ganku i pokuśtykał w stronę piaszczystej drogi. Słońce właśnie wstało i z niedużej wysokości rzucało promienie na bagno i na twarz Shermana. Kroczył z trudem w kierunku tego ciepła, nie mając pojęcia ani dokąd, ani po co idzie. Wiedział tylko, że musi się przemieszczać. Jeśli przestanie, coś go może dopaść. W pobliżu czyhało na niego coś groźnego, coś strasznego i bardzo realnego.

Poczuł w nodze nagłe ukłucie. O mało co się nie przewrócił. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić. Musiał zachować pionową pozycję. Musiał się przemieszczać.

Kuśtykając, powoli przesuwiał się więc po piaszczystej drodze. Musiała dokądś prowadzić. Wszystkie drogi prowadzą dokądś.

Wraz ze słońcem podnosiła się też temperatura. Sherman szedł, bo wiedział, że musi iść. Oddalał się od drewnianego ganku, na którym się obudził, od tego wszystkiego, co było za nim. Szedł, chociaż kręciło mu się w głowie i chociaż każde kolejne uderzenie serca było źródłem

bólu. Nie zastanawiał się, dlaczego to robi. Wiedział tylko, że musi. To był jego prosty i oczywisty obowiązek, jego jedyna szansa i jego zbawienie.

Głęboko w kościach czuł, że dokądkolwiek dotrze, będzie mu tam lepiej niż w miejscu, które zostawia za sobą. A zostawił za sobą rzeczy tak straszne, że jego pamięć je przed nim schowała i zakopła głęboko w studni jego umysłu.

## Rozdział 40

*Nowy Jork, czasy obecne*

Gdy Ella opuściła Pepper Tree, Pearl podeszła do stolika Jeba. W tej części restauracji, bliżej wejścia, było jaśniej i można było obserwować ulicę.

Uniósł wysoką elegancką szklankę z okrągłego podstawka z zielonym zarysem drzewa i nazwą restauracji i pociągnął łyk piwa.

– Wystraszyłeś moją znajomą – powiedziała, zajmując miejsce naprzeciwko niego.

Uśmiechnął się.

– Chyba twojego świadka.

– Teoretycznie nie, bo nie miała nic wspólnego z samym morderstwem. Znała tylko ofiarę.

– Wydałem jej się znajomy, co? Pewnie o to ci chodzi. Często mi się zdarza, że ludzie z kimś mnie myślą. Musi chodzić o moją twarz. Może powinienem zostać szpiegiem...

– Twoja twarz mi się podoba – oznajmiła Pearl.

Gdy podeszła do nich koścista kelnerka, która zachowywała się raczej nieśmiało i składała dłonie jak do modlitwy, Pearl powiedziała, że nie zamierza nic jeść, ale poprosi o kolejną szklankę pellegrino. Zdawała sobie sprawę, że słowo „kelnerka” to wyraz braku poprawności politycznej, ale biała bluzka i fartuch w żółtą kratę kojarzyły jej się nieodmiennie z obrazkami Normana Rockwella i latami pięćdziesiątymi. Przyglądała się, jak kobieta w fartuchu od nich odchodzi, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło coś na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała do Jeba. – Zaraz wracam.

Jeb obserwował, jak idzie prosto przez ulicę w kierunku dziewczyny w workowatej czerwonej bluzce i džinsach. Dziewczyna ją zauważyła i przez moment sprawiała wrażenie, jak gdyby zamierzała rzucić się do ucieczki. Potem jednak najwyraźniej zmieniła zdanie, bo stanęła przodem do Pearl z założonymi rękami i ujęła łokcie w dłonie, jak gdyby dokuczał jej chłód. Rozmawiały przez chwilę, a później Pearl się odwróciła, pomachała jeszcze do niej i przeszła między samochodami w stronę Pepper Tree. Dziewczyna ruszyła za nią, chociaż Pearl chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Zorientowała się w sytuacji, gdy usiadła przy stoliku, a Lauri stanęła nad nią. Na jej twarzy raczej nie malował się gniew, ale determinacja – bardzo charakterystyczna dla Quinna.

– Prosiłam cię, żebyś za mną nie chodziła – oświadczyła Pearl – a już w szczególności żebyś nie przychodziła za mną tutaj.

– Chciałam się tylko upewnić, że dobrze mnie zrozumiałeś. Powiedziałam ci, że cię nie szpieguję – stwierdziła Lauri.

– Chodzi za mną jak cień krok w krok, obserwując mnie z ukrycia – zwróciła się Pearl do Jeba. – Czy to się twoim zdaniem kwalifikuje jako szpiegowanie?

Jeb spojrział na dziewczynę – młodą i atrakcyjną blondynkę o krótkich włosach z malutkim błyszczącym kolczykiem w nosie.

– Muszę stwierdzić, że to było szpiegowanie – powiedział z uśmiechem. – No chyba że sprzedajesz prenumeratę gazet...

- Nie sprzedaję.
- No to co w takim razie robisz?
- Nazwałabym to nauką.
- Ona chce zostać gliną – wyjaśniła Pearl. Przedstawiła ich sobie, a oni wymienili uściski dłoni.

Chuda kelnerka wróciła z pellegrino. Postawiła butelkę i szklanę na stoliku, po czym spojrzała na Lauri i klasnęła w dłonie.

- Dla mnie nic – oznajmiła Lauri. – Ja tylko przeszkadzam.

Kelnerka utkwiała w niej zdziwiony wzrok.

– Usiądź – skapitulowała Pearl. Nie chciała, żeby doszło do awantury. Nie miała doświadczenia z nastolatkami. Miała natomiast przecucie, że ta sytuacja może się w każdej chwili wymknąć spod kontroli.

Lauri usiadła obok niej i spojrzała na kelnerkę, która nadal się w nią wpatrywała, ściskając dłonie w geście modlitwy.

- Zmieniłam zdanie. Poproszę to samo, co ona zamówiła.

Kelnerka uśmiechnęła się niepewnie i odeszła. Jeb za to uśmiechał się szeroko.

- Chyba się dobrze bawisz, co? – stwierdziła Pearl jednocześnie poirytowana i bezradna.
- Powinno ci to schlebiać, że ktoś taki cię śledzi – uznał Jeb.

Lauri się do niego uśmiechnęła.

– Dlaczego chcesz być policjantką? – zapytał, najwyraźniej zauroczony dziewczyną. Lauri potrafiła wciskać ludziom kit niemal tak samo wprawnie jak jej ojciec.

– Mój ojciec jest gliniarzem, no i Pearl też. W każdym razie był. Znowu jest. To chyba dwoje ludzi, których podziwiam.

Pearl nie mogła się nie poczuć doceniona, jednocześnie zrobiło jej się głupio, że próbowała zniechęcać Lauri. Twarz Jeba nadal promieniała rozbawieniem. Pearl z fascynacją obserwowała, jak szybko między Lauri a nim pojawił się wzajemny podziw. A może to wszystko było na pokaz? Specjalnie dla niej? Dwoje poszukiwaczy przygód kpi sobie z ostrożnej i profesjonalnej Pearl... Może w duchu się z niej śmieją... Uznała, że chyba jej się to nie podoba.

- A łamie jakieś przepisy? – zapytał Jeb.

– Przeszkadza w pracy policjantowi – powiedziała Pearl – a właściwie detektywowi z wydziału zabójstw.

- Rany! – skomentowała Lauri. – Przecież poszłam za tobą tylko na lunch.

– Podczas którego prowadziłam przesłuchanie potencjalnego podejrzanego.

– Strasznie jest przystojny jak na podejrzanego – powiedziała Lauri, szeroko uśmiechając się do Jeba.

– Nie chodzi o Jeba, tylko o tę kobietę, z którą się tu wcześniej spotkałam. Tę, która przed chwilą wyszła. Zresztą ona nie jest podejrzaną, tak samo jak on. Niestety w tej sprawie nie ma podejrzanego.

- Czyli teraz jecie lunch? To zwykłe towarzyskie spotkanie?

Pearl westchnęła.

- Można tak powiedzieć.

– Może się do nas przyłączysz? – zaproponował Jeb.

- Chętnie, jeśli tylko Pearl się zgodzi.

– Oczywiście – oświadczyła Pearl już pogodzona z losem. – Poddaję się. Obojgu wam nie dam rady, jak się przeciwko mnie sprzysięgniecie.

- Nie myślałaś kiedyś, żeby zostać dziennikarką? – zwrócił się Jeb do Lauri.

– Przyznam, że czasami mi się zdarza o tym myśleć. – Lauri jakby lekko zadrżała. – To takie

romantyczne.

Pearl uznała, że Lauri chyba szyje swoją intrygę nieco zbyt grubymi nićmi, ale Jeb zdawał się nie zwracać na to uwagi. *Pewnie warto wyciągnąć z tego wniosek. Chyba że Jeb usiłuje zależeć mi za skórę.*

Kelnerka wróciła z drugą butelką pellegrino. Lauri zamówiła omlet warzywny, a potem lody na deser. Przez cały posiłek czarowała Jeba, wyczuwała bowiem, że będzie potrafił przekonać Pearl do podjęcia się roli mentorki. Tak jej się przynajmniej wydawało. Pearl jednak nie zamierzała dać się na to nabrać. Tych dwoje nie rozumiało, na czym polega praca policjanta i jakie wiąże się z nią ryzyko. Nie rozumieli jej subtelnych aspektów.

Pearl nie odezwała się słowem, że zauważyła Robaczka, który garbił się w tej swojej bezościowości w jednej z bram po drugiej stronie ulicy i czekał, aż wyjdą z restauracji. Najwyraźniej podczas gdy Lauri śledziła Pearl, on chodził za Lauri. Może chciał ją chronić, a może upewniał się, czy dochowuje mu wierności. Tak czy owak, Pearl nie zamierzała z nim rozmawiać. Postanowiła pozostawić sprawy własnemu biegowi. Nie chciała mówić Quinnowi o tym, z jakim uporem Lauri za nią chodzi, żeby nie narobić jej kłopotów. Poza tym, gdyby Quinn się o tym dowiedział, na jaw wyszłyby również jej schadzki z Jebem, a Pearl ciągle jeszcze nie czuła się na to gotowa. Cóż może zaszkodzić Robaczek, skoro Lauri potajemnie skrada się za Pearl? Tych dwoje najwyraźniej połączyło gorące uczucie – a przynajmniej Robaczek żywił je do Lauri, skoro tak dzielnie za nią chodził. Może to on powinien przekonać dziewczynę, że powinna sobie poszukać innego sposobu na życie niż praca w policji. Choć w sumie było w tym sporo komizmu: Lauri nieumiejętnie śledziła ją, nie zdając sobie sprawy, że w tym samym czasie Robaczek chodzi za nią. Taka procesja dyletantów.

W odpowiednim momencie Pearl powie o wszystkim Quinnowi i będzie miał z tego niezły ubaw. Uśmieją się razem po pachy.

W odpowiednim momencie...

Tamtej nocy Pearl leżała w łóżku i nie mogła zasnąć. Wsluchiwała się w szum okiennego klimatyzatora, który prowadził mechaniczną walkę z upałem. Na tle niskiego, monotonnego dźwięku wyróżniały się odgłosy miasta, przytłumione i mniej intensywne z racji późnej godziny. Choć pewnie należałoby powiedzieć „wczesnej”. Pearl przeczuwała, że lada moment za oknem zacznie świtać. Ciemność między listewkami żaluzji przejdzie w szarość, która potem pojaśnieje na obrzeżach okien, by wreszcie ciepłe światło słoneczne mogło się wlać do środka. A wtedy Pearl, która sądziła, że od jedenastej udało jej się zmrużyć oko najwyżej na dwie minuty, będzie musiała wstać, wziąć prysznic i się ubrać.

Chciała sobie jeszcze poleżeć. Zastanawiała się, czy na pewno musi od razu podejmować tę walkę. Czy musi iść do łazienki, rozebrać się i połać bieżącą wodą. Dlaczego ludzie właściwie to robią? Jak w ogóle do tego doszło? Przecież musi istnieć lepszy sposób.

Odwróciła się na brzuch, poprawiła poduszkę i próbowała się nacieszyć ostatnimi chwilami w łóżku. Głowa jednak jej pękała.

Przypuszczała, że wie, co jej zmaciło sen. Chodziło o tę minę Elli Oaklie, której się wydawało, że rozpoznała Jeba w Pepper Tree. Sprawiała wrażenie absolutnie przekonanej, że to właśnie jego spotkała w towarzystwie Marilyn Nelson na krótko przed jej śmiercią. Pearl nie zgadzała się z Jebem w kwestii jego oceny własnej twarzy. To jednak mogło mieć związek z uczuciami, które do niego żywiła. Czy to możliwe, że Ella faktycznie spotkała Jeba? Jeba, który przedstawił się jako Joe Grant?

Pearl raz jeszcze uderzyła w poduszkę i powiedziała sobie, że chyba przesadza z tym

cynizmem. Właśnie dlatego odeszła z policji i została strażnikiem w spokojnym i sprawnie działającym banku, w którym wszyscy ludzie odnosili się do siebie uprzejmie, a wszystkie wartościowe przedmioty kryły się za metrowymi ścianami skarbcza. Banki to oazy spokoju i porządku. Czego z pewnością nie da się powiedzieć o szalonym zewnętrznym świecie, w którym ludzie giną straszliwą śmiercią właściwie bez powodu, w którym pytania zamiast odpowiedzi przynoszą tylko kolejne pytania, a nastolatki śledzą wypalonych gliniarzy realizujących niebezpieczną misję, ciągnąc za sobą po mieście ludzkie glizdy. Świecie, w którym zabójca może bez trudu zmienić tożsamość, zupełnie jakby zmieniał ubranie.

Pearl uznała, że najwyższa pora wyłączyć myślenie i włączyć prysznic. Wstała z łóżka i podreptała boso w kierunku małej łazienki. Po drodze zastanawiała się, czy w ogóle można przesadzać z cynizmem.

Sama sobie odpowiedziała, że tak. Jeb Jones i Joe Grant to muszą być dwie różne osoby. Odpowiedź na to pytanie musi brzmieć „tak”.

## Rozdział 41

*Bocanne, Floryda 1980*

Myrna siedziała w winylowym rozkładanym fotelu, który swoje już w życiu przeszedł, i wpatrywała się w migoczący ekran telewizora. Oglądanie telewizji w oddalonej od świata chatce nie należało do wielkich przyjemności. Wszystko, co niebieskie, przybierało zielony odcień, a skóra żółciła się, jakby każdy chorował na żółtaczkę. Z uwagi na dużą odległość od miasta Myrna nie mogła sobie zainstalować kablówki, a na nowoczesną telewizję satelitarną nie było jej stać. Stara antena, zainstalowana na dachu, szwankowała, odkąd kiedyś trafił w nią piorun. Swego czasu Sam się tam wspinał, żeby ją ustawić w kierunku sygnału, no ale przecież Sama już nie było. Ślad już po nim zaginał.

Nie było też Shermana.

Myrna postawiła puszkę z piwem na podłodze, po czym wstała z fotela i nie prostując się, zrobiła kilka kroków w stronę telewizora, żeby zmienić kanał i obejrzeć lokalne wiadomości.

Tak naprawdę, to na jakości obrazu jakoś szczególnie jej nie zależało. Interesowały ją informacje. A odbiornik działał na tyle, że mogła oglądać miejscowe kanały. Odkąd Sherman zniknął, zawsze oglądała wiadomości w południe i wieczorem.

Minął już prawie miesiąc od nocy, gdy ruszyła na bagno w pogoń za synem i posłała w ciemność przenikliwe światła szperacza – odkąd nawoływała go do powrotu, doskonale wiedząc, że na pewno ją słyszy. Ale Sherman nie odpowiedział. Od czasu do czasu wyłączała silnik auta, żeby nasłuchiwać, lecz na jej wezwania bagno odpowiadało pełną życia obojętnością. Strasznie to było frustrujące, niemal obraźliwe.

Sherman ją zaskoczył. Wychowywał się na bagnach i doskonale je znał, znał ich morderczy potencjał. Oczywiście wiedział również, co może go czekać, jeśli wróci do domu. Tyle że chłopcy w tym wieku nie myślą przecież logicznie. Nawet gdy już dała za wygraną i wróciła do domu, długo jeszcze na niego czekała. Spodziewała się, że głodny i przerażony pojawi się na ganku, otworzy drzwi i powie, że potrzebuje mamy. Ale Sherman ją zaskoczył, to nie ulegało wątpliwości. Minął już prawie miesiąc, odkąd uciekł. Na pewno nie żyje. Wolał odroczoną – choć przecież pewną – śmierć na bagnie niż z jej ręki.

Myrnę to zdumiało. Syn musiał przecież wierzyć, że istnieje choćby najmniejsza szansa, iż odwiedzie ją od tego zamiaru, że okaże mu litość. W końcu była jego matką. Tymczasem zaś stawił czoło rzeczywistości.

Tak czy owak, to jeszcze tylko chłopiec.

Za to chłopiec z jajami, pomyślała, nie bez odrobiny matczynej dumy. Popijała piwo i czekała, aż skończą się reklamy.

Myrna była człowiekiem, a Sherman był jej synem. I nawet jeśli czas nie leczy ran, to na pewno przynosi strupy. Myrna potrafiła teraz nie myśleć o Shermanie przez wiele dni z rzędu. W ciemnej wodzie bagien można zginąć na wiele nieprzyjemnych sposobów. Przez długi czas po jego ucieczce we śnie dręczyły ją różne wizje. Była jednak kobietą twardą i pragmatyczną. Tego wymagało od niej życie. Po upływie kilku tygodni spała już zupełnie dobrze. Nie miała przecież



innego wyboru, co zresztą często sobie powtarzała. To nie ona ustanowiła te zasady. To świat je ustanowił. Mężczyźni.

Rozsiadła się w fotelu z piwem w ręce i jak co dzień oglądała południowe wiadomości z Tamy. Tak bardzo weszło jej to w krew, że już właściwie nie pamiętała, po co to robi.

– Nawiązując do historii, którą relacjonowaliśmy już wcześniej... – powiedział głos w telewizorze. Na ekranie pojawiła się jedna ze stałych prezenterek programu, wyfiokowana blondynka o zażółconej cerze, która przesadzała zarówno z uczesaniem, jak i z makijażem. – ... ciągle jeszcze nie udało się ustalić tożsamości dziecka znanego jako chłopiec z bagien. Znalaziono go wczoraj, jak wędrował drogą w Harrison County. Stwierdzono u niego rany nogi, sądząc po śladach zębów, zadane przez zwierzę. Chłopiec nie miał przy sobie żadnego dokumentu i nadal się nie odezwał. Lekarze twierdzą, że poza obrażeniami nogi sprawia wrażenie fizycznie zdrowego, choć pogrążonego w szoku. Mają nadzieję, że już wkrótce się przedstawi, powie coś o sobie – prezenterka zrobiła poważną minę i nachyliła się w stronę kamery – i o tym, co mu się przydarzyło.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie chłopca z bagien. *Sherman*. Włosy miał długie i poplątane, twarz wychudłą, a oczy jakby zdziczałe, ale to był on.

Myrna odstawiła piwo na podłogę i oparła się w fotelu. Zamknęła oczy i wbiła paznokcie w winylowe podłokietniki. Nie mogła już patrzeć na ten ekran.

Harrison County. Trzydzieści kilometrów stąd. Boże! Jakoś przetrwał, jakoś przeżył sam na bagnach. Przez cały ten czas...

Nie wie, jak się nazywa. Nie pamięta. Ale przecież sobie przypomni. Lekarze podadzą mu jakieś leki. Zahipnotyzują go. Przypomni sobie. Zacznie mówić.

Myrna poczuła nagły przypływ paniki. Wstała z fotela.

Potem zaczerpnęła głęboko powietrza i poczekała, aż tętno jej się uspokoi. Sięgnęła po piwo i dopiła dużymi łykami. Nie sądziła, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale jednocześnie cały czas na niego czekała. To był cud, że ktokolwiek, a co dopiero dziewięcioletek, zdołał przeżyć noc na bagnie. Tymczasem najwyraźniej Sherman urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Sam Pickett często mówił, że Sherman nie jest zwykłym dzieckiem, że jest mądry, bardzo mądry.

*Będzie wiedział. Przypomni sobie. Zacznie mówić.*

Myrna wiedziała, co musi zrobić. Wyłączyła telewizję, poszła prosto do sypialni i zaczęła się pakować.

Zanim na podstawie zdjęcia ustalono tożsamość Shermana i zanim w domu Myrny pojawili się przedstawiciele władz, jej już tam dawno nie było. Przyjęto założenie, że stało jej się coś złego – że została zamordowana, zaginęła albo poniosła śmierć na bagnach. W tych okolicach często się zdarzało, że ciała zaginionych pośród mokradeł nigdy nie udawało się odnaleźć. Myrna została więc bohaterką kolejnej krótkiej opowieści, kolejnej nierozwiązanej tajemnicy. Nie ona pierwsza mieszkała na skraju przepastnej ciemności i nie ją pierwszą ta ciemność pochłonęła.

W kolejnych latach żyjąca w bezpiecznym miejscu pod pseudonimem Myrna będzie śledzić w gazetach i telewizji losy chłopca z bagien, który w końcu został zidentyfikowany i zaczął mówić. Przytoczona przez niego historia o tym, jak to wyszedł pewnego dnia z domu na ryby i się zgubił, nie do końca odzwierciedlała rzeczywistość. Ale Myrna nie potrafiła rozstrzygnąć, czy Sherman nie pamięta, co się naprawdę stało, czy postanowił nie ujawniać prawdy. Umysł potrafi przytłumić pewne straszliwe wspomnienia, Sherman jednak mógł przecież wszystkich zwodzić.

Jako jego biologiczna matka z pewną satysfakcją czytała, jaki to chłopak jest bystry i jak to

testy wykazują niesamowicie wysoki współczynnik inteligencji. Chłopiec z bagna przebywał w kilku placówkach opiekuńczych i rodzinach zastępczych, ale wszędzie mógł liczyć na względy i stypendia, z których skrzętnie korzystał.

Myrna rozumiała, co skłania syna do milczenia: bał się utraty przychylności ludzi, gdyby ujawnił swoją rolę w tym wszystkim, co się stało – gdyby opowiedział o lokatorach, którzy znikali, i o wypłatach emerytur, które przychodziły i były odbierane jeszcze po ich śmierci. Jako dziecko nie poniósłby z tego tytułu żadnych konsekwencji, ale ludzie z pewnością wyrobiliby sobie na ten temat własne zdanie i nie omieszkaliby go wyrazić.

Uśmiechała się z matczyną dumą, myśląc o Shermanie. Jej syn, taki mądry. Dostatecznie mądry, żeby trzymać język za zębami.

## Rozdział 42

*Nowy Jork, czasy obecne*

– To się musi skończyć – powiedziała Pearl do Lauri.

– Widziałaś mnie? – Oczy Lauri rozszerzyły się w wyrazie zdumienia. – Jak to możliwe?

Rozmowa toczyła się w Hungry U. Pearl specjalnie wpadła na chwilę, żeby porozmawiać z Lauri w godzinach jej pracy. Była piąta, więc lunch już dawno się skończył, a chętni na kolację mieli się pojawić dopiero za chwilę. Oprócz Pearl i Lauri w sali nie było nikogo, tylko przy stoliku w rogu siedziała para wyglądająca na turystów. Poza tym ktoś pracował przy kasie i w kuchni, z której dochodził dość dziwny, choć wcale nie nieprzyjemny zapach szałwii i cynamonu. Pearl zamówiła tylko colę light. Piła ją powoli, starannie dobierając słowa. Wypuściła plastikową słomkę z ust i zauważyła, że pozostał na niej ślad po szmince.

– Trzeba dobrze wiedzieć, co się robi, jeśli się chce śledzić kogoś z drugiej strony ulicy. Trzeba się pilnować, żeby cię nikt nie zauważył, jeśli się chce przyglądać komuś z zewnątrz jakiegoś lokalu jak duch. I na pewno nie ma sensu przemycić się niby to niepostrzeżenie do środka, żeby skorzystać z toalety.

Lauri stała nad Pearl, trzymając w jednej ręce tacę, drugą zaś rękę opierając na biodrze.

– A co ty robisz, jak kogoś śledzisz i zachce ci się siku?

– Jeśli faktycznie zostaniesz glina, to pójdziesz do akademii policyjnej i tam ci powiedzą.

Para wyglądająca na turystów przywołała Lauri gestem i poprosiła o rachunek. Lauri podała im go z uśmiechem, po czym wzięła od nich kartę kredytową i powędrowała przez drzwi do przedsiionka, gdzie znajdowała się kasa. Po chwili znów się pojawiła, oddała kartę i rachunek, a potem podeszła ponownie do stolika Pearl. Ta zdążyła już wypić połowę coli. Pomimo wczesnej godziny i skrajnie niedużego obłożenia w tle pobrzmiwała cicha muzyka. Pearl nie powiedziała, że są to pakistańskie brzmienia, ale przecież niezbyt się na tym znała. Z pewnym jednak niezadowoleniem stwierdziła, że ta irytująca melodyjka, pobrzmiwająca w kółko pomiędzy nieco przesadzonym solo perkusyjnym a niezrozumiałym zawrosczeniem wokalisty, będzie teraz za nią chodzić. Wydawała się jej znajoma, ale tak to już bywa w przypadku tego rodzaju melodii.

Lauri stanęła w tym samym miejscu co wcześniej i znowu wysunęła biodro. Cały czas trzymała w dłoni okrągłą tacę. Pearl zaczynała sądzić, że wykorzystuje ją raczej jako rekwizyt, który nadaje jej profesjonalny wygląd. W świetle sącącym się przez zasłony sprawiała wrażenie jeszcze młodszej i jeszcze bardziej podobnej do Quinna.

– Jeszcze jedną?

– Nie, dziękuję – odparła Pearl.

– Nie powiedziałaś tacie?

– Że ciągle za mną chodzisz? Nie. Tak czy owak, to ma się skończyć, Lauri. Naprawdę ma się skończyć. Inaczej mu powiem.

Lauri rzuciła jej uparte, zdradliwe spojrzenie, tak charakterystyczne dla jej ojca, a zaraz potem wzruszyła ramionami i pokiwała głową.

– Dobra, skoro każesz mi przestać, to przestanę.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, że już mnie więcej nie złapiesz na tym, że cię śledzę.

Nie do końca o to ją prosiła. *Znowu kit w stylu Quinna. Czy to jest dziedziczne?*

– Lauri... – Nagle uwagę Pearl zaprzątnęło coś innego. – Już wiem.

– Co takiego?

– Ta melodia. Tak mi się wydawało, że już ją słyszałam.

Lauri uśmiechnęła się dumnie.

– Zgadza się, słyszałaś ją tutaj. To płyta The Defendants, *Lost in Bonkers*.

– To oni sprzedają płyty?

– Jeszcze nie, ale będą. To na razie tylko demo nagrane w domowym studiu u brata perkusisty. Robaczek je dystrybuuje, a właściwie to szuka agenta, który by się tym zajął.

– Skoro już mowa o Robaczku – powiedziała Pearl. – Zdajesz sobie sprawę, że on chodzi za tobą, jak ty chodzisz za mną?

Lauri przez chwilę sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Potem na jej twarzy pojawił się gniew. Nie dała mu jednak ujścia w słowach, gdyż potrafiła przewidzieć, jak podsumowałaby to Pearl.

– Robaczek? Dlaczego on mnie śledzi? – Należałoby ją podziwiać za to, jak skutecznie zapanowała nad głosem.

– Trudno do końca powiedzieć – stwierdziła Pearl. – Może podejrzewa, że masz kogoś na boku. A może się o ciebie martwi. Ten mały... On cię pewnie kocha i chce cię chronić.

Mężczyźni już tacy są. – *Glizdy też.*

– On jest muzykiem, nie wojownikiem – powiedziała Lauri.

Pearl pomyślała sobie, że Lauri ogólnie ma rację, może z pominięciem tej części o muzyku. Dokończyła colę, dobrze już rozcieńczoną wodą z roztopionego lodu.

– Nie twierdę, że jest wykwalifikowanym ochroniarzem, tylko że cię śledzi. Widziałam go ostatnio przed Pepper Tree. Usiłował wtopić się w tłum, chowając się w bramie po drugiej stronie ulicy.

Lauri tym razem nie zdołała ukryć swoich uczuć i zrobiła urażoną minę. Pearl przypuszczała, że gdyby Robaczek się tu teraz pojawił, mógłby nawet oberwać tacą. Lauri ścisnęła ją tak mocno, że aż zbiały jej kłykcie. Wpatrywała się w jeden punkt nad głową Pearl – Quinn robił dokładnie to samo, gdy się gniewał – zupełnie jak gdyby gdzieś tam w powietrzu miała znaleźć potwierdzenie słuszności swojego gniewu.

– Załatwię to.

Pearl położyła na stole kwotę, która wystarczyła na pokrycie rachunku i napiwek, po czym wstała.

– Załatw, Lauri. Porozmawiaj z Robaczkiem tak samo, jak ja teraz rozmawiałam z tobą. Oczywiście jeśli ty przestaniesz chodzić za mną, to nie będzie w ogóle żadnego problemu.

– Nie będzie żadnego problemu – powiedziała Lauri, podnosząc pieniądze.

Nie powiedziała: „Przestanę za tobą chodzić”. To dziedziczne, pomyślała ponownie Pearl, wychodząc z restauracji. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że porusza się w rytmie czepliwej piosenki *Lost in Bonkers*.

Celendra truchtowała w miejscu, aż światło na Zachodniej Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy się zmieniło. Przeszła na drugą stronę i biegła dalej Broadwayem na południe. Zarówno męskie, jak i damskie głowy odwracały się na widok wysokiej i wdzięcznej dziewczyny o długich brązowych włosach, ubranej w czerwone krótkie spodenki, niby luźne, ale skąpe, oraz szarą koszulkę bez rękawów założoną na sportowy stanik. Nawet sportowy stanik i przyduże workowate szorty nie

były w stanie pozbawić jej atrakcyjnych krągłości.

Większość nowojorskich miłośników joggingu wolała się poruszać po parku lub mniej uczęszczanych bocznych uliczkach, ale Celandra lubiła pocić się i dyszeć na Broadwayu, gdzie mogła się napawać widokami, odgłosami i zapachami miasta. Starła się biegać co drugi wieczór, nie oszczędzając się. Aktywność fizyczna korzystnie wpływała na jej wygląd i poprawiała kondycję podczas występów tanecznych. Gdy tylko będzie ją na to stać, zapisze się znowu na lekcje tańca, ale na razie bieganie musi jej wystarczyć.

Gdy na początku numeracji ulic pojawiła się cyfra sześć, Celandra poczuła się zmęczona. Coś ją zakłuło między żebrami, uda płonęły. *Dość... Czas zawracać.*

Ponownie truchtała przy krawężniku, czekając, aż furgonetka z meblami, która utknęła w korku, odblokuje ulicę. Ściągała na siebie pełne podziwu spojrzenia, a jeden mężczyzna nawet zaproponował wspólną przebieżkę. Starając się nie wdychać zbyt głęboko szkodliwych spalin, ruszyła z powrotem w stronę swojego mieszkania.

W odległości jednej przecznicy od domu zabrakło jej sił, więc ostatni odcinek pokonała już marszem. Koszulkę miała lepką od potu, głowę pochyloną, dłonie na biodrach. Nadal przyciągała spojrzenia. Wyglądała bowiem jak maratończyk i miss mokrego podkoszulka w jednym. Zanim dotarła do budynku, w którym znajdowało się jej mieszkanie, oddech jej się wyrównał. Choć ciągle z trudem wciągała powietrze do płuc, uda przestały ją palić. Nogi miała ciężkie i zmęczone, lubiła to uczucie. Uśmiechnęła się. Trening mogła zaliczyć do udanych. Pewnego dnia ta ciężka praca przełoży się na konkretne korzyści zawodowe. Naprawdę wierzyła, że uda jej się zrobić karierę. Czy ktokolwiek odniósł sukces w zawodzie aktorskim bez takiego przekonania?

W oczekiwaniu na windę wytarła przedramieniem spocone brwi i kilka razy głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. Widoczna nad drzwiami strzałka z antycznego mosiądzu zadrzała i zawahała się, jak gdyby walczyła z siłą grawitacji. W końcu przesunęła się z trójki na dwójkę, a potem na jedynekę. Stalowe drzwi zgrzytnęły i się otworzyły.

Z windy wysiadła ruda kobieta po sześćdziesiątce, którą Celandra знаła jako panią Altmont. Na smyczy trzymała swojego malutkiego yorka, który wabił się Edgemore. Pani Altmont mieszkała na tym samym piętrze co Celandra. Miała surowe i nieruchome spojrzenie, zapewne będące skutkiem operacji plastycznych, a szczupłość jej twarzy kłóciła się z puszystością całej figury. Powiedziała kiedyś Celandrze, że pies dostał imię po jej byłym mężu. Celandra przypuszczała, że Edgemore mąż pewnie dalej spłaca te operacje.

Edgmore pies jak zwykle na nią warknął, a pani Altmont się do niej uśmiechnęła. Gdy mijaly się w wejściu do windy, Celandra spojrzała w dół i zauważyła, że pani Altmont trzyma już w wolnej dłoni plastikowy woreczek. Widząc, na co patrzy Celandra, kobieta uśmiechnęła się szeroko, jakby przepraszająco.

– Gdybyśmy ich tak bardzo nie kochały...

I zapewne miała na myśli obu Edgemore'ów.

– Czasami na to zasługują – powiedziała Celandra, odwzajemniając uśmiech.

Drzwi do windy się zamknęły. Poza zabójcą pani Altmont była ostatnią osobą, która widziała Celandrę całą i zdrową.

## Rozdział 43

Smród był obezwładniający.

Quinn zaczął się zastanawiać, czy te konsekwentne zabiegi rzeźnicze nie mają przypadkiem na celu przytłumienia zmysłów przedstawicieli organów ścigania i zniechęcenia detektywów. Może to był element strategii. Jeśli tak, to dość skuteczny.

Tym razem na miejscu zbrodni pojawił się doktor Julius Nift. Ubrał się jak na zebranie zarządu: w czarny garnitur w kredowe paseczki, białą koszulę i czerwony krawat. Do tego włożył czarne buty z lśniącymi czubkami. Dziwnie wyglądał, nachylając się w tym stroju nad wanną w wyłożonej splekanymi płytkami łazience w malutkim mieszkaniu w zachodniej części Manhattanu i badając części ciała.

Quinn i jego zespół dowiedzieli się o kolejnym zabójstwie od Renza, który zadzwonił do biura. Przyjechali więc na miejsce razem nieoznakowanym radiowozem. Prowadził Fedderman. Quinn kazał mu odebrać raport od mundurowych, którzy przybyli na miejsce zbrodni pierwsi, sam zaś udał się do mieszkania.

W środku roilo się od techników. Pracował też policyjny fotograf, więc raz po raz w świetle flesza można było obserwować dziwną zbieraninę ludzi w białych rękawiczkach, którzy przyjmowali różne pozy, żeby przyjrzeć się czemuś z bliska, albo też wyciągali coś pincetą i wrzucali do plastikowego woreczka na dowody. Aż dziw, że taka masa ciał nie wpadała na siebie nawzajem. Choreografia na miejscu zbrodni cechowała się istic naukową precyzją.

Technicy jak najszybciej zakończyli prace w łazience, żeby patolog mógł swobodnie robić swoje. Ale też nawet najbardziej zatwardziałym fachowcom wystarczył jeden rzut oka do środka, jedno zaciągnięcie się tym smrodem, żeby potem już się więcej do tego pomieszczenia nie zbliżać.

Drobny patolog nie odwrócił się, by powitać Quinna i Pearl, wykonał jednak głową ruch świadczący o tym, że przyjął do wiadomości ich przybycie. Detektywi rozglądali się po pomieszczeniu wyłożonym białymi i beżowymi płytkami. Dostrzegli puste pojemniki po środkach czystości: pudełko po proszku do zmywarki, zieloną plastikową butelkę po szamponie, środek do prania i kilka dużych butli po wybielaczu, rzuconych jedna obok drugiej, bez nakrętek. Zastosowanie tych wszystkich detergentów nie niwelowało smrodu surowego mięsa, od którego żołądek wywracał się na drugą stronę. Pearl automatycznie zakryła usta i nos dłonią. Dopiero po chwili zorientowała się, że to robi. Nie chciała wyjść przed Niftem czy Quinnem na mięczaka, więc udała, że coś ją swędzi – potarła nos i opuściła dłoń.

Nift przesunął się na lewo i uniósł w kierunku Quinna jakby niewidzące brązowe oczy. Pearl o mało nie zwymiotowała, gdy jej wzrok skrzyżował się z martwym spojrzeniem obciętej głowy, która leżała na oderwanych od ciała ramionach.

– Brązowe włosy – powiedziała beznamiętnie, mając na myśli kobietę w wannie. Żadnych emocji. Lepiej zachowywać się jak gliniarz niż jak jakaś przerażona wariatka.

– Przedstawiam wam pannę Celandrę Thorn – zaczął Nift. – Zechciejcie jej wybaczyć, że nie uściśnie wam dłoni. Wy wszakże możecie ją ścisnąć do woli.

Pearl miała ochotę kopnąć tego małego drania.

– Thorn4! – powtórzył Quinn. – Czyli nie chodziło o same róże. Cholera!

Powinni o tym pomyśleć! Liścik o różach zawierał dostatecznie wiele wskazówek. Znowu nie udało im się odszyfrować tajemniczej wiadomości, którą im przesłał morderca.

A z perspektywy czasu to się wydawało takie oczywiste. Ponownie ich przechytrzył.

– Może Celandra to jest rodzaj róży – powiedziała Pearl, chociaż sama w to do końca nie wierzyła. Tak samo jak Quinn i Fedderman zgłębiała tajemnice róż noszących imiona kobiet z taką intensywnością, że jej stosunek do tych kwiatów zmienił się raz na zawsze. Chodziło o cierń, a oni na to nie wpadli.

Nift się wyprostował. W dłoni ukrytej w gumowej rękawiczce trzymał stalowy szpikulec. Gdy wstał, odsłonił im dobrze znany widok części ciała ułożonych w wannie na stosiku. I podobnie jak tyle razy wcześniej odkąszone i całkowicie jałowe miejsce zbrodni nie rokowało wielkich szans na znalezienie czegokolwiek przydatnego. Prawdopodobnie ani jeden zarzek tu nie przetrwał, o dowodach nie wspominając. Morderca pozostawił po sobie tylko rytualną wystawkę mięsa.

– Tak samo jak u pozostałych – stwierdził Nift. – Te same ostrza, te same ślady po pile, ta sama technika rozczłonkowania całości na części. – Rzucił im paskudny uśmiech. – Gdyby to wszystko poskładać, mielibyśmy piękną kobietę.

– Może chciałbyś zostać z nią sam na sam? – zapytała Pearl.

Nift ją zignorował.

– Jak widać, twarz miała powalającą. Ciało też niczego sobie. Dobrze umięśniona, kształtna. Pewnie tańczyła, sądząc po imponująco rozbudowanych mięśniach ud i łydek. Mogła też biegać w terenie, podnosić ciężary albo uprawiać inny podobny sport. Sądząc jednak po tym, jak wyglądała, stawiałbym na show-biznes.

– Znowu się bawisz w detektywa – stwierdził Quinn.

– Nie oglądasz tych wszystkich seriali telewizyjnych? My, specjaliści od medycyny sądowej, co chwila rozwiązujemy jakieś zagadki kryminalne. Trafiamy przy tym w samo sedno.

– Gdybyś był teraz w telewizji – powiedziała Pearl – tobym wyłączyła głos.

– Twoja partnerka traktuje życie zbyt poważnie – zwrócił się Nift do Quinna.

– W końcu tu chodzi o śmierć – stwierdził Quinn.

– W ten sposób dotarliśmy do przyczyny tejże – ciągnął Nift. – Wygląda na utonięcie. Mamy też te same ślady po taśmie co zwykle. Wszystkie płyny ustrojowe zostały do ostatniej kropli spuszczone do ścieku. Powiedziałbym, że umarła wczoraj wczesnym wieczorem. Bardziej precyzyjny czas zgonu podam po oficjalnym zakończeniu sekcji.

Pochylił się i schował metalowy próbnik do czarnej torby lekarskiej, a następnie zdjął rękawiczki i wrzucił je do plastikowej torebki, która również wylądowała w środku.

– To tyle, jeśli chodzi o wstępne badanie. Jak już skończycie się nią bawić, możecie mi ją przysłać do kostnicy.

Przeszli do salonu i obserwowali, jak Nift wychodzi.

Fedderman rozmawiał właśnie z jednym z techników stojących przy oknie. Gdy ich zobaczył, ruszył w ich stronę. W mieszkaniu było ciepło, mimo to ciągle miał na sobie wymiętą brązową marynarkę. Notes schował w kieszeni na piersi, do której z przodu przypiął odznakę. Widocznie robił wcześniej notatki, bo żółty ołówek wsunął sobie za prawe ucho.

– Chwileczkę – przeprosił ich.

Quinn wiedział, dokąd się udaje Fedderman. Teoretycznie nie musiał iść do łazienki, ale czuł się zawodowo zobowiązany, by zajrzeć do Celandry Thorn.

Fedderman wrócił do salonu blady i ponury.

– Drań – ograniczył się do krótkiego komentarza, a potem dodał: – Znowu nic nam po sobie nie zostawił.

– Może pewnego dnia wypadnie mu portfel z dowodem osobistym i zdjęciem – powiedziała Pearl.

Quinn się zastanawiał, co ją ugryzło. Potrafił zrozumieć, czemu się z takim sarkazmem odnosi do tego gnojka Nifta, ale co ją skłoniło, żeby wyżywać się na Feddermanie? Fedderman zaś ciągle się jeszcze nie otrząsnął po tym, co widział w łazience, więc puścił ten komentarz mimo uszu i wyciągnął z kieszeni notatnik. Chwilę go kartkował, po czym nagle przestał.

– Ofiara nazywała się Cecelia Thorn – powiedział. – Na potrzeby sceny posługiwała się imieniem Celandra. Przyszła po nią przyjaciółka, z którą się umówiła na śniadanie. Zastała otwarte drzwi, więc weszła do środka i w ten sposób znalazła to, co zostało z Celandry. – Spojrzał na Quinna i Pearl. – To nazwisko, Thorn...

– Wiemy, wiemy – ucięła Pearl.

– Powinniśmy byli o tym pomyśleć – stwierdził Fedderman. – To zostało zapisane w liście między wierszami, tak samo jak kolce są między różami. Tylko głupiec patrzy na różę i nie myśli jednocześnie o kolcach. To jak kawa i śmietanka.

– Jak jajka i szynka – powiedziała Pearl. – Rzeźnik pewnie czuje się teraz strasznie mądry.

– Im lepiej się będzie czuł – stwierdził Quinn – tym szybciej go dopadniemy.

– Od techników się dowiedziałem, że przydatnych odcisków raczej się nie ma co spodziewać – poinformował Fedderman. – Znaleźli różne ślady w całym mieszkaniu, ale nie mają wątpliwości, że nasz sprawca występował w rękawiczkach. Nie ma też co liczyć na analizy krwi. Przed rozpoczęciem cięcia spuszcza z nich tyle krwi, ile tylko się da, a co mu się rozchlapie albo rozsmaruje, to wyciera jak skrupulatna pokojówka.

– Czyli znowu wielkie nic – stwierdziła Pearl.

– Nie do końca – odparł Fedderman. – Wychodzi na to, że ostatni raz żywą Celandrę widziała sąsiadka z piętra. Spotkały się w windzie około szóstej.

– Według Nifta ona mniej więcej o tej porze zginęła.

– Ta cała – Fedderman ponownie zajrzał do notatek – pani Ida Altmont wyprowadzała właśnie psa na spacer i spotkała Celandrę na parterze. Wymieniły kilka uprzejmości, po czym Celandra wsiadła do windy. Ale po tym, jak już pies pani Altmont się załatwił, ona poszła na zakupy spożywcze, a potem jeszcze zatrzymała się w Starbucksie na kawę. Wróciła do domu około ósmej. Wtedy to zobaczyła mężczyznę, który wychodził z budynku z białym pudłem. Miał na sobie szarą koszulę i ciemne spodnie. Pani Altmont uznała, że to jakiś kurier albo ktoś taki. Opis niewiele nam da: średniego wzrostu i średniej masy ciała. Twierdzi, że chyba miał ciemne włosy, ale przykryte czapką z daszkiem. Zapamiętała go, bo jej pies zaczął na niego warczeć z odległości około trzydziestu metrów, a do tego facet wyglądał jakoś niewyraźnie.

Quinn westchnął.

– Niewyraźnie, mówisz?

– Dość to dziwne określenie jak na świadka – przyznał Fedderman.

– Miał pudło – przypomniała im Pearl. – Rzeźnik musi w czymś przecież nosić te swoje noże i piłę.

– Może ma tam też fartuch albo ubrania na zmianę na wypadek, gdyby się pobrudził krwią – dodał Fedderman.

– Przepytajmy wszystkich z budynku – zarządził Quinn. – Musimy się upewnić, że nikt nie odbierał ani nie przekazywał kurierowi wczoraj około ósmej.

– Zostaje nam jeszcze Debrina Fluor – powiedział Fedderman.

Quinn i Pearl spojrzeli na niego zdziwieni.

– Jest na dole, w samochodzie. To jest ta tancerka, przyjaciółka ofiary, która weszła do mieszkania i znalazła ciało. Ładniutka.



– To idź i odbierz od niej zeznanie – polecił Quinn. – Ja powiem sanitariuszom, że mogą zabrać ciało, gdy tylko technicy skończą pracę. Potem razem z Pearl pójdziemy się dowiedzieć, co ma do powiedzenia Ida Altmont.

4 Ang. „*thorn*” oznacza „cierń”.

## Rozdział 44

Intensywny odór sklepu rzeźnickiego towarzyszył im nawet po pokonaniu części korytarza, choć niewykluczone, że po prostu nieśli go z sobą. Pearl się nagle przeraziła, bo przysła jej do głowy irracjonalna myśl, że zanoszą ten smród wszędzie.

Od mieszkania pani Altmont dzieliło ich dwoje innych drzwi. Quinn zapukał, a lokatorka szybko mu otworzyła. Mały pies o brązowych kudłach zupełnie zignorował Quinna, najwyraźniej jednak dziko zapragnął odgryźć nogę Pearl. Krępa, ruda kobieta sprawnie pochwyciła psa i przycisnęła go mocno do piersi, mówiąc:

– Edgemore, nie, nie, nie! Nie można być takim niegrzecznym, o nie.

Każdy powinien sobie to wziąć do serca, pomyślała Pearl, żalując przy tym, że nie może kopnąć tego małego włochatego potwora. Quinn się uśmiechał.

– Edgemore – powiedział. – Ładne imię. I ładny pies. – Wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać, a ten wtedy natychmiast się uciszył i zaczął go lizać.

– To w sumie takie rodzinne imię – wyjaśniła Ida Altmont.

Dopiero teraz Pearl zwróciła uwagę, że kobieta ma zapuchnięte oczy i całą twarz, jakby płakała. W pierwszej chwili wydawała się co prawda młodsza, ale musiała mieć tak z sześćdziesiątkę na karku.

– To naprawdę straszne, co się przydarzyło Celandrze – stwierdziła. – I to jeszcze tu, na tym piętrze. Straszne!

Niegrzeczne, pomyślała Pearl.

Ida Altmont usiadła na rogu urokliwej sofy z niebieskim wzorzystym obiciem stojącej na delikatnych mahoniowych nóżkach. Pearl zwróciła uwagę, że na poduszkach widać było brązowe psie włosy. Ona i Quinn na stojąco obserwowali, jak rozkojarzona kobieta wyciąga z kieszeni szarej spódnicy chusteczkę. Nie użyła jej, tylko trzymała kurczowo w prawej dłoni na wypadek, gdyby ogarnęła ją fala smutku albo strachu.

– Czy Celandra Thorn zachowywała się normalnie, kiedy panie rozmawiały w windzie? – zapytał Quinn.

– Tak, zupełnie normalnie. Była bardzo życzliwa. Zawsze się do wszystkich życzliwie odnosiła.

– Powiedziała pani detektywowi Feddermanowi o mężczyźnie, który wychodził z budynku, kiedy pani wracała ze spaceru z Edgemore'em.

Ida Altmont rozpromieniała. Najwyraźniej Quinn jej zaimponował tym, że zapamiętał imię psa. Quinn ogólnie jej się podobał, był dojrzały, surowo przystojny i jeszcze okazywał jej zainteresowanie...

– Zgadza się. Edgemore i ja poszliśmy na zakupy spożywcze kupić trochę warzyw na sałatkę, a potem zatrzymaliśmy się jeszcze na latte w Starbucksie.

– Czyli wróciliście około ósmej?

– Tak bym powiedziała.

Naprowadzana przez Quinna pozornie niezobowiązującymi pytaniami opowiedziała o tym, jak to zbliżała się do budynku, kiedy w drzwiach ukazał się zupełnie przeciętny mężczyzna średniego wzrostu. Zszedł po betonowych schodach na chodnik. Chwyciła mocniej chusteczkę i machnęła nią mniej więcej w okolicach twarzy.

– Niósł duże białe pudło i wyglądał... – Quinn i Pearl czekali cierpliwie – ...niewyraźnie.

Pearl spodziewała się raczej określenia „przeciętnie”.

– Jak duże było to pudło? – zapytał Quinn.

– Ach, na takich rzeczach to ja się nie znam. Powiedziałabym, że było tak samo wysokie jak szerokie, na jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia pięć centymetrów. Poza tym było długie, pewnie miało z sześćdziesiąt centymetrów. Przypominało trochę te białe kartony, w których kwiaciarnie dostarczają kwiaty o długich łodygach, tyle że sprawiało wrażenie cięższego i mocniejszego.

– Bardzo dobry opis – powiedział Quinn. – Ma pani doświadczenie w prowadzeniu obserwacji?

Ida Altmont przez chwilę wierciła się na sofie, najwyraźniej nie wiedząc, jak na ten komplement zareagować.

– Ależ nie, zupełnie nie. Na dworze jeszcze było widno, a ja często się rozglądam wokół siebie podczas spacerów z Edgemore’em. Lubimy zauważać różne rzeczy, które się wokół nas dzieją.

Quinn się do niej uśmiechnął.

– Szkoda, że Edgemore nie potrafi mówić.

Pearl przypuszczała, że wie, co by jej powiedział Edgemore. Nie bardzo by jej się to podobało.

– Czasami – wyznała Ida Altmont poważnie – mam trochę takie wrażenie, jak gdyby potrafił.

– A co by powiedział o tym mężczyźnie, którego widzieliście? – zapytał Quinn.

Tym pytaniem zrobił na Pearl duże wrażenie, dotychczas bowiem wydawało jej się, że po prostu podlizuje się kobiecie.

– Edgemore’owi on się nie spodobał – odparła Ida Altmont natychmiast. – Powiedziałby, że za bardzo się spieszył i że wyglądał niewyraźnie.

– Może był spóźniony, może miał jeszcze kilka paczek do doręczenia... – próbował wyjaśniać Quinn. – Skąd więc taka podejrzliwość u Edgemore’a?

– Cóż, psy już takie są. Wiedzą o ludziach różne rzeczy. Zauważają pewne rzeczy, na które my nie zwracamy uwagi.

– Na przykład?

Ida opadła na oparcie, zmarszczyła brwi i otworzyła szerzej oczy. Po chwili nagle się uśmiechnęła, jak gdyby nowa myśl ją połaskotała.

– No więc ten człowiek nie wyglądał, jak gdyby przyszedł z jednej z pobliskich restauracji, jak gdyby dostarczał jakiś posiłek. Miał do tego nieodpowiednią paczkę i w ogóle to nie był ten typ. Poza tym Edgemore’owi i mnie wydało się niezwykle dziwne, że kurier tak bardzo się spieszy w drodze powrotnej, tym bardziej że niósł paczkę, której najwyraźniej nie udało mu się dostarczyć. Poza tym rozglądaliśmy się po ulicy i nigdzie nie było dostawczego samochodu. Jeśli ten człowiek, którego widzieliśmy, zajmował się doręczaniem takich dużych paczek, to można by się spodziewać, że przyjechał furgonetką czy vanem i zaparkował gdzieś w pobliżu. Jestem absolutnie przekonana, że przed budynkiem były wolne miejsca parkingowe.

– O rany – powiedział Quinn – z pani to jest świetny obserwator!

Ida Altmont spojrzała na niego i zatrzepotała powiekami.

– Staramy się.

– A co w takim razie stało w okolicy przy krawężniku?

– Samochody, cała masa samochodów.

– Może pamięta pani, który z nich zaparkował najbliżej pani budynku?

– Chyba biały. Taki duży. Cały zderzak miał oblepiony naklejkami nawołującymi do głosowania na zupełnie nieodpowiednich ludzi. Należy do pana Cammeringa, który mieszka na

dole. Dlaczego te polityczne naklejki są zawsze tak krzywo ponaklejane?

– Nie wiem, moja droga pani. A czy widziała pani jakieś nieznanne auta?

– Mnóstwo. Większości naprawdę nie zapamiętałam, ale jestem pewna, że nie widzieliśmy z Edgemore'em żadnego dostawczego. Za to widzieliśmy kuriera – powiedziała to takim tonem, jak gdyby chodziło o jakąś magiczną sztuczkę.

– Czy to możliwe, że mężczyzna wsiadł do jednego z tych samochodów?

– Nie, nie. Gdy Edgemore i ja wchodziliśmy do budynku, on właśnie dochodził do końca przecznicy i szedł dalej.

To oczywiście nie musi znaczyć, że mieszka gdzieś w pobliżu, pomyślała Pearl. Mógł przyjechać autobusem, metrem albo taksówką, albo po prostu ma dość rozumu, żeby nie parkować w pobliżu budynku, w którym zamierza popełnić morderstwo.

– Czy zauważyła pani na jego kurtce jakiegokolwiek logo albo litery? – zapytał Quinn.

– Nie, ale to mogło być za daleko, żeby coś takiego dostrzec. Poza tym to się wszystko rozegrało dość szybko.

Quinn podziękował Idzie Altmont za poświęcony czas i pomoc. Wręczył jej swoją wizytówkę i poprosił, żeby zadzwoniła, jeśli przypomni jej się cokolwiek na temat poprzedniego wieczoru. Gdy on skończył rozmawiać z Idą, przysłała pora na Pearl.

– Powiedziała pani, że kurier doręczający taką dużą paczkę na pewno zaparkowałby gdzieś w pobliżu. Czy ona się pani wydała ciężka?

– Ależ tak, zdecydowanie tak. Właściwie to sprawiała wrażenie raczej ciężkiej niż dużej, jeśli to określenie w ogóle ma jakiś sens.

– Ma – powiedziała Pearl, myśląc o stalowych nożach i przenośnej pile.

Quinn pomyślał to samo i spojrzął na Pearl z aprobatą. Zirytowała się, bo mało brakowało, a zarumieniłaby się na myśl o tej jego pozytywnej ocenie. Nie była przecież taką idiotką jak Ida Altmont. Mężczyźni to...

– Przykro mi, że nie mogłam bardziej państwu pomóc – powiedziała Ida, unosząc się z kanapy powolnym ruchem, jak gdyby bolały ją nogi. Jeszcze kilka razy zatrzepotała rękami, a potem włożyła chusteczkę z powrotem do kieszeni.

Quinn się uśmiechnął i gestem dał jej do zrozumienia, że nie musi ich odprowadzać.

– Trafimy do wyjścia. Proszę sobie nie wmawiać, że nam pani nie pomogła. Nigdy nie wiadomo, kiedy pozornie banalna informacja może się okazać kluczem do rozwiązania zagadki morderstwa.

– Mam nadzieję, że złapiecie tego bydlaka, który zrobił Celandrze coś takiego.

– Na pewno, moja droga pani. Sprawcy zawsze popełniają jakiś błąd.

– To naprawdę tak jest? – zapytała poważnym tonem Ida Altmont.

– Na szczęście na ogół tak – potwierdził Quinn, uśmiechając się szeroko specjalnie do niej. – Ten jeden błąd wystarczy, żebyśmy mogli posłać takiego sprawcę tam, gdzie jego miejsce.

Oto Quinn, obrońca miasta.

– Jeden błąd... – powiedziała Ida Altmont refleksyjnie. Ta koncepcja najwyraźniej ją zaintrygowała. Znów zatrzepotała rękami. – Może pozwolą się państwo poczęstować kawą czy mlekiem i kawałkiem ciasta? – zapytała.

Pearl nie bez pewnej irytacji stwierdziła, że kobieta sprawia wrażenie całkowicie oczarowanej Quinnem.

– Może następnym razem. Następnym razem chętnie skorzystamy – zapewnił i wykonał lekki ukłon w jej stronę.

O dziwo, wcale nie wyszło to głupio. Pearl z podziwem patrzyła, jak umiejętnie maskuje swój cynizm. Stwierdziła, że sama też musi nad tym pracować.

Po tym, jak Quinn udał się na własną rękę w kierunku drzwi wyjściowych, Ida Altmont skierowała kroki w stronę pokoju, w którym zamknięty został Edgemore. Z gardła psa wydobyło się najpierw głucho warczenie, a zaraz potem wściekłe ujadanie i zwierzak rzucił się ku Pearl, mocno szczerząc zęby. Paznokietki przy malutkich łapkach drapały lakierowaną drewnianą podłogę, usiłując zapewnić sobie podparcie. Pearl szybko wyszła na korytarz, niemal wpadając na Quinna. Zamknęła za sobą drzwi. Edgemore ciągle jeszcze szczekał po drugiej stronie. Słyszeli też, jak drapie podłogę.

- Co ten pies do mnie ma? – zastanawiała się Pearl.
- Psy znają się na ludziach – stwierdził Quinn.
- Na pewno lepiej niż niektórzy ludzie.
- Nie zniechęcaj się – powiedział Quinn. – Sprawcy zawsze w końcu popełniają jakiś błąd. Ten sprawca faktycznie popełnił błąd. Pearl jednak wcale to nie miało ucieszyć.

## Rozdział 45

Z każdą godziną nastrój stawał się coraz bardziej gorączkowy. Quinn się już nawet zastanawiał, czy to przypadkiem nie za sprawą jakiegoś przekleństwa. Gdy po południu odezwał się telefon na jego biurku, zdziwił się, słysząc w słuchawce głos Renza. Było jeszcze za wcześnie na wyniki sekcji zwłok Celandry Thorn.

– Mów trochę głośniej, Harley – poprosił Quinn. Firma Con Ed właśnie rozpoczęła intensywne prace budowlane tuż za ich oknem, więc rozmowy toczące się w biurze co chwila zakłócał odgłos młota pneumatycznego. Gdy ten akurat na chwilę cichł, zza ściany dobiegało ich stłumione świdrowanie wiertła dentystycznego.

Pearl siedziała przy biurku i po raz kolejny czytała zeznania świadków dotyczące sprawy Thorn. Fedderman właśnie przyszedł, z pewnością z kolejnymi materiałami. Renz jednak nie dzwonił w sprawie wyników sekcji zwłok.

– Mamy odcisk, który się może na coś przydać – powiedział głośno do słuchawki. – Środkowy palec prawej ręki. Odcisnięty we krwi.

Znowu odezwał się młot pneumatyczny. Quinn wyteżył słuch. *Jeden błąd...* Może Rzeźnik właśnie go popełnił. *Czyżby to faktycznie miało się tak ułożyć?*

– To jedyny odcisk, który nie pasuje do żadnego z siedmiu zestawów, które znaleźliśmy i zidentyfikowaliśmy. Jeden z obsesyjnie skrupulatnych techników znalazł go w łazience pod marmurowym blatem umywalki. – Renz zaśmiał się z zadowoleniem. – Zupełnie wyraźny.

*Niesamowite*, pomyślał Quinn. W jego głowie pojawił się obraz mordercy, który myje się po dokonaniu zbrodni. Zdejmuje lateksowe rękawiczki albo też jedną z nich sobie przecina. Wpatrując się we własne oblicze w lustrze w poszukiwaniu ewentualnych śladów krwi, przypadkiem chwyta się blatu. To banalne przypadkowe działanie może w prosty sposób sprowadzić na niego zgubę. Coś jednak nie dawało Quinnowi spokoju.

– Sprawdziliście go?

– Właśnie to robimy. Jak tylko odłożę słuchawkę, zaraz wyślę ci powiększenie. Jeśli mamy ten odcisk w NCIC5 albo w jakiegokolwiek innej bazie, to poznamy nazwisko naszego mordercy. W końcu pozwolił sobie na nieostrożność. Takie świry jak on zawsze kiedyś to robią i albo wpadają w ręce policji, albo odchodzą w blasku chwały. Igła albo kulka.

*No ale...* Quinn nagle sobie uświadomił, co mu nie pasowało.

– Harley, ale przecież w łazience Celandry Thorn nie było żadnego marmurowego blatu.

– Bo nie stamtąd jest ten odcisk. Znaleźli go w łazience Marilyn Nelson, palec został odcisnięty w jej krwi. Przecież to nieistotne, za które morderstwo dopadniemy tego dupka.

– Nieistotne pod warunkiem, że go dopadniemy.

Quinn spojrział w stronę Pearl i Feddermana, którzy bacznie mu się przyglądali. Jego kwestie wypowiedane podczas tej rozmowy musiały ich optymistycznie nastrajać. Rozległ się charkot i szcęk faksu, który uruchomił się w rogu. To Renz przesyłał już zdjęcie odcisku palca.

– Czekam na wieści, Harley. Jak tylko uda się go zidentyfikować, jest nasz.

– Mój też – powiedział Renz, z całą pewnością zastanawiając się już nad politycznymi profitami związanymi z aresztowaniem.

– Mnie interesuje morderca. Konferencję prasową zostawiam tobie.

– Tak się właśnie umawialiśmy – stwierdził Renz, po czym się rozłączył.

Quinn odłożył słuchawkę na widełki i zrelacjonował Pearl i Feddermanowi rozmowę.

Przerywał jednak za każdym razem, gdy młot pneumatyczny rozpoczynał pracę. Jakimś cudem pył z zewnątrz przedostawał się do budynku. Quinn poczuł go na zębach. Podczas rozmowy uważnie się przyglądał swoim współpracownikom. Potrafił niemalże poczuć, jak wyostrzają im się zmysły, jak wzbiera w nich energia. W tym momencie żadne z nich nie miało wątpliwości co do wyboru profesji. Wszyscy też wiedzieli, że to ich wspólna sprawa. Gdyby teraz za oknem z nieba spadła im podpowiedź lekka jak piórko, na pewno by to usłyszeli. *Jest w tym chyba coś prymitywnego... Jakaś taka dzika pogoń, gdy się złapie trop... Takie polowanie wataha...* Tak czy owak, było to niesamowite uczucie. Dla czegoś takiego warto żyć.

– Taki dupek – stwierdził Fedderman – musi gdzieś mieć jakąś kartotekę. Jego odcisk na pewno jest gdzieś w aktach.

Quinn miał świadomość, że nie wszyscy psychopaci dokonujący morderstw o podłożu seksualnym mają za sobą inne zatargi z prawem. To nie to samo co włamywacze czy kanciarze. Tacy ludzie często skrzętnie ukrywają swoje skłonności i ogólnie przestrzegają prawa, jeśli nie liczyć zamiłowania do tortur i zabójstw. Quinn jednak postanowił o tym nie wspominać, żeby Fedderman – po długim okresie emerytury – mógł czerpać teraz satysfakcję z pościgu.

– Jeśli ktoś gdzieś kiedyś pobrał od niego odciski, choćby nawet wojsko – stwierdził Quinn – to go dopadniemy.

Quinn nagle stwierdził, że coś się jakby zmieniło. Coś było nie tak. Zastanawiał się, dlaczego Pearl nie reagowała już tak entuzjastycznie jak Fedderman. Siedziała za biurkiem z przygnębioną miną. Poczula, że Quinn na nią patrzy, więc uniosła wzrok.

– Co? – zapytała.

– Czytasz w moich myślach – powiedział. – To samo pytanie właśnie miałem zamiar zadać tobie.

Fedderman podszedł do Quinna. On również spojrział na nią z zaciekawieniem, ale też nieco złowrogo. Pearl wiedziała, że nadszedł czas, aby powiedzieć partnerom o relacji z Jebem Jonesem. Jeśli odcisk palca należy do niego, Jeb zostanie aresztowany za zabójstwo Marilyn Nelson. Tymczasem Pearl z nim sypiała i opowiadała mu o śledztwie.

Czy nadal miała takiego pecha do mężczyzn? A może on sobie z niej kpił?

Chciała w niego wierzyć, ale teraz nagle wydawało jej się to trudne. Do głosu znowu doszła jej cyniczna natura. Ten cynizm mógł zabić jej związek, ale mógł też przyczynić się do pojmania mordercy.

Jeb spotykał się z Marilyn Nelson, chociaż twierdził, że w jej mieszkaniu nigdy nie był (pomijając krótką rozmowę na sofie), więc jego odciski nie powinny się tam znaleźć – zwłaszcza zaś odciski w jej krwi. Pearl zastanawiała się, czy ufa mu na tyle, żeby założyć, że odcisk nie należy do niego. To dokładnie ten typ pytań, przez które większość jej relacji ostatecznie spotykał tragiczny finał.

*Czy ja mu mogę na tyle ufać?*

W tej chwili nie potrafiła na to pytanie odpowiedzieć. Brakowało jej jasności umysłu. Wiedziała tylko, że jeśli coś powie, to jej związek z Jebem się zakończy – bez względu na to, czy okaże się winny, czy nie.

*Nie, jeszcze nie.*

– Na co się tak gagicie, barany? – zapytała gniewnym tonem.

Quinn jeszcze przez chwilę się w nią wpatrywał, a potem zajął się papierami, które leżały przed nim na biurku. Fedderman się odwrócił i poszedł po faks – po kopię odcisku palca, którego Pearl nie chciała oglądać.

Godzinę później Renz zadzwonił ponownie. Odcisku nie udało się dopasować, nie znaleziono nic ani w bazie NYPD, ani w NCIC czy ViCAP6, ani nawet w obejmującym wszelkie dostępne dane systemie FBI IAFIS7. Wszystko wskazywało na to, że ani policja, ani wojsko, ani żadna instytucja rządowa nie miały w rejestrze sprawcy.

W mieszkaniu Marilyn znaleziono kilka odcisków, ale wszystkie należały do kobiet, elektryka, dozorczy albo jednego z trzech sąsiadów. Nie było wśród nich odcisków Jeba, zastanawiała się Pearl, ponieważ – jak powiedział – po raz pierwszy przekroczył jego próg już po morderstwie, tamtego dnia, gdy Pearl pierwszy raz go przesłuchiwała. A przecież nie opuścił wtedy salonu i nie dotykał niczego poza tapicerką mebla, na której odcisk i tak by nie został. Z całą zaś pewnością nie zaglądał do łazienki. Nie było więc potrzeby pobierać od niego odcisków palców. Pojawił się w mieszkaniu tylko raz, już po śmierci Marilyn, no i wszedł do środka może w sumie na trzy metry. To Pearl wiedziała na pewno.

Spojrzała na rozczarowane miny Quinna i Feddermana, swoich kolegów po fachu, i doszła do wniosku, że coś im była winna. Była to też winna sobie.

Wybrała moment, kiedy akurat nie zwracali na nią uwagi, chwyciła za słuchawkę i wybrała numer do Elli Oaklie do pracy. Gdy Ella odebrała, Pearl się przedstawiła i zapytała:

– Chciałam wrócić do tamtego wieczoru, kiedy to widziała pani w towarzystwie Marilyn tego mężczyznę, który przypominał pani Jeba Jonesa. Czy jest pani pewna, że wychodzili od niej z mieszkania?

– Absolutnie – powiedziała Ella. – Wydaje mi się, że właśnie schodzili po schodach na chodnik.

Pearl zdawała sobie sprawę, że pamięć świadka potrafi płatać figle.

– Tak pani sądzi? A czy jest możliwe, że spotkali się po prostu przy wejściu do budynku?

– Nie, Marilyn mi nawet powiedziała, że właśnie wychodzą na drinka. Zaprosiła mnie, żebym poszła z nimi.

– Może chciała być po prostu uprzejma?

– No tak, to możliwe.

*Możliwe. Niebezpieczne słowo.*

– A czy to możliwe, że widziała pani wtedy z nią tego samego mężczyznę, który się później pojawił w Pepper Tree?

– Owszem. Od początku pani mówiłam, że wydawało mi się, że to on. Ale pani nie bardzo chciała mi chyba uwierzyć.

Pearl się skrzywiła, słysząc te słowa. Ella miała rację: nie chciała jej wierzyć. To się zresztą nadal nie zmieniło.

Podziękowała Elli Oaklie i odłożyła słuchawkę. Na swoje wcześniejsze pytanie udzieliła teraz odpowiedzi przeczącej: nie miała dość zaufania do Jeba. Może w ogóle nikomu nie powinna za bardzo ufać, może na tym polegał jej problem. Problem, z którym teraz musiała się uporać. Stwierdziła, że nie ma innego wyjścia, jak tylko wyjawić partnerom swój związek z Jebem, zanim krwawy odcisk palca zostanie do niego przypisany.

Za oknem pracował młot pneumatyczny, więc czekała na chwilę ciszy. Odchrząknęła.

– Jest ktoś, od kogo powinniśmy pobrać materiał do porównania – powiedziała.

Quinn i Fedderman spojrzeli na nią tak, jak gdyby nic z tego nie rozumieli. Powtórzyła więc jeszcze raz to samo, a potem zaczęła tłumaczyć.

5 National Crime Information Center.

6 Violent Criminal Apprehension Program – Program Aresztowania Sprawców Przystępstw Brutalnych.

7 FBI Integrated Automated Fingerprint Identification System – Zintegrowany



Zautomatyzowany System Identyfikacji Odcisków Palców.

## Rozdział 46

Quinn się ewidentnie wkurzył. Gdy tylko Pearl skończyła mówić, wstał i zaczął chodzić po pomieszczeniu. W ogóle na nią nie patrzył, za to zaciskał zęby tak mocno, że aż mu się napinały mięśnie twarzy. Pearl z Feddermanem go obserwowali. W biurze panowała wyższa temperatura niż zwykle, a do tego w powietrzu unosiła się wilgoć i pył z budowy – a właściwie demolki – prowadzonej za oknem. Młot pneumatyczny przestał się odzywać, więc teraz słyszeli już tylko cichą pracę wiertła dentystycznego zza ściany.

– Może powinniśmy zwinąć tego całego Jeba Jonesa i pobrać od niego odciski? – zastanawiał się Fedderman.

Quinn się zatrzymał i na niego spojrzał. Na jego twarzy malowały się teraz spokój i rozważa. Nawet jeśli czuł wściekłość na Pearl, gniew postanowił sobie zachować na później. Chwilowo jego umysł zajmował się pogonią za zwierzyną.

– Nie chcę podejmować żadnych działań na podstawie jednego odcisku – powiedział. – Będziemy go śledzić. Spróbujemy się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

– Poluzujemy trochę żyłkę – uzupełnił Fedderman – żeby mocniej złapał haczyk. – Wykonał obiema rękami nagły ruch, jak gdyby ciągnął w górę mocno uchwyconą wędkę. Coś mu jednak zostało po wędkarskiej emeryturze na Florydzie.

– Najpierw się go kurczowo uczepimy – powiedział Quinn, psując całą metaforę. – Razem z Pearl siądziemy do komputerów, żeby sprawdzić, czy odciski Jeba Jonesa nie znajdują się przypadkiem w którejś z pomniejszych baz danych na terenie kraju, potem jedno z nas cię zmieni. Co kilka godzin dawaj znać, co on tam akurat kombinuje.

Poza dużymi oficjalnymi stronami, które korzystały z najskuteczniejszych technologii, istniało jeszcze całe mnóstwo mniejszych i mniej znanych witryn. Liczne serwisy społecznościowe, strony przedsiębiorstw z danymi o pracownikach oraz witryny zaściankowych posterunków czy biur szeryfów nie wiadomo skąd nie miały jeszcze okazji zespolić swoich materiałów z większymi bazami. Przeszukiwanie ich zawartości nawet w erze komputerowej można było spokojnie zakwalifikować jako policyjną brudną robotę. Rzadko to cokolwiek dawało, ale czasami na coś się trafiało – na tyle często, że trzeba było spróbować. Nie można było tego zrobić inaczej, jak tylko metodycznie.

– Przeszukiwanie kolejnych baz danych raczej na niewiele się zda – stwierdził Fedderman. – Przy nazwisku takim jak Jones...

Quinn zmrużył oczy i spojrzał na Pearl.

– A czy cokolwiek w jego zachowaniu mogłoby świadczyć o tym, że Jeb Jones to tylko pseudonim?

Pearl przestawała się bać, za to coraz bardziej się złościła – przede wszystkim na siebie, ale też na Jeba. To swoje napięcie mogła jednak spokojnie wyładować na kimkolwiek innym. *Odkochana, znowu w prawdziwym świecie. Znowu w tym gównie...* Może powinna iść za radą matki i spotkać się z tym wybitnie atrakcyjnym bratankiem pani Kahn? Jak się ten palant nazywał...? Milton?

– Pearl?!

– Jak uprawialiśmy seks, a ja podczas orgazmu krzyczałam: „Och, Jeb!”, to chyba nie miał

wrażenia, że mówię do kogoś innego.

Quinn patrzył na nią z kamienną twarzą, ale stojący za jej plecami Fedderman usiłował powstrzymać śmiech.

– Feds, spadaj – poprosił Quinn.

Fedderman chwycił marynarkę, którą wcześniej przerzucił przez oparcie krzesła, po czym udał się w kierunku drzwi. Odwrócił się do Pearl.

– Pensjonat Waverton. A numer pokoju pamiętasz?

– Poradzisz sobie – odparła. – W końcu jesteś detektywem.

Fedderman ostentacyjnie pokiwał głową z udawanym smutkiem.

– Naprawdę kręcił cię seks w hotelowym pokoju z facetem nazwiskiem Jones?

– Spadaj, Feds – powtórzył Quinn, jeszcze zanim Pearl zdążyła cokolwiek powiedzieć albo też sięgnąć po broń.

Fedderman uśmiechnął się szeroko dopiero, gdy już zamknął za sobą drzwi.

– Dupek! – rzuciła Pearl.

Quinn siedział już przy komputerze i skanował odcisk palca, żeby wprowadzić go do systemu i rozpocząć poszukiwania w nietypowych bazach danych. Zaczął od wydziałów policji w różnych odległych miejscach i miasteczkach. Jakiś czarodziej z wydziału technicznego NYPD tak im to wszystko ustawił, że każdy komputer korzystał z osobnego łącza. Quinn oznajmił, że przeszuka wschodnią część kraju, Pearl miała się zająć wszystkim na zachód od Missisipi.

*Świetnie, ten obszar obejmuje tylko kilka stref czasowych.*

Przysunęła się na krześle do biurka i rozpoczęła poszukiwania w internecie. Raczej nie należało się spodziewać, że coś się znajdzie, ale akurat w tym momencie dobrze było mieć coś do roboty.

Siedzieli nad tym przez trzy godziny bez rezultatu. Pearl zdążyłaby w tym czasie zgłodnieć, gdyby nie to, że żołądek podchodził jej do gardła. Rozparła się w fotelu, przyłożyła palce do nasady nosa i pochyliła głowę.

– Robimy przerwę na lunch? – zapytał Quinn. Najwyraźniej ciągle się jeszcze nie złościł.

Pearl nie podniosła wzroku.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

Liczyła na to, że Quinn podniesie ją na duchu. Chciała usłyszeć, że wszystko jest w porządku, że przecież nikt nie był w stanie przewidzieć, iż Jeb Jones zostanie podejrzanym, oraz że to jej prywatna sprawa, z kim sypia. Quinn tymczasem stwierdził tylko:

– Co się stało, to się nie odstanie. Pracujmy z tym, co mamy.

– To takie cholernie oczywiste – powiedziała Pearl.

– No to się na tym skupmy. Zapraszam cię na pizzę.

Wiedziała, że z jego strony na więcej w tej chwili nie może liczyć. Potrzebowała miłości, wsparcia, pocieszenia i przebaczenia. A dostanie pizzę.

Już w małej restauracji D'Joes w pobliżu biura – każde ze swoim kawałkiem pizzy pepperoni i swoją szklanką piwa przed sobą – prowadzili najpierw jakąś rozmowę o niczym, a potem zupełnie zamilkli. W końcu Quinn wziął duży łyk piwa, oblizał pianę z ust i powiedział:

– Nie przyszło ci czasem do głowy, że jeśli Jeb Jones jest Rzeźnikiem, to może widzieć w tobie swoją kolejną ofiarę?

Oczywiście, że przyszło jej to do głowy, ale starała się o tym nie myśleć. Teraz jednak

poczuła chłód w sercu. Gardło jej się zacisnęło, zdołała więc tylko pokręcić głową. Okłamała Quinna. To nie jego pieprzona sprawa.

– Jesteś brunetką, poza tym jest oczywiste, że mu się podobasz. Dlaczego miałabyś nie zostać bohaterką kolejnego z jego zagadkowych liścików? Dlaczego miałabyś nie zostać...

– Dosyć już, Quinn!

Ugryzła spory kawałek pizzy i skupiła się na przeżuwananiu.

– Dobra, ale się nad tym zastanów.

Pearl doskonale wiedziała, co pomyślał: mogłaby posłużyć za przynętę. Tylko czy się zgodzi. *Zgodzi się?*

Ale jej tego nie zaproponował. Bo chociaż z jednej strony coś jej mówiło, że Jeb może być mordercą, to z drugiej nadal nie do końca potrafiła w to uwierzyć. Może Quinn to rozumiał.

Przynajmniej po części.

Wrócili do biura i stwierdzili, że co prawda nadal jest w nim gorąco, ale przynajmniej zapadła cisza. Zasedli każde przed swoim komputerem, by znów zacząć przeszukiwać internet, ale Pearl zdążyła się już zastanowić nad tym, co jej powiedział Quinn. Zadzwoiła do jego córki, która właśnie zjawiała się w pracy. Ściszyła głos, żeby Quinn jej nie słyszał:

– Lauri, chcę cię zapytać o Jeba Jonesa – zaczęła. – Tego mojego znajomego, które poznałaś w Pepper Tree. Pamiętasz go?

– Pan atrakcyjny! – rzuciła Lauri.

*Chryste! Te nastolatki!*

– Widziałaś się z nim od tamtej pory?

Lauri nie odpowiedziała od razu.

– Lauri, musisz mi powiedzieć prawdę. To ważne.

– Spotkaliśmy się kilka razy. Raz byliśmy na lunchu.

– Co takiego? – wyrwało się zaskoczonej Pearl.

– Nie gniewaj się na mnie, Pearl. To nic nie znaczyło. Chciałam tylko, żeby Robaczek był zazdrosny.

*Jasne! Która kobieta wolałaby Robaczka, gdyby miała do wyboru pana atrakcyjnego?*

– Jak to się stało, że się pierwszy raz spotkaliście?

– Wpadliśmy na siebie?

– Jak? Gdzie?

Po drugiej stronie rozległo się długie westchnienie.

– Lauri, do cholery!

– No dobrze. Zobaczyłam Jeba, gdy za tobą chodziłam. Tak się w sumie kręcił w okolicach Pepper Tree, gdy ty akurat jadłaś lunch z jakąś kobietą. Rozmawialiśmy i ustaliliśmy, że nikomu nie powiemy o tym spotkaniu. Potem spotkałam go znowu kilka dni później. Wtedy też chwilę rozmawialiśmy i poszliśmy na lunch. Był jakby w przebraniu, miał dzinsy i czapkę Red Sox. Wyglądało to trochę tak, jak gdyby śledził cię tak samo jak ja, jak gdyby też chciał się nie rzucać w oczy.

*Trochę tak?* Pearl zamilkła na chwilę. Quinn może mieć rację. Mógł ją sobie wytypować na ofiarę.

– Wszystko w porządku, Pearl?

– Tak, Lauri.

– Muszę się zabierać do pracy.

– Idź, dziękuję.

Pearl odłożyła słuchawkę i przez chwilę siedziała zupełnie rozbita. Próbowwała znaleźć jakiegokolwiek racjonalne wytłumaczenie – inne niż mordercze plany – faktu, że Jeb ją potajemnie

obserwował. Ale skoro to on jest Rzeźnikiem, to czemu jej jeszcze nie zabił?

Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista: przydawała się mu. Dzięki niej mógł śledzić przebieg policyjnego dochodzenia.

– Mam coś – powiedział Quinn. Ekscytacja słyszalna w jego głosie mieszała się ze zdumieniem. Nachylił się tuż nad samym monitorem, zupełnie jakby zamierzał go ugryźć. – Znalazłem nasz odcisk.

## Rozdział 47

Pearl wstała z krzesła i teraz pochylała się nad Quinnem, opierając mu rękę na ramieniu, żeby lepiej widzieć.

– To nie jest ani strona kryminalna, ani wojskowa, ani nawet baza pracowników federalnych – powiedział. – To archiwum Wydziału Opieki nad Dzieckiem i Rodziną Stanu Floryda.

Pearl przeczytała informację, która widniała na ekranie. Odcisk prawego środkowego palca w dziewięćdziesięciu procentach odpowiadał materiałowi, który pobrano w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku od zaginionego dziecka na Florydzie, ostatnio zidentyfikowanego jako Sherman Kraft.

Pearl poszukiwała tego nazwiska w pamięci, ale nic jej nie przyszło do głowy. Przyglądała się, jak Quinn bawi się klawiaturą i myszą komputerową. Kliknęli w odnośnik i pojawiła im się całość historii.

W sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku w Harrison County w stanie Floryda znaleziono mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, który zupełnie zdezorientowany szwendał się po drodze pośród bagna. Ubranie miał postrzępione i zakrwawione. Był ranny w nogę i niedożywiony, najprawdopodobniej mieszkał na bagnie już od pewnego czasu. Poza tym znajdował się w szoku i nie odzywał się do nikogo ani słowem. Miejscowe media mówiły o nim po prostu jako o chłopcu z bagien. Dopiero po czterech dniach od jego odnalezienia ktoś rozpoznał go na zdjęciu w gazecie jako Shermana Krafta. Jego matka mieszkała w domu położonym z dala od ludzkich siedzib na obrzeżach bagna, ponad piętnaście kilometrów od miejsca, w którym go znaleziono. Przedstawiciele władz udali się do tego domu, ale niewiele więcej ustalili. Na miejscu nikogo nie zastali, matka Shermana, Myrna Kraft, została uznana za zaginioną. Z raportu wynikało, że nigdy jej nie odnaleziono. Przypuszczano, że w domu mogło dojść do naruszenia prawa albo że kobieta po prostu uciekła po tym, jak straciła – bądź porzuciła – syna. Archiwalne doniesienia skupiały się na samym Shermanie, o Myrnie już nic więcej istotnego nie napisano.

Quinn i Pearl śledzili rozwój tego wątku. Z kolejnych, zdecydowanie rzadszych doniesień prasowych dowiedzieli się, że Sherman w końcu zaczął mówić, ale nigdy nie opowiadał o swoich wcześniejszych doświadczeniach. Nie wyjaśnił też, dlaczego samotnie wędrował po drodze. Przypominał trochę ofiarę strasznego wypadku samochodowego, która w ogóle całego zdarzenia nie pamięta. Poza tym jednak jego umysł zdawał się działać bardzo sprawnie. Badania wykazały u chłopca zaskakująco wysoki iloraz inteligencji. Quinn i Pearl jak zahipnotyzowani czytali o tym, jak to Sherman wychowywał się w kolejnych instytucjach i rodzinach zastępczych, choć z racji swojej niezwyklej inteligencji mógł liczyć na szczególne względy oraz zdobywać dobre wykształcenie. Świetne wyniki w nauce oraz liczne stypendia pomogły mu ukończyć z wyróżnieniem Princeton w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, czyli w wieku dziesięciu lat. Chłopak uchodził za geniusza, ale był przy tym aspołeczny i arogancki. Zajmował kilka stanowisk, począwszy od kierownika restauracji, a na sprzedawcy obligacji skończywszy, i potem zniknął.

Znaleźli zdjęcia Shermana z Princeton. Quinn najechał na nie kursorem i kliknął, żeby uzyskać powiększenie. Pearl mocniej zacisnęła dłoń na jego ramieniu i nachyliła się, żeby im się przyjrzeć. Nie miała większych wątpliwości, że patrzy na młodego Jeba Jonesa. Nagle zabrakło jej tchu, a kolana się pod nią ugięły. W porę jednak usiadła po turecku na podłodze przy krześle

Quinna.

– Cholera jasna, Quinn!

Spojrzał na nią i dotknął delikatnie jej policzka wierzchem dłoni.

– Wszystko w porządku, Pearl.

– Naprawdę nawaliłam.

– Jeśli masz na myśli to, że ode mnie odeszłaś, to tak.

Odpowiedziało mu prychnięcie. *Na żarty mu się zebralo, dobre sobie.* Rozpląkała się.

– Nie o to mi chodziło, dobrze przecież wiesz.

– No tak – przyznał łagodnie.

– Taka cholerna wtopa...

– Nie do końca Pearl. Poza tym, niech to szlag, w końcu jesteś człowiekiem jak wszyscy.

– Czasem się zastanawiam, czy to prawda – powiedziała, przygryzając usta.

– Pearl...

Pociągnęła nosem, po czym wytarła go grzbietem dłoni i wstała. Quinn bez słowa obserwował, jak idzie do toalety, czyści nos i spryskuje sobie twarz zimną wodą.

Przez dłuższą chwilę stała, opierając się obiema rękami o umywalkę i wpatrując się w wodę znikającą w odpływie.

Wróciła do biura tylko w nieznacznie lepszym nastroju. Quinn nadal siedział przy biurku, lekko kołysząc się na obrotowym fotelu i obserwując drukarkę, która klekotała i warkotała, kolejnymi zrywnymi ruchami wypluwając informacje na temat Shermana Krafca, znanego również jako Jeb Jones. Gdy Pearl stanęła przy jego biurku, uniósł na nią wzrok.

Pracownicy budowlani skończyli przerwę, więc zza okna znowu dobiegały odgłosy pracy młota pneumatycznego, tym razem jakby ze zdwojoną siłą, jakby teraz pracowały tam dwa urządzenia. Najwyraźniej ktoś wezwał posiłki, żeby jeszcze bardziej utrudnić sytuację Pearl.

– Co teraz? – zapytała.

– Dzwonimy do Renza po nakaz i jakieś wsparcie, a potem jedziemy po Shermana Krafca.

Pearl skinęła głową. *Sherman Kraft. Jeb Jones.* Trochę to potrwa, zanim się przyzwyczai do tej myśli. Zanim oswoi się z tym uczuciem. Miała ochotę położyć się z powrotem na podłodze, zwinąć się w kłębek i spróbować jakoś zapanować nad chaosem w swojej głowie.

– Chcesz być przy tym aresztowaniu? – zapytał Quinn.

– Za żadne skarby świata sobie tego nie odpuszczę.

Młoty pneumatyczne pracowały na pełnych obrotach. Pearl wróciła do biurka i sięgnęła po broń.

## Rozdział 48

Wyruszyli pojmać bądź zabić człowieka, którego Pearl знаła jako Jeba Jonesa. Fedderman zabrał nieoznakowany radiowóz, więc pojechali wielkim lincolnem Quinna.

Szybko i wprawnie przedzierali się przez tłum samochodów w Midtown. Quinn rozmawiał z Renzem przez komórkę, umawiając się na spotkanie w okolicach Wavertonu. Już ustalono, że Jeb jest u siebie. Większość piętra udało się po cichu ewakuować. W odpowiednim momencie funkcjonariusze z oddziału specjalnego SWAT wjadą windą na piętro powyżej tego, na którym znajduje się pokój Jeba, żeby zabezpieczyć klatkę schodową. Potem zasilanie w windzie zostanie wyłączone, a na klatce schodowej poniżej rzezonego piętra oraz na schodach przeciwpożarowych ustawią się mundurowi. Jeb Jones znajdzie się w pułapce.

Quinn się rozłączył i skupił całą uwagę na przedzieraniu się przez gęszcz nieruchomych samochodów. Pearl w tym czasie wyjęła telefon, żeby zadzwonić do siebie do mieszkania i odsłuchać wiadomości. Może Jeb jej się nagrał. *O, mój Boże... Jeb...*

Zastanawiała się, czy zdoła go powstrzymać, jeśli on rzuci się do ucieczki. Jeśli postanowi podjąć walkę albo popełnić samobójstwo poprzez atak na policjanta, czy zdoła go zastrzelić? Sama ta wizja przyprawiała ją o skręt kiszek. Poczwała wręcz fizyczny ból, który kazał jej pochylić się nieco w samochodowym fotelu.

Przyciskając telefon do ucha, słuchała automatycznej sekretarki w swoim mieszkaniu. Czekwała jednak na nią wiadomość:

– „Pearl?” – Dzwoniła matka. – „Pearl, jesteś tam? Rozmawiałam z panią Kahn, bardzo to miła kobieta, o jej równie miłym, a do tego jeszcze przystojnym bratanku Miltonie, który często tu do niej przyjeżdża w odwiedziny. Zgodnie z moją sugestią pani Kahn do niego zadzwoniła, a on wykazał ogromne zainteresowanie nawiązaniem z tobą znajomości, moja droga. Że jutro akurat przypada dzień, w którym zwykle tu przyjeżdża, umówiłam nas z panią Kahn i jej bratankiem na lunch w bufecie tego naszego domu opieki. Będziecie się mogli poznać w niezobowiązujących okolicznościach. Potem, w stosownym momencie, pani Kahn i ja stwierdzimy zgodnie, że pora się udać na partyjkę madżonga, a wtedy wy dwoje zostanieie sami i natura będzie mogła dokonać tego, czego dokonuje jak nikt inny od tysięcy, jeśli nie milionów lat. Jesteśmy umówione jutro w południe, Pearl. Serwują pieczeń. Pieczeń to jedyne danie, które im tu wychodzi. Jest naprawdę smaczna, taka z grzybami, a grzyby to podobno afrodyzjak. Gdybyś się miała nie pojawić, koniecznie zadzwoń. Na twoim miejscu, moja droga, włożyłabym tę twoją granatową sukienkę i jakieś pasujące buty. Tylko nie ubieraj się na czerwono, Pearl. Jeśli zaś chodzi o dodatki...”

Pearl zatrzasnęła kłapkę telefonu, jak gdyby zaciskała potężne szczęki. Nie zwalniając, Quinn oderwał wzrok od ulicy, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć.

– Jakież kłopoty?

– Nie, jeśli tylko nad tym zapanuję, to nie.

Znowu spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Jones?

– Moja matka.

Pokiwał ponuro głową i jechał dalej.



Quinn machnął odznaką policjantowi w mundurze, który stał obok radiowozu zaparkowanego w poprzek ulicy w celu zablokowania ruchu. Funkcjonariusz się odsunął i gestem pokazał Quinnowi, że ma okrążyć radiowóz. Wymagało to wjechania przednim kołem na chodnik, ale Quinn nie widział w tym problemu. Pearl położyła ręce na desce rozdzielczej, żeby jej za bardzo nie wytrzęsło.

Quinn przejechał pół przecznicy i stanął na chodniku. Pensjonat Waverton znajdował się tuż za rogiem. Sąsiednia ulica również została zablokowana przez czarny samochód drogówki. Kilkanaście radiowozów i dwie nieoznakowane furgonetki stały tu i ówdzie w zupełnie przypadkowych konfiguracjach. Kilku policjantów z oddziału SWAT tłoczyło się jeden obok drugiego. W pobliżu zgrupowało się ze dwunastu mundurowych w kamizelkach kuloodpornych. SWAT został uzbrojony w ciemne i przysadziste karabiny automatyczne. Część mundurowych dostała strzelby. Quinn rozpoznał wśród nich Verna Shultsa oraz jego partnerkę, Nancy Weaver. Shults, tylko ze standardową dziewiątką w dłoniach, zbliżał się do emerytury, w ogóle go tu nie powinno być. Nieustraszona i rozpustna Weaver zaś trzymała strzelbę. Gdy zauważyła Quinna i Pearl, pomachała do nich. Z boku stała drobna kobieta z plecakiem. Mówiła coś do urządzenia, które wyglądało jak dyktafon.

Takiego wsparcia akurat Quinn nie zamawiał. Przyjechali tu aresztować mordercę, a nie wszczynać wojnę. Co ten cholerny Renz znowu...

Rzeczono Renza zauważyli w pobliżu jednej z furgonetek. Stał obok wysokiej blondynki, w której Quinn rozpoznał prezenterkę wiadomości emitowanych przez miejscową telewizję kablową. Wraz z Pearl właśnie szli w jego stronę, gdy na zablokowanej ulicy pojawił się telewizyjny van z jaskrawymi napisami. Zaparkował przy krawężniku naprzeciwko.

– Dobra – powiedział Renz na widok Quinna i Pearl. – To możemy zaczynać.

– Bo my już jesteśmy czy dlatego że przyjechali dziennikarze? – zapytał Quinn.

Renz puścił tę uwagę mimo uszu i powiedział coś do mikrofonu wpiętego w klapy. Prezenterka o jasnych włosach – Quinn właśnie sobie przypomniał, że nazywa się Mary Mulanphy – uśmiechnęła się lekko, ale jakby ze znawstwem.

– Co to za kobieta, tam obok ludzi ze SWAT? – zapytał Quinn.

– To Cindy Sellers z „City Beat” – odparł Renz. – Mamy u niej dług wdzięczności. To jej przypadnie zaszczyt opisanie sensacji.

Quinn zaczął się zastanawiać, czy dziennikarze nadal używali takiego określenia, gdy wśród policjantów zabezpieczających tyły nastąpiło jakieś poruszenie. Odpalono kilka silników, radiowóz sprawnie wycofał się do punktu, w którym jednokierunkowa ulica została zablokowana. Fedderman pojawił się jakby spod ziemi i oznajmił:

– Nadal jest u siebie w pokoju.

Renz schował brodę w piersiach i znowu powiedział coś w stronę klapy, a właściwie do dwukierunkowego mikrofonu. Z telewizyjnego vana wyłoniło się dwóch ludzi. Nieśli kamerę na ramionach. Szli powoli i ostrożnie, uginając się pod ciężarem technologii. Wyglądali trochę jak para takich, co to trochę za dużo wypili i teraz z dużą roztropnością stawiają każdy krok. Cały czas trzymając mniej więcej obrany kurs, przeszli przez ulicę, żeby być bliżej wydarzeń. Mary Mulanphy stanęła przed kamerą na środku ulicy i zaczęła mówić do bezprzewodowego mikrofonu. Quinn wiedział, że on i policjanci wokół niego stanowią teraz dla niej tło.

Renz znowu powiedział coś do klapy. Wypowiedział dokładnie te same słowa i uzyskał dokładnie taką samą odpowiedź. Czy teraz to był prawdziwy komunikat, czy znowu coś dla mediów?

Quinn rozejrzał się po ulicy i stwierdził, że oddział SWAT i większość mundurowych gdzieś zniknęły, podobnie zresztą jak jedna z nieoznakowanych furgonetek. Bez śladu przepadła również

Cindy Sellers. Kilka minut później Mulanphy wycofała się na swoich wysokich obcasach w miejsce, które zajmowała na początku. Zrećnie zesłała na bok i skinieniem głowy dała Renzowi znać: „Dalej kręcimy”. Quinn zwrócił uwagę, że tylko ona nie ma na ubraniu plam od potu. Najwyraźniej piekące słońce i żar lejący się z nieba w ogóle jej nie przeszkadzały.

– Zatrzymano ruch uliczny w okolicach hotelu – powiedział Renz głośno i bardzo wyraźnie. Spoglądał przy tym prosto na nieco zaskoczonego Quinna. – Zablokowaliśmy wszystkie drogi ucieczki. Czas zaczynać. Grupie detektywów prowadzących śledztwo towarzyszyć będą mundurowi, funkcjonariusze Shults i Weaver.

Quinn, Pearl i Fedderman spojrzeli po sobie.

Renz dodał:

– Wszystkich proszę o zachowanie ostrożności. Nie chciałbym, żeby komukolwiek cokolwiek się stało. – Spojrzał do kamery, udając, że dopiero teraz ją zauważył. Uniósł dłoń w jej kierunku i pokręcił głową. – Nie mamy teraz na to czasu. – Znow zwrócił się do Quinna i powiedział głośno: – Do dzieła!

Quinn gestem polecił swoim ludziom, by poszli za nim. Ruszył w kierunku rogu ulic. Zanim do niego dotarli, Pearl i Fedderman szli już u jego boku. Shults i Weaver, ona ze strzelbą, zamykali ten pochód. A właściwie prawie go zamykali, bo za nimi podążała jeszcze Mary Mulanphy ze swoją ekipą telewizyjną. Trzymali się jakieś piętnaście metrów za policją.

Renz został w punkcie zbiórki, żeby stamtąd wydawać rozkazy.

Pearl zaschło w gardle. Gdy zbliżali się do markizy wiszącej nad wejściem do hotelu, czuła się jak aktorka grająca w tandetnym filmie. Cały ruch, zarówno pieszy, jak i kołowy, ustał. Miała nadzieję, że przebywający w swoim pokoju Jeb nie zauważy tego nagłego braku odgłosów ulicy. Potem przypomniała sobie, że Jeb nie ma okna od frontu. Możliwe, że go zaskoczą. O to im chodziło.

Bez wahania skręcili i weszli do hotelowego lobby. W środku panowała niewiele niższa temperatura niż na zewnątrz.

– Wszystko w porządku, Pearl? – usłyszała głos Quinna. Brzmiał tak, jak gdyby dochodził z odległości znacznie większej niż tych kilkadziesiąt centymetrów, które ich dzieliło.

Skinęła głową.

W holu nie spotkali nikogo oprócz faceta w szarym biznesowym garniturze, który wcześniej prowadził tu działania operacyjne incognito, ale teraz wyjął odznakę i przymocował ją za pomocą skórzanego paska do kieszeni na piersi. Rozpiął marynarkę i wyglądał trochę jak strzelec ze starego westernu, który przygotowuje się do szybkiej wymiany ognia. Obsługa zniknęła zza kontuaru. Kolejny policjant po cywilnemu stał bez ruchu i z kamienną twarzą w przejściu prowadzącym do kawiarni. Windy zostały wyłączone, więc siły szturmowe sprawnie wspięły się po wyłożonych dywanem schodach na czwarte piętro, gdzie znajdował się pokój Jeba Jonesa.

– Cholera jasna! – usłyszała Pearl głos idącej za nimi blondynki z telewizji, której nazwiska nie potrafiła zapamiętać. Okrzykowi towarzyszył stłumiony odgłos, który wskazywał, że ktoś się potknął na schodach.

Pearl się domyślała, że to zostanie wycięte z relacji. Może potknął się ten biedny facet, który musiał taszczyć sprzęt, przez cały czas utrzymując ostrość i celując kamerą w odpowiedni punkt. Nie oglądała się, żeby sprawdzić. Na podeście trzeciego piętra stało dwóch policjantów ze SWAT z karabinami automatycznymi. Pearl wyjęła swojego dziewięćmilimetrowego glocka z kabury i mocno się skupiła.

Na czwartym piętrze panowała nienaturalna cisza. Słyszać było tylko ich kroki na miękkim

dywanie. Gdy zbliżyli się do pokoju Jeba, Pearl powiedziała:

– Ja zapukam. Powinien otworzyć drzwi, jeśli spojrzy w wizjer i mnie zobaczy.

– Nie wygłupiaj się, Pearl – stwierdził Quinn. – Daj się wykazać specjalistom.

Pearl spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Z zaskoczeniem stwierdziła, że dwóch policjantów z oddziału SWAT, których spotkali na trzecim piętrze, przyszło za nimi tu na górę.

– To medialny show dla Renza! – wyszeptła gniewnie do Quinna.

– Tylko nikomu o tym nie mów – odparł cicho, niewykluczone, że z uśmiechem.

– Jeśli zastrzelą Jeba...

Dwaj goście ze SWAT przeszli do przodu i wtedy Pearl się zamknęła. Spojrzeli na Quinna, a on skinął do nich głową.

Weszli z impetem. Jeden z nich miał taran przewieszony na pasach przez ramię i za jego pomocą roztrzaskał drzwi. Drugi wrzucił do środka granat hukowy. Rozległ się ogłuszający wybuch, który – jak doskonale wiedziała Pearl – nie powoduje żadnych szkód, jedynie ogłupia tymczasowo ludzi znajdujących się w pomieszczeniu. Policjant rzucający granat wykorzystał tych kilka cennych sekund, by wtargnąć do środka. Zaraz za nim wszedł ten, który wcześniej wyważał drzwi. Ciągle krzyczeli, że są z policji. Robili straszny hałas, który miał działać jako dodatkowy element zaskoczenia, a poza tym stanowił skutek wielkiego napięcia towarzyszącego akcji. Jasnowłosa prezenterka stojąca za plecami Pearl energicznie opowiadała coś do kamery. Jeszcze dalej z tyłu pojawiła się nagle Cindy Sellers, która też trajkotała coś do swojego dyktafonu.

*Chryste!* – pomyślała Pearl. *Muszę się dostać tam do środka!*

Czas pędził jak oszalały, a ona nie chciała zostać z tyłu. Serce waliło jej w piersi jak karabin maszynowy. Ruszyła w stronę pokoju, mijając Quinna i Feddermana. Weaver jednak zdołała ją wyprzedzić i teraz szła przed nią w tej swojej kamizelce kuloodpornej i z uniesioną bronią, roztaczając wokół siebie zapach starego potu i tanich perfum.

*Tylko go nie zastrzel, suko!*

Pearl trzymała glocka mocno przyciśniętego do uda. Weszła i się rozejrzała.

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że pokój został zwolniony – co przyniosło jej ulgę. Potem jednak w wąskiej przestrzeni między łóżkiem a ścianą pojawiła się dłoń z rozcapierzonymi palcami. Chwilę później druga. W wypełnionym dymem pomieszczeniu nagle zapadła cisza.

Jeb powoli wstał. Na jego twarzy malowały się zaskoczenie i strach, ale z pewnością nie panika. Na widok Pearl rozchylił usta, jak gdyby miał zamiar coś powiedzieć. Teraz wyglądał na rozczarowanego. Przez moment Pearl miała wrażenie, że zaraz się rozplacze.

*Cholera jasna, panuj nad sobą!* Przelknęła ślinę, we własnym odczuciu zdecydowanie zbyt głośno.

Wiedziała, że Quinn postanowił zorganizować to show specjalnie dla Renza. W końcu taka była umowa. Trzymał starą policyjną dziewiątkę obiema rękami. Celował w kierunku Jeba, ale na tyle nisko, że gdyby wystrzelił, pocisk trafiłby w łóżko.

– Shermanie Kraft! Mamy nakaz pańskiego aresztowania za zabójstwo Marilyn Nelson. Ma pan prawo...

Na dźwięk nazwiska Sherman Kraft na twarzy Jeba nagle pojawiło się zdumienie. Pearl jednak czuła i wiedziała, że zatrzymują właściwego człowieka. Na którego ona niesłusznie postawiła.

Znowu.

Udało się jednak rozwiązać sprawę. Zabójstwa się skończą. Ona się do tego przyczyniła. Słuchając, jak Quinn kończy odczytywać Jebowi, a właściwie Shermanowi, jego prawa,

trzymała emocje mocno na wodzy. Fedderman chwycił go za jedno ramię i wyprowadził zza łóżka, a następnie odwrócił i ściągnął oba ramiona za plecy. Pearl podeszła i nałożyła mu kajdanki. Z czysto policyjną miną patrzyła, jak go wyprowadzają. Przy okazji wymienili spojrzenia. Nie potrafiła stwierdzić, czy się zorientował, że to ona go zakuła.

– Ma pan coś do powiedzenia? – zapytała Jeba blondynka z telewizji, zwinnie wokół niego tańcząc i usiłując za nim nadążyć.

On spojrzał gdzieś prosto przed siebie.

– Tylko mojemu adwokatowi.

Pearl pomyślała sobie: *Drań!*

## Rozdział 49

Sherman Kraft siedział przy małym dębowym stole przymocowanym do podłogi w pokoju przesłuchań na policyjnym posterunku. Za nim stał funkcjonariusz w mundurze z ramionami skrzyżowanymi na piersi, co dodatkowo eksponowało jego potężne mięśnie. Quinn zapamiętał, że ten czarnoskóry facet o wąskiej talii nazywa się Shavers i wygrał podczas nauki w akademii konkurs podnoszenia ciężarów. Teraz musiał być już dobrze po pięćdziesiątce, chociaż wcale nie było po nim tego widać.

Oprócz dwóch nieruchomych postaci i stołu w pomieszczeniu znajdowały się jeszcze cztery drewniane krzesła. Wyglądały na niewygodne i faktycznie takie były. Na jednym z nich siedział – doświadczając tej niewygodności – Sherman Kraft.

Quinn, Pearl i Fedderman stali przed pokojem przesłuchań w towarzystwie Renza. Spoglądali na Krafta przez okno do obserwacji. Kraft ich nie widział, musiał jednak wiedzieć, że tam stoją, bo na pewno nieraz widział to w telewizji. Od czasu do czasu spoglądał w ich stronę.

Faktycznie nie zamierzał nic mówić do czasu pojawienia się adwokata, zaskoczył ich jednak, ponieważ poprosił o obrońcę z urzędu. O sprawie poinformowano instytucję, która zajmowała się przydzielaniem takich prawników.

– Nie wygląda na szczególnie zmartwionego – stwierdził Fedderman.

– Na pewno jest zafrasowany – powiedział Renz.

Pearl nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, jak ktoś o tak miłej i łagodnej aparycji miałby się wcielić w rolę zabójcy, który rozczłonkowane swoje ofiary i układa części ich ciał w wannie zgodnie z określonym rytuałem. Wiedziała już jednak, jak wiele rzeczy w życiu to pozory. Ta świadomość przerażała ją do żywego.

Do obrony Krafta przydzielono Lisę Parete. Kobieta była po czterdziestce. Jej kwadratową rumianą twarz otaczała cięta w kwadrat szara grzywka. Oczy miała niebieskie, ale zawsze z czerwoną obwódką i zapuchnięte, jak gdyby wiecznie obolałe. Renz rzucił na nią okiem. Miała na sobie szare spodnie i wygodne czarne buty. W rękę trzymała czarną skórzaną aktówkę. Uśmiechała się pewnie i przy każdym kroku energicznie wymachiwała teczką, jak gdyby w ogóle się nie przejmując, że może nią kogoś uderzyć.

– Twarda sztuka – powiedział Renz cicho.

Pearl uznała, że coś w tym jest. Ale czegoż innego należało się spodziewać?

– Lisa! – Renz wyszedł jej na spotkanie, a jego pucułowata twarz rozszerzyła się w uśmiechu.

Pareta niemal całkowicie go zignorowała. Trochę jej brakowało tchu, a twarz miała całą w wypiekach, ale zachowała powagę i zapytała:

– To jest mój klient?

– Ten bez munduru – stwierdził Renz.

Bez pytania wręczył jej nakaz aresztowania. Przejrzała go i oddała mu dokument. Spojrzała na nich wszystkich jak na podejrzanych, po czym stwierdziła:

– Zakładam, że odczytaliście mu jego prawa i że jeszcze nie był przesłuchiwany.

– Próbowaliśmy go przesłuchiwać – odparł Renz szczerze – ale milczy jak grób i czeka na posiłki.

Pareta podeszła do szyby i przez chwilę przyglądała się swojemu nowemu klientowi. Pearl zastanawiała się, co w tej chwili myśli.

- Chcę z nim zostać sama, bez obstawy – oznajmiła.
- Skoro jest pani taka dzielna – odparł Renz.

Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Pozostały otwarte jeszcze przez chwilę po tym, jak weszła, a Renz przyzwał gestem Shaversa.

Wszyscy obserwowali, jak Pareta siada naprzeciwko klienta i jak rozmawiają przez chwilę mocno do siebie nachyleni, zupełnie jak gdyby obawiali się, że mikrofon zainstalowany w pomieszczeniu może być włączony. Oczywiście obawiali się słusznie, ale jak każdy obrońca zajmujący się sprawami kryminalnymi Pareta doskonale wiedziała, że system nie jest na tyle czuły, by rejestrować rozmowy prowadzone szeptem. Po mniej więcej pięciu minutach adwokat wyprostowała się na krześle i gestem wezwała niewidoczną publiczność do środka.

Quinn, Pearl i Fedderman weszli do pomieszczenia. Renz pozostał na zewnątrz i słuchał. Quinn i Pearl zajęli dwa wolne krzesła, Fedderman stał. Pareta przeszła na drugą stronę stołu i usiadła obok swojego klienta.

– Mój klient twierdzi, że ma alibi na czas popełnienia niektórych zbrodni Rzeźnika – oznajmiła.

- Niektórych? – powtórzył Quinn. – Skazać można człowieka nawet za jedno morderstwo.
- Jeśli kogoś nie interesuje, żeby skazać faktycznego sprawcę...

Quinn utkwiał niewidzący wzrok w Shermanie Krafcie, po czym powiedział:

- Pańskie odciski palców są właśnie porównywane ze śladami zebranymi po mordercy.

Zostawił pan krwawy odcisk palca w mieszkaniu jednej z ofiar, w związku z czym dysponujemy pańskim DNA. Materiał zostanie porównany z DNA, które pobraliśmy, gdy pan tu trafił.

To nie była do końca prawda, krew bowiem mogła należeć do ofiary.

Kraft spojrział na Pearl, jak gdyby próbował się do niej odwołać.

- Ja nikogo nie zabiłem.

– I nie nazywa się pan Sherman Kraft – odparła Pearl gorzko.

- Nie – potwierdził podejrzany.

– W takim razie nie ma się pan czym martwić – stwierdził Fedderman i się uśmiechnął. – Nie nazywam się Sherman Kraft i nie mam się czym martwić. Nawet nie wezwałem na pomoc prawnika.

– Wspaniały to jest świat – powiedziała Pareta – w którym nikt się nie nazywa Sherman Kraft i nikt się nie ma czym martwić. Wszyscy powinniśmy iść to uczcić koktajlem mlecznym.

– Może raczej uczymy to zarzutem o morderstwo pierwszego stopnia? – stwierdził Quinn. Jeszcze bardziej skupił się na podejrzanym, który teraz chyba już nie potrafił uciec przed jego wzrokiem.

Quinn wyjaśnił, w jaki sposób ustalili jego tożsamość, jak sięgnęli do czasów, kiedy to Sherman został znaleziony na drodze pośród bagien Florydy, jak skończył studia w Princeton i zniknął ze swojej ostatniej firmy.

– Pani klient to bystrzacha – stwierdził Fedderman. Zauważył bowiem, że wzmianka o Princeton chyba jej zaimponowała.

- Ale nie jest na tyle bystry, żeby nie dać się przyskrzynieć – stwierdził Quinn.

Pareta się zachnęła.

– To trochę tak, jak gdyby miał pan chleb i musztardę i twierdził, że to byłaby kanapka z szynką, gdyby tylko udało się znaleźć szynkę. – Spojrzała na Pearl. – Pani nie ma za wiele do powiedzenia.

- Ja lubię słuchać – odparła Pearl.

Pareta bez ogródek zmierzyła ją wzrokiem, uśmiechnęła się lekko i przeniosła wzrok na Quinna.

– Zapoznałam się z dowodami. Czy naprawdę pan sądzi, że skaże mojego klienta na podstawie zdjęcia zrobionego mu na studiach w wieku dziewiętnastu lat? Jak przypuszczam, gdyby pan tylko chciał, zdołałby mnie pan przekonać, że ono przedstawia mojego siostrzeńca Homera.

– Jeśli to właśnie do Homera należą odciski palców i DNA znalezione na miejscu zbrodni wraz z materiałem pochodzącym od pani klienta, to on faktycznie może mieć pewne kłopoty.

Pareta zajrzała do teczki i wyjęła z niej kopię zdjęcia Shermana Krafta z Princeton, które przesłano do prokuratury. Spojrzała na nie, potem na Shermana.

– Dla mnie to nie wygląda jak ten sam facet.

Quinn udawał, że ziewa.

– Jak sama pani powiedziała, miał wtedy dziewiętnaście lat.

– Nie studiowałem w Princeton – powiedział podejrzany – tylko w Yale.

– To tam się pan uczył dziennikarstwa? – zapytała Pearl umęczonym, ale spokojnym głosem.

Panowała nad sobą. Wiedziała, że poradzi sobie z sytuacją.

– Nie jestem dziennikarzem – wyznał podejrzany.

– W takim razie pan mnie okłamał.

Pareta dotknęła lekko ramienia klienta.

– Na tym etapie nie musi pan nic mówić. Lepiej zachować milczenie, aż będziemy wiedzieć coś więcej.

– To nie ma znaczenia – powiedział podejrzany.

– Może on nie pamięta, że popełnił te wszystkie morderstwa – zasugerował Fedderman.

Pareta spojrzała na niego jakby z zadumą.

– Takie rzeczy się zdarzały.

Drzwi do pokoju przesłuchań się otworzyły i Renz włożył głowę do środka.

– Quinn, mogę cię prosić na chwilę?

Quinn zauważył, że Renz się poci. Odsunął krzesło i powiedział:

– Zaraz wracam. – Do podejrzanego zaś zwrócił się słowami: – Tylko niech pan nigdzie nie idzie.

– A pan to przypadkiem nie gra tu roli dobrego gliniarza? – zapytał Sherman, który widząc, że Quinn wychodzi, najwyraźniej postanowił się trochę powymądrzać. Musiał być bardzo pewny siebie albo naprawdę dobrze blefował.

Quinn musiał przyznać, że facet ma jaja. Ale miał go ochotę złapać za gardło i oszczędzić wymiarowi sprawiedliwości wysiłku (choć trudno powiedzieć, czy to raczej z uwagi na te morderstwa, czy na Pearl).

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. W tym momencie zauważył, że Renz stoi kawałek dalej przy kraniku z wodą. Spryskuje sobie twarz, najwyraźniej za bardzo nie przejmując się tym, że zmoczy koszulę i krawat. Na widok Quinna się wyprostował. Quinnowi nie spodobała się mina, która pojawiła się na jego ciągle jeszcze mokrej od wody twarzy.

– Zrobili odciski – powiedział Renz. – Nie zgadzają się.

Quinn był zaskoczony.

– Muszą się zgadzać.

– Muszą, ale się nie zgadzają.

– Rany boskie!

– Mało tego – powiedział Renz przez zaciśnięte gardło. – Za wcześniej jeszcze na wynik analizy DNA, ale w laboratorium mówią, że znaleźli trochę krwi na patyczku, za pomocą którego

pobierano materiał z dziąseł. Krew jest grupy 0. Tymczasem na odcisku jest krew grupy A, jaką miała ofiara.

– To znaczy, że to nie jest krew mordercy i że DNA też się nie będzie zgadzać.

– Właśnie. Tak samo jak odciski się nie zgadzają.

Quinn poczuł, że kręci mu się w głowie i jakby brakuje mu tchu. Już rozumiał, czemu Renz poczuł potrzebę spryskania twarzy wodą. Jeszcze kilka minut temu wydawało mu się to zupełnie niemożliwe, ale najwyraźniej aresztowali niewłaściwego człowieka.

Podszedł do kranika i wypił łyk wody. Próbował spowolnić bieg swoich myśli, żeby każdą z nich przeanalizować z osobna i jakoś złożyć je wszystkie w spójną całość.

– To musi być nasz koleś – powiedział, prostując się i wycierając usta wierzchnią częścią kciuka. – Zdołał nas jakoś oszukać.

– Nie bardzo wiem, jak miałyby to zrobić – stwierdził Renz z rezygnacją w głosie. – Nikt nie jest taki mądry.

– On jest akurat dość bystry.

Renz spojrział na niego i powiedział z powagą:

– Ty też, Quinn.

Quinn poczuł, że gniew, który wzbierał w nim powoli, teraz nagle przyspieszył, a do tego przybierał na sile. Ruszył przez korytarz i zamasztywym ruchem otworzył drzwi do pokoju przesłuchań. Wpadł do środka. Zza pleców usłyszał jeszcze wołanie Renza:

– Quinn!

Nie pamiętał potem, kiedy właściwie przeszedł przez pokój, ale szybko znalazł się nad podejrzanym, wymachując mu przed nosem potężną dłońią zaciśniętą w pięść, gotową do uderzenia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Pearl wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami. Pareta zaś podskoczyła. Jej mina wyrażała oburzenie i przerażenie.

– Detektywie! Niech się pan zastanowi, co pan robi! Do cholery, niech pan chwilę pomyśli!

Nieraz widywała już różne zagrywki w pokojach przesłuchań. Wiedziała, że trzeba to traktować poważnie.

Quinn na razie nie tknął podejrzanego, miał bowiem świadomość, że to by zmieniło przebieg gry i jego świat. System chronił mędy takie jak ta, która teraz wpatrywała się w niego pewnym siebie, zupełnie wolnym od strachu wzrokiem. Ten system zawiódł już nieraz.

– Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał łagodnym tonem, od którego Pearl zjeżyły się włosy na karku. Znała Quinna. Dobrze wiedziała, co może wróżyć ten jego spokój.

– Nie nazywam się Sherman Kraft – powiedział spokojnie podejrzanym. Najwyraźniej nie odczuwał w tej chwili strachu.

– Nie pytałem, kim nie jesteś.

– Wystarczy tego! – stwierdziła Pareta.

Rzuciła okiem w stronę lustra fenickiego, dobrze wiedząc, że stoi za nim Renz lub ktoś inny, kto może zakończyć tę rozmowę. Pearl spojrzała na Feddermana, który z kolei przeniósł wzrok na Quinna, by po chwili ponownie spojrzeć na nią. Pokręcił głową. Pearl ciężko oddychała. Skoro Jeb Jones nie był Shermanem Kraftem, to kim był?

– Jeb! – powiedziała ostrym tonem, wypowiadając to imię mimo woli. – Kim ty jesteś?

– Nie musi pan odpowiadać na to pytanie – pouczyła go Pareta. – Nie musi pan absolutnie nic tym ludziom mówić.

*Tym ludziom?*

– Pieprzyć twojego prawnika – stwierdziła Pearl.

– Pearl! – Fedderman machnął ręką, przestrzegając ją gestem, że ma zamilknąć. Jego rozpięty mankiet powiewał jak żagiel.



Podejrzany cały czas wpatrywał się wyłącznie w Quinna, odpowiadając mu na nieugięte spojrzenie podobnym wzrokiem. Na jego twarzy dało się dostrzec hardość, której Pearl wcześniej nie zauważyła, ale którą dobrze znała. Widywała ją u ludzi, którzy sięgnęli dnia, którzy wpadli w przepaść i zdołali się z niej wydostać, którzy zdawali sobie sprawę, że pewnego dnia do niej wrócą. W tym momencie dotarło do niej w pełni, że nie znała, w ogóle nie znała Jeba.

– Jestem bratem Shermana Krafra – powiedział.

Quinn się cofnął i stał teraz wpatrzony w ścianę za plecami podejrzanego i jego adwokata. Pearl nie potrafiła odwrócić wzroku od swojego dawnego kochanka, który właśnie znowu stał się kimś innym. Fedderman spacerował nerwowo po pokoju, nieświadomie usiłując zapiąć mankiet. Pareta zamknęła wysłużoną teczkę i wstała.

– Muszę wiedzieć, kogo reprezentuję.

– Reprezentuje pani mnie – powiedział podejrzany – chociaż to już nie potrwa długo, bo ja nie złamałem prawa.

Pareta przez chwilę się nad tym zastanowiła, po czym usiadła.

– A co pan robi w Nowym Jorku? – Quinn zwrócił się do podejrzanego.

– Jako pański adwokat... – zaczęła Pareta.

– Robimy to samo co wy – poinformował Quinna podejrzany, zupełnie lekceważąc prawniczkę i jej porady. – Szukamy Shermana.

– My? – zapytał Quinn. – Czyli pan i kto jeszcze?

– Sherman nie jest tak do końca moim bratem. Jest tylko bratem przyrodnim.

– Pan i kto jeszcze? – powtórzył pytanie Quinn.

– Nasza matka.

## Rozdział 50

Odkąd Maria Cirillo postanowiła pożegnać się z Nowym Jorkiem, w jej duszy zagościł spokój. Dość już miała walki z tym miastem, które w takim szaleńczym tempie biegło w miejscu, które wypełniało jej serce i umysł dzwonieniem i szmerem rozmów, które na nią naciskało i naciskało...

Wczoraj straciła dorywczą pracę w rejestracji u optometrysty na Dziesiątej Ulicy. To był ostateczny i decydujący cios. Doktor Wolff oznajmił jej, że postanowił przejść na emeryturę i zamknąć gabinet i że obowiązki recepcjonistki i rejestratorki może przez kilka kolejnych miesięcy pełnić jego córka. zaproponował Marii najlepsze możliwe referencje i powiedział, że bynajmniej nie rozstają się z powodu jakości jej pracy. Po prostu stwierdził, że pora, by wraz z chorą żoną wyprowadził się z miasta i przeniósł na Florydę. Maria otrzymała hojną odprawę, która jednak w nowojorskich warunkach na niezbyt długo by jej wystarczyła.

Większość tych pieniędzy wykorzystwała na zakup biletu lotniczego do miasta znajdującego w zasięgu podróży samochodowej od Homestead w stanie Arizona. Studiowała przez trzy lata na uczelni prawniczej John Jay, więc spodziewała się bez trudu znaleźć pracę na małym miejscowym posterunku policji. Dorastała w Homestead, tam miała przyjaciół i rodzinę, tam chodziła do szkoły i romansowała z obecnym szeryfem policji, który – jak dowiedziała się z ostatniego listu od matki – właśnie zamierzał rozwieść się z żoną.

Maria nie zamierzała odgrzewać starej relacji, ale miała świadomość, że los takim historiom sprzyja i że coś takiego po prostu może się wydarzyć. Miała dopiero dwadzieścia sześć lat, szeryf – dwadzieścia osiem. Oboje byli młodzi. On był przystojny, a Maria – z ciemnymi włosami do ramion, bladą cerą i szeroko rozstawionymi brązowymi oczami – zasługiwała na miano piękności, z czego zresztą doskonale zdawała sobie sprawę. Jej drobne i giętkie ciało nie zmieniło się od czasu liceum. Szeryf z pewnością ją rozpozna. Wysoka dziewczyna o jędrnych piersiach i wąskiej talii, o nogach może nie przesadnie długich, ale kształtnych i umięśnionych, ze znamieniem w kształcie truskawki w pobliżu lewego sutka, które to znamię można by wziąć za jeszcze jeden sutek... Szeryf na pewno przypomni sobie dawne czasy.

W Nowym Jorku Maria dość często się z kimś umawiała i odganiała od siebie różnych dziwaków i natrętów. O komendancie pomyślała, gdy stała pod letnim prysznicem z głową odchyłoną do tyłu, z twarzą z dala od igiełek wody, którą splukiwała szampon z włosów.

*Tylko nie wybiegaj myślami za bardzo w przyszłość* – próbowała nieco poskromić swój optymizm, ale wizja życia w Homestead wydawała jej się zdecydowanie bardziej atrakcyjna niż w Nowym Jorku. Tam bywa gorąco, a na dodatek sucho, ale dzisiejszy dzień dowodzi, że Nowy Jork też potrafi dopiec. Przeczesała palcami włosy, żeby przyspieszyć płukanie, gdy nagle stwierdziła, że nuci sobie pod nosem.

Różne wydarzenia i okoliczności utwierdzały ją w przekonaniu, że pora już odpuścić zmagania z metropolią i wrócić do domu z tym wszystkim, czego się nauczyła – jeśli nawet nie zwycięsko, to z pewnością z zadowoleniem.

Do lotu do Phoenix pozostały jej dwa dni. Umowa najmu malutkiego mieszkania na Lower East Side kończyła się za miesiąc. Nie zamierzała wyklócać się z potwornie nieprzystępnym zarządcą nieruchomości o zwrot kaucji w wysokości miesięcznego czynszu. Postanowiła po prostu nie opłacać ostatniej należności i tym samym wyrównać rachunek.

Może dokończy studia na Uniwersytecie Stanu Arizona, niedaleko od domu, a może pójdzie

do pracy jako policjant mundurowy w Homestead, żeby z czasem zasłużyć sobie na awans. Chciała trochę zarobić. Dość miała biedy.

Zmarszczyła oczy pośród strumienia i przekreśliła kran, żeby temperatura wody spadła. Potem wyszła zza plastikowej zasłony i zaczęła się wycierać do sucha. Opuściła łazienkę naga, z wilgotnymi i lepкими włosami. Od razu zauważyła długie białe pudło na środku łóżka. Zatrzymała się i wpatrywała w nie przez chwilę.

*Kwiaty? Kto mógł je przysłać?*

Prawa strona jej głowy eksplodowała nagle bólem tak jasnym, że aż oślepiającym. Pod prawym policzkiem poczuła sztywne włosie dywanu.

*Musiałam się przewrócić... To dziwne...*

Ból się nasilił, ale teraz w pokoju zapanował mrok. Robiło się coraz ciemniej, wszystko tonęło w cierpieniu i się rozplýwało.

Maria ocknęła się na łóżku. Leżała na plecach w tym samym miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się pudło.

*Białe pudło...*

Głowa ją bolała i było jej zimno. Poza tym... Dlaczego tak ciężko jej się oddychało?

Mogła oddychać tylko przez nos? Miała coś na ustach i to coś łączyło jej wargi.

Wpadła w panikę i próbowała coś krzyknąć, a potem podnieść się z łóżka. Wtedy stwierdziła, że nie może poruszyć ani rękami, ani nogami. Nie mogła też wydać z siebie dźwięku, który dotarłby dalej niż na trzy metry.

*Spokojnie. Cholerna jasna, tylko spokojnie!*

Szamotoanina, która mocno wstrząsała łóżkiem, ale nie przynosiła żadnych rezultatów, stopniowo traciła na sile, aż w końcu Maria postanowiła leżeć w bezruchu i zastanowić się nad swoją sytuacją.

*Jestem związana taśmą. Mam taśmę na ustach, wokół nóg i rąk, jest zaciśnięta tak mocno, że krązenie mi się zatrzyma. Głowa ciągle mnie boli. Mam świadomość, że nie jestem jeszcze w stanie trzeźwo myśleć.*

Maria czytała o Rzeźniku, na uczelni też się o nim sporo mówiło, ale jakoś nie potrafiła powiązać tych faktów ze swoją sytuacją. Takimi rzeczami to się człowiek zajmuje naukowo, ich ofiarami padają inni. To materiał na wykład albo na lekturę do śniadania. Wygięła szyję, żeby się rozejrzeć. Nasłuchiwała. W sypialni chyba nikogo poza nią nie było. W mieszkaniu jednak nie była już sama.

Coś słyszała: cichy stały dźwięk. Woda w łazience.

Nagle dźwięk ucichł.

W łazience zmieniło się światło i ktoś się pojawił. Maria podniosła głowę z materaca i zobaczyła, że do pokoju wchodzi umięśniony mężczyzna średniego wzrostu. Miał pewnie trochę ponad trzydzieści lat, był dość przystojny i... nagi.

*To niemożliwe. Niemożliwe.*

Uśmiechnął się do niej, po czym się pochylił i włożył jedną rękę pod jej szyję, drugą zaś pod nogi.

*Niemożliwe!*

Uniósł ją delikatnie i trzymał, jak gdyby miał ją przenieść niczym narzeczoną nad progiem. Zaniósł ją do łazienki. Jej umysł, ciągle jeszcze oglupiony bólem i zaskoczony sytuacją, doszedł do szalonego wniosku, że oto ten mężczyzna przybył jej na ratunek. Maria wiedziała, że to absurdalna koncepcja, ale kurczowo się jej trzymała.

W każdym razie do momentu, kiedy położył ją w niemal pełnej wannie, uniósł kostki i zepchnął jej głowę pod wodę, a chłodna ciecz wlała jej się do nosa.

W tym momencie Maria odzyskała pełną świadomość. Pełniejszą niż kiedykolwiek w życiu.

*Proszę!*

Próbowała unieść głowę, ale on trzymał rękę na jej czole, jak gdyby sprawdzał temperaturę. Nie miała punktu podparcia. Fizyka stała po jego stronie. Uniósł jej kostki jeszcze trochę i wtedy nagie pośladki przesunęły się po gładkiej powierzchni wanny, a ona zanurzyła się jeszcze bardziej. Mężczyzna spokojnie trzymał jej głowę kilka centymetrów pod powierzchnią.

*Proszę! To niesprawiedliwe! Dlaczego to robisz? Na litość boską, dlaczego...*

Patrzyła przez zimną przejrzystą wodę, jak on się jej przygląda, kiedy tonie.

*Proszę!*

## Rozdział 51

– Mówiłem, że nie będę potrzebował prawnika – powiedział Jeb Kraft.

W pokoju przesłuchań robiło się coraz cieplej – od nagromadzenia ludzkich ciał, ale też dlatego że detektywi z posterunku starali się utrzymywać w pomieszczeniu wysoką temperaturę. Wraz ze wzrostem temperatury rosło też napięcie, a to czasami znajdowało właściwe ujście.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała Pareta do Jeba. – Może powinnam zostać. Nadal rozmawia pan z policją i nadal potrzebuje porady prawnej, a ja tu jestem *pro bono*.

Uśmiechnął się.

– Pewnie ma pani rację. Potrafi się pani sprzedać.

Pearl wiedziała, że Jeb właśnie raczy prawniczkę swoim urokiem osobistym. Wiedziała także, że ona daje się na to nabrać.

Quinn zmienił pozycję na niewygodnym krześle, które w związku z tym zaskrzypiało. Spoglądał na Jeba z wyczekiwaniem.

– Czekamy na prawdę. Niech Bóg ma pana w swojej opiece, jeśli się nie doczekamy.

– Może pan sobie taką gadkę odpuścić – stwierdziła Pareta.

Quinn nie musiał jej mówić, że znalazła się w tym pokoju, bo jej nazwisko było akurat na szczycie listy dyżurnych prawników. Pareta z wielką radością odebrała wiadomość, że ma bronić jednego z najstraszliwszych morderców miasta – przynajmniej do czasu, gdy jakiś droższy i bardziej renomowany adwokat zechce ją zastąpić, co niewątpliwie by się zdarzyło. Teraz występowała już tylko w obronie niesłusznie oskarżonego człowieka. Wszyscy więc ją ignorowali, a ona najwyraźniej tego się spodziewała. Po prostu próbowała wtrącić swoje trzy grosze.

Jeb trochę się nachylił, oparł łokcie na stole, odchrząknął i zaczął:

– Nazywam się Jeb Kraft. Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym w Slidell w stanie Luizjana. Moją matką jest Myrna Kraft. Moim ojcem był Samuel Pickett, który nie żyje. Chodziłem do Yale, nie do Princeton. Moja matka miała drugiego syna, dziesięć lat ode mnie starszego. Nazywa się Sherman Kraft. Kiedy przeczytaliśmy z mamą w gazecie w Louisville o morderstwach Rzeźnika, wiedzieliśmy, że to Sherman. Nie było innej możliwości. On nigdy nie był... jak by to powiedzieć... normalny. Mama twierdziła, że lubił zabijać zwierzęta i je ciąć, a potem rozczłonkowały i myć te fragmenty, jak gdyby w ten sposób chciał się oczyścić i usprawiedliwić swoje czyny. Wiedzieliśmy, że coś musimy zrobić, ale nie chcieliśmy, żeby Sherman został zabity ani żeby się zabił w celu uniknięcia pojmania. Więzy krwi to jednak więzy krwi, są ważniejsze niż krew nieznanymi kobiet. Przyjechaliśmy z mamą do Nowego Jorku, żeby go powstrzymać.

Quinn odruchowo dotknął kubańskiego cygara, które miał w kieszeni koszuli (choć oczywiście w pokoju przesłuchań nie mógł zapalić).

– To jest ten sam Sherman Kraft, który się szwendał samotnie po Harrison County na Florydzie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, a potem przeszedł na utrzymanie stanu?

– Ten sam – potwierdził Jeb.

– Gdzie jest teraz pańska matka?

– Zatrzymała się w hotelu Meredith, na East Side.

Quinn znał ten hotel: duży i stary, ale ciągle elegancki. W takich miejscach zatrzymują się zwykle dyplomaci średniego szczebla i personel linii lotniczych, a także turyści zainteresowani

odwiedzeniem położonej zaledwie kilka przecznic dalej siedziby Narodów Zjednoczonych. Spojrzał na Feddermana, który skinął głową i wymknął się z pokoju przesłuchań. Jeb Kraft sprawiał wrażenie, jak gdyby tego nie zauważył. Quinn jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, że to tylko wrażenie. Mało co uchodziło uwagi jego podejrzanego.

– Dlaczego podczas poszukiwań brata posługiwał się pan innym nazwiskiem?

– Stwierdziliśmy, że tak będzie łatwiej i dla nas, i dla Shermana. Nie chcieliśmy ściągnąć na siebie uwagi w sytuacji, gdyby policja odkryła jego tożsamość i podała nazwisko do publicznej wiadomości. Chcieliśmy dotrzeć do niego pierwsi, chcieliśmy go nakłonić, żeby oddał się w ręce organów ścigania, żeby przestał zabijać i sam uniknął śmierci.

– I znalazł pan sposób na to, żeby z bliska obserwować przebieg śledztwa – stwierdził Quinn.

– Nawiązał pan relację z jednym z detektywów.

Jeb spojrział na Pearl.

– Pewnie można to tak ująć. Chociaż raczej po prostu pozwoliłem na to, że pani detektyw nawiązała relację ze mną. Udawałem, że znałem Marilyn Nelson, żeby wzbudzić zainteresowanie detektyw Kasner, a potem... nasza przyjaźń przeistoczyła się w coś więcej.

Pearl poczuła ucisk w żołądku.

– Udawał pan, że przekazuje detektyw Kasner informacje dotyczące śledztwa, podczas gdy w rzeczywistości to pan potajemnie wydobywał od niej fakty – stwierdził Quinn.

– Można to tak ująć.

– Czy pan by to tak ujął?

Znowu spojrzenie na Pearl.

– Tak, tak bym to ujął. Musi pan zrozumieć, że przyjechaliśmy tu wyłącznie po to, żeby odnaleźć Shermana, zanim zrobi to policja. Co nie znaczy, że nie darzyłem... że nie darzę Pearl sympatią.

– A tymczasem Sherman cały czas zabijał.

– Nam również zależało na tym, żeby ocalić życie ewentualnych przyszłych ofiar. To oczywiste. Uznaliśmy, że słusznie robimy, podążając za policją w tym kierunku, w którym ona i tak zmierza. Myśleliśmy, że może uda nam się coś zrobić dla Shermana, jakoś ułatwić jego aresztowanie tak, żeby nikomu nic się nie stało. Mieliśmy dobre intencje.

– Czy przed przyjazdem do Nowego Jorku pan albo pańska matka mieliście jakikolwiek kontakt z Shermanem?

– Nie, mogę przysiąc, że nie.

Quinn ze znużeniem przetarł twarz dużymi dłońmi i rozsiadł się na krześle. Mebel ponownie zaskrzypiał złowrogo pod ciężarem jego ciała.

– Czy ma pan jakikolwiek konkretny dowód na to, że to pański brat Sherman Kraft jest mordercą?

Jeb mrugnął.

– Dowód w sensie prawnym? Nie.

– To dlaczego jest pan tak głęboko przekonany o jego winie?

– Bo mama jest.

Pearl dostrzegła subtelną zmianę w zachowaniu Quinna. Złapał trop. Już nie wydawał się zmęczony.

– Jest pan kawalerem, Jeb?

– Tak. Mieszkałem kilkakrotnie z kobietami, ale nigdy się nie ożeniłem.

– A teraz ma pan taką partnerkę?

Jeb uciekał wzrokiem przed Pearl.

– Nie, niestety już nie.

Pearl zastanawiała się, jak mogła się zakochać w takim dziwaku.

– Czy nadal mieszka pan z matką, Jeb?

– Oczywiście, że nie. Mieszkam w Bostonie, gdzie mam też biuro. To znaczy pracuję z domu. Jestem arbitrażystą.

– Któż to taki?

– To skomplikowane. Zarabiam na różnicach kursów walut oraz na zmianach cen pewnych towarów.

– Czyli jest pan traderem.

– Nieco upraszczając, tak.

– Pańska matka mieszka sama w Luizjanie?

– Tak, ale pomijając odległość, utrzymujemy bliski kontakt. Prawie codziennie rozmawiamy przez telefon.

– Dlaczego ona się zatrzymała w innym hotelu niż pan?

– Postanowiłem wybrać lokum, które lepiej pasowało do mojej roli dziennikarza z trudem wiążącego koniec z końcem.

– Do pańskiej przykrywki.

– Tak. Czy złamałem w ten sposób prawo?

– Czy złamał pan prawo, angażując się w toczące się śledztwo w sprawie zabójstwa?

Owszem, złamał pan.

– Szukał brata – stwierdziła Pareta. – Próbował pomóc.

Quinn się roześmiał.

– Proszę nam tego oszczędzić, pani mecenas. Proszę za to powiedzieć swojemu klientowi, że największe szanse na wypłatanie się z całego tego bałaganu ma, jeśli powie nam całą prawdę.

– Ja bym radziła mojemu klientowi już w ogóle z wami nie rozmawiać. Pan mu zagroził postawieniem poważnych zarzutów kryminalnych.

– Nadal cięży na nim taki zarzut, zarzut morderstwa.

Pareta uznała, że teraz ona może się roześmiać. Dość dobrze jej to wyszło.

– A gdzie ma pan jakieś dowody?

– Chodzi o to – oznajmił Quinn – że zarzut nie został jeszcze oficjalnie wycofany.

– W takim razie jako adwokat pana Krafta...

Jeb uniósł rękę, prosząc o ciszę, jak gdyby chciał uspokoić sytuację.

– No dobrze, to policja już teraz o nas wie. Jeśli moje zeznania pomogą odnaleźć Shermana, to chcę zeznawać. Trzeba go powstrzymać.

Skierował wzrok na Pearl, tym razem spoglądając jej prosto w oczy. Znowu próbował ją oszukać i ona to doskonale wiedziała. Patrzyła teraz na tego nowego Jeba dokładnie tak samo, jak patrzył na niego Quinn.

– Co o tym myślisz, Pearl? – zapytał ją Jeb szczerze.

– Myślę, że jesteś winny jak cholera. Ponosisz winę za wiele rzeczy.

– Wróćmy może do punktu, w którym skończyliśmy – stwierdził Quinn.

– Czyli do czego? – zapytała Pareta.

– Do mamy.

## Rozdział 52

Mniej więcej godzinę później Quinn i Pearl dołączyli do Feddermana w przestronnym lobby hotelu Meredith. Pomijając kiepską akustykę, wewnątrz dobrze się prezentowało. Zostało wyłożone szarym marmurem z licznymi żyłkami, ozdobione ciemnymi polerowanymi panelami i wielkim brązowym dywanem, a całości dopełniały liczne brązowe skórzane fotele stojące pośród paproci. Gdyby jednak przyjrzeć się bliżej, można by dostrzec spękania w marmurze, wytarcia na dywanie i lekkie zużycie mebli. Paprocie, chociaż nowe, były sztuczne i nie za bardzo przypominały oryginały.

– Jeszcze nie wróciła – stwierdził Fedderman. Już po drodze dowiedzieli się przez telefon, że Myrna Kraft, która zameldowała się w hotelu pod własnym nazwiskiem, akurat gdzieś wyszła. – Recepcjonista wskaże mi skinieniem głowy, że wróciła.

Quinn rozglądał się po lobby. Drzwi jednej z wind się otworzyły i ze środka wyłoniła się para, która wyglądała na nastolatków. Z chichotem ruszyła w stronę wyjścia na ulicę. Po drugiej stronie holu, w pobliżu zamkniętego sklepiku z różnymi mniej lub bardziej przydatnymi przedmiotami oraz wyposażeniem podróżnym, siedziały w fotelach dwie starsze panie. Recepcjonista, szczupły Afroamerykanin zdecydowanie w wieku średnim, a do tego nierówno łysiejący, stał za ladą i przerzucał jakieś papiery. Przez obrotowe drzwi właśnie wszedł do środka boj hotelowy.

– Poczekajmy na nią tutaj. Jak wróci do siebie, pójdziemy do pokoju i tam z nią porozmawiamy – zdecydował Quinn.

Siedzieli we trójkę w fotelach. Fotel Quinna jęknął i przyjemnie go otulił. W pobliżu stała lampa, która ogrzewała połowę twarzy detektywa. Gdyby nie silne emocje, Quinn mógłby tu przysnąć.

– Ile jeszcze... – zaczęła Pearl ze zniecierpliwieniem, zaraz jednak zamilkła, ponieważ w obrotowych drzwiach pojawiła się wysoka i szczupła kobieta w beżowych spodniach i swetrze, spod którego wystawała żółta bluzka. Pearl zwróciła uwagę, że buty ma bez obcasów. Po prostu była wysoka. Swobodnie wymachiwała długimi ramionami, nie miała bowiem nic w dłoniach, nawet torebki.

Fedderman spojrział w kierunku recepcjonisty, który skinął do niego głową.

– To ona — powiedział.

Kobieta przeszła obok, ale nie zauważyła ich pośród tych niby-paproci. Miała już dobrze ponad pięćdziesiąt lat, ale poruszała się z naturalnym wdziękiem, którego nie nauczy nawet szkoła dla modelek. Kształt kości policzkowych i linia szczęki pomagały jej starzeć się z urokiem. Oczy miała ciemne, głębokie, szeroko osadzone. W sam raz dla gwiazdy filmowej.

– Chryste! – wyszeptał Fedderman.

Quinn i Pearl doskonale rozumieli, co chciał przez to powiedzieć.

– Ona wygląda jak ofiary Rzeźnika – stwierdziła Pearl. – Ten sam typ.

– Prawie identyczna – potwierdził Fedderman. – Mamy podręcznikowy przykład seryjnego mordercy, który raz za razem wykańcza własną matkę...

Przyglądali się Myrnie, która czekała na windę. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej. Quinn domyślał się, że najwyraźniej nie widziała wiadomości i nie słyszała, że jej syn Jeb został aresztowany. Gdy drzwi do windy się za nią zamknęły, trójka detektywów wstała.

– Pokój sześćset dwadzieścia – powiedział Fedderman.



Ruszyli przez hol i doszli do wind. Recepcjonista wrócił do przekładania papierów i już na nich nie patrzył.

– Da jej znać, że do niej zmierzamy? – Quinn zwrócił się do Feddermana.

– Nie, chyba że koleś jest jej trzecim synem. To raczej nie jest taki hotel, w którym ostrzega się klientów przed policją.

Quinn nie był co do tego przekonany, ale dał sobie spokój. Myrna Kraft i tak raczej nie próbowałyby przed nimi uciec, nawet gdyby wiedziała, że znają jej tożsamość i tożsamość jej syna. Sprawiała wrażenie kobiety, która raczej przed niczym nie ucieka.

Wjechali windą na szóste piętro, minęli pokojówkę, która pchała piszczący wózek z bielizną. Uśmiechnęła się do nich nieśmiało, ale grzecznie. Poza tym korytarz był pusty. Quinn zapukał spokojnie do drzwi pokoju numer sześćset dwadzieścia. Światło za wizjerem się zmieniło, a potem drzwi się otworzyły i Myrna Kraft spojrzała na nich z ciekawością.

Quinn był zaskoczony, bo z bliska nie wydawała się już tak wysoka jak w lobby. Złudzenie wysokiego wzrostu wynikało zapewne z budowy ciała i wyprostowanej sylwetki. Miała też w sobie coś jeszcze, jakąś taką niemal namacalną energię. Jej wzrok mógłby zatrzymać w miejscu w zasadzie wszystko. Za młodu Myrna Kraft musiała być naprawdę atrakcyjną kobietą.

– Taak? – Nawet w tym jednym, nieco przeciągle wypowiedzianym słowie pobrzmiwał południowy akcent.

– Myrna Kraft? – zapytał Quinn.

– Zgadza się.

– Jesteśmy z policji, proszę pani.

Quinn pokazał jej odznakę, a ona uważnie ją obejrzała. Potem spojrzała wyczekująco na dwoje pozostałych detektywów. Wpuściła ich do środka dopiero, gdy oni również się wylegitymowali. Quinn zwrócił uwagę na lekko wyczuwalny gryzący zapach, który kojarzył się mu ze środkiem owadobójczym albo dezynfekcyjnym. W pokoju panował nienaganny porządek. Potem przypomniał sobie, że na korytarzu mijali pokojówkę.

– Zatrzymaliśmy pani młodszego syna, Jeba – powiedział. Nie wspominał o tym, że Renz uprzedził go o konieczności zwolnienia podejrzanego w ciągu zaledwie kilku godzin z uwagi na natrętną Parete, która nieustannie drążyła sprawę i formułowała groźby.

W oczach Myrny coś się zmieniło, trzeba się jednak było bardzo uważnie przyjrzeć, żeby to zauważyć. Quinn stwierdził, że ma niewątpliwie talent aktorski, podobnie jak jej syn, a zapewne obaj. Najwyraźniej to dziedziczna zdolność.

– Zatrzymaliście mojego syna Jeba? A dlaczego? Pod jakim zarzutem?

– Morderstwa. – Teoretycznie Quinn ciągle jeszcze mówił prawdę. Zatrzymanie nadal było legalne, przynajmniej do czasu oficjalnego wycofania zarzutów.

Próbował Myrnę zszokować, ale ona nie zareagowała.

– To niedorzeczne. Znam mojego syna. Przecież Jeb nikogo by nie skrzywdził, a już na pewno nie pozbawiłby nikogo życia.

Najwyraźniej postanowiła się odwołać do swojego południowego uroku. Akcent nadal pozostawał tylko lekko słyszalny, ale brzmiał naprawdę słodko i potrafiła to wykorzystać. Potrafiła mówić z akcentem i bez niego. Która Myrna Kraft była prawdziwa?

Pearl i Fedderman milczeli, Quinn tymczasem postanowił przeprowadzić frontalny atak:

– Najwyraźniej nie oglądała pani ostatnio wiadomości.

– Prawdę powiedziawszy, zwykle ich nie śledzę. Ciągłe mówią o jakichś nieprzyjemnych rzeczach.

– Jeb Kraft został aresztowany za zabicie sześciu kobiet, ale zarzuty zostaną wycofane.

Wiemy, że mordercą jest pani starszy syn, Sherman.

Sprawiała wrażenie raczej zamyślonej niż zaniepokojonej. Cofnęła się o kilka kroków, po czym ciężko opadła na drewniane krzesło dopasowane kolorystycznie do małego biurka.

– To niemożliwe.

– Ależ możliwe. I pani dobrze o tym wiedziała, jeszcze zanim przyszedliśmy.

Spojrzała na Quinna szeroko otwartymi oczami, świdrując go wzrokiem z całą mocą.

– Skoro wszyscy to wiemy, to dlaczego Jeb nie został jeszcze zwolniony?

– Zostanie zwolniony, pani Kraft. Jego prawnik właśnie załatwia formalności.

– Prawnik?

– Sąd przydzielił mu obrońcę, który bardzo kompetentnie zajmuje się pani synem.

– Muszę panu uwierzyć na słowo, detektywie Quinn. – Myrna się uśmiechnęła. – Ma pan uczciwą twarz.

– Twarze bywają mylące – powiedziała Pearl.

Myrna lekko odwróciła głowę i spojrzała na nią. Twarze bywają mylące, ale Myrna spojrzała na Pearl tak, że ta nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, co starsza kobieta chce jej przekazać. Dostrzegła w jej oczach zimną nienawiść bez choćby krztyny empatii, o litości nie wspominając. W taki sposób eksterminator przygląda się insektom, których ma się zaraz pozbyć. Pearl aż przeszły ciarki po plecach. *Spalam z synem tej kobiety!*

– Wiemy o tym, że Sherman mieszkał przez jakiś czas na bagnie. Wiemy też, że pani zniknęła, kiedy został odnaleziony – powiedział Quinn. – Wiemy o Shermanie całkiem sporo.

– Najwyraźniej nie dość, żeby go znaleźć i zatrzymać. Nie zna go pan tak jak jego matka, detektywie Quinn.

– Niewykluczone, że znam go nawet lepiej.

Liczył, że może uda mu się wyprowadzić ją z równowagi, ale zachowała spokój.

– Wątpię. Nie ma nic silniejszego niż więzy krwi, zwłaszcza między matką a dzieckiem.

– Jeb powiedział nam, że przyjechaliście do Nowego Jorku i że śledził przebieg dochodzenia w sprawie morderstw Shermana.

Myrna ponownie spojrzała na Pearl tymi swoimi ciemnymi oczami. Niewykluczone, że lekko się przy tym uśmiechnęła. Potem przeniosła wzrok na Quinna.

– Wie pan dużo, ale najwyraźniej ciągle za mało, żeby ująć mojego drogiego syneczka.

– Dlaczego porzuciła pani tego swojego drogiego syneczka? – zapytała Pearl, bo już jej się zbierało na wymioty. Wiedziała, że to Quinn powinien decydować o przebiegu tej rozmowy, ale nie mogła się powstrzymać.

Quinn tymczasem usłyszał telefon. Wyciągał aparat z kieszeni bacznie przez wszystkich obserwowany, zupełnie jak gdyby dzwonek przerwał oglądanie spektaklu na Broadwayu. Zobaczył, że dzwoni Renz.

– Przepraszam. – Przeszedł na drugi koniec pokoju i odebrał cichym głosem: – O co chodzi, Harley?

– Udało wam się już nawiązać kontakt z matką?

– Tak.

Quinn podszedł do okna wychodzącego na komin wentylacyjny. Stara cegła, nowe fugowanie.

– Dobra. A czy ona cię słyszy?

– Trochę.

– Jeb Jones już wyszedł. Parecie się udało. Zmusiła nas do wycofania zarzutów, żebyśmy go wypuścili.

– Domyślam się.

– Więcej nie byliśmy w stanie zrobić bez dowodów. Tym bardziej że on jest prawdopodobnie niewinny. Dzwonię dlatego, że kazałem go śledzić i on zmierza prosto do mamusi. Mój człowiek właśnie przed chwilą dzwonił i powiedział, że Jeb wysiadł z taksówki i zaraz przekroczy próg hotelu Meredith.

– Dobrze, jutro się tym zajmę. Teraz mam coś innego na głowie.

– Zatrudniłem cię właśnie dlatego, że tak świetnie potrafisz kłamać – powiedział Renz i się rozłączył.

Quinn zamknął telefon i schował go z powrotem do kieszeni. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Jesteśmy zajęci – powiedziała Pearl.

Myrna podeszła i uchyliła je na jakieś piętnaście centymetrów.

– Nie wydaje mi się...

Poruszony Jeb pchnął jednak drzwi i wszedł do środka.

Na widok trójki detektywów szczeka mu trochę opadła, ale szybko odzyskał rezon.

– Nie musisz z nimi rozmawiać, mamó.

Myrna pogłaskała go delikatnie po ramieniu i się uśmiechnęła.

– Obawiam się, że muszę, Jeb. Oboje musimy. – Ściągnęła brwi w nagłym wyrazie troski. – Zrobili ci jakąś krzywdę?

– Nie, mamó. Nie naruszyli przepisów.

– Przerwaliśmy pani... – zwrócił się do Myrny Quinn.

Jeb rozstawił szeroko nogi i skrzyżował ręce na piersi. Wzrok wbił w podłogę. Tylko Fedderman siedział, na skraju łóżka. Ramiona trzymał po bokach, a dłońmi podpierał się na miękkim materacu. Luźny prawy mankiet trzymał dłonią.

– Właśnie im opowiadałam o Shermanie – powiedziała Myrna. Teraz zwróciła się do Jeba: – Ty też możesz posłuchać.

Jeb na nią nie patrzył, ona zaś skierowała wzrok na Quinna, który prowadził rozmowę. Zaczęła opowieść:

– Sherman jako chłopiec lubił spędzać czas na bagnach, w pobliżu naszego domu. Od czasu do czasu przynosił różne martwe zwierzęta.

– Polował? – pytał Quinn.

– Czasami, ale niekiedy po prostu znajdował coś, co już nie żyło. Z jakiegoś powodu lubił rozcinać te ciała na części. Prawdę powiedziawszy, trochę mnie to niepokoiło, ale wmawiałam sobie, że to może naturalna dla chłopca ciekawość, że może zostanie lekarzem, jak dorośnie. On rozcinał te stworzenia na kawałki w wannie, a potem naprawdę dokładnie je czyścił i układał, tak samo jak to teraz robi ten morderca Rzeźnik. Już wcześniej mówiłam Jebowi o Shermanie i o tym, że to robił. Jak się dowiedzieliśmy o Rzeźniku, oboje uznaliśmy, że to Sherman, tyle że w wersji dorosłej.

– Detektyw Kasner zapytała, czemu porzuciła pani Shermana – przypomniał jej Quinn zupełnie neutralnym tonem wcześniejsze pytanie.

– Nie porzuciłam go. Rozmawiałam z nim o tym, co on robi tym zwierzętom i dlaczego, a on mnie wtedy zaatakował nożem do skórowania. Udało mi się jakoś obronić, ale on uciekł na bagno. Nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam informować o sprawie szeryfa, bo obawiałam się, że Shermanowi mogłaby się stać krzywdą.

– A nie obawiała się pani, że Sherman zrobi krzywdę komuś innemu? – zapytała Pearl.

– Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Jeśli się nie mylę, poza mną nigdy nikogo nie

zaatakował. Postanowiłam poczekać, nawet kilka dni. Miałam strzelbę w pogotowiu, przez dwie noce nie spałam. Potem zrobiły się z tego trzy dni i wiedziałam, że już jest za późno na informowanie władz, bo będą zadawać za dużo pytań. Sherman znał bagna i założyłam, że przez jakiś czas sobie tam poradzi, ale po tygodniu, przyznaję, uznałam, że już nie żyje.

– Nie szukała go pani na własną rękę? – zapytała Pearl.

Myrna pokręciła głową.

– Na bagnach nie da się znaleźć niczego, co nie chce zostać odnalezione. Poza tym Sherman zabrał z sobą nóż. – Myrna zaczerpnęła głęboko powietrza i dotknęła palcami oczu, jak gdyby miała się rozplakać. W jej oczach jednak nie pojawiły się żadne łzy. – Mniej więcej po miesiącu dowiedziałam się z wiadomości telewizyjnych, że Sherman został odnaleziony. Nazywali go chłopcem z bagien, nie znali jego tożsamości. Twierdzili, że przeżył szok i nic nie mówi. Postanowiłam milczeć tak samo jak on. Następnego wieczoru pokazali w telewizji jego zdjęcie i chociaż wyglądał na zdziczałego, to wiedziałam, że ktoś go na pewno rozpozna. – W tym momencie spojrzała na Jeba. Niewykluczone, że ten blask w jej oczach to tym razem faktycznie były łzy. – Prawdę powiedziawszy, byłam już w ciąży z mężczyzną, który właśnie niedawno ode mnie odszedł. Chciałam, żeby to drugie dziecko dostało w życiu szansę, więc uciekłam. Muszę przyznać, że spanikowałam, ale z perspektywy czasu wydaje mi się, że to mogła być faktycznie najlepsza opcja. Przeprowadziłam się do Courtney w stanie Luizjana, zatrudniłam jako kelnerka i poświęciłam Jebowi. Nie żałuję ani chwili, którą na to przeznaczyłam. – Jeb patrzył teraz na matkę i sam miał wilgotne oczy. – Mój synek Jeb był mądry jak sowa, dobrze się uczył. Dzięki swoim wynikom skończył najlepsze szkoły, mimo że ja zarabiałam naprawdę kiepsko.

– A co z Shermanem? – zapytał Quinn.

– Nie miałam o nim żadnych wieści. Prawdę powiedziawszy, odkąd zamieszkałam w Luizjanie, postanowiłam unikać wiadomości telewizyjnych i prasowych. Nie miałam pojęcia, co się z nim stało ani czy odzyskał pamięć. Uznałam tamte czasy za przeszłość. Tymczasem musiałam wybiegać myślami w przyszłość, dla siebie i dla Jeba. Wiedziałam jednak, że kiedyś znowu usłyszę o Shermanie. Pewnego razu w sklepie w pobliżu motelu w Louisville rzuciłam przypadkiem okiem na nowojorską gazetę i na pierwszej stronie zobaczyłam historię o Rzeźniku, o tym, co robi ze swoimi ofiarami. Doszłam do wniosku, że to musi być Sherman, więc zadzwoniłam do Jeba i o wszystkim mu powiedziałam. Postanowiliśmy, że powinniśmy przyjechać do Nowego Jorku i spróbować odnaleźć Shermana przed wami. Zamierzaliśmy powstrzymać go przed zabijaniem i nakłonić do oddania się w ręce policji.

– Dlaczego? – zapytał Quinn wprost.

Myrna spojrzała na niego, jak gdyby odpowiedź była oczywista.

– To mój rodzony syn.

– To również sprawca poszukiwany przez policję.

– Krew jest ważniejsza niż sprawy policyjne.

– Chyba że policja stara się powstrzymać jej dalszy rozlew.

– Przeinacza pan moje słowa, proszę pana.

Pochyliła głowę i z oczu spłynęły jej łzy. Spadły na żółtą bluzkę, pozostawiając na niej ślady. Pearl się zastanawiała, czy Myrna potrafi się rozplakać na zawołanie. Spotkała już bowiem w życiu ludzi, którzy mieli tę umiejętność.

Jeb podszedł do matki i cicho ją pocieszał. Sam wyglądał, jakby się miał za chwilę rozplakać. Objął ją czule ramieniem, a potem przytulił i lekko kołysał. Pearl przypomniała sobie, jak tak samo otaczał ją. Wzdrygnęła się.

Quinna ta scena zupełnie nie wzruszała. Zastanawiał się, co sobie pomyśli Rzeźnik, gdy się dowie o przyjeździe matki.



## Rozdział 53

Nikt do końca nie wiedział, jak to należy załatwić, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, dokąd to wszystko zmierza.

Siedzieli w gabinecie Renza przed jego biurkiem. Quinn i Pearl zajmowali krzesła, które zwykle tam stały. Dodatkowo przyniesiono też dwa rozkładane dla Feddermana i policyjnego profiler. Fedderman rozłożył się na małym metalowym siedzisku, zupełnie jakby umierał ze zmęczenia. Profiler, kobieta nazwiskiem Helen Iman, postanowiła nie siadać. Stała przy oknie. Dla pozostałych stała się więc jedynie zarysem postaci na tle otwartych żaluzji. Każde spojrzenie w jej kierunku przysparzało bólu. Ruda, wysoka, wręcz patykowata, wyglądała raczej jak siatkarka plażowa niż policyjny ekspert. Quinn miał już okazję z nią pracować. Ogólnie nie przepadał za koncepcją profilowania zbrodni, ale musiał przyznać, że Helen to jeden z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie.

– Są u siebie w hotelu – powiedział Quinn, mając na myśli Jeba i Myrnę. – Robią teraz mnóstwo szumu, zupełnie jak rodzina, której się wydaje, że ma prawo do wszystkich informacji.

– A co wiedzą o tym media? – zapytał Renz.

Quinn poczuł jakby lekką woń tytoniu i zaczął się zastanawiać, czy Renz aby znowu ukradkiem nie popala cygar w biurze.

– Wiedzą, że Jeb został zwolniony, o Myrnie jeszcze się nie dowiedzieli. – Quinn spojrzał na Helen, mrużąc oczy. – Właśnie dlatego poprosiłem o to spotkanie.

– Poprosiłeś o to spotkanie, bo chcesz użyć matki jako przynęty – powiedział Renz.

– Rekinów rzadko się używa jako przynęty – stwierdziła Helen.

– Przesuń się trochę, żebym cię lepiej widział – poprosił ją Quinn.

Z uśmiechem na twarzy spełniła jego prośbę. Miała wyrazistą kościstą twarz, jakby niemal męską. Quinn jednak wiedział, że kiedyś zaskarbiła sobie miłość pewnego nieżyjącego już policjanta.

Renz się roześmiał.

– No to masz swój profil.

– Jakie mamy szanse? – zapytał Quinn.

– Zwykle nie zajmuję się szacowaniem szans – odpowiedziała Helen – ale Rzeźnik to zabójca klasyczny pod tym względem, że wszystkie ofiary symbolizują dla niego matkę. Ona ma dla niego wyjątkowe znaczenie. – Na jej twarzy pojawił się szczery uśmiech, którego nie potrafiła powstrzymać. Pokazała dużo zębów, bez wyjątku wyglądały na ostre. – Podręcznikowy przypadek. To takie rzadkie. Tacy zabójcy zwykle nie mają okazji zabić pierwowzoru, archetypu, kobiety, z której powodu pojawiły się w nich mordercze instynkty. Ona jest oliwą, która podsyca jego ogień. Czy będzie czuł pokusę, żeby ją zabić, jeśli się dowie, że przyjechała do Nowego Jorku? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Będzie się czuł dokładnie tak samo jak ćpun na głodzie na widok heroiny. Moim zdaniem mamy pięćdziesiąt procent szans, że spróbuje ją dopaść.

– Tylko pięćdziesiąt? – Quinn był rozczerwony.

– Trzeba uwzględnić nadzwyczajną inteligencję zabójcy. Jest odczytany i wie, że rozpoznaliśmy w jego matce prawdziwy obiekt jego morderczych pragnień. Niemal na pewno się domyśli, że wykorzystujemy ją jako przynętę.

– A jeśli się domyśli, to czy spróbuje pomimo tego? – zapytała Pearl.

– Być może, ale będzie naprawdę, ale to naprawdę ostrożny, jak zwykle zresztą.  
– Będzie wiedział, że to pułapka – zdziwił się Fedderman – ale i tak w nią wejdzie?  
– Głodny szczur wejdzie po przynętę do pułapki – odparła Helen.  
– Moim zdaniem powinniśmy zaryzykować – uznał Quinn.  
– Twoja decyzja, twój tyłek – stwierdził Renz.  
– Porozmawiam o tym z Myrną. Może nie jest tak dobrze wykształcona jak synowie, ale powiedziałbym, że pod względem inteligencji im nie ustępuje. Jeśli ona się zgodzi...  
– Zgodzi się – powiedziała Pearl. – Inteligencja nie ma tu nic do rzeczy.  
Helen skinęła głową.  
– Między zabójcą a potencjalną ofiarą tworzy się pewnego rodzaju związek, trochę jakby przyciąganie. Niektórzy twierdzą wręcz, że na poziomie podświadomym ofiara sama się przyczynia do własnego zabójstwa. W tym przypadku tak to właśnie może wyjść.  
Do Quinna to rozumowanie nie do końca przemawiało. *Ci profilerzy!*  
– Jeśli ona się zgodzi – powiedział do Renza – możesz zwołać konferencję prasową i zadbać o to, żeby zdjęcie Myrny pojawiło się w gazetach i telewizji. Może się tym zająć Mary Mulanphy z lokalnej kablówki. Niech ma swoją sensację.  
– Cindy Sellers zajmie się prasą – dodał Renz. – „City Beat”.  
– Jakże mógłbym zapomnieć... – Quinn z rozbawieniem pomyślał, że Renz sądzi, iż wykorzystuje dziennikarkę do swoich celów, podczas gdy w rzeczywistości rzecz miała się dokładnie na odwrót.  
– Pokażcie też tamto stare zdjęcie chłopca z bagien – podpowiedziała Helen. – To zrobione na Florydzie po tym, jak go znalezione.  
– Świetny pomysł! – stwierdziła Pearl.  
– Zestawienie go z wizerunkiem Myrny – tłumaczyła Helen – każe mu wrócić do starych czasów i jeszcze bardziej go poruszy. Zdjęcia rodzinne tak już mają.  
Quinn spojrzął na nie obie. Najwyraźniej panie wiedziały, o co w tym wszystkim chodzi.  
– Rodzina to najważniejszy komponent tych zbrodni – powiedziała Helen. – Seryjnym mordercom niemal zawsze chodzi o rodzinę.  
– Nam wszystkim w ostatecznym rozrachunku chodzi o rodzinę – zauważył Fedderman.  
Na biurku zadzwonił telefon. Renz spojrzął na niego z irytacją, a potem chwycił za słuchawkę i wcisnął świecący przycisk wyboru linii. – Chyba powiedziałem jasno... – zaczął, ale zaraz umilkł, a mina rzedła mu coraz bardziej. Zanotował coś na skrawku papieru, a potem odłożył słuchawkę na miejsce. – Mamy kolejną ofiarę Rzeźnika. Lower East Side. Nazywa się Maria Cirillo. Sąsiedzi zwrócili uwagę na nieprzyjemny zapach dochodzący z mieszkania i wezwali dozorcę. Patolog jest już na miejscu. Czas zgonu między siedemnastą a północą przedwczoraj.  
– Przedwczoraj? – powtórzył Quinn.  
– Właśnie.  
– Jeb Kraft siedział wtedy w areszcie – stwierdził Quinn. – Nawet jeśli ktoś miałby jeszcze wątpliwości co do niego, teraz wszystko jest jasne.  
Wstał, żeby wziąć od Renza adres zapisany na kawałku papieru. Słyszał, że Pearl i Fedderman też wstają. Jedno z nich, zapewne Fedderman, przewróciło metalowe składane krzesło.  
Renz spojrzął na Quinna.  
– To będzie gorąca konferencja prasowa. – W tym jego udawanym entuzjazmie dało się słyszeć także nutkę obawy.  
– Jak skończymy na miejscu zbrodni – powiedział Quinn – zadzwonię do ciebie i wszystko ci

opowiem, a potem pojedę porozmawiać z Myrną Kraft.

Renz zaczął stukać palcami w biurko. Być może naszły go wątpliwości.

– Zgodzi się – powiedziała Helen. – Ciągnie swój do swego.



## Rozdział 54

Zawsze przychodził sam.

Już kilka razy widziała go w Hungry U. Udawał, że słucha muzyki. Lauri zwróciła na niego uwagę, bo nie sprawiał wrażenia, jakby ta muzyka faktycznie mu się podobała. Siedział sobie, stanowiąc zupełnie przyjemny widok dla oka. Na kogoś takiego nie zwraca się uwagi, chyba że mu się człowiek uważnie przyjrzy. Cóż by jej się miało nie podobać... Był blondynem przeciętnego wzrostu i średniej budowy ciała, dobrze się ubierał. Lauri uznała, że to pewnie jakiś młody dyrektor albo geniusz technologiczny, który ma własną firmę. Sprawiał wrażenie inteligentnego, a do tego wyglądał jakby znajomo – choć nie potrafiła stwierdzić dlaczego. Poza tym chyba był nią zainteresowany.

Przyniosła mu do stolika drugą szklanekę mleka.

– Lunch był pyszny – powiedział, uśmiechając się do niej – chociaż nie mam pojęcia, co jadłem.

– Przynajmniej uczciwie pan to przyznaje – odparła, stwierdzając, że facet ma ładny uśmiech. Wydał jej się jeszcze bardziej znajomy. Nagle ją olśniło: przypominał przyjaciela Pearl, Jeba. Lauri poczytywała mu to na plus. – Wielu naszych klientów chwali nasze jedzenie, ale przy tym udają wielkich smakoszy. Zachowują się tak, jak gdyby wiedzieli o jedzeniu więcej niż nasz kucharz, znaczy szef kuchni.

– Ja wiem, co lubię – powiedział, uśmiechając się do niej znacząco.

Nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, o co mu chodzi.

– Ludzie mówią takie rzeczy o sztuce – stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

– Są różne rodzaje sztuki. Piękne kobiety też mają w sobie coś z arcydzieł.

– Pewnie faktycznie mają.

– Powinna pani powiedzieć „mamy”.

Lauri poczuła, że się rumieni. Nie przypominała sobie, żeby Robaczek kiedykolwiek nazwał ją kobietą, a już na pewno nie piękną kobietą. Raczej nie zdarzało mu się prawić jej komplementów. „Odlotowy przytuł” to było najlepsze, na co się kiedykolwiek zdobył. Postanowiła jednak zachować ostrożność. Facet ewidentnie się nią interesował, ale był za stary. Miał ze trzydzieści kilka lat. *Te drobne zmarszczki, które już się pojawiają w kącikach brązowych oczu!* Choć chyba właśnie to tak bardzo ją pociągało, ta jego dojrzałość. Dojrzałość, której Robaczekowi z całą pewnością brakowało. Czasami ciężko się z nim rozmawiało, jak gdyby funkcjonował w jakimś innym wymiarze. Może zresztą tak było. Lauri miała świadomość, że muzyka nigdy nie uda jej się zrozumieć, że nie usłyszy dokładnie tego, co on słyszy – a w każdym razie nie usłyszy tego tak samo. Może więc nie ma sensu zarzucać Robaczekowi braku dojrzałości. Może on już nigdy nie będzie dojrzałszy? Ten facet, który się tu do niej uśmiecha, wcale nie jest aż taki stary. Zmarszczki nie zmarszczki, oczy ma ładne. Można z nich wyczytać, że to przyzwoity i wrażliwy człowiek. Oczy przecież nie kłamią.

– Może da się pani wyciągnąć na kawę, jak już się skończą godziny lunchu?

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby się zorientować, że on faktycznie mówi do niej.

– Tylko że ja, hm, nie mam przerwy po lunchu. Od razu zaczynamy przygotowania do kolacji.

– To może w takim razie po kolacji? Może pójdziemy na drinka?

Czy powinna mu powiedzieć, że jeszcze nie wolno jej pić i może mieć kłopoty, jeśli ktoś ją poprosi o dowód? Ostatecznie nie zastanawiała się nad tym ani długo, ani intensywnie. *Śmiało*, powiedziała do siebie. *Na głęboką wodę!* Czyż nie po to przyjechała do Nowego Jorku? Robaczek umówił się z zespołem w klubie w Tribecie. Czego oczy nie widzą, temu sercu nie żal... A jeśli się dowie, że poszła gdzieś po pracy, i to w męskim towarzystwie, to może ich związek tylko się od tego umocni.

– Chętnie – powiedziała. – Kończę o jedenastej. Zaraz, ja przecież nawet nie wiem, jak pan się nazywa.

– Ty jesteś Lauri – powiedział. – Słyszałem, jak na ciebie wołają.

Uśmiechnęła się.

– No to już wiesz, jak ja się nazywam.

– Moje nazwisko jest trochę kompromitujące – powiedział. – Nazywam się Hooker. Joe Hooker.

Lauri świadomie powstrzymała uśmiech.

– Spotkałam się ze znacznie bardziej krępującymi nazwiskami. Znałam kiedyś dziewczynę, która nazywała się Ima Hore8.

To nie była prawda, ale przecież nie musiał o tym wiedzieć. Cóż złego jest w takim kłamstwie, jeśli dzięki temu on się lepiej poczuje?

Roześmiał się.

– No tak, to ja w takim razie nie powinienem narzekać. Tym bardziej że moje nazwisko zapisało się w historii. Joseph Hooker był wybitnym generałem w okresie wojny secesyjnej.

– Powinieneś być nawet dumny.

– Prawdę powiedziawszy – odparł – jestem.

W odbiorze Pearl miejsce zbrodni wyglądało dokładnie tak samo jak pozostałe, przynajmniej jeśli chodzi o potencjalny materiał dowodowy. Jedyna różnica polegała na tym, że w powietrzu unosił się mdlący zapach zgnilizny. Zupełnie jakby ofiara nie żyła już od dłuższego czasu.

Zanim weszli do mieszkania, Fedderman się zatrzymał i wyciągnął z kieszeni słoiczek z mentolową maścią do wcierania w klatkę piersiową. Odkręcił wieczko i nabrał trochę mazidła na opuszek palca, po czym położył go sobie pod nosem. Podał słoiczek Pearl, która zrobiła to samo. Quinn nie skorzystał.

Gdy tylko przekroczyli próg, dla Pearl stało się jasne, dlaczego w mieszkaniu aż tak śmierdzi. W środku panowały szklarniowe warunki, temperatura wynosiła co najmniej trzydzieści stopni. Technicy krzątający się po mieszkaniu oprócz białych rękawiczek mieli też białe maseczki na twarzy, jak gdyby grali w filmie dobrych bandytów. Pearl zazdrościła im tych masek.

Kiedy wraz z Quinnem weszła do łazienki wyłożonej niebieskimi płytkami, z radością wciągnęła do płuc zapach mentolu. Wiedziała, co się tu stało. Podobnie jak wcześniejsze ofiary, również Maria Cirillo została związana i zakneblowana za pomocą taśmy, a następnie utopiona we własnej wannie i rozcięta na kawałki jak bezradna lalka. Części jej ciała zostały ułożone w rytualnym porządku. Na obciętych ramionach spoczywała głowa, głęboko osadzone oczy były zamknięte, jak gdyby Maria drzemała.

Teraz tą lalką bawił się Nift. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy białej koszuli. Jedyne w całym mieszkaniu się nie pocił.

– Zapewne trzeba fachowego oka, żeby to na tym etapie stwierdzić – powiedział – ale ta była naprawdę piękna. – Wyprostował się nad wanną, przy której kuczał dotychczas jak żaba. –

Najlepsze cycki w okolicy, no, może wyłączając te, które właśnie przyszły.

– W całej tej medycznej układance przypadła ci niewłaściwa rola – stwierdziła Pearl. – Powinieneś być pacjentem.

Nift się uśmiechnął. Cieszył się, że udało mu się zaleźć jej za skórę.

Quinn stanął obok Pearl i powiedział:

– Dobra, dawaj jakieś konkrety.

Nift odpowiedział im wzruszeniem ramion, które wszakże w jego wydaniu nie wiązało się z koniecznością unoszenia barków, lecz sprowadzało się do ruchów ust i brwi.

– Rana głowy świadcząca o ogłuszeniu za pomocą tępego przedmiotu. Ślady po taśmie i kleju na ramionach i nogach, a także na ustach. Śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia. Moim zdaniem ofiara została rozczłonkowana za pomocą tych samych bądź podobnych narzędzi jak poprzednie ofiary Rzeźnika. Potem zabójca oczyścił poszczególne części ciała. Tak sterylnych zwłok jeszcze nigdy w swojej karierze nie widziałem. – Wykonał ruch głową i ramieniem zatoczył fragment kręgu po malutkiej niebieskiej łazience. – Aż dziw, że ona się od tego wszystkiego nie rozpuściła.

I że się nie rozpuściła od tego gorąca, pomyślała Pearl.

Quinn rzucił okiem na opakowania po środkach do czyszczenia, które leżały puste i bez zakrętek na podłodze: wyciśnięta butelka po szamponie, pudełko po środku do prania do zmywarki, opakowanie mydła w płynie z pompką, płyn do usuwania plam. Jedna pusta plastikowa butelka po wybielaczu leżała na podłodze, druga stała na porcelanowej spłuczce.

– Gdyby nie Maria, naprawdę dobrze by tu pachniało – stwierdził Nift.

– Czy ty masz chociaż odrobinę szacunku dla zmarłych? – spytała Pearl.

– Nikt nigdy nie narzekał.

*Doczekasz się po tamtej stronie, dupku.*

Nift najwyraźniej czytał w jej myślach:

– Gdy już wszyscy ponownie się spotkamy w zaświatach, raczej nie będziemy traktować śmierci tak poważnie.

Pearl dostrzegła w tym stwierdzeniu jakiś dziwny smutek, który ją uderzył. Skoro gliniarze zaczynają traktować gwałtowną śmierć jako zwykły fakt merytoryczny, to jakie podejście do niej muszą prezentować lekarze sądowi? Czy przekroczenie granicy między życiem a śmiercią ma dla nich większe znaczenie niż zejście z chodnika w celu zatrzymania taksówki? Spojrzała na kobiety w wannie i stwierdziła, że dla niej śmierć nie była rzeczą przyziemną. Zostało jej nieodwracalnie odebrane coś bardzo cennego. To coś zostało jej skradzione przez potwora.

– Czas zgonu – powiedział Nift – szacuję na siódmą wieczorem przedwczoraj, chociaż należy przyjąć po kilka godzin tolerancji w każdą stronę.

Renz powiedział mniej więcej to samo.

– Skąd ten intensywny zapach? – zapytał Quinn.

– Klimatyzator został wyłączony, prawdopodobnie zrobił to zabójca.

– Chryste! – Potem Quinn zwrócił się do Pearl: – Idź się upewnić, że technicy obejrzel już klimatyzator, a potem włącz go z powrotem.

Pearl precyzyjnie się obok niego, po czym udała się do salonu.

– Powiedziałbym – zaczął Nift – że zabójcy zależało na tym, żeby ciało zostało znalezione raczej szybko. Bywa, że zwłoki leżą w mieszkaniu nawet ponad tydzień, zanim ktoś się zorientuje, jeśli oczywiście warunki i miejsce temu sprzyjają. Więc morderca wyłączył klimatyzację, żeby Maria dojrzała szybciej i zwróciła na siebie uwagę.

Quinn miał podobne przemyślenia, ale ograniczył się do skinienia głową, po czym wyszedł z łazienki, żeby dołączyć do Pearl i Feddermana, pod warunkiem że ten skończył już rozmawiać

z mundurowymi i sąsiadami. Nie skończył, więc czekali na niego na korytarzu, gdzie smród nieco mniej dawał się we znaki. Pearl zdjęła rękawiczki, licząc po cichu na to, że Fedderman ma jeszcze trochę tej mentolowej maści.

Miał, więc gdy się pojawił po dziesięciu minutach, znowu rozsmarowała sobie ociupinkę pod nosem.

We trójkę przeszli wąskim korytarzem w kierunku schodów przeciwpożarowych. Nie chcieli, żeby mundurowy stojący przed drzwiami do mieszkania usłyszał treść ich rozmowy.

– Sąsiedzi nic nie widzieli ani nie słyszeli – powiedział Fedderman. – Pani Avarian, starsza kobieta, która mieszka za ścianą, poczuła dziwny zapach i powiadomiła dozorcę. Ten wszedł do środka, zobaczył ofiarę i od razu wyszedł, starając się niczego nie dotykać. Po drodze jednak puścił pawia na dywan, jakieś dwa metry od drzwi.

– Widziałam – powiedziała Pearl. – Założyłam, że to jeden z gliniarzy.

– Każ to sprawdzić Niftowi – zdecydował Quinn – na wypadek gdyby wymioty należały jednak do ofiary albo mordercy.

Pearl się uśmiechnęła.

– Powiem mu, zanim wyjdziemy.

– Ofiara jest w tym samym typie, co poprzednie, ale została zabita w krótszym odstępie czasu. Poza tym nie dostaliśmy żadnego listu, który miałby stanowić dla nas wyzwanie.

– Znowu zmienił *modus operandi* – stwierdziła Pearl. – Zmienił nawet harmonogram.

– Wydaje się prawdopodobne, że to był po prostu dogodny cel – rzucił Fedderman.

Pearl spojrzała na niego i pomyślała, że chociaż w ogóle nie potrafi się ubrać, to gliniarzem jest dobrym. Potrafi zaskoczyć.

– Zabójca wiedział, że zatrzymaliśmy jego brata – powiedział Quinn. – Zabił Marię Cirillo i wyłączył klimatyzację w jej mieszkaniu, żebyśmy ją szybko znaleźli. W ten sposób chciał nam dać znać, że Jeb nie jest Rzeźnikiem. Nie miał specjalnie czasu zebrać o niej informacji. Może po prostu upatrzył ją sobie gdzieś na ulicy, poszedł za nią do domu, upewnił się, że mieszka sama, i zabił.

– To się nazywa być w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze – zauważyła Pearl.

– I mieć niewłaściwy kolor włosów – dodał Fedderman.

– I być tak bardzo podobnym do mamy – stwierdził Quinn.

– Ale – zastanawiała się Pearl – Maria tak dobrze pasuje do typologii, że może od początku miała być jego następną ofiarą, tylko po prostu trochę przyspieszył całą sprawę.

– Tak czy owak – skonstatował Quinn – przekaz jest taki sam: wypuście mojego brata.

– Brzmi to niemal szlachetnie – zauważył Fedderman.

– Absolutnie nie – powiedziała Pearl. Pożyczyła od Feddermana pojemniczek i roztarła mentolową maść pod nosem. – Wracam do środka porozmawiać z Niftem.

Quinn przypuszczał, że Nift każe jej zlecić zespołowi techników zapakowanie próbki wymiocin do torebki. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ona na to zareaguje. Oznajmił Feddermanowi, że zaraz wraca, po czym zniknął w mieszkaniu, żeby ugasić ewentualny pożar, który mógł wybuchnąć między Pearl a Niftem.

Pilnowanie Pearl weszło mu w krew i nie potrafił się pozbyć tego nawyku.

8 Słowo „*hooker*” to potoczne określenie prostytutki, natomiast nazwisko „Hore” brzmi podobnie jak słowo „*whore*”, które oznacza dziwkę.

## Rozdział 55

– Często myślę o tym cennym, utraconym czasie matki i syna – Myrna zwracała się do Quinna – i o tym, że mój chłopiec, Sherman, plątał się gdzieś tam przerażony, sam pośród dziczy.

Tego dnia południowy akcent pobrzmiwał w jej głosie z większą siłą. Słysząc go było już nie tylko w końcówkach zdań. Lał się jak czysta słodycz. Pearl uznała, że wcześniej Myrna próbowała go ukryć, jakby chciała uchodzić za osobę równie dobrze wykształconą, jak synowie. Siedziała na krześle, które stało przy małym biurku w jej pokoju w hotelu Meredith. Jeden łokieć oparła na blacie, w związku z czym przekrzywiła się i seksownie wysunęła bark w górę. Wyglądała jak *femme fatale* ze starego filmu. Nosila na sobie niebieski jedwabny szlafrok, na którego tle jej włosy i oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Włosy miała zaczesane w taki sposób, że sprawiały wrażenie dłuższych, a nad szerokim gładkim czołem wisiała malutka grzywka. W powietrzu unosił się zapach mydła, więc być może właśnie je przed chwilą umyła i wysuszyła.

Quinn wysłał Feddermana do mieszkania Marii Cirillo, żeby tam jeszcze trochę popytał. Pearl zaś zabrał z sobą, uznając, że być może jako kobieta pomoże mu przekonać Myrnę Kraft do wystąpienia w roli przynęty na własnego syna. Oczywiście słowa „przynęta” nie zamierzali używać.

– Czy pani drogi syn próbował się z panią kontaktować przez te wszystkie lata? – zapytał.

*Drogi...* Pearl zwróciła uwagę, że Quinn wcielił się w rolę gliniarza współczującego, żeby w ten sposób wzbudzić zaufanie i skłonić rozmówczynię do zwierzeń. Zachowywał się trochę jak ksiądz, który ma moc uzdrawiania. Pearl dostrzegała w tej postawie obłudę, ale może na Myrnę to zadziała.

– Cóż, nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała Myrna – ale tak, w głębi duszy coś mi mówi, że próbował. Musiał próbować. Te wszystkie straszne rzeczy, które mu się przytrafiły na bagnach, wywołały zapewne u niego głęboki szok, jak u każdego normalnego dziewięciolatka. Słyszałam, że pierwsze słowo wypowiedział dopiero po kilku miesiącach.

– Czytałem, że to słowo brzmiało „matka”.

Wyraz na surowej, acz przystojnej twarzy Myrny ani odrobinę się nie zmienił. W jej oczach jednak pojawił się jakiś pierwotny blask.

– Nic takiego nie słyszałam – powiedziała – ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby tak było. Gdyby pierwsze słowa zagubionego chłopca dotyczyły matki, którą kochał.

– My zwracamy się do pani właśnie dlatego, że pani go kocha – zapewnił Quinn. – I że on najwyraźniej kocha panią.

Pearl próbowała na niego nie patrzeć, bo właśnie serwował Myrnie swój fałszywy irlandzki urok. Dlaczego ludzie nie widzą, że wciska im kit? Bo tak się składało, że ludzie zwykle tego nie widzieli. Zwykle, choć czasem Quinn spotykał na swojej drodze kogoś podobnego do siebie.

– Rozumiem – powiedziała Myrna. – Przypuszczam, że w pewnym sensie go zawiodłam. Mogę jednak zapewnić, że zrobiłam to dla Jeba. Jako matka musiałam dokonać straszliwego wyboru. I głęboko wierzyłam, że w ten sposób ocalę choćby jednego z moich synów. Tym przekonaniem kierowałam się w moim nowym życiu. Prawdę powiedziawszy, wtedy i później zrobiłabym dla niego wszystko. On stał się jakby ucieleśnieniem obu moich dzieci.

– Nadal ma pani taki stosunek do Jeba?

– Oczywiście.

– Ale teraz Bóg daje pani szansę na pomoc drugiemu synowi – oznajmił Quinn. Podszedł do niej i nachylił się nad biurkiem, żeby Myrna musiała spojrzeć mu prosto w jego szczere oczy. – Nie powinienem pani tego mówić i z całą pewnością nie mam tu na myśli ani siebie, ani detektyw Kasner, ale słusznie się pani obawia, że jakiś nerwowy palec może drgnąć i Sherman straci życie. Większość z nas zachowuje się profesjonalnie, ale tak samo jak w każdym zawodzie czasem ktoś ma jakieś własne interesy do załatwienia.

– Doskonale to rozumiem – odparła Myrna. Quinn zalewał ją swoim urokiem, a jej nawet nie drgnęła powieka.

– Chociaż może być pani trudno w to uwierzyć – nie ustawał w wysiłkach Quinn – ale nie tylko pani i Jebowi zależy na tym, aby Sherman trafił do aresztu cały i zdrowy. To jest chory człowiek, a dla pani pewnie to ciągle jeszcze chłopiec, który bardzo potrzebuje odpowiedniego leczenia.

Myrna co najmniej przez minutę przygryzała dolną wargę, potem oparła plecy o krzesło i wpatrywała się w swoje kolano. Wreszcie przeniosła wzrok na Quinna.

– Proszę mi wyjaśnić, czego konkretnie pan ode mnie oczekuje.

– Oczywiście. Chcemy, żeby pani pozostała w swoim pokoju jak typowy gość hotelowy. Nie będzie nas pani widzieć, ale my tu będziemy. Przez cały czas będziemy zapewniać pani ochronę.

– Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, zupełnie nie przystawał do człowieka o tak surowym wyglądzie. – Będziemy pani aniołami stróżami.

– Moi anieli dotychczas nie zawsze się dobrze spisywali, detektywie Quinn.

– My się znamy na swojej robocie i twardo stąpamy po ziemi – usłyszała w odpowiedzi. – Obiecuję, że będzie pani bezpieczna.

– Ależ ja się nie o siebie martwię. Żadna kobieta nie boi się swojego syna. Musi pan jednak wiedzieć, że Sherman jest naprawdę bystry. Nie sądzi pan, że przejrzy pański plan, zwłaszcza jeśli ja będę cały czas siedzieć w swoim pokoju?

– Jeśli będzie wiedział, gdzie pani szukać, i jeśli dostatecznie panią kocha – stwierdził Quinn – to spróbuje się z panią skontaktować.

– Albo jeśli dostatecznie mnie nienawidzi – dodała Myrna. – Bo to pan tak naprawdę myśli. – Przez chwilę wydawało się, że się zaraz rozplacze. – Ależ co też pan sobie o mnie musi myśleć...

Quinn lekko poklepał ją po ramieniu.

– Nie sądzę, droga pani, żeby pani rodzony syn miał panią po tych wszystkich latach nienawidzić. Poza tym nie będzie pani tak do końca skazana na ciągle przebywanie w pokoju czy choćby w hotelu. Powinna pani wychodzić, tak samo jak wychodziłby ktoś, kto przyjechał zwiedzać Nowy Jork. Proszę robić zakupy, oglądać zabytki, spacerować, jeździć taksówkami. Będzie pani bezpieczna. Pani aniołowie, niewidoczni ani dla pani, ani dla nikogo innego, będą pani towarzyszyć na każdym kroku.

– Wspomniał pan o zakupach – powiedziała Myrna. – To znaczy, że mogę liczyć na jakieś kieszonkowe?

Quinna zatkało. Prawie zeskoczył z biurka, na którym siedział. *Co to za kobieta? Jak pracuje ten jej umysł? Jej syn może ją śledzić i chce ją zabić, a ona myśli o wyprzedażach!*

– Powinna sporo chodzić po sklepach, jeśli to ma wyglądać naturalnie – włączyła się Pearl. Do Myrny zaś powiedziała: – Jest pani kobietą i jest pani w Nowym Jorku. To zupełnie zrozumiałe, że nawet w trudnych okolicznościach będzie pani robić zakupy. – *Skoro jest pani psychopatką z morderczymi skłonnościami, która żyje we własnej chorej rzeczywistości.*

Quinn ponownie rozsiadł się na biurku i uraczył Myrnę tym samym słodkim uśmiechem co wcześniej.

– Oczywiście, że dostanie pani pieniądze na zakupy. Na koszt podatnika. W sumie robi to pani nie tylko dla Shermana, ale także dla podatników. Nie tylko dla siebie, ale także dla innych.

– Poza tym chciałabym też mieć broń – powiedziała Myrna.

– Będziemy panią chronić, droga pani.

– Ależ nie chodzi mi o samoobronę. Chodzi mi o to, żeby chronić Shermana.

– Chociaż z pewnością nie zawahałaby się pani jej użyć do obrony przed atakiem... – stwierdziła Pearl.

Myrna rzuciła jej chłodne spojrzenie i ta pożałowała, że się w ogóle odezwała. Rozumiały się z Myrną za dobrze, żeby czuć się komfortowo we własnym towarzystwie. Pogromca potworów i potwór. Czy kiedy już rozpoczyna się walka i dochodzi do rozlewu krwi, faktycznie tak wiele ich różni?

– Dopilnuję, żeby dostała pani mały pistolet, który mogłaby pani trzymać pod poduszką – zgodził się Quinn.

– Dorastałam w pobliżu bagna, tam też spędziłam większość mojego dorosłego życia, detektywie Quinn. Lepiej bym się czuła ze strzelbą, bo właśnie taką posiadałam za moich młodszych lat.

– Strzelba?

Myrna posłała mu hipnotyzujący uśmiech.

– Jeśli pan uważa, że to wszystko jednak nie najlepszy pomysł...

– Nie, nie, droga pani. Dostanie pani strzelbę. Przyniosę ją pani na następne spotkanie.

– Dziękuję panu bardzo. Będę miała dzięki temu poczucie, że Sherman i ja jesteśmy bezpieczniejsi.

– Nie sądzę, że miało dojść do użycia broni – stwierdził Quinn. – Ma pani moje słowo, że zrobię wszystko, żeby się żadna krzywda nie stała ani pani, ani pani chłopcu.

– Jeśli się zgodzę, to jaki będzie następny krok?

– Zadbamy o to, żeby media się dowiedziały o pani przybyciu do miasta i żeby w ten sposób dowiedział się o tym też Sherman. Zagrożenie dla pani pojawi się dzisiaj późnym wieczorem albo jutro rano wraz z publikacją informacji w wiadomościach i nowych wydaniach gazet.

– Ma pan na myśli zagrożenie dla Shermana.

– Dla was obojga – powiedział Quinn. – Zdaję sobie sprawę, że dużo od pani wymagamy.

– Niezależnie od wszystkiego zgadzam się. Będę postępować zgodnie z pana sugestią.

Quinn uśmiechnął się szeroko i znowu poklepał ją po ramieniu, tym razem nieco mocniej i z większym przekonaniem.

– To najlepsze, co może pani zrobić, naprawdę.

– Znamy się na swojej pracy – oświadczyła Pearl. – Dopilnujemy, żeby była pani bezpieczna.

– To właśnie na bezpieczeństwie najbardziej mi zależy – powiedziała Myrna – Bóg jednak wie najlepiej, że nie o moje bezpieczeństwo mi chodzi.

Lauri wiedziała, że pójdzie z Joe Hookerem do łóżka. Nie potrafiła wskazać momentu, w którym podjęła tę decyzję, ale na pewno nie uległa w tej kwestii instynktowi. Miała świadomość, że stało się to pod wpływem jego subtelnych, ale konsekwentnych zabiegów uwodzicielskich. Drobnymi kroczkami delikatnie popychał ich ciągle jeszcze młody związek właśnie w tym kierunku. Spoglądał na nią znacząco, choć bez słowa. Często pozwalał sobie na zabawne dwuznaczności. Niby niezobowiązująco, ale sugestywnie dotykał jej ramienia, barków,

szyi... W pewnym sensie to ją właśnie fascynowało. Chętnie obserwowała poczynania starszego i doświadczonego amanta. Podobało jej się, że została obiektem jego zabiegów, więc powoli się do niego zbliżała. Pozwalała mu się do siebie przyciągnąć, chciała tego, chociaż zdawała sobie sprawę, że ten wir w pewnym momencie całkowicie nią zawładnie. To nie był Robaczek, którego zwykle tak bardzo pochłaniała muzyka, że w ogóle nie zwracał na nią uwagi – chyba że miał akurat ochotę na seks.

Seks, muzyka, seks... Niewiele czasu pozostawało im na zwykłe bycie we własnym towarzystwie i czułość. A to nie musiało tak wyglądać. Właśnie taki sygnał wysyłał jej Joe.

Nie przestała bynajmniej darzyć Robaczka uczuciem. Była jednak dorosła i mogła wchodzić w relacje z kilkoma mężczyznami. Jeśli Robaczek w ogóle zasługiwał na miano mężczyzny. Kojarzył jej się z jedzeniem na wynos, tanią trawą i winem oraz dzikimi schadzками w tym jego paskudnym mieszkaniu, które dzielił z dwoma kolegami z zespołu – ci zaś stanowczo zbyt rzadko wychodzili z domu. Joe zaś niósł obietnice kolacji w ładnych restauracjach, przyjemnych spacerów po parku, przedstawień na Broadwayu i... tego, co nieuniknione. Był mercedesem, a Robaczek wypadł na tym tle jak... transport publiczny.

Po pracy Lauri wykręciła się bólem głowy i brzucha od spotkania z Robaczkiem i resztą towarzystwa. Zamiast udać się z nimi do klubu w Village, wyszła z Hungry U i skręciła w prostopadłą ulicę, gdzie czekała na nią taksówka, a w środku Joe Hooker. Gdy rozsiadła się z tyłu, pocałował ją lekko w policzek, po czym na chwilę dotknął jej ramienia.

– Głodna? – zapytał.

Roześmiała się.

– Właśnie skończyłam pracę w restauracji.

Nawet w ciemności dostrzegła jego szeroki uśmiech.

– Wiem, ale nie mogłem nie zapytać. Skoro więc nie jesteś głodna, to musisz być spragniona. Znam jeden fajny kabaret, gdzie moglibyśmy się napić i porozmawiać na mój ulubiony temat.

Lauri nie musiała pytać, jaki to temat. Czy jednak nie powinna mu powiedzieć, że ktoś ją może poprosić o dowód?

– Znają mnie tam – stwierdził, jak gdyby czytał jej w myślach, a potem dodał: – Dostaniemy więc dobry stolik. Zresztą taksówkarz zna już adres.

Lauri miała na sobie dzinsy i białą bluzkę w drobny kwiatowy wzorek. Płaskie buty, w których pracowała, zamieniła na wysokie obcasy.

– A jestem odpowiednio ubrana?

– Piękna kobieta zawsze jest odpowiednio ubrana, gdziekolwiek się wybiera.

Starła się nie roześmiać za głośno, żeby seksownie to wypadło. I dorośle.

– Powiem coś panu, panie Joe Hooker: jest pan niebezpieczny.

Spojrzał na nią, jak gdyby go zaskoczyła, ale potem się uśmiechnął.

– Niebezpieczeństwo dodaje życiu smaku.

– Żyj szybko, umieraj młodo – podsumowała, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby odpowiedzieć.

Teraz sprawiał wrażenie autentycznie zaniepokojonego.

– Boże, Lauri. Mam nadzieję, że nie wydałem ci się aż tak niebezpieczny.

*Po co to powiedziałam? Czy wyrządziłam mu przykrość? Dlaczego się tak głupio zachowuję?* Wykorzystując kołysanie i podskoki samochodu na zakręcie, przysunęła się do niego bliżej.

– Są rzeczy niebezpieczne i są rzeczy fajnie niebezpieczne – powiedziała, unosząc wzrok w kierunku jego twarzy. – Ty jesteś fajnie niebezpieczny.

Pocałował ją lekko w usta.

Trzymali się za ręce.





## Rozdział 56

– Zdjęcie naprawdę jest konieczne? – zapytała Myrna niezbyt szczerze.

W rzeczywistości sprawiała wrażenie wniebowziętej, że jej fotografia ukaże się w gazetach i wiadomościach telewizyjnych. Jednocześnie się bała. Według Pearl nie chodziło o to, co zamierzała zrobić. Nie bała się Shermana ani też nie bała się o niego. Chodziło raczej o to, że przez całe życie ukrywała swoją urodę i starała się pozostać niezauważona, a teraz nagle znalazła się w Nowym Jorku i w eleganckich lnianych spodniach kupionych w Bloomingdale's pozowała do zdjęcia przed fotografem prasowym.

W rzeczywistości zdjęć nie wykonywał fotograf prasowy, Quinn tylko tak jej powiedział. Za aparatem stał pracownik nowojorskiej policji, który zwykle uwieczniał miejsca zbrodni. Na jego usprawiedliwienie można dodać, że fotografia miała się ukazać w mediach.

– Wyglądasz wspaniale, mamó – powiedział Jeb.

Przeprowadził się z Wavertonu do Meredith i zajął pokój na drugim piętrze, żeby być bliżej matki. Zażądała tego Myrna w swoich negocjacjach – bo najwyraźniej zgoda na policyjny plan stanowiła dla niej dopiero początek, a nie koniec pertraktacji. Za wydatki Jeba w hotelu Meredith również miało zapłacić miasto.

Myrna konsekwentnie grała przydzieloną jej rolę. Siedziała na małym krześle, które normalnie stało przy biurku, i obracała się, przyjmując różne przesadne pozy. Policyjny fotograf, młody, ale hardy człowiek z twarzą porytą bliznami po trądziku, chudy i ogolony na łyso, spojrzał znacząco na Quinna i Pearl, ale zaraz potem złapał klimat i zaczął robić zdjęcia w lekkim rozkroku, przez cały czas mówiąc coś do Myrny, żeby złapać ją „w chwili nieuwagi”. Quinn widział go już kilka razy na miejscu zbrodni, jak z ponurą miną strzelał fotki martwych ciał. Wiedział, że nazywa się Klausman. Patrząc na niego teraz, ktoś mógłby przysiąc, że na co dzień fotografuje supermodelki w Paryżu.

– Jeszcze jedno zrobmy na dole, przed hotelem – zaproponował Quinn, który dość się już nasłuchał i napatrzył.

– Takie autentyczne ujęcie – zgodził się Klausman. – Żebyśmy mogli udawać, że złapaliśmy ją przypadkiem, jak akurat wchodziła do lobby.

Na chodniku kilka osób wyraźnie zwolniło kroku i przyglądało się przez chwilę całej scenie, zastanawiając się, co się właściwie dzieje. Myśleli, że może Myrna to jakaś znana osobistość. Ona zaś najwyraźniej podobnie do tego podchodziła.

– Włosy dobrze wyglądają? – zapytała, delikatnie je muskając.

– Idealnie – zapewniła ją Pearl, nie wspominając o kosmyku, który sterczał prosto w górę jak róg.

– Coś tam pani wystaje prosto do góry – powiedział Klausman, zbliżając się do niej tanecznym krokiem i wprawnie wyrównując włosy roztrzepane przez wietrzyk.

Myrna rzuciła Pearl gniewne spojrzenie.

– Z wyjątkiem tego jednego pasemka – dodała szybko Pearl.

– Mogę udawać, że właśnie wysiadłam z taksówki – oznajmiła Myrna.

– Oczywiście – zgodził się Quinn, zwracając się do niej i Klausmana. *Dlaczego by nie.*

Myrna przywołała taksówkę i zaczęła przybierać różne pozy, czym wprawiała w zakłopotanie kierowcę – tym bardziej że postanowiła pokazać całkiem spory fragment uda. Jebowi się to najwyraźniej nie spodobało.

– Lepiej nie przesadzać, mamó.

Myrna nie zwróciła na niego uwagi.

– Niech pani powie: Kate Moss – rzucił do niej Klausman, wywołując szeroki uśmiech na jej twarzy.

– Boże Wszechmogący! – wyszeptala Pearl pod nosem.

– Chciałbym mieć zdjęcie, na którym wchodzi do lobby – powiedział Quinn do Klausmana, przyglądając się, jak zdenerwowany taksówkarz odjeżdża sprzed wejścia. – Tylko bez nazwy hotelu.

– Dlaczego? – zapytał Jeb.

– Chcemy uniknąć ewentualnego pozwu.

Tak naprawdę Quinn postanowił nadmiernie nie ułatwiać Shermanowi Kraftowi odnalezienia matki. Nie chciał, żeby ten zaczął coś podejrzewać. Zamierzał pozwolić mu na własną rękę dojść do tego, przed którym hotelem zdjęcie zostało zrobione.

Dwa niskie marmurowe stopnie prowadziły do krytego markizą wejścia osłoniętego przed wiatrem i deszczem. Myrna wskoczyła po nich jak młoda dziewczyna.

– Mam! Dobrze! Idealnie – powtarzał Klausman, podczas gdy Myrna ustawiała się co rusz to w innej pozie, tylko nieznacznie się przesuwając do każdego ujęcia, trochę jak postać w filmie odtwarzanym z pominięciem niektórych klatek. – Zdecydowanie powinna pani być modelką. Mam. Dobrze, wystarczy. Nie. Mam jeszcze jedno. To będzie najlepsze, najbardziej naturalne. Naprawdę powinna pani być modelką. O proszę, jeszcze jedno.

– Jak byłam młodsza, jakoś nie przyszło mi to do głowy – powiedziała Myrna.

Jeb odwrócił się bez słowa. *Jest zażenowany*, pomyślała Pearl. *Matka wprawia go w zakłopotanie*. Ale Myrna najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Ile to może potrwać, zanim zostaną wywołane? – zapytała.

Zaskoczyła Klausmana tym pytaniem.

– Nie trzeba ich wywoływać. To cyfrowe zdjęcia. – Podeszedł do niej. – Proszę, może je sobie pani obejrzeć.

Quinn przez kilka minut cierpliwie wysłuchiwał jej ochów i achów nad małym wyświetlaczem cyfrowego aparatu, a potem uznał, że pora przejąć dowodzenie tą operacją.

– Koniecznie musisz je dostarczyć Renzowi – powiedział do Klausmana. – Poproś, żeby do mnie zadzwonił, kiedy już je dostanie. – Po tych słowach zwrócił się do Myrny: – Pójdźmy teraz do pokoju. Przekażę pani ostatnie instrukcje.

Myrna skinęła głową.

– To trzecie mi się podoba – rzuciła jeszcze do Klausmana.

Ten jednak wychwycił specyficzną nutę w tonie Quinna i już gnał w kierunku samochodu, którym zastawił inne zaparkowane pojazdy. Zdjęcia miały trafić e-mailem do Mary Mulanphy oraz Cindy Sellers w ciągu godziny.

Pozostali jechali windą na górę w całkowitym milczeniu. Jeb nie wysiadł na swoim piętrze, tylko pojechał z nimi. Quinn się zastanawiał, co Jeb myśli o tym, że policja wykorzystuje jego matkę jako przynętę. Czy wiedział to samo, co wiedział Quinn: że zabójca, który dokonuje mordów na tle seksualnym, nie będzie się potrafił oprzeć pokusie zabicia kobiety nie tyle będącej w wybranym typie, ale wręcz jego archetypu? Matka we własnej osobie. To marzenie każdego seryjnego mordercy. Policyjny profiler freudysta mógłby powiedzieć, że to taki „mokry sen”. W całej karierze Quinna nic takiego się nigdy wcześniej nie wydarzyło i zapewne nie miało się już wydarzyć.

Drzwi do windy się otworzyły i wszyscy ruszyli po dywanie w kierunku pokoju Myrny. W korytarzu panowała przyjemna atmosfera, ale temperatura była nieco wyższa niż w holu.

Quinn został o kilka kroków z tyłu. Obserwował matkę i syna. Dostrzegał w tej parze coś przewrotnego. Oboje byli inteligentni i oboje mieli wprawę w prowadzeniu podwójnej gry. W dodatku oboje byli hardzi. Nie należało ufać ani jednemu ich słowu, ani jednym ich stwierdzeniu. Trzeba się było liczyć z tym, że okażą się bardziej przebiegli od policji, bo z całą pewnością mieli więcej do stracenia. W ich przypadku z pewnością nie powinno się polegać na pierwszym wrażeniu, bo oboje mogli człowieka zwieść lub uspić jego czujność.

Podeszli do drzwi pokoju numer sześćset dwadzieścia i Myrna z dużą wprawą przeciągnęła kartę przez czytnik. Quinn położył jej dłoń na ramieniu, po czym wszedł do pokoju pierwszy. Pearl przytrzymała mu drzwi. Nikt z tego powodu nie zażartował, nikt nie zakpił z przesadnej ostrożności. Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, Myrna podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, jak gdyby chciała odprowadzić wzrokiem odjeżdżającego Klausmana. Bezwiednie uniosła rękę, żeby sprawdzić, czy włosy nadmiernie się nie rozwiały.

– Należało zrobić jeszcze jedno zdjęcie, na którym bylibyśmy wszyscy razem.

## Rozdział 57

Zabijanie pobudza apetyt. Rzeźnik właśnie zjadł śniadanie. W jadłodajni na Wschodniej Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy zamówił jajecznicę, bekon i tost. Idąc Trzecią Aleją, usiłował końcówką języka wydobyć uparty kawałek bekonu spomiędzy trzonowców. Nagle zatrzymał się przed kioskiem z gazetami.

Stosik egzemplarzy „New York Post” został przytrzaśnięty cegłą, żeby wiatr go nie rozrzucił. Cegła obwiązana czerwoną wstążeczką i zwieńczona kokardką, mającą upodobnić całość do prezentu, leżała nie do końca na środku. Tym samym spod niej rzucało się w oczy kolorowe zdjęcie i duży nagłówek: „MAMA RZEŹNIKA”.

Stał w bezruchu, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że ludzie na niego wpadają. Niektórzy posyłali mu gniewne spojrzenia, inni przeklinali go w pośpiechu. Ledwo znalazł w sobie dość siły, żeby podejść do kiosku i wyciągnąć górny egzemplarz gazety spod cegły.

Wyglądała tak młodo! Tak pięknie! Tak jak ją zapamiętał, tylko trochę lepiej. Najwidoczniej starzała się tak, jak starzeje się większość naprawdę pięknych kobiet: upływ czasu tylko podkreślał cechy, które posiadała za młodu, w ogóle nie uszczuplając przy tym jej magii.

*Mrocznej magii.*

*Są jeszcze bardziej sobą. Czas eliminuje wszelkie sztuczności. Są jeszcze bardziej sobą.*

*Starożytnej magii.*

*Mama.*

Nie w brudnych dżinsach albo domowej sukience, nie z rozczochranymi włosami. Nie bosa. Nie zakrwawiona. *Nie taka jak wtedy, gdy naga i brudna od krwi krzyczała jego imię. Nie taka jak wtedy, gdy ciągnęła czarne plastikowe worki na śmieci po podestacie... Gdy je otwierała... Gdy do nich sięgała... do środka...*

*Sam!*

*Chryste, Sam!*

– Zamierza pan ją kupić czy uczy się jej pan na pamięć?

Wyrwany z bagiennej przeszłości Rzeźnik wpatrywał się w starszego kioskacza w taki sposób, że ten aż zamrugał za grubo szklami okularów i zrobił krok do tyłu.

– Wie pan, one są na sprzedaż – powiedział bardziej umiarkowanym tonem.

Rzeźnik schował złożoną gazetę pod ramię, wydobył z portfela dziesięciodolarowy banknot i wepchnął go kioskaczowi do ręki. Wziął sobie jeszcze „Timesa” oraz „Daily News”. W nich również pojawiła się informacja, że jego mama przyjechała do Nowego Jorku. Każda z gazet publikowała co najmniej jedno zdjęcie, zapowiadając kolejne w środku numeru.

Co czuł, patrząc na jej fotografie opublikowane przez „Posta”? Nic z tego nie rozumiał. Ta piękna kobieta, która dała mu życie... *Duma? Szaleńcza duma? Nienawiść? Wściekłość?*

Odwrócił się gwałtownie i pomaszerował w kierunku skrzyżowania, bo tam miał większe szanse na zatrzymanie taksówki. Poczul potrzebę ukrycia się w zaciszu własnych czterech ścian, schowania w bezpiecznym łonie, położenia w fotelu w pozycji niemal embrionalnej ze szklanką jacka daniela z lodem. Tam mógł sobie spokojnie poczytać. Tam mógł przyjrzeć się fotografiom, gapić się na nie, aż wryją się ogniem w jego pamięci.

*Mama...*

– Życzy pan sobie resztę?!

Zignorował wołającego za nim kioskacza.

*Za późno, żeby coś zmienić.*

Teraz do niego dotarło, że nigdy nie uciekł z bagna – i że nigdy nie ucieknie. Szedł coraz szybciej, roztrzaskując ludzi łokciami. W końcu ruszył przed siebie biegiem.

Quinn i Pearl siedzieli za drzwiami z numerem sześćset dwadzieścia cztery, dwa pokoje od tego, który zajmowała Myrna Kraft. Quinn mógł stamtąd obserwować ulicę, ale jednocześnie pozostawał blisko kobiety. Fedderman znajdował się na zewnątrz i zgodnie z poleceniami Quinna koordynował akcję na poziomie ulicy. Siedział w nieoznakowanym radiowozie, który od czasu do czasu przestawiał z miejsca na miejsce. Stale utrzymywał kontakt z Quinnem lub policjantem, który w przebraniu boja hotelowego kręcił się wokół wejścia wraz z pracownikiem faktycznie wykonującym tę funkcję. Policjant nazywał się Neeson i nie był szczególnie zadowolony, że właśnie taka rola przypadła mu w udziale. Chociaż pocieszało go to, że zarobił trochę na napiwkach tylko z tej racji, że otwierał drzwi wchodzącym i wychodzącym gościom. Podczas ostatniej rozmowy powiedział Feddermanowi, że zaczyna się zastanawiać nad zmianą pracy.

Drugi policjant z NYPD ukrywał się pod postacią zarośniętego bezdomnego, który siedział po drugiej stronie ulicy we wnęce budynku, na złożonym kocu i z kubkiem w ręku. On pewnie też dzisiaj zarobi coś ekstra, pomyślał Fedderman, który czekał w samochodzie, aż przegrzany silnik trochę się ochłodzi, żeby znowu można go było odpalić jako źródło zasilania klimatyzacji.

Kolejnych dwoje policjantów incognito kręciło się po lobby, udając parę turystów, a funkcjonariusz Nancy Weaver w stroju pokojówki krążyła po pięttrze, na którym mieszkała Myrna. Quinn poprosił właśnie o nią, a Pearl uznała, że chce jej, to znaczy Pearl, utrzcć w ten sposób nosa za przelotny romans z Jebem Kraftem. Wspomniał nawet, że jego zdaniem Weaver uroczo wygląda w nowym uniformie, na co Pearl odparła, że powinna w ramach swojej przykrywki zmienić parę kompletów pościeli i wyszorować kilka łazienek (no i może dopiąć jeden guzik więcej w hotelowym wdzianku). Pearl wypila trzy kubki kawy, więc chodziła nerwowo po pokoju, Quinn tymczasem siedział wygodnie na krześle, które wyciągnął sobie na środek pokoju, żeby móc patrzeć przez okno. Przez oparcie przewiesił słuchawki. W pokoju Myrny zainstalowano podsłuch, ona jednak chwilowo wyszła – pewnie na zakupy – więc pozostawała pod okiem reszty zespołu, który Renz przydzielił do jej ochrony.

Pearl spacerowała w tę i z powrotem, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że wszędzie czuje zapach tytoniu. Rozpoznawała go ostatnio w każdym pokoju hotelowym, który miała okazję odwiedzić. Czyżby nowojorczyki czuli się zmuszeni czaić ze swoim nałogiem jak narkomani czy cudzołzniczy i mogli mu się teraz oddawać tylko w zaciszu wynajętych pokoi?

– Przepraszam za tę uwagę o Weaver – powiedział Quinn. – Że niby uroczo wygląda. Chciałem wzbudzić w tobie zazdrość. – Mówił do Pearl, ale nadal wpatrywał się w okno.

– Udało ci się wywołać tylko irytację – odparła Pearl. – Czy też masz wrażenie, że ktoś tu palił?

– Nie. Ty zawsze czujesz zapach tytoniu tam, gdzie go nie ma.

– Może ja go czuję, a ty nie, bo straciłeś już powonienie od tych nielegalnych kubańskich cygar, którymi się raczysz.

– Coś jesteś dzisiaj drażliwa. To przez tę kawę?

– Przez ciebie.

– Moim zdaniem – powiedział – powinnaś ograniczać się w swoim życiu do związków z policjantami.

*My znowu o tym?*

– Już nie jestem policjantką. To tylko tymczasowa sytuacja.

– No to do strażników bankowych. To mniej więcej to samo.

– Nie – stwierdziła Pearl. – Gdybym pracowała jako strażnik w banku, toby mnie tu nie było.

Quinn zamilkł i nadal wyglądał przez okno. Pearl uznała, że chyba powinna wyjaśnić tę sprawę. Nie mogłaby uczciwie powiedzieć, że nic do Quinna nie czuje. Z całą pewnością jednak wiedziała coś o sobie: im się nie ułoży. Możliwe, że nie ułoży jej się z nikim. Po całej sprawie z Jebem Jonesem czy też Kraftem ta myśl ciągle powracała. Nadal jeszcze nie pozbierała się psychicznie i nie zapanowała nad uczuciowym chaosem. Jak miałyby znowu zaufać swoim emocjom? *Zbuduj wokół swojego serca mur...*

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedziała. – Pracujemy razem. To wszystko, Quinn.

– Nie chciałbym tego tak zostawiać. Nie z tobą.

Jeśli to miał być komplement, to mu nie wyszedł.

– Ty to masz tupet – stwierdziła.

– Nie odpuszczę sobie.

– Jeśli pozwolisz, wołałabym się teraz skoncentrować na tym natręciu, który kręci się gdzieś tam na zewnątrz.

Quinn na chwilę odwrócił wzrok od okna, żeby się do niej uśmiechnąć.

– Chciałem przez to powiedzieć, że zawsze będę mieć nadzieję.

– To już twój problem – uznała Pearl – nie mój.

– Wiem, że w tym momencie z nikim się nie spotykasz – nie dawał za wygraną Quinn.

– Na twoim miejscu nie byłabym tego taka pewna.

Znowu się uśmiechnął. Tym razem nie odwrócił głowy, ale widziała, że tuż pod kąciem oka marszczy mu się policzek. Dobrze znała ten tik. Rozgniewała się.

– Milton Kahn – rzuciła jak zakłęcie głosem, z którego sączył się jad.

Quinn spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Kto taki?

– Nieważne. I tak go nigdy nie poznasz. – *Ja też, jeśli tylko mi szczęście dopisze.* – Tak się składa, że cieszę się z tego, jak się obecnie układa moje życie – powiedziała Pearl. – Niech tylko wszystko wróci do normy. – *Czy to kłamstwo w ogóle ma jakiś sens?*

Quinn przez chwilę milczał.

– Nie sądzę, żeby miał się dziś wieczorem pojawić – odezwał się. – To raczej taki typ, który się nie spieszy.

Jak dobrze wiedziała Pearl, Quinn nie miał na myśli Milтона Kahna.

– Ale to również typ, który lubi zaskakiwać. Chyba jesteśmy gotowi na wszystko, Quinn.

Powinniśmy liczyć się z tym, że zabójca znajdzie jakiś sposób, żeby nas oszukać. Nie wydaje ci się, że tak może być?

– Tak.

Z leżącego na parapecie telefonu Quinna rozległy się pierwsze dźwięki melodii z filmu *Doktor Żywago*. Quinn go chwycił, przyłożył do ucha i odezwał się:

– Tak – powtórzył jak wcześniej. – Dobra, Feds. – Rozłączył się i odłożył aparat na parapet.

– Myrna wróciła.

Pearl natychmiast przestała chodzić po pokoju. Usiadła przy biurku i włożyła słuchawki.

– Tak się składa, że dobrze mi się pracuje w banku – powiedziała, spoglądając w bok na Quinna.

– To pewnie z racji tego munduru – rzucił.

Nie miał dla niej litości.

## Rozdział 58

– Ciągłe masz coś innego do roboty – Robaczek zwrócił się do Lauri.

Siedzieli w kuchni w Hungry U. Sporo się tam działo: zapach przypraw, szybkie ruchy, dzwonienie talerzy i szcęk sztućców.

– Nie ciągle, ale akurat dzisiaj – powiedziała Lauri.

Zajrzała do kuchni w sprawie zamówienia na *shahi kormę*. Chciała się dowiedzieć, jak duże będzie opóźnienie, bo musiała coś powiedzieć czekającemu na danie gościowi, który został sklasyfikowany jako cenny stały klient, gdyż odwiedził restaurację już co najmniej dwa razy.

– Będzie gotowe za jakieś trzy minuty – powiedział Jamal, szef kuchni, w którego żyłach płynęła zarówno afrykańska, jak i pakistańska krew.

– Lauri...

– Robaczek, serio, nie masz mnie przecież na własność. Kobiety nie są już ubezwłasnowolnione przez mężczyzn.

– Ubezwłasnowolnione?

– Ubezwłasnowolnione. Chodzi o to, że nie masz wyłącznego prawa do decydowania o tym, kiedy spędzisz ze mną czas, a kiedy nie.

Robaczek wydawał się zaskoczony takim ujęciem sprawy. Być może nawet trochę go ono oburzyło.

– Cholera, Lauri. Nie musisz być taka wredna. Przecież wiesz, że jesteś moja.

Jamal, który właśnie mieszał składniki sosu w metalowej misce, spojrzał na niego znacząco.

Lauri tymczasem spiorunowała go wzrokiem.

– Jestem niczyja. Poza tym, w ogóle cię tu w kuchni nie powinno być, Robaczek.

– W obu sprawach ma rację – stwierdził Jamal.

– Dobrze wiem, co robisz – powiedział Robaczek, nie zwracając uwagi na Jamala. –

Umawiasz się z kimś innym.

– Wow! – wyrwało się Jamalowi.

– Nawet gdybym spotykała się z kimś innym – powiedziała Lauri chłodno – to tobie nic do tego. Myślisz, że nie wiem, co wyprawiacie z kumplami w tych wszystkich klubach, kiedy mnie akurat nie ma?

Jamal na chwilę przestał ubijać sos. Najpierw spojrzał na Lauri, potem na Robaczka.

– To przecież nic nie znaczy, Lauri. Nic! Nie czuję do tych wszystkich dziewczyn tego, co czuję do ciebie. Ty jesteś dla mnie całym światem.

Kiwając głową z aprobatą, Jamal wrócił do ubijania sosu.

– Twoje zachowanie na to nie wskazuje – powiedziała Lauri. – To słowo ma tu kluczowe znaczenie: zachowanie.

– Widać, że dziewczyna wykształcona – skomentował kucharz.

Robaczek zrobił kilka kroków w jego stronę. Górna część jego ciała poruszała się jakby wolniej niż dolna.

– Mam już tego dość.

Jamal się uśmiechnął.

– Daj spokój... bo cię dźgnę trzepaczką.

Robaczek zrobił jeszcze jeden gniewny krok w jego stronę, ale Lauri chwyciła go za kościste ramię.



– Wszyscy stracimy przez ciebie pracę – powiedziała, ściskając go na tyle mocno, że Robaczek aż skrzywił się z bólu.

– Pieprzyć to, czasami człowiek musi...

– Żaden inny lokal w Village już cię wtedy nie zatrudni.

Ten argument chyba trafił Robaczekowi do przekonania.

– Nie podoba mi się to, co się dzieje – rzucił, wyswobodzając się z uścisku Lauri i odwracając plecami do Jamala.

– Nic się nie dzieje.

– Dzieje się, *shahi korma* gotowa – oznajmił Jamal. – Czeka na podanie i stygnie.

Robaczek spojrział na niego przez ramię, a potem powiedział do Lauri:

– Mnie się, do cholery, nie podoba!

– Żeby w tej sprawie obowiązywały jakieś przepisy...

Robaczek wypadł z kuchni, nawet nie sprawdzwszy, czy nie zderzy się z kimś w wahadłowych drzwiach. Na szczęście się nie zderzył.

Lauri wzięła w ręce talerz z *shahi kormą* i położyła go na środku okrągłej tacy, którą zaraz chwyciła idealnie w poziomie.

– Powinieneś się za siebie wstydzić – powiedziała do Jamala.

– Ten cały Joe o ciebie pytał – odrzekł niewzruszony.

– Kiedy?

– Już kilka razy.

Wyniosła tacę z kuchni, po drodze wspinając się na palce i sprawdzając przez małą szybkę, czy Robaczek przypadkiem nie czai się po drugiej drzwi. Nigdzie go nie było widać, choć to oczywiście nie oznaczało, że sobie poszedł.

– Może kiedyś umówiłabyś się ze mną? – usłyszała za sobą głos Jamala. – Pozbyłabyś się tej ludzkiej glizdy.

Niosąc *shahi kormę* do stolika z gracją godną królowej, Lauri patrzyła tylko przed siebie.

Rzeźnik dość szybko zidentyfikował hotel ze zdjęcia. Niskie marmurowe stopnie, ciemny rąbek markizy, szklane obrotowe drzwi osadzone w ceglanej ścianie i gładki biały kamień – to wszystko cechy równie charakterystyczne, jak rysy twarzy. Spędził chwilę przed komputerem, zanim udało mu się znaleźć ten właściwy – Meredith. Porównał go ze zdjęciem z gazety, żeby się upewnić. Hotel oferował noclegi w średniej cenie – co na Manhattanie i tak oznacza niemal astronomiczne kwoty – głównie dla ludzi biznesu. Z racji udogodnień prezentował się na tle konkurencji dość atrakcyjnie. Rzeźnik obejrzał w internecie galerię zdjęć kilku pokoi, a także restauracji i kawiarni. Bardzo przydatna rzecz.

Później przejechał koło hotelu taksówką, żeby go sobie obejrzeć w trójwymiarze i poczuć atmosferę tego miejsca. Potem wysiadł i chwilę chodził po okolicy, bo być może kiedyś przyjdzie mu tędy uciekać.

Od poranka minęło zaledwie kilka godzin, a on już wiedział, gdzie konkretnie przebywa jego matka. Jej obecność więc stała się dla niego jeszcze bardziej realna, stanowiła jeszcze większe zagrożenie. Myśl o niej prześladowała go jak duch, gdy spacerował po ulicach. Mógł ją przecież minąć na chodniku i nawet nie zauważyć. Mogłoby się też zdarzyć tak, że tylko jedno z nich zauważy to drugie. Ta wizja sprawiła, że przeszedł go dreszcz.

Spojrzał na zegarek i z zaskoczeniem stwierdził, że całe to gromadzenie informacji zajęło mu większą część popołudnia. Nie czuł głodu, ale zanim wrócił do swojej kryjówki – bo tak zaczynał myśleć o miejscu swojego pobytu – wstąpił do małej jadłodajni na ciepłą kanapkę z tuńczykiem

i kawę.

Hotel Meredith... Co teraz? Pora wprawiać się w sztuce podstępu?

Jeszcze nie. Za mało na razie wie.

Nalał sobie jacka daniela, podszedł z drinkiem do rozkładanego fotela i rozsiadł się tak, żeby móc przyglądać się przez okno miastu, które powoli tonęło w mroku. Tyle czasu minęło, odkąd mieszkał na bagnie. Miał jednak wrażenie, że czas składa się w harmonijkę niczym akordeon. Ostatnio w snach coraz częściej wracał do tamtego okresu, chociaż koszmary nie oddawały do końca prawdziwych przeżyć. Bagno zawładnęło jego umysłem i stało się jego częścią. Mieszkały tam i czaiły się rzeczy, z którymi nie chciał mieć do czynienia. Wydawało mu się, że zdołał od nich uciec, ale one cały czas mu towarzyszyły.

Bywało, że leżał w nocy i gapił się w mrok, ponieważ bał się zasnąć. Czy bał się tylko tych snów, czy może raczej odczuwał tę rosnącą presję, która wedle autorów opracowań poświęconych seryjnym mordercom wzbiera w nich wraz ze wzrostem liczby ofiar?

*Nikommu nigdy nie udaje się uciec.*

Może jego matka też nie ucieknie. Może w jej głowie też czai się to wszystko, co jego nęka w ciemnościach.

Nie widzieli się od bardzo dawna, ale on nie miał wątpliwości, że nadal się rozumieją. Tak samo, jak rozumiał Quinna.

To oczywiste, że w hotelu Meredith czeka na niego pułapka. Dobrze znał swojego przeciwnika. Uważnie go obserwował, badał jego poczynania – tak samo jak Quinn analizował jego działania. Każdy z nich potrafił patrzeć na świat oczami tego drugiego. Rzeźnik znał nawet umysł Quinna lepiej niż on sam.

Quinn miał własne piekielko, własne bagno. Miał za sobą liczne doświadczenia z przemocą i surową sprawiedliwością, zdążył też zszargać sobie reputację. Do tego alkoholowa przeszłość, nieudane małżeństwo, niesforna córka i nieodwzajemniona miłość. Niezaspokojone pragnienie tropienia złoczyńców i niewątpliwy talent do prowadzenia pościgów.

*Nikommu nigdy nie udaje się uciec. Pytanie tylko, czy faktycznie chcemy uciec.*

Sherman nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, że matka została wystawiona na przynętę – że to archanioł zła, którego trzeba zarżnąć. Choć widział coś właściwego w tym, że to akurat ona ma sprowadzić na niego koniec.

Quinn musiał sobie zdawać sprawę, że Rzeźnik nie będzie się w stanie oprzeć urokowi demona, którego tyle razy próbował już zgładzić, a który za nic nie chce pozostać w krainie umarłych. Nie znał jednak jego matki tak dobrze, jak mu się wydawało. Była bowiem przynętą, ale przynętą trującą. Pragnęła zabić swojego syna tak samo jak wtedy, gdy tyle lat temu ruszyła za nim w pościg na bagna. Teraz była nawet bardziej zdeterminowana.

Śmiertelna przynęta. Sherman musiał to wszystko starannie zaplanować... Musiał też pedantycznie działać. Czuł się jak pajak wędrujący po sieci znacznie większego i znacznie bardziej śmiertelnego owada – owada zdolnego sparaliżować go spojrzeniem i wysać z niego życie, jeszcze zanim jego serce się zatrzyma.

*Mama...*

Dziewięcioletni Sherman wypił łyk jacka daniela i powiedział sobie, że sytuacja się przecież zmieniła. Teraz jest dorosły, dojrzały. Postanowił odepchnąć od siebie strach i zająć czymś umysł. Był przecież mistrzem rozwiązywania problemów, a hotel Meredith nie miał wiele wspólnego z pajęczą siecią. Stwarzał wiele możliwości. Można się było po nim poruszać na wiele sposobów. Pułapka zastawiona przez Quinna nie stanowiła problemu. Należało po prostu znaleźć

rozwiązanie.

Chodziło w końcu o sprawę rodzinną.

## Rozdział 59

Coś nowego. Coś ekscytującego.

Lauri nie bywała zbyt często na Upper East Side. Starła się nie dać po sobie poznać, że nigdy jeszcze nie miała okazji jeść w miejscu tak eleganckim jak Mangio's. Siedzieli z Joem przy malutkim okrągłym stoliku pod ścianą, z dala od niewielkiego parkietu. Zespół – faceci ubrani w jednakowe marynarki i krawaty, czyli zupełnie inaczej niż The Defendants – grał łagodny utwór o synkopowym rytmie. Lauri przypuszczała, że to rumba. Poza parkietem podłogę w całym lokalu pokrywał czerwony plusz, który kontrastował z białymi obrusami i lśniącymi sztućcami. Kryształowy kieliszek na długiej nóżce, z którego Lauri piła martini z wódką bez lodu, odbijał światło świecy stojącej na środku stolika. Lauri przypuszczała, że właśnie o takich miejscach mówi się, że mają klasę.

Przyglądała się kobietom siedzącym przy stolikach lub tańczącym na parkiecie. Cieszyła się, że zdecydowała się włożyć tę sukienkę, którą Joe kupił jej w prezencie w ekskluzywnym butik na Madison Avenue niewątpliwie za niemałe pieniądze. Jej ojciec pracował wieczorami, więc nie widział, jak wychodziła z domu w tym stroju. I dobrze, bo zapewne domagałby się wyjaśnień. Naprawdę powinna mieć własne mieszkanie. Świat otwierał się przed nią niczym kwiat w promieniach słońca...

– Wyglądasz na szczęśliwą – powiedział Joe, uśmiechając się do niej z drugiej strony stolika.  
– Cieszę się tym.

– Mogłabym być bardziej szczęśliwa tylko wtedy – wyznała – gdyby ta chwila, kiedy jestem z tobą w takim miejscu, mogła trwać wiecznie.

– Nie – odparł. – Jest coś jeszcze. Wiem, co mogłoby dać nam obojgu nieskończone szczęście.

Sięgnęła przez stół i lekko przeciągnęła paznokciami po wierzchu jego dłoni.

– Joe...

– Nauczę cię tańczyć rumbe.

Nie potrafiła zapanować nad wyrazem swojej twarzy. Od stóp do głów przeppełniło ją rozczarowanie. Roześmiał się.

– Widzę, że spodziewałaś się usłyszeć coś innego.

– Chyba oboje wiemy, o co chodzi – przyznała, śmiejąc się razem z nim, ale jeszcze nie zdusiła zawodu.

– Może ty już umiesz tańczyć rumbe?

– Nie.

– Za pięć minut będziesz umieć. Znam stuprocentową metodę.

Wstał i ujął ją lekko za koniuszki palców, zapraszając w ten sposób do wejścia na parkiet. Miała pewien kłopot z tym, żeby tam przejść, co trochę ją zdziwiło – wypila przecież tylko jednego drinka.

Wybrał idealny numer, zespół był dopiero w połowie rumby. Joe przyciągnął Lauri do siebie i przyjął pozycję taneczną, otaczając ją ramieniem w talii i rozsuwając palce na granicy pleców i pośladków. Przycisnął ją mocno do siebie.

– Wykonamy prosty krok po kwadracie – powiedział, posyłając jej do ucha ciepły oddech. – Pozwól mi prowadzić. Szybko złapiesz rytm i ruch bioder.

Miał rację. Po chwili tańczyła, nawet nie myśląc o tym, że mógłby jej nadepnąć na nogę.

Potem przyciągnął ją jeszcze bliżej, żeby mogła poczuć rytm w jego ciele. Od całego tego doświadczenia aż zakreśliło jej się w głowie.

– Jeszcze trochę rozluźnij biodra i będzie super – wyszeptał. – Właśnie tak. Świetnie. Świetnie!

Trzymał ją mocniej, ona zaś starała się rozluźnić ciało. Teraz nie miała wyboru. Musiała podążać za nim w rytmie synkopowego utworu. Ale to jej nie przeszkadzało. Swobodnie kołysała biodrami, pozwalając, aby Joe opuścił dłoń nieco niżej i położył ją na wzniesionej ku górze części pośladków. Tak bardzo chciała go zadowolić.

– Nie jestem trochę...

– Jaka? – zapytał.

– Nie wiem.

– W porządku?

– Co takiego?

– Pytam, czy wszystko w porządku – powiedział z szerokim uśmiechem...

– W porządku, tak chyba można powiedzieć.

– Świetnie tańczysz – komplementował ją. – Po prostu poczuć swobodę. Zaufaj mi, ja poprowadzę.

Lepszej rady nie mógł jej udzielić. Lekko rozluźnił uścisk (choć nie ten na plecach – miednicami nadal ściśle do siebie przylegali), a ona dobrze reagowała na delikatne prowadzenie rękami i sygnały wysyłane ciałem podczas tańca. Odprężyła się jeszcze bardziej, a jej ruchy stawały się coraz płynniejsze. Ufała mu. Uśmiechnął się.

– Teraz tańczysz już tak samo dobrze jak ja.

Odpowiedziała uśmiechem. (Czy będzie miał wzwód? Jeśli tak, to ona na pewno się zorientuje.)

Muzyka ustała, a wtedy ją pocałował. Hungry U, The Defendants i Robaczek – to wszystko wydawało się jej teraz tak odległe, jak gdyby przynależało do innego świata.

– Zaufaj mi, ja cię poprowadzę – wyszeptał jej ponownie do ucha.

Gdy wsiedli do taksówki, zaskoczyła go. Wystarczył delikatny pocałunek, odrobina niewinnych pieszczot. Wydawało mu się, że aż tyle ketaminy jej do martini nie wsypał. Chciał ją lekko zdezorientować, w pewnym stopniu pozbawić kontroli nad sytuacją, ale miała się dobrze bawić i miała to zapamiętać. Choć być może w ogóle nie musiał jej nic podawać. Zdecydował się na to, bo liczył się czas. A jeśli to w ogóle jeszcze nie zaczęło działać? Te tabletki weterynarze dają kotom. Kicia. Ta myśl wydała mu się w sumie zabawna.

Pokonali zaledwie jedną przecznicę, a Lauri zdążyła zarzucić mu ręce na szyję i zaczęła muskać go po uchu językiem. Poczul napięcie w pachwinie, a ona pocałowała go i dotknęła.

– Nie chcę czekać, Joe – wyszeptała mu do ucha. – Nie mogę.

– Jedziemy do ciebie? – zapytał.

Bawił się z nią i przeciągał całą sprawę, żeby podsycać w niej napięcie.

– Nie możemy. Nie mieszkam sama, tylko z ojcem. Jego teraz nie ma w domu, ale mógłby nas przyłapać.

Uśmiechnął się szeroko, wiedząc, że w ciemnej taksówce i tak tego nie zobaczy. Napawał się tą jej desperacją. Trochę traciła kontakt z rzeczywistością, ale nie za bardzo. Najwyraźniej dobrze dobrał dawkę.

Przysunęła się do niego.

– Może...

– Co?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Nieważne. Co...

Ujął ją za kark i mocno pocałował w usta. Jednocześnie kciukiem muskał jej małżowinę. Drugą rękę wsunął jej pod podciągniętą spódniczkę, doświadczając ciepłej wilgoci. Odpowiadała na jego pocałunek ustami, językiem, zębami...

– Chryste, już się nie mogę doczekać – wyszeptała chrapliwie, kiedy ją puścił. – Nie wiem...

– Czego?

– Po prostu nie wiem... Wypiłam tylko jednego drinka.

– Wypiłaś trzy, kochanie. Liczyłem.

– Trzy?

Przytuliła się do niego mocno. On pochylił się w kierunku szyby z pleksi, która oddzielała przestrzeń dla pasażerów od kierowcy.

– Proszę nas przewieźć przez park.

Kierowca dobrze wiedział, co to znaczy. Rzucił okiem w tylne lusterko, po czym skręcił w prawo i zawrócił. Światła mijających ich samochód wpadły na tylne siedzenie taksówki i na moment wzbudziły niepokój u Lauri.

– Będziemy jechać powoli – wyszeptał.

– Masz coś? – zapytała Lauri, przywierając do niego.

– Oczywiście – odparł. – Kondom.

Pocałował ją w spocone czoło, po czym zaczął wykonywać wprawne ruchy dłonią zanurzoną pod jej spódniczką.

– Nie musisz się martwić, kochanie. Jestem ostrożny. Nigdy nie spotkałaś nikogo ostrożniejszego.

## Rozdział 60

Sherman jak zwykle czytał „Timesa” do śniadania. Przyniósł sobie gazetę z automatu na rogu. Gdy wrzucał do niego monety, pomyślał z uśmiechem, że właściwie to gazeta powinna płacić jemu. W końcu to dzięki niemu mogła opublikować jakieś interesujące informacje, a nie tylko te same nudne doniesienia agencyjne co zwykle. To dzięki niemu gazety miały czytelników. Sprzedaż tytułów prasowych podskakiwała za każdym razem, gdy w żyłach jednej z jego ofiar przestawała krążyć krew.

Ranek był na tyle ładny, że zamiast jeść w swojej ulubionej jadłodajni, postanowił usiąść przed jedną z małych restauracji. Tuż za kutą barierką, która oddzielała ogródek od chodnika, maszerowali piesi. Chłodny wietrzyk poranka zabierał spaliny samochodów, więc apetyt mu dopisywał, tym bardziej że słońce wciskało się ciepłymi promieniami pod parasol rozłożony nad stolikiem.

Wbijając widelec w jajecznicę i gryząc tost, Sherman czytał, że jego brat Jeb, którego nigdy nawet nie widział, zajmuje się handlem walutami. Poczuł coś na kształt dumy. Czyli Jeb też był bystry, a na dodatek podobnie jak Sherman robił karierę w świecie finansów. Bo Sherman zarobił fortunę na akcjach technologicznych, które systematycznie wyprzedawał na krótko przed pęknięciem bańki. Niewykluczone, że Jeb zawdzięczał swoje dostatnie życie podobnym wahaniom na rynku. Sherman przypuszczał, a właściwie wiedział na pewno, że geny to zdecydowanie coś więcej, niż się większości ludzi wydaje. Geny to przeznaczenie, od którego nie da się uciec.

Powiew letniego wiatru przewrócił stronę w gazecie. Sherman zobaczył dobrze już sobie znane zdjęcie matki wysiadającej z taksówki przed hotelem Meredith. Przestał przeżuwać i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemne oczy i uśmiechnięte usta. Miał wrażenie, że oczy jednak się nie uśmiechają.

Patrząc na to zdjęcie, przypomniał sobie wydarzenia z poprzedniego wieczoru, kiedy to znalazł się w taksówce z córką Quinna. *Córka Quinna!* Teraz to Sherman się uśmiechnął. Co Quinn by sobie pomyślał, gdyby się o tym dowiedział? Ale pewnego dnia się dowie, już Sherman tego dopilnuje. Jeśli zaś chodzi o Lauri, z pewnością dobrze zapamięta tę noc – przynajmniej częściowo. Podał jej tak niedużą dawkę ketaminy, że niczego nie powinna się domyślić. Poza tym sama miała ochotę go uwieść. Nawet gdyby coś podejrzewała, to powinna mu wybaczyć. Mała Lauri wcale nie była taka niewinna. Nie mogła być, skoro chodziła do łóżka z tym wysokim i kościstym ćpunem udającym muzyka.

Skończył jeść, uregulował rachunek i szurnął metalowym krzesłem po betonowym chodniku. Wstając, uważał, żeby nie zahaczyć głową o parasol. Najedzony i usatysfakcjonowany, po ubiegłej nocy również seksualnie, ruszył w kierunku swojego mieszkania. Spodziewał się faksu od znajomego z Atlanty, pewnego architekta, któremu kilka lat wcześniej pomógł się wydostać z kłopotów finansowych. Facet dostał potem intratną posadę w wydziale planowania i rozwoju miasta. Miał dług wdzięczności wobec niego, a do tego poruszał się z niezwykłą wprawą po biurokratycznej dżungli. W tym konkretnym przypadku chodziło o dżunglę nowojorskich archiwów.

Rozwiązywanie finansowych problemów tego człowieka wymagało balansowania na granicy prawa, więc ujawnienie sprawy mogło wprawić go w zakłopotanie albo wręcz poważnie mu zaszkodzić. Sherman spodziewał się więc współpracy. Nie rozczarował się. Zamknął za sobą

drzwi i spojrział na faks. Na podajniku leżało kilka wiadomości. Wiedział, co tam znajdzie: plany hotelu Malzberg Plaza z tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, który to został odrestaurowany w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym i teraz nosił nazwę Meredith. Do faksu dołączone zostały plany sporządzone na etapie remontu.

Sherman sięgnął po kartki, żeby się upewnić, że faktycznie dostał to, czego potrzebował, po czym odłożył je na biurko. Zamierzał zajrzeć do nich później. Trochę się spocił w drodze powrotnej z restauracji, postanowił więc, że zanim się czymkolwiek zajmie, weźmie drugi tego ranka prysznic. Poza tym zauważył już wcześniej, że jego blond włosy wymagają odrobiny uwagi.

Przy głowie pojawiły się już ciemne odrosty.

Niespełna pięć minut po prysznicu i nałożeniu farby Sherman siedział już przy biurku. W samym tylko szlafroku i papciach przeglądał plany remontu. Miał już w głowie pewien pomysł. Teraz potrzebował tylko jeszcze trochę czasu, jeszcze trochę informacji. Musiał dopracować kilka szczegółów...

Oczywiście liczył też na współpracę, ale tu nie spodziewał się problemów. Wręcz przeciwnie. Problem z głowy.

*Tym razem nie wysyłam ci zagadek, Quinn. Żadnych listów. Żadnych gierek. Żadnego szumu. Tylko atak.*

*Tylko zaskoczenie.*

Gdyby nie wczesna pora, nalałby sobie sporą szklanekę jacka daniela, żeby uczcić swój sukces.

*Zaskoczenie. Odkrycie. Gdy dostąpią tej straszliwej wiedzy.*

Może w tych kilku ostatnich, naznaczonych przerażeniem sekundach życia mama będzie z niego dumna.



## Rozdział 61

Lauri miała nadzieję, że wybrała właściwy numer. Ciągle jeszcze nie wróciła do siebie po ubiegłej nocy. To ją nauczy, że nie należy przesadzać z alkoholem ani z... miłością. Trzy drinki. Tyle jej naliczył Joe. Wielu rzeczy z poprzedniej nocy nie pamiętała, to jednak, co jej się zapisało w pamięci, wspominała z przyjemnością.

*Joe... Jaki z niego wspaniały kochanek... W ogóle jest wspaniały!*

Siedziała na skraju łóżka i wsłuchiwała się w sygnał telefonu Joego. Zachwiała się lekko, bo znowu zakreśliło się jej w głowie. Czy tak to właśnie jest, jak się choruje z miłości?

Jeszcze trzy dzwonki. Już miała się rozłączyć, kiedy odebrał.

– Tu Lauri – powiedziała. – Pamiętasz mnie?

– Jakże mógłbym kiedykolwiek zapomnieć. Miałem nadzieję, że zadzwonisz.

– To dlaczego tak długo nie odbierałeś?

– Brałem prysznic. Dłużej dzisiaj spałem. Byłem bardzo zmęczony, zupełnie nie wiedzieć dlaczego...

Uśmiechnęła się.

– Spróbuj sobie przypomnieć, na pewno ci się uda.

– Masz rację. To musi mieć coś wspólnego z tą moją nadzieją na twój telefon. Dobrze spałaś?

– Nigdy w życiu nie spałam głębszym snem.

– Żałujesz czegoś?

– Boże, nie! – Brzmiało to trochę tak, jak gdyby się krztusiła. Opięty materiał bluzki wibrował jej na piersi w rytm uderzeń serca. – Siedzę tu teraz i myślę o tym, jak bardzo za tobą tęsknię.

– Jakie to słodkie! – Jego głos brzmiał szczerze, ona zaś się ucieszyła, że nie tylko jej więźnie on w gardle.

– Minęło dopiero dziewięć godzin i dwadzieścia sześć minut.

– Stanowczo za dużo – stwierdził.

Zawsze wiedział, co powiedzieć. Zupełnie inaczej niż... ktoś inny.

– Może coś na to zaradzimy... – zaproponowała.

Zaśmiała się cicho. Widziała oczyma duszy wyraz obietnicy w jego brązowych oczach i łagodny łuk jego dolnej wargi. Zapamiętała dobrze jego twarz i chciała zachować ten obraz na zawsze.

– Problem polega na tym – powiedział – że muszę na trochę wyjechać z miasta w interesach. Nie będzie mnie przez kilka dni.

Przełknęła gorycz rozczarowania. Zaniepokoiła się. Czyżby ją zbywał? Czyżby kłamał?

– Mogłabym pojechać z tobą na lotnisko i tam cię pożegnać... – *Zaraz wyjdiesz na głupią, która się przed nim płaszczy!*

– Na to już za późno. Zamówiłem samochód.

Na chwilę zamilkł, a jej w tym czasie serce pękało. Potem powiedział:

– Za to pomyślałem, Lauri, że w ten wieczór, kiedy wrócę, mogliśmy zrobić coś wyjątkowego.

– Chyba nie ma nic bardziej wyjątkowego niż to, co robiliśmy wczoraj wieczorem.

Znowu się roześmiał.

– To będzie inny rodzaj wyjątkowości. Pójdziemy na kolację do Longitude Room w hotelu

Meredith. To nie to samo co Hungry U, ale ci się spodoba.

– A spodoba mi się to, co będzie potem?

– Jeśli tylko będę miał w tej kwestii coś do powiedzenia.

– Oczywiście, że będziesz miał.

– Tym razem nie ograniczymy się do przejażdżki taksówką – stwierdził. – Zaslugujesz na coś więcej. Zarezerwuję pokój. Następnego dnia obudzimy się w jednym łóżku i zamówimy sobie śniadanie.

Serce znowu mocniej jej zabiło, wzlatując gdzieś wysoko. Postanowiła jednak udawać spokój i zachowywać się elegancko.

– Brzmi świetnie. – *Dobre to było. Nie wyszło przesadnie entuzjastycznie. Wyszło dojrzałe.*

– Widziałem, że masz komórkę. Daj mi swój numer, żebyśmy mogli do ciebie zadzwonić, jak wrócę.

Podawała mu numer tym swoim nowo wypracowanym spokojnym tonem. Nadal szalały w niej emocje, ale już nie tak jak na początku. Teraz już panowała nad sytuacją.

– Nie mów o tym nikomu – powiedział. – Jeszcze sobie narobisz kłopotów, jak mnie akurat nie będzie w mieście.

– Kłopotów?

– Może tego nie zauważyłaś, Lauri, ale jest ktoś, kto ma na twoim punkcie prawie taką samą obsesję jak ja.

– Robaczek? Jakoś mi się nie wydaje, żeby mógł sprawiać faktyczne kłopoty. On tylko tak brzęczy.

– Mogłabyś się zdziwić.

– Mówisz trochę jak...

– Jak kto?

– Nikt. Jeśli uważasz, że tak należy, to nie będę nikomu o nas mówić. Zresztą w ogóle nie mam w zwyczaju rozpowiadać różnych rzeczy na prawo i lewo.

– Wiem o tym. Zadzwoń, jak tylko wrócę, kochanie.

– Będę czekać.

Rozłączył się. Nie powiedział, że ją kocha. Nic nie szkodzi. To jego „kochanie” na razie wystarczy. Lauri się nie zniechęcała. Swoje wiedziała o mężczyznach. Do wielkiego słowa na M jeszcze dojdzie. Już ona tego dopilnuje.

– Każe wam na siebie czekać – stwierdziła profilerka Helen. – Kusi was. Buduje suspens.

– To nie jest powieść kryminalna – odparł Quinn.

– Dla niego jest. A on jest głównym bohaterem.

– Czy nie jest tak, że główny bohater w końcu zdobywa dziewczynę? – dociekał Fedderman.

– On już zdobył ich aż za dużo – odezwał się Renz.

Siedział za swoim biurkiem i przygryzał niezapalone cygaro. Może próbował dać w ten sposób wszystkim do zrozumienia, że przestrzega przepisów i nie pali w biurze – co oczywiście nie było prawdą. Ostrożnie oparł cygaro na brzegu szklanej popielniczki, która pełniła funkcję ciężarka do papieru. Zachowywał się trochę tak, jak gdyby się paliło i miało nie zgasnąć.

– Dzisiaj rano minęło pięć dni, odkąd prowadzimy operację „Myrna jako przynęta”. Jeszcze trochę i będę musiał oddelegować część ludzi do innych zadań. Będą się musieli zająć ściganiem przestępców bardziej realnych niż to widmo.

– Błyskotliwe posunięcie – stwierdziła Pearl. – Świetnie to wypadnie w mediach, jeśli mamuśka zostanie zaciukana.

Quinn rzucił jej karcące spojrzenie. Wszyscy myśleli to samo, ale tylko ona koniecznie musiała powiedzieć to na głos.

– Nie zamierzam do tego dopuścić – oświadczył Renz, spoglądając surowo na Pearl – ale ten sarkazm mi się nie podoba.

Pearl już nic nie powiedziała.

– Przyjmę to milczenie jako wyraz przeprosin – powiedział Renz mniej więcej po półtorej minucie ciszy wypełnionej jedynie odgłosami ruchu ulicznego zza okna.

*Na więcej bym nie liczył*, pomyślał Quinn. Spojrzał ostrzegawczo na Feddermana, który wyglądał, jak gdyby zaraz miał się zacząć krztusić. Chyba nic go w życiu nie bawiło tak bardzo jak wyskoki Pearl.

Renz naciskał dalej:

– Wpadłem na pewien pomysł i postanowiłem wam go przedstawić.

Helen, która trzymała dotychczas kośćistą dłoń na ramie okna, wyprostowała swoje patykowate ciało i jakby skupiła na nim uwagę.

– Posłuchajmy – powiedział Quinn, usiłując zdobyć się na entuzjazm. Zmienił pozycję na krześle i próbował nie zapominać, że Renz, jeśli tylko za bardzo się nie starał, był w sumie dobrym policjantem. Dopiero gdy w grę wchodziła polityka, zaczynał kombinować.

– Musimy dostarczyć psycholowi impuls do działania – stwierdził Renz. – Trochę go kopnąć w tyłek. Helen się chyba zgodzi, że z psychologicznego punktu widzenia potrzeba mu dodatkowego bodźca.

– Może jakiś bodziec by się przydał – przyznała Helen ostrożnie. Skrzyżowała długie ramiona na piersi, prezentując okazałe mięśnie i ścięgna.

– Sama powiedziałaś, że odczuwa narastającą presję – zwrócił się do niej Renz. – Zwłaszcza odkąd matka się pojawiła.

– To prawda – potwierdziła Helen.

W głowie Quinna zaświtała myśl, że na razie jeszcze żaden pomysł nie został przedstawiony. Liczył jednak na to, że Pearl nie zechce wypowiedzieć tej uwagi na głos. Spojrzał na nią, a ona uraczyła go ciętym jak brzytwa uśmiechem. Czytał w jej myślach.

– Chyba znowu powinniśmy odwołać się do mediów – powiedział Renz. – Żeby pojawił się jakiś krótki artykuł o tym, że Myrna ciągle tu jest, ze zdjęciem. Można by to zdjęcie zrobić w pokoju przesłuchań albo może nawet w tym gabinecie, a potem napisać, że złożyła zeznania, i zacytować ją, jak nawołuje swojego przewrotnego syna, by oddał się w ręce policji.

– Na razie to nic nowego. – Quinn zaczynał się irytować. Zastanawiał się, czy czasem jego cierpliwość nie wyczerpie się szybciej niż cierpliwość Pearl. Wręcz słyszał, jak tyka niczym bomba zegarowa.

– Stałaśbyś nad Myrną – powiedział Renz do Quinna. – Może położyłbyś jej rękę na ramieniu, może spojrzelibyście sobie nawzajem w oczy... Nasz psychol by się naprawdę wkurzył.

– Sugestia jakiegoś romantycznego przywiązania? – dociekała Pearl.

Renz skinął głową.

– Dokładnie. Delikatna sugestia.

Fedderman w zamyśleniu pocierał brodę, w wyniku czego mankiet jego białej koszuli ponownie się rozpiął.

– Myrna to ciągle atrakcyjna kobieta – stwierdził. – Takie przywiązanie może wypaść wiarygodnie.

– To może ty powinieneś wystąpić w tej roli – zaproponowała Pearl.

Fedderman zrobił przerażoną minę.

– To zupełnie nie moja liga.

– Jak trzeba, to jesteś niesamowicie skromny. W innych przypadkach zgrywasz się na Brada Pitta.

– To Quinn jest obiektem jego nienawiści – powiedziała Helen – jego wielkim wrogiem. Być może utożsamia go z ojcem, który go opuścił. Nasz zabójca jednocześnie nienawidzi Quinna i darzy go szacunkiem.

*Nie on jeden*, pomyślała Pearl.

– Czyli będzie bardziej skłonny zareagować – podsumował Renz.

– Nie można wykluczyć, że dojdzie do głosu jego edypowy gniew – wyjaśniała Helen – i że wyładuje tę złość na matce, a nie na Quinnie. Jeśli chodzi o ludzi, który kochamy i nienawidzimy zarazem, jednocześnie odczuwając wobec nich lęk, matka jest zawsze na szczycie listy. To ją on za każdym razem zabija.

– Czy to się wszystko nadmiernie nie komplikuje? – zapytała Pearl.

– Może nie – odparł Fedderman. – W końcu mamy do czynienia ze skomplikowanym psycholem.

– Jak szczękną kajdanki, wszystko wyda się proste – powiedział Renz i wsadził sobie niezapalone cygaro z powrotem do ust.

– Albo jak go dopadnie kula – dodał Fedderman.

– Ja tego nie słyszałem – wymamrotał Renz przez cygaro.

Quinnowi nie do końca się to podobało, ale mogło zadziałać. Spojrzał na Helen, która bujała się bez większego sensu w tę i z powrotem, po prostu napinając długie mięśnie. Wyglądała raczej na dziesięcioboistkę niż psychologa, ale Quinn ją znał. Wiedział, że to ktoś więcej niż Helen Iman z nowojorskiej policji. Iman miała doktorat z psychologii. To ona była tu ekspertem.

Dostrzegła, że na nią patrzy. Źle odczytała jego intencje. Chyba.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, żeby się przespać z Myrną Kraft? – zapytała.

– Gdybym był pająkiem.

Pearl milczała. W gabinecie zapanowała atmosfera, której nikt tak do końca nie rozumiał. W końcu Renz wyjął cygaro z ust i rzucił przed siebie:

– To co myślicie?

– Moim zdaniem to genialny pomysł – stwierdziła Helen. – Tylko musicie być gotowi poradzić sobie z tym, co w ten sposób wywołacie.

## Rozdział 62

Słońce potrafi usunąć, oczyścić i wypalić wszelkie zepsucie i dolegliwości. Przynajmniej na chwilę.

Rzeźnik siedział na ławce przy wejściu do Central Parku, na wysokości Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, i wystawiał twarz do ciepłych promieni. Poprzedniej nocy znowu dręczyły go koszmary i teraz zupełnie nie miał ochoty na śniadanie. Nie wyspał się, więc nie wypoczął, a dodatkowo czuł pod językiem cierpki smak, którego w żaden sposób nie potrafił się pozbyć.

Oczywiście po przebudzeniu potrafił racjonalnie odrzucić te sny. Zawsze też potrafił odróżnić je od rzeczywistości.

Chyba że akurat śnił.

Choć grzał się w słońcu, przeszedł go zimny dreszcz.

Po wstaniu z łóżka wziął prysznic, a potem poszedł na spacer, licząc na to, że być może nabierze dzięki temu apetytu choćby na sok pomarańczowy i kawę. Chciał też zajrzeć do porannego „Posta”, którego kupił w kiosku podczas przechadzki po parku. Niezmiennie go interesowało, cóż też media mają do powiedzenia na temat zabójcy kłopotliwego dla policji i intrygującego dla opinii publicznej. Nawet szacowny „The New York Times” publikował doniesienia o Rzeźniku, umieszczając artykuł na pierwszej stronie, tuż pod nagłówkiem.

Sherman spojrzał w słońce i się uśmiechnął. Zdobył sławę, choć była to sława anonimowa. Może zawsze właśnie o sławę mu chodziło? A może zainteresował się nią dopiero wtedy, gdy zaczął korzystać ze swojej wiedzy i ulegać impulsom?

Przestrzegł siebie, że takie zabieganie o popularność może sprowadzić na niego niebezpieczeństwo. To pragnienie niejednego doprowadziło już do zguby. Sherman zapoznał się z literaturą dotyczącą seryjnych morderców i wiedział o nich tyle samo co Quinn. Albo może prawie tyle samo – w końcu Quinn miał w życiu do czynienia z takimi ludźmi, a Sherman tylko był jednym z nich. Chcąc podzielić się tym dowcipem ze słońcem, uśmiechnął się szeroko. Niewiele brakowało, a wybuchnąłby głośnym śmiechem.

Ciągle jeszcze nie uwolnił się od zmęczenia, ale samopoczucie zdecydowanie mu się poprawiło. Zamierzał tu jeszcze trochę posiedzieć, poczytać gazetę, a potem napawać się tym dniem, który się tak pięknie rozpoczynał. Przez chwilę rozglądał się po parku, po czym przeniósł wzrok na ruchliwą aleję, aż w końcu wyjął z kieszeni koszuli okulary do czytania, włożył je i ustawił oprawki w odpowiednim miejscu na nosie. Otworzył gazetę, którą miał na kolanach.

O, jakie to ciekawe!

Nachylił się i wpatrywał w zdjęcie umieszczone na drugiej stronie. Ciekawe to mało powiedziane. Zdumiewające! Mama i Quinn w jakimś pokoju, być może w gabinecie. Mama siedzi przy stole z długopisem w ręku, przed nią leży kartka papieru. Quinn stoi tuż przy niej, jakby odrobinę za nią. Rękę trzyma jej lekko na ramieniu przy nasadzie karku. Ona nie wpatruje się ani w dokument, ani w aparat, lecz w oczy Quinna.

*Jak on na nią patrzy! Jak on śmie...*

Sherman poczuł chłodny ucisk tuż pod sercem. Zamknął oczy i czekał, aż to doznanie przeminie, po czym ponownie spojrzał na zdjęcie opublikowane przez „Posta”. Teraz się uśmiechnął. Z początku wymusił na mięśniach twarzy konkretne ułożenie, ale potem uśmiech stał się szczery. Rozum zatriumfował nad emocjami.

To musiał być podstęp! Sherman roześmiał się głośno, z jego ust wydobył się jak gdyby

tłumiony chichot. Quinn! Nie nienawidził go, nie chciał go zabić. W końcu sam go wybrał. To nie Quinn go zawiódł. Sherman roześmiał się ponownie, tym razem z podziwu dla sprytu swojego przeciwnika. Sztuczka stara jak świat, „Matka zabójcy podpisuje oświadczenie”, ale z dodatkowym smaczkim. Wspaniałe! Śmiałe! Mama występująca w roli przynęty ma romans z detektywem prowadzącym śledztwo. To wszystko oczywiście kłamstwo. Quinn musiał wymyślić coś nowego, coś innowacyjnego, o co można by wzbogacić całą resztę bezsensownych frazesów, które od lat wypisuje się i opowiada na temat seryjnych morderców i ich matek. *Cóż oni wszyscy wiedzą, ci niezorientowani, nieszczęśliwi profesorowie w zatęchłych klasach i salach wykładowych pełnych na wpół znudzonych studentów, ci popowi psychologowie opowiadający w telewizji wyświechtane frazesy, tę całą papkę, którą łyżeczka po łyżeczce karmi się masy? Kto im daje prawo do formułowania jakichkolwiek założeń?*

Cóż, niech się Quinn trochę powymądrza. Sherman nie będzie się tym przejmować. Kimże on tak naprawdę jest, ten dupek detektyw? Czy jemu się naprawdę wydaje, że zrobił coś nowego? Czy wydaje mu się, że wymyślił spłuczkę do toalety albo futbolowe podanie do przodu?

Sherman uświadomił sobie, że zaciska szczękę. *Gniew należy odrzucić. Gniew nie jest ani uzasadniony, ani potrzebny.* Rozumiał przecież, że policja zaczyna się niecierpliwić. Zastanawiają się, czy faktycznie skusi się na tę przynętę i potwierdzi ich przypuszczenia. To oni odczuwali narastającą presję. To oni postanowili opublikować te pozowane zdjęcia. To z nich i ich bezowocnych wysiłków należałoby się śmiać. To oni sprawiali wrażenie zagubionych w bagnie.

Wstał z ławki i złożył gazetę, po czym podszedł do najbliższego kosza na śmieci i wyrzucił ją wraz z resztkami swojego człowieczeństwa.

Ruszył przed siebie, nadal nie czując głodu.

Mniej więcej około drugiej zasnął w rozkładanym fotelu. Przyśnili mu się Quinn i mama. Patrzyli na siebie... w ten charakterystyczny sposób. Robili też inne rzeczy. Śnił mu się również Sam Pickett oraz odgłosy dochodzące z sypialni mamy: skrzypienie sprężyn łóżka i uderzenia zagłówek o ścianę. Dźwięki trwały i trwały, aż w końcu zaczęły przypominać tłukącą się gdzieś w oddali burzę, która nie pozwala człowiekowi zaznać spokoju i bezpieczeństwa, ponieważ stale czai się na horyzoncie.

*Skrzypienie sprężyn! Skrzypienie sprężyn!*

Nie dało się tego wytłumić. W żaden sposób nie dało się zatrzymać tej odległej burzy, która coraz bardziej się zbliżała.

Przeszłość wisiała nad nim niczym wiosenne chmury burzowe, mąciła mrok jego umysłu i przywoływała różne dźwięki czy obrazy, które wbrew woli Shermana nagle pojawiały się w jego pamięci: plusk czarnej wody w świetle księżyca, nieustanne bzyczenie owadów, spokojne ruchy czerni pośród zacienionych bagien, przenikliwy jęk piły elektrycznej...

*Skrzypienie...*

Burza przybierała na sile i teraz wyła mu w głowie niczym huragan. Stopniowo wtulał się w jej pierś, aż w końcu całkowicie się jej poddał.

Otwierając oczy, spodziewał się zobaczyć mrok, a tymczasem przez okno wlewały się strugi światła. Siedział przez chwilę, wpatrując się w miasto, najzupełniej rzeczywiste i niemające nic ze snu – w te kilometry wznoszącego się kamienia i szkła, w te kanciaste cienie i jasne promienie słońca. Przeszłość ma już dawno za sobą. *Za oknem czeka na niego terażniejszość. Chwila*

*obecna! Chwila prawdziwa!*

Odepchnął od siebie strach i gorycz snu oraz sennych koszmarów. To podstęp. Zdjęcie w gazecie wygląda na prawdziwe, ale to w rzeczywistości podstęp. Ale echo tamtego snu cały czas rozbrzmiewało w jego głowie i zalewało jego umysł obrazami. Sherman się wściekał i pocił, a serce waliło mu jak młotem.

*Spokojnie, do cholery! Spokojnie... To podstęp...*

Przypomniawszy sobie, jak łowił ryby na bagnach. Ryby chwytają przynętę i pozostawiają pusty haczyk. Czasami zdarzało się, że linkę chwycił aligator. Wtedy ją zrywał, ciągnąc za haczyk i przynętę z niesamowitą, choć niewidzialną siłą. Quinn miał się wkrótce nauczyć, że są takie stworzenia, na które się nie poluje. Bo Quinn nie miał o tym pojęcia. Nie przeżył tego, co Sherman, nie nauczył się tego wszystkiego na własnej skórze. Nie ma sensu cziąć się na stworzenia, dla których przynęta i myśliwy to nic więcej jak prezent i łup.

Sherman sięgnął po komórkę i wybrał numer Lauri. *Połączenie między komórkami, jak w żywym organizmie.* W końcu jego serce zwolniło, a oddech się wyrównał. Odpowiedziała po trzecim dzwonku:

– Cześć! – zagaił. – Tęskniłaś?

## Rozdział 63

Jack Neeson pełnił służbę w roli boja hotelowego. Występował w śmiesznym mundurku i w ogóle starał się upodobnić do pracownika hotelu. Szekspir, czy kto to tam powiedział, miał rację, że życie to scena, a my wszyscy jesteśmy aktorami. Neeson miał już okazję wcielić się w bezdomnych i dilerów narkotyków. Zdarzało mu się nawet udawać czystych jak łąza przedstawicieli klasy WASP9, uśmiechniętych i wygadanych, kiedy indziej zaś nikczemnych dupków zajmujących się jakąś działalnością przestępczą. Ale przez cały czas pozostawał policjantem.

Właśnie kręcił się tuż przy wejściu do hotelu Meredith i usiłował przypomnieć sobie dowcip, który niedawno słyszał, gdy w jednej z kobiet rozpoznał córkę Quinna. Szła pod ramię z facetem w dobrze skrojonym niebieskim garniturze. Facet trzymał w ręku białe pudło z gatunku tych, w które pakuje się kwiaty. Dobrze do siebie pasowali. Ona była ładna, chociaż trochę jeszcze młoda i nie do końca tak krągła, jak życzyłby sobie tego Neeson. Facet zaś był zupełnie przystojny, średniego wzrostu, o sportowej budowie ciała i gęstych jasnych włosach, być może odrobinę za długich. Neeson uznał, że Quinn pewnie już wie o wizycie córki w hotelu. Niewykluczone, że ona właśnie wybiera się na górę, żeby się z nim spotkać.

Potem jednak dziewczyna i facet skręcili przy windach w lewo i ruszyli korytarzem prowadzącym do drogiej hotelowej restauracji. Czyli umówili się na randkę. Neeson zazdrościł facetowi. Rozpoznał Lolę, Laurę czy jak jej tam było, ponieważ widział ją kilka razy, jak się kręciła przy Pearl Kasner. Pearl sprawiała wrażenie, jak gdyby chciała się jej pozbyć, ale Neeson na jej miejscu postąpiłby inaczej nawet pomimo tej błyskotki, którą dziewczyna wkręciła sobie w płatek nosa. Po co ludzie robią takie rzeczy?

Był taki dowcip o kolczykach w nosie, ale jego też nie potrafił sobie przypomnieć. Miał zawsze na podorędziu szeroki repertuar dowcipów. Traktował je jak rodzaj treningu pamięci, który akurat w jego pracy się przydawał. Gdyby tylko potrafił je sobie przypomnieć...

Kilka sekund później Neeson uznał, że może jednak warto zadzwonić na górę i dać Quinnowi znać, że jego córka pojawiła się w budynku – tak na wszelki wypadek... No ale po co? Facet musi być w porządku, skoro córka Quinna się z nim umawia i może za niego ręczyć.

Jego uwagę przykuły wydarzenia przy wejściu do lobby. Pojawił się w nim niski facet z bagażem podręcznym przewieszonym przez ramię. Miał na sobie workowate spodnie khaki oraz czarną koszulkę polo. Z kieszeni na piersi wystawał mu bilet lotniczy, który krzychał: „Prostak na wakacjach”. *Tak, jasne*. Pasował do opisu i podobnie jak wielu innych mężczyzn przypominał podejrzanego na tym starym zdjęciu. Tylko był chyba za niski. Zdecydowanie za niski.

Neeson znał kilkanaście dowcipów o niskich ludziach. Jego dawny niezbyt wysoki partner kiedyś złożył nawet na niego skargę i Neeson został przeniesiony na inny posterunek. Teraz bacznie obserwował, jak niski się melduje. Zaczekał, aż facet odda bagaż prawdziwemu bojowi hotelowemu i uda się w kierunku wind. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Neeson stał już przy kontuarze. W tej operacji chodziło o to, by informacje o podejrzanym typach jak najszybciej trafiały gdzie trzeba.

Facet nazywał się Larry Martin. Przyjechał z Sarasoty na Florydzie. Neeson przekazał tę



informację przez telefon Feddermanowi, który po kilku minutach oddzwonił i powiedział, że nazwisko i pozostałe dane się zgadzają. Poza tym przypomniał Neesonowi, że szukają podejrzanego średniego wzrostu, mierzącego około metra osiemdziesięciu. Tymczasem z informacji zawartych w prawie jazdy Martina wynikało, że facet ma metr sześćdziesiąt pięć.

– Nawet na tyle nie wyglądał – powiedział Neeson. – Ale może nie pokazał całych nóg.

– Nie rozumiem – odezwał się Fedderman przez telefon.

– To taki dowcip – wyjaśnił Neeson. Sam ledwo zdołał opanować śmiech.

– Strasznie jesteś mądry jak na boja hotelowego – skomentował Fedderman, po czym się rozłączył.

Dwie godziny później Neeson przegapił moment, w którym Lauri Quinn i jej facet wyszli z restauracji i przeszli korytarzem w kierunku wind. Lauri była zmęczona, ale szczęśliwa. Tym razem opierała się na ramieniu Joego nie tylko na pokaz, ale też autentycznie w celu utrzymania równowagi. Jeden z jej wysokich obcasów lekko się wykrzywił, kiedy szła. Mężczyzna ciągle jeszcze trzymał w ręku długie białe pudło. Był to prezent, który obiecał pokazać Lauri, gdy już znajdą się na górze, w zarezerwowanym przez niego pokoju.

Czekając na przyjazd windy, Lauri usiadła na chwilę na małej ławeczce. On trzymał białe pudło pod pachą. Uznała, że wygląda naprawdę przystojnie, gdy tak stoi. Produkt idealny.

Neeson przez chwilę rozmawiał z portierem na zewnątrz i zauważył ich, kiedy wrócił. Uznał, że jada na szóste piętro spotkać się z Quinmem... albo może udają się do pokoju, a facet będzie miał okazję zrobić to, czym Neeson też by nie pogardził. Przywołał swoją wyobraźnię do porządku. W końcu chodziło o córkę jednego z najbystrzejszych, najtwardszych detektywów wydziału zabójstw, jacy kiedykolwiek pracowali w NYPD. Większe szanse człowiek by miał w starciu z tyranozaurom. Jeśli ten blondyn nie zdawał sobie z tego sprawy i zamierzał przelecieć tę małą, to krzyż mu na drogę.

Neeson oparł się plecami o ścianę, niemal całkowicie chowając się pośród nakrapianych liści palmy. Przyglądał się gościom, którzy wchodzili do hotelu i z niego wychodzili, a także krzątaniu prawdziwych bojów odbierających od nich bagaże i układających je na wózkach. Uznał, że mają ciężką pracę i naprawdę zasługują na napiwek. Pewnie też przy okazji dobrze się bawią. Przecież wymyślono już tysiące dowcipów o bojach hotelowych.

Pearl znajdowała się w pokoju numer sześćset dwadzieścia cztery, sąsiadującym z pokojem Myrny Kraft. Siedziała przy narożnym biurku ze słuchawkami na uszach. Nie miała za bardzo czego słuchać, bo z pokoi dobiegał jedynie cichy odgłos głębokiego oddechu śpiącej Myrny. Kobieta położyła się do łóżka i nawet nie zachrapała. Poirytowało to Pearl, która miała okazję usłyszeć, że jej czasami się zdarza cicho pochrapywać.

Quinn znowu stał przy oknie i wyglądał w noc. Żeby potwierdzić pozycje poszczególnych ludzi, musiał dzwonić do nich z komórki, bo grube mury przedwojennego budynku zakłócały pracę krótkofalówek. Pearl słyszała, że rozmawia, ale przez potężne słuchawki, które miała na głowie, nie rozróżniała słów. Plecy zaczynały ją już boleć od długotrwałego siedzenia, a poza tym się nudziła. Zdjęła słuchawkę z jednego ucha i zastąpiła ją komórką. Zadzwoiła do domu, żeby sprawdzić wiadomości na automatycznej sekretarce.

Były dwie. Pierwsza przypominała jej o mammografii, na którą umówiła się w przyszły poniedziałek. Drugą zostawiła jej matka. Miała pretensje, że Pearl nie zadzwoniła i nie pojawiła się na lunchu z kimś, kto się nazywa Milton.

*Milton?...*

Wtedy Pearl sobie przypomniała. Podczas lunchu w ośrodku dla seniorów miała przecież

zostać przedstawiona niezwykle atrakcyjnemu bratankowi pani Kahn. Pearl wystawiła go do wiatru, podobnie zresztą jak matkę i panią Kahn. Ciężko wypuściła powietrze przez nos. Cholerne komplikacje. Nie było jej to potrzebne. Nigdy, ale zwłaszcza teraz. *Pieprzyć ich! Pieprzyć ich wszystkich!* – zaklęła w duchu i zaraz postanowiła się nie złościć. Musiała się skupić na własnym życiu. Nie potrzebowała żadnego przymusu i żadnych komplikacji ze strony matki, pani Kahn ani jej bratanka Milтона – ze strony żadnego z nich, w szczególności jednak ze strony matki. Nie zasługiwała na to, nie zamierzała tego znosić. Wszystko się w niej gotowało.

– Coś? – zapytał Quinn, który dostrzegł grymas na jej twarzy.

– Nic! – odpowiedziała.

*Pieprzyć wszystkich! Ciebie też!*

Odwrócił się do okna i znów skupił się na telefonie.

Sherman spojrział na zegarek i stwierdził, że minęła już północ. Pora działać.

Tym razem podał jej większą dawkę ketaminy. Wydawało mu się, że trafił w sam raz. Lauri dotarła do windy, a potem do pokoju, ale tam nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Najpierw głęboko zasnęła, teraz zaś odzyskała odrobinę przytomności. Siedziała na krześle, a nogi i ręce miała przymocowane taśmą do nóg i oparć mebla. Usta zakleił jej prostokątnym kawałkiem taśmy. Nie zdoła wydać z siebie dźwięku. Nigdzie nie pójdzie. Stała się jednością z tym krzesłem, jak gdyby zostali razem wyprodukowani – jako jeden przedmiot. Białe pudło leżało z tyłu na podłodze, więc nie mogła go widzieć. Na razie wszystko układało się po jego myśli. Wszystko przebiegało gładko.

Przerażonymi oczami śledziła jego ruchy po pokoju. Stwierdził, że pewnie ciągle jeszcze byłaby nieprzytomna, gdyby nie ten strach. Uśmiechnął się do niej. Spojrzała na niego zmałym, wystraszonym wzrokiem. Biedna dziewczyna. Czas gdzieś jej przeskoczył. Może nadal przeskakiwał. Tylu rzeczy nie rozumiała.

Zdjął z siebie garnitur, starannie go złożył poszewką na zewnątrz i zostawił na łóżku. Potem zdjął buty i wsunął nogawki spodni w czarne skarpetki. Obserwowała go cały czas ze zdumieniem.

*Niech patrzy.*

Obrócił lekko krzesło, żeby mogła zajrzeć przez otwarte drzwi do łazienki. Mrugnął do niej porozumiewawczo, po czym zaniósł tam drugie mniejsze krzesło i starannie ustawił. Wrócił do pokoju i z białego pudła wydobyl dziewięciomilimetrowy pistolet, latarkę mocowaną do breloczka, długi śrubokręt oraz duży składany nóż z cienkim ostrzem. Wolał posługiwać się nożem, ale zdecydował się zabrać również broń palną. Miał pełną świadomość, że pakuje się w pułapkę. Ale miał też zupełnie inne zamiary, niż przewidywali ścigający go policjanci.

Plany remontu hotelu znacząco ułatwiły mu zadanie. Znaczna część oryginalnych przewodów wentylacyjnych została zachowana i jedynie uzupełniona o nowe, które miały wspierać funkcjonowanie klimatyzacji. Kanał wentylacyjny w łazience mierzył mniej więcej siedemdziesiąt na siedemdziesiąt pięć centymetrów i prowadził do stalowej konstrukcji połączonej z innymi przewodami, w tym również z wentylacją pokoi piętro wyżej i piętro niżej, czyli sześćset dwadzieścia. Prostokątne rury otulała z zewnątrz warstwa izolacji wypełniająca przestrzeń, która zapewniała możliwość nie tylko względnie wygodnego, ale też w miarę bezszelestnego przemieszczania się.

Sherman wspiął się na krzesło i za pomocą śrubokręta zdemontował pokrywę przewodu wentylacyjnego. Emaliowaną stalową kratkę oparł o ścianę. Z nożem w kieszeni i pistoletem za pasem rzucił jeszcze jedno spojrzenie Lauri, która teraz trzepotała powiekami. Świetnie się

nadawała na zakładniczkę, gdyby przyszło co do czego. Tak czy owak, później z czystą przyjemnością się nią zajmie...

Z pewnością siebie godną wybrańca losu Sherman wciągnął się na rękach do przewodu wentylacyjnego.

9 White Anglo-Saxon Protestants – skrót oznacza etniczną i ekonomiczną „arystokrację” amerykańską.

## Rozdział 64

Lauri otworzyła szeroko oczy i obserwowała czarne spodnie i skarpetki znikające wraz z Joem w kanale wentylacyjnym. Pomimo silnego zmęczenia udawało jej się zachować przytomność przede wszystkim dlatego, że się bała. Dobrze zapamiętała ten poprzedni raz, kiedy za dużo wypiała i zrobiło jej się niedobrze. Więcej nie zamierzała do tego dopuścić. Spodziewała się, że tego wieczoru nie tylko pójdą znowu do łóżka, ale też będą robić wspólnie coś wyjątkowego. Tyle jej powiedział. Poza tym zabrał ją do ładnej restauracji, a potem do pokoju hotelowego. Nie chciała tego wszystkiego popsuć, a tak by się to skończyło, gdyby znowu za dużo wypiała i się rozchorowała. W związku z powyższym przed kolacją i po niej, gdy akurat nie patrzył, przelewała większość martini z wódką do kieliszka na wodę. Większość, ale nie wszystko.

Teraz już rozumiała, dlaczego pewnych rzeczy nie pamięta, czemu czuje się tak nienaturalnie zmęczona, czemu ją mdli. Coś jej podał, i to nie pierwszy raz. Gdyby wypiała wszystkie drinki, które jej dzisiaj zaserwował, pewnie byłaby teraz nieprzytomna.

Lauri nie miała pojęcia, co kombinuje Joe Hooker, ale wiedziała już, z kim ma do czynienia. Pearl i ojciec wspominali o hotelu Meredith. Wiedziała też, nad jaką sprawą pracują. Postanowiła więc nie marnować energii na wyrzucanie sobie różnych rzeczy i zastanawianie się, jak się tu znalazła i jak mogła być tak naiwna. Wolą wykorzystać siły i czas na obmyślenie sposobu wydostania się z tej pułapki.

Przywiązana została tak mocno, że nie była w stanie przesunąć ramion ani nóg nawet o centymetr. Nie było też szans, że uda jej się językiem lub szczęką obluźować taśmę przyklejoną na ustach. Rzeźnik znał się na rzeczy. Słyszała, jak ojciec, Pearl i Fedderman wypowiadali się o nim z podziwem. Zadrżała z zimna, mimo że jeszcze jej nie rozebrał. To miało nastąpić później. Cokolwiek planował, ona nie miała przeżyć tej nocy.

Pochyliła głowę i zobaczyła telefon na stoliku obok łóżka. Zdawał się leżeć bardzo daleko.

Podjęła rozpaczliwą próbę przeniesienia ciężaru ciała i rozbijania krzesła. Kilka razy o mało co się nie przewróciło, wprawiając ją w przerażenie, w końcu jednak udało jej się złapać rytm i zaczęła stopniowo, centymetr po centymetrze, przesuwając mebel w kierunku telefonu.

Co zrobi, jak tam dotrze?

Tym się bardziej przejmować później, kiedy – jeśli – jej się to uda.

Bardzo ostrożnie przemieszczał się kanałami, tylko od czasu do czasu oświetlając sobie małą latarką drogę przed sobą. Szło mu powoli, ale bez większych trudności przepychał się naprzód kolanami i łokciami. Przede wszystkim starał się nie narobić zbyt dużego hałasu. To mu się udało. Szybko wypracował ruch, który pozwalał mu nie unosić łokci i kolan, tylko ślizgać się na nich, zwiększając i zmniejszając nacisk. W ten sposób przemieszczał się do przodu.

W pewnym momencie usłyszał na dole klótnię jakiejś pary. Brzmiało to jak radio grające gdzieś w oddali albo jak zbyt głośno ustawiony telewizor. Później dobiegł go sygnał telefonu, który odezwał się cicho raz, potem drugi i zamilkł. Doszedł do wniosku, że skoro on ledwo słyszy te dźwięki, to nikt nie usłyszy jego.

Rurami od wentylacji dało się sprawnie przemieszczać, ale panowała tam ciasnota. Było to przytłaczające miejsce. Człowiek z klaustrofobią – albo nawet tylko mniej zdeterminowany – nie

miałby tu czego szukać. Pewnych trudności nastęczyło mu ciche przejście do przewodów obsługujących niższe piętro. Zachowywał jednak dużą ostrożność i zapierał się rękami o boki kanału, żeby za szybko nie opaść. Nie chciał wylądować na dłoniach, więc zaczął powoli opuszczać ciężar ciała.

*Cicho! Żadnych gwałtownych ruchów kolanami czy palcami od nóg... Tak! Doskonale! Prawie bezszelestnie.*

Znajdował się teraz tuż nad szóstym piętrem. Widział żółte światło żarówek łazienkowych, przebijające przez kratki w suficie. Pokój matki powinien mu wskazać snop światła, znajdujący się mniej więcej sześć metrów dalej. Było późno, więc powinna spać. A może jeszcze czuwała z włączonym światłem, bo bała się ciemności? Bała się potworów z przeszłości?

Sherman wstrzymywał dotychczas oddech. Teraz wypuścił powietrze z płuc i zaczął równo oddychać. Nie bał się. Należał do krainy mroku. To on był tym potworem. To ona go stworzyła.

Wsunął sobie latarkę do kieszeni i wydobył zza pasa śrubokręt. Trzymając go przed sobą, zaczął pełzać w kierunku światła i przeznaczenia.

Sześć metrów.

Trzy.

Zew krwi.

Był prawie na miejscu.

W lobby Neeson opowiadał właśnie prawdziwemu bojowi hotelowemu:

– Słyszałeś ten dowcip o boju, który...

Było późno i Vam, mężczyzna w średnim wieku, azjatyckiego pochodzenia, pracował na zmianie jako jedyny. Tak naprawdę jednak nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko słuchać kiepskich dowcipów tego policjanta o rumianej twarzy. Po każdym kolejnym kawale grzecznie się uśmiechał.

– ...bagaze? A mnie się wydawało, że chodziło o masaż – powiedział Neeson i zarechotał.

Vam się zaśmiał.

– Dobrze. Bardzo śmieszne!

Facet studiował zaocznie psychologię na nowojorskim uniwersytecie. Neeson interesował go z powodów, które jemu samemu raczej nie przypadłyby do gustu.

Po drugiej stronie ulicy w ciemnym przedsiionku sklepu z walizkami czekał Frank Weathers z oddziału ścigania zbiegów. Występował w przebraniu, więc siedział w poszarpanym, niedopasowanym garniturze na kocu i unosił do ust brązową papierową torbę. W środku jednak na próżno by szukać butelki. Znajdowała się tam krótkofalówka, którą mógł wysunąć na kilka centymetrów z papieru. Miał kiepski odbiór, więc o prawdziwej rozmowie nie mogło być mowy. Sprzęt jednak wystarczał do tego, żeby składać Quinnowi raporty i informować, że na zewnątrz wszystko zdaje się być w najlepszym porządku. Było na tyle późno, że ani w hotelowym lobby, ani przed wejściem specjalnie nic się nie działo.

Weathers był zmęczony. Siedział na posterunku już od wielu godzin, a zmiennik miał się pojawić dopiero o trzeciej nad ranem. Nachylił głowę i zbliżył ucho do otworu w torbie. Usłyszał urwane:

– ...kej.

Odgłos silnika skłonił go do odwrócenia głowy na prawo. Nie musiał informować o tym Quinna, bo to Fedderman podjeżdżał do niego nieoznakowanym radiowozem. Przejeżdżając obok punktu obserwacyjnego Weathersa, samochód zwolnił tylko odrobinę. Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia i lekko skinęli sobie głowami. Myrna Kraft nadal leżała bezpiecznie

w swoim łóżku. Cóż, na pewno leżała w łóżku.

Aby nie wzbudzić podejrzeń ewentualnej obserwującej go postaci, Weathers zaciągnął się mocno z butelki, którą rzekomo skrywała papierowa torba. Noc była ciepła, po chodniku wędrowały karaluchy, a on obficie się pocił w tych łachmanach, więc skóra dokuczliwie go swędziała. Żałował, że nie może się napić tak naprawdę.

## Rozdział 65

– Może on się nie pojawi – powiedziała Pearl.

Zsunęła lekko jedną ze słuchawek, żeby usłyszeć odpowiedź Quinna. Ten nadal stał przy oknie, skąd się zresztą praktycznie nie ruszał, chyba że akurat chodził nerwowo po pokoju lub korzystał z toalety. Pearl przypuszczała więc, że i on ma takie same wątpliwości.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Jego twarz, którą nawet w dogodnych warunkach trudno było uznać za piękną, teraz pokryła się masą nierówności, przewyższając w tym względzie nawet Lincolna z Mount Rushmore.

– Myślisz, że wszyscy się mylimy?

– Masz na myśli nas dwoje, Fedsa i Renza? To znowu wcale nie tak wielu ludzi.

– Zapomniałaś o Helen – powiedział Quinn.

– Tak, o profilerce. Ale wydawało mi się, że nie masz do niej zaufania.

– Ona ma całkiem niezłe wyniki – stwierdził Quinn.

Odwrócił się znów do parapetu i podniósł kubek z kawą, którą sobie zaparzył w ekspresie należącym do wyposażenia pokoju. Upił łyk i spojrzał na Pearl znad brzegu papierowego kubka.

– Pamiętasz Haycheka?

Pearl pamiętała, chociaż nie pracowała przy tej sprawie. Trzy lata wcześniej Brian Haychek zabił w Nowym Jorku i New Jersey sześć kobiet. Okazało się wtedy, że mieszkał w tym samym budynku co Helen Iman, a przez jakiś czas zasiadał nawet w zarządzie wspólnoty mieszkaniowej.

– Helen źle go wtedy oceniła – powiedziała Pearl.

– Jeśli chodzi o sam profil, to miała rację. Tylko się nie zorientowała, że to Haychek.

– Jej sąsiad. Znali się. Helen powinna się domyślić.

– Właśnie dlatego się nie domyśliła – stwierdził Quinn. – Czasami, jak cię z kimś łączą zbyt bliskie relacje, to nie dostrzegasz jego prawdziwej natury.

– Strasznie metafizyczne rozważania jak na... – Pearl spojrzała na zegarek przy łóżku –...taką godzinę. Jest dobrze po północy.

– Wcale nie. Wyobraź sobie, że siedzisz obok człowieka w odległości zaledwie kilku centymetrów, a potem usiłujesz rozpoznać go z oddali. Z bliska nie da się dostrzec symetrii, więc można nie rozpoznać właściwie prawdziwej natury drugiej osoby.

– Na oko naprawdę dobrze to brzmi.

– Takie rzeczy zdarzają się na każdym kroku. Ktoś obcy przychodzi i do kogoś strzela albo facet siedzący na krześle obok nagle bije kogoś do nieprzytomności, a świadkowie nie potrafią wskazać sprawcy na okazaniu, mimo że swego czasu stali z nim twarzą w twarz.

Pearl się uśmiechnęła.

– Powinieneś pracować jako obrońca z urzędu i spróbować tej sztuczki w sądzie.

– Może faktycznie trochę teoretyzuję – przyznał Quinn.

– Mnie chodziło po prostu o to, że zabójca znowu może się okazać bardziej błyskotliwy od nas.

– Ale przecież nasz...

– Ciii. – Pearl znów nałożyła słuchawki.

Podniosła palec, żeby Quinn nic nie mówił. Nasłuchiwała i nasłuchiwała. Niewykluczone, że słyszała Allswortha, starego gliniarza pełniącego służbę w pokoju Myrny. Tylko że podsłuch został zainstalowany w sypialni, a Allsworth siedział w drugim pomieszczeniu apartamentu, za

zamkniętymi drzwiami. Mikrofony były czułe, więc wychwytywały nawet to, że Myrna rusza się we śnie, przewraca na łóżku i uderza ręką o zagłówek. Tylko że te dźwięki Pearl знаła. Teraz usłyszała coś nowego. Tak przynajmniej jej się wydawało.

W końcu zaczęła znowu normalnie oddychać.

– Wydawało mi się, że coś słyszałam, ale to nic.

– Ja też to słyszałem – powiedział Quinn. – To chyba wentylacja albo rury szczękające w ścianach. Właśnie miałem powiedzieć, że nasz zabójca pojawi się tu z uwagi na kobietę, która znajduje się za ścianą. Tego rodzaju impulsy nie mają żadnego związku z ilorazem inteligencji.

– Zrób mi kawę – powiedziała Pearl – to się z tobą zgodzę.

Patrzyła, jak Quinn przechodzi przez pokój, po czym poprawiła słuchawki i znów nachyliła się nad biurkiem. Miała kłopot, żeby się skupić na nasłuchiowaniu ciszy. Z trudem powstrzymywała opadające powieki. Utalentowani przestępcy, pomyślała. Wielu ich nie ma, ale potrafią dopieć człowiekowi do żywego.



## Rozdział 66

Po cichu... Należało to zrobić po cichu.

Przywarł brzuchem do przewodu i zajrzał przez pokrywę otworu wentylacyjnego do słabo oświetlonej łazienki. Dostrzegł odchyloną białą plastikową zasłonę prysznicową, róg marmurowego blatu (taki sam miał u siebie w pokoju) oraz wzór z płytek w kolorze złamanej bieli.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś strzeże Myrny z bliska, nie spodziewał się jednak zastać tego kogoś w jej sypialni. Spodziewał się natomiast podsłuchu i wiedział, że nawet najcichszy nieodpowiedni dźwięk może policję zaalarmować. Sam Quinn z pewnością też czekał gdzieś w pobliżu, nadzorując całą operację. Być może znajdował się w pokoju na tym samym piętrze i prowadził nasłuch. Sherman na to właśnie liczył.

Oczywiście musiał założyć, że nikogo w tym pokoju nie zastanie – że przynęty w pułapce nie ma. Ale odrzucił tę możliwość, uznając ją za zbyt ryzykowną dla policji. Mógł się przecież o tym dowiedzieć i zrezygnować z próby zdobycia nagrody. Po tym wszystkim, co już się wydarzyło, na coś takiego by się nie zdecydowali. Byli za mądrzy.

Uśmiechnął się, żeby dodać sobie otuchy. Mieli wszystkie cechy, w które Bóg wyposażył zwierzynę łowną: przenikliwości nie można im było odmówić, ale ta miała granice.

Sherman odwrócił głowę i przywarł policzkiem do stalowej kraty. Leżał i nasłuchiwał.

Cisza. Zupełna cisza. Potem dobiegł go cichy odgłos oddechu. Wolny, równy rytm głębokiego snu.

Serce zaczęło mu walić jak oszalałe, krew zaszumiała w uszach. Przez chwilę kręciło mu się w głowie.

Była tam. Jak królowa w swoim gnieździe. Wręcz wyczuwał jej obecność.

Przycisnął policzek jeszcze mocniej do chłodnej stali i z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że płacze.

Łza spadła przez otwór. Usłyszał, jak rozpryskuje się na kafelkach na podłodze.

Determinacji mu od tego nie ubyło.

Pięćdziesięcioletni sierżant Al Allsworth pracował w policji już od dwudziestu sześciu lat. Zdarzało mu się już znaleźć w podobnej sytuacji. Dziesięć lat temu w hotelu na Times Square dostał kulkę, gdy chronił ważnego świadka oskarżenia. W ten sposób przyczynił się do wysłania za kratki ważnej postaci z kręgów zorganizowanej przestępczości.

Nie uchodził za geniusza i raczej nie mógł liczyć na to, że w policyjnej hierarchii zajdzie jakoś daleko, dysponował jednak czymś znacznie rzadszym i cenniejszym niż inteligencja. Zaliczał się do grona ludzi w stu procentach pewnych. Był urodzonym gliniarzem. Nikt nie miał wątpliwości, że będzie pełnił swą powinność i chronił życie Myrny Kraft, nawet jeśli musiałby w tym celu oddać swoje. Tak rozumiał swoją pracę i za to go ludzie szanowali.

Teraz siedział na małej sofie w przedsiionku apartamentu Myrny. Na kolanach miał rozłożony magazyn „People”. Allsworth był roslym mężczyzną, prawie całkowicie łysym, jeśli nie liczyć krótko przyciętej szczeciny wokół uszu. Miał wydatne mięśnie i brzusek. Pociągłą twarz przecinała blizna biegnąca przez obie wargi w pobliżu prawego kącika ust. Oczy miał na wpół zamknięte, ale nie spał. Jedyne źródło światła w pomieszczeniu stanowiła lampka do czytania,

która stała obok niego na stoliku. Krawat od munduru miał poluzowany, a górny guzik rozpięty. Ośmiokątną czapkę odłożył na blat, obok na wpół opróżnionego kubka z kawą.

Podczas wykonywania tego rodzaju pracy Allsworth potrzebował kofeiny. To dzięki niej zachowywał przytomność i czujność w tym samym stanie rozluźnionej świadomości, w który musi się wprowadzić każdy policjant prowadzący obserwację. Kawę pił czarną, to był już jego drugi dzbanek. W pomieszczeniu unosił się silny zapach stęchłych i spalonych ziaren, on jednak zdążył się już przyzwyczać do cierpkiej woni i nie zwracał na nią uwagi. Można by odnieść wrażenie, że jego uwagi nie przykułby nawet wystrzał z broni palnej w pokoju obok, w rzeczywistości jednak ta część ciała Allswortha, która nasłuchiwała, co się dzieje w środku, stawała się tylko bardziej czujna i wrażliwa dzięki bezczynności całej reszty jego ciała.

Ten na pierwszy rzut oka zmęczony życiem gliniarz w średnim wieku, który być może mógłby pomóc dziecku ściągnąć kota z drzewa, ale ogólnie lata świetności to ma już za sobą, prezentował sobą znacznie więcej. Był gotów do działania.

Lauri z dużym wysiłkiem przenosiła ciężar ciała w tę i z powrotem, żeby przesunąć krzesło po dywanie w stronę nocnego stolika przy łóżku. Teraz dzielił ją od niego niespełna metr.

*Co dalej?*

Nie dosięgnie telefonu, ale palcami może ruszać, więc gdyby jakoś udało jej się odwrócić to krzesło, to mogłaby złapać sznur i przyciągnąć aparat do siebie.

To była powolna i trudna praca, przy której sporo się napociła, ale przynajmniej dzięki temu taśma trochę się obluźowała. Musiała jednak bardzo uważać. Nieostrożny ruch mógł przewrócić krzesło, a wtedy na pewno nie zdołałaby się podnieść.

W końcu udało jej się ustawić mebel pod odpowiednim kątem, więc podjęła rozpaczliwą próbę pokonania ostatnich piętnastu centymetrów, które dzieliły jej palce od uwodzicielsko dyndającego sznura.

Za każdym razem gdy krzesło wychylało się w stronę telefonu, wykonywała palcem środkowym i wskazującym ruch jak nożyczkami. Końcówkami palców muskała przewód. Pewnie wystarczyło zakołysać się jeszcze trochę mocniej.

Wstrzymała oddech i tak ułożyła ciężar ciała, żeby wychylić krzesło jak najbardziej do tyłu, ale go przy tym nie przewrócić.

*Teraz do przodu.*

Poczuła przewód między palcami. Ścisnęła mocno i trzymała. Chwyciła wymarzony kabel.

Krzesło pracowało teraz w drugą stronę i zaczęło odchylić się do tyłu, a ona tak manewrowała palcami, żeby sznur telefoniczny owinał się wokół jednego z nich.

*Coś nie jest tak!*

Od razu wiedziała, że w całym tym swoim pragnieniu przyciągnięcia telefonu zbyt intensywnie zamachnęła się na bok i do tyłu. Krzesło wychyliło się za daleko.

Przewraca się.

*O Boże! Spadam. Obraca mnie!*

Zamknęła mocno oczy. Krzesło okręciło się na jednej z tylnych nóg i z hukiem upadła na bok, uderzając głową i ramieniem o podłogę.

Ale przewód telefoniczny nadal trzymała. Teraz był nawet mocniej owinięty wokół jej palca wskazującego.

Zapamiętała krótki brzdęk, który towarzyszył jej upadkowi. Wiedziała, co to oznacza. Ściągnęła telefon ze stolika. Słuchawka spadła z widełek i leżała na dywanie. Lauri chyba złamała bark, a w głowie czuła rwący ból. Mimo to zdołała przekręcić ją na bok, a wtedy

zobaczyła aparat. Problem polegał na tym, że znajdował się po drugiej stronie krzesła, przy jej nogach.

Leżała na lewym boku. Starła się więc przesunąć lewą stopę w kierunku telefonu. Pod wpływem upadku taśma obluźowała się jeszcze bardziej, mogła więc zaciskać palce lewej stopy i przekreślać całą stopę tak, by wyswobodzić ją z buta na wysokim obcasie. Niby niewiele udało jej się osiągnąć, ale teraz nie czuła się już taka bezradna. Miała rzeczywistą szansę powiadomienia kogoś o swoim losie, uwolnienia się. Mogła mieć nadzieję.

Zmieniła pozycję, aby maksymalnie odciążyc lewą nogę krzesła, po czym wbiła paluchy w dywan.

Dopiero po kilku minutach udało jej się opanować technikę, dzięki której mogła oprzeć otuloną nylonowymi rajstopami i zamocowaną taśmą stopę o telefon. Leżała tak, że nie widziała klawiatury, ale sięgała do niej piętą.

Zaczerpnęła powietrza i walcząc z bólem ramienia, wbiła górną część ciała w dywan. Piętą raz po raz naciskała na klawiaturę aparatu.

Choć wydawało jej się to mało prawdopodobne, powtarzała sobie, że może przez przypadek wybierze jakiś istniejący numer i ktoś wezwie pomoc. Pamiętała, że cyfry jeden i dziewięć znajdują się w przeciwległych rogach klawiatury. Starła się tak pracować piętą, żeby zwiększyć swoje szanse na wciśnięcie odpowiedniej kombinacji. Po chwili wykonywała już regularny ruch, którym wciskała trzy guziki i robiła chwilę przerwy. *Dziewięć, jeden, jeden.*

Miała nadzieję.

Zmagała się z więzami, bólem i skurczami mięśni, zastanawiając się, jakie ma szanse dodzwonić się piętą pod numer alarmowy. Doszła do wniosku, że na tyle niewielkie, że szkoda o tym myśleć. Ale innej możliwości nie miała, więc postanowiła przy niej wytrwać.

W pokoju sześćset dwadzieścia cztery Pearl lekko się nachyliła do przodu, oparła koniuszek palca o prawą słuchawkę i się uśmiechnęła.

– Co cię tak bawi? – zapytał Quinn.

Przysunął sobie do okna jeden z tapicerowanych foteli, rozsiadł się w nim i wyciągnął do przodu skrzyżowane w kostkach nogi.

– Chrapie – powiedziała Pearl. – Może nie jakoś głośno, ale w końcu chrapie.

– Co z tego?

Pearl spojrzała na niego. Miała szczerą nadzieję nie usłyszeć, że sama też chrapie, choć niezbyt głośno. Quinn najwyraźniej czytał w jej myślach, bo odwrócił wzrok. Czyżby się drań uśmiechał?

– To niesprawiedliwe – stwierdziła – że jak ktoś wygląda jak Michelle Pfeiffer i chrapie, to mężczyznom wydaje się to seksowne, podczas gdy u wszystkich innych kobiet ich odrzuca.

– Myrna Kraft nie wygląda jak Michelle Pfeiffer.

– Nie mówiłam o Myrnie Kraft, mówiłam o Michelle Pfeiffer.

– To niesprawiedliwe – powiedział Quinn – że ktoś wygląda jak Michelle Pfeiffer. – *Boże, robimy się zmęczeni. Za bardzo zmęczeni.*

Wstał z krzesła, rozciągnął się i zaczął wymachiwać ramionami w tył i w przód, żeby pobudzić krążenie. Potem podszedł do okna i rzucił okiem na słabo oświetloną ulicę. Ruch pieszy i samochodowy był niewielki, ale nie ustawał ani na chwilę. Nowy Jork nocą.

– Wszystko wygląda tam raczej niewinnie – powiedział, nie odwracając się.

– Dobrze wiemy, co to znaczy.

– No tak. – Quinn spojrzał na zegarek i znów usiadł.

W głowie Pearl pojawiła się myśl, że najpewniej marnują tu czas. Miała jednak dość wyczucia, by nie wyrażać jej na głos.

Cztery piętra pod Quinnem i Pearl Jeb Jones siedział na krześle, które przystawił sobie pod okno. Wpatrywał się w bezdomnego po drugiej stronie ulicy. Policja zgodziła się, żeby mieszkał w tym samym hotelu co matka, ale nie chcieli, by w jakikolwiek sposób uczestniczył w ewentualnej wizycie Shermana. Nie chcieli, żeby wchodził im w drogę. Jeb tymczasem we własnym przekonaniu miał do tego pełne prawo. Udawał, że faktycznie chce się trzymać w pobliżu, żeby móc pocieszyć matkę, gdy Sherman zostanie schwytany.

Tak naprawdę wiedział już, jaką drogą uda się do jej pokoju cztery piętra wyżej. Przekroczy próg, skręci w lewo i pobiegnie na górę schodami. Na podeście szóstego piętra stoją policjanci, ale jeśli Sherman pojawi się w pobliżu matki, wszystkie siły pościgowe zostaną szybko przemieszczone w okolice jej pokoju. On zaś będzie na tym podeście tuż za policjantami.

Kluczową rolę odgrywał w tym wszystkim bezdomny po drugiej stronie ulicy. W poszarpanym ubraniu siedział na kocu w ciemnym zaułku, oparty o zamknięte drzwi. Głowę miał zwieszoną, jak gdyby spał. Co prawda wystawił na rogu koca kubek na drobne, ale Jeb doskonale wiedział, że to nie żebrak, tylko policjant w przebraniu. Widział, jak mówi coś do brązowej papierowej torby, która rzekomo zawierała butelkę. Raz też na pewno przyłapał go na rozmowie przez telefon komórkowy.

Tak samo jak wszyscy pozostali policjanci w hotelu żebrak natychmiast się dowie, że coś się dzieje. Oni pozostają w stałym kontakcie i czekają na sygnał do jednoczesnego działania – w odpowiednim momencie odskoczą jak pułapka... a ten żebrak zadziała jak zapadka. Ten żebrak będący w istocie policjantem.

Gdy on wykona jakiś ruch, Jeb przystąpi do działania.

## Rozdział 67

W bladych promieniach światła wpadającego do przewodu z dołu Sherman powoli i po cichu podważał śrubokrętem kratkę zasłaniającą ciąg wentylacyjny. Wiedział, że trzyma się ona na dużych śrubach zamocowanych w rogach stalowej ramy. Ćwiczył na pokrywie w swoim pokoju: jeśli odchyli kratkę z jednej strony, a potem naciśnie pokrywę, przeciwległe mocowania się wykrzywią i zaczną pracować jak prowizoryczne zawiasy.

Ostrożnie wsunął nadgarstek pod odgiętą pokrywę i odkręcił luźne śruby palcami. Schował je do kieszeni. Gdy ostrożnie wyjął ostatnią, chwycił stalową pokrywę, żeby przypadkiem nie spadła. Obrócił ją i wsunął do kanału, po czym odłożył ją na bok, żeby mu nie przeszkadzała.

Teraz już widział białe płytki łazienkowe. Tak niewiele go od nich dzieliło. Wystarczyło opuścić się ostrożnie głową w dół, oprzeć się na rękach i cicho dostawić stopy w skarpetkach na podłodze.

Wysunął głowę przez otwór i rozejrzał się po łazience. Drzwi były uchylone na mniej więcej piętnaście centymetrów, w związku z czym do pokoju wpadała przez nie odrobina światła. Zostało włączone na wypadek, gdyby mama musiała w nocy wstać.

Leżał w cichym wyczekiwaniu, żeby się upewnić, że nikt nic nie usłyszał. Odkąd zdjął pokrywę przewodu, dobiegało go ciche chrapanie matki. Dobrze. Nie obudził jej. A może tylko udawała? Wiedział jednak, że nie należy do ludzi, którzy udają.

Tak wiele już osiągnął, że teraz zmuszał się do ostrożnego i niespiesznego działania. Leżał nadal w bezruchu, nasłuchując, czy w sypialni nie pojawi się jeszcze jakiś dźwięk. Patrzył, czy po drugiej stronie drzwi nie rozbłyśnie światło.

Moment sądu i krwawej zemsty zbliżał się wielkimi krokami. Wkrótce nadejdzie pora działania. Nie zastanawiał się, co się może wydarzyć potem. Nóż to ciche narzędzie zbrodni. Po wszystkim zamierzał w ciszy opuścić pokój tą samą drogą, którą tu przybył.

Gdyby coś poszło nie tak i gdyby nie mógł podejść do niej na tyle blisko, by użyć noża, miał jeszcze w zanadru pistolet. Wtedy uciekłby z powrotem do łazienki i zamknął za sobą drzwi, żeby spowolnić pościg i zyskać czas na wspięcie się do przewodów wentylacyjnych. Chciał odłożyć pokrywę na miejsce, żeby policja się nie zorientowała, którądy uciekł – przynajmniej w pierwszej chwili. Zależało mu na krótkim odwróceniu uwagi i spowolnieniu pościgu. Na tym zasadał się jego awaryjny plan ucieczki. Po powrocie do swojego pokoju i ponownym zamontowaniu pokrywy zamierzał improwizować. W razie czego użyje zakładnika. Jeśli policjantom się wydawało, że to będzie w jego wydaniu misja samobójcza, to czeka ich rozczarowanie.

Dla Shermana liczyło się tylko głębokie przekonanie, że kolejnych kilka minut przebiegnie zgodnie z jego planem. No i jeszcze pragnienie, które dręczyło go niczym ból.

Odczekał parę minut i uspokoił oddech. Teraz już panował nad sytuacją. Przed zrobieniem jednak kolejnego kroku chciał mieć poczucie kontroli absolutnej. Może też chciał się rozkoszować tą chwilą, tym wyczekiwaniem. Stał przed szansą, na którą wcześniej nawet nie liczył. Kto mógłby mieć do niego o to pretensje?

*Mama znajduje się zaraz za tymi lekko uchylonymi drzwiami.*

*Mama!*

Trochę go zaskakiwało, że po tych wszystkich latach znowu znalazł się tak blisko niej.

## Rozdział 68

Recepcjonista nocnej zmiany, nomen omen Gerald Goodnight, zauważył mruganie na centralce: nie takie regularne i stałe, tylko przerywane, chaotyczne.

Pewnie nie ma się co przejmować. Centralka została wyposażona w całą masę technologicznych bajerów i ciągle wariowała. Mruganie też pewnie niedługo ustanie.

Tak naprawdę nie była to prawdziwa centralka, tylko aplikacja wyświetlająca się na ekranie komputera. Goodnight, wysoki i siwy pan z opadającym podbródkiem i wydatnym, pijacko czerwonym nosem, pracował w Meredith od ponad dziesięciu lat. Nie pił i wcale tak dobrze nie sypiał, więc zarówno jego wygląd, jak i nazwisko mogły niejednego zmylić. Trzeba mu natomiast oddać, że znał się na swojej pracy. Był sumienny i potrafił w subtelny sposób tworzyć lekko snobistyczną atmosferę, bardzo pożądaną przez kierownictwo.

To właśnie owa sumiennosc skłoniła go do podejścia do komputera i sprawdzenia, czy wszystkie zamówione pobudki na dzień następny zostały poprawnie zarejestrowane. Co prawda od tamtej pory minął już rok, ale Goodnight doskonale pamiętał apoplektyczny atak gniewu pewnego zamożnego biznesmena, który kazał się obudzić o ósmej rano, a telefon odebrał na krótko przed tym, jak wściekły wymeldowywał się po południu. Próbował potem nawet pozwać hotel, bo z powodu pomyłki nie zdążył na ważne spotkanie po drugiej stronie miasta. Kierownictwo zawarło z nim ugodę i w ten sposób udało się uniknąć sporu przed sądem. Choć Goodnight był zdania, że gość powinien dodatkowo ustawić sobie budzenie również na podróżnym budziku, a nawet zegarku ręcznym. On zawsze tak robił. Na sprawach hotelowych znał się jak nikt inny.

Nie po raz pierwszy też współpracował z policją. Poprzednio policjanci w przebraniu od razu rzucali się w oczy, wyglądali jak aktorzy w kiepskim filmie gangsterskim. Tym razem, musiał to przyznać, spisywali się niezłe. Portier wyglądał zupełnie autentycznie, a policjant wcielający się w rolę boja hotelowego zapracował nawet na kilka napiwków. Goodnight powiedział mu, że ma koniecznie wpaść, gdyby kiedyś myślał o zmianie pracy. Ale facet rzucił mu takie policyjne spojrzenie, że Goodnight uznał, iż musiał znaleźć już swoje powołanie.

Centralka nadal mrugała. Goodnight pomyślał, że może warto by wysłać na górę tego policjanta-boja, żeby zobaczył, o co chodzi. Może wystraszy jakieś rozbestwione dzieciaki albo niezdiscyplinowanego gościa. Szybko jednak zakwalifikował ten pomysł jako fanaberię. Takie sprawy załatwiał zwykle Riley, szef bojów.

Jak gdyby wyczuwając, że coś jest nie tak, Riley spojrział na niego ze swojego stanowiska. Goodnight niemal niezauważalnie skinął na niego głową. Riley przemierzył powoli gruby dywan i dotarł do kontuaru.

Riley był roslým facetem, który kroczył jak niedźwiedź. Miał już sześćdziesiątkę na karku, ale nadal mógł się pochwalić dobrą kondycją i silnymi mięśniami. Humor mu dopisywał, w razie potrzeby zaś wykazywał się też walecznością. W czasach służby w marynarce zajął trzecie miejsce w turnieju bokserskim dla zawodników wagi ciężkiej. Był przekonany, że w hotelu nie wydarzy się nic, z czym nie mógłby sobie poradzić. Szefostwo też miało do niego zaufanie. Właśnie dlatego pracował jako szef bojów od ponad siedmiu lat.

Zdaniem Goodnighta miał tylko jedną wadę, a mianowicie wydawało mu się, że jest

dowcipny.

– Coś nam mruga na siódmym piętrze – powiedział Goodnight, wskazując głową na komputerowy monitor widoczny z tyłu za ladą.

– Mam tam posłać mojego nowego boja? – zapytał Riley, spoglądając w kierunku policjanta w hotelowym uniformie. Wiedział, że ten gość lubi opowiadać żarty, więc uważał go za konkurenta.

– Nie sil się na dowcipy – ostudził go Goodnight – tylko idź na górę i zobacz, o co chodzi.

– To pewnie telefon – powiedział Riley. – Wariują przy pełni. A może z powodu pływów... Że niby to oddziaływanie tej samej siły grawitacyjnej, tyle że na urządzenia elektroniczne.

– Poważnie mówisz?

– Nie – odparł Riley. – To pewnie dzieciaki. Zwykle o to chodzi. Który to pokój?

– Siedemset dwadzieścia cztery. Gość nazywa się John Brown. To jedynek.

– W każdym razie to była jedynek, kiedy się meldował – powiedział Riley. – Zwróciłeś uwagę, że ostatnio Brownów zrobiło się więcej niż Jonesów?

– Tak – odparł Goodnight, choć nic takiego nie stwierdził. W ogóle go to nie obchodziło.

Hotel nie powinien się interesować tym, czy gość podaje prawdziwe nazwisko, jeśli tylko płaci gotówką lub działającą kartą.

– Jeżeli jest brzydka, to policzymy mu jak za dwójkę – stwierdził Riley.

Goodnight zignorował te uwagi.

– Chyba nie muszę ci przypominać, że masz tam za bardzo nie tupać i nie hałasować, żeby nie przeszkadzać innym gościom.

– Właśnie mi powiedziałeś – odparł Riley. – W sam czas. Już zabierałem z sobą harmonijkę.

– Harmonijkę?

Riley uśmiechnął się szeroko.

– To żart, Gerald.

Goodnight pokiwał głową.

– Harmonijka, księżyc...

– Staram się być zabawny – powiedział Riley, odbierając od Goodnighta kartę do wszystkich drzwi.

– To przestań – nakazał Goodnight. – Mówię poważnie. To dobra rada. Przestań się starać.

Ramiona Riley'a trzęsły się od śmiechu, gdy szedł w kierunku windy. Podskakujące epolety z frędzelkami dobitnie o tym świadczyły.

Zza nakrapianych liści palm detektyw Jack Neeson przyglądał się, jak pedantyczny recepcjonista, który zapewne popija sobie po kryjomu, rozmawia z Rileyem, szefem bojów. Rileyowi co prawda tylko się wydawało, że ma talent komediowy, ale poza tym na pewno nie dawał sobie w kaszę nadmuchać. Należało się spodziewać, że spokojnie sobie u góry poradzi – jeśli w ogóle napotka tam jakiś problem.

Riley odebrał coś od recepcjonisty, po czym odwrócił się od kontuaru i powędrował w kierunku windy. Ramiona miał jakoś dziwnie ściągnięte. Neeson dobrze znał ten krok – tak chodzi człowiek, który ma misję.

*Może powinienem też tam iść.*

Podszedł do kontuaru. Goodnight już na niego czekał, podczas gdy Riley stał przy windach i wciskał przycisk wskazujący na chęć udania się na górę. Neeson spodziewał się, że trochę to potrwa, zanim winda przyjedzie. Jeśli coś faktycznie było nie tak, może powinni udać się tam razem – obaj w tych śmiesznych mundurach, jak bohaterowie filmu kostiumowego lub jednej z tych oper, na które ciągała go żona, jak generał i jego adiutant. Rileyowi, z racji bardziej sztywnego uniformu, przypadłaby rola generała. Neesonowi się to nie podobało. Nie miał



zamiaru występować na drugim planie.

– Kłopot z telefonami – powiedział Goodnight, nawet nie czekając na pytanie. Zastanawiał się, czy Riley i policjant powinni się znaleźć razem w jednej windzie: dwóch gigantów komedii w takiej małej przestrzeni? – Słuchawka została zdjęta z widełek i ktoś się bawi. Pewnie dzieciaki albo ktoś pijany.

Albo zabójca, pomyślał adiutant, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę wind i generała. Jeszcze nie było powodów, żeby się przesadnie ekscytować, ale na pewno należało to sprawdzić.

Szybko się przekonał, że pomylił się w swoich przewidywaniach. O tej porze mało kto korzystał z wind i jedna z nich stała na parterze.

Generała już nie było.

## Rozdział 69

Riley wysiadł z windy na siódmym piętrze i od razu gościa wypatrzył. Stał przed jednym z pokoi z oknem na ulicę. Mógł to być pokój numer siedemset dwadzieścia cztery, w którym pojawił się problem z telefonem. Walił pięścią w drzwi, ale nie miał dość siły, żeby narobić w ten sposób hałasu.

*Akurat, jedyńka*, pomyślał Riley, zakładając, że w pokoju musi się znajdować ktoś jeszcze, zapewne kobieta. Przypominał sobie tego dziwaka. Wszedł do hotelu mniej więcej dwadzieścia minut temu. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt, ale ważył na oko czterdzieści pięć kilogramów, a do tego miał długie kręcone rude włosy. Riley patrzył, jak dziwaczny facet zaczyna krzyczeć i rzucać się na drzwi. Wyglądał jak jakiś człowiek-wąż postawiony w pionie. Nawet kartonowe drzwi nie ustąpiłyby przed takim chuchrem.

Zakrzyknął znowu:

– Lauri!

*Trach!* Na skutek uderzenia w drzwi odbił się od nich na metr, ale zaraz potem naprężył długie ciało i rzucił się na nie ponownie! *Trach!* Bez skutku.

– Lauri!

– Hej, facet! – zawołał Railey z odległości mniej więcej trzech metrów.

Dziwak dopiero teraz go zauważył. Oczy miał szeroko otwarte, może ze strachu. Wyglądał młodo. Rileyowi przyszło do głowy, że może być pod wpływem narkotyków.

– Musi mi pan pomóc dostać się do środka! – krzyknął chłopak. – Moja dziewczyna tam jest. Myślę, że ma kłopoty.

– Jakiego rodzaju kłopoty?

Młody człowiek po raz kolejny bez skutku plasnął w drzwi.

– Przestań! – nakazał Riley. – Zrobisz sobie krzywdę.

– To niech mi pan pomoże dostać się do środka. Tam się chyba coś dzieje. Jakiś gwałt albo gorzej!

– Dlaczego tak myślisz?

– Przyszedłem tu za nią. Widziałem, jak znika w pokoju z takim jednym facetem, do którego nie mam zaufania.

– I co?

– I co? – Ciało dziwaczego chłopaka wykonało jakiś taki falujący ruch, jakby miał zaraz ponownie naprzeć na drzwi.

– Nazywasz się John Brown? – zapytał Riley.

– Co? – Dziwak zatrzymał się na chwilę i wpatrywał się w niego zdumiony.

– To czy w takim razie John Brown jest z tą dziewczyną?

– Nie nazywam się John Brown i on też nie – odparł dziwny chłopak.

Riley dotknął lekko jego kościstego ramienia, by w ten sposób powstrzymać go przed kolejnym atakiem na drzwi.

– Zaraz zobaczymy, o co chodzi.

Cóż miał powiedzieć w obliczu takiej determinacji? Zapukał do drzwi.

– Tylko ty nic nie mów i nic nie rób, jasne?

Dziwaczny chłopak pokiwał głową, ale Riley i tak mu nie uwierzył. Nikt nie odpowiedział na pukanie.

– Nie chcę przeszkadzać pozostałym gościom, jasne?

Sprężynująca głowa znowu skinęła.

– Jasne, jasne.

Riley zapukał ponownie głośniej. Tym razem też nie było odpowiedzi.

– Dobrze – oznajmił. – Ty tu zostań, a ja zajrzę do środka. Zupełnie niewykluczone, że ktoś właśnie bierze prysznic.

Dziwaczemu chłopakowi ta myśl musiała się wydać bardzo nieprzyjemna, ale nic nie powiedział. Riley przeciągnął kartą przez czytnik i otworzył drzwi. Zdziwił się, bo zwykle o tej porze goście przekręcali zamek w drzwiach. Wsadził głowę do środka. Na biurku świeciła się lampka.

– Dzień dobry! Jest tam kto?

W tym momencie zauważył brak krzesła przy biurku, a zaraz potem dostrzegł je przy łóżku. Leżało na boku. Potem zobaczył kobietę przywiązaną do niego taśmą i słuchawkę telefoniczną zrzuconą z widełek. Znajdowała się w pobliżu jej stóp.

Riley szybko przemierzył cały pokój, a chuderlawy chłopiec pomknął w ślad za nim, niemal deptając mu po piętach. Z jego ust wydobył się krzyk:

– Lauri!

Na szczęście żyła, tyle stwierdził Riley, gdy się przy niej zatrzymał. Oczy miała szeroko otwarte i wpatrywała się w niego. Jak najdelikatniej zdjął taśmę zasłaniającą jej usta. Wzięła głęboki oddech, rozmasowała wargi i je polizała. Potem powiedziała coś dziwnego:

– Robaczek?

Riley wyciągnął scyzoryk, który nosił w kieszeni. Zaczął rozcinać taśmę, którą dziewczyna miała związane ręce. Ostrze było tępe, więc musiał się trochę namęczyć. Powoli to szło, ale zbliżał się do końca.

– Proszę zadzwonić do mojego ojca – powiedziała dziewczyna, spoglądając na niego żałośnie. – Proszę! On jest w przewodzie.

Riley zmarszczył brwi.

– W zawodzie?

– W przewodzie!

Riley spojrzał na nią zdumiony.

– Pani ojciec jest w przewodzie?

– Nie mój ojciec. Do mojego ojca proszę zadzwonić. – Szybko podała numer telefonu.

Riley jej nie słuchał, zajmowało go bowiem rozcinanie taśmy. Nie chciał jej przy tym zranić ani zrobić krzywdy. Była młoda, tak samo jak ten chuderlawy dziwak. Pewnie nie mieli jeszcze dwudziestu lat. Gadała, jakby była naćpana.

– Moim ojcem jest detektyw Frank Quinn – powiedziała.

Riley przerwał cięcie.

– Proszę mi jeszcze raz podać numer.

Zrobiła to, a potem utkwiała wzrok nad śmiesznymi epoletami z frędzelkami. Zobaczyła, jak Robaczek wciska się do przewodu wentylacyjnego w łazience.

Neeson wysiadł z windy na siódmym piętrze i spojrzał na długi, wyściełany dywanem korytarz. Ani śladu Rileya.

Winda się za nim zamknęła i cicho zaszumiała.

Neeson skręcił w lewo i udał się w stronę pokoju numer siedemset dwadzieścia cztery. Korytarz wypełniało miękkie światło eleganckich matowych kinkietów rozmieszczonych mniej więcej co trzy metry. Pluszowy dywan pochłaniał odgłosy jego kroków, choć szedł energicznie, sprawdzając parzyste numery pokoi. Chcąc się upewnić, że zmierza we właściwym kierunku,

nieświadomie odliczał w jednostajnym rytmie:

– Siedemset szesnaście. Siedemset osiemnaście. Siedemset...

Potem zobaczył przed sobą otwarte drzwi i przyspieszył kroku, już dalej nie licząc.

*Nadszedł już czas.*

Coś mówiło Shermanowi, że całe jego niebiańskie szczęście właśnie mu sprzyja. A zawsze mu się wszystko udawało, gdy tak się czuł.

Starając się robić jak najmniej hałasu, spuścił głowę przez otwór.

*Nie spiesz się...*

Wysunął przez właz lewe ramię. Dotknął, choć lekko, białej plastikowej zasłony prysznicowej. Chciał się w ten sposób zaznajomić z miejscem, zjednoczyć z otoczeniem, żeby móc się po nim poruszać z niezbędną pewnością siebie i ostrożnością.

W tej chwili nie mógł wydać żadnego innego dźwięku jak tylko ten towarzyszący kontaktowi jego nagich dłoni z podłogą. Przeniósł ciężar ciała w taki sposób, by miękko opuścić stopy w skarpetkach na kafelki.

To będzie prawie koniec. Dalej przemieści się po cichu przez uchylone drzwi do sypialni. Postara się ich nie dotykać, żeby przypadkiem nie zaskrzypiały i nie obudziły mamy.

Potem sięgnie po nóż.

*Nóż.*

## Rozdział 70

Neeson wszedł ostrożnie do pokoju siedemset dwadzieścia cztery z bronią w ręku. Zobaczył Riley'a klęczącego przy łóżku. Potem dostrzegł dziewczynę przywiązaną taśmą do przewróconego krzesła. Riley wybierał właśnie numer na telefonie, który leżał na podłodze. Spojrzał na dziewczynę i powiedział:

– Wszystko będzie dobrze, kochanie. Już jesteś bezpieczna.

Dziewczyna wydała mu się jakaś znajoma. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i wyszeptała:

– Zawód.

– Co takiego?

– Przewód – powtórzył Riley. – To dzieciak Quinna. Twierdzi, że ten, kto jej to zrobił, jest w przewodzie wentylacyjnym.

Neeson potrzebował dosłownie trzech sekund, żeby to sobie wszystko poukładać w głowie. Schował broń do kabury i przemierzył pokój.

– Dawaj telefon.

Sherman właśnie wydostawał się z przewodu wentylacyjnego. Górna połowa jego ciała zwisała z włazu.

Teraz należało działać szybko. Cicho, ale szybko.

Przesuwał się centymetr po centymetrze i już miał lądować na podłodze w łazience, gdy nagle poczuł, że prawą nogawkę coś trzyma.

*Co, u licha?*

Ostrożnie przesunął nogę, starając się zachować równowagę. Musiał odczepić materiał, który najpewniej zahaczył się o jakiś gwóźdź, śrubę czy coś w tym stylu.

*Co...*

Teraz coś go chwyciło za kostkę. *Au! Ostre to! Paznokcie? Zęby.*

Czyżby coś zaciskało na nim szczęki jak aligator?

*Chryste!*

Spanikował i zaczął energicznie kopać obiema nogami. Już nie myślał o tym, żeby nie narobić hałasu. Liczyło się tylko to, żeby się wydostać z kanału, uciec od tego, co go tam dopadło.

Poczuł, że uderza w coś podeszwami. Lewa noga złapała dobry kontakt, więc wykonał mocne pchnięcie, jednocześnie z całych sił kopiąc również prawą. Uwolnił kostkę z uchwytu, teraz jednak coś go ciągnęło za nogawkę, która została wyjęta ze skarpetki. Czuł napięcie materiału.

Kopnął jeszcze mocniej, dolegliwie uderzając się w piętę i wyginając nienaturalnie paluch.

*Wolny! Nareszcie wolny!*

Zdołał wyrwać nogę temu, co ją pochwyciło. Za tę wolność jednak zapłacił cenę w postaci zachwiania równowagi. Opadł na podłogę w łazience zbyt gwałtownie, żeby asekurować się rękami i zapewnić sobie miękkie lądowanie. W zetknięciu z podłożem jego ciało wydało głuchy łomot. Uderzył mocno o twarde kafle i boleśnie przewrócił się na lewe ramię. Padł bezładnie na podłogę, a jedna z jego nóg wylądowała na toalecie. Najwyraźniej musiał zahaczyć o blat

umywalki, bo kilka butelek z kosmetykami i mała tubka pasty do zębów upadły na podłogę.

*Nóż się nie sprawdzi. Ona się obudzi. Gliny są już w drodze. Nie pora na nóż.*

Cieszył się, że o tym pomyślał. Błyskawicznie stanął na nogi i sięgnął po pistolet.

*Nie ma go!*

Nie znalazł broni za pasem, gdzie ją włożył.

*Cholera jasna!*

Za drzwiami, które najwyraźniej zamknęły się podczas jego upadku, usłyszał jakieś dźwięki. Ktoś biegał. Ktoś coś mówił.

Desperacko rozglądał się wokół. Zobaczył pistolet. Leżał na podłodze częściowo ukryty pod zasłoną prysznicową. Rzucił się po niego.

Allsworth gwałtownie otworzył drzwi i wbiegł do pokoju Myrny Kraft z wyciągniętą bronią. Nawet mu do głowy nie przyszło, żeby pukać.

Zastał tylko Myrnę.

*Ten wyraz na jej twarzy. Na co patrzy...*

Bez wahania skierował się do łazienki. Zdawał sobie sprawę, że w łóżku siedzi wyprostowana zdumiona postać, która się w niego wpatruje. Uniósł wolną dłoń i dał jej sygnał, że ma się nie ruszać. Z łazienki dobiegał szczęk szkła lub plastiku.

Allsworth zacisnął szczękę tak mocno, że mógłby sobie złamać ząb. Ujął swoją dziewiątkę obiema rękami i kopnięciem otworzył drzwi.

Quinn i Pearl dotarli do drzwi pokoju sześćset dwadzieścia pierwszy. Neeson pędził korytarzem w ich stronę. Quinn zauważył też, że z drugiej strony zbliża się mundurowy ze stanowiska na podeście schodów na piętrze. Facet był ciężki i poruszał się wolniej. Za Neesonem jednak dostrzegł jeszcze kogoś. To Jeb Jones. Quinn zdążył zapomnieć, że on też jest w hotelu.

Quinn nie pukał. Kopnięciem otworzył drzwi do pokoju sześćset dwadzieścia, dokładnie tak samo jak Allsworth wcześniej dostał się do łazienki.

W przedpokoju nikogo nie było. Magazyn „People” leżał na podłodze przy fotelu. Oświetlała go lampa z przekrzywionym kloszem. Quinn znał rozkład pomieszczenia. Ruszył w kierunku sypialni, wiedząc, że Pearl podąży tuż za nim.

Myrna siedziała na łóżku, ciągle jeszcze zaskoczona pobudką. Quinn stwierdził, że strzelba, o którą prosiła, nadal stoi przy ścianie niedaleko łóżka.

Ani drgnęła, tylko ciemne oczy skierowały się w stronę światła sączącego się z łazienki.

Dwa głośne strzały rozbrzmiały echem w małym pomieszczeniu. Towarzyszył im blask.

Drzwi łazienki odskoczyły, a wtedy Allsworth kopnął je ponownie. Otworzył je na oścież i zobaczył mężczyznę rozłożonego na podłodze w pobliżu wanny i zasłony prysznicowej. Biała koszulka i ciemne spodnie, których jedna nogawka została wsunięta w ciemną skarpetę.

*Przedmiot w dłoni! Broń!*

Allsworth wiedział, co go czeka. Z jego gardła wydobył się potężny krzyk. Czasami taki nagły hałas wystarczał, żeby powstrzymać napastnika. Dezorientował go na dostatecznie długą chwilę.

Czasami.

Sherman czekał, był gotowy. Zaskoczyło go, jak szybko policjant pojawił się łazience, ale broń trzymał już wysoko obiema rękami. Poza tym gliniarz po kopnięciu w drzwi potrzebował chwili, żeby złapać równowagę. Wszystko miało się rozegrać błyskawicznie, lecz Sherman miał poczucie, że panuje nad sytuacją.

Broń w rękę policjanta nie zdążyła wycelować w Shermana, który w ogóle nie przestraszył się hałasu. Bo żaden hałas już mu teraz nie mógł przeszkodzić.

Nacisnął spust dwukrotnie, jeszcze zanim policjant zdążył opuścić broń choćby do połowy. Huk wystrzału stłumił krzyk gliniarza, który chwilę potem leżał już martwy na podłodze.

Uszkodzone drzwi stały teraz przed nim otworem, a framuga tworzyła ramę dla obrazu zszokowanej matki siedzącej na łóżku.

Z bronią w jednej ręce i nożem w drugiej Sherman przeskoczył przez ciało martwego policjanta, który nie miał połowy twarzy, by ruszyć w jej kierunku.

Quinn i Pearl zatrzymali się na chwilę na widok postaci wyskakującej z łazienki. Wiedzieli, że to nie Allsworth. Mimo wszystko sytuacja ich w pierwszej chwili zaskoczyła. Stanęli jak wryci.

Sherman prawie dotarł do nóg łóżka.

Pearl wystrzeliła pierwsza kilka razy. Stojący obok Quinn również nacisnął spust klasycznego policyjnego rewolweru, który brykał mu w dłoniach jak żywe stworzenie.

Sherman zrobił dwa chwiejne kroki w bok i zatrzymał się, jak gdyby coś go zaskoczyło. Pistolet wypadł mu z dłoni. Nogi się pod nim ugięły i upadł na kolana.

Pearl opuściła broń. Zrobiło jej się słabo. Pomyślała, że zaraz się przewróci jak Sherman. Jak Rzeźnik.

Przelknęła miedziany posmak strachu, który poczuła pod językiem, i po chwili odnalazła w sobie siłę. *Masz zadanie do wykonania. Cholera! Masz zadanie do wykonania!*

W sypialni nagle zrobiło się głośno i tłoczno. Do środka wpadli Neeson, Jeb i mundurowy z klatki schodowej. Tylko na chwilę odwrócili ich uwagę.

Neeson wskazywał na coś palcem.

– Wstał!

Chodziło mu o Shermana, który faktycznie wstał jak zombi i siłą woli z nożem w dłoni rzucił się na Myrnę. Ta siedziała bez ruchu jak zahipnotyzowana, pewnie pod wpływem szoku. Quinn zdawał sobie sprawę, że nie zdąży zareagować na czas. Sherman ją dopadnie i dźgnie, prawdopodobnie śmiertelnie.

Ledwo zdążył to pomyśleć, gdy rozległ się ogłuszający huk i Sherman poleciał na bok. Jego krew rozbryznęła się po pokoju. Leżał nieruchomo w ciszy, a potężna siła pocisku ze strzelby, który trafił go z niedużej odległości, niemal go rozpołowiła. Jeb, który zaraz po przekroczeniu progu pokoju ruszył biegiem w kierunku matki, dopadł broni na tyle szybko, że zdołał ocalić jej życie.

Wszyscy stali nieruchomo bardziej zdumieni i wyczerpani niż zszokowani. Pearl nadal trzymała w dłoni kajdanki, w które miała zamiar zakuć Shermana.

Niesamowita gmatwanina ruchów i hałasów ustąpiła teraz miejsca rytmicznym ciężkim oddechom. Przerwało ją głuchoe tapnięcie, szcęk i wrzask przerażenia, który dobiegł z łazienki.

Z bronią w gotowości Quinn ruszył w kierunku drzwi i zajrzał do środka.

Robaczek.

## Rozdział 71

Myrna leżała zwinięta w kłębek u wezglowia łóżka, gdzie czekała na niechybną śmierć. Sprawiała wrażenie małej i delikatnej. Zupełnie nieszkodliwej.

Odsunęła włosy z oczu, a potem wygramoliła się z łóżka i stanęła z rękami mocno przyciśniętymi do piersi, jak gdyby przytulała samą siebie, żeby się upewnić, że nadal żyje. Nie sprawiała jednak wrażenia pogrążonej w szoku. Głęboko osadzone ciemne oczy poruszały się powoli, przyswajając fakty i analizując sytuację. Gdy natrafiła na spojrzenie Quinna, odwróciła wzrok. Przeniosła go na Jeba, który stał nad swoim martwym bratem, najwyraźniej mocno wytrącony z równowagi z powodu tego, co zrobił. Łzy płynęły mu po policzkach.

Pod wpływem śmierci powietrze stało się ciężkie i nieruchome.

Nie do końca można powiedzieć, że Jeb szlochał, ale Quinn w każdej chwili spodziewał się spazmów płaczu. Któż by mu się dziwił? Przecież właśnie uratował matkę, zabijając brata. A Quinn wiedział, jak dramatyczny wpływ taki fakt może mieć na ludzi. Podszedł do Jeba.

– Postąpiłeś słusznie – powiedział łagodnym tonem.

Jeb jednak zdawał się go nie słyszeć. Spoglądał na matkę, która cały czas obejmowała się ramionami. Przeładował strzelbę, uniósł lufę i wycelował ją w Myrnę.

Zauważyła to. Wiedziała, że jest za późno. Wiedziała, co ją czeka. Wyprostowała się, opuściła ramiona i spojrzała wyzywająco na syna.

Quinn ledwo zdążył wyjąć rewolwer z kabury. Inni też próbowali to zrobić, ale strzelba wypaliła pierwsza, ponownie wypełniając pokój hukiem wystrzału. Myrna poleciała na ścianę, odbiła się od rogu i opadła na ziemię.

Quinn na nią nie patrzył. Przez celownik spoglądał na Jeba i podobnie jak wszyscy pozostali zgromadzeni w pokoju miał nadzieję, że zdoła oddać dostateczną liczbę strzałów, żeby go w porę powstrzymać. Obserwował, jak ciało Jeba wykonuje ten sam dziwaczny taniec, który wcześniej zaprezentował rozdzierany kulami Sherman. Gdy już upadł, Pearl dotarła do niego pierwsza. Kopnęła strzelbę pod łóżko z taką siłą, że chyba złamała sobie przy tym palec.

Jeb z początku miał przed oczami tylko biały sufit. Potem dostrzegł zbliżające się do niego ciemne postacie. Nadal zdawały się go bać, ciągle jeszcze do niego celowały. Uspokoiłby je, ale brakowało mu na to siły. Dokonał już tego, co miał do zrobienia.

Myślał o bagnie swojej przeszłości, od którego nigdy nie można do końca uciec. Ono zawsze pozostaje z człowiekiem, trzymając się go kłami i pazurami na jawie i we śnie. Aż w końcu...

Z oddali usłyszał głos:

– Ona nie żyje. Strzelba z takiej odległości... Za wiele z niej nie zostało.

Ten rosły policjant, Quinn, nachylał się nad nim i blokował mu światło. Coś do niego mówił.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zabiłeś matkę? – pytał zaskakująco łagodnym, zdezorientowanym tonem.

Jeb bardzo chciał mu odpowiedzieć, ale wiedział, że ma niewiele czasu.

– Kiedy mieszkaliśmy z mamą w Luizjanie – powiedział szorstkim szeptem – byliśmy biedni jak myszy kościelne. Mieszkaliśmy na bagnie. Przyjmowaliśmy lokatorów.

– Co takiego? – zapytał Quinn, klękając przy nim. Nadal wydawał się zaskoczony.

Zamiast odpowiedzieć, Jeb zaczął opuszczać powieki. Nie zdążyły opaść całkowicie.



– Nie żyje – powiedziała Pearl.

– Matko święta! – odezwał się jeden z policjantów. – Zastrzelił własną matkę.

Quinn spojrzał głęboko w na wpół zamknięte oczy Jeba, jak gdyby szukał tam wyjaśnienia. Nic jednak w nich nie znalazł, bo nikogo tam już nie było.

Westchnął i się wyprostował. Słyszał zza okna syreny. Jedna z nich zdawała się być blisko. Jej śpiewne jodłowanie dobiegające z ulicy nagle ucichło. Wkrótce wszyscy ruszą na górę: kolejni mundurowi i policjanci w cywilu, technicy kryminalistyczni, sanitariusze, patolog... Wszyscy oni będą się starali ująć śmierć i tę dziką przemoc, która tu doszła do głosu, w jakieś kategorii, by przynajmniej pozornie zrozumieć ten horror. Tak już wygląda policyjny świat.

– Co ci powiedział? – zapytała Pearl.

– Nie wiem, coś o biedzie w Luizjanie i o lokatorach.

– O lokatorach?

– Nie mam pojęcia, co miał na myśli. Może zresztą nic. To był już jego koniec.

– Dawne czasy – stwierdziła Pearl. – To już pewnie teraz bez znaczenia.

Quinn opuścił wzrok i spostrzegł krew na czubku buta. Pobrudził się, gdy klęczał nad Jebem.

– Pewnie bez – odparł.

## Rozdział 72

Późnym popołudniem wracali do biura lincolnem Quinna. Słońce nadal mocno przypiekało, a ruch na ulicy się nasilał. Quinn jednak znał jego rytm i potrafił manewrować w labiryncie ulic, więc przemieszczali się całkiem sprawnie.

Ciągle mieli jeszcze sporo do zrobienia. Potrzebowali dobrych kilku dni, żeby wszystko uporządkować i oficjalnie zamknąć sprawę. Poza tym musieli też podjąć współpracę z mediami, chociaż z tym mogli się chwilę wstrzymać. Liczyli, że może części tego cyrku uda im się uniknąć. Może.

Przedstawiciele mediów tłoczyli się przed budynkiem, w którym dotychczas mieli biuro.

– Co dalej? – zastanawiał się Quinn.

– Cholerni paparazzi – skomentowała Pearl.

– Pytam, co będzie później...

Fedderman, który siedział z tyłu, powiedział:

– Ja wracam na Florydę. Może znowu zacznę wędkować.

– A co z golfem?

– Pieprzyć golfa.

Quinn ominął dziurę i się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że tym razem ci się uda.

– Jeśli nie, to jeszcze mam w odwodzie polowanie.

– Tym się już w życiu zajmowałeś – stwierdziła Pearl.

Quinn spojrział teraz na nią.

– A ty, Pearl?

– Ja nie gram w golfa i nie wędkuję. – Nikt nic nie powiedział, więc dodała: – Chyba uda mi się odzyskać starą posadę w banku.

Przypuszczała, że Quinn może próbować ją od tego odwieść. Może nawet miała na to nadzieję. On jednak wpatrywał się bez słowa w przednią szybę. Pan kamienna twarz. Poirytowała się, bo potrafiła zinterpretować to jego milczenie. *Uważa, że nie musi mi tego wybijać z głowy. Nie wierzy, że będę w stanie to zrobić. Że mogę prowadzić spokojne życie z dala od tego wszystkiego. Drań nic nie rozumie.*

– A ty, Quinn? – zapytał Fedderman z tylnego siedzenia.

– Ja? Ja jestem emerytowanym gliną.

Quinn jednak dobrze wiedział, jak jest naprawdę. Ta jego emerytura nie potrwa długo, podobnie zresztą jak Pearl nie popracuje długo jako strażniczka w banku. Fedderman też chętnie porzuci łowienie ryb. Wszyscy się tylko zgrywali.

Tamtego wieczora Fedderman wrócił do swojego hotelu i powiedział recepcjoniście, żeby go obudził wcześniej rano. Poinformował, że następnego dnia się wymeldowuje. W tym samym czasie Quinn siedział już w swoim skórzanym rozkładanym fotelu z nogami opartymi na pufie od kompletu, palił kubańskie cygaro i czuł się zupełnie dobrze. Pearl, gdy w końcu wróciła do domu, opróżniła pół butelki pellegrino, a potem zdjęła buty i powędrowała w samych tylko rajstopach do telefonu. Wybrała numer do ośrodka dla seniorów, w którym mieszkała jej matka.

Zew krwi.

Lauri i Robaczek wrócili do siebie, na co Quinn niechętnie się zgodził.

Nagła sława chłopaka pomogła zespołowi The Defendants w zdobyciu kontraktu nagraniowego. Ich pierwsza płyta, *Lost in Bonkers*, bardzo szybko pojawiła się w zestawieniach najlepiej sprzedających się albumów, zajmując czterysta siedemdziesiąte trzecie miejsce. Robaczek nadal czuł respekt wobec Quinna. Quinn nigdy mu nie powiedział, że czasami zdarzało mu się nucić pod prysznicem tytułową piosenkę z tamtej płyty.

Quinn czasem myślał, że być może Lauri faktycznie zostanie kiedyś policjantką. Poza tym cierpliwie czekał na telefon od Renza.

Był pewny, że kiedyś takowy odbierze.

